

*Przepiękna historia miłości w bajecznej scenerii.*

# ZŁOTO MAORYSÓW

SARAH  
LARK



SARAH LARK

ZŁOTO  
MAORYSÓW

Z języka niemieckiego przełożyła  
Anna Makowiecka-Siudut



# PODZIĘKOWANIE

Książki takiej jak ta nie można napisać samemu.

Dlatego dziękuję wszystkim, którzy mi pomagali, szczególnie mojej lektorce Melanie Blank-Schröder, mojej redaktorce tekstu Margit von Cossart oraz mojemu czyniącemu cuda agentowi Bastianowi Schlückowi. Dziękuję także grafikom, którzy zaprojektowali okładkę i wykonali rysunki map, oraz działowi marketingu, któremu nigdy nie brakuje pomysłów. A także wszystkim kolporterom i księgarzom, dzięki którym książka znalazła się na rynku. Trudno nie wspomnieć o ogromnych zasługach Klary Decker przy próbnym czytaniu tekstu – ona też znalazła w Internecie odpowiedzi na te pytania, z którymi nie potrafiłam się uporać w swych badaniach.

Jeśli w czasie konnych przejażdżek myślami byłam w Nowej Zelandii i zapominałam o całym świecie – moje ukochane konie nigdy tego nie wykorzystały.

A psy zawsze sprowadzały mnie do domu – najpóźniej wtedy, kiedy trzeba było je nakarmić. Myślę o Jacky i Grizabelli.

Sarah Lark w październiku 2009

# **GODNOŚĆ**

**IRLANDIA, HRABSTWO WICKLOW**

**1846–1847**

# ROZDZIAŁ 1

Serce Mary Kathleen biło szybko i gwałtownie, ale dziewczyna zmusiła się, aby iść spokojnie i powoli aż do chwili, kiedy zniknęła z pola widzenia kogokolwiek z dworu. Nie dlatego, że ktoś rzeczywiście za nią patrzył. I nawet jeśli kucharka coś przypuszczała, to wobec tego, co stara Grainné od czasu do czasu skubnęła z gospodarstwa bogatej rodziny Wetherby, dwa ciastka do herbaty nie liczyły się w ogóle.

Mary Kathleen właściwie nie obawiała się prawdziwych prześladowców. Przykucnęła teraz, drżąc z lęku, koło kamiennego murku, który, tak jak w całej Irlandii, stanowił granicę między polami. Za murkiem można było się schronić zarówno przed wiatrem, jak i przed ciekawskimi spojrzeniami, ale od poczucia winy Kathleen uciec nie mogła.

Ona, Mary Kathleen, wzorowa uczennica na zajęciach biblijnych ojca O'Briena, która w czasie bierzmowania z dumą wypowiadała imię Matki Bożej tuż przed swoim – ona dopuściła się kradzieży!

Kathleen ciągle jeszcze nie mogła pojąć, jak do tego w ogóle doszło, ale kiedy niosła tacę z herbacianymi ciastkami do pokojów wytwornej lady Wetherby, jej pragnienie i chęć, aby skosztować choć jedno ciastko, były wręcz przemożne i nie do opanowania. A były to ciastka *scones*, świeżo upieczone z białej mąki i równie białego cukru, które podawano nie z jakąś marmoladą ze zwykłych owoców, lecz z konfiturami sprowadzanymi z Anglii w przesłicznych szklanych naczyniach. Zgodnie z napisem, który Kathleen odczytała z trudem, były to konfitury z „pomarańczy”. Cokolwiek to znaczyło – takie ciastka z pewnością musiały smakować wspaniale.

Kathleen musiała użyć całej swej siły woli i opanowania, aby ostrożnie postawić tacę na herbacianym stoliku pomiędzy lady Wetherby i goszczącą u niej damą, dygnąć i cichutko powiedzieć „proszę bardzo, madame”, nie śliniąc się przy tym jak pies przy swoich owcach. Na samą myśl o tym zachichotała teraz histerycznie. Jednak była z siebie niemal dumna, kiedy szła z powrotem do kuchni – tam akurat stara Grainné z apetytem pochłaniała ostatnie ciastko. Oczywiście nie zostawiając ani okruszka dla Kathleen czy też pomywaczki.

Grainné miała zwyczaj wygłaszać coś w rodzaju kazania do wszystkich dziewcząt, mówiąc:

– Słuchajcie, dziewczyny! Powinnyście Panu Bogu dziękować za to, że złapałyście takie posady na dworze! Tu zawsze spadnie dla was ze stołu kawałek chleba. Teraz,

w tych czasach, kiedy ziemniaki na polach gniją, a ludzie głodują, możecie w ten sposób uratować własne życie!

Kathleen rozumiała to doskonale – jej rodzina i bez tego miała wiele szczęścia. Jej ojciec, jako krawiec, zarabiał ciągle jeszcze trochę pieniędzy. Rodzina O'Donnell nie była więc skazana wyłącznie na ziemniaki, które matka i rodzeństwo Kathleen uprawiali na niewielkim poletku. Kiedy bieda zaczynała dokuczać zbyt mocno, James O'Donnell podejmował trochę swoich skąpych oszczędności i kupował od lorda Wetherby czy też od jego zarządcy Mr Trevalliona parę garści ziarna. Kathleen nie miała więc powodu, aby kraść – a jednak to zrobiła.

Dlaczego lady Wetherby i jej przyjaciółka musiały zostawić na talerzu te dwa ciasteczka? Dlaczego nie zwracały uwagi na Mary Kathleen, podczas kiedy ona sprzątała ze stołu? Obie damy udały się do drugiego pokoju i lady Wetherby grała tam na pianinie. Niezjedzone ciasteczka *scones* zupełnie nie interesowały obu pań, a Grainné też nie nabrała żadnych podejrzeń i Kathleen o tym wiedziała. Lady Wetherby była młodą kobietą – i była też łakomczuchem. Rzadko kiedy zostawiała na talerzu podane jej łakocie.

A więc – Kathleen to zrobiła. Schowała niezjedzone ciasteczka do kieszeni swojego zwykownego fartuszka służącej, potem ukryła je między fałdami zniszczonej niebieskiej sukienki, a na koniec dopuściła się jeszcze jednego złodziejstwa, wkładając ciasteczka do prawie pustego słoika po konfiturach, zamiast zgodnie z poleceniem Grainné wypłukać naczynie. To był już mniejszy grzech, bo Kathleen miała zamiar odnieść słoik niemal czysty, po dokładnym wyskrobaniu resztek konfitur. Ale kradzież ciasteczek *scones* będzie piekła jak ogień jej duszę aż do chwili, kiedy w sobotę wyspowiada się ojcu O'Brienowi. O ile w ogóle będzie w stanie się z tego wyspowiadać. Wiedziała, że ze wstydu będzie chciała zapaść się pod ziemię.

Mary Kathleen żałowała teraz z całej duszy swojego grzechu – choć wcale jeszcze nie zjadła ciasteczek. Ale wprost umierała z chęci spróbowania, jak one smakują i pachną. „Boże, dopomóż!” – pomyślała, zastanawiając się, czy waga grzechu nie ulegnie zmniejszeniu, jeśli podaruje ciasteczka młodszemu rodzeństwu. To przynajmniej byłoby coś w rodzaju czynnego żalu – i o wiele bardziej surową karą niż odmówienie dwadzieścia razy *Zdrowaś Mario*. Ale dzieci z pewnością zaczęłyby się chwalić takimi smakołykami, a jeśli o wszystkim dowiedzieliby się rodzice Kathleen...

Nie, to w ogóle nie wchodziło w rachubę!

A potem było jeszcze gorzej! Kiedy pobożna Kathleen zastanawiała się, jak mogłaby odpokutować swój grzech, ni stąd, ni zowąd zaświtała jej w głowie pewna myśl. Wystraszone serce dziewczyny zabiło mocniej. Czy dlatego, że ogarnęło ją jeszcze większe poczucie winy? A może... była to myśl radosna?

Mogłaby podzielić się ciasteczkami z Michaeliem! Michael Drury był synem chłopca

z sąsiedztwa i mieszkał ze swoją rodziną w jeszcze mniejszej, bardziej zadymionej i ubogiej chałupie niż Kathleen. I tego dnia z pewnością jeszcze nic nie jadł, może poza kilkoma kłosami zboża, które zwykle żuli chłopcy pracujący przy żniwach na polach lorda Wetherby. Było to uważane niemal za zbrodnię, za którą Mr Trevallion karał chłopców biciem, jeśli ich tylko na tym przyłapał.

Zboże było dla panów, a ziemniaki dla chłopów. A jeśli ziemniakigniły na polach, to musieli szukać takich, które nadawały się do jedzenia. Ale większość z nich potrafiła się pogodzić z takim stanem rzeczy. Na przykład matka Michaela widziała w ziemniaczanej zgniliznie karę boską i próbowała w codziennych modlitwach dojść do tego, co tak bardzo rozgniewało Pana, że zesłał na nich taką nędzę. Za to Michaela i kilku podobnych do niego młodych mężczyzn oburzał fakt, że Mr Trevallion i lord Wetherby cieszyli się obfitymi żniwami pszenicy, podczas kiedy dzieci ich dzierżawców umierały z głodu.

Mary Kathleen w zadumie przypominała sobie zuchwały wyraz twarzy Michaela, kiedy pomstował na bogatych właścicieli ziemskich – dziewczyna doskonale pamiętała jego zmarszczone czoło pod potarganymi ciemnymi włosami i niebieskie, roziskrzane oczy. Czy Bóg rzeczywiście potraktuje to jako pokutę, jeśli ona podzieli się z przyjacielem ciasteczkami *scones*? Bez wątpienia zaspokoiliby jego głód – ale także swoje pragnienie, aby być choć przez parę chwil razem z tym wysokim, szczupłym, młodym mężczyzną. Jego niski głos fascynował ją i oczarowywał, ale równie mocno tęskniła za dotknięciem jego rąk i za tym, aby znaleźć się w jego ramionach.

Kiedy czasy były nieco lepsze, Michael wespół ze swoim ojcem i starym Paddym Murphym przygrywał do tańca – w sobotnie wieczory albo w czasie corocznych dożynek. Wieśniacy wywijali żwawo, pili i śmiali się, a później Michael Drury śpiewał ballady i patrzył przy tym na Kathleen O'Donnell...

Ale teraz nikt już nie miał sił do tańca. A Kevin Drury i Paddy Murphy dawno już zniknęli gdzieś w górach. Wieść niosła, że prowadzili tam znakomicie prosperującą destylarnię whiskey. Mówiono też, że Michael sprzedawał potajemnie alkohol w Wicklow. Ojciec Kathleen nie chciał mieć nic wspólnego z rodziną Drurych i rugał najstarszą córkę surowo, kiedy tylko przyłapał ją na rozmowie z Michaeliem w niedzielę po kościele.

– Ale ja sędzę, że Michael chce się o mnie starać! – protestowała zaczerwieniona Kathleen. – Całkiem... całkiem oficjalnie i ze wszystkimi honorami!

Krawiec O'Donnell prychnął pogardliwie, a jego wysoka, chuda postać zadygotała z dezaprobaty.

– A kiedy któryś z Drurych robił coś oficjalnie i z honorami? Cała ta rodzina to jedna wielka hołota: rzępoły, grajki i bimbrownicy! Wszyscy oni to niezłe łotry. Już kiedyś ich dziadka chcieli zesłać gdzieś do kolonii. I chociaż mało cenię Anglików, to

tutaj spełniliby prawdziwy dobry uczynek! Bo ten dziadek stale siedzi w Galway i stamtąd Bóg jeden wie dokąd chodzi. Tak samo jego syn, też nic niewart! Jak tylko ziemia zaczyna im się palić pod stopami, to gdzieś znikają – a żaden z nich nie zostawia mniej niż pięcioro dzieci! Trzymaj się z daleka od tych chłopaków, Kathie, jesteś tak śliczna, że możesz mieć każdego!

Kathleen znów się zaczerwieniła, ale tym razem ze wstydu, że jej ojciec nazwał ją śliczną. Zdaniem wielebnego O'Briena było to już wręcz podejrzone. Powtarzał aż nazbyt często, że młoda panna powinna być jedynie cnotliwa i pilna i w żadnym wypadku nie wolno jej demonstrować swoich wdzięków.

A w przypadku Mary Kathleen trudno było tego uniknąć. Nie mogła przecież stale ukrywać przed mężczyznami swej delikatnej twarzy, miękkich, miodowoblond włosów i fascynujących zielonych oczu. Ich kolor Michael porównał kiedyś do koloru łąk w Glen koło Wicklow tuż przed zachodem słońca. A czasami, kiedy w oczach Kathleen widać było radość i zaskoczenie, Michael dostrzegał w nich iskrę pierwszej wiosennej zieleni.

O tak, Michael znał się na pochlebstwach! I Kathleen nie chciała wierzyć, że był on takim łotrem, za jakiego uważał go jej ojciec. W końcu Michael codziennie pracował ciężko na polach lorda Wetherby. A w weekendy rzępolił w licznych pubach w Wicklow, dokąd musiał wędrować pieszo spory kawał drogi, jeśli nikt nie pożyczył mu muła czy też osła. Czasami robił to ogrodnik Wetherbych, Rooney O'Rearke. Rooney uchodził za pijacznę, ale Kathleen nie chciała widzieć związku między pędzoną nielegalnie whiskey i pożyczaniem osła, będącego własnością O'Rearke'a!

Dziewczyna wstała i ruszyła w drogę do wsi. Niewielki las oddzielał posiadłości Wetherbych od domów ich dzierżawców. Bogaci właściciele ziemscy nie chcieli mieć widoku wprost na domostwa swoich parobków i służących. Kathleen wędrowała przez pola i powoli zaczynała czuć się coraz lepiej – co z pewnością związane było także z tym, że nie zmierzała wprost w kierunku wsi i domostwa swojej rodziny, lecz szła w stronę pól pszenicy położonych powyżej chat. Na tych polach ciągle jeszcze pracowali mężczyźni, ale słońce powoli znikało za widnokretem, więc Trevallion z pewnością wkrótce odeśle ich do domu.

Zmrok zawsze wpędzał zarządcę w rozterkę: z jednej strony było jeszcze na tyle jasno, że można było pracować, a lord Wetherby raczej nie miał zwyczaju czegokolwiek darowywać, ale z drugiej strony nikłe światło umożliwiało kradzieże. W kieszeniach robotników znikwały pojedyncze kłosa, były one też ukrywane za kamiennymi murkami i zabierane po zapadnięciu ciemności.

Kathleen miała nadzieję, że tego wieczoru Trevallion wcześniej zwolni swoich robotników, nawet jeśli w następstwie tego w ich domach będzie panował jeszcze bardziej dotkliwy głód. W końcu rodziny czekały z utęsknieniem na to, co zdołali w jakikolwiek sposób zdobyć ich ojcowie i bracia. Nawet ojciec O'Brien nie był



w stanie skutecznie zganić postępowania dzierżawców, choć kiedy ci na spowiedzi wyznawali mu swoje drobne kradzieże, ciągle zadawał im jako pokutę odmawianie kolejnych licznych modlitw. I w efekcie dzielni ojcowie rodzin spędzali połowę niedzieli na kolanach w kościele. Za to młodzi mężczyźni, tacy jak Michael właśnie, snuli się w tym czasie po polach, próbowali zwędzić jeszcze kilka kolejnych kłosów i nie zostać przy tym dostrzeżonym przez młodą lady i lorda, którzy z kolei spędzali niedzielę wespół z przyjaciółmi, polując i jeżdżąc konno.

A teraz księżyc w pełni właśnie wzniósł się ponad górami na niebo i skutecznie rozproszył zmrok, co spowodowało, że Trevallion najwyraźniej jeszcze bardziej zaczął się obawiać złodziejstwa. Wiedział, że mężczyźni, ich żony i dzieci w świetle księżyca bez trudu znajdą ukryte kłosa, a ci najbardziej zrozpaczeni będą nawet rabować pod osłoną nocy. Kathleen przypuszczała, że nadgorliwy nadzorca planował wczesną kolację i krótką drzemkę, zanim zacznie przez pół nocy jeździć konno i patrolować pola.

Dziewczyna niemal zmusiła się do tego, aby nie splunąć ostentacyjnie na widok Trevalliona, kiedy ten, siedząc na koźle ostatniego wozu ze zbożem, nadjeżdżał z naprzeciwka, mijając wlokących się powoli, zmęczonych robotników.

– Hola, mała Mary Kathleen! – pozdrowił ją przyjaźnie nadzorca. – Czego tutaj szukasz, śliczny dzwoneczku? Już puszczono cię z dworu do domu? Wygodne życie macie tam w kuchni! Założę się, że dzięki ich lordowskim gościom stara Grainné zaopatruje w chleb nie tylko siebie i swoje dzieci, ale także rodziny swoich dzieci, a potem ich dzieci też.

W odpowiedzi z grupy robotników, którzy powoli szli za wozem Trevalliona, dobiegła złośliwa uwaga:

– Ich lordowskie moście wolą chyba ciasto...

Kathleen rozpoznała głos Billa Rafferty'ego, syna kucharki Grainné. Billy nie tylko uchodził za najmądrzejszego, ale cechowała go też chłopska przebiegłość, a w dodatku chłopak czuł się znakomicie w roli sowizdrzała i kpiarza.

– ...o czym chyba wy wiecie najlepiej, Trevallion! – dodał teraz. – A może nie jecie niczego z ich stołu?

Rozległ się głośny śmiech. Rzeczywiście, angielski landlord nie traktował swego irlandzkiego nadzorcy o wiele lepiej niż swych dzierżawców. Choć oczywiście pozycja Trevalliona była szczególna i nie musiał głodować. Ale nie cieszył się szacunkiem swojego pana i nie mogło być mowy o tym, aby był kiedyś podniesiony do stanu szlacheckiego, co od czasu do czasu zdarzało się w przypadku zarządców niektórych wielkich posiadłości ziemskich. Lord Wetherby był wprawdzie szlachcicem, ale jego rodzina nie cieszyła się w Anglii zbyt wielkim poważaniem. Jej ziemskie włości w Irlandii były niewielkie i stanowiły posag małżonki lorda, lady Wetherby.

– W każdym razie mój stół jest porządnie nakryty! – odparował Trevallion. – I jest na nim także ciasto, mała Kathleen, i jeśli pragniesz męża, który mógłby ci coś dać...

Kathleen zaczerwieniła się gwałtownie. Ale nie, nie, ten typ nie mógł przecież nic wiedzieć o ciastkach, choć dziewczynie wydało się nagle, że one teraz wypalały dziury w kieszeniach jej sukni! Nie wolno jej było okazać poczucia winy! Skromnie spuściła oczy. Kathleen w zasadzie nigdy nie odpowiadała na zaczepki Trevalliona, a już zwłaszcza wtedy, kiedy robił jakieś nieprzyzwoite aluzje. Zbyt często opowiadano o dziewczynach, które ulegały zwyczajowi wpadania w ramiona zarządców swych panów – przy czym Kathleen nawet nie była w stanie wyobrazić sobie grzechu rozkoszy.

Trevallion właściwie nie był zbyt pociągający dla dziewcząt. Był niski, chudy i rudy jak leprechaun, irlandzki krasnal, ale brakowało mu dowcipu i poczucia humoru, co zwykle cechowało tego mitycznego skrzata. Ci Irlandczycy, którym wiodło się nieco lepiej, budowali leprechaunom domki w swoich ogrodach, aby zapewnić sobie ich przychyłność w czasie prac polowych, a jeszcze bardziej – przy pędzeniu whiskey. Ojciec O'Brien mawiał zawsze, że to jeden z najbardziej mrocznych przesądów, a potem zaczynał opowiadać najmłodszym dzieciom kolejną bajkę o tych bezczelnych, wesołych, odzianych na zielono istotach.

Niczego równie zabawnego nie można było natomiast opowiedzieć o Trevallionie. Wobec swoich angielskich panów okazywał służalczą uniżoność, dzierżawców zaś traktował twardo i złośliwie. Nawet kiedy lord i lady nie bawili w swoich irlandzkich posiadłościach, co miało miejsce przez większą część roku, Trevallion, w przeciwieństwie do innych zarządców, nie przymykał na nic oka i nie pozwalał sobie choćby na odrobinę pobłażliwości w stosunku do dzierżawców. Bo szczególnie w tak ciężkich czasach zarządcy często patrzyli w drugą stronę, kiedy mężczyźni wyprawiali się na polowanie bądź kiedy część zbioru owoców lądowała w garnkach ich żon. Trevallion walczył o każdą marchewkę, każde jabłko i każdą fasolkę rosnącą na polu jego mocodawcy, który właściwie zjawiał się na nim tylko na żniwa i w czasie sezonu łowieckiego. Trevallion był powszechnie znienawidzony wśród ludzi i jeśli jakakolwiek dziewczyna oddawała się mężczyźnie takiemu jak on, to z pewnością nie robiła tego z miłości, lecz po prostu z biedy.

– A może jest tu na polach jakiś twój kochaś? – spytał Trevallion, mrugając złośliwie i dodał: – Jako oko i ucho pana powinienem chyba o tym wiedzieć?

Właściciel posiadłości zawsze musiał się zgodzić na wesele i tu landlord oczywiście chętnie słuchał podszeptów Trevalliona.

Kathleen nie zaszczyciła zarządcy odpowiedzią.

– No, myślę, że będę musiał zamienić słówko z krawcem O'Donnellem – dodał Trevallion, zanim pozwolił Kathleen odejść. Dziewczyna dostrzegła kątem oka, że oblizywał wargi, wpatrując się w nią intensywnie.

Czuła gwałtowne bicie serca. Czy ten typ rzeczywiście miał zamiar starać się o jej rękę? Ojciec zawsze powtarzał, że Kathleen dzięki swej urodzie powinna zapewnić sobie szczęście, robiąc „dobrą partię” i czekając grzecznie i w cnocie na odpowiedniego mężczyznę. Czy ojciec miał na myśli Trevalliona? Zanim miałyby wyjść za tego obrzydliwca, to niech kto inny zabierze jej wianek!

Zatrzymała się na skraju drogi i z opuszczoną głową poczekała, aż minie ją wóz wiozący plony i Trevalliona oraz idący za nim mężczyźni. Wiedziała, że Michael wkrótce nieznacznie odłączy się od wszystkich, i ruszyła dalej, aż znalazła się za osłoną kamiennego muru, który otaczał pozostałe po zniwach ściernisko. Dziewczyna zaczęła ukradkiem wypatrywać pozostawionych na polach kłosów.

Zgodnie z przypuszczeniami niczego nie znalazła – Trevallion był dokładny. Poczowała rosnącą wściekłość na tego człowieka, zwłaszcza kiedy zobaczyła zbliżające się od strony wsi głodne dzieci. Wszyscy próbowali znaleźć jakieś kłosa pszenicy – i wszyscy musieli odejść z kwitkiem.

Ale w tym momencie dziewczyna poczuła też radość – dostrzegła zbliżającego się Michaela, który chodził po polu pozornie bez celu. Chłopak oczywiście widział kobiety i dzieci i dlatego zachowywał się tak, jak gdyby w ogóle nie dostrzegał Kathleen. Skinął nieznacznie głową w jej stronę, dając znak, aby szła za nim. Dziewczyna ruszyła w tym kierunku, zachowując się tak, jak gdyby ciągle szukała kłosów. Doskonale wiedziała, dokąd prowadził ją Michael.

Ich kryjówką była mała zatoka ukryta nad rzeką, poniżej osiedla znajdującego się przy polach. Przy brzegu rosły tu wysokie trzciny, a wprost nad wodą zwieszały się gałęzie potężnej wierzby. Zasłaniały one małą plażę przed ciekawskimi spojrzeniami od strony rzeki, a trzcina chroniła zakochanych od strony wsi. Kathleen wiedziała, że potajemne spotkania z młodym mężczyzną to grzech – zwłaszcza że był to mężczyzna, którego nie aprobował James O'Donnell, mimo że ten używał tak pięknych słów. Ale coś w niej samej dążyło do tego, aby to jednak robić. Coś kazało jej pragnąć odrobiny szczęścia po dniach ciężkiej pracy we dworze i wieczornej, ostatnio coraz bardziej beznadziejnej i daremnej harówce w domu ojca...

Michael siedział okrakiem na nisko zwieszanej gałęzi wierzby. Kiedy Kathleen dotarła na plażę, oczy mu rozbłyły na jej widok. Ześlizgnął się z gałęzi w kilku zręcznych ruchach.

– Oto najśłodsza dziewczyna Irlandii i należy tylko do mnie! – zawołał miękким głosem. – Wszyscy chwalą irlandzkie róże, ale tylko ten, kto widział lilie, wie, co to znaczy piękno!

Kathleen się zaczerwieniła i opuściła wzrok, ale Michael podszedł do niej, ujął jej rękę i podniósł do ust. Przyciągnął dziewczynę do siebie, po czym tkliwie i ostrożnie pocałował ją w czoło, czekając, aż ona sama podniesie głowę i poda mu swoje usta.

Łagodnie objął ją ramionami.

– Ostrożnie! – wyszeptała przestraszona dziewczyna. – Wiesz... coś ci przyniosłam i nie chciałabym, żebyś to pogniótł!

Zanim Michael mógł przycisnąć ją do siebie mocniej, wygrzebała z kieszeni sukienki herbaciane ciasteczka i słoik po konfiturach. Młody mężczyzna, wygłodniały po całym dniu ciężkiej pracy od świtu do nocy, popatrzył pożądliwie na ciastka. Ale Michael Drury nie był łakomczuchem. Ostrożnie umieścił łakocie na liściu, po czym położył go na rozwidleniu gałęzi. A potem znów zaczął delikatnie i powoli całować Kathleen.

Kathleen nigdy nie bała się Michaela. Nie rozumiała też szeptów innych dziewcząt, które były już zaręczone i obawiały się nocy poślubnej. Mocno wierzyła w to, że Michael nigdy nie sprawiłby jej bólu. Także teraz przez chwilę zapomniała o całym świecie w jego objęciach, czując zapach jego skóry i potu po całym dniu pracy. Ale Michael łagodnie odsunął ją od siebie i popatrzył na skradzione przez Kathleen ciastka *scones*.

– To dobrze pachnie! – westchnął.

Dziewczyna się uśmiechnęła i nagle nie była już taka głodna jak przedtem.

– Ty dobrze pachniesz! – wyszeptała.

Chłopak ze śmiechem potrząsnął głową.

– Mocno się mylisz, kochana! Ja śmierdzę! I myślę, że powinienem się umyć, zanim zaprosisz takiego dżentelmena na herbatę i ciastka...

I zanim Kathleen zdążyła zaprotestować, Michael zerwał z siebie brudną koszulę. Dziewczyna próbowała patrzeć w bok, kiedy zaczął ściągać z siebie sprane spodnie, ale nie mogła oderwać wzroku od jego muskularnych nóg, płaskiego brzucha i silnych ramion. Michael był szczupły, ale nie wychudzony, jak wielu innych dzierżawców. Wszystko wskazywało na to, że muzykowanie w Wicklow jest opłacalnym zajęciem. Kathleen chętnie towarzyszyłaby mu w czasie wizyty w którymś z pubów.

Roześmiała się i przysiadła na plaży, podczas kiedy Michael, prychnąwszy głośno, wskoczył do wody. Zanurkował, aby umyć także włosy i twarz, po czym popłynął aż na środek rzeki.

– Czemu też nie wejdiesz do wody? Jest tak cudownie chłodna! – zawołał do dziewczyny.

Ale ona potrząsnęła głową. Było nie do pomyślenia, że ktoś mógłby zobaczyć, jak Kathleen O'Donnell pływa na wpół rozebrana w rzece – i to nie na którymś ze znanych i respektowanych kąpielisk, lecz tu, z dala od wsi, przy pełni księżyca i w dodatku z mężczyzną!

– Czy wyjdiesz, zanim sama zjem *scones*? – kusił.

Michael posłuchał natychmiast. Potrząsnął głową, wyciskając wodę z gęstych,

ciemnych włosów, i usiadł na plaży obok dziewczyny. Kathleen podała mu ciastko i słoik po konfiturach, w którym właśnie zanurzyła palec, aby wydobyć z niego ostatnie resztki. Potarła palcem ciastko i odgryzła małe kawałek. Było to coś najlepszego, co kiedykolwiek w życiu dane jej było jeść! Konfitury z pomarańczy były słodkie, ale miały też lekko gorzki posmak. Herbaciane ciastko wprost rozpływało się w ustach...

Kathleen spojrzała tkliwie na Michaela, który jadł swój kawałek z nie mniejszym skupieniem.

– Darowane czy kradzione? – spytał chłopak.

Dziewczyna znów się zaczerwieniła.

– One... one, że tak powiem... nie zostały zjedzone – wymamrotała.

Michael pocałował jej wargi, ciągle jeszcze czując na swoich smak pomarańczowych konfitur.

– A więc zwędzone! – droczył się z dziewczyną. – Ale właśnie dlatego są jeszcze słodsze! Tylko co na to powie ojciec O'Brien?

– Może wcale się z tego nie wypowiadam! – zastanawiała się głośno Kathleen. Wiedziała, że Michael niezbyt serio traktował ten obowiązek.

I teraz chłopak także roześmiał się w odpowiedzi i wsunął do ust ostatni kawałek ciastka. A potem położył się na piasku i przyciągnął do siebie dziewczynę. Zaczął delikatnie pieścić jej dekollet. Palce kleiły mu się od konfitury i kiedy ona zaczęła się na to skarżyć, podniósł je do ust i zaczął oblizywać.

– Michael, nie! – broniła się Kathleen, kiedy Michael zaczął rozpinać guziki jej sukienki. – To nie uchodzi!

Ale Michael nie dał się tak łatwo zniechęcić.

– Kathleen, kochanie! I tak, i tak musisz się wypowiadać. I zrobisz to, znam cię dobrze. Ojciec O'Brien będzie w każdym razie zaszokowany. To zrobimy coś więcej, żeby rzeczywiście miał co przebaczać.

Dziewczyna zeszywniała i wyprostowała się natychmiast.

– To Bóg przebacza, a nie ksiądz! I Bóg przebacza tylko wtedy, kiedy się naprawdę żałuje. Ale tutaj...

Wszystko jedno, nie będzie żałowała niczego, co zrobiłaby z Michaeliem!

Chłopak głaskał ją delikatnie po włosach i twarzy i Kathleen szybko znów położyła się na piasku.

– Kathleen, ja chciałbym, abyś została moją żoną! Chcę ci dać moje nazwisko, nawet jeśli mam obawy, że ono nie jest zbyt wiele warte! Daj mi trochę czasu, Kathleen. Widzisz, ja oszczędzam...

– Oszczędzasz? – przerwała mu Kathleen. – A z czego ty, na miłość boską, możesz oszczędzić, Michaelu Drury? Nie opowiadaj mi tylko o muzykowaniu w pubach, proszę!

Michael wzruszył ramionami.

– Nie dowiesz się tego, Mary Kathleen, a przynajmniej nie zechce o tym wiedzieć Mary, bo Kathleen z pewnością będzie ciekawa! – Żartował z powodu jej obu imion, od kiedy ona go wybrała. – Ale to, co robię, to nic... nic, czego można by się wstydzić.

– To whiskey, prawda? – spytała Kathleen, już naprawdę wściekła. – I rzeczywiście nie wstydzisz się tego, że fermentujesz pszenicę, jęczmień i co tam jeszcze, aby pędzić z tego whiskey? W tych czasach, kiedy dzieci umierają z głodu?

Chłopak przyciągnął ją do siebie uspokajającym gestem.

– Kochanie, ja jej nie pędzę! – próbował uspokoić dziewczynę. – Jeśli ją dostaję, to coś muszę z nią zrobić, uwierz mi. Jeśli ja jej nie sprzedam, zrobi to kto inny. Stary O'Rearke byłby to chętnie robił, w końcu ma osła i mógłby wozić beczki do Wicklow. Ale oni mu nie ufają, takiemu staremu pijakowi...

– Kto to są „oni”? – spytała Kathleen.

Michael wzruszył ramionami.

– Ludzie z gór. Kochanie, naprawdę będzie lepiej, jeśli nie będziesz o wszystkim wiedziała. Ale zawsze wpada mi trochę pensów i większość z tego dostaje moja matka – nasze ziemniaki zgniły prawie wszystkie i bez pieniędzy za whiskey moje rodzeństwo umarłoby z głodu.

– Twoja matka przyjmuje pieniądze, na których ciąży grzech? – dziwiła się Kathleen.

Michael uniósł brwi do góry.

– Tak, zanim zanieś swoje dzieci do grobu...

Kathleen zaczynała powoli rozumieć, dlaczego Mrs Drury spędza tyle czasu w kościele.

– Ale trochę pieniędzy zostaje także dla mnie, Kathleen! – W głosie Michaela pojawiły się jakaś zawziętość i upór. – I dla ciebie, Kathleen! Kiedy będzie ich dość, uciekniemy stąd oboje, do Ameryki! Mówi ci to coś? To ziemia obiecana. Słońce świeci tam przez cały rok, a pracy jest dość dla wszystkich! Tam będziemy bogaci!

– A statki, które wiozą tam ludzi, zwane są *coffin ships*, bo przypominają pływające trumny i na długo przed tym, zanim zawiną do... do Nowego Jorku, czy jak to się nazywa... Nie wiem, czy tego chcę, Michael!

Kathleen przytuliła się do chłopaka. Zawsze, kiedy z nim była, odczuwała osobliwą rozterkę i proste myślenie przychodziło jej z dziwnym trudem w jego ramionach. Ale Ameryki obawiała się naprawdę. Nie chciała wyjeżdżać z Irlandii. A z drugiej strony niczego nie pragnęła bardziej jak tego, aby być z Michaeliem. Chciała czuć dotyk jego ust i rąk na swoim ciele, chciała mu wreszcie pozwolić rozpiąć sukienkę jeszcze bardziej. Kathleen pragnęła o wiele więcej pieśczoć, niż kiedykolwiek mógłby przebaczyć ojciec O'Brien! Tyle zakazanej miłości, że Bóg z pewnością ją ukarze. Było coś o wiele gorszego niż odmówienie pięćdziesięciu *Zdrowaś Mario*

w twardej kościelnej ławce...

Kathleen się wyprostowała. Już i tak zbyt wiele razy ulegała pokusie. Nie posunie się tej nocy tak daleko.

– Muszę iść do domu... – powiedziała cicho, mając nadzieję, że nie słyhać w jej głosie żalu.

Jednak Michael skinął głową, pomógł jej wstać, wygładzić sukienkę i wytrząsnąć liście z włosów. A potem towarzyszył Kathleen aż do wsi – pełen obaw, kryjąc się w cieniu kamiennych murków. Ludzie na polach nie powinni byli ich zobaczyć – ani złodzieje, który nieśli swój łup do domu, ani też kobiety i dzieci szukające wysypanych ziaren. A już zwłaszcza nie powinni byli wpaść w oko Ralphowi Trevallionowi, który jeździł konno po polach ich lordowskich mości, aby przyłapać nawet najdrobniejszego złodziejaska.

Oświetlone jasnym światłem księżyca pola lorda Wetherby ustąpiły miejsca nędznym poletkom dzierżawców. Już nie tak złotym i rozległym. Zaraza ziemniaczana dotknęła nie tylko bulwy – także liście i łodygi pokryte były rdzawo-czarnymi plamami. Obumierające rośliny rzucały w świetle księżyca niesamowite cienie. Kathleen ujęła rękę Michaela. Wydawało jej się, że czuje czającą się dookoła śmierć.

W końcu rozstali się na rozwidleniu dróg, które prowadziły do ich domostw: małej chałupy O'Donnellów i drobnej, na wpół rozwalonej chaty Drurych. Było późno. Wszyscy członkowie rodzin leżeli już na swoich legowiskach na podłodze – oboje młodzi ludzie o tym wiedzieli. Łóżek nie starczało dla wszystkich. Kathleen miała pięćoro, a Michael siedmioro rodzeństwa, i nawet gdyby rodziny mogły sobie pozwolić na jakieś łóżka, to i tak zabrakłoby dla nich miejsca. W chałupie O'Donnellów palił się ogień w kuchni, może więc zostało trochę jedzenia dla Kathleen. U Drurych było już całkiem ciemno.

Ale dziś był piątek. Następnego ranka Michael miał iść ze swoimi skrzypcami i osłem O'Rearke'a do Wicklów. A gdzieś w drodze juki siodła miały się zapęłnić butelkami whiskey – jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki...

## ROZDZIAŁ 2

– Nie, ojczy, ja nie chcę! Nie lubię go! Nie możesz mi tego robić!

Kathleen mówiła do ojca, potrząsając gwałtownie głową, a w jej głosie brzmiała rozpacz. Czasami marzyła o tym, aby nie być tak piękną. W ramionach Michaela była z tego dumna, ale poza tym miała z tego powodu same kłopoty.

– Kathie, nie wygłupiaj się, nie musisz przecież zaraz za niego wychodzić! – ofuknął córkę James O'Donnell.

Było to bardzo nie po jego myśli, że najstarsza córka kłóciła się z nim tutaj, przed domem i w obecności niemal całego młodszego rodzeństwa. Już w czasie wizyty gościa wystraszone dzieci zebrały się przy ogniu, przy którym ich matka piekła kilka nielicznych nadających się do zjedzenia ziemniaków.

Jeśli tylko było to możliwe, dzierżawcy gotowali przed domami, aby izby nie były tak zadymione. Zwłaszcza w czasie wiatru i deszczu dym nie uchodził oknami. Ale teraz na patelni pachniała słonina, którą przyniósł ze sobą gość. Dzieci nie rozumiały, co tak bardzo zirytowało Kathleen.

– Mr Trevallion uprzejmie zapytał, czy może po kościele odprowadzić cię do domu – dodała matka. – Dlaczego mielibyśmy mu tego zabronić?

– Bo takiego brutala w zasadzie w ogóle nie powinno się wpuszczać do kościoła! – odparła Kathleen z wściekłością. – Dziecko O'Learych wczoraj zmarło, bo jego matka nie miała już w piersi mleka. A dzięki temu – dziewczyna wskazała resztę skóry słoniny i woreczek mąki, na które jej matka patrzyła niemal z nabożną czcią – może dałoby się je uratować. Ale na nieszczęście Mr Trevallion nie zechciał towarzyszyć w drodze na mszę Sarah O'Leary, tylko mnie!

– Na nasze szczęście, dziecko – zauważył ojciec. – I nie możesz się tak złościć tylko dlatego, że nie lubisz tego człowieka. Przynajmniej dzięki temu nie pozwolisz mu na nic, co byłoby niestosowne...

– Przynajmniej do chwili, aż nie przyniesie w prezencie szynki, prawda? – spytała Kathleen bezczelnie.

Policzek wymierzony jej przez ojca był tak nagły i zaskakujący, że przerażona dziewczyna zatoczyła się gwałtownie.

– Grzeszysz, Mary Kathleen! – powiedziała matka surowo, ale nie zabrzmiało to przekonująco. Najwyraźniej grzech ulegał relatywizacji w obliczu słoniny. – Ale nie masz racji, jeśli przy okazji miłości nie myślisz choć trochę o spiżarni. Namiętność z czasem przemija, Kathie. Tak naprawdę i stale kochasz tylko swoje dzieci, bez względu na to, od kogo pochodzą. I będziesz wdzięczna mężowi, jeżeli on będzie



w stanie je wyżywić. A z Mr Trevallionem będziesz bezpieczna, bez względu na to, czy my go lubimy, czy nie.

– Ale ja nie chcę się sprzedać! – Kathleen gniewnie odrzuciła do tyłu swoje jasne, mocno kręcone włosy i na wszelki wypadek się cofnęła, unikając kolejnego policzka. – Jeśli będę miała dzieci, to tylko z mężczyzną, którego pokocham! Bo inaczej... pójdę do klasztoru!

I choć już na sam zapach pieczonych ziemniaków ze słoniną Kathie poczuła, jak do ust cieknie jej ślina, to odwróciła się na pięcie i wybiegła z domu. Nie, nie chciała ani kęsa z jedzenia, za pomocą którego Trevallion kupił sobie prawo towarzyszenia jej w drodze z kościoła! Ktoś, kogo naprawdę pragnęła, to był Michael! Musiała mu o tym powiedzieć!

W gniewie i zapalczywości zapomniała o wszystkim i oddała się marzeniu – o tym, że jej chłopak natychmiast pobiegnie do domu zarządcy i wyzwie go na pojedynek. Tak jak dawniej w Irlandii bywało w starych baśniach i opowieściach o rycerzach i bohaterach, o czym czasem opowiadał ojciec O'Brien, kiedy nieco się zapomniał i nadużył whiskey, zostawionej na progu jego plebanii przez przewrotne skrzaty...

Mary Kathleen aż się uśmiechnęła na myśl o starym duchownym, który z pewnością nie zaaprobowałby zalotów Trevalliona do niej. Ale z drugiej strony ojciec O'Brien nie zaaprobowałby też towarzysstwa Michaela. „Może powinnam mu powiedzieć o pomysle z klasztorem i przekonać go, że mam powołanie – pomyślała dziewczyna. – Możliwe, że wówczas zacząłby mnie chronić przed kolejnymi zalotnikami albo zabrałby mnie już w następnym tygodniu do opactwa w Wicklow”.

Kathleen wędrowała bez żadnego celu przez pola ciągnące się wzdłuż rzeki. Zboże rosnące na polach nie było jeszcze zżęte i groziło jej niebezpieczeństwo, że wpadnie wprost w ramiona patrolującego je Trevalliona. Z drugiej strony Michael i jego przyjaciele, kryjąc się za osłoną kamiennych murów i rosnącej nad wodą wierzby, byli z pewnością na potajemnych żniwach. I rzeczywiście, w tym momencie Kathleen usłyszała śpiew skowronka – ale skowronek najwyraźniej przechodził mutację!

Dziewczyna uniosła brwi do góry i rozejrzała się – dostrzegła Jonny'ego, młodszego brata Michaela, siedzącego w koronie dębu. Chłopak uśmiechnął się do niej jak konspirator.

– Ja jestem na straży, Kathleen! – oświadczył z dumą.

Dziewczyna przewróciła wymownie oczami.

– Rzeczywiście w tych liściach ledwo można cię rozpoznać, zwłaszcza że masz na sobie czerwoną koszulę! – stwierdziła ironicznie. – A to ćwierkanie... no doprawdy, łudząco podobne. Jonny Drury, zejź na dół! Trevallion każe cię wychłostać, jak cię złapie.

Ale Jonny nie dał sobie zepsuć humoru. Z przesadną powagą na twarzy i grzecznie spuszczonej oczyma ukłonił się przed Kathleen szerokim gestem, przy czym omal

nie spadł z drzewa.

– Mr Trevallion, nikt nie zabrania chłopakowi siedzenia na drzewie w niedzielne popołudnie i wydawania ptasich odgłosów – zaczął Jonny nienaturalnie wysokim głosem. – Niechże pan spojrzy, Mr Trevallion, mam tutaj procę. Przywołuję samiczkę, a kiedy ona się pojawi, to wystarczy jeden kamień i mamy mięso na obiad.

Kathleen musiała się roześmiać.

– Tylko mu tego nie mów! Z całą pewnością uzna to za naruszenie zakazu polowania i będzie chciał cię powiesić. Gdzie jest Michael, Jonny? Na dole nad rzeką? Z chłopakami?

– Nie sądzę – odparł chłopak. – Chłopcy poszli już do wsi. Z kilkoma znalezionymi kłosami... – Jonny mrugnął porozumiewawczo. – Brian ściął cały snopek! Z tego będzie dobra mąka, Kathleen!

Brian także należał do rodziny Drurych, ale Kathleen nie wierzyła w historię o snopku pszenicy. Chłopcy nie odważyliby się ściąć w biały dzień tyle zboża, nawet jeśli mieli tak spostrzegawczego strażnika jak Jonny. Niedzielne rabunki na polach nie ratowały rodzin przed głodowaniem. W grę wchodziło co innego: mały chłopak się cieszył, jeśli mógł choć przez chwilę wodzić za nos Trevalliona.

– Ale Michael niczego nie zżął – zdradził Jonny. – Był za to bardzo zły! Tłukł tylko w ziarno, jak gdyby chciał całe pole zrząbać... A może jest zły na ciebie, Kathie?

Kathleen potrząsnęła głową.

– Nie pokłóciłam się dziś o nic z twoim bratem – odparła.

Jonny uśmiechnął się szeroko.

– On jest... twoim dobrym przyjacielem, prawda? – Zachichotał porozumiewawczo, huśtając się na swojej gałęzi. – Jeśli mi też przyniesiesz takie herbaciane ciasteczka, jak ostatnio Michaelowi, to zdradzę ci, gdzie on jest. I będę dalej tutaj siedział i was pilnował. Może tak być?

– A skąd ty wiesz... – Kathleen zaczerwieniła się nagle.

Czyżby chłopiec podglądał ją i Michaela w czasie ich spotkania?

– Strażnik wie o wszystkim! – oświadczył Jonny z powagą. – Wiedziałem nawet, że przyjdiesz! A teraz wiem, gdzie Michael na ciebie czeka. No, jedno ciasteczko z dworskiej kuchni... To ci powiem!

Kathleen potrząsnęła głową.

– Nie musisz mi tego mówić. Sama wiem, gdzie on jest.

Poczuła nagle gwałtowne pragnienie, aby znaleźć się w ramionach Michaela. I chyba nie będzie musiała opowiadać mu o tym, co zaszło między jej rodzicami a Ralphem Trevallionem. Na pewno podsłuchiwał i obserwował spotkanie albo o nim słyszał. Jeśli zarządca zniżał się do tego, aby w niedzielę odwiedzić rodzinę któregoś z dzierżawców i przynieść jej kawałek słoniny w podarunku, to taka wieść rozchodziła się po wsi błyskawicznie. Ale Michael przecież nie sądził, że... Nie mógł

przecież uwierzyć w to, że ona zgodziła się na takie spotkanie!

Kathleen szybko podjęła decyzję.

– Nie mam ciasteczka z dworskiej kuchni, Jonny – oświadczyła. – Ale mam za to jabłko z ogrodu lorda. Jeśli tu zostaniesz i poważnie podejdiesz do swoich obowiązków strażnika... Spotkam się z Michaeliem nad rzeką, i jeśli usłyszysz, że ktoś nadchodzi, to znów zacznij udawać skowronka. A może... potrafisz udawać ptaka, który śpiewa tylko za dnia?

I kiedy Jonny zapewnił ją, że potrafi udawać do złudzenia kukułkę, pobiegła w dół nad rzekę. Było ciepło, słoneczne popołudnie i Vartry River snuła się leniwie jak pasmo płynnego srebra przez soczyście zielone irlandzkie łąki. Dziewczyna w zamyśleniu znalazła wąską ścieżkę biegnącą wśród trzcin. Nikt nie mógł tu zejść niepostrzeżenie. Nadchodzącą Kathleen także szybko zauważono.

– Kathie? – usłyszała głos Michaela, zanim dotarła do niewielkiej zatoki.

– Michael!

Kathleen chciała się rzucić w ramiona przyjaciela, ale wyczuła wyraźny chłód. Odetchnęła głęboko. Musiała mu wszystko powiedzieć natychmiast, teraz, aby nie rozgniewał się bardziej.

– Michael, ja nie mam z tym nic wspólnego! Nie pójdę z Trevallionem ani do kościoła, ani potem! Nigdy! Ja... Ja chcę tylko ciebie, Michael!

Chłopak patrzył na nią uważnie. Sprawiał wrażenie urażonego, wręcz wściekłego. Na jego twarzy nie było tej radości, która zwykle pojawiała się na jej widok, nie usłyszała też żadnych słów. Jednak pocałował Kathleen – twardo i gwałtownie, jakby się czegoś domagając. Dziewczyna najpierw się przeraziła, ale potem oddała pocałunek z taką samą namiętnością. I rzeczywiście coś się zmieniło w spojrzeniu chłopaka, kiedy wypuścił Kathleen z ramion. Dostrzegła w jego oczach butę i radość wyzwania – i pragnienie walki.

Przeraziła się nagle. Czyżby rzeczywiście Michael chciał wyzwąć Trevalliona na pojedynek?

Ale chłopak objął ją ciasno, podniósł i położył na legowisku z trzcin i trawy, osłoniętym przez nisko wiszące gałęzie wierzby. Przez zielone liście docierało tu tylko niewiele słonecznego światła. Kathleen przyszły na myśl witraże w kościelnych oknach, rozświetlone w pogodne dni promieniami słońca. Myślała o swoim weselu.

– Chcę być twoją żoną, Michael! – zapewniła go.

Teraz, teraz musiał ją pogłaskać, przytulić i pocałować...

– Udowodnij to! – powiedział Michael głosem, który nagle wydał jej się obcy i twardy.

Kathleen patrzyła na niego bezradnie. Ale tym razem się nie broniła, kiedy zaczął rozpinać jej sukienkę.

Nie było żadnej możliwości, aby odwieść Ralpha Trevalliona od zamiaru towarzyszenia Kathleen po niedzielnej mszy. Dziewczyna się starała, aby zarządca nie próbował iść okreśną drogą i by cały czas towarzyszyli im rodzice i rodzeństwo, ale to nie wydawało się przeszkadzać zarządcy. Szedł grzecznie obok niej, powiedział kilka uprzejmych uwag, plotkował z jej matką i ojcem. James O'Donnell czuł, że jest obiektem ciekawskich spojrzeń wszystkich. Chłopi nie aprobowali tego, że krawiec swobodnie rozmawia z zarządcą i w dodatku – wszystko na to wskazywało – planuje jakieś rodzinne związki z Trevallionem.

– Nie możesz iść z tym mężczyzną przez wieś, tak jak inne dziewczyny chodzą ze swoimi zalotnikami? – zapytał O'Donnell ostro, kiedy już po raz trzeci przedefilowali wszyscy razem przez wieś w towarzystwie zarządcy.

– On nie jest moim zalotnikiem! – odparła Kathleen zirytowana. – A jeśli ty nie chcesz się pokazywać w jego towarzystwie, to ja tym bardziej nie!

Dziewczyna nie zwracała uwagi także na prezenty przynoszone przez Trevalliona – za to jej matka ceniła zarządcę właśnie z tego powodu. O'Donnellowie mieli teraz dość mąki, aby upiec chleb, a w każdą niedzielę nawet kawałek mięsa.

Michael Drury patrzył na to z bezradną wściekłością, nie mógł jednak nic zrobić. Musiał przyglądać się bezsilnie, jak Trevallion podaje ramię Kathleen, jak stoi tuż obok niej, kiedy wielebny O'Brien żegna się z całą gminą po mszy, patrzył, jak zarządca dumnie prowadzi dziewczynę przez tłum otaczający kościół i jak ludzie niechętnie ustępują mu miejsca, robiąc przejście. Ale za to popołudniami i w czasie długich wieczorów późnego lata, już po pracy, to on, Michael, mógł być tym, który starał się o Kathie. Czekał na dziewczynę i nasłuchiwał głosu kukułki, którym Jonny oznajmiał, że ona już nadchodzi. Kathleen spotykała się z nim, kiedy tylko mogła, czasami przynosiła też chleb albo owoce. Michael przyjmował takie prezenty chętnie – o ile zostały zwędzone we dworze. Nigdy jednak nie jadł niczego, co pochodziło od Trevalliona. Oświadczył Kathleen, że żaden kęs nie przeszedłby mu przez gardło.

Kathleen w odpowiedzi wzruszyła ramionami i jadła chleb sama. Ostatnio była stale głodna – ale i spragniona jego pieśczości i czułości. Wiedziała, że grzeszyła z Michaelem, i wstydziła się tego, ale dopiero potem, kiedy już cichła burza krwi. Ale kiedy kochała się z Michaelem i kiedy myślała o nim podczas pracy i w czasie bezsennych nocy, nie czuła się winna, lecz wręcz błogosławiona. Coś tak cudownego i dającego poczucie całkowitego szczęścia nie mogło przecież być grzechem – zwłaszcza jeśli wcześniej zezwolił na to Bóg, bo tak przecież było, jeśli wcześniej szło się do kościoła i składało wzajemną przysięgę. A to Michael i Kathleen gotowi byli zrobić w każdej chwili.

Któregoś dnia dziewczyna ukradła więc we dworze świecę i oboje uroczyście wypowiedzieli słowa przysięgi. Choć oczywiście wiedzieli, że w świetle prawa nie miało to żadnego znaczenia. Oboje byli jeszcze na wpół dziećmi, które bawiły się

w małżeństwo. Aby ono stało się ważne, potrzebne było zezwolenie rodziców i lorda oraz błogosławieństwo ojca O'Briena. Było jasne, że tego nie doczekają się nigdy.

– Pobierzemy się właśnie w Ameryce! – pocieszał Michael Kathleen, kiedy ona po raz kolejny powiedziała mu, jak bardzo się obawia takiej podróży. – Albo nawet jeszcze przed wyjazdem, w Kingstown czy też Galway.

Kathleen przestała w końcu protestować, kiedy on roił w zapale o cudownym życiu za oceanem. Zdecydowała się kiedyś, aby z nim być, chciała z nim żyć, obojętnie gdzie. A Ameryka to z pewnością coś lepszego niż klasztor – w Irlandii była to jedyna możliwość, aby uniknąć małżeństwa.

Lato powoli zbliżało się ku końcowi, robiło się zimno i coraz częściej padały deszcze. Nawet pod najgrubszymi kocami, które skądś zdobył Michael, było nieprzyjemnie i wilgotno w ich ukryciu nad rzeką. Ale coraz krótsze robiły się także spacery po kościele. Wszyscy zaszywali się coraz chętniej w chałupach po wsiach – a może ludziom po prostu brakowało sił, aby robić cokolwiek innego. Od wielu tygodni coraz trudniej było zdobyć cokolwiek do jedzenia i nawet młodzież traciła ochotę do wzajemnych zalotów i kokieterii.

Głód trzymał dzierżawców lorda Wetherby w żelaznym uścisku, choć sam lord niewiele miał o tym pojęcia. Wraz z lady przebywał na dworze w Anglii, pił herbatę przed kominkiem i cieszył się z obfitych żniw w swoich irlandzkich posiadłościach. I nie przychodziło mu do głowy, że jego dzierżawcom i dniówkowym robotnikom nie dane było zaznać choćby odrobiny takiego błogosławieństwa. Zebrane ziarno było dobre, dlaczego więc Wetherby miał się martwić z powodu ziemniaków?

Zwłaszcza że te nieliczne, które nie zgniły, dawno już były zjedzone. Nie było nawet choćby kilku sadzeniaków na przyszły rok – te trzeba będzie kupić i jeden Bóg wiedział, skąd wziąć na to pieniądze! Aby jakoś przetrwać zimę, dzieci zbierały w lesie żołądzie, które potem ich rodzice rozcierali na proszek. Szczęśliwcy, tacy jak rodzina Kathleen, dodawali uzyskany proszek do mąki żytniej albo pszenicznej, inni piekli chleb tylko z żołądziej. Najbiedniejsi, którym nie starczało już sił, aby iść do lasu po żołądzie albo choćby wykopywać korzenie, gotowali zupę z nędznej trawy rosnącej na skraju drogi. Bardzo poszukiwane były ostatnie wysuszone pokrzywy, które ludzie niemal wyrwali sobie z rąk.

Od czasu do czasu ojciec O'Brien rozdierał w kościele skąpe dary. Oznaczało to, że w Anglii prowadzona była ich zbiórka, a część pochodziła nawet od dawnych rodaków mieszkających teraz w dalekiej Ameryce. Darów tych nigdy jednak nie było dość, aby choć przez kilka dni być sytym. Kiedy więc choć raz udało się napęlić brzuch, to głód był potem tym bardziej dotkliwy.

Rodzina Drurych ledwo wiązała koniec z końcem. Michael rzępolił na skrzypcach w pubach Wicklow, ale także w miastach zaczynało brakować pieniędzy na rozrywki. Ceny żywności rosły z dnia na dzień, a ludzie umierali z głodu równie szybko. Nawet

bimbrownikom pędzącym whiskey brakowało koniecznych surowców. Michael musiałby teraz sprzedawać o wiele więcej whiskey niż to, co otrzymywał.

Tylko jedna Mary Kathleen była tą, na której głód niemal nie odcisnął swego piętna. I kiedy ludzie robili się coraz bardziej wychudzeni, ona wprost kwitła, wydawało się, że wręcz przybrała na wadze. I to nie obfite prezenty Trevalliona były tego przyczyną. Jeśli lorda Wetherby nie było we dworze, stara Grainné gotowała posiłki dla zarządcy, a jemu sprawiałoby przyjemność, gdyby mógł karmić Kathleen tymi pasztetami i ciastkami, których nie był w stanie zjeść. Dziewczyna była jednak uparta i nie przyjmowała od niego niczego. Mrs O'Donnell traktowała prezenty Trevalliona jako rodzaj błogosławieństwa i rozdzielala je sprawiedliwie pomiędzy pozostałe rodzeństwo. Choć co prawda nie były one na tyle obfite, aby można było przytyć po ich zjedzeniu.

– To moja miłość sprawia, że stajesz się coraz piękniejsza! – stwierdził Michael, kiedy spotkali się nad rzeką którejś suchej niedzieli i poszli na spacer.

Zimowy krajobraz wokół nich był jak zakrzepły w lodzie, wierzba przypominała pannę młodą w weselnej sukni, a stopy Kathleen marzły w cienkich butach. Było o wiele za zimno, aby móc się położyć na legowisku w trzcinach pod gałęziami. Trzeba było się ostro ruszać, aby w ogóle wytrzymać na dworze. Michael i Kathleen szli szybko – także po to, by jak najprędzej zostawić wieś za sobą. Plotkarze w dzień taki jak ten grzali się co prawda w ciepłe swoich pieców, ale nigdy nie było wiadomo, czy skądś nie nadjedzie ojciec O'Brien, zdążający ze swą posługą do chorego lub umierającego.

I dopiero kiedy młodzi byli już daleko za wsią, Kathleen odważyła się przytulić do ramienia Michaela. Chłopak objął ją tkliwie, a jego pieszczoty sprawiły, że dziewczynie zrobiło się gorąco. Jego ręce wślizgnęły się pod jej znoszone okrycie, a potem pod cienką suknię – Michael niecierpliwie gładził jej ramiona i piersi.

– Jesteś jak kwiat, który kwitnie nawet zimą – wyszeptał. – A to dlatego, że twój ogrodnik dba o ciebie i syci się twoją urodą!

Kathleen zagryzła wargi.

– Naprawdę myślisz, że... że ja... – zaczerwieniła się – że mam teraz bardziej kobiece kształty? To znaczy, że...

– Twoje piersi wręcz rosną! – roześmiał się Michael. – Bóg świadkiem, że zawsze były piękne i pełne, ale teraz – nie czujesz, że nie mogę ich objąć dłońią?

Chłopak znów zaczął ją pieścić, a jego palce sięgały coraz głębiej.

– Wszystko w tobie jest pełne i takie ciepłe... – szeptał. – Tak chciałbym znów przytulić się do ciebie i...

Kathleen odsunęła się od niego.

– Michael – powiedziała, a w jej głosie słychać było niepokój. – Ja... ja niewiele o tym wiem, ale widuję przecież dziewczyny, które wychodzą za mąż i potem...

i potem są w stanie błogosławionym. Widzę też moją matkę, kiedy nosi w sobie dziecko. I dlatego... Michael, ja... dobrze mi jest, kiedy się kochamy, ale kiedy dziewczyna potem przybiera na wadze, mimo że nie ma nic w żołądku, to znaczy, że ma coś w brzuchu...

Kathleen nie ważyła się spojrzeć Michaelowi w oczy. A on zaskoczony wypuścił ją z ramion i odsunął od siebie.

– To znaczy, masz na myśli to, że będziesz miała dziecko? – spytał z niedowierzaniem. – Ale... ale jak... To za wcześnie, Kathleen! Nie zebrałem jeszcze dość pieniędzy, aby jechać do Ameryki!

Kathleen westchnęła głęboko.

– Ale dziecka to nie obchodzi, Michaelu Drury! I z pewnością nie przyjdzie ono na świat na statku typu *coffin ship*! Będziemy się musieli pobrać, Michael – tutaj, i to szybko...

– Ależ Kathleen! Teraz... tutaj... Gdzie mielibyśmy zamieszkać? Co powie twój ojciec? On z pewnością się na to nie zgodzi...

Chłopak był wyraźnie zaskoczony i zupełnie nie wiedział, jak się odnaleźć po usłyszeniu takiej wiadomości.

– Będzie musiał się zgodzić! – stwierdziła Kathleen gorzko. – Albo będzie musiał żyć w cieniu hańby. Oczywiście mogłabym oddać się szybko Trevallionowi i powiedzieć, że to jego dziecko. Ale nie mamy już tak wiele czasu!

– Co, ten bufon miałby wychowywać moje dziecko?! – wykrzyknął gwałtownie Michael w odpowiedzi. – Po moim trupie! Kathleen, słuchaj... Ja... Myślisz, że nie ma innej możliwości?

Kathleen spojrzała na niego wrogo.

– Nie myślisz chyba o tym, aby zabić to dziecko, Michaelu Drury?!

Chłopak ze skrucą potrząsnął głową.

– Nie, nie! Ale... może przecież być tak, że się mylisz...

Kathleen wzruszyła ramionami.

– Tak też może być, choć nie sądzę. Wmawiałam sobie, że tak jest, aż do dzisiaj, ale skoro nawet ty to zauważyłeś... I wszystko idzie szybciej niż u innych dziewcząt, Michael. Niedługo wszyscy zauważą, że...

Michael cofnął się o parę kroków i patrzył na nią zaskoczony i zdumiony. Milczał dłuższy czas, a Kathleen poczuła lęk. Milczenie było u niego czymś niezwykłym.

– Czy ty się w ogóle nie cieszysz? – spytała cicho. – Nie chcesz mieć dziecka? Myślałam... Choć oczywiście jest na to za wcześnie i to jest grzech, a wszyscy ludzie będą gadać i gadać. Ale to jest przecież... Możemy się pobrać, Michael! Nawet jeśli mojemu ojcu nie będzie się to podobać. Jeśli nie da się inaczej, to ojciec O'Brien będzie musiał zamienić z nim parę słów. A może nie chcesz się ze mną ożenić, Michael? – Ostatnie słowa Kathleen wypowiedziała zduszonym głosem.

Michael sprawiał wrażenie obudzonego ze snu. Ze skrucłą na twarzy podszedł do dziewczyny i z niezwykłą tkliwością wziął ją w ramiona.

– Na miłość boską, Kathleen, oczywiście, że chcę się z tobą ożenić! Niczego bardziej nie pragnę. I też chcę tego dziecka. Tylko że to... że to trochę za wcześnie...

Michael westchnął i wyprostował się nagle, jak gdyby podjął jakąś decyzję.

– Posłuchaj, Kathleen, daj mi dwa lub trzy tygodnie. Bądź w tym czasie spokojna, niczego się nie obawiaj, a ja... ja coś wymyślę. Zbiorę pieniądze na wyjazd do Ameryki, Kathleen, nie mam zamiaru czołgać się tutaj na kolanach przed klechami jak jakiś biedny grzesznik. I nie chcę, żeby wszyscy strzępili języki z twojego powodu. A przynajmniej nie teraz. Później mogą gadać, kiedy przyślę im pieniądze z Ameryki albo kiedy ich odwiedzę, a ty przyjedziesz w jedwabnej sukni i zamszowym kapeluszu! – Roześmiał się. – Tak, to by mi się podobało! Przejedziemy się dorożką zaprzęzoną w dwa konie przez tę nędzną dziurę zabitą dechami i będziemy się śmiać z Trevalliona albo kupimy całe zboże po żniwach od jego cholernego lorda i rozdzielimy je między ludzi!

Kathleen śmiała się razem z nim.

– To by ci się dopiero podobało, Michaelu Drury! Ależ z ciebie chwalipięta! Bo mnie wystarczy, jeśli stary O'Rearke zawiezie nas do kościoła swoim wózkiem zaprzęzonym w osiołka, a ja wyjdę po ślubie z kościoła już jako Mrs Drury!

Michael ją pocałował.

– Nie mogę ci obiecać, że to będzie jakiś specjalny kościół i specjalny osioł. Ale znajdziemy taki kościół, gdzie będziemy mogli się pobrać z godnością i dumą!

Chłopak znów się wyprostował i niemal wydawał się rosnąć w oczach Kathleen.

– Ja, Michael Drury, będę ojcem! Co za wspaniałe uczucie! I wiem już, że to będzie syn! Śliczny chłopczyk z moimi włosami i twoimi oczami... – Oczy Michaela były teraz pełne radości i dumy, tak jak to sobie wcześniej wyobrażała Kathleen, kiedy była już pewna, że jest w ciąży.

– A jeśli to będzie dziewczynka? – spytała prowokująco, choć żartobliwie. – Nie będziesz jej lubił, Michaelu Drury?

Chłopak ze śmiechem okręcił ją w koło jak w tańcu.

– Jeśli to będzie dziewczynka, to musimy być prędzej bogaci! Aby zbudować wieżę, w której ją zamurujemy, jak księżniczkę. Bo twoja córka będzie tak piękna, że każde jej spojrzenie będzie paraliżować ludzi i sprawiać, że wszyscy będą chcieli być jej niewolnikami!

Wędrowali przez pola nad rzeką, trzymając się za ręce, i marzyli o nowym życiu. Kathleen nawet nie próbowała się domyślać, skąd Michael weźmie pieniądze na ich podróż do Ameryki i na wesele. Wiedziała tylko, że ufa mu wprost bezgranicznie. Musiała mu ufać!



## ROZDZIAŁ 3

W połowie grudnia, kiedy woda na brzegach Vartry River zamarzła, a głód w Irlandii był najbardziej dotkliwy, z szopy Trevalliona zniknęły trzy worki żyta i jęczmienia. Zboże przeznaczone było dla trzech koni rasy hunter. Stanowiły one własność lorda i nie można było ich wyżywić jedynie sianem, jak chłopskich mułów i osłów.

Ralph Trevallion nie od razu odkrył kradzież – dopiero kiedy pusty był worek, z którego karmił zwierzęta. Wtedy właśnie poszedł do szopy, aby uzupełnić zapas, i policzył worki. Jego wściekłość nie miała granic. Niski i chudy zarządca wpadł galopem do wsi i zażądał wyjaśnień od dzierżawców. Siedział na grzbiecie ogromnego konia, patrząc z wściekłością z góry na kobiety i mężczyzn, którzy stali naokoło.

– Nie spocznę, póki nie znajdę złodzieja! – grzmiał. – I wówczas przepędzę tego typa na cztery wiatry ze wsi, razem z całą jego rodziną! A wy mi w tym pomożecie! Tak, nie gapcie się tak na mnie, zrobicie dokładnie to, co wam każę! Od dzisiaj macie tydzień czasu, aby mi donieść, kto jest złodziejem, i dostarczyć mi go. Jak go nie znajdziecie, to wszyscy pójdziecie stąd precz. Tylko nie myślcie, że nie zawlokę go przed lorda, aby odpowiedział za swój czyn przed nim samym! Takie by było jak wy wałęsa się całymi kupami po drogach i jak was wygonię, to raz dwa będę miał pełne chałupy ludzi chętnych do roboty – i to samych chłopów, ludzie! A nie całych rodzin, gdzie jest po dziesięcioro bachorów, które też musimy żywić!

Wszyscy patrzyli wystraszeni w ziemię. Trevallion miał rację. Lorda nie obchodziło, kto uprawiał jego pola, a ulice Wicklow pełne były mężczyzn, którzy uciekali przed głodem i byli gotowi zrobić wszystko, aby go już nie zaznać. Dzieci dawno już padły jego ofiarą, a często także kobiety. Ci ludzie leżeli po prostu na skraju drogi i umierali, jeśli nie znaleźli czegoś do jedzenia.

– Powstrzymaj się, Ralphie Trevallion! – zagrzmiął nagle surowy głos wielebnego O'Briena. – To przecież było tylko kilka worków ziarna, karmy dla bydła, jak sam powiedziałeś. To hańba, że go po prostu nie rozdałeś – czy nie widzisz, co się dzieje? Czy twoje szkapy nie mogą po prostu zreć siana?

– Na mą duszę, my o niczym nie wiemy! – dodał Ron Flannigan, jeden ze starszych brygadzystów. – Wszyscy pieczemy chleb w takich samych piecach, Mr Trevallion, i uwierzcie, że każdy by poczuł, gdyby w którymś domu ktoś gotował kaszę albo piekł zboże. O takich zapachach możemy tylko śnić, panie!

Trevallion spojrzał na niego ze złością.

– Jest mi wszystko jedno, o jakich zapachach śnicie! Ale zapewniam, że wasze

najgorsze koszmary senne staną się prawdą, jeśli nie znajdziecie złodzieja! Macie tydzień czasu! A potem poczujecie moją rękę!

Po tych słowach zarządca zawrócił konia i ruszył galopem, zostawiając za sobą gromadę przerażonych i zrozpaczonych chłopów i dzierżawców.

– Przecież nie zrobiliśmy nic złego...! – zawołał za nim Flannigan i powtórzył te słowa jeszcze kilka razy, coraz ciszej i coraz bardziej rozpaczliwie.

Ojciec O'Brien potrząsnął głową, a potem dostrzegł Kathleen, która stała wraz z rodzicami nieco z boku.

– Mary Kathleen, musisz z nim pomówić! – powiedział do niej cicho duchowny. – Ty... On po mszy odprowadza cię do domu z błogosławieństwem twoich rodziców i... – Stary ksiądz objął wiele mówiącym spojrzeniem jej sylwetkę. – Zdaje się, że jesteś mu dość bliska – podjął. – Ciebie posłucha. Proś go o łaskę dla dzierżawców. Przez... miłość do twojego dziecka.

Kathleen zaczerwieniła się gwałtownie.

– Ojczy... ojczy... jakiego... dziecka? Ja... nigdy nie miałam nic wspólnego z Ralphem Trevallionem, tyle co my wszyscy!

Duchowny popatrzył dziewczynie prosto w oczy. Jego spojrzenie było surowe i pytające zarazem, ale Kathleen dostrzegła w jego oczach także współczucie. Czy dotyczyło ono jej samej, czy też dzierżawców, a może dziecka albo nawet Trevalliona, którego nadzieje na jej miłość obróciłyby się w proch – tego Kathleen nie wiedziała, ale spuściła wzrok. To nie Trevallion był tym, z kim powinna była porozmawiać, lecz Michael!

„Gdzie też on może być w tej chwili?” – myślała gorączkowo Kathleen i niecierpliwie rozglądała się dookoła. Nie widziała Michaela od chwili przybycia zarządcy do wsi. Ale była przekonana, że jej ukochany miał coś wspólnego z kradzieżą worków zboża. Musiało tak być, skoro chłopak chciał jak najszybciej zebrać pieniądze na wesele i wyjazd do Ameryki. Jednak nie mogło być tak, że za kradzież karę poniosą niewinni mieszkańcy wsi! Michael musi oddać to zboże! Musi istnieć jakaś możliwość, aby podrzucić zboże do szopy – niezauważalnie, tak samo, jak stamtąd zniknęło.

Kathleen się cofnęła, nie mogąc znieść surowego spojrzenia duchownego. Jeśli Michael już uciekł i nie chciał zdawać się na przypadek, to z pewnością się zjawi, aby zabrać Kathleen. Oby wówczas nie było za późno. Możliwe, że dawno już zawiózł worki ze zbożem do Wicklow czy też gdzie indziej.

Dziewczyna zostawiła diskutujących mieszkańców wsi i pobiegła nad rzekę. Nie miała zbyt wielkiej nadziei, że Michael ukrył się w ich kryjówce przy tym zimnie, ale przynajmniej chciała spróbować go odnaleźć. Nie usłyszała kukulki, kiedy mijała dąb Jonny'ego, za to dobiegły ją głosy mężczyzn, gdy tylko zaczęła schodzić w dół nad rzekę.

– Tak mało? – pytał Bill Rafferty oskarżycielskim tonem. – Cztery funty? Tylko? Chyba nie mówisz poważnie. Myślałem, że robimy interes i dzielimy się pół na pół.

– Chciałem, aby tak było... – westchnął Michael. – Ale nie zapłacili więcej niż za dwanaście. A ja potrzebuję ośmiu funtów. Razem z moimi oszczędnościami akurat wystarczy na podróż. A Kathleen i ja...

– Ach, Kathleen i ty? A co będzie ze mną? Dla mnie nie ma miejsca na złotych plażach Ameryki? Nie tak to było planowane, Michael!

W głosie Billa Rafferty'ego słychać było groźbę.

– Bill! Tego przecież nie powiedziałem! Ty dostaniesz moją pracę jako dystrybutor. Od następnego tygodnia whiskey znów popłynie jak rzeka – i to takiej jakości, jakiej nie było od lat! Żyto i jęczmień, Bill! Człowieku, inaczej będziemy musieli używać tylko sfermentowanych ziemniaków! A tak w każdej chwili możesz dostarczać whiskey do najlepszych pubów i zarobisz majątek!

Michael mówił tak przekonująco, jak tylko potrafił.

– A dlaczego ty sam nie będziesz tego robił? – spytał Rafferty nieufnie.

– No bo muszę wyjechać, Bill! Kathleen...

Serce dziewczyny zaczęło bić gwałtownie. Czy Michael zamierzał wypaplać ich tajemnicę? Ale ci dwaj młodzi mężczyźni chyba dzielili ze sobą o wiele mroczniejsze tajemnice niż ta o dziecku pod jej sercem.

Kathleen postanowiła się nie ukrywać i wynurzyła się z trzciny.

– Czy to prawda, Michael? Whiskey? Ukradłeś ziarno, aby pędzić z niego whiskey? Podczas kiedy wokół ciebie dzieci umierają z głodu?

Michael i Bill poderwali się wystraszeni na jej widok. Kiedy rozpoznali Kathleen, popatrzyli na nią, a w ich spojrzeniach było zarówno poczucie winy, jak i sprzeciw.

– A gdzie miałbym je sprzedać? – spytał Michael. – Zaraz by mnie złapali, gdybym próbował to zrobić. Ci ludzie w górach... oni potrafią milczeć, nie ma strachu, nie powiedzą choćby słówka naszej władzy. Oni mają swój honor, Kathie. Żaden nie zdradzi, żaden też nikogo nie oszuka...

– Może poza Billem Raffertym – zamruczał Bill. – Ze mną może być inaczej...

– Ach, przestań, Bill! – zaatakował go Michael. – Dostałeś dosyć pieniędzy za to tylko, że załadowałeś trzy worki zboża na osła. Resztę zrobiłem ja, sam wiesz. A teraz zabieraj się stąd i pomyśl o przyzwoitym zarobku w weekend w Wicklow. Możesz przejąć pracę od razu w tę sobotę. Ale wymyśl sobie dobrą wymówkę. Może grasz na flecie? To załatwię ci pracę w pubie!

Bill oddalił się z wyraźną niechęcią. Z jednej strony chętnie potargowałby się dłużej, aby dostać więcej pieniędzy, a z drugiej strony nie podobał mu się chmurny wyraz twarzy Kathleen. Ostatnie, co chciałby w tej chwili usłyszeć, to kazanie od baby. I właściwie wolał teraz świętować niż się wyklócać. Cztery dobre angielskie funty w ręku! Był bogaty! Billy Rafferty zapomniał o swoich troskach i gwizdząc,

powędrował do wsi.

– Chcesz wysłać tego głupka z whiskey do Wicklow? – spytała Kathleen przerażona. – Michael, on wypaple wszystko, jeśli cokolwiek pójdzie nie tak! O ile nie wyłopie wszystkiego już w drodze i nie zdechnie z przepicia... A zresztą, jeśli o mnie chodzi, to jest mi wszystko jedno, co będzie z Billem Raffertym! Ale ty i ja... Michael, nie możemy dopuścić do tego, aby Trevallion wyrzucił na ulicę wszystkie rodziny we wsi!

Niemal bez tchu opowiedziała o przyjeździe zarządcy i jego groźbach ogłoszonych przed kościołem.

Michael zagryzł wargi.

– On tego nie zrobi, nie odważy się... – stwierdził. – Ale masz rację: musimy stąd zniknąć, zanim ktokolwiek zacznie coś podejrzewać i mu doniesie. Najlepiej, żebyśmy zwiali już dzisiejszej nocy.

Michael próbował ją objąć krzepiącym gestem. Ale dziewczyna niecierpliwym ruchem strąciła jego rękę.

– A jakże, jest pewne, że Trevallion to robi! – krzyknęła, przerażona zimną krwią i obojętnością chłopaka. – A już zwłaszcza wtedy, kiedy ja ucieknę! Robi sobie wielkie nadzieje, jeśli o mnie chodzi – chyba większe, niż przypuszczałam, o ile dobrze zrozumiałam ojca O'Briena. Jeśli teraz nagle zniknę, wpadnie we wściekłość. A wtedy tym bardziej wyładuje swą złość na wsi!

Michael potrząsnął głową.

– Nie. Jeśli ja zniknę, on się domyśli, że to ja ukradłem ziarno. I wtedy nie będzie musiał karać ludzi ze wsi.

Oczy Michaela błysnęły.

– Zaraz mu zaniosę butelkę whiskey do szopy. Jako podziękowanie! – Roześmiał się.

Kathleen nie widziała w tym nic zabawnego.

– Michael, tak nie można! Nie możemy budować swojego szczęścia na nieszczęściu innych! Dokąd ci ludzie mają pójść? Przecież nigdzie nie ma pracy! Już i tak źle, że dopuściłeś się kradzieży, a będzie jeszcze gorzej, kiedy ziarno Trevalliona wyładuje w kotłach bimbrowników zamiast w żołądkach dzieci.

Ale Michael w odpowiedzi tylko wzruszył ramionami.

– Wyspowiadam się z tego – odparł. – Ale kiedyś, nie teraz. Kathleen, ja przede wszystkim myślę o naszym dziecku! Ono musi dorastać w innym kraju, gdzie ludzie nie głodują! Przecież nie wydobędę tego ziarna z kotłów, żeby je wsadzić z powrotem do worków! To jedziesz ze mną czy nie?

Chwycił ją w ramiona. Kathleen przez chwilę zapomniała o całym świecie w jego objęciach, poddając się jego pieścizotom. Ale po chwili wróciła do rzeczywistości.

– Oczywiście, że pojedę z tobą! – powiedziała, już nie tak gniewnie jak poprzednio.

– Ale nie natychmiast, nie teraz. Nie w tym tygodniu, kiedy we wsi wręcz się gotuje po tym, co powiedział Trevallion. Ojciec O’Brien ma rację: powinnam mu się przypochlebić. Spróbować go odwieść od jego zamiarów. Zrobimy tak, musimy uratować wieś! Znikniesz, ale dopiero kiedy minie ten tydzień, Michael! W sobotę idź z twoim głupim przyjacielem do Wicklow i zostań tam! Wtedy podejrzenie padnie na ciebie, a dzierżawcy będą mieli najgorsze za sobą.

– A ty? – spytał nieufnie chłopak. – Mam cię zostawić samą z Trevallionem?

Kathleen przewróciła oczami.

– Dobry Boże, Michael, przecież nie zamierzam mu się oddać! Pójdę z nim na spacer po wsi, trochę mu poschlebiam, zrobię mu też trochę nadziei... A potem, jak tylko wszystko się uspokoi, przyjdę do Wicklow. Powiedz mi tylko, gdzie będę mogła cię znaleźć.

Kathleen poczuła się lepiej, kiedy opowiedziała Michaelowi o swoich planach. To może się udać. Żeby tylko Michael się na to zgodził!

Chłopak w zamyśleniu zagryzał dolną wargę. Pierwszy plan podobał mu się o wiele bardziej. Ale ta wieś – to była także jego ojczyzna. I mieszkający w niej ludzie też byli bliscy jego sercu. Mieszkała tu jego matka i rodzeństwo... Ale i tak wygnano by ich z domu, gdyby Michael został uznany za winnego. Myślał o tym z przykrością – ale jego matka wiedziała, gdzie czekał na nią ojciec. Co prawda nie będzie mogła modlić się codziennie w kościele, ale za to jej dzieci z pewnością będą miały w górach co jeść.

– A więc dobrze – oświadczył niechętnie. – Jeden tydzień, Kathleen. Ale ani dnia dłużej. Znajdziesz mnie w tawernie Barney. To pub w Wicklow, przy Mainstreet, łatwo tam trafić.

Trevallion wykorzystał ów „tydzień prawdy”, jak mawiał, po to, aby jeszcze bardziej dręczyć dzierżawców. Teraz zimą prawie nie było pracy w polu, a głód tak dalece osłabił ludzi, że niewiele można było od nich oczekiwać. Ale zarządca wezwał do pracy wszystkich. Ludzie musieli czyścić stajnie, dźwigać kamienie na budowę murków okalających pola i rąbać drzewo do kominków we dworze.

– Czy lord tutaj jest, czy nie, to w kominkach musi się palić ogień – oświadczył Trevallion. – Inaczej na ścianach pojawi się pleśń. A domu nie można wychłodzić! Możliwe, że jego lordowska mość zdecyduje się spędzić tutaj Boże Narodzenie!

Dotychczas coś takiego nie zdarzyło się nigdy, ale teraz ludzie niemal sobie tego życzyli. Możliwe, że z lordem prędzej będzie można normalnie porozmawiać niż z jego nadgorliwym zarządcą. Grainné twierdziła, że zwłaszcza lady jest bardzo łaskawa. Także Kathleen uważała, że młoda szlachcianka, choć sprawiała wrażenie osoby płytkiej, wydawała się mieć dobre serce. Z pewnością nie przyglądałaby się beczynnie, jak umierają z głodu dzieci jej dzierżawców.

I bez wątpienia w razie obecności ich lordowskich mości wszyscy otrzymaliby

prezenty bożonarodzeniowe. Zawsze był to jakiś woreczek mąki albo cukru na rodzinę. Jeśli lord i lady spędzali święta w swoich tutejszych posiadłościach, to lady sama rozdawała podarunki, a kiedy lord Wetherby przebywał w Anglii, wtedy z całą pewnością rozliczał je Trevallion. I wówczas wędrowały do kieszeni lub na stół zarządcy. A już zwłaszcza w tym roku na pewno tak będzie, bo Trevallion oświadczył, że lord jest głęboko rozczarowany i dzierżawcy raczej nie mają co liczyć na jego uznanie.

Michael zmarzył potwornie i był całkiem wyczerpany po ciężkiej pracy, polegającej na rozbijaniu kamieni na dworze. Wreszcie mógł tego sobotniego wieczoru przyprowadzić osła ogrodnika. Jak na złość, przyglądało się temu kilku dzierżawców, którzy zauważyli, że tym razem ruszył za nim Bill Rafferty z fletem w kieszeni płaszcz, siedzący na grzbiecie muła.

– Dokąd jedziesz, Rafferty? – spytał podejrzliwie Ron Flannigan. – Włóczęga po pubach w Wicklow? Masz aż tyle pieniędzy, żeby je przepijać!?

Michael potrząsnął głową i wskazał flet Billa.

– Potrzebuję fletu do zespołu, Ron. W dwójkę można zarobić więcej pieniędzy, pojedynczemu skrzypkowi płacą mało.

Flannigan zmarszczył czoło.

– I wybrałeś sobie akurat najgorszego flecistę? Kto zapłaci Billowi za jego gwizdanie, on raczej dostanie coś dopiero wtedy, kiedy przestanie grać!

Pozostali dzierżawcy roześmiali się na te słowa.

Michael śmiał się także.

– Nawet jeśli będzie trochę fałszował, to i tak będzie to dobrze brzmiało – stwierdził. – Wiem, co robię...

Ron Flannigan patrzył za nim przez dłuższą chwilę.

– No, nie wiem, czy naprawdę wiesz, co robisz... – mruknął.

Kathleen z trudem przychodziło flirtowanie, ale zmuszała się do tego, próbując omotać Ralphi Trevalliona. Uśmiechnęła się do niego, kiedy wszedł w niedzielę do kościoła, minął kobiety i usiadł w pierwszej ławce wśród pozostałych mężczyzn. Ojciec O'Brien akurat wygłaszał kazanie o przebaczeniu i pobłażliwości. Kończąc, powiedział, że tylko Bóg jest prawdziwym sędzią i nie może przed nim ujść żaden grzesznik, nawet jeśli uda mu się uniknąć ziemskiej sprawiedliwości. Stary ksiądz mrugnął przy tym w stronę Kathleen, kiedy ona po mszy podeszła jak gdyby nigdy nic do Trevalliona i zaczęła z nim przyjaźnie rozmawiać. Czy był to grzech stręczycielstwa?

Rozbawiło to Kathleen. Robiła wszystko, aby Trevallion dostrzegł jej błyszczące oczy, uśmiech na wargach i lekko zaróżowione policzki. Tym razem pozwoliła mu nawet, aby poszedł z nią na spacer wokół wsi, i przytakiwała mu grzecznie, kiedy

dowodził, jak bardzo przydatna jest dla jego lordowskiej mości praca zarządcy i jak poważana będzie kobieta, którą on wybierze sobie na żonę.

Kathleen była wręcz wyczerpana po tych wszystkich kłamstewkach i uśmiechach, kiedy Trevallion wreszcie odprowadził ją do domu rodziców. W czasie spaceru miała osobliwe uczucie, że ktoś ją obserwuje. Było to tak, jak gdyby nie była sama z zarządcą, lecz jakby był z nimi ktoś trzeci. Czy Michael wysłał za nimi Jonny'ego?

To akurat miałyby swoje dobre strony, bo ukochany z trudem akceptował jej misję wobec Trevalliona. A Kathleen z kolei martwiła się o Michaela. Billy Rafferty był tego ranka na mszy w kościele. Wyraźnie niewyspany klęczał obok swojej matki, która z kolei sprawiała wrażenie dość rozzłoszczonej. Kathleen była w stanie ją zrozumieć. Upijanie się w tych ciężkich czasach uchodziło za coś hańbiącego. Michaelowi w czasie poprzednich miesięcy nie zdarzyło się to nigdy. A coś takiego podważało w dodatku alibi Billa jako flecisty. Oczywiście właściciele pubu stawiali grajkom jedno lub dwa piwa, ale jeśli ktoś upijał się whiskey, szybko wylatywał z pracy.

Ale Bill Rafferty nie wydawał się tym zmartwiony. Jakiegokolwiek rozważne działanie było mu w ogóle obce; Kathleen uważała, że jego wybór na następcę Michaela w interesach związanych z whiskey był najgorszy z możliwych.

Choć z kolei skacowana twarz Billa mogła się wręcz przysłużyć sprawie Michaela. Zarówno duchowny, jak i mieszkańcy wsi mogli na podstawie jego stanu dojść do wniosku, że także Michael poprzedniego wieczoru się upił i dlatego nie przyszedł na mszę. I dopiero następnego ranka przy pracy ktoś zauważył jego nieobecność.

Przed domem O'Donnellów Trevallion wręczył Kathleen woreczek mąki.

– Wiem, że nie chcesz przyjmować ode mnie prezentów, Mary Kathleen – powiedział uroczyście. – Aby nikt nie sądził, że pozwolisz się sprzedać. Ale chciałbym, abyś któregoś dnia miała dla mnie tyle uczucia, że moje prezenty staną się dla ciebie nieistotne w porównaniu z pocałunkiem...

Mówiąc to, zarządca zbliżył się do niej, ale Kathleen gwałtownie się cofnęła. Poczula narastającą panikę już na samą myśl o pocałunku Trevalliona – nie tylko dlatego, że widok jego warg napawał ją wręcz obrzydzeniem. Rzeczywiście obawiała się kogoś niewidzialnego, kto być może cały czas ją śledził. Mały Jonny nie zrobił jej nic złego, z jego strony mogła się spodziewać najwyżej jakiegoś dziecinnego żartu, na przykład strzału z procy. Zresztą i tak nigdy nie trafiał. Ale co by było, gdyby śledził ją Brian, starszy brat Michaela?

A gdyby to był sam Michael?

Kathleen spuściła oczy.

– Mr Trevallion – powiedziała cicho. – Proszę... Proszę, ja mam dopiero szesnaście lat. Jestem... jestem za młoda na miłość... – Zaczerwieniła się jak wiśnia.

Trevallion się uśmiechnął.

– O tak... Zapomniałem... Mary Kathleen.

Kathleen nie wiedziała, czy w jego głosie słyhać było kpinę, czy też tkliwość.

– W takim razie to z pewnością tylko plotka, że czujesz sympatię do jednego z chłopców we wsi?

W tych słowach słyhać było niemal groźbę.

Kathleen próbowała spuścić głowę jeszcze niżej, ale nagle podniosła wzrok. Udało jej się nawet szelmowsko uśmiechnąć.

– Sir, sympatię to ja mogę czuć Bóg wie do kogo – odpowiedziała. – Ale moja matka powtarza zawsze, że jeśli mowa o miłości, to powinnam też pomyśleć o spizarni.

Trevallion roześmiał się głośno.

– Cóż z ciebie za urocza dziewczyna, Mary Kathleen! – stwierdził.

A potem sięgnął do torby, wyjął z niej woreczek cukru i wręczył Kathleen, która pozornie bezwiednie bawiła się otrzymanym przed chwilą woreczkiem mąki.

– Masz! Ale to z pewnością nie jest tak słodkie jak twoje usta!

Kathleen w myślach dziękowała Bogu, kiedy mogła wreszcie uciec do domu rodziców – tu oczekiwała ją cała rodzina, zachwycona staraniami Trevalliona.

Cukier i mąka. Kathleen mogła teraz sama upiec ciasteczka *scones*. Choć z pewnością smakowałyby gorzko.

W poniedziałek po zniknięciu Michaela Kathleen jak zwykle stawiała się do pracy we dworze. Razem z Grainné rozpały ogień we wszystkich kominkach – płomienie rzucały niesamowite cienie na ściany pustych izb.

Ale za to kobietom było teraz ciepło, a Trevallion też nie naprzykrzał im się swą obecnością. Kathleen podziwiała ciężkie zamszowe zasłony i cenne meble – nawet odważyła się w którymś momencie usiąść w jednym z foteli. Wyobrażała sobie, jak by to było, gdyby mogła zaprosić przyjaciółki na herbatę. Gdyby Michael miał rację, któregoś dnia też będzie miała takie meble i zasłony, a ogień na kominku rozpalać będzie pokojówka. W tym nowym, dalekim świecie ona, Kathleen, będzie wolna i razem z Michaeliem będą mogli zarabiać pieniądze...

Kathleen przez chwilę całkowicie oddała się marzeniom, choć właściwie były to marzenia Michaela. Bo ona sama nie potrzebowała dworu, ciężkich foteli ani jedwabnych tapet.

Jej wystarczyłby mały, wiejski, przytulny domek obrośnięty winem, z ogrodem, w którym mogłaby sadzić warzywa i kwiaty. W domu powinna być duża izba, obok sypialnia i kuchnia – i może jeszcze pokój dla dzieci. Pokój, a nie małe, ciemne i wiecznie zadymione pomieszczenie, takie jak w domu jej rodziców...

Kathleen uświadomiła sobie nagle, że marzy o domu Ralpha Trevalliona! Zarządca mieszkał dokładnie w takim właśnie domku, stojącym nieco z dala od wsi i dworu.

O nie! Zganiła w myślach samą siebie. Żaden dom nie przekona jej do tego, aby



wyszła za mąż za takiego raka jak Trevallion! Nie mówiąc już o tym, że nosiła przecież pod sercem dziecko Michaela.

Podniosła się z fotela nieco ociężale, chcąc wracać do pracy, i wtedy usłyszała głosy w domu.

– O nie, dobry Boże! O nieba!

Grainné. Stara kucharka i gospodyni krzyczała i rozpaczała, jak gdyby pękło jej serce.

Zbiegłszy po schodach, Kathleen zastała Grainné w westybulu; płakała, siedząc na najniższym stopniu schodów.

– Nie mogę tego zmienić, Grainné – mówił do niej Ron Flannigan, niezdarnie klepiąc ją ręką po ramieniu. – Pomyślałem tylko, że sam ci to powiem. Zanim zrobi to Trevallion. I zanim... zanim...

– Zanim przyjdzie milicja? Zanim oni... O nie, nie mogą przecież... Przecież oni mnie nie wyrzucą! Zburzą mój dom? O święty Jezu, Ron, ja mam przecież jeszcze ośmioro dzieci!

Ron Flannigan nieznacznie potrząsnął głową. W jego postawie i głosie można było dostrzec i usłyszeć prawdziwe współczucie.

– Wiem przecież, Grainné. Jesteś dobrą kobietą, podobnie jak twoje dzieci. Ale wiesz, co mówi prawo...

– Angielskie prawo! – Grainné splunęła z pogardą. – Ron, ja służyłam u Wetherbych tyle lat, zawsze byłam im wierna i nigdy niczego nie ukradłam... No, może poza paroma kęsami chleba. Gdyby lord był teraz tutaj! Gdybym mogła rzucić się lady do stóp! Ona zlitowałaby się z pewnością!

– Co się stało? – spytała w końcu Kathleen. – Co jest tak straszne, Grainné, że...

Jedno spojrzenie na twarz Rona Flannigana kazało jej natychmiast umilknąć. Każde słowo pociechy było teraz nie na miejscu.

– Uwięzili Billa Rafferty'ego – oświadczył Ron. – Zarzucają mu kradzież ziarna Trevalliona...

– Ale to nie on! – krzyczała Grainné. – Dobry Boże, znacie przecież mojego Billy'ego! Mały bufon i samochwała, jak kogut, który tylko pieje. Nigdy nawet nie przyszłoby mu do głowy, aby kraść panu ziarno! Gdzie miałby je w ogóle sprzedać?

– Tego nie wiemy – odpowiedział Ron z powagą. – Ale znaleźli przy nim pieniądze. Więcej niż trzy funty, tyle nigdzie nie mógł zarobić. A już na pewno nie, grając na flecie...

– Grając na flecie! – krzyknęła Grainné. – Ten skrzypek, ten łobuz od Drurych! Po nim można się było spodziewać...

– Michael Drury zniknął – stwierdził Ron. – I z pewnością można powiedzieć, że też maczał w tym palce. Ale twój Billy, Grainné, był w sobotę w Wicklow i wrócił do domu pijany. A wczoraj wieczorem znów popijał razem z przyjaciółmi, zaprosił

przecież pół wsi. Dziś rano w pracy od wszystkich śmierzdziało siwuchą, a twój Billy zatacza się do tej pory. Dziwisz się, że Trevallion zaczął dociekać, skąd i jak on miał na to pieniądze? W każdym razie żaden z chłopaków go nie zdradził, gdybyś tak myślała, Grainné. Choć wczoraj w nocy sam trochę wypaplał swoim kompanom od kieliszka. Mówił coś o whiskey, o bimbrownikach, o jakieś wspaniałej pracy w Wicklow...

– O niebiosy, jeśli coś opowiedział czerwonym spódnicom!

Grainné przeżegnała się na samą myśl o angielskich żołnierzach.

Ron westchnął.

– Oni już to z niego wydobędą, jak dostanie batem. Ale może będzie lepiej dla niego, jeśli sam powie. Na razie przypisują mu wszystko. Jeśli się okaże, że chłopak Drurych też ma z tym coś wspólnego...

Kathleen poczuła nagle lodowaty dreszcz na plecach. Billy najpewniej zdradzi Michaela, to było pewne jak amen w pacierzu. I możliwe, że zdradzi także ją, wiedział przecież, dlaczego Michael posunął się do kradzieży. A przede wszystkim... O nieba, może on nic nie wie o tawernie Barneya!

Kathleen rozmyślała gorączkowo. Musiała ostrzec Michaela. Musiała dotrzeć do Wicklow, zanim Anglicy przesłuchają Billy'ego. A najlepiej będzie, jeśli już dziś zostanie z Michaeliem. Tutaj i tak nie miała już nic do roboty. Od Billy'ego Rafferty'ego zależało teraz, czy także jej rodzina będzie wygnana z domu. Jeśli tylko Trevallion ustali, że uciekła z Michaeliem, obciąży winą także O'Donnellów.

Kathleen wybiegła z dworu. Grainné z pewnością nie będzie jej szukać, miała teraz inne zmartwienia niż palenie w kominkach. Dziewczyna prawie nie dostrzegła w tej chwili obecności Rona, a poza tym wydawało jej się, że on nic nie wiedział o niej i o Michaelu. Gdyby tylko wiedziała, jak się dostać do Wicklow...

Wybiegła na drogę jak oszalała. Na szczęście pomyślała o tym, aby schwycić swój szal i okryć się nim – na dworze panowało lodowate zimno. W domu rodziców było jeszcze kilka drobiazgów, które zamierzała zabrać, ale o tym oczywiście nie mogło być już mowy. Jej matka i rodzeństwo byli z pewnością w domu i mogliby zauważyć jej niepokój.

Kathleen pożegnała się w duchu ze wszystkimi. A potem ruszyła zdecydowanym krokiem w kierunku Wicklow. Przecież nie będzie aż tak trudno znaleźć drogę.

## ROZDZIAŁ 4

Droga do Wicklow, mimo że prosta i łatwa do znalezienia, wydała się Kathleen o wiele dłuższa, niż początkowo sądziła. Dziewczyna zdawała sobie sprawę, że ktoś jadący konno dogoniłby ją z łatwością – dwóch jeźdźców właśnie ją minęło. Czy byli to posłańcy milicji? Ale oni mieliby chyba mundury. Kathleen próbowała się uspokoić i wędrowała dalej. Zanim jeszcze dotarła do miasta, zrobiło się ciemno.

Nagle usłyszała za sobą turkot wozu. Przerazona, ale i pełna nadziei zerknęła na koziół. Było całkiem możliwe, że właśnie wieziono do więzienia Billy'ego. Lecz ku swemu zaskoczeniu Kathleen zobaczyła dwa znane jej srokate konie i znanego mężczyznę. Ian Coltrane, syn handlarza bydlęm.

– No, kogóż my tu mamy? – Ian uśmiechnął się szeroko, patrząc na nią z góry. – Czyż to nie mała Kathleen O'Donnell? Dokąd to drogi prowadzą, słodziutka?

Dziewczyna zmusiła się do uśmiechu. Ian Coltrane był przystojnym młodym mężczyzną z błyszczącymi oczami. Nawet trochę przypominał Michaela, jeśli nie liczyć czarnych jak węgle oczu. Ludzie szeptali, że w żyłach Coltrane'ów płynie domieszka cygańskiej krwi.

Ian nie tylko wyglądał jak Cygan, ale też tak się zachowywał. I podczas kiedy jego ojciec Patrick Coltrane handlował owcami i bydlęm, Ian skupił się na handlu końmi. To zajęcie zapewne przynosiło mu spory zysk – jego kurtka w kratę była prawie nowa, sprawiała też wrażenie cieplej i dobrze wywatowanej. Mężczyzna miał też na sobie skórzane spodnie i porządne wysokie buty. Kathleen na ich widok ogarnęła wręcz zazdrość. Jej buty były już mocno zużyte i niezbyt ciepłe – dziewczyna czuła, że stopy ma wręcz lodowate.

– Ja... idę do Wicklow – odpowiedziała. – Chcę tam... odwiedzić ciotkę, która właśnie zachorowała...

Ian znów wyszczerzył zęby w nieco fałszywym uśmiechu.

– A, i to do niej wysłała cię matka, abyś zaniósł jej nieco chleba i whiskey? I dała ci tylko taki wełniany szal, kiedy jest tak zimno? – zapytał, zerkając na puste ręce Kathleen i jej suknię, o wiele za cienką jak na podróż w tę porę roku.

Dziewczyna poczerwieniała. Pewnie, powinna była o tym pomyśleć! O'Donnellowie byli wprawdzie biedni, ale matka na pewno dałaby jej jakiś podarunek dla ciotki, także ciepły płaszcz znalazłby się w domu. I miałyby na sobie niedzielną suknię, gdyby planowała wybrać się do miasta.

– My... nie mamy niczego, co moglibyśmy komuś podarować – oświadczyła krótko Kathleen. – Tu bardziej chodzi o... jej stan duchowy.

Ian roześmiał się głośno.

– No, o wasz stan duchowy też należałoby się zatroszczyć! – powiedział złośliwie. – Ale gdybyś zechciała zająć się też moim, to obok mnie jest jedno wolne miejsce. – Klepnął w siedzenie na koźle.

Na dwukołowej bryczce była wprawdzie jedna ławka z tyłu, na której Kathleen wolałaby usiąść. Ale teraz leżały tam siodła oraz końskie uprząże – dziewczyna wiedziała, że w tak nędznym położeniu, w jakim się znalazła, nie należy wybrzydzać. Wspięła się więc na kozioł i zajęła miejsce obok Iana, który zaraz cmoknął na konie. Z tyłu do wozu przywiązane były jeszcze dwa kolejne konie oraz muł.

– A... ty? – spytała Kathleen, choć zupełnie jej to nie interesowało. – Dokąd jedziesz?

Ian uniósł w górę brwi.

– A co, czy wyglądam, jakbym prowadził te chabety na spacer? Jadę do Wicklow na koński targ, który zaczyna się jutro wcześniej rano na placu przy nabrzeżu. Mam nadzieję, że uda mi się sprzedać te trzy szkapy za dobre pieniądze...

Kathleen zerknęła na konie. Jednego z nich widywała już od dawna.

– Ten kary nie jest chyba zbyt młody – zauważyła.

Konia zaprzęgano do wozu szewca już dawno temu, kiedy Kathleen była jeszcze małą dziewczynką. A może tylko jej się tak wydawało? Czy koń szewca nie miał siwej sierści wokół oczu? I czy nie miał na grzbiecie białawych odcisków od siodła? Kary idący za wozem był czarny i lśniący.

– Ten z tyłu? On ma dopiero sześć lat i ani dnia więcej! – zapewnił Ian urażony. – Obejrzyj sobie jego zęby, jak mi nie wierzysz!

Kathleen wzruszyła ramionami. Wygląd końskich zębów niewiele by jej powiedział, ale mogłaby przysiąc, że widywała tego konia nieraz, kiedy jak zwykle stał przed warsztatem szewca i szczypał trawę, czekając na swego pana. Było to w tych lepszych czasach, kiedy ludzie nie musieli zrywać zielska rosnącego przy drodze i gotować z niego zupy. Ten koń miał nad nozdrzami rodzaj osobliwych, śmiesznie zakręconych wąsów, czego Kathleen nie widziała u żadnego innego zwierzęcia. Także szewc uważał to za coś szczególnego, w przeciwnym razie nie nazwałby konia Blackbeard. Ale Kathleen nie miała teraz najmniejszej ochoty do kłótni – za bardzo cieszyła ją możliwość podjechania do miasta. Konie kłusowały rażno, a ona na pewno musiałaby iść jeszcze z dobre dwie godziny, zanim dotarłaby do Wicklow.

Spróbowała więc zmienić temat i nie mówić o koniach. Spytała o ojca Iana, którego interesy, zgodnie z tym, co mówił syn, nie szły teraz najlepiej.

– On w tej chwili zupełnie nie ma pieniędzy – odparł chłopak lekceważąco.

Ian mógł mieć około dwudziestu lat – był nieco starszy od Michaela. Jego ojciec także był dzierżawcą u lorda Wetherby, ale miał o wiele lepszą pozycję niż pozostali

chłopi. Patrick Coltrane nie musiał odpracowywać swego czynszu, lecz opłacał go z zysków z handlu bydłem, nie był też uzależniony od zbioru ziemniaków. Na dzierżawionej ziemi trzymał zwierzęta i tylko na jej części uprawiał jakieś warzywa, które zwykle stanowiły podstawę żywienia.

– A w każdym razie nie uprawia niczego dla swoich owiec i krów – dodał Ian niemal pogardliwie. – Co one mają teraz żreć? Już ludzie wygrzebują z ziemi wszystkie korzenie.

– Ale mimo to można sprzedać konie? – dziwiła się Kathleen.

Ian się roześmiał.

– Kilku bogaczy jest jeszcze na tym świecie... A w Wicklow i w Dublinie niejeden potrzebuje konia albo przynajmniej chce go mieć. Takiemu trzeba tylko wytłumaczyć, że jak się ma konia, to nie jest się nędznym kramarzem, lecz lordem! A na wsi szkapę są stosunkowo tanie...

Kathleen zastanawiała się w duchu, czy taki kramarz ma jakiegokolwiek pojęcie o koniu. Całkiem możliwe, że ktoś kupi starego Blackbearda, jeśli Ian przekona kupca, że ten koń pochodzi ze stajni samego lorda Wetherby.

– Ale nie zamierzam zostać tu na zawsze – zwierzył jej się Ian. – W tym kraju nie ma zbyt wiele pieniędzy. Tyle tylko, żeby wystarczyło na życie, ale jeśli chce się mieć odrobinę więcej... Nie, ciągnie mnie za wielką wodę! Chcę tam spróbować szczęścia!

– Naprawdę? – spytała Kathleen z ożywieniem.

Handlarz końmi był pierwszym człowiekiem, który mówił o wyjeździe nie tylko z powodu biedy, lecz, jak się wydawało, także z ciekawości innego świata.

– Jeden... z moich przyjaciół też o tym mówił – powiedziała. – A ja... ja...

Ian zerknął na nią z boku.

– Co, też miałabyś na to ochotę? No to jesteś wyjątkiem. Większość dziewczyn trzęsie się ze strachu, jeśli opowiada im się o jakimś innym świecie...

– No tak, sama podróż...

Ian prychnął pogardliwie.

– Co tam podróż! Pewnie, na statku jest trochę niewygodnie i niezbyt przytulnie, a do jedzenia też nie dostaje się zbyt wiele. Ale w porównaniu z tym, co tu masz do zarcia... Choć co prawda ty akurat wyglądasz na dobrze odżywioną, słodziutka! Śliczna z ciebie dziewczyna! I w dodatku odważna...

Kathleen nie odpowiedziała i dłuższą chwilę jechali w milczeniu. Ian znów popatrzył z zainteresowaniem na dygoczącą z zimna dziewczynę.

– Zimno ci, malutka? – spytał z pozorną troską i wyciągnął koc z tyłu wozu. Okrył kocem ramiona dziewczyny, a przy tej okazji przyciągnął ją nieco bliżej do siebie. – Chodź, ja cię ogrzeję! – dodał.

Kathleen się cieszyła, że właśnie minęli tablicę z napisem „Wicklow”.

– I nie musi to być zaraz Ameryka... – wrócił do poprzedniego tematu Ian,

próbując pod kocem namacać ręką wycięcie dekoltu w sukni dziewczyny.

Kathleen energicznie odsunęła się od niego.

– Czy możesz... czy możesz się tu zatrzymać? Chciałabym wysiąść – powiedziała.

Ian się roześmiał.

– Tutaj? Ale przecież jesteśmy prawie w lesie, słodziutka...

Rzeczywiście byli dopiero na przedmieściu i mijali prześliczne małe domki z ogródkami, położone pomiędzy małymi polami. Do centrum miasta, tawerny Barneya i nabrzeża mogły być jeszcze ze dwie lub trzy mile.

– Moja ciotka... mieszka gdzieś tutaj – stwierdziła Kathleen.

– Ach, prawda, ciotka... – zakpił Ian. – A może mam cię zawieźć pod same drzwi?

Kathleen potrząsnęła głową.

– Nie... nie, dziękuję. Dość już, jak dla mnie... Dość... Dość już nadużyłam twojej uprzejmości i pomocy. Dalej mogę iść pieszo. Dziękuję ci bardzo, Ian!

Ian znów uniósł brwi i pociągnął za cugle. Konie zatrzymały się posłusznie.

– Jeśli się upierasz... Twoje życzenie jest dla mnie rozkazem! Może spotkam cię gdzieś we wsi?

Dotknął palcami daszka czapki.

Kathleen zeszła z kozła i zmusiła się do uśmiechu.

– Pewnie, w... w niedzielę, w kościele... jeśli tam będziesz...

Patrick i Ian Coltrane'owie akurat w weekendy stale gdzieś wyjeżdżali. Dlatego też Ian nie wiedział nic o staraniach Ralpha Trevalliona i jego spacerach z Kathleen. Gdyby tak było, z pewnością nie próbowałby zaczepiać dziewczyny.

Pozdrowił ją teraz raz jeszcze i popędził konie. Kathleen miała nadzieję, że nigdy już nie będzie jej dane go spotkać.

Nie było jeszcze zupełnie ciemno, kiedy dotarła do głównej ulicy miasta. Pierwszy przechodzień, którego spytała o tawernę Barneya, wskazał jej drogę.

– Trafisz tam bez trudu, mała, to zaraz za rogiem. Ale czego szukasz w tej budzie? Gdzie indziej możesz zarobić o wiele lepiej!

Kathleen chciała się zapaść pod ziemię ze wstydu, kiedy uświadomiła sobie po chwili, za kogo wziął ją ten mężczyzna! Jeszcze bardziej przyśpieszyła kroku i zdyszana dotarła do pubu. Nie było jej już zimno.

Odetchnęła głęboko i gwałtownie otworzyła drzwi. Poczuli się jak uderzona falą gęstego, ciężkiego powietrza, pełnego odoru whiskey, piwa i tytoniowego dymu. Przez chwilę walczyła z nagłym uczuciem mdłości. Pomyślała, że jej dziecko na pewno nie będzie mężczyzną, który zamierza spędzić pół życia w pubie.

– Ach, jaki to zaszczyt dla tej nędznej dziury! – powitał ją drobny, okrągły mężczyzna, stojący za barem. – Złote loki, alabastrowa cera... I te oczy, zielone jak łąki Irlandii. Piękna dziewczyno, jeśli jesteś urojeniem, to możesz zostać. Sorry, ale to miejsce tylko dla panów!

Do większości pubów kobietom nie wolno było wchodzić.

Kathleen znów zmusiła się do uśmiechu.

– Jestem Kathleen O'Donnell – przedstawiła się. – Muszę się zobaczyć z Michaeliem Drurym.

Mały grubas z uznaniem zmierzył ją spojrzeniem.

– Jestem Barney – przedstawił się. – Ty jesteś tą dziewczyną, z którą on chce uciekać? – spytał. – Wyrazy uznania, ale mogłaś sobie poszukać kogoś lepszego. Może mógłbym to być ja? Przynajmniej mogę ci coś zaoferować. Pub to zawsze dobry interes.

Kathleen poczuła rosnącą złość. Dość. Nie miała już zamiaru się uśmiechać ani przypochlebiać. Chciała do Michaela!

– Słuchajcie! – powiedziała twardo. – Słuchajcie, ja muszę ostrzec Michaela. Czerwone spódnice już depczą mu po piętach. Przestańcie się więc wygłupiać.

Grubas natychmiast spoważniał.

– Milicja, dziewczyno? Do cholery, wiedziałem, że coś tu śmierdzi! Ale nie, on mówił: „Barney, to tylko pokój na kilka dni. Jak tylko moja dziewczyna będzie mogła stamtąd zwać. To nie takie proste, ona musi się pożegnać z rodziną”. Gadał jak anioł! A ja dałem się na to nabrać! I za to będę miał teraz Anglików w pubie. Michael!!! – ryknął w stronę pomieszczenia za szynkiem.

Kiedy nikt nie odpowiedział, barman odwrócił się i pobiegł. Kathleen nie zastanawiała się długo i ruszyła za nim. Minąwszy brudną kuchnię, znalazła się w korytarzu z licznymi drzwiami.

– Michael! – Wołania Barneya trudno było nie słyszeć i rzeczywiście jedne drzwi się otworzyły. Na korytarzu pojawił się Michael.

– Nie da się jeszcze głośniej, Barney? – spytał niechętnie, ale w tym momencie dostrzegł Kathleen biegnącą za grubym barmanem. – Kathleen! Cofam wszystko, Barney, to tłumaczy twoje krzyki. Jej powinny towarzyszyć trąby i bębny, bez względu na to, dokąd idzie! A to w celu, aby wszyscy niegodni odwracali głowy, zanim oślepną na widok tak urodziwej damy! Kathleen, to o wiele szybciej, niż mogłem sobie wyobrazić w najśmielszych marzeniach! – Michael zrobił gest, jakby chciał chwycić dziewczynę w ramiona, ale ona zdecydowanym ruchem go odepchnęła.

– Michael, nie ma na to czasu! Wsadzili Billy'ego do więzienia! A on na pewno będzie sypać! Musimy uciekać!

– Co? Billy'ego...? Do cholery, ten mały głupek! Nie potrafił trzymać się z dala od whiskey, tak! A przecież go ostrzegałem... ja...

– Michael! – Kathleen prawie krzyczała. – Czy on wie o tej kryjówce?

– Mnie to też interesuje! – wtrącił Barney, który przypominał teraz wściekłego bulteriera.

Michael wzruszył ramionami.

– Może mu coś o niej wspomniałem. A przynajmniej... No, byliśmy tu wszyscy w niedzielę, nie? Jak im powie, jak się nazywa ten pub...

– To jestem zrujnowany! – jęknął Barney. – Muszę szybko sprzątnąć butelki! Jak oni je tu znajdują... A przynajmniej ty już stąd znikaj, natychmiast, Michaelu Drury!

Michael zaczął błyskawicznie zbierać swoje rzeczy, ale jeszcze zanim zdążył związać je w węzełek i zanim w korytarzu pojawił się Barney, niosąc kolejne naręczce nielegalnie nabytych butelek whiskey, do kuchni wpadł mały chłopiec.

– Barney, *daddy* mnie przysła. Gospodarz z *Finest Horse* już wie o wszystkim. Czerwoni już tam są, z powodu whiskey. I z powodu Michaela Drury'ego. Musisz...

Barney znów wezwał na pomoc niebios a i pobiegł jeszcze szybciej, Michael zaś rozejrzał się dookoła jak ścigane zwierzę.

– Kathleen, musimy uciekać! Szybko, *Finest Horse* jest tylko dwa domy dalej, kiedy skończą tam szukać, to przyjdą tutaj! Uważaj, ty znikasz pierwsza. Wyjdiesz od strony szynku...

– A ty? – Kathleen wprost zeszywniała z przerażenia.

– Ja wyjdę tylnym wyjściem. Spotkamy się potem... przy nabrzeżu, znajdę cię. – Michael zarzucił swój węzełek na ramię, ale nagle coś mu przyszło do głowy. Zatrzymał się, wygrzebał z kieszeni sakiewkę i wcisnął ją dziewczynie do ręki.

– Tu... Masz, weź to! Szybko, na co czekasz? – Michael wypchnął ją z korytarza.

– Ale... ale...

– Żadnego ale, Kathie, spotkamy się później! – Michael wcisnął monetę do ręki chłopca, mówiąc: – Idź, Harry, zaprowadź ją w bezpieczne miejsce!

Z szynku dobiegały już czyjeś rozkazujące, głośne wołania. Michael ruszył korytarzem, a mały Harry, chłopiec o intensywnie rudych włosach i delikatnej twarzy cherubinka, pociągnął Kathleen w przeciwnym kierunku. Dziewczyna ledwo zdążyła okryć głowę szalem, kiedy znalazła się naprzeciw dwóch funkcjonariuszy angielskiej milicji, ubranych w czerwone spódnice w kratę. Mężczyźni brutalnie odepchnęli ją na bok i zaczęli otwierać drzwi do kolejnych pokoi. Kathleen szła za Harrym jak ogłuszona i za chwilę znalazła się w szynku, gdzie ponownie ogarnęła ją nagła fala mdłości. Tym razem nie z powodu smrodu, lecz przerażenia. Dwóch kolejnych milicjantów pilnowało nielicznych o tej porze gości.

– Dokumenty! Nikt stąd nie wyjdzie, zanim się nie dowiemy, skąd jest i jak się nazywa! – krzyknął jeden z nich.

Mężczyźni zaczęli grzebać w kieszeniach i wyciągać dokumenty, niektórzy podawali swoje nazwiska. Kathleen zbladła z przerażenia. Nie miała przy sobie żadnych papierów. Czyli pójdzie do więzienia, a tam bez trudu ustalą, skąd pochodzi i jaka jest jej rola w sprawie Michaela.

Z dziedzińca dobiegały krzyki. Ale Michael – chyba udało mu się uciec... Kathleen



zadygotała.

Ale wtedy nagle poczuła w swojej ręce ciepłą dłoń Harry'ego.

– No chodź już, *mommy*, jego tutaj nie ma! – powiedział chłopiec fałszywie słodkim głosem. – Tu jest tylko policja! Patrz, *mommy*, jakie oni mają piękne mundury!

Dzieciak przypatrywał się żołnierzom z niewinnym podziwem, ale jednocześnie uszczypnął Kathleen w rękę.

– Płacz! – syknął.

Dziewczyna rozszlochała się jak na zawołanie. Przyszło jej to znacznie łatwiej niż wymuszone, sztuczne uśmiechy.

Harry ciągnął ją w kierunku wyjścia.

– Łaskawy panie, wypuście nas stąd! – zwrócił się uniżenie do krępego milicjanta, który pilnował drzwi. – Nie znaleźliśmy tu naszego *daddy*. Ale musimy szukać dalej, bo inaczej przepije wszystkie pieniądze, które dał nam dziadek...

Chłopak szarpnął suknię Kathleen. Ona też musiała udawać! Nie mogła przecież zdać się całkowicie na to dziecko, które tak dzielnie próbowało ją stąd wydostać.

Dziewczyna zaczęła głośno jęczeć.

– Chciał jeszcze zastawić konie! – poskarżyła się żałośnie. – Możecie to sobie wyobrazić, panie? A to były pieniądze na nasze długi... A sama dzierżawa i czynsz! Jak nie znajdziemy szybko Paddy'ego, to lord wyrzuci nas na ulicę...

Harry płakał teraz głośno, wtórując Kathleen. Jego dziecinne szlochanie zmięczyłoby kamień, nie tylko ludzkie serce. Milicjant otworzył drzwi. Płacz dziecka najwyraźniej działał mu na nerwy, a kobietami się nie interesował. Wszystko wskazywało na to, że Billy nie powiedział nic na temat Kathleen, kiedy sypnął Michaela. Chociaż tyle...

– Zabieraj się stąd, babo – warknął żołnierz. – I mam nadzieję, że znajdziesz tego chłopca... Tacy oni są, każdy wasz Paddy i Kevin, i inni... Tylko chleją i zastawiają wszystko, nieroby!

Kathleen nie słuchała. Nie była w stanie choćby wyjęczeć słowa podziękowania, kiedy Harry, powtarzając w kółko: „Niech was Bóg wynagrodzi, panie!”, wyciągnął ją z pubu. Gdy tylko znaleźli się na dworze, chłopak natychmiast przestał płakać.

– Dokąd chcesz teraz iść? – spytał dziewczynę rzeczowo.

Michael uciekł korytarzem. Tylne wyjście łatwo było znaleźć – w końcu Barney już po raz trzeci wybiegł tędy na zewnątrz z butelkami whiskey. Choć po otwarciu drzwi okazało się, że jest za nimi dziedziniec otoczony wysokim murem. Michael gorączkowo wypatrywał w mroku jakiejś możliwości wydostania się poza mur. Ale dziedziniec zawalony był wszelkiego rodzaju rupieciami, pustymi butelkami, beczkami i starymi meblami. Najwyraźniej Barney odstawił tutaj to wszystko, czego już nie potrzebował w pubie, ale czego z różnych względów nie chciał jeszcze

wyrzucać. Trudno było cokolwiek rozpoznać w tak kiepskim oświetleniu. Ale tam, tam było wyjście!

Michael pobiegł w stronę solidnej drewnianej bramy i z rozpędu uderzył w nią całym ciałem, lecz brama była zamknięta. Zaczął rozpaczliwie szukać jakiejś klamki, pod którą mógł być zamek z tkwiącym w nim kluczem, ale daremnie...

– Barney!

Wołanie było bezcelowe. Barney był teraz w pubie i udawał niewinnego, jak tylko mógł, a może też już uciekł przez te drzwi? Zapewne wiedząc, że jeśli zamknie za sobą bramę, to w ten sposób rzuca Michaela na pożarcie wilkom.

W pubie angielskie czerwone spódnice – tak nazywano angielską milicję – przeszukiwali już kolejne pokoje. Było tylko kwestią czasu, kiedy pojawią się na dziedzińcu. Michael musiał podjąć szybką decyzję. Ukryć się w rupieciach czy też próbować wspiąć się na mur? Pierwszy pomysł był bez sensu, milicjanci będą przeszukiwać nie tylko pub, ale też wszelkie możliwe kryjówki. Właśnie na dziedzińcu mogła się znajdować ukryta whiskey – bo gdzie indziej? Droga ucieczki musiała więc prowadzić przez mur. Gdyby stanąć na jedną z beczek... Albo postawić beczkę na stole...

Ruchy Michaela były błyskawiczne. Niestety, pierwszy stół załamał się pod ciężarem już samej beczki. Drugi wytrzymał. Chłopak wspiął się na chwiejną konstrukcję i próbował utrzymać równowagę. I wtedy właśnie na dziedzińcu pojawili się żołnierze. Michael modlił się w duchu, aby go nie dostrzegli w ciemnościach, ale mężczyźni mieli ze sobą latarnię.

– Tam jest!

Stojąc na beczce, Michael z rozpaczliwą odwagą próbował wspiąć się na mur. Ale wówczas zabrzmiał strzał. Poczul ostry zapach prochu, ale nie przerwał swoich wysiłków.

Jednak było już za późno. Jeden z żołnierzy podbiegł do stołu i przewrócił go kopniakiem. Michael próbował przytrzymać się muru, lecz ten po lodowatych deszczach ostatnich dni pełen był zwietrzałych, ruchomych kamieni. Jego palce ześlizgnęły się po murze i chłopak upadł na ziemię.

– Michael Drury? – spytał żołnierz, poderwawszy go jednym ruchem na nogi.

Michael nie odpowiedział ani słowem.

– Nie wiem – wyszeptała Kathleen. – Na... na nabrzeże. Jeśli Michael...

– No, może go nie dopadną – powiedział Harry z powątpiewaniem. – Będzie lepiej, jeśli się tego zaraz dowiemy. Zanim im powie, że ty czekasz przy nabrzeżu.

– On mnie nie zdradzi! – oburzyła się Kathleen.

Harry wzruszył ramionami. Wydawał się nad czymś zastanawiać.

– Uważaj, lady, i idź za mną. Zaprowadzę cię do Daisy. Tam nie będziesz nikomu

rzucac się w oczy... No, może trochę, jeśli dalej będziesz tak wyglądać. Ale jakoś to będzie. Nie pokazuj tylko nikomu twojej sakiewki, bo szybko ją stracisz...

Chłopiec nagle wepchnął ją energicznie w boczną, ciemną uliczkę, choć Kathleen się broniła, kiedy usłyszała hałasy dobiegające z tawerny Barneya.

Strzał!

– Michael... Michael... Ja muszę do niego – jęczała dziewczyna rozpaczliwie.

Harry przytrzymał ją za suknię z zaskakującą u dziecka siłą.

– Nie pójdziesz, dopiero co cię stamtąd wywlokłem i już chcesz wracać? Zwariowałaś?! Jeszcze i mnie zaczną ścigać, jak się dowiedzą, kim jesteś!

– Ale ja...

Ciekawość Harry'ego dorównywała rozpaczycy Kathleen. Chłopiec przestał ją szarpać, ale przycisnął ją do ściany w jakimś kącie muru. Oboje wyjrżeli zza ściany w stronę pubu, skąd znów dobiegały hałasy i głośne wołania. A potem drzwi pubu się otworzyły i dwóch milicjantów wywlokło stamtąd mężczyznę, który ciągle usiłował się bronić. Michael był związany, ale najwyraźniej nie został ranny.

– Mówiłem przecież, że go dopadną – wyszeptał Harry, a potem energicznie ujął Kathleen za rękę. – Chodź, nic nie możesz mu pomóc. Nie powieszają go przecież tak od razu! Jutro możesz popytać, dokąd go zabrali. Ale teraz – jazda stąd, uciekamy!

Kathleen nie była w stanie nawet myśleć. Była jak otępiała z przerażenia i lęku o los Michaela. Co oni z nim zrobią? Czy Harry mówił poważnie o wieszaniu? Przecież nie można kogoś powiesić tylko za to, że ukradł trzy worki ziarna!

Harry pociągnął ją do domu, nad którego wejściem wisiał szyld z czerwonym napisem: „Daisy”. Tylko tyle, ale nie trzeba było mieć zbyt bogatej wyobraźni, aby się domyślić, co się za nim kryło.

Kathleen była coraz bardziej przerażona.

– Ale to jest... przecież nie mogę...

– Miss Daisy nic ci nie zrobi – uspokoił ją Harry. – A dziewczyny na pewno też nie. W każdym razie one nie okradają biedaków, a mnie nawet dają cukrowe laski. No, chodź!

Kathleen z bijącym sercem weszła do ciemnego korytarza za wejściem, ale o tej godzinie nic się tu nie działo. Harry wepchnął ją na schody, które prowadziły do kolejnego ciasnego korytarza, gdzie znajdowały się drzwi do pokojów. Zza jednych dobiegały śmiechy i rozmowy. Chłopiec zapukał, ale otworzył drzwi dopiero wtedy, kiedy nikt nie zareagował na jego pukanie.

– Miss Daisy? Jest tu jedna dziewczyna, ze wsi. Ona jest od tych bimbrowników, to ukochana Michaela Drury'ego. A jego właśnie dopadli i zabrali do więzienia, no i ona nie bardzo wie, dokąd ma pójść.

Kathleen stała z opuszczoną głową, ale choć była tak wystraszona, zerkała ciekawie zza swojego szala. Dostrzegła pomieszczenie pełne luster, tandetnej biżuterii

i kolorowych fatalaszków. Było to chyba coś w rodzaju przebieralni. Cztery czy pięć dziewcząt, niezbyt kompletnie ubranych, próbowało właśnie za pomocą jaskrawoczerwonych podwiązek i takich samych sukienek z falbanami zamienić się w kolorowe nocne ptaki. Jedna z dziewcząt wiązała sobie gorset, druga malowała się przed lustrem.

Tak mniej więcej Kathleen wyobrażała sobie drogę do piekła. Choć co prawda dziewczyny nie sprawiały wrażenia diabłów, lecz wyglądały całkiem zwyczajnie. Niektóre nie były już tak młode, jak się wydawało na pierwszy rzut oka. A już zwłaszcza kobieta, do której zwrócił się Harry, na pewno dawno przekroczyła czterdziestkę.

– I my mamy ją ukryć? A kim ja jestem? I co ja tu mam? Hotel?

– Nie ukryć – wyszeptła Kathleen. – Nikt... Nikt mnie nie szuka. I ja wcale nie chciałam... Mogę sobie zaraz pójść... – Dziewczyna odwróciła się gwałtownie, ale kobieta się roześmiała.

– Ach, no i dokąd pójdziesz? Mała, ty sama na ulicy, i jeszcze w tej dzielnicy... Chłopcy chętnie wezmą sobie za darmo to, za co tutaj muszą płacić. A Michaela znam, to uczciwy chłopak. Whiskey od niego zawsze była w świetnym gatunku, a zwłaszcza ta ostatnia...

Kathleen westchnęła. A więc także do takiego lokalu Michael dostarczał pędzony w górach bimber. Jak te kobiety za to płaciły? Poczula coś w rodzaju rosnącej wściekłości.

Ale Miss Daisy – starsza kobieta była chyba właścicielką burdelu – przy słowie whiskey przyszło coś na myśl. Szybko wyciągnęła butelkę spod jednego z zastawionych kosmetykami stołów, naląła szklankę i podała Kathleen.

– Masz, napij się! Wyglądasz tak, jakbyś zobaczyła upióra.

– Ja muszę chyba iść – odezwał się Harry.

Miss Daisy uśmiechnęła się do niego przyjaźnie i z tego samego schowka wyciągnęła cukrową laskę.

– Ale nie bez prowiantu na drogę, mały! – roześmiała się. – To jedyny mężczyzna, którego wszystkie tu kochamy – wyjaśniła, zwracając się do Kathleen. – Dziewczyny już teraz się kłócą, która z nich dostanie go jako prawiczka do łóżka.

Kathleen znów się zaczerwieniła, ale Harry wyszczerzył zęby, uśmiechając się szeroko do dobrodusznej właścicielki burdelu.

– Nic z tego, Miss Daisy, ja poszukam sobie przyzwoitej dziewczyny, tak jak Michael. On mi kiedyś powiedział tak: „Harry, poszukaj sobie dobrej dziewczyny” – tak mi powiedział! A potem opowiadał mi o swojej ukochanej, o jej pięknych oczach, zielonych jak łąki Irlandii, i o jej złotych włosach...

Miss Daisy roześmiała się jeszcze głośniej i delikatnie ściągnęła szal z głowy Kathleen. Dziewczyna chciała się cofnąć, ale szal opadł jej na ramiona, odsłaniając

włosy i twarz.

Miss Daisy gwizdnęła cicho, a dziewczyny także krzyknęły z podziwu.

– Dobry Boże! – westchnęła właścicielka burdelu. – Zjawia się jakaś dziewczyna ze wsi i każdy się spodziewa, że będzie to jakaś szara myszka, a tu stoi przed nami prawdziwa księżniczka. Chyba cię dobrze karmił ten twój Michael...

Taksujące spojrzenie Miss Daisy przesunęło się po całej sylwetce Kathleen, a dziewczyna opuściła szal. Brzuch miała właściwie jeszcze płaski, ale coś w jej postawie pozwoliło doświadczonej właścicielce burdelu wyciągnąć właściwe wnioski.

– O, moja mała! A ja już miałam nadzieję, że zwerbuję cię tutaj do pracy... Ale krótko byłby z ciebie jakiś pożytek. Czy to Michael jest tym szczęśliwcem?

– Oczywiście, że Michael! – zachnęła się Kathleen. – A co pani sobie myśli? Ja... My... My chcemy się pobrać... W Ameryce... My...

Nagle poczuła, że wreszcie będzie w stanie się rozplakać. I rozsłochała się nad szklanką whiskey podsuwaną jej przez Daisy. Niewiele myśląc, chwyciła szklankę i upiła trochę ciemnego płynu. Był to pierwszy łyk whiskey w jej życiu i palił w gardle jak ogień. Kathleen się zakrztusiła.

– Tak, to chyba ci wystarczy na dziś – skostatowała Miss Daisy. – Nieprędko zobaczysz swojego chłopaka, a przynajmniej nie na wolności. Będiesz mogła go odwiedzić w więzieniu, jeśli dasz strażnikowi kilka pensów. Ale zanim go wypuszczą, o ile w ogóle wypuszczą... To twoje dziecko będzie już duże.

– O ile w ogóle wypuszczą? – spytała Kathleen przerażona. – Myśli pani, że go powieszą? Dobry Boże, przecież nie mogą kogoś powiesić tylko za to, że ukradł trzy worki ziarna!

– O, jeszcze w dodatku coś ukradł? – westchnęła Daisy. – Oj, dziecko, dziecko... Ale nie, powiesić to go nie powieszą. Tylko go gdzieś ześlą na wygnanie. Botany Bay, Ziemia van Diemena... Nigdy o tym nie słyszałaś, mała?

Kathleen próbowała jednocześnie przytaknąć i potrząsnąć głową. Oczywiście słyszała coś niecoś o koloniach. O Australii, dokąd Anglicy zsyłali swoich skazańców na przymusowe roboty. Ale tego... tego przecież nie mogli zrobić z Michałem!

– Jak dostanie więcej niż siedem lat, to masz pecha – stwierdziła Daisy. – A tyle wlepią mu na pewno, zwłaszcza że kradł. Szkoda chłopaka... A ciebie też mi żal. Mimo wszystko możesz tu zostać, jeśli chcesz. W którym miesiącu właściwie jesteś? Dopiero w początkach, co? To możesz się jeszcze tego pozbyć.

Kathleen wlepiła w nią przerażone oczy. Pozbyć się dziecka? Czy ona oszalała?

– Znam jedną kobietę, która to dobrze robi. Rzadko kiedy coś jej nie wychodzi... Ale dobrze, dobrze, widzę już, że to w ogóle nie wchodzi w grę.

Kathleen znów zaczęła płakać. Ale teraz otoczyły ją wszystkie dziewczyny, a jedna z nich troskliwie objęła ją ramieniem. Kathleen z odrazą spojrzała na jej ostro wymalowaną twarz, ale pod warstwą pudru i szminki zobaczyła rysy starszej

kobiety, która wydawała się o wiele bardziej opiekuńcza niż Daisy.

– No, niech ta mała się wreszcie uspokoi – powiedziała łagodnie kobieta. – Biedactwo nawet nie wie, czego chce...

– Michael! – szlochała Kathleen. – Ja chcę do Michaela... a dziecko też go potrzebuje... Przecież nie mogą go...

– Spokojnie... spokojnie. – Kobieta kołysała Kathleen w ramionach. – Co ty na to, żebyśmy poszły jutro poszukać twojego Michaela?

Kathleen spojrzała na nią z nadzieją.

– Poszukać? Macie na myśli: odwiedzić? Gdzie? W...

– W więzieniu, mała, powiedz to słowo. I najpierw musimy go odnaleźć, bo może tak być, że go tu nie zatrzymali, tylko zawiozą z powrotem do wsi. Albo może do Dublina. Ale nie sądzę, że to tak prędko nastąpi. W każdym razie rozejrzemy się. Może będziesz mogła go zobaczyć. Ale teraz już nie płacz, to nie jest dobrze dla tego małego robaczka, kiedy jego mama płacze i jest smutna...

Kobieta wzięła leżącą na stole chusteczkę z licznymi śladami szminki i pudru, po czym wytarła nią łzy z twarzy Kathleen.

– A tak w ogóle to mam na imię Bridget – powiedziała. – Nie musisz zwracać się do mnie tak oficjalnie. A ty jak się nazywasz?

– Kathleen – wyszeptała dziewczyna przez łzy. – Mary Kathleen.

Jeszcze nigdy tak bardzo nie potrzebowała opieki swej boskiej imienniczki.

## ROZDZIAŁ 5

Wyczerpana Kathleen zasnęła w końcu w pokoju służącym dziwkom jako przebieralnia, na górze znoszonych, śmierdzących potem i tanimi perfumami sukienek. Zawinęła się w swój szal i odsunęła ze wstrętem sprany koc, który przyniosła jej Bridget. Choć przecież ten koc pachniał jak świeżo wyprany.

Ale Kathleen najchętniej nie dotykałaby niczego, co według niej było związane z grzechem. I mimo zmęczenia w nocy budziła się kilka razy przerażona, kiedy usłyszała głośny śmiech mężczyzn albo piski kobiet. W miarę upływu nocnych chwil głosy wskazywały na to, że mężczyźni byli coraz bardziej pijani.

Jednak Bridget wyglądała rankiem tak, jak gdyby nie zrobiło to na niej najmniejszego wrażenia. Kiedy obudziła Kathleen, sprawiała wrażenie osoby wypoczętej i pełnej życia, której można było naprawdę zaufać, zupełnie inaczej niż wczoraj wieczorem. Zamiast wyzywającej czerwonej sukni miała na sobie zwyczajną niebieską sukienkę, a na brązowe, mocno kręcone włosy włożyła też porządną kapelusz. Gdyby nie gruba warstwa pudru, za pomocą której usiłowała zapewne ukryć ślady zbyt długich nocy, można by ją wziąć za zwykłą gospodynię domową.

– No chodź, Mary Kathleen! – powitała dziewczynę z uśmiechem. – Zobaczymy, co da się zrobić dla twojego Michaela...

Kathleen nerwowo przejechała ręką po swych bujnych, złotych włosach. Wyglądała pewnie okropnie. Dokładnie tak, jak jej sprana, a teraz w dodatku brudna i pognieciona suknia. Jak mogła zasnąć na tej kupie bielizny!? Z pewnością śmierdziała teraz tymi tanimi, okropnymi perfumami.

Bridget, uśmiechając się, podała jej grzebień.

– Weź to, dziewczyno, żadna z nas nie ma wszy. Może ci się tu wszystko wydaje szokujące, ale to naprawdę mały i miły burdelik. Bóg jeden wie, ile większego zła dzieje się dookoła! Nawet Daisy nie jest tak surowa, jak ci się wydaje...

– Ale... ale... Gdzie one teraz są? – wystękała Kathleen. – Te wszystkie dziewczyny... i mężczyźni?

Bridget się roześmiała.

– Chwalić Boga, nasi klienci są już w swoich domach! Tutaj żadnemu nie pozwalamy spać. A dziewczyny są w swoich pokojach. Większość z nich ma za sobą długą noc. Ja nie, na mnie już tak nie leca. Ale mimo to Daisy pozwoliła mi zostać. Jeden czy dwóch chłopów na noc to wystarczy, żeby pojąć, ile się ma lat, i dlatego ja jestem nieco tańsza. A poza tym trochę tu sprzątam i pilnuję, żeby wszystko było zgodne z prawem. Jesteś gotowa, mała? Powinnyśmy zajrzeć do więzienia, jeszcze

zanim wyślą twojego kochasia do Dublina czy gdzie indziej.

Kathleen jako tako uporządkowała włosy i owinęła się znów szalem, jak gdyby chciała się za nim schronić. Było to jak najbardziej wskazane, kiedy znalazły się na ulicy, bo tego dnia panowało przenikliwe zimno.

– Twój ukochany będzie marznąć w celi – stwierdziła Bridget, a w jej głosie słychać było współczucie. – Masz trochę pieniędzy?

Kathleen nie wiedziała, co ma odpowiedzieć na to pytanie, bo z jednej strony Harry ostrzegał ją, aby nikomu nie mówiła o sakiewce, a z drugiej strony Bridget nie sprawiała wrażenia złodziejki.

– Pytam, bo oficerów można przekupić – wyjaśniła Bridget, która dostrzegła wahanie dziewczyny. – Ta ciupa w Wicklow może oznaczać zarówno piekło, jak i porządny pokój. Ale kto chce mieć ciepło i coś do przegryzienia od czasu do czasu, musi płacić. Zupełnie jak w hotelu. Za odwiedziny też musisz zapłacić. Choć co prawda, to akurat jest tanie i ja chętnie dam ci na to pensa...

Kathleen poczuła, jak ogarnia ją jednocześnie fala sympatii do tej kobiety i wstydu. Bo przecież Bridget, która w ogóle jej nie знаła, była gotowa oddać jej swój naprawdę ciężko zapracowany grosz. A ona, Kathleen, zamiast podziękować, patrzyła na nią z góry i nie ufała jej!

– Nie, nie trzeba, mam pieniądze – wyjaśniła pośpiesznie. – Ale... Ale dziękuję ci. A ty...ty... ja nie myślę, że ty pójdziesz do piekła – dodała.

Bridget w odpowiedzi zaśmiała się głośno i piskliwie.

– Dziecko, ja już tam byłam! I to nieraz, częściej, niż ci się zdaje. Gdyby Bóg albo diabeł chcieli mnie po śmierci czymś jeszcze zaskoczyć, to doprawdy musieliby zadać sobie cholernie dużo trudu!

Kathleen próbowała się uśmiechnąć, ale była na to zbyt przerażona. Bridget wydała jej się przed chwilą kobietą honorową, ale teraz bluźniła, obrażała Boga i wzywała diabła!

Bridget prowadziła Kathleen uliczkami portowego miasta; dzielnica, w której znalazły się teraz, nie robiła już wrażenia tak biednej. A osławione więzienie Wicklow Gaol znajdowało się na południowym krańcu miasta, tuż obok budynku sądu.

Kathleen była zmęczona i zmarznięta, kiedy tam wreszcie dotarły.

– No popatrz! Oto nasze nowe więzienie, zbudowane dopiero przed dziesięcioma laty. Poprzednie niemal się zawaliło i musieli je szybko rozebrać. Ale to akurat jest bardzo nowoczesne... Już nie chłozczą tam tak jak dawniej, za to wysyłają chłopców do pracy w kieracie. Mówią, że to bardziej humanitarne. I tylko karcer jest tak samo straszny jak poprzednio...

Kathleen nie rozumiała, o czym mówi Bridget, ale już sama fasada wysokiego kamiennego muru otaczającego więzienie budziła w niej nieokreślony lęk.



Ale Bridget tego nie zauważyła. Szła zdecydowanym krokiem prosto w kierunku budki strażnika i odważnie, bez żadnych wstępów poprosiła o pozwolenie wejścia. Wydawało się, że odźwierny zna ją doskonale.

– No, Bridie, to znów ty? Co, zamówiłyście pokój dla jednego z wielbicieli waszych laleczek? A może tylko dla twojego ukochanego? – powitał ją złośliwie.

W odpowiedzi Bridget uśmiechnęła się szeroko i rzekła:

– Ależ co ty, Warden! Ja poderwę sobie najwyżej jednego z tych, co chodzą w czerwonych spódnicach. Jak miałby pójść na stryczek, to niech lepiej ma coś w kieszeni!

Mężczyzna zaśmiał się dobrodusznie i wpuścił je obie do środka. Kathleen poszła za Bridget przez ciemny korytarz wprost do głównego budynku, przy którym dziwka znów wdała się w rozmowę z kolejnym strażnikiem. Żartowali oboje bez troski, ale strażnik spoważniał, kiedy wymieniła nazwisko Michaela.

– Ten złodziej z hrabstwa Wicklow? Bimbrownik?

– Michael nie jest bimbrownikiem! – wtrąciła się Kathleen.

Bridget szybkim ruchem ręki nakazała jej milczenie, za to strażnik w zdumieniu uniósł do góry brwi.

– Ta dziewczyna chyba postradała zmysły... – stwierdził krótko. Przestał zwracać uwagę na towarzyszkę Bridget i mówił dalej: – Ten typ to twardy orzech, Bridie! Wychłostali go aż do krwi, i to od razu wczoraj wieczorem! Milicjanci byli wściekli, bo się bronił jak oszalały. Całą drogę musieli go wlec, bo nie chciał zrobić ani kroku sam. I w dodatku umie milczeć! Dotychczas nie powiedział ani słowa, mimo bicia! A oni oczywiście chcieli z niego wydobyć, gdzie jest ta kryjówka bimbrowników w górach. Znaleźli też whiskey w różnych pubach – oczywiście nie tak wiele, ile ten typ jej sprzedał. Ale ważniejsza była destylarnia.

– Michael w ogóle nie wie... – zdołała się znów wtrącić Kathleen.

Teraz strażnik zwrócił uwagę także na nią i przyjrzał jej się bacznie.

– Jesteś chyba z jego bandy, co, dziewczyno? – spytał podejrzliwie. – I co, pewnie pomagałaś trochę przy pędzeniu?

– Ach, bzdury, ta mała nie ma o niczym pojęcia! – oświadczyła rezolutnie Bridget.

– Przyszła tu prosto ze swojej wsi nad Vartry River, bo ten chłopak starał się o nią, i to bardzo poważnie. No i teraz spadła z obłoków wprost na ziemię. To przyzwoita dziewczyna. Powinni ją wpuścić za darmo do ukochanego, na pewno ma wielki wpływ na chłopaka.

Strażnik się roześmiał.

– Próbujesz wszystkich swoich sztuczek, Bridie! Ale mnie jest cholernie obojętne, czy ten typ zacznie gadać, czy nie. Już ma w kieszeni bilet na Ziemię van Diemena – albo do jakiegoś innego miejsca, gdzie zsyła się skazańców. Bo Botany Bay, Zatoka Botaniczna, jest już chyba zamknięta. I czy ta mała zamierza się z nim modlić, czy

całować – i tak kosztuje to jednego pensa.

Kathleen szybko wygrzebała z kieszeni kilka monet – już wcześniej wyjęła je z wypchanej sakiewki, którą ukryła głęboko pod suknią. Odetchnęła głęboko.

– Miss Bridget powiedziała, że możecie coś zrobić dla Michaela, prawda? Może jakaś lepsza cela... Lepsze jedzenie...

Oficer wzruszył ramionami.

– Mała lady, on najpierw musi wyjść z karceru. Dopóki się z nim zabawiają, to ja nic nie mogę dla niego zrobić. A jeśli dalej będzie taki uparty, będzie to trwało tak długo, aż zacznie się sprawa w sądzie. Ale potem zostanie tutaj jeszcze parę miesięcy – statki nie wypływają przed końcem marca, zimą morze jest za bardzo rozszalałe. Może będę mógł mu osłodzić ten czas...

– Ale teraz przyprowadźcie go do niej! – zdecydowała Bridget. – A może ta mała ma sama iść do karceru?

Strażnik skinął głową, wzruszając ramionami.

– Nie da się inaczej, on jest w kajdanach. Ale teraz akurat jest dobry moment, milicjanci jedzą śniadanie, a przy jedzeniu chętnie wypiją parę łyków whiskey. Chodź, mała!

Kathleen, drżąc, ruszyła za mężczyzną przez mroczne korytarze i schody; po chwili zeszli do piwnic o wysokich kamiennych sklepieniach. Każdy krok odbijał się głośnym, niesamowitym echem. Dziewczyna milczała, podobnie jak oficer, który wydawał się zadowolony z tego, że prawie nikogo po drodze nie spotkali. Tylko raz minął ich drugi strażnik, prowadzący przed sobą grupę obdartych więźniów, z których niemal żaden nie śmiał podnieść głowy. Kilku z nich musnęło postać Kathleen ukradkowymi spojrzeniami, podczas kiedy dziewczyna kryła się, jak mogła, pod swoim szalem.

– No... to tutaj...

Mroczny korytarz przed celami karceru był skąpo oświetlony płomieniami oliwnych lampek. W samych celach panowała niemal całkowita ciemność – więźniom dawano tylko jedną świecę. Kathleen wpatrywała się w mrok, kiedy wpuszczono ją do środka jednej z nich.

– Zaczekaj tutaj – mruknął strażnik i wniósł do celi jedną latarnię wziętą z korytarza. – Skoro tu już jesteś... To powinnaś choć zobaczyć swojego ukochanego. To kosztuje pół pensa więcej.

– Ale musicie wtedy zostawić tu tę latarnię!

Kathleen nie wiedziała, co się z nią dzieje. Nigdy nie sądziła, że znajdzie w sobie tyle odwagi i tupetu, aby powiedzieć coś takiego. Ale Michael... Zadygotała z przerażenia, kiedy dostrzegła na wiązce słomy jakąś postać. Ona musiała o niego walczyć, bo Michael nie miał nikogo oprócz niej!

– Skoro tu już jesteś? – usłyszała wypowiedziane nieufnym głosem słowa, kiedy

tylko strażnik wyszedł. – Co takiego zrobiłaś, że cię tu wpuszczono, Kathie?

Kathleen przykucnęła obok niego na słomie. Nie mogła się wprost doczekać, aby wreszcie móc wziąć Michaela w ramiona. Ale teraz spojrzała na niego z wściekłością.

– Co ty sobie myślisz, Michaelu Drury? Że będę się zachowywać jak dziewczyna lekkich obyczajów tylko dlatego, że teraz w oczach wszystkich uchodzę za kochankę łotra?

– Kathleen... – Michael się podniósł. – Przebacz mi, Kathleen. To była... To była bardzo długa noc.

Próbował, siedząc, oprzeć się o ścianę, ale Kathleen dostrzegła, że jego koszula na plecach kleiła się od krwi i że krew wsiąkła w słomę. Dopiero teraz zauważyła kajdany na rękach i nogach Michaela.

– Oni cię... wychłostali? – spytała przerażona.

Michael potrząsnął głową.

– Zostaw to, Kathie, nie mówmy teraz o tym. Mogę ci tylko powiedzieć, że jest mi strasznie przykro i żal. To było... Dobry Boże, ostatnie, czego bym pragnął, to zepsuć ci opinię i okryć cię złą sławą. Chciałem się z tobą ożenić, Kathleen. Zacząć nowe życie, wychowywać z tobą nasze dziecko. I nie nazywaj mnie, proszę, łotrem, Kathie! Nikomu nie zrobiłem nic złego, nigdy nie wdałem się w żadną bójkę, nikogo nie oszukałem – każdy tutaj ci powie, że jestem uczciwym człowiekiem.

Kathleen uśmiechnęła się blado.

– Gdybyś nie kradł zboża i nie sprzedawał nielegalnie pędzonej whiskey...

– A czy to nie jest nasze prawo, jako Irlandczyków, pędzić i sprzedawać własną whiskey, w naszym własnym kraju? Czy nie wolno nam jeść ziarna – albo pędzić z niego whiskey – skoro je sami zasialiśmy i zebraliśmy? Gdyby Irlandia należała do Irlandczyków, nie byłoby klęski głodu! Nie, Kathleen, ja się tego nie wstydzę! I ty też nie powinnaś się wstydzić z mojego powodu!

Michael ujął ją za ramiona i spojrzał jej twardo w oczy. Kathleen poczuła wręcz lęk. Tak poważnie jeszcze nigdy z nią nie rozmawiał.

– Oni mnie ześlą do kolonii, Kathleen, pójdę na wygnanie – powiedział Michael. – Nie mogę się z tobą ożenić, nie mogę zrobić nic, abyś była szanowaną kobietą i żoną. Choć ty dla mnie jesteś godna czegoś więcej niż szacunku – ty jesteś dla mnie święta! I wiem, że ty wychowasz nasze dziecko w godności. Ufam ci! – Pocałował ją w czoło, jak gdyby chcąc przypieczętować ich związek.

Przytaknęła w milczeniu.

– Co z pieniędzmi, Kathleen? Masz je? – spytał Michael.

– Tak – szepnęła cicho. – Tylko co mam teraz robić? – dodała.

Chłopak przyciągnął ją do siebie i objął ramionami. Jego objęcia były jak zawsze pełne tkliwości i troski. Ale nie były odpowiedzią.

Jeden pens dla strażnika oznaczał całą godzinę i w czasie tego krótkiego czasu

Kathleen i Michael żegnali się na całe życie. Nie mówili wiele. Trzymali się ostrożnie w objęciach i milczeli. Michael położył rękę na jej brzuchu, jak gdyby próbując poczuć ruchy dziecka.

– Czy nazwiesz go Kevin? – spytał. – Po moim ojcu...

Kathleen zastanawiała się w duchu, czy powinna dać dziecku imię znanego bimbrownika, ale pomyślała, że to przecież piękne i święte imię. Pomyślała o wszystkich opowieściach o świętym Kevinie, słyszanych z ust ojca O'Briena. O tym, że był to człowiek silny i piękny, ale także delikatny i mądry, że u jego stóp leżały zarówno morskie potwory, jak i jagnięta, a ptaki wysiadywały jaja w jego rękach.

Skinęła więc głową i pocałowała Michaela po raz ostatni. To musiało wystarczyć na całe życie. Kathleen próbowała nie płakać, kiedy opuszczała ciemną celę.

– Chciałbym zachować w pamięci twój uśmiech! – wyszeptał Michael.

Uśmiechnęła się przez łzy. Ale wtedy przyszło jej coś do głowy. Szybkim ruchem owinęła sobie wokół palców kilka pasm swoich włosów i wyrwała je – dokładnie w ten sam sposób, w jaki mężczyźni skracali grzywy swoich koni.

– Masz... – Podała mu wyrwany kosmyk. – Nie wiem, czy będziesz mógł to zatrzymać. Ale jeśli...

Michael podniósł jej rękę do ust.

– Będę o to walczył! – zapewnił ją i spróbował wyrwać pasmo swoich włosów. Jednak nie były one dość długie. Zacisnął więc zęby i po prostu wyrwał kosmyk włosów przy skórze.

– Michael! – krzyknęła Kathleen przestraszona. Nie chciała, aby cierpiał jeszcze bardziej.

– To dla ciebie, kochana. Nigdy mnie nie zapomnij!

Strażnik chrząknął, kiedy pocałowała Michaela raz jeszcze – w czoło, bo nie chciała, aby ktokolwiek był świadkiem ich czułości.

Michael trzymał jej rękę do chwili, kiedy ją cofnęła.

– Będę cię kochać zawsze! – obiecał twardym głosem.

– Wróć! – krzyknął, kiedy już była na korytarzu. – Dokądkolwiek mnie ześlą, wróć!

Kathleen nie odwróciła się. Wiedziała, że rozplakałaby się, a tego nie chciała.

„Ty wychowasz nasze dziecko w godności, ufam ci”. On tak powiedział. A ona mu to obiecała i musiała dotrzymać słowa.

– No i co? – spytała Bridget.

Opuściły już Wicklow Gaol i Bridget zaciągnęła dziewczynę do pierwszej otwartej garkuchni. Kathleen była przerażająco blada, więc Bridget uznała, że musi napić się koniecznie gorącej herbaty, najlepiej z dodatkiem whiskey.

Dziewczyna sączyła teraz w milczeniu gorący napój.

– Co ja mam teraz robić? – spytała bezradnie. – Wiem tylko... Wiem tylko, że na pewno nie pozbędę się tego dziecka. To... Jak Daisy mogła w ogóle o czymś takim pomyśleć? Bridget, ja... Chyba nie chcę do niej wracać.

Bridget wzruszyła ramionami.

– Daisy nie jest taka zła. I dla ciebie też nie chciała niczego złego, uwierz mi. Wie tylko aż za dobrze, co cię czeka, kiedy urodzisz bękarta. Bo tak będą nazywać twoje dziecko, mała, bez względu na to, czy zostało poczęte z miłości. A to nie oznacza nic dobrego dla dziecka, Kathleen. Ja sama jestem bękartem! I często przychodziło mi do głowy, że byłoby błogosławieństwem, gdyby moja matka zabiła mnie, kiedy jeszcze byłam w jej łonie. Ale przecież nikt cię do tego nie zmusza. A już na pewno nie Daisy. Czy powinnaś do niej wrócić...

Kathleen popatrzyła na Bridget wielkimi, przerażonymi oczyma. A ona spokojnie mówiła dalej:

– Patrz, mała, tak naprawdę masz trzy możliwości. Pierwsza to ta, że zostaniesz tutaj. Tak, u Daisy, ona już ci zaoferowała miejsce. Jesteś przepiękną dziewczyną i Daisy zarobiłaby na tobie majątek, przez kilka lat byłby to świetny interes. Mogłabyś oddać dziecko komuś na wychowanie i zapłacić za to...

– Ale przecież wtedy w ogóle nie będę go oglądać! – zaprotestowała Kathleen. – I jacyś obcy ludzie będą je wychowywać!

Bridget wzruszyła ramionami.

– W burdelu też nie będziesz mogła go wychować na dobrego chrześcijanina.

– A te dwie pozostałe możliwości? – spytała Kathleen zrezygnowanym głosem.

– No, druga możliwość jest taka, że wrócisz do swojej wsi. I najmądrzej byłoby poszukać kogoś, kto chętnie weźmie przechodzony towar...

– Co masz na myśli? – spytała Kathie.

– Że znajdziesz kogoś, kto się z tobą ożeni. Mimo dziecka. Jesteś tak śliczna, że pewnie znajdzie się mnóstwo chłopów, którzy zaczną się do ciebie zalecać. A dziecko będą musieli wtedy przyjąć jako coś w rodzaju dodatku. Zwłaszcza że nie jesteś tak całkiem bez posagu, prawda? – Bridget spojrzała ostro na Kathleen. Musiała więc coś wiedzieć o pieniądzach Michaela.

Kathleen skinęła głową.

– Tak, nie jestem bez posagu – przyznała. – Ale kocham Michaela. Nie mogłabym z innym...

– Nie wiesz jeszcze, mała, co jest w stanie zrobić człowiek! – przerwała jej gorzko Bridget. – Ale dobrze, możesz pozostać niezamężna. Rodzice prawdopodobnie zrobią z twojego życia piekło, ale jeśli będziesz mieć szczęście, to może nie od razu wyrzucą cię z domu. Gdyby tak miało być, to jest jeszcze jedna możliwość.

– Jaka? – Kathleen czepiała się każdej isierki nadziei.

– Weź te pieniądze i kup bilet na podróż statkiem! – oświadczyła Bridget. – Jedź

do Ameryki, tak jak planowaliście. Ale mówię ci od razu, że nikt tak naprawdę nie wie, co cię tam czeka. Bez względu na to, co opowiadają ludzie. Ja też tego nie wiem. Być może, że to rzeczywiście jest ziemia obiecana, kraina mlekiem i miodem płynąca. Ale może też być tak, że życie tam jest jeszcze bardziej podłe i nędzne niż tutaj. A już zwłaszcza dla dziewczyny. Nie słyszałam jeszcze o kraju, w którym dziewczyny byłyby wolne. To jest ryzyko. Jeśli się zdecydujesz, to przechowamy cię do chwili wypłynięcia najbliższego statku.

Kathleen rozmyślała gorączkowo, a serce biło jej gwałtownie. Bała się. Bała się podróży na osławionych *coffin ships*, pływających trumnach, bała się nieznanego kraju... I przypuszczała, że także w Ameryce wychowywanie pozamałżeńskiego dziecka jest hańbą.

– Ale mogłabyś powiedzieć, że jesteś wdową! – Bridget wydawała się czytać w jej myślach.

Kathleen przyszedł jednak do głowy inny pomysł. Może to będzie jakieś wyjście – dla niej samej i także dla jej nowej przyjaciółki.

– A może pojechałabyś ze mną, Bridget? – spytała cicho. – Mam... Miałybyśmy pieniądze na dwa bilety. Zapłaciłabym za ciebie. A ja... Nie byłabym tak zupełnie sama...

Bridget rozmyślała dłuższą chwilę, ale potem potrząsnęła głową.

– Nie, dziecko – powiedziała cicho. – Nie mam już tyle odwagi. Nie wierzę w ten Nowy Świat, mała, ani tu, ani w niebie, nie wierzę też w żadne przebaczenie ani w hańbę. Co to biedne dziecko jest winne, że jego ojciec kradł? I to w dodatku ze szlachetnych pobudek. Ale to ci przecież w niczym nie pomoże. A ja nie mam już siły na walkę z kolejnym piekłem. Bo kto wie, co tam na nas czyha, na drugim końcu świata? – Bridget westchnęła. – To, co mam tutaj, jest mi przynajmniej znane i pewne. Nie jest to raj, ale zawsze coś lepszego, niż mają inni. Nie odważę się tego zaryzykować. Ale nie słuchaj mnie, Kathleen! Możliwe, że jestem po prostu za stara. Gdybym znów miała szesnaście lat... Może bym to zrobiła. Ale tak już nigdy nie będzie. Przykro mi, mała.

Starsza kobieta objęła Kathleen krzepiącym gestem. Dziewczyna westchnęła ciężko. Wiedziała, że sama nie odważy się na taką podróż. Ameryka nigdy nie była jej marzeniem, to było marzenie Michaela. Z nim pojechałaby wszędzie. Ale bez niego było to beznadziejne.

Kathleen wybrała drugą możliwość. Pożegnała się z Bridget i po wielu podziękowaniach ruszyła wreszcie w drogę do domu – w każdym znaczeniu długą i bardzo kamienistą. Tym razem nie zatrzymała się koło niej żadna bryczka, ale to akurat dziewczynie odpowiadało. Nie śpieszyła się. Wiedziała, że ludzie i tak będą sobie długo strzępić języki i zastanawiać się, gdzie była i co robiła.

Kiedy była w połowie drogi, z naprzeciwka nadjechał wóz czerwonych spódnic. Rozpoznała skutego Billy'ego Rafferty'ego za zakratowanym oknem krytego wozu. Czyli drugiego złodzieja też już wieziono do więzienia w Wicklow. Billy leżał na słomie i wpatrywał się tępo przed siebie. Kathleen szczelnie zakryła twarz szalem. Billy Rafferty już jej nie obchodził.

We wsi jej powrót wzbudził mniej zainteresowania, niż się spodziewała. Uwaga wszystkich skupiła się na Grainné Rafferty i jej rodzinie. Stara kucharka została ukarana z całą surowością prawa, a Trevallion, jedyny człowiek, który mógł coś dla niej zrobić, nie znał łaski.

Już po południu milicjanci wyrzucili Grainné i jej dzieci z chałupy. Kucharka płakała i błagała o litość, ale siepacze Korony byli głusi na jej prośby. Kiedy cała rodzina była już na dworze z nędznym, pośpiesznie zebrany dobytkiem, zburzyli domek, po czym podpalili gruzowisko.

Grainné i jej dzieci, szlochając, patrzyli na płonące resztki. Nie wolno im było nawet przenocować u któregoś z pozostałych mieszkańców wsi. Do wieczora musieli opuścić posiadłości lorda Wetherby.

– A wszystkiemu winien jest ten Drury... – rozpaczła Grainné, wskazując na dymiące ruiny, które były kiedyś chałupą rodziny Drurych. Choć co prawda Fiona Drury i jej dzieci nie dali milicjantom satysfakcji wyrzucenia ich z domu. Jeszcze w nocy, zaraz po uwięzieniu Billy'ego, wszyscy uciekli w góry.

– Niby tacy dobrzy chrześcijanie, a okazali się taką samą hołotą jak ich przodkowie! – pomstowała Grainné.

A przecież Fiona z pewnością też płakała, uciekając. Matka Michaela nigdy nie chciała mieszkać w górach. Ale teraz miała przynajmniej dokąd uciekać. Dla Grainné nie było już żadnej nadziei.

– Może znajdziesz w mieście jakąś posadę – pocieszała kucharkę matka Kathleen. – Twoje dziewczęta też wkrótce będą na tyle dorosłe, aby iść na służbę...

Kobiety nieśmiało podchodziły do wygnańców i wsuwały im do rąk drobne prezenty. Mrs O'Donnell z ciężkim sercem oddała Grainné ostatni worek ziarna, pochodzący z prezentów Trevalliona.

Grainné dzielnie skinęła głową w podziękowaniu. A potem ruszyła z dziećmi przed siebie...

Kathleen bez skargi zniosła wyrzuty matki i policzki wymierzone jej przez ojca. Nie powiedziała, gdzie była, rodzice i tak domyślili się tego bez trudu.

– Trevallion też już się o wszystkim dowiedział! – krzyczała matka. – A przecież byłby taką dobrą partią, Kathleen! Ale nie, ty musiałaś się zadać z tym łotrem, złodziejem i bimbrownikiem! Sporo czasu upłynie, zanim ludzie o tym zapomną, Kathleen! Mamy nadzieję, że przynajmniej jesteś jeszcze dziewicą!

Kathleen nie skomentowała także tego. Matka i tak wkrótce zauważy, że ta sprawa

to nie taka błahostka, jak sądziła.



## ROZDZIAŁ 6

Dni spędzane w karczerze przypominały piekło. Jeszcze gorzej było, kiedy dwa dni po uwięzieniu Michaela do sąsiedniej celi karczeru wsadzono Billy'ego Rafferty'ego. Teraz Michael musiał wysłuchiwać jego płaczów i krzyków w czasie przesłuchań. Oskarżyciele za wszelką cenę usiłowali wydobyć z delikwentów jakieś dokładniejsze informacje, ale o ile Michael milczał uparcie, to Billy szybko zeznał wszystko, co wiedział.

Michael z trudem znosił odgłosy uderzeń pejcza, które mimo to spadały na plecy przyjaciela; te razy bolały niemal tak samo jak te, które wymierzano jemu samemu. Już dawno wybaczył Billy'emu zdradę. To była wyłącznie jego wina. Billy ani nie potrafił się obchodzić z pieniędzmi, ani też nie był zdolny do tego, aby dalej prowadzić interes z whiskey. Wciąganie go do złodziejstwa było dużą nieostrożnością.

Michael powinien był znaleźć pomocnika w górach i sprowadzić go na dół albo też pracować z którymś z braci. Jonny i Brian umieli milczeć. Ale Michaela przerażało to, że miałby z dzieci zrobić złodziei. Za to Billy'ego nie trzeba było długo namawiać. Był wprost zachwycony, mogąc brać w tym udział.

Michael uchodził wśród straży więziennej za beznadziejnie upartego. Za karę skreślono z jego jadłospisu nawet nędzne porcje płatków owsianych, które były podstawą wyżywienia więźniów Wicklow Gaol. Boże Narodzenie 1846 spędził w ciemnym karczerze, o spleśniałym chlebie i wodzie, myśląc o Kathleen i słuchając dobiegających z sąsiedniej celi szlochów Billy'ego. Z rozpaczą czepiał się pogodnych i jasnych obrazów przeszłości. Miał przed oczami ciało Kathleen w trawie nad rzeką, przypominał sobie każdy pocałunek i każdą pieszczotę i myślał o dziecku w jej łonie. To nie może się tak skończyć! Michael był zdecydowany wrócić do Kathleen za wszelką cenę, nawet gdyby miano go zesłać na drugi koniec świata.

Zapał czerwonych spódnic, aby za wszelką cenę wydobyć kolejne zeznania z Michaela i Billy'ego, ustąpił nieco pod koniec roku. Zamiast nich w celi zjawił się któregoś dnia mężczyzna w ubraniu pamiętającym lepsze czasy i przedstawił się jako adwokat z urzędu. Michael słyszał, jak Billy, płacząc, raz jeszcze opowiadał mu całą historię. On sam nadal milczał. Nie wierzył, że ów podejrzany adwokat będzie w stanie cokolwiek dla niego zrobić. Karą za złodziejstwo było zesłanie i Michael wiedział, że skazą na to ich obu. A wymiar kary był mu raczej obojętny. Kto lądował w Australii, nie wracał nigdy.

„Tak było dotychczas” – myślał Michael uparcie. On wróci. Nie ma takiego więzienia, z którego nie można uciec. Nie można otoczyć więziennym murem całego kraju, a jeśli ta Australia jest wyspą, to on tu przyplynie!

Michael marzył o tym, aby móc przynajmniej napisać do Kathleen. Jak większość dzieci we wsi, opanował tę sztukę; ojciec O'Brien uczył pisać zarówno chłopców, jak i dziewczęta. Ale nic nie można było zrobić, dopóki siedział w karcerze. Nawet gdyby Michael miał choć jednego pensa, aby przekupić strażnika, to najpierw musiałby poprosić o lampę. W tym lochu ledwo widział własną dłoń trzymaną przed oczami. I choć bardzo kochał Kathleen – to nie wiedział chwilami, czy zamiast papieru i pióra nie wolałby jednak dostać kilku kawałków drzewa, aby choć trochę ogrzać lodowatą celę.

Adwokat zdradził więźniom termin rozprawy – mieli być sądzeni na początku stycznia, zaraz obok, w budynku sądu. Ta wiadomość była przyczyną kolejnych potoków łez u Billy'ego, ale Michael się ucieszył. Kiedy już wreszcie zapadnie wyrok, nie będzie podstaw, aby ich tu dalej dręczyć. Nie będą już bici i z pewnością zostaną przeniesieni do cel znajdujących się powyżej więziennej piwnicy, gdzie pewnie będzie cieplej i gdzie może także jedzenie będzie lepsze. Michael nabrał nadziei i ze stoickim spokojem przetrwał rozprawę, nie powiedziawszy ani słowa.

– Wymiar kary mógłby być zmniejszony, gdybyście okazali choć odrobinę skruchy!  
– zauważył sędzia, drobny, chudy mężczyzna w wielkiej białej peruce, który Michaelowi przypominał trochę Trevalliona.

Billy w odpowiedzi na to niemal padł przed nim na kolana i nawet na sądowej sali rozległy się jego płacze i skargi. Na rozprawie obecna była Grainné Rafferty wraz z dwoma młodszymi synami, ale Michael w pierwszej chwili niemal nie poznał okrągłej dawniej kucharki. Grainné była wychudzona i sprawiała wrażenie mocno strapionej, a suknię miała podartą i poplamioną. Najwyraźniej wypędzono ją ze wsi i walczyła o przetrwanie, żyjąc na ulicy. Michael się zastanawiał, jak kobieta może tam zarobić jakieś pieniądze, nie sprzedając się. W nagłym poczuciu winy pomyślał o córkach Grainné, które nie zjawyły się w sądzie. Czy stały gdzieś na rogu ulicy koło nabrzeża i oferowały marynarzom swoje ciała?

Na rozprawę nie przyszli też rodzice Michaela, ale kiedy chłopak po raz trzeci zerknął na ludzi – na sali był tłok, ponieważ szybko skazywano kolejnych więźniów – dostrzegł w tylnym rzędzie Jonny'ego i Briana. Jonny nagle zahukał jak puszczyk, a Michael się uśmiechnął, widząc przerażenie ludzi. Nie, lepiej było widzieć ich obu siedzących tam, w ławce, a nie w kajdanach obok siebie!

Sędzia zdenerwował się w widoczny sposób, kiedy dostrzegł wyraz twarzy Michaela, i głosem pełnym wściekłości obciążył go dodatkowo winą za lekceważenie sądu. Michael zniósł jego obelgi z taką samą obojętnością, z jaką ponoć znosił też upomnienia ojca. Angielscy ciemziejcy mogli go traktować w najgorszy sposób,

mogli go sądzić i skazywać, wygnać z kraju, ale nie mogli go zmusić, aby traktował ich poważnie.

Wreszcie doszło do ogłoszenia wyroku. Siedem lat zesłania dla Billy'ego nie było niespodzianką. Był to zwykły w takich wypadkach wymiar kary za złodziejstwo. Ale dziesięć lat zesłania dla Michaela zgromadzeni na sali Irlandczycy uznali za karę zbyt surową. Kiedy jednak rozległy się okrzyki protestu, woźni sądowi zagrozili biciem.

Michael wysłuchał wyroku z kamienną twarzą. Ożywił się dopiero wtedy, kiedy wyprowadzano więźniów i Jonny, korzystając z zamieszania, precyzyjnie się ku niemu.

– Jonny! Co z mamą? Wszyscy zdrowi? Mają się dobrze?

Drobny chłopak skinął głową.

– Tak, Michael, u nich wszystko dobrze. Mama życzy ci wszystkiego dobrego, ale to była za daleka droga. I nie ma ci niczego za złe. – Jonny uśmiechnął się szeroko. – Powiedziałbym, że tata i ona są z jednej gliny ulepieni. Zdziwiłbym się, gdybym za rok nie miał nowego braciszka...

– Jonny! – Teraz Michael rzeczywiście się roześmiał, choć był to śmiech nieco wymuszony. – A... Kathleen? – spytał cicho.

Wprawdzie chłopcy nie mieszkali już we wsi, ale Michael był przekonany, że Jonny kontaktował się ze starymi przyjaciółmi.

Jednak chłopak wzruszył tylko ramionami.

– Nie wiem. Nie widziałem jej już. A ludzie ze wsi też jej nie widzieli. Ale zdaje się, że O'Donnellowie nie wyrzucili jej na ulicę. Ale to i owo słyszałem. To prawda, co mówi Pat Minoghue? Jest coś małego w drodze?

Michael zagryzł wargi. A więc tajemnica Kathleen się wydała – jasne, dziewczyna musiała być już w piątym miesiącu. Wiecznie nie można przecież ukrywać ciąży. I z pewnością jej rodzice byli wściekli i ukarali ją, choć przynajmniej nie wyrzucili jej z domu.

Michael nie wiedział, czy ma odczuwać ulgę, czy rozczarowanie. Pewnie, że byłoby prościej, gdyby Kathleen czekała na niego we wsi. Ale w razie gdyby ją wyrzucili, to może odważyłaby się spróbować żyć w Nowym Świecie. I z Australii byłoby bliżej do Ameryki. Może mógłby uciekać wprost tam?

– Powiedz jej, że o niej myślę! – zawołał do brata, bo strażnicy zaczęli go ciągnąć do wyjścia. Dotychczas łaskawie pozwalali na rozmowę, może po prostu byli zaskoczeni, że więzień, dotychczas tak uparcie milczący, jednak potrafi mówić. Ale pozdrowienia dla ukochanej – to już było dla nich za wiele.

– Co będzie teraz? – spytał Billy jakiś czas potem.

Rzeczywiście nie odprowadzono obu mężczyzn z powrotem do karceru. Warunki więzienia nieco złagodniały – wytargowała to jeszcze Kathleen z pomocą Bridget. Przekupny strażnik, który dostał pieniądze od dziwki, dał się też przekonać, aby

także Billy miał nieco lepsze warunki. A Bridget, jak gdyby nigdy nic, nawet była na rozprawie, kiedy skazywano Michaela i Billy'ego. I była gotowa dać strażnikowi jednego pensa więcej, aby zrozpaczony kompan Michaela też miał lepsze warunki.

Kathleen zostawiła dobrej Bridie dość dużo pieniędzy – i było jej bardzo żal Billy'ego i jego rodziny. Po procesie obaj dzielili jedną, dość przestronną celę z dwójką kolejnych więźniów. I codziennie mieli pod dostatkiem drzewa na opał oraz jedzenia.

– Teraz będziemy czekać – wyjaśnił jeden ze współwięźniów – aż najbliższy statek wyruszy do Australii. A to może potrwać. Jak zima będzie długa, wyślą statek dopiero w maju.

– To prawdopodobnie zależy też od tego, kiedy będą mieli wystarczającą liczbę skazańców – dodał drugi więzień. – Jak więzienie będzie pękać w szwach, statek wyruszy wcześniej, bez względu na to, czy krypa miałaby zatonać, czy nie. Im to jest obojętne.

To ostatnie Michael uważał za mało prawdopodobne. Więźniowie mogli być zupełnie obojętni Koronie Brytyjskiej, ale statek był cenny, a jego załoga składała się z Anglików, zapewne doświadczonych marynarzy. A oni nie zajmują się do pracy na pływającej trumnie. Michael nigdy nie słyszał o statku z więźniami, który zatonął.

Połowa więźniów Wicklow Gaol miała do odpokutowania krótsze kary więzienia – ci skazańcy byli zabierani do różnych prac. Przeważnie były to proste i nudne czynności, jak produkcja zapalek. Druga połowa czekała na zesłanie – byli to przeważnie silni, młodzi mężczyźni i poważni przestępcy. To ich zwykle zsyłano do australijskich kolonii. Oczywiście także i ta część więźniów składała się głównie ze złodziei, zmuszonych do swego niecnego procederu czystą koniecznością. Ale byli też wśród nich mordercy i zabijacy, którzy stale szukali powodu do kłótni. Nuda robiła swoje, dochodziło często do szykan, wyzwisk i bójek.

I były też drakońskie kary, jeśli ktoś został na tym przyłapany. Michael, który uchodził za wicherzyciela, bo ani nie zamierzał traktować strażników z odpowiednim szacunkiem, ani też nie pozwalał się źle traktować innym więźniom, wkrótce zaznał tego na własnej skórze.

Strażnicy więzienia Wicklow Gaol najchętniej wyprawiliby go w podróż już dziś, a nie jutro.

Tak upłynęły pierwsze miesiące roku 1847. Z początkiem marca Michaela oraz tych więźniów, których deportację planowano tej wiosny, skierowano do lekarza więziennego. Był to wyraźny znak, że wkrótce mieli wyruszyć – sformowano pierwszy transport więźniów. Wysyłano tylko zdrowych i odpornych mężczyzn, co było zrozumiałe: warunki podróży nie były łatwe i przyjemne, Anglia zaś nie chciała, by jej zarzucano, że naraża więźniów na śmierć już w drodze. Jednak ze stratami

należało się liczyć. Straszna ciasnota na statkach, niedostateczne wyżywienie i skąpe ilości słodkiej wody często doprowadzały do epidemii, stanów zapalnych i chorób gorączkowych.

Doktor Skinings, wysoki Anglik, który z powodu swych rudych włosów i licznych piegów mógłby uchodzić za Irlandczyka, obejrzał z niepokojem krwawe pręgi na plecach Michaela.

– To musi się zagoić, zanim znajdziecie się na morzu – stwierdził. – Przy otwartych ranach szybko dochodzi do stanów zapalnych.

Michael roześmiał się gorzko.

– To powiedzcie swoim przyjacielom ze straży więziennej, żeby oszczędzili mi przez kilka dni swojej nadmiernej uwagi! To nie ja jestem winien temu, że mam na plecach otwarte rany, możecie mi wierzyć.

Kiedy lekarz go badał, osłuchiwał jego płuca i serce, Michael rozglądał się po więziennej izolatce. Od tygodni myślał o ucieczce – właściwie od chwili, w której opuścił karcer. Ale Wicklow Gaol okazało się więzieniem nowoczesnym i dobrze chronionym. Jego mury były wysokie i grube, a strażnicy bardzo uważni. Jak dotychczas nie było żadnej możliwości ucieczki.

Ci więźniowie, których osadzono tu przed laty, potwierdzili przypuszczenia Michaela. Z nowego budynku więzienia, wzniesionego dziesięć lat temu, nie uciekł jeszcze nikt. Ale może w pomieszczeniach lekarza będzie jakaś możliwość ucieczki. Michael nie poddawał się tak łatwo. Lecz i tu sprawa nie wyglądała dobrze. O ile mógł określić plan budynku, izolatka dla chorych i pomieszczenia lekarskie nie znajdowały się przy zewnętrznym murze. Nawet gdyby mógł uciec przez okno, to znalazłby się na wewnętrznym dziedzińcu więzienia. A w dodatku okna w pomieszczeniach lekarza były zakratowane, tak samo jak w części przeznaczonej dla więźniów.

Jednak było tu coś, co przykuło uwagę Michaela i wzbudziło jego pożądanie. Na biurku lekarza zobaczył pióro i papier, a do tego na szafce z lekarstwami obok wagi leżały notes i ołówek. Lekarz pewnie zapisywał, co wyjmował z szafki z lekarstwami, albo może wagę więźniów. Dla deportowanych były przewidziane inne formularze.

Doktor Skinings właśnie zapisywał starannie dane dotyczące Michaela. Młody mężczyzna postanowił wykorzystać swoją szansę. Szybko chwycił ołówek, dwie kartki papieru i ukrył je w kieszeniach swoich szerokich spodni. Uśmiechnął się do lekarza posłusznie, kiedy ten znów odwrócił się w jego stronę. Doktor Skinings popatrzył na niego surowo.

– Co takiego zabraliście? – spytał ostro. – Tylko nie kłamcie, widziałem. Możecie mi to oddać albo zawołam strażę. To ostatnie nie przysłuży się waszym plecom.

Michael poczuł uderzenie krwi do twarzy. Teraz także ten lekarz będzie go miał za pospolitego złodzieja...

Bez słowa wyciągnął z kieszeni kartki i ołówek i położył je na biurku lekarza.

Doktor Skinings zmarszczył czoło.

– Papier i ołówek? Nic z szafy?

Michael spojrział zdumiony na buteleczki i pudełka z lekarstwami zgromadzone w szafce.

– Cóż miałbym z tym robić? – spytał zaskoczony.

Doktor Skinings wzruszył ramionami.

– Nie mam pojęcia. Odurzać się? Zabić się? Więźniowie stale tego próbują, a przy tym większość nie potrafi nawet przeczytać, co jest napisane na butelkach. Ale z wami jest inaczej, prawda?

Michael skinął głową.

– Umieję czytać – oświadczył. – Ale tu jest wszystko... po łacinie, tak?

Lekarz przytaknął.

– Po łacinie, a czasami po grecku. No, no, to także potraficie rozpoznać? Macie mądrą główkę, Michaelu Drury. Szkoda tylko, że stale walicie nią w mur. Po co wam coś do pisania? Macie nadzieję, że ktoś z zewnątrz was uwolni? A może należycie do jakiejś organizacji, która planuje napad na statek więzienny? Albo mi się przyznacie, albo strażnicy z was to wydobędą za pomocą chłosty! – Doktor Skinings patrzył uważnie na Michaela, unosząc wysoko brwi.

Michael się roześmiał.

– Ze mnie nikt nic nie wydobędzie za pomocą chłosty, doktorze! – oświadczył spokojnie. – Potrafię milczeć, potrafię też, jeśli trzeba, umrzeć. Ale to nie jest żadna mroczna tajemnica. Nie mam na zewnątrz przyjaciół z cudowną bronią. Tylko dziewczynę we wsi nad Vartry River, która jest ze mną w ciąży. Chciałbym napisać do niej list pożegnalny i dać jej trochę nadziei...

Doktor Skinings potrząsnął głową.

– Nadziei na co, Drury? Myślicie, że tu wrócicie? Dobry Boże, Drury, zróbcie użytek z waszego rozumu! Nikt stamtąd nie wraca i wy też spędzicie resztę swojego życia na wygnaniu. W zachodniej Australii albo na Ziemi van Diemena. Ale to wcale nie musi oznaczać czegoś złego. Jesteście jeszcze młodzi, nie macie nawet dwudziestu lat. Jasne, że musicie odpokutować dziesięć lat kary, ale potem możecie się starać o kawałek ziemi jako wolny osadnik! Tam ziemi jest dość, Drury. A te dziesięć lat... Wspomnę w moim raporcie, że umiecie czytać i pisać. To cenna umiejętność, mogą was zatrudnić przy jakichś czynnościach wymagających wyższych kwalifikacji, a nie przy karczunku! Ale oczywiście tylko wtedy, jeśli będziecie się dobrze prowadzić. Wykorzystajcie te dziesięć lat, Drury! Poznajcie ten nowy kraj, nie traktujcie tej kary jako przekleństwa, tylko jako szansę i nowy początek!

Michael potrząsnął głową.

– A co powiem Kathleen? – spytał. – Obiecałem jej małżeństwo.

Skinningss wzruszył ramionami.

– Zapomnijcie o tej dziewczynie! Brzmi to okrutnie, ale to najlepsza rada, jaką mogę wam dać. Nie zobaczycie jej już. A teraz weźcie ten porządny papier listowy i napiszcie do niej długi list. Pożegnajcie się z nią, ale nie róbcie jej nadziei!

Michael napisał swój list do Kathleen jeszcze w gabinecie, w czasie gdy Skinningss badał kolejnych więźniów. Lekarz obiecał mu też, że ten list wyśle – i to za darmo. Kilku skorumpowanych strażników wysyłało wprawdzie listy, ale ci żądali za to horrendalnych opłat, a Michael im nie ufał. Oczywiście nie był też pewien, czy lekarz wyśle list, nie czytając go. Ale pomimo to nie chciał pisać do Kathleen czegoś, co kazał mu napisać ktoś inny.

„Zaufaj mojej miłości, Mary Kathleen, i przekaz ją naszemu dziecku. Nie wiem jeszcze, jak to zrobię, ale wrócę na pewno!”

Kilka dni później więźniowie skazani na deportację zostali przewiezieni zamkniętym wozem na nabrzeże. Michael liczył na jakąś możliwość ucieczki, ale strażnicy mieli się na baczności. Wichrzycieli takich jak Michael zakuto w kajdany jeszcze w więzieniu i jako pierwsi musieli się wlec do wozu, dzwoniąc łańcuchami. W środku ich łańcuchy przeciągnięto przez specjalne kółka umocowane do podłogi. Żeby uciec, więźniowie musieliby rozmontować wozy.

Billy Rafferty znów szlochał, kiedy usiadł obok Michaela na brudnej słomie, którą wyłożono wozy transportujące więźniów.

– Teraz to już koniec – płakał. – Wyślą nas gdzieś daleko i nigdy nie zobaczymy naszego kraju...

– Ja na pewno zobaczę! – oświadczył Michael i zacisnął w ręce pukiel włosów Kathleen, który miał ukryty w rękawie koszuli. – Ja zobaczę Irlandię i ożenię się z Kathleen. Nie zakują mnie na dziesięć lat w kajdany!

## ROZDZIAŁ 7

Ciąży Kathleen nie można już było nie dostrzec. Matka nie wrzeszczała już i nie wyrzekała, także ojciec przestał ją bić przy każdej okazji. Bo w końcu jedno i drugie było bezcelowe. Pierwsze miesiące, kiedy można było ewentualnie liczyć na prawa natury i poronienie, dawno już minęły. Zamiast więc krzyczeć i lamentować, zarówno rodzice, jak i rodzeństwo dziewczyny karało ją teraz pogardą i milczeniem. We wsi ciągle szeptano i plotkowano za jej plecami.

Dlatego Kathleen wychodziła z domu tak rzadko, jak tylko było to możliwe. Najczęściej siedziała sama w dusznej chałupie. Kiedy skończyły się mrozy, życie dzierżawców przeniosło się znów na zewnątrz. Wszyscy mieli dość ciasnoty małych, zadymionych pomieszczeń swoich chat.

Kathleen, która czuła się stale zmęczona, spędzała całe dni na swoim legowisku, na przemian marząc i płacząc – do chwili, kiedy matka któregoś dnia w ostrych słowach kazała jej wstać.

– Przydaj się choć trochę do czegoś! – krzyczała, wskazując ze złością na kołowrotek i krosna. – Albo wynoś się razem ze swoim bękartem! I tak będzie nas to dość kosztować!

Kathleen zwlokła się z legowiska i usiadła za kołowrotkiem, ale kiedy matka wyszła, wydobyła ukrytą w worku słomy sakiewkę Michaela i policzyła pieniądze. Szła wiosna... Do Ameryki wkrótce wyruszą kolejne statki... Gdyby tylko znalazła w sobie dość odwagi i siły! Ale wszystko wskazywało na to, że dziecko w jej łonie odbierało jej ostatnie resztki energii, a może po prostu wyczerpywały ją pogarda i złość otaczających ludzi? Jediną osobą we wsi, która okazywała Kathleen trochę sympatii, był ojciec O'Brien. Stary ksiądz chyba widział w swoim życiu wiele upadłych dziewcząt albo też rozumiał, że na jakiegokolwiek wyrzuty było już za późno.

Kiedy Kathleen we łzach wypowiedała mu się z całej swej historii, próbował nawet interweniować u więziennego kapelana w Wicklow.

– Jeśli Michael rzeczywiście chce się z tobą ożenić, to może ten ksiądz da wam ślub! – stwierdził ojciec O'Brien, dając Kathleen tym samym kilka dni pełnych nadziei. Ale wiadomość, którą przysłał pocztą jego konfrater, te nadzieje rozwiąła. Duchowny stanowczo odradzał ślub z więźniem, którego czekała deportacja.

„Małżeństwo, które nigdy nie będzie kontynuowane, nie może być błogosławieństwem – pisał do ojca O'Briena. – Wręcz przeciwnie, poprzez to my sami kusimy i skłaniamy tych ludzi do grzechu. Ten młody mężczyzna zostanie na zawsze w kolonii, a młoda kobieta – w Irlandii. Mają oboje całe życie być cnotliwi?



Oczywiście, można by sobie tego życzyć, ale krew nie woda. A poprzez ten ślub przed deportacją dalibyśmy im nadzieję na jego powrót. I wtedy on nie będzie mógł się odnaleźć w Nowym Świecie i w nowym życiu, w dodatku ta nadzieja byłaby powodem jego oporu i nieposłuszeństwa, zwłaszcza że Michael Drury nie należy do ludzi posłusznych ani bogobojnych. Byłoby więc lepiej, gdyby ta Kathleen O'Donnell pogodziła się ze swym losem i traktowała go jako pokutę za swój grzech. Niech będzie odstrasżającym przykładem dla pozostałych dziewcząt ze wsi”.

Ojciec O'Brien spodziewał się łez ze strony Kathleen, kiedy przedstawił jej zdanie swojego kolegi po fachu. Ale oczy dziewczyny były suche – duchowny dostrzegł w nich wściekłość, a nie żal czy też skruchę.

– A co z dzieckiem, ojcze? – spytała twardo dziewczyna. – Skoro Kościół odmówił jego ojcu, aby ten dał mu imię, nazwisko i cześć. Mam na chrzcie dać mu na imię „odstrasżający przykład”?

O'Brien wzruszył ramionami. Miał chęć zganić postawę swego Kościoła, ale zaniechał tego. W głębi serca przyznawał nawet rację Kathleen.

W pierwszych dniach marca zrobiło się słonecznie i Kathleen przypomniała sobie ubiegłą jesień i szczęśliwe dni z Michaeliem. Z trudem wytrzymywała w ciemnej chacie – najchętniej wychodziłaby z niej teraz jak najczęściej. Ale matka ciągle przynosiła wełnę do przędzenia albo wyszukiwała jej jakieś inne zajęcie.

Kathleen zastanawiała się właśnie, czy ma wynieść kołowrotek przed chałupę i czy narazi się w ten sposób na kolejne kpiny i złośliwości przechodzących drogą mieszkańców wsi, kiedy usłyszała pukanie do drzwi. Otworzyła i ze zdumieniem zobaczyła Iana Coltrane'a stojącego przed wejściem.

Młody handlarz końmi uśmiechnął się do niej.

– Witam i życzę ci miłego dnia, Mary Kathleen O'Donnell – powiedział uroczyście.

Kathleen ukloniła się lekko w odpowiedzi.

– Co cię tu sprowadza, Ianie Coltrane? – spytała z rezerwą. – Nie mamy konia na sprzedaż, a mój ojciec chyba też nie zamierza żadnego kupować.

Ian uśmiechnął się nieco złośliwie.

– Konia chyba nie, *mistress*... – odparł, podkreślając ostatnie słowo. – Ale nie dlatego tu przychodzę. Chciałem zobaczyć się z tobą, Kathleen... Ale może wejdziemy do środka albo przejdziemy się po wsi? Mogłoby to być źle widziane i zaszkodzić twojej opinii, jeśli ktoś zobaczy, że tak tu sobie gawędzimy sam na sam.

Kathleen się zastanawiała, czy chłopak mówi poważnie.

– Mojej opinii nic już nie może zaszkodzić, Ianie Coltrane, ona dawno została splamiona – odpowiedziała z wyraźnym lekceważeniem w głosie. – Nie obchodzi mnie, co mówią ludzie. A więc, co Cię tu sprowadza, Ianie Coltrane?

Ian się uśmiechnął.

– No, w najbliższych dniach znów muszę jechać do Wicklow. I chciałem ci zaoferować podwózkę... Jeśli... Jeśli znów chciałabyś odwiedzić ciotkę.

Kathleen spuściła głowę. Czy on kpił sobie z niej? No, w każdym razie ona nie da nic po sobie poznać! Nie będzie się wstydzić!

– Moja ciotka jest już dawno zdrowa – odparła chłodno.

Ian wzruszył ramionami.

– To dobrze – odpowiedział uprzejmie. – Ale może coś innego skłoni cię do podróży do Wicklow. Mówią, że niedługo wypływa stamtąd statek, na pewno do Londynu...

Kathleen zmarszczyła czoło.

– Z Wicklow co rusz wypływa jakiś statek – stwierdziła spokojnie.

Ian przytaknął, a jego czarne oczy dziwnie błysnęły – figlarnie czy też złośliwie?

– Ale nie każdy z tych statków wiezie na pokładzie chłopców skazanych na zesłanie do Australii. A mnie powiedziano, że jeden z tych chłopców interesuje akurat ciebie. Jeden, który na tej łajbie płynie do Londynu...

– Do Londynu? – To pytanie wyrwało się Kathleen mimo woli. – Wysyłają Michaela do Londynu? A stamtąd dalej... dalej do... Sądziś, że mogłabym go jeszcze zobaczyć?

– Dziewczyna, zapominając o wszystkim i czując rosnące podniecenie, chwyciła Iana za rękę.

– Nie wiem – odpowiedział Ian krótko. – Wiem tylko, że w poniedziałek rano jadę do Wicklow na koński targ. A jak cię gdzieś spotkam za wsią, to chętnie cię ze sobą zabiorę.

Kathleen rozmyślała gorączkowo. Będzie mieć ogromne kłopoty, jeśli ucieknie, nie mówiąc rodzicom ani słowa. Możliwe nawet, że nie będą jej chcieli przyjąć z powrotem. Ale tak mogłoby być właśnie wtedy, gdyby im powiedziała o swoim zamiarze. A co obiecywał sobie Ian, składając tę propozycję? Nie chciał jej chyba zabrać do miasta z czystej miłości bliźniego!

– A czego za to chcesz, Ianie Coltrane? – spytała nieufnie.

Ian wzruszył ramionami.

– Będę widział złote włosy powiewające na wietrze i patrzył w zielone, błyszczące oczy. A może też usłyszę kilka słów podziękowania wypowiedzianych delikatnymi, czerwonymi wargami...

– Ach, przestań! – odparła Kathleen niechętnie. – Nie potrzebuję żadnych twoich pochlebstw. I mówię ci od razu: zapłatą może być jedynie kilka spojrzeń i kilka słów, które z tobą zamienię. Mnie jest wszystko jedno, co mówią ludzie.

Ian ukłonił się przed nią przesadnie głęboko.

– Nigdy nie przyszłoby mi na myśl, aby spodziewać się po tobie czegoś niestosownego, Mary Kathleen – odpowiedział, uśmiechając się szeroko. – Wręcz przeciwnie, bardzo cię szanuję. Bo przecież tak porządna i dobra dziewczyna, która

rusza w drogę natychmiast, tak jak stoi, żeby tylko pomóc chorej ciotce...

Kathleen zacisnęła zęby. Instynkt podpowiadał jej, że nie powinna przyjmować propozycji Iana Coltrane'a. Ale jej serce wprost się rwało do tego, aby raz jeszcze zobaczyć Michaela, może zamienić z nim kilka słów... A nawet gdyby tylko zobaczyła statek, na który miano go zawieźć... Kathleen pragnęła bliskości Michaela za wszelką cenę.

– Ja... zastanowię się – oświadczyła.

Coltrane uśmiechnął się w odpowiedzi.

– Będę czekać na ciebie! – oznajmił.

Wczesnym rankiem w poniedziałek, kiedy było jeszcze zupełnie szaro, Kathleen wymknęła się potajemnie z domu. Wydawało jej się, że słyszy nadjeżdżający wóz Iana Coltrane'a. Dwukołowa bryczka, do której tym razem przywiązane były dwa osły, rzeczywiście wjeżdżała na drogę.

– Nie musiałaś się długo zastanawiać – zakpił Ian na widok dziewczyny, kiedy ta wspinała się na kozioł. – Ale mogę zrozumieć, że każdy od czasu do czasu chętnie ogląda wypływające z portu statki... A jeszcze lepiej byłoby znaleźć się na którymś z nich...

Jego czarne oczy miały rozmarzony wyraz. Ian tym razem sprawiał wrażenie kogoś o wiele młodszego i wręcz uczciwego.

Ale Kathleen nie zwróciła na to uwagi.

– Musisz tylko zabrać trzy worki ziarna od Trevalliona – odparła opryskliwie. – I wtedy będziesz miał podróż gratis takim statkiem.

Ian roześmiał się w odpowiedzi i po chwili zaczął mówić o końskim targu w Wicklow. Teraz, wiosną, ludzie potrzebowali zwierząt do pracy i miał nadzieję, że dostanie dobrą cenę za osły. Dziewczyna spojrzała przelotnie na zwierzęta i wydało jej się, że rozpoznała w jednym z nich osła ogrodnika. Co prawda ostatnio stary O'Rearke złościł się stale na zwierzę, mówiąc, że jest stare i gnuśne. Ale teraz osioł szedł rażno za wozem i nie powłóczył żadną nogą. Kathleen miała wrażenie, że Ian potrafi odmładzać swój towar...

Handlarz się roześmiał, kiedy to powiedziała.

– Tak, można rzeczywiście tak powiedzieć! – zauważył i zaczął chwalić się swoimi sukcesami bez żadnych zahamowań.

Kathleen nie słuchała. Nie miała ochoty na rozmowę, myślami była przy Michaelu. Jak skarb ukrywała w kieszeni list, który poprzedniego dnia dał jej ojciec O'Brien.

– Nie powinienem tego popierać – powiedział duchowny niemal z żalem, zatrzymując Kathleen po mszy. – Mój konfrater, przez którego zostało mi to przekazane, radził, aby to wyrzucić. Ale mam chyba za miękkie serce.

Mówiąc to, ksiądz szybko wcisnął jej ukradkiem do ręki list, tak aby jej rodzice niczego nie zauważyli. Kathleen godzinami nosiła list ze sobą do chwili, kiedy

wreszcie została sama. To musiał być list od Michaela, a ona chciała mieć spokój i czas, aby móc przeczytać te kilka słów pożegnania. Serce biło jej gwałtownie, kiedy je czytała. Michael o niej nie zapomniał! I wróci tutaj. I z pewnością byłoby to dla niego pociechą, gdyby choć zobaczył ją w tłumie w tej chwili, kiedy statek będzie odpływał. List Michaela rozwiał wszystkie wątpliwości, które miała wobec propozycji Iana.

Ian wysadził Kathleen przy nabrzeżu, zanim ruszył dalej ze swoimi osłami. Miał ją zabrać w drodze powrotnej.

– Przepraszam, panie, który z tych statków płynie do Londynu? – zwróciła się Kathleen nieśmiało do jakiegoś marynarza, którzy właśnie rozładowywali jeden z kutrów. Mężczyzna uśmiechnął się szeroko na jej widok.

– Ten statek więzienny? – spytał. – Znajdziesz go łatwo, dziewczyno, widzisz, to tam, gdzie stoją ci ludzie. Mają nadzieję, że popatrzą ostatni raz na tych łotrów wyprawianych na Ziemię van Diemena. A co, jest wśród nich twój braciszek czy kochaś?

Marynarz prześlizgnął się wzrokiem po figurze Kathleen.

– Och, pewnie małżonek! – zakpił. – Taaa... Niewiele będziesz z niego miała w tym życiu. Ale jeśli szukasz kogoś nowego... Podobałabyś mi się, słodziutka! Taka ślicznotka to można nawet zaryzykować gotową pieczeń prosto z pieca... – Próbował chwycić ją za ramię.

Kathleen wyrwała mu rękę i pobiegła we wskazanym kierunku. Rzeczywiście, czekało tu już około pięćdziesięciu osób, między nimi także Grainné Rafferty. Kiedy Kathleen chciała do niej podejść, ta ostentacyjnie splunęła w jej kierunku.

– Patrzcie, to ta dziwka, która ściągnęła nieszczęście na mojego Billy'ego! – wrzasnęła. – „Wielce szanowna” Mary Kathleen, która mogła mieć zarządcę, ale która wolała iść do łóżka z tym podłym łotrem. Trevallion już cię nie chce, co?! To ciebie powinni zesłać, a nie mojego Billy'ego, który w swoim życiu nikomu nie zrobił nic złego!

Grainné krzyczała i pomstowała, choć otaczający ją ludzie spoglądali na Kathleen raczej ze współczuciem. Dziewczyna zdołała się w końcu oddalić od starej kucharki, nie dowiedziawszy się, gdzie teraz mieszka Grainné i jak się powodzi jej rodzinie.

Tymczasem zrobiło się już całkiem jasno, choć nie był to słoneczny wiosenny dzień, lecz deszczowy, szary ranek. Kathleen dygotała w cienkiej codziennej sukni, która niegdyś należała do matki i stanowiła jej odzienie w czasie kolejnych pięciu ciąż. Teraz sukienka była już sprana i zniszczona, a szal Kathleen też nie był dostatecznym okryciem. Dziewczyna czuła też głód – w końcu wybiegła rano z domu bez śniadania.

Dziecko w jej łonie ruszało się energicznie, niemal protestując przeciwko takim wysiłkom matki. A na nabrzeżu ciągle jeszcze nic się nie działo. Tłum czekających

rósł, ale nadal nie było widać więźniów. Dopiero koło południa na pokładzie statku pojawili się marynarze, którzy zaczęli szykować żagle zgodnie ze wskazówkami oficera. A zaraz potem, kiedy Kathleen niemal już zeszywniała z głodu i zimna, do statku zbliżył się transport zamkniętych wozów więziennych. Dziewczyna naliczyła ich sześć – na koźle każdego siedział strażnik więzienny, wozy otaczała też milicja. Żołnierze byli doskonale uzbrojeni i utworzyli kordon między tłumem oczekujących a wozami. Nadzieje Kathleen na zamienienie kilku słów z ukochanym legły w gruzach.

Wozy podjechały też tak blisko statku, jak tylko się dało. Więźniowie musieli zrobić tylko kilka kroków na lądzie, aby znaleźć się na pokładzie. Kilku z nich, szlochając, uklękło, aby po raz ostatni ucałować irlandzką ziemię. Pozostali szli ze stoickim spokojem i obojętnością, nie rozglądając się. Inni z rozpaczą próbowali dostrzec w tłumie przy nabrzeżu swoich bliskich.

Mężczyźni z ostatniego wozu nie mieli żadnej z tych możliwości. Ci mieli na rękach i nogach kajdany i wlekli się powoli w stronę statku, popędzani brutalnie przez strażników, którzy chłostali ich batami, krzycząc głośno. Kathleen krzyknęła, kiedy rozpoznała wśród tych nieszczęśników Michaela. Zawołała go, ale teraz wszyscy przy nabrzeżu wykrzykiwali głośno imiona synów, braci, ojców i mężów. Więźniowie nie byli w stanie rozpoznać głosów swoich bliskich wśród ogólnego krzyku.

Michael się nie rozglądał. Przecież nawet nie przypuszczał, że ona też będzie przy nabrzeżu. Kiedy znikł we wnętrzu statku, Kathleen ze szlochaniem osunęła się na ziemię.

– No, mała, nie płacz tak, bo zaszkodzisz swojemu maleństwu – usłyszała pełen współczucia głos obok siebie. – Musisz na nie uważać, przynajmniej będziesz miała coś od niego.

Wynędniała kobieta objęła dziewczynę opiekuńczym gestem, pomogła jej wstać i zaprowadziła ją na mur ciągnący się przy nabrzeżu, gdzie Kathleen mogła usiąść.

Dziewczyna popatrzyła na kobietę nieprzytomnie i poczuła otuchę, słysząc, że ktoś powiedział coś miłego o dziecku, które w niej rosło. Ta kobieta miała rację! Kathleen straciła Michaela, ale ta mała istota w niej samej była jego częścią! Powinna się z tego cieszyć, zamiast złorzeczyć i przeklinać swój los.

– A... wy? – wyjąkała, wskazując na statek, który właśnie odpływał.

Kobieta zrozumiała natychmiast.

– Mój syn... – odpowiedziała cicho. – I nie zostawił mi wnuka. Miał dwoje dzieci, ale... Ten głód... W końcu ukradł owcę, bo myślał, że dzięki temu utrzyma przy życiu choć to ostatnie. Ale nie był zbyt zręcznym złodziejem... Złapali go, a ja pogrzebałam jego żonę i drugie dziecko... Co za czasy, dziewczyno...

Kobieta objęła Kathleen i obie patrzyły, jak statek oddala się od nabrzeża i powoli

znika we mgle i deszczu. Kathleen płakała bezgłośnie. Kobieta obok niej chyba nie miała już łez i z nieruchomą twarzą wpatrywała się w morze. Żadna z nich nie usłyszała bryczki powożonej przez Coltrane'a, która przeciskała się powoli przez rzedniejący tłum.

– I co, już po wszystkim? – spytał Ian obcesowo.

Kathleen poderwała się gwałtownie.

– Ja... ja... – Wydawało jej się, że winna jest jakieś wyjaśnienie siedzącej obok kobiecie, ale ta wzruszyła tylko ramionami.

– W porządku, mała, dobrze, że myślisz o przyszłości. To chyba dobry chłop, skoro cię tu przywiózł, żebyś mogła pożegnać tamtego... – Kobieta raz jeszcze objęła Kathleen czułym, macierzyńskim gestem, a potem wstała.

– Też już muszę iść. Bóg z tobą, dziecko.

Kathleen, dygocąc z zimna i głodu, wdrapała się na kozioł bryczki. Ian w milczeniu podał jej koc, w który się zawinęła. Pod siedzeniem była też torba z gorącymi pasztecikami i dzbanek piwa.

– Masz, weź sobie – powiedział krótko.

Głodna jak pies Kathleen zjadła z przyjemnością drogi smakołyk i zadała sobie to samo pytanie, które głośno wypowiedziała kobieta przy nabrzeżu. Dlaczego Ian robił to wszystko dla niej?

Przez całą drogę milczała i zastanawiała się, czy Ian zażąda swojej zapłaty jako furman. Nie mogłaby mu w tym przeszkodzić, było mokro i zimno i oprócz nich nie było na drodze nikogo. Ale nic się nie stało. Ian zaakceptował jej uparte milczenie. Kiedy już prawie dotarli do wsi, odważyła się zapytać go o to jeszcze raz.

– Nie byłam dla ciebie miłą towarzyszką podróży, Ianie Coltrane. Przykro mi. A w dodatku ludzie będą teraz gadać, jeśli zobaczą mnie z tobą. Po co ci to?

Ian spojrzał na nią z boku drwiąco.

– Może chcę, abyś sądziła, że jestem miły chłop?

– A co cię obchodzi, co ja o tobie myślę? – spytała Kathleen zrezygnowana. – A co mnie to obchodzi, czy jesteś miły chłop, czy też... – Omal nie wyrwało jej się słowo „koniokrad”, ale powstrzymała się w ostatniej chwili.

Ian wzruszył ramionami.

– W każdym razie chciałem, żebyś zobaczyła, jak on wyjeżdża – stwierdził. Migotanie w jego oczach przeczyło pozornemu spokojowi i opanowaniu. – Wiesz teraz, że go już nie ma i możesz o nim zapomnieć.

Kathleen nie odpowiedziała, ale cieszyła się, kiedy za zakrętem pojawiły się pierwsze chałupy wsi, i wobec tego miała pretekst, aby zsiąść. Ian Coltrane wydał jej się niesamowity i dziwny. Ale teraz nie musiała się nad tym zastanawiać.

Wędrowała w ulewnym deszczu, pokonując ostatnie metry dzielące ją od chaty rodziców, i rozmyślała nad słowami kobiety spotkanej na nabrzeżu. Michael

odjechał, ale zostawił jej swoje dziecko. Ono będzie łączyło ich zawsze. A Kathleen zachowa w pamięci jego obietnicę, że tutaj wróci... Nucąc kołysankę, dotarła do wsi.

Powitanie w chacie ojca było gwałtownym powrotem do rzeczywistości. Kathleen liczyła się z tym, że będzie miała przykrości z powodu potajemnego wyjazdu, ale brutalne uderzenie w twarz, jakim przywitał ją ojciec, zaskoczyło ją całkowicie. Zatoczyła się i mało nie upadła.

– Skąd masz te pieniądze, ty mała dziwko? – James O'Donnell potrząsał jej przed nosem trzymaną w ręku sakiewką z pieniędzmi od Michaela. – Trzymasz takie skarby w moim domu i nic o tym nie mówisz?! Skąd to masz, Kathleen, i co zrobiłaś, żeby to dostać? Czy to pieniądze za puszczenie się?

Kathleen się rozszlochała. Te słowa bolały bardziej niż uderzenie.

– To od Michaela – powiedziała. – I należy do mojego dziecka... Nie masz prawa...

– Mam wszelkie prawa tego świata! – zagrział O'Donnell. – Bo ja też mam być opiekunem tego bękarta! A więc mówisz, że od Michaela. A on skąd to miał? Z pędzenia bimbru, złodziejstwa...

– I dlatego to jest mniej warte? – spytała odważnie.

Wiedziała, że to zabrzmiało bezczelnie, ale była tak wyczerpana, że było jej to obojętne. Chciała mieć już wszystko za sobą. Nawet to, że ojciec miałby jej zabrać te pieniądze czy też znów ją bić. W tej chwili pragnęła tylko schronić się gdzieś w kącie na worku słomy i naciągnąć sobie koc na głowę.

Ale wtedy wtrąciła się matka.

– Wszystko jedno, skąd pochodzą te pieniądze – stwierdziła Erin O'Donnell z zaciętym wyrazem twarzy. – Ważne, co z nimi zrobimy. Rozumiesz, James? Te pieniądze to dar Boga. One uratują nasz honor!

O'Donnell popatrzył na nią, marszcząc czoło, Kathleen także nie rozumiała.

Erin O'Donnell chwyciła się za głowę.

– Dobry Boże, James! To są dwadzieścia cztery dobre angielskie funty! Za to kupimy jej męża! – Mówiąc to, wyjęła sakiewkę z rąk męża i z triumfem podrzuciła ją do góry przed oczami córki.

– Te pieniądze, moja słodka Mary Kathleen, to twój posag!

## ROZDZIAŁ 8

Następnej niedzieli Ian Coltrane nie był ubrany tak ekstrawagancko jak zwykle w kościele. Zamiast krótkiej kurtki w kratę miał na sobie długi płaszcz. Po mszy uroczyście poprosił Jamesa O'Donnella o chwilę rozmowy.

A niewiele później, siedząc przed ogniem w jego ubogiej chacie, równie uroczyście poprosił o rękę Mary Kathleen.

– Jestem w stanie wyżywić waszą córkę, Jamesie O'Donnell, i to lepiej niż większość mężczyzn w tej wsi. Mieszkam jeszcze, co prawda, w domu mojego ojca, ale mogę dla nas wyporządzić kilka pomieszczeń w stajni... Choć nie na długo...

– Nie na długo? – spytał surowo O'Donnell. – A to co ma znaczyć? Nie planujesz małżeństwa na długo, czy co?

Ian się roześmiał.

– Nie, chcę waszą Kathleen na zawsze! I nikt inny jej nie dotknie, mogę przysiąc! Ale nie chcę zmarnieć tu, w tej dziurze. Mam dość głodowania, Mr O'Donnell. I dość angielskich panów, którym muszę schlebiać, aby nie stracić mojej licencji handlowej. Dość mam dzierżawy i podatków, które pożerają tę odrobinę, którą człowiek zarobi! Nie mam nic przeciwko Irlandii, Mr O'Donnell. To piękny kraj, można byłoby go kochać, gdyby tylko było wolno. Ale żeby być buntownikiem albo lizusem – do tego brakuje mi talentów. To znaczy, że muszę stąd wyjechać. I jestem gotów to zrobić...

– Do Ameryki? – spytała Erin O'Donnell. – Mr Coltrane, może to dla was wygląda jak przygoda, ale połowa emigrantów umiera już na statku! A Kathleen... Czy wiecie, że ona jest w ciąży? – Matka Kathleen poczerwieniała.

Jej córka słuchała rozmowy w milczeniu. Chciała coś powiedzieć, ale gardło miała jak zasznurowane.

Ian Coltrane uniósł brwi w górę.

– Wiem o tym, Mrs O'Donnell, nie jestem ślepy. Ani też głupi. I nie chcę podróżować jedną z tych pływających trumien. Nie ciągnie mnie też do żadnej z fabryk Nowego Jorku. Jest tam jeden z moich kuzynów i pisze, jak to wygląda. To tylko inny rodzaj piekła, ale jednak piekła. Nie, Mrs O'Donnell, ja chcę spróbować szczęścia gdzie indziej. Myślę o zupełnie nowym kraju, gdzie nikt nie sfluwa na widok Irlandczyka. I gdzie nikt nie nazywa go „Paddy”... To jeszcze dalsza podróż, ale Korona Angielska wysyła inspektorów, którzy dokładnie sprawdzają zaopatrzenie statku i jego pomieszczenia. To nie jest podróż do obcego kraju, który nie obchodzi Anglii – Brytyjczycy są tam dalej obywatelami swojego państwa, a my, Irlandczycy, także. Tak daleka podróż jest oczywiście droższa niż ta do starej Ameryki, dlatego



muszę jeszcze trochę oszczędzić. Ale za rok, a najpóźniej za dwa lata...

James O'Donnell zmarszczył czoło.

– A jak się nazywa ta ziemia obiecana? – spytał sceptycznie. – O której w dodatku nikt tutaj nie słyszał?

Ian się uśmiechnął, a jego oczy rozbłysły przy tym dziwnie. Kathleen pojęła nagle, co ją tak w nim przerażało. Kiedy wcześniej mówił o małżeństwie, jego oczy tak nie błyszczały. Ian patrzył raczej taksująco, jak handlarz, którego obchodzi wyłącznie interes. Koniokrad, który ukrywa swoje prawdziwe motywy.

– To Nowa Zelandia! – oświadczył w odpowiedzi. – Odkryta sto lat temu, jak mi się zdaje. Ponoć wygląda tak jak nasz kraj, ale jest prawie niezamieszkana. Tylko kilku Indian czy coś takiego... Ale ci nastawieni są pokojowo, w każdym razie większość z nich. Tam, dokąd chcę pojechać, nie ma żadnych Indian, są tylko owce. To idealny kraj, znakomicie nadający się na handel bydłem i hodowlę, wszystkie zwierzęta trzeba dopiero sprowadzić, bo na razie są tam tylko ptaki...

– A gdzie on się znajduje? – odważyła się po raz pierwszy spytać Kathleen. – I do kogo należy?

– Nie należy do nikogo! – zatriumfował Ian. – No, właściwie to jest angielska kolonia czy coś takiego, ale każdy może tam jechać. A gdzie on leży? Daleko... bardzo, bardzo daleko, gdzieś na południowym Pacyfiku... Ale to nie ma znaczenia, kapitan wie, dokąd ma żeglować. A dla nas będzie tam wolność, ziemia i nowe życie! Podróż kosztuje trzynaście funtów... Mam już na to pieniądze. Ale chętnie zabrałbym Kathleen, Jamesie O'Donnell...

– A jej dziecko? – spytała twardo Erin.

Ian wzruszył ramionami.

– Ono tak czy tak przyjdzie na świat. Nieważne gdzie. Ale lepiej, żeby przyszło na świat w kraju, w którym nikt nie słyszał nazwiska Drury. Niestety tak szybko nie dam rady zebrać dość pieniędzy. Ale obiecuję ci, Kathie, że wyjedziemy stąd, zanim dziecko zacznie rozumieć słowo „bękart”.

Kathleen poczuła się osobliwie poruszona. Czy Ian Coltrane rzeczywiście martwił się o jej dziecko? I czy naprawdę zamierzał je wychowywać jak własne? Z wszystkimi tego konsekwencjami? Chciałaby mu zaufać – ale czy mogła?

Erin O'Donnell odetchnęła głęboko i spojrzała z triumfem na Kathleen oraz swojego małżonka.

– Nie martw się, Ianie Coltrane. Ta dziewczyna dostanie posag, i to nie tylko taki, który wrzeszczy i robi w majtki. Możesz kupić bilet na podróż. Ale najpierw potwierdzisz swoją propozycję i wypowiesz „tak” przed ołtarzem. Zanim sukienki Kathleen pękną w szwach!

Ale w tym momencie Kathleen prawie pękła z wściekłości.

– A ja? Mnie nikt nie zapyta o zdanie? – zawołała ze złością.

Trzy pary oczu wpatrywały się w nią przenikliwie. Czy dostrzegła w nich brak zrozumienia, czy też brak litości?

– Nie – odparł krótko James O'Donnell. – A przynajmniej nie wcześniej, aż staniesz przed księdzem. I niech Bóg będzie ci łaskaw, jeśli wtedy...

Erin O'Donnell prychnęła pogardliwie.

– Nie martw się, James. Powiedzieć „tak” potrafi na pewno. Dotychczas nie potrafiła powiedzieć „nie”.

Kathleen wybiegła z domu, słysząc, jak rodzice dobijali transakcji małżeńskiej z Ianem. Nie chciała wypić ani odrobiny whiskey, którą przyniósł Ian – po kształcie butelek rozpoznała, że był to ten sam bimber, który rozprowadzał wśród ludzi Michael. Pragnęła jak nigdy rozmowy z kimś choćby trochę życzliwym. Tęskniła za Michaeliem. Za Bridget, podstarzałą dziwką z burdelu Daisy. Za tą kobietą z nabrzeża... Jak dobrze byłoby porozmawiać z nią teraz.

W końcu zatrzymała się przed domem ojca O'Briena. Stary duchowny się uśmiechnął, kiedy zobaczył ją stojącą przed drzwiami, zapłakaną, z potarganymi włosami.

– Wejść do środka, Mary Kathleen! – powitał ją przyjaźnie. – Wiesz, że jesteś tu mile widziana. Chcesz się wypowiedzieć, moje dziecko? Nie było cię wczoraj...

– Z czego jeszcze mam się spowiadać, ojcze? – wyrzuciła z siebie gwałtownie. – Każdy widzi moje dawne grzechy. A nowe raczej nie gromadzą się... przy kołowrotku i krosnach!

– Także w myślach można grzeszyć, Mary Kathleen – odparł ojciec O'Brien z udawaną surowością. – Ale wejść, przecież cała dygoczesz z zimna w swojej cienkiej sukni...

Kathleen weszła do ubogiej, małej plebanii, która nie była o wiele bardziej komfortowa niż dom jej rodziców. Na stole stała szklanka i butelka whiskey, z pewnością także pochodząca z destylarni rodziny Drurych.

– Chcesz się napić? – Duchowny wskazał na alkohol. – Wyglądasz tak, że chyba dobrze by ci to zrobiło. Co się dzieje, Mary Kathleen? – Przysunął jej krzesło do stołu.

Kathleen usiadła i odetchnęła głęboko.

– Ian Coltrane chce się ze mną ożenić – wyrzuciła z siebie.

O'Brien w milczeniu wysłuchał trochę chaotycznego opowiadania o pieniądzach Michaela i planach Iana Coltrane'a.

– Myślisz, że Ian Coltrane wiedział o tej sakiewce? – spytał wreszcie. – Bo zgodnie z tym, co mówisz...

Kathleen wzruszyła ramionami.

– Nie wiem, ojcze. Właściwie to niemożliwe, żeby wiedział. Ale Ian – on jest jakiś niesamowity, dziwny. Czasami wydaje mi się, że wiedział o wszystkim...

Duchowny się roześmiał.

– Tak chyba nie jest, moje dziecko. Bo to brzmi tak, jakbyś mu przypisywała jakiś związek z siłami nieczystymi. A nie bardzo mogę w to uwierzyć. Choć bez wątpienia jest on łotrem. Ten muł, którego wcisnął Williamowi O’Neillowi... Ale dajmy temu spokój. Nie masz zbyt wielkiego wyboru, Mary Kathleen, jeśli chcesz, aby twoje dziecko miało ojca.

– Ale to dziecko ma ojca! – zawołała Kathleen. – Michael chce tu wrócić, obiecał to! A wtedy... wtedy by mnie nie znalazł. Bo wtedy będę w tej, tej...

– Nowej Zelandii – dokończył O’Brien. – Ale wówczas, co prawda, miałabyś o wiele bliżej do Michaela, dziecko. Choć oczywiście nie wolno ci będzie nawet myśleć o kimś innym, jeśli zostaniesz żoną Iana Coltrane’a.

– To byłoby bliżej? – Kathleen się wyprostowała.

Stary duchowny z rozbawieniem dostrzegł, jak ożywiły się zielone oczy dziewczyny i jak znów pojawiła się w nich wola walki.

– Popatrz tutaj, Kathleen. – O’Brien wyjął z szafy globus, który należał do jego szkolnych utensyliów. – Tu jest Irlandia. A tu jest Londyn, dokąd teraz właśnie wiozą twojego Michaela. Stąd można dotrzeć do Australii. Tu: przez kanał, potem przez Atlantyk, wokół Afryki, obok Madagaskaru. A potem droga wiedzie przez Ocean Indyjski. Tu już jest Botany Bay, Kathleen, a tu Ziemia van Diemena. To wyspa leżąca przed stałym lądem. Tutaj, widzisz?

Kathleen śledziła uważnie palec księdza, który pokazywał na globusie nieskończenie długą drogę. Powoli traciła wszelką nadzieję. Nigdy, Michael nigdy nie znajdzie drogi powrotnej do Irlandii! To po prostu niemożliwe. Można uciec z więzienia – ale nie można potem płynąć przez pół świata – bez pieniędzy i paszportu.

– A tu, na dole – ojciec O’Brien wskazał małą wioskę w porównaniu z Australią wysepkę, leżącą na południowy wschód od kontynentu – tu jest Nowa Zelandia.

Kathleen patrzyła zafascynowana na oba kraje.

– To jest... to jest przecież całkiem blisko! – zawołała poruszona.

Duchowny wzruszył ramionami.

– Ponad dwa tysiące mil, Kathleen. Jeśli wydaje ci się, że to jest blisko... Ale z pewnością bliżej niż stąd, z Irlandii.

– A ten kraj... Nigdy o nim przedtem nie słyszałam. Te wyspy na południowym Pacyfiku... Czy one są pełne ludożerców?

O’Brien się roześmiał.

– No, te wyspy są raczej pełne protestantów, których jest chyba najtrudniej nawrócić. Większość imigrantów to Anglicy i Szkoci, także paru Niemców. O rdzennych mieszkańcach dotychczas nic nie słyszałem. I nie ma tam zbyt wielu ludzkich siedzib, jedynie stacje wielorybników... I poławiaczy fok. Jest trochę poszukiwaczy przygód. W ich siedzibach niechętnie bym cię widział, Kathleen. Ale

nie wiem, czy powinien tam jechać Ian, ci ludzie raczej nie kupują koni...

– Ian mówił o... Canterbury Plains – przypomniała sobie Kathleen.

Ksiądz, wyraźnie ucieszony, skinął głową.

– A, słyszałem o tym. Kościół angielski planuje zakładanie tam wielu miast, a sama okolica nadaje się znakomicie do hodowli bydła. Jeśli twój Ian zada sobie trochę trudu... Może się szybko wzbogacić. Ale zastanów się dobrze, Mary Kathleen. I nie obawiaj się, nie dam ci ślubu z mężczyzną, którego ty nie chcesz, bez względu na to, czego sobie życzą twoi rodzice. Przemyśl to. Jak mówiłem, nie masz zbyt wielu możliwości.

Kathleen westchnęła. A potem spojrzała raz jeszcze na niesłychanie długą drogę z Irlandii do Australii – i na krótki w porównaniu z nią odcinek między Nową Zelandią a Australią.

– Zdecydowałam się, ojciec – powiedział. – Chcę jechać do Nowej Zelandii!

Stary ksiądz potrząsnął głową.

– To źle, Kathleen – powiedział cicho. – Powinnaś powiedzieć: chcę wyjść za Iana Coltrane’a. Być z nim w dobrych i złych chwilach...

Dwa tygodnie później ojciec O’Brien zaślubił Iana i Kathleen w swoim małym kościółku. Kathleen przedstawiała wcześniej wszystkie możliwe argumenty, aby przesunąć wesele na później. Chciała wyjść za mąż dopiero w nowej ojczyźnie i godziła się nawet z faktem, że wtedy nie będzie mogła mieć welonu na głowie. Matka kpiąco wskazała jej wyraźnie zaokrąglony brzuch.

– To w ogóle nie wchodzi w grę, Kathleen! – oświadczyła. – Nie możesz podróżować z Ianem, nie będąc jego żoną. A kto wam potem da tam ślub? Jakiś anglikański wielebny? Najlepiej, żeby był ślepy, to wtedy nie zauważy twojej ciąży. A co będzie, jeśli dziecko przyjdzie na świat w drodze? Jeśli urodzisz na oceanie, to ten biedny bękart nie tylko nie będzie miał ojca, ale także ojczyzny.

– Dostanie ojca, dlatego przecież robimy to wszystko... – mruknęła Kathleen. Zrozumiała, że jej argumenty były dziecinne. Ojciec O’Brien miał rację: Nowa Zelandia wiązała się z tym, że najpierw musiała wyjść za mąż. Ale mimo fizycznej bliskości obu wysp oznaczało to też, że będzie tak daleka dla Michaela, jak jeszcze nigdy dotąd.

Kathleen wstydziła się oczywiście, kiedy w nowej szerokiej sukni zielonej barwy stanęła przed ołtarzem z Ianem. A ojciec O’Brien z pewnością nie przekląłby jej za to, że za dekoltem, tuż obok serca, miała ukryty list Michaela i pukiel jego włosów. W gruncie rzeczy poprzez to oszukiwała już teraz swojego męża, ale o tym nie miał się dowiedzieć nikt. Mary Kathleen już od dawna nie spowiadała się z każdej grzesznej myśli.

Ian zgodził się wielkodusznie, aby część jej posagu wydać na wesele i dobre

jedzenie; przynajmniej zatkało to gęby najbardziej złośliwym kpiarzom i złośliwcom. Ale to, co mówiono we wsi o zaślubinach Iana i Kathleen, i tak nie miało zbyt wielkiego znaczenia. Już trzy dni po weselu młoda para miała wyruszyć do Dublina. Stamtąd następnego dnia wypływał żaglowiec do Londynu. A piątego kwietnia z Londynu do Port Cooper wyruszał statek „Primrose”. Port Cooper był to port położony w pobliżu przyszłych terenów hodowli bydła, zwanych Canterbury Plains.

Kathleen nie obawiała się za bardzo nocy poślubnej z Ianem. Miała obawy związane ze świeżo poślubionym małżonkiem, ale nie odczuwała do niego wstrętu, a jej wspomnienia fizycznej miłości z Michaeliem były przyjemne. Miała co prawda nadzieję, że dziecko w jej łonie powstrzyma Iana. Ale jego to nie odstręczało. Posiadł swoją młodą żonę zaraz pierwszej nocy po weselu.

Oczywiście nie wyraził tego, ale Kathleen miała wrażenie, że był to rodzaj transakcji handlowej: cena została ustalona i teraz można było ujeżdżać konia. To ostatnie Ian zrobił bez cienia tkliwości czy uczucia. Zaniechał wszelkich pieszczot i niemal bez żadnych wstępów wszedł w Kathleen.

Kiedy stęknęła z bólu i zaskoczenia, zaatakował ją:

– Co jest?! Chyba nie chcesz twierdzić, że jesteś dziewicą?!

Kathleen umilkła i leżała cicho, czekając, aż skończy się ten nieoczekiwane niemily akt. Miała nadzieję, że to nie zaszkodzi dziecku, ale zbyt nie martwiła. W ciasnych izbach wiejskich chat dzieci musiały być świadkami miłości swoich rodziców. I choć ci starali się nie wydawać przy tym żadnych odgłosów, to Kathleen wiedziała, że ojciec korzystał ze swoich małżeńskich praw do końca każdej ciąży jej matki. Erin O'Donnell znosiła to, teraz musiała to znosić także Kathleen i dziewczyna miała przy tym uczucie, że po raz pierwszy unika grzechu.

Nigdy nie będzie mogła myśleć o Michaelu, kiedy obok niej leżał Ian.

**DOBRO**

**ANGLIA, LONDYN**

**ZIEMIA VAN DIEMENA**

**NOWA ZELANDIA, PORT COOPER I CANTERBURY**

**PLAINS**

**1847–1850**

# ROZDZIAŁ 1

Lizzie Owens chciała być dobra. Wiedziała też mniej więcej, jak to zrobić; pastor w sierocińcu mówił o tym bez przerwy. Dobre dziewczęta nie kradną, nie kłamią, nie oddają się też mężczyznom za pieniądze. Za to takie dziewczęta będą szanowane, Bóg będzie im sprzyjał, a po śmierci pójdą do nieba.

Problemem Lizzie było tylko to, że miała dopiero siedemnaście lat i nie chciała tak szybko iść do nieba. A zaniechanie tego wszystkiego, co było zabronione, pociągnęłoby za sobą śmierć głodową, i to nie tylko jej, ale także Hannah, Toby'ego i Laury. Lizzie rozważała tę kwestię na wszelkie sposoby, ale było to nieuniknione. Nie mogła po prostu przestać kraść, kłamać i sprzedawać się za pieniądze, chociaż wiedziała, że za to wyląduje w piekle. Choć co prawda nie tak szybko.

Tego dnia, w początkach 1847 roku, obudziła się jak zwykle głodna, a w dodatku było jej zimno. Marzła jeszcze bardziej, kiedy zsunęła z siebie brudny, cienki koc i delikatnie odsunęła na bok dzieci. Toby i Laura zawsze przytulali się do niej we śnie, od kiedy Hannah wprowadziła się do drewnianej szopy w Whitechapel wraz ze swym ukochanym Luciusem. Jak gdyby ta dziura w niszy między dwiema kamienicami nie była i tak za mała dla czworga ludzi.

Lizzie nienawidziła tego, że musi zniknąć ze swoimi klientami za wytartą zasłoną, podczas kiedy Hannah gotowała obok dla dzieci. Choć przynajmniej udawało jej się zacisnąć zęby i nie wydawać żadnych odgłosów w czasie, kiedy z jej ciała korzystali mężczyźni. Hannah tego nie potrafiła i Lizzie stale starała się wychodzić gdzieś z dziećmi. Kiedy musiała zostać, śpiewała coś, ale wówczas klienci skarżyli się i protestowali. Śpiew Lizzie nikomu nie imponował.

Teraz jednak i tak nie miało to znaczenia, Hannah miała swojego Luciusa i dzieci niechybnie słyszały, co oni oboje wyprawiali na drugim łóżku koło drzwi.

– Ale za to mają ojca! – powtarzała niewzruszenie Hannah. – Lucius będzie dawał na nie trochę pieniędzy i będzie ich bronił.

Ale Lucius już w południe był zwykle zbyt pijany, aby przynajmniej trzymać się na nogach. Bronić nie mógł nawet siebie samego. Co prawda nic mu nie zagrażało, bo niczego nie można mu było odebrać. Wczoraj oboje pokłócili się o to, że nigdzie nie pracował.

Lizzie z niedowierzaniem spojrzała teraz na poplamiony materac, który dzielili Lucius i Hannah. Spodziewała się, że zobaczy ich tam oboje ciasno objętych, ale Hannah tuliła do siebie tylko swój cienki i brudny koc. Czyli Lizzie dobrze się wydawało, że słyszała wczesnym rankiem jakiś hałas: Lucius zapewne wstał i poszedł

do roboty!

Właściwie nie było trudno zarobić parę groszy. Mężczyźni zawsze znajdowali jakąś pracę w porcie. Statki wracające i wypływające w morze musiały być załadowane i wyładowane, a w tym celu zatrudniano robotników dniówkowych. Co prawda należało już o brzasku być na nabrzeżu – a nieroby takie jak Lucius były w stanie zrobić to najwyżej raz w miesiącu. Lizzie zawiązała fartuch i po omacku poszła w stronę pieca. Odetchnęła, kiedy znalazła tam trochę żaru z wczorajszego dnia. W domu były jeszcze dwie szczapy drewna, można więc będzie choć trochę ogrzać izbę do chwili, kiedy wstaną dzieci. A w ciągu dnia ogrzeje ją słońce.

Lizzie się przeciągnęła. Dzień nie zaczynał się źle! Nie padało, a wiadra, które podstawiła pod zwykle kapiący dach, były puste. Do tego z wieczoru został jeszcze kawałek chleba. Mogła dzięki temu nabrać trochę sił i potem iść do portu.

Nocą zwykle zawijały tam kolejne statki pełne marynarzy, wszyscy byli głodni i spragnieni kobiecych ciał. Hannah, która zwykle lubiła rankiem dłużej pospać, nie wierzyła jej, ale Lizzie często właśnie rankiem znajdowała najlepszych klientów i przeważnie nie musiała przyprowadzać ich tutaj. O tej porze pokoje w hotelach studenckich były tanie.

Lizzie się rozejrzała, ale nie mogła znaleźć chleba. Jej podejrzenie rosło, im dłużej i bardziej gorączkowo grzebała w szafce. Ten cholerny Lucius! Wyżarł swojej dziewczynie i dzieciom ostatni kawałek chleba!

W pierwszym odruchu chciała obudzić Hannah i zasypać ją wyrzutami, ale wiedziała, co usłyszy od przyjaciółki: „A co, miał o pustym brzuchu iść do pracy? Przecież wstaje o północy, żeby zarobić trochę pieniędzy...”.

Z Hannah ostatnio w ogóle nie można było rozmawiać. Była jak oszalała w swojej miłości do Luciusa. A przy tym Lizzie wątpiła, czy ten facet przyniesie wieczorem do domu choćby pensa. W najlepszym wypadku dzielił się ostatnią butelką dzinu z Hannah i Lizzie. O dzieciach nie myślał nigdy.

Lizzie musiała w każdym razie zmienić teraz swoje plany. Ze sporą dozą rutyny walczyła o mężczyzn, ale potrzebowała choć odrobiny siły, aby móc wyczarować na twarzy uśmiech, dzięki któremu w oczach mężczyzn stawała się piękna. A przy tym klienci nie lubili burczenia w jej brzuchu, kiedy się zaspokajali. Lizzie musiała coś zjeść. Choćby jeden kęs chleba...

Z westchnieniem poszukała sukienki i kapelusza, dziękując w myślach niebu, że Lucius zostawił przynajmniej wodę do mycia, którą ona przyniosła do domu poprzedniego dnia. Nie potrzebował się myć. Lizzie, prychnąwszy, opryskała sobie twarz zimną wodą, wytarła się i wyszczotkowała włosy.

Starła się wyglądać schludnie, kiedy wychodziła z domu, i przynajmniej za dnia rezygnowała z jaskrawej szminki, której zwykle używały kobiety uprawiające jej rzemiosło. To też miało swoje zalety, bo niejedni klienci wołali dziewczynę



sprawiającą wrażenie w miarę przyzwoitej, która wyglądała na tyle lat, ile rzeczywiście miała. Lizzie skontrolowała swój wygląd w rozbitym lusterku, które mały Toby znalazł gdzieś na śmietniku.

Toby skończył właśnie pięć lat, ale wiedział już dobrze, co i ile było warte. Jeśli tylko pozwalano mu grzebać w śmietniku bogatych ludzi, znajdował szkło i metal, które można było sprzedać. W ten sposób jego wkład w utrzymanie rodziny był nieraz większy niż Luciusa. Hannah wiedziała o tym i czasem po prostu wysyłała dziecko do pracy na ulicę – z tego powodu Lizzie też robiła jej wyrzuty. Chłopiec był za mały, aby się przeciwstawić innym dzieciom ulicy. A co najgorsze – mógł go ktoś ukraść! W Londynie istniały bandy, które porywały dzieci i przyuczały je do pracy na ulicy; były one nader zręcznymi złodziejami kieszonkowymi i skutecznymi żebrakami. Lizzie to przerażało.

Poprawiła zgrabny kapelusik, który kupiła rok temu na targu z używanymi ubraniami. Właściwie nie mogła sobie na to pozwolić, ale przekupkę oczarował jej uśmiech i oddała Lizzie kapelusik za śmieszłą cenę. A teraz Lizzie przeciwiczyła swój uśmiech w rozbitym lusterku. Ale bez śniadania... Nie, to niemożliwe...

Dziewczyna westchnęła i zapragnęła znów być piękna. Tak piękna jak Hannah przed urodzeniem dwójki dzieci, zanim zaczęła się oddawać mężczyznom takim jak Lucius i piciu dżinu. Hannah była okrągła, miała jasną cerę i szopę bujnych, rudych włosów, a jej niebieskie oczy, mimo ciężkich, opadających powiek, zawsze błyszczały. Takiej kobiecie mężczyźni właściwie nie mogli się oprzeć.

Lizzie była drobna i miała szczupłe, chłopięce ciało. Nie miała piersi i wątpiła, że one jeszcze kiedykolwiek urosną. Twarz miała okrągłą – choć teraz jej policzki były zapadnięte i przeważnie blade. Nos Lizzie miał także odpowiednie proporcje, przynajmniej jeśli przyglądano mu się z przodu. Z boku wydawał się nieco za długi. Ciemnoblonde włosy siedemnastolatki były lekko kręcone, jej brwi i rzęsy były zaś tak jasne, że byłyby niemal niewidoczne, gdyby nie malowała ich sadzą. Lizzie miała niebieskie oczy – i była dziewczyną, której nie dostrzegano na pierwszy rzut oka. Miała jednak osobliwy talent, który pozwalał jej przetrwać mimo wszelkich przeciwności losu. We wszystkich budziła otuchę – w kobietach, mężczyznach, także w dzieciach. Słońce wydawało się wschodzić wraz z jej ufnym, beztroskim śmiechem. Powietrze wokół niej niemal wibrowało, kiedy się śmiała. Jej oczy promieniały wtedy radością, której trudno było nie dostrzec. Ludzie często zagadywali Lizzie i żartowali z nią, kupcy zawsze sprzedawali jej towary po niższych cenach albo wręcz robili jej podarunki.

Uśmiech Lizzie oczarowywał ludzi i otwierał przed nią wszystkie drzwi. Niejeden brutalny, złośliwy klient łagodniał w jej obecności i traktował ją z szacunkiem i sympatią, jeśli tylko się do niego uśmiechała. I niejeden skąpiec nie ważył się oszukać Lizzie i odebrać jej tak ciężko zarabianych pieniędzy, co zdarzało się

w przypadku klientów innych dziwek. Mężczyźni czasem nawet zabierali dziewczynę po skończonej pracy do jakiejś garkuchni i kupowali jej paszteciki i dzin – tylko po to, aby zobaczyć jej pełen wdzięczności uśmiech.

Choć niestety umiejętność oczarowywania ludzi nie była jej dana od dzieciństwa. Lizzie często rozmyślała o tym, jak mogłoby wyglądać jej życie, gdyby była słodkim, nieznanym żadnych oporów dzieckiem. Gdyby potrafiła jeszcze w sierocińcu uśmiechać się do ludzi tak zniewalająco jak teraz, to może nawet znaleźliby się dla niej rodzice. Czasami zaglądały tam pary, które chciały adoptować małe dziecko. Nie jako siłę roboczą, lecz rzeczywiście po to, aby mieć coś w rodzaju rozpieszczonej laleczki.

Małą Lizzie znaleziono na ulicy w East Endzie, gdzie krzycząc i płacząc, czepiała się nogawek i spódnic przechodniów – była wtedy wychudzonym, krnąbrnym dzieckiem, którego nie chciał nikt. Swój uśmiech i jego urok dziewczynka odkryła znacznie później, gdy miała trzynaście lub czternaście lat i od dawna mieszkała na ulicy.

Pamiętała, że zbierała wtedy na śmietnikach stare ubrania, aby je potem sprzedać, po czym z ciężko zarobionymi pieniędzmi wędrowała do sklepu ze słodyczami. Powinna była kupić chleb, ale tak bardzo pragnęła słodczy, że nie mogła się temu oprzeć. Ze szczęścia, jakie ogarniało ją na widok wszystkich tych cudów w słoikach i pudełkach, uśmiechała się do sprzedawcy – i natychmiast wychodziła z torebką pełną słodczy. Były to zwykle połamane laski cukrowe i sklezione cukierki – nic, co nadawałoby się do sprzedaży. Ale przecież sprzedawca nie musiał darowywać tego Lizzie.

Dziś jeszcze Lizzie przypomniała sobie tamten uśmiech sprzedawcy, który był odpowiedzią na jej uśmiech, wraz ze słowami: „Słodkie za słodkie”.

Lizzie odłożyła lusterko i ruszyła w drogę. Skąd miała teraz wziąć coś do jedzenia? Rozważała, czy ma najpierw iść na nabrzeże i jednak spróbować znaleźć klienta, ale już na samą myśl o tym poczuła mdłości. Zwłaszcza że poczuła zapach dobiegający z piekarni położonej trzy ulice dalej od jej nory.

Lizzie nie była w stanie zrobić nic innego i musiała pójść tam, skąd docierał zapach świeżego chleba. Chyba mądrzej byłoby zakraść się do sklepu tylnymi drzwiami i coś użebrać. Może żonie piekarza zostało trochę chleba z poprzedniego dnia i może dziś ona ma jakiś lepszy dzień? To już się zdarzało – od czasu do czasu Hannah dostawała coś od niej, kiedy Toby i Laura wyglądali na wyjątkowo zgłodzonych. Ale teraz Lizzie podszeptował diabeł – i weszła do piekarni głównymi drzwiami.

Za ladą stał sam piekarz – to dobrze, bo mężczyźni łatwiej ulegali czarowi Lizzie, bez względu na to, jak się uśmiechała. Przed nią był jeszcze jeden klient, który kupił dwie bułki. Lizzie poczekała, aż piekarz go obsłużył, a potem uśmiechnęła się

i pozdrowiła piekarza. Zauważyła natychmiast, że magia dziś nie działała – nie była w stanie się uśmiechać.

Mimo to piekarz zareagował przyjaźnie.

– No, śliczne dziecko, jak mogę cię uszczęśliwić?

Czym można ją uszczęśliwić? Lizzie, głodna jak pies, wodziła spojrzeniem po wszystkich wypiekach na regałach.

– Jeden chleb... – powiedziała tęsknie. – Niczego więcej nie pragnę. I dwa ciastka drożdżowe, dla dzieci... Mleczne bułeczki...

Lizzie nie mówiła poważnie, po prostu wypowiadała na głos swoje marzenia. Tu, we wnętrzu, było tak ciepło, tak cudownie... Dziewczyna była zupełnie zaskoczona, kiedy piekarz napełnił torebkę żądanymi wypiekami i podał jej.

– To będą trzy pensy.

Lizzie wzięła torebkę.

– Ja... – wyszeptwała. – Tylko ja nie mam teraz pieniędzy. Czy może być tak, że... Że wpadnę później i zapłacę?

– Nie masz pieniędzy? – Przyjazna twarz piekarza w jednej chwili zrobiła się mroczna. – Mała, ty nie masz pieniędzy, a ja nie mam niczego, co mógłbym ci podarować. To co tu robisz? Oddaj chleb z powrotem i uciekaj stąd! Zapłacić później... Też coś!

Lizzie ocknęła się ze swych marzeń. Co ona wyprawia, co ją naszło... Ale torba w jej ręku była rzeczywistością. A blat lady był bardzo wysoko, mężczyzna nie mógł go przeskoczyć.

Dziewczyna przycisnęła do siebie torbę z chlebem.

– Przykro... przykro mi – wystękała. – Ale... ja przyjdę później z pieniędzmi... – I wybiegła ze sklepu.

Piekarz zaczął za nią krzyczeć i Lizzie usłyszała słowo: „złodziejka”. Nie zwracając na nic uwagi, biegła w dół ulicy, ile tylko miała sił w nogach. Nie w kierunku swojej klatki, tam mogli ją znaleźć, lecz prosto na targ. Na pewno panował tam duży ruch, mogła zniknąć w tłumie, a potem okrężną drogą wrócić do domu.

Lizzie czuła strach, ale także ekscytującą świadomość siły. Jeszcze nigdy nie odważyła się na tak bezczelną kradzież. Ale na razie wszystko było na jak najlepszej drodze. Piekacz tak szybko nie mógł jej dogonić, a nieliczni przechodnie wydawali się zbyt zmęczeni, żeby ruszyć za nią w pogoń... Lecz właśnie wtedy wyrósł przed nią jak mur wysoki i barczysty konstabl. Lizzie nigdy jeszcze nie widziała policjanta w tej części Londynu. Nieszczęśliwy przypadek...

– No, co się tak śpieszysz, ślicznotko?! – Policjant przytrzymał biegnącą dziewczynę za rękę. – Mąż czeka na zakupy, tak?

Lizzie spróbowała siły swego uśmiechu.

– Moje dzieci, sir... Ja... Ja... One muszą mieć coś w brzuchu, zanim pójdą do

szkoły...

– A, to tak, mała, masz już dzieci, które chodzą do szkoły. Ładnie, ładnie. A twój mąż zarabia pracowicie pieniądze, a to wołanie nie jest skierowane do ciebie! – Policjant wskazał na piekarnię, z której ciągle dobiegały krzyki.

Żona piekarza wyszła właśnie na ulicę i ruszyła w stronę Lizzie i konstabla.

– Tu jest ta złodziejka! – zawołała. – Trzymajcie ją mocno, konstablu, żeby mój mąż ją zobaczył! Ale ja też znam tę lafiryndę! Chodzi tu dookoła i można by pomyśleć, że to porządna dziewczyna. Ale tak naprawdę to dziwka, wie o tym każde dziecko. Jak mój mąż mógł się dać na to nabrać... Ale chłopcy miękną, kiedy widzą takie śliczne buzie... Nie puszczajcie tej bestii, konstablu, bo ucieknie...

Lizzie nie zamierzała uciekać. I tak byłoby to bezcelowe, bo policjant był o wiele silniejszy niż ona. Jedyne, co mogło jej w tej chwili pomóc, to błaganie i prośby.

– Mistrzu, posłuchajcie! – Uznała, że najlepiej będzie zwrócić się do piekarza, który też się zjawiał. – Ja tylko marzyłam, nie chciałam zamawiać czegoś, za co nie mogłabym zapłacić! Chciałam prosić, abyście zapisali to na zeszyt! Ale dzieci... Jeśli pozwolicie, żeby mnie zamknęli, to nic nie dostaną do jedzenia. A ja przyniosłabym pieniądze, na pewno! Ja nie jestem... taka... Jestem uczciwa, ja...

Żona piekarza skwitowała słowa Lizzie kpiącym śmiechem.

Piekarz oddychał szybko.

– A więc masz głodne dzieci?! A nie starczyłby jeden chleb, dziewczyno? Musiałas jeszcze prosić o ciasto i bułki?

Lizzie zagryzła wargi.

– Ja nie chciałam...

– Chcecie się przyznać do kradzieży czy nie? – spytał policjant.

Żona piekarza wyrwała jej torebkę z pieczywem, którą dziewczyna ciągle ścisnęła kurczowo.

– Pewnie, że chce! Jeszcze czego! I obejrzyjcie sobie bułki i ciastka, konstablu, są całkiem pogniecione i nie można ich już sprzedać! A ona w dodatku jest dziwką, mówię wam, konstablu! Popytajcie ją trochę ostrzej...

– Proszę! – Lizzie zwróciła się jeszcze raz do małżonka zawziętej kobiety.

Ale on także nie znał łaski i skinał głowę, dysząc ciężko.

– Zabierzcie mu ją sprzed oczu, konstablu, zanim osłabnie! – skrzeczała jego żona.

Lizzie zamknęła oczy. Mogła teraz liczyć jedynie na łaskę sędziego. I na Hannah. Gdyby ona potwierdziła przynajmniej jej wersję z dziećmi...

Więzienie Newgate było okropnie brudne i przepelnione. Lizzie ledwo mogła oddychać, kiedy wepchnięto ją do długiego, wysokiego pomieszczenia, którego mrok rozjaśniało jedynie małe okienko pod sufitem. Znajdowało się tu przynajmniej piętnaście kobiet, dla wszystkich ustawiono w kącie przenośny ustęp, który

śmierdział wprost nieznośnie. Jedyny mebel stanowiła prycza, zajęta przez dwie silnie zbudowane kobiety. Kilka kobiet stało opartych o ścianę – najwyraźniej w nadziei, że będą dziś jeszcze stąd wypuszczone. Reszta siedziała na wyścielonej brudną słomą podłodze. Lizzie stanęła przy drzwiach i spuściła oczy. W słomie były pchły, z całą pewnością, a ona nienawidziła pcheł!

– No nie, chyba zwariuję – dobiegł skądś skrzeczący głos. – Lizzie Owens, która zawsze uważała się za coś lepszego!

Lizzie dostrzegła Candy Williams, dziwkę z jej dzielnicy, która śmiała się do niej.

– Co takiego zmalowałaś?

– Złapali mnie na kradzieży chleba – wyznała Lizzie zmęczona.

Po co miałyby kłamać? A Candy nie była złą dziewczyną, te słowa były tylko nieszkodliwymi złośliwościami.

Kilka kobiet się roześmiało.

– Ależ z ciebie głuptasek! – stwierdziła jedna z kobiet na pryczy. – Jak kradniesz, to tak, żeby się opłacało! Patrz na nią – kobieta wskazała na ładną ciemnowłosą dziewczynę, tępo wpatrującą się w ścianę – ona zwędziła złoty zegarek. I prawie się udało... Ale paser ją wydał...

– Mój mąż mnie stąd wyciągnie – wyszeptała dziewczyna.

Znów rozległ się głośny, kpiący śmiech.

– Twój piękny kochaś najprawdopodobniej cię tu wpędził! – zaśmiała się gruba kobieta na pryczy. – Pewnie zrobił niezły interes z paserem. Nie mógł tego wziąć na siebie? Nie, dziewczyno, on wykręcił się z tego twoim kosztem!

– Co... Co się dzieje z kimś, kto ukradł chleb? – spytała cicho Lizzie.

Gruba kobieta wyszczerzyła zęby w fałszywym uśmiechu.

– To samo co z kimś, kto kradnie złote zegarki! Złodziejstwo to złodziejstwo. Oczywiście wszystko zależy jeszcze od adwokata. Jak on wrobi w to twoje dzieci, które trochę popłaczą...

– Ona wcale nie ma dzieci! – zdradziła Candy.

Gruba kobieta zmarszczyła czoło.

– Nie? Zdawało mi się, że widziałam ją na ulicy z dwójką bachorów. Chciałam cię namówić do pracy w moim burdelu, masz coś w sobie... Ale bab z bachorami nie przyjmuję, z tego są tylko kłopoty.

Lizzie przypomniała sobie teraz, że widziała już tę kobietę. Franny Gray, to do niej należał dom uciech na Hanbury Street.

– A wy... Dlaczego jesteście tutaj? – spytała Lizzie obojętnie. – Myślałam... Myślałam, że kiedy ma się burdel...

Dziwki z ulicy zazdrościły trochę dziewczynom Franny Gray. I oczywiście właścicielce domu uciech, która pewnie dzięki nim zgarniała masę pieniędzy.

– Ja tu zadaję pytania, mała! – oświadczyła Franny. – O mnie nie potrzebujesz się

martwić. Wyjdę stąd szybciej, niż zdążysz pisnąć... Choć nie tak szybko, jak Velvet wyciąga chłopom zegarki z kieszeni – wskazała na ciemnowłosą dziewczynę.

Pozostałe kobiety roześmiały się głośno, a Franny znów zwróciła się do Lizzie:

– No, to skąd te bachory? Ukradłeś je? Pokazujesz im, jak to się robi? A może je sprzedajesz? Mała, nie posądzałam cię o to...

Franny lekceważąco zmarszczyła czoło.

Lizzie zaatakowała ją gwałtownie.

– Nie gadajcie o mnie takich bzdur! – odparła ze złością. – Jak bym... Jak bym... Dobry Boże, tak, jestem dziwką i czasami kradnę, ale to nie znaczy, że wysyłam na ulicę dzieci! To dzieci Hannah, tej rudowłosej dziwki, która pracuje na Dorset Street. Mieszkam razem z nią, a bachory... Cholera, żal mi tych bachorów.

Mówiąc to, Lizzie się odwróciła. Wiedziała aż za dobrze, co się stanie z dziećmi, kiedy tylko Hannah będzie się o nie troszczyć.

Candy się roześmiała.

– Mówię ci przecież, Franny, że ona ma dobre serduszko! I prawie aureolę wokół głowy! Tylko tobie teraz nikt nie pomoże, Lizzie. Na Hannah też bym nie liczyła...

To ostatnie, niestety, okazało się prawdą. Lizzie miała nadzieję, że Hannah wkrótce przyjdzie ją odwiedzić – wieści o uwięzieniu szybko się rozchodziły w dzielnicy i każdy wiedział o nieco łagodniejszym traktowaniu więźniów, jeśli strażnikowi dało się parę pensów. Gdyby to Hannah wpadła w ręce jakiegoś zbira, to Lizzie z pewnością poszukałaby sobie kilku klientów więcej, aby zarobić i jej pomóc. Ale Hannah się nie pokazała. Za to zjawiły się dwie strażniczki i uwolniły Franny.

– Sprawa z sakiewką tego dżentelmena okazała się pomyłką – powiedziała jedna z nich niechętnie. – Ten pan chyba się pomylił... W każdym razie odzyskał sakiewkę i żałuje nieporozumienia.

Franny zrobiła palcami znak zwycięstwa i opuściła więzienie. Lizzie się zastanawiała, jak ta sprawa została załatwiona, i to w dodatku z więzienia. Ale zapewne Franny była na coś takiego przygotowana. Okradziony klient pewnie dostał swoje pieniądze z powrotem. Jak ludzie Franny spowodowali, że jeszcze przeprosił, to już przekraczało możliwości zrozumienia Lizzie.

Ją samą też ktoś odwiedził następnego dnia, po koszmarnej nocy we wspólnej celi. Część pryczy należąca przedtem do Franny była już zajęta – tym razem przez mniej przystępną osobę niż właścicielka burdelu. Nowym bossem celi była zapaśniczka, która okazała się wyjątkową bestią i natychmiast zaczęła terroryzować pozostałe kobiety.

– Powinnyśmy spróbować wydostać się stąd – westchnęła Candy. – Ona jutro będzie chciała dostać lepsze jedzenie i odbierze nam wszystko, co tylko da się spieniężyć...

– Ale przecież nic nie mamy – zdziwiła się Lizzie.

Candy uśmiechnęła się szyderczo. To nie był jej pierwszy pobyt w więzieniu. Siedziała już dwa lata za prostytutkę i teraz spodziewała się podobnego wyroku. Było też możliwe, że jako recydywistka tym razem będzie zesłana do kolonii.

– No, mamy przecież na sobie ubrania – stwierdziła. – Jak się rozejrzysz dookoła...

Lizzie popatrzyła na inne kobiety w celi. Niektóre miały na sobie tylko sprane halki, na których zawiązały jakieś chusty, żeby choć trochę się osłonić. Co prawda w celi na szczęście nie było zimno, ogrzewały ją po prostu ciała stłoczonych kobiet.

– A twój kapelusik... Jutro spróbuj z nim coś zrobić. Pogadaj ze strażnikiem, może on będzie chciał go wziąć dla swojej żony. W każdym razie możesz mieć szczęście i wtedy zamknie cię gdzie indziej...

Lizzie była skłonna rozstać się ze swoim ulubionym kapeluszem. Ale zanim mogła zacząć pertraktacje ze strażnikiem, wywołano ją na zewnątrz.

– Elizabeth Owens! – przeczytała jedna ze strażniczek znudzonym głosem, wpatrując się w trzymaną przed nosem kartkę. – Twój adwokat czeka na zewnątrz. Idź z nim porozmawiać, dziś po południu masz rozprawę.

Przynajmniej to szło szybko. Lizzie poczuła przypływ nadziei. Może rzeczywiście niedługo ją uwolnią. Jeden chleb... Nie może przecież być tak, że ukarzą ją równie surowo jak złodziejkę biżuterii Velvet.

Adwokata zupełnie nie interesowała historia Lizzie, która dowiedziała się, że reprezentował nie tylko ją, lecz także inne kobiety, które nie miały pieniędzy, aby pozwolić sobie na lepszego obrońcę.

– Może być tak, że sędzia dopatry się okoliczności łagodzących – stwierdził prawnik niedbale. – Ale nie liczyłbym na to. Więzienia są przepełnione...

– Ale jeśli mnie wypuści, to zwolni się przecież jedno miejsce! – powiedziała zaskoczona Lizzie.

Adwokat się roześmiał.

– Dziewczyno, oni nie mogą was tak po prostu puścić wolno! Dokąd byśmy zaszli, gdybyście mogły kraść i się prostytutkować, a my puszczalibyśmy was wolno zaraz następnego dnia? Nie, zapomnij o tym! Jeśli sędzia będzie łagodny, to dostaniesz tylko pięć lat...

– Pięć lat? Pięć lat więzienia za jeden chleb? – Lizzie wlepiła w niego przerażone oczy.

– To było chyba coś więcej niż chleb. O ile wiem, zabrałaś też jakieś słodycze, a to już nie jest drobna kradzież... Dlatego nie sądzę, żeby sędzia okazał łagodność. Za to jest siedem lat, dziewczyno, a siedem lat oznacza deportację.

– Macie... Macie na myśli to, że ześlą mnie do kolonii? – spytała Lizzie z niedowierzaniem.

– Na to wychodzi. A więc przygotuj się na to!

– Ale czy nie można czegoś zrobić? Jak sędzia zobaczy dzieci... Boże miłosierny,

nikt nie zajmie się tymi dziećmi, jeśli mnie nie będzie!

Lizzie nie chciała płakać, raczej zamierzała się uśmiechać. Ale teraz z oczu popłynęły jej łzy. Właściwie nie obawiała się Australii. Z pewnością nie mogło to być coś gorszego niż Londyn. Ale Toby i Laura... I siedem lat... Siedem lat więzienia... Będzie stara, kiedy wyjdzie!

Adwokat wzruszył ramionami. Ale Lizzie poczuła nagły impuls i była zdecydowana walczyć. Wyciągnęła z kieszeni swojej sukni kapelusik.

– Weźcie to, panie! Nie mam pieniędzy, ale możecie go sprzedać!

Wytarte ubranie adwokata też sprawiało wrażenie, jak gdyby kupiono je na targu z używaną odzieżą, podobnie jak rzeczy Lizzie.

– To można sprzedać za kilka pensów! I proszę, pójdźcie na Whitechapel Road i pomówcie z moją przyjaciółką. Niech przyprowadzi dzieci do sądu; ona powinna zeznawać w mojej sprawie! Proszę! Jesteście przecież moim adwokatem! Musicie mi pomóc!

Obrońca bez słów wziął do ręki kapelusz, strząsnął z niego kurz i wsadził sobie do kieszeni.

– Zobaczą, co da się zrobić – oświadczył. – Ale nie mogę niczego obiecać...

Przynajmniej dotrzymał słowa. Kiedy Lizzie ze skutymi rękami wprowadzono na salę rozpraw, Hannah z kamienną twarzą siedziała wśród publiczności, a dzieci były obok niej. Toby i Laura chciały coś zawołać do Lizzie, ale Hannah szturchnęła brutalnie jedno i drugie. Lizzie dostrzegła też koło swojej przyjaciółki Luciusa. Wyraz jego twarzy nie wróżył nic dobrego.

Woźny sądowy rozkuł Lizzie i popchnął ją w kierunku ławy oskarżonych. Onieśmielona dziewczyna znalazła się na wprost sędziego w ciemnej todze i białej peruce, który sprawiał wrażenie istoty z innego świata.

– Nazwisko? – spytał protokolant.

– Elizabeth Owens – odpowiedziała cicho Lizzie.

– Urodzona?

– Sądzę, że w roku 1830.

Sędzia zmarszczył czoło.

– Gdzie?

– Myślę, że w Londynie...

– A jest coś, o czym wiesz na pewno? – spytał sędzia sarkastycznie.

Lizzie spuściła wzrok.

– Nie... – odparła cicho.

– Z taką bezczelnością niedaleko zajdziesz, dziewczyno! – zrugął ją protokolant.

– Nie jestem bezczelna! – broniła się Lizzie. – Tylko jestem sierotą. Chociaż nie wiem tego dokładnie. I nie znam mojego nazwiska, nazwano mnie Owens, od nazwiska człowieka, który mnie oddał policji. Znalazł mnie na Cavell Street, tak



powiedział. Myślę, że tak było. Coś niecoś sobie przypominam. Ale nie wiem na pewno. Oni mówią, że miałam tak około trzech lat...

– No, ulicy to przynajmniej pozostałaś wierna – zauważył sędzia. – A nie próbowano w sierocińcu wychować cię tak, żebyś była porządną dziewczyną?

– Tak, sir – odpowiedziała Lizzie.

– I co? – spytał sędzia. – Dlaczego się tu znalazłaś?

– Oni tylko próbowali, sir – powiedziała Lizzie pokornie.

Na sali rozległ się śmiech.

Sędzia niechętnie zastukał w stół.

– Co to znaczy, dziewczyno?

– Uciekłam stamtąd, sir – wyznała Lizzie. – Bo... Chciałam być porządną dziewczyną, ale nie chciałam być stale bita. Zawsze byłam najmniejsza, sir, nie dostawałam zbyt wiele do jedzenia... A teraz... Proszę, sir, musicie mi uwierzyć. Ja nie kradnę. Chciałam to wziąć na zeszyt, chciałam tylko chleb... Proszę... Popatrzcie na te dzieci. Bóg świadkiem, że nie dostają nic do jedzenia!

Wydawało się, że Hannah, słysząc to, aż podskoczyła z oburzenia, ale teraz po raz pierwszy głos zabrał jej adwokat.

– Wysoki sądzie, w sprawie tej kobiety pojawiły się okoliczności łagodzące. Ona ukradła chleb nie dla siebie, lecz dla dwojga głodujących dzieci, o które się troszczy...

– Ale to nie są jej własne dzieci? – spytał sędzia z niedowierzaniem.

– Nie, wysoki sądzie, to dzieci jej przyjaciółki, i ta rodzina jest tu obecna. Czy zechcecie ich przesłuchać, sir?

Adwokat wskazał na Hannah, której teraz nie można było powstrzymać. Poderwała się z miejsca i zaczęła wykrzykiwać:

– To bezwstydną kłamstwo, wysoki... ee... panie sędzio, żeby powiedzieć policji, że ja pozwalam, aby moje dzieci głodowały! Muszę się tłumaczyć przed człowiekiem z sierocińca, który wtrąca się w to, jak je wychowuję! A ja przecież troszczę się o dzieci jak mogę, a teraz wychodzę za mąż, żeby one miały ojca... – Hannah wskazała na Luciusa, który akurat rzeczywiście nie wyglądał na pijanego. – I on chce nam kupić piękny dom i ubrania! Te dzieci nie muszą głodować!

Hannah usiadła i spojrzała na Lizzie, która miała ochotę zapaść się pod ziemię. Oczywiście, nie mogła oczekiwać, że Hannah powie prawdę. W przeciwnym wypadku mogliby jej odebrać dzieci...

– Masz coś do powiedzenia, Elizabeth Owens? – zwrócił się sędzia do Lizzie.

Lizzie milczała. Sądziła, że wygłodzone buzie Laury i Toby'ego będą mówić same za siebie, ale Hannah tego dnia przeszła sama siebie i przynajmniej wyczyściła im nosy. Także ubrania dzieci wydawały się świeże i uprane, choć oczywiście były mocno zużyte. Lucius pewnie coś zarobił i Hannah całą swą energię włożyła w to, aby zabrać mu te pieniądze, zanim je przepił. Może będzie robiła to częściej

w przyszłości... Lizzie mogła tylko życzyć jej szczęścia. Nie gniewała się na nią.

Pozostała część rozprawy przebiegała jej jak we mgle. Nic niemówiące słowa adwokata, napomnienia i zarzuty sędziego, a w końcu wyrok. Deportacja, siedem lat, dokładnie tak, jak przewidział adwokat. Jak dowiedziała się potem, nietrudno było to przewidzieć. Prawie wszystkie współaresztantki dostały ten sam wyrok. Jedynie złośliwa zapaśniczka, która chyba kogoś zamordowała, została skazana na dziesięć lat.

Candy płakała. Miała ukochanego, który ją naprawdę lubił, i nie chciała go opuszczać. Velvet wydawała się jeszcze bardziej blada niż przedtem. Jej przyjaciel zeznawał przeciwko niej, choć też mu to nie pomogło. Także otrzymał wyrok zesłania do kolonii.

Więzienny ksiądz, któremu kobiety mogły się zwierzyć raz w tygodniu, o ile miały taką potrzebę, wyjaśnił im, jaki los je właściwie czeka.

– Ziemia van Diemena – powiedział przyjaźnie. – To wielka wyspa tuż koło Australii, niezależna kolonia. Od dawna jest już zamieszкана, ale nie ma się co obawiać tubylców. Mieszkają tam Brytyjczycy. Więzienie dla kobiet jest bardzo nowoczesne. I wkrótce wyruszą. Statek „Asia” pod dowództwem kapitana Johna Roskella wypływa z końcem marca. Na statku będą tylko kobiety – przynajmniej taki jest plan.

– Jak długo trwa podróż? – spytała jedna z dziewczyn.

– Mniej więcej trzy miesiące. Wy, dziewczyny, traficie do *female factory*, są tam liczne szwalnie i pralnie. Ale część z was będzie pracować jako pokojówki, część w ogrodach... A niektóre wyjdą za mąż. Tam jest bardzo mało kobiet. Jeśli któraś będzie się dobrze prowadzić i znajdzie uczciwego mężczyznę, może być ułaskawiona. A więc nie traćcie odwagi! Bóg wie, co robi! Będzie z wami tam, na obczyźnie, a jeśli trochę się postaracie, to Jezus was uratuje. Pomodlimy się teraz razem... masz jeszcze jakieś pytanie, dziewczyno?

Lizzie nieśmiało podniosła rękę.

– Jeżeli będziemy tam pracować, wielebny... czy oni... czy oni dadzą nam coś do jedzenia?

Wielebny się roześmiał.

– Ależ oczywiście, dziewczyno! Korona Brytyjska nie pozwoli swoim więźniom umierać z głodu! No, może jedzenie nie będzie najlepsze, w koloniach...

Lizzie skinęła głową. W londyńskim więzieniu też nie musiała głodować. Żarcie było wprawdzie okropne, ale przynajmniej było go dość. Lizzie zdarzało się jadać coś znacznie gorszego niż ciągle płatki owsiane. W koloniach ziemia ponoć jest żyzna, a Lizzie była gotowa ją uprawiać. Tylko żeby ktoś jej pokazał, jak to się robi. A jeśli „bycie dobrym” znaczyło, że nikt nie będzie musiał umierać z głodu, to ona była gotowa spróbować wszystkiego.

Tej nocy zasnęła pełna nadziei, mimo pcheł i wszy w celi, mimo płaczu i chrapania. Chciała wieść życie świątobliwe i bogobojne, nawet jeśli nie całkiem rozumiała Boga i jego poczynania. Ale może On zsyła ją do Australii po to, aby ją uratować?

Ale kto wówczas miał ratować Toby'ego i Laurę?

## ROZDZIAŁ 2

Rankiem dwudziestego trzeciego marca skazane kobiety przewieziono w zakratowanych wozach na statek „Asia”. Był to żaglowiec o wielkości na pierwszy rzut imponującej, ale w porównaniu z kilkupiętrowymi więziennymi statkami *prison hulks* w Woolwich jego rozmiary były raczej niewielkie. Nie tylko więzienie żeńskie w Londynie pękało w szwach. Zakłady karne dla mężczyzn były tak przepelnione, że każdy omijał *prison hulks* stojące w doku w Woolwich. Panowały w nich wręcz przerażające warunki. Lizzie odczuwała lęk już na sam widok ciężkich, brzuchatych okrętów.

„Asia”, która ponoć miała za sobą pięć podróży do Australii, i to odbytych bez żadnych strat, w porównaniu z nimi wyglądała wręcz zachęcająco. Oprócz kajut dla około stu zwykłych pasażerów, pod pokładem były też pomieszczenia dla stu pięćdziesięciu skazańców, a także dla trzydziestu strażników i załogi kapitana statku Johna Roskella. Oznaczało to raczej niewiele miejsca dla każdej osoby. Lizzie była przerażona, kiedy wszystkie kobiety prowadzano po drabinie w dół, gdzie w głębi statku znajdowało się olbrzymie, ciemne pomieszczenie. Na międzypokładzie umieszczono około stu kobiet – drewniane przegrody mające oddzielać prycze stanowiły raczej ich umocnienie. Pozostałe kobiety strażnicy zaprowadzili jeszcze niżej do wnętrza statku. Na koniec zapędzono tam jeszcze dwunastu mężczyzn skutych razem łańcuchami.

Kobiety słyszały, jak kapitan statku kłócił się o to z kilkoma strażnikami z *prison hulks*.

– Ach, przestańcie, wcale nie macie jeszcze kompletu! A my prawie nie mamy wolnych cel, żeby upchnąć więcej tych rzezimieszków. Zabierzcie ich więc, *master* Roskell; wcale nie trzeba tego wykazywać w papierach!

– A wyżywienie dla nich też będzie? – mruknął kapitan.

– Oczywiście, że będzie, dostarczymy je. Ale ono nie będzie zaksięgowane, jeśli rozumiecie, co mam na myśli... – Strażnik więzienny się roześmiał i zrobił palcami gest, jakby liczył pieniądze. – No, powiedzcie wreszcie „tak”, *master*! Przecież to dla was bez znaczenia, że będziecie mieć dwunastu łotrów więcej na pokładzie. Zwłaszcza że nikt tego nie kontroluje. Ja już zadbam o to, żeby te typy były skute, wtedy na pewno nie będzie z nimi żadnych problemów!

I chyba kapitan musiał się na to zgodzić, bo mężczyzn wpuszczono na drabiny. Okrętowy cieśla poszedł za nimi, aby szybko zbudować dla nich drewnianą przegrodę.

Patrząc na nich, Lizzie odczuwała prawdziwe współczucie. Poniżej linii wody było z pewnością jeszcze ciemniej niż u kobiet na międzypokładzie, gdzie przynajmniej możliwa była jakaś orientacja. Choć nie było tu zbyt wiele do oglądania. Trzypiętrowe prycze stały jedna obok drugiej – innych sprzętów nie było, a więźniowie nie mieli przecież ze sobą bagażu.

– Tylko nie narzekajcie, przynajmniej was nie zakuwamy – oświadczył strażnik, który nadzorował zajmowanie prycz przez kobiety.

Lizzie, Velvet i Candy porozumiały się bez kłótni. Candy koniecznie chciała zająć dolną pryczę, Velvet bez słowa sprzeciwu wdrapała się na górną pod samym sufitem, a dla Lizzie została środkowa.

Było jej to zupełnie obojętne, ale w innych częściach międzypokładu kobiety wręcz się biły o wybrane miejsca. Musieli interweniować strażnicy i zrobili to z właściwą sobie brutalnością. Natychmiast też chcieli złamać obietnicę, że nie będą zakuwali kobiet. Lizzie z przerażeniem zauważyła, że każde legowisko było wyposażone w łańcuchy.

– Tylko do czasu wypłynięcia – warknął strażnik, tak jak i pozostali żołnierze Korony Brytyjskiej. – Żeby nie było z wami kłopotów...

Lizzie uśmiechnęła się do niego. Była w stanie to robić, od kiedy pogodziła się ze swoim losem. Jeszcze przed podróżą uśmiechnęła się do wielebnego i dostała w prezencie Biblię. Duchowny był zachwycony, dowiedziawszy się, że umie czytać, i interweniował w sprawie nieco lepszych warunków dla młodych więźniarek. W efekcie Lizzie na ostatnie dni przed deportacją umieszczono w czteroosobowej celi.

Czar jej uśmiechu poskutkował także w przypadku lekarza. Stwierdził on u Lizzie niedożywienie – co oczywiście było faktem także w przypadku pozostałych kobiet – i zalecił dostarczenie przed zaokrętowaniem lepszej żywności. A teraz jeszcze ten oficer, który wyraźnie zareagował na jej uśmiech...

– Ale nas nie musicie zakuwać, sir! Cóż takiego miałybyśmy nawyczyniać? Nie sądzicie chyba, że my, słabe kobiety, opanujemy statek i uwolnimy tych wszystkich zbrodniarzy...

Lizzie udało się zrobić takie wrażenie, jakby rzeczywiście obawiała się mężczyzn umieszczonych pod pokładem. A przecież uważała ich, mimo łańcuchów, za niegroźnych, tylko po prostu doprowadzonych do ostateczności obwiesiów. Podobnie zresztą jak kobiety tu, na górze. Choć co prawda nie było to takie pewne. Także wśród kobiet było kilka zbrodniarek, głównie morderczyń skazanych na śmierć, którą to karę zamieniono im na dożywotnie prace przymusowe w koloniach. Takich ludzi kolonie przyjmowały raczej niechętnie, obawiał się ich także kapitan. Na czas podróży umieszczano ich w głębi statku, tam gdzie niemal nie docierało światło ani świeże powietrze, i zakuwano ich w kajdany. Lizzie widziała, że na dół

zaprowadzono także zapaśniczkę, postrach więziennej celi.

Strażnik popatrzył z niejaką życzliwością na trzy młode kobiety, przy czym jego wzrok dłużej zatrzymał się na ślicznej Velvet, aby za chwilę wpatrzeć się w uśmiechniętą Lizzie.

– Statek opanowany przez takie śliczne istoty to nie byłoby nic złego. – Uśmiechnął się. – Ale to będzie kosztować, moja słodka. Będę cię mógł odwiedzić, kiedy już wypłyniemy na morze?

Lizzie westchnęła w duchu, ale nie przestawała się uśmiechać. „To tyle, gdy idzie o »bogobojne życie«” – pomyślała. Nie powinna była nawet próbować flirtować z tym mężczyzną. Ale gdyby go teraz odprawiła, mógłby się rozzłościć, a na to nie mogła sobie pozwolić. Wręcz przeciwnie, potrzebowała sojusznika na statku.

– Jeśli sprawi wam to przyjemność, znaleźć się wśród tylu bab... – odpowiedziała łagodnie. – Ja będę się trochę krępowała...

Mężczyzna się roześmiał.

– Będiesz się krępowała? Taka z ciebie skromna dziewczyna? No to znajdzie się miejsce, gdzie będziemy sam na sam, nie ma obawy. A teraz siedźcie cicho, ślicznotki, nie wrzeszczcie i nie płaczcie w czasie wypływania. Dziś w nocy może być trochę sztormu na morzu... – Mówiąc to, skradł Lizzie całusa. – To przedsmak o wiele słodszych sztormów!

Kiedy wyszedł, Lizzie wytarła sobie usta. Już teraz czuła obrzydzenie. Z pewnością w czasie podróży nie będzie gdzie się umyć po spotkaniu z nowym klientem.

– Wcześniej zaczynasz... – usłyszała niechętny głos z łóżka naprzeciwko.

Prycza Lizzie znajdowała się na tej samej wysokości i była oddalona zaledwie o długość ramienia od sąsiedniej. W mdłym świetle, docierającym tu przez szpary w suficie, Lizzie dostrzegła starszą kobietę. Nie widziała jej wcześniej, a tamta nie wyglądała na dziwkę. Nawet teraz włosy miała ciasno związane i starannie ukryte pod czepkiem. A więc pozwolono jej zabrać suknię i nakrycie głowy. Kobieta nie była zatem całkiem pozbawiona pieniędzy.

Lizzie zauważyła, że jej nowy wielbiciel rzeczywiście zrezygnował z zakuwania kobiet także na łóżkach znajdujących się naprzeciwko.

– Wcześniej czy później... – odpowiedziała na uwagę tamtej – mężczyźni i tak zrobią to, co zechcą. Nie podoba ci się, że cię nie skuto?

– Mnie to jest obojętne – odparła kobieta. – Mogą mnie nawet powiesić...

To powiedziawszy, odwróciła się twarzą do ściany.

Lizzie zamknęła oczy i próbowała oddać się marzeniom w dusznym i ciemnym pomieszczeniu. Ale nie mogła przestać myśleć o kobietach i mężczyznach, których uwięziono jeszcze niżej w głębi statku i którym było znacznie gorzej niż im tu, na międzypokładzie.

Wsluchiwała się w liczne głosy, w modlitwy, płacze i zwykłe rozmowy. Ona

zostawiła tylko Hannah i jej dzieci, ale te kobiety płakały z powodu pozostawionych mężów, ukochanych i własnych dzieci. Zastanawiała się, jaką przeszłość miała za sobą starsza kobieta obok niej i skąd w ogóle pochodziła. Nie wyglądała na zbrodniarkę... Ale sama Lizzie też nie czuła się niczemu winna.

Wreszcie spróbowała poczytać Biblię. Z pokładu dobiegały wołania i wydawane ostrym głosem rozkazy, szelest wciąganych żagli i szum wiatru. Większość kobiet zaczęła krzyczeć, kiedy statek ruszył, podobnie jak kilku mężczyzn pod pokładem.

Lizzie zapamiętała wypłynięcie statku jako głośny okrzyk żalu, który oznaczał pożegnanie na zawsze.

Michael Drury przyłączył się do krzyków więźniów, kiedy statek więzienny opuszczał Irlandię. Ale teraz milczał – Anglia była dla niego krajem równie obcym i chyba bardziej wrogim niż daleka Australia, w Londynie zaś widział jedynie kawałek portowego muru. I tak miał szczęście. Pierwotnie więźniowie z Irlandii mieli być osadzeni na jednym z *prison hulks*, które stały na kotwicy w Woolwich. Ale najwyraźniej okazało się, że na statku płynącym ku Ziemi van Diemena i wiozącym jedynie kobiety jest jeszcze trochę miejsca.

Więźniów z Irlandii przeniesiono więc z jednego statku na inny i teraz zakuty w kajdany Michael leżał już pół dnia na pryczy w najciemniejszym kącie pod pokładem statku „Asia”. Kapitan postawił warunek, że mężczyźni będą oddzieleni od kobiet – także przez cały okres podróży. Michael nie mógł więc mieć nadziei na zbyt częste spacerki. Nikt też nie pomyślał o tym, aby dać mężczyznom jakieś nocniki i butelki, do których mogliby się wypróżniać. Było tu wprawdzie wiadro, które mogli sobie podawać, ale jeśli tylko jeden z uwięzionych tego nie zrobił, to wiadro nie docierało do prycz położonych w tylnym kącie pomieszczenia.

W każdym rządzie był przynajmniej jeden człowiek, który już teraz zastygł w rozpaczliwej, milczącej agonii i nie ruszał się mimo wołań pozostałych więźniów. Należał do nich Billy Rafferty, którego teraz ogarnęło coś w rodzaju otępienia, podczas gdy po pożegnaniu z Irlandią szalał i awanturował się całymi godzinami. Młody mężczyzna już w celi więzienia w Wicklow miał ataki klaustrofobii, a w tej chwili wydawało się, że wręcz tracił rozum w zamkniętych, ciemnych pomieszczeniach kołyszącego się statku. Zakuty w kajdany, leżał obok Michaela i jęczał głośno.

Smród w dolnych pomieszczeniach stawał się coraz bardziej nieznośny, było też niemożliwie duszno. Michael się cieszył, kiedy statek wreszcie ruszył. Łudził się, że może teraz zdejmą im kajdany.

Lecz choć na pierwszym pokładzie rzeczywiście tak zrobiono, Michael i towarzysze jego niedoli nadal byli skuci. A do smrodu dołączyła jeszcze woń wymiocin, bo w czasie pierwszych dni podróży na morzu panował sztorm.

– Kanał La Manche... – odezwał się mężczyzna leżący na pryczy nad Michaeliem, marynarz, który zabił kogoś w czasie portowej bójki. – Aż do Zatoki Biskajskiej morze zwykle bywa wzburzone. Baby wyrzycają tu własne dusze. Ale, do cholery, głodny jestem... Nie ma tu niczego do przegryzienia?

Zanim rankiem rzeczywiście wydano skromne porcje sucharów okrętowych, strażnicy wysłali na dół kilka kobiet z wiadrami i szczotkami, aby choć trochę sprzątnęły pomieszczenie. Przy każdej z nich stał strażnik – jak gdyby Michael czy też któryś z pozostałych skutych więźniów mogli je napaść.

– Przynajmniej nie macie piętrowych łóżek – próbowała pocieszyć Michaela jedna z kobiet. – Inaczej ten sos popłynąłby wam prosto na twarz. U nas już tego zaznałyśmy, zanim nas rozkuto. A te z chorobą morską nawet nie są w stanie dojść do klozetu. Jak długo będzie trwała ta podróż?

– Około stu dni – poinformował ją marynarz.

Słyszając to, mężczyźni jęknęli.

– Myślałem, że jakieś cztery tygodnie – wymamrotał Michael. – Do Ameryki...

Marynarz roześmiał się gorzko.

– Nowy Jork to rzut beretem w porównaniu z tym tutaj... Ale prędzej czy później wyprowadzą nas na pokład. Nie mogą pozwolić, żebyśmy tu gnili przez trzy miesiące... Królowa... Ona jest dobrą kobietą, nie dopuści do tego!

Michael tego nie skomentował. Skoro królowa Wiktoria milczała, patrząc spokojnie, jak Irlandia umiera z głodu, nie spodziewał się po tej kobiecie żadnego dobra. Choć może zdobędzie się na odrobinę łaski przynajmniej wobec swoich rodaków. Skazańcy zesłani na Ziemię van Diemena byli przeważnie Anglikami.

Michael tęsknił za odrobiną światła i powietrza, marzył, żeby choć mógł się wyprostować i wyciągnąć. Już teraz czuł nieznośny ucisk twardej drewnianej pryczy, do której był przykuty łańcuchami. Prawie nie mógł się ruszać i jak większość więźniów był niedożywiony. Na jego wychudzonych łopatkach z pewnością wkrótce pojawią się rany od leżenia, a ledwo zagojone pręgi na plecach piekły już teraz, po tym jak sprzątające kobiety po prostu wylały kilka wiader morskiej wody na przykutych do brudnych prycz mężczyzn. Więźniowie nie byli już tak brudni, ale za to mokrzy, a mimo że w głębi statku było duszno, to jednak nie było ciepło. Zapewne będzie to trwało całe dni, zanim wyschną lniane spodnie Michaela i jego koszula.

Także Lizzie i pozostałe więźniarki na międzypokładzie walczyły z chorobą morską, ale one miały przynajmniej do dyspozycji jedno wiadro na każde sześć kobiet. W boksie Lizzie najgorzej znosiły to Candy i jakieś dwie inne kobiety. Velvet wydawała się niczego wokół siebie nie dostrzegać, a starsza kobieta, która po dwóch dniach milczenia przedstawiła się w końcu jako Mrs Portland, była zbyt zajęta, aby chorować. Mrs Portland uważała za swój oczywisty obowiązek pielęgnowanie chorych. Stale biegała między pryczami, nosząc dzbanki i wiadra pełne wody pitnej



bądź wody do mycia, zmuszała kobiety do zjadania choćby małych kęsów sucharów i nie złościła się, kiedy te wymiotowały niemal natychmiast potem.

– Kilka z nich jest bardzo słabych... – powiedziała do Lizzie. – Obawiam się, że umrą z odwodnienia...

– Bo one nie są w stanie utrzymać w żołądkach choćby odrobiny pokarmu i wody – stwierdziła Lizzie, która zgodnie ze wskazówkami Mrs Portland troszczyła się o ciągle lamentującą Candy. – Kiedy to się poprawi? – westchnęła.

– Wtedy, kiedy uspokoi się morze! – usłyszała znajomy męski głos.

Odwrociła się gwałtownie. Czekala już cztery dni, aż strażnik, z którym flirtowała w czasie zaokrętowania, zażąda jej usług, ale najwyraźniej na pokładzie było dużo pracy.

– Czasami jest lepiej, kiedy się wyjdzie na pokład. I co, mała, masz ochotę na spacer ze mną?

Lizzie zrobiłaby wszystko, żeby tylko móc wyjść na powietrze, ale z drugiej strony...

– One czują się o wiele gorzej niż ja! – wskazała na Candy i jedną z chorych dziewczyn. Ta druga była drobna i nie mogła mieć więcej niż czternaście lat. Lizzie wiedziała, że jeśli nadal będzie zwracała wszystko, co zje, to nie pożyje długo.

Strażnik zastanawiał się przez chwilę.

– Najpierw masz być miła dla mnie – stwierdził krótko. – A potem zobaczymy... I już czas, żebyście wszystkie wyszły na pokład... Pogadam z porucznikiem...

Lizzie uśmiechnęła się do niego uwodzicielsko i poszła za nim na górę po drabinie. Atlantyckie powietrze niemal uderzyło ją w twarz. Szczęśliwa wystawiła twarz do wiatru i rozejrzała się ciekawie. Stwierdziła z zaskoczeniem, że nie była jedyną kobietą na pokładzie. Najwyraźniej jeszcze kilku strażników stwarzało sobie wzajemne alibi, aby móc wyjść z wybranymi dziewczynami. Strażnik Lizzie – który przedstawił się jako Jeremiaś – pomyślał nawet o ochronie przed deszczem. Zaciągnął dziewczynę do jednej z łodzi ratunkowych, nad którymi rozpięte były plandeki. Nie zabrakło nawet koca, pełniącego funkcję tapicerki, a całości dopełniła butelka dżinu, którą Jeremiaś wyciągnął triumfalnie spod poszycia.

Lizzie pociągnęła z niej spory łyk – alkohol rozgrzał jej wnętrzności i uspokoił żołądek. Zadowolona osunęła się na koc. Zdarzało jej się wykonywać swoją pracę w znacznie gorszych warunkach. Wprawdzie z trudem przyszło jej udawanie namiętności, kiedy Jeremiaś położył się na niej, ale na szczęście łatwo go było zadowolić. Mężczyzna okazał się normalnie zbudowany – nie za bardzo bolało, kiedy w nią wszedł, choć zupełnie nie miała na to ochoty. Lizzie poczekała, aż skończy, i poprosiła o obiecany spacer. Ku jej zaskoczeniu Jeremiaś się zgodził. Sprawiał wrażenie naprawdę wdzięcznego, a może nawet trochę się zakochał.

Oprowadził ją po pokładzie i pokazał, gdzie znajdują się kajuty pasażerów

i pomieszczenia dla załogi. Pod koniec spaceru włosy Lizzie były mokre od deszczu, ale za to dziewczyna czuła się przyjemnie odświeżona. Jak gdyby było nie dość tego dobrego, Jeremiaś wcisnął jej do ręki prawie pół butelki ginu i woreczek mąki.

– Masz, to dobre na żołądek. Może tej małej za waszą przegrodą zrobi się po tym lepiej. Zmieszaj wodę z mąką, to ją wzmocni...

Lizzie podziękowała mu wylewnie i kiedy tylko wróciła do swojego dusznego, śmierdzącego pomieszczenia pod pokładem, natychmiast przyłożyła Candy butelkę do ust. Candy piła chciwie i rzeczywiście wydawało się, że poczuła się lepiej.

– Mrs Portland...

Lizzie nieśmiało podała butelkę starszej kobiecie. Ale ona popatrzyła na dżin z dezaprobatą.

– Takie rzeczy przez całe życie omijałam wielkim łukiem – stwierdziła. – Ale cóż, przyszły inne czasy, to i obyczaje się zmieniły...

Spojrzała na Lizzie, wzięła butelkę z jej ręki, wypła łyk i zakrztusiła się gwałtownie, tracąc oddech.

– Ja też tego nie robię dla przyjemności! – Lizzie była zdania, że musi się bronić. Ta kobieta, jak podpowiadał jej instynkt, była dobrym człowiekiem i prowadziła bogobojne życie. Lizzie chętnie dowiedziałaaby się, dlaczego znalazła się na tym statku.

– Czy mamy wodę do picia? – spytała.

Wodę pitną roznoszono w dzbankach za każdą przegrodę każdego ranka i ledwo jej dla wszystkich starczało. Ciągłe dochodziło do nieprzyjemnych scen, a w niektórych przegrodach kobiety były ze sobą mocno skłócone. Jedna drugiej zazdrościła każdego łyka wody i każdego kęsa chleba.

Mrs Portland w odpowiedzi skinęła głową, Lizzie rozpuściła więc trochę mąki w wodzie, jak radził jej Jeremiaś. Wlała to do ust Candy, która co prawda sięgnęła znów po butelkę z dżinem. Za to podopieczna Mrs Portland, młoda, drobna dziewczyna, wypła wodę z mąką i nawet udało jej się zatrzymać tę mieszaninę w żołądku.

A następnego dnia strażnik rzeczywiście otworzył zewnętrzne luki dla wszystkich kobiet z międzypokładu.

– Wychodzić w grupach po dwadzieścia cztery kobiety! – zawołał porucznik, który wydawał rozkazy Jeremiaśowi i innym strażnikom. – Idźcie na wyznaczone miejsce na pokładzie i ruszajcie się! Wychodzenie z grupy nie będzie tolerowane, zabroniony jest kontakt z pasażerami! Nie wolno rozmawiać ze strażnikami i marynarzami!

Lizzie podparła Candy, a Mrs Portland wywlokła na pokład chorą dziewczynę. Kobiety czuły się trochę jak dzikie zwierzęta pokazywane na jarmarku, bo otoczyli je liczni widzowie. Marynarze też spoglądali z ciekawości, a pasażerowie wyszli ze swoich kajut i patrzyli na kobiety, jak gdyby to były zwierzęta w zoo. Większość

podróżnych stanowili ludzie w średnim wieku, emeryci, którzy skończyli swą służbę w policji czy wojsku i wykorzystywali możliwość otrzymania nadań ziemskich w Australii. W Anglii ich emerytura ledwo starczyłaby na przeżycie, ale w Botany Bay lub na Ziemi van Diemena ci ludzie będą bogaci. I w końcu mogli też liczyć na duży wybór, jeśli chodzi o personel domowy – żony przyszłych osadników mogły wybierać pokojówki i służące spośród dziewcząt takich jak Lizzie i jej towarzyszki niedoli.

Możliwość wyjścia na pokład tchnęła trochę życia w uwięzionych, ale pojawił się inny problem. Ciągłe padał deszcz, a pomieszczenia, w których trzymano skazańców, nie były szczelne. Ich odzież była stale wilgotna i wcale nie wysychała w zimnym wiosennym powietrzu Atlantyku. Choć co prawda woda, która zalewała pokład przy niespokojnym stanie morza, nie zalegała na międzypokładzie, lecz spływała aż na dolny pokład i tam się gromadziła. W niektórych miejscach sięgała aż do kolan i wkrótce zaczęła strasznie śmierdzieć.

Mężczyźni i kobiety, których tam umieszczono, dobrowolnie spędzali całe dnie na swoich pryczach, mimo że zdejmowano im kajdany na godzinę lub dwie. Także ich wyprowadzano na pokład, choć mężczyźni byli wtedy skuwani. Nie mieli zbyt wiele ruchu, mokli jedynie na deszczu i dygotali z zimna. Wkrótce wystąpiły pierwsze przypadki gorączki i biegunki. Także Michael całymi godzinami był w stanie półsnu – jego rany zaogniły się i bolały. Ale nie było jeszcze tak źle, że tracił siły. Zmuszał się do jedzenia i jak na razie udawało mu się zatrzymywać pokarm w żołądku. Najbardziej dokuczały mu zimno i wilgoć.

– Kiedyś w końcu zrobi się ciepło – pocieszał go marynarz z sąsiedniej pryczy. – Jak tylko dotrzemy do Zatoki Biskajskiej...

Jak zwykle miał rację, lecz ciepło, a potem upały panujące na Oceanie Indyjskim nie poprawiły sytuacji skazanych. Kobiety z górnego pokładu cieszyły się z wyschniętych ubrań, ale Michael i kilku innych mocno strzeżonych więźniów przebywali stale poniżej linii zanurzenia statku. Było tu zawsze wilgotno, a ciepło sprzyjało gniciu. W dodatku pojawiło się robactwo. Michael miał wrażenie, że jest pożerany żywcem przez pchły i wszy.

Mężczyźni próbowali nieco opanować tę plagę i dokuczliwe swędzenie poprzez wzajemne opryskiwanie się morską wodą w czasie przebywania na pokładzie. Ale strażnicy nie pozwalali im się wtedy rozbierać. Pasażerowie, którym dokuczała nuda, aż nazbyt chętnie przyglądali się wyprowadzanym więźniom. Codzienne „widowisko” było miłą odmianą w czasie jednostajnych dni na statku. W efekcie Michael i inni schodzili pod pokład za swoje przegrody w mokrej odzieży. I nikt tak naprawdę się nie dziwił, kiedy wybuchła cholera. Jej ofiarą padła natychmiast młoda dziewczyna – mimo starań i troskliwej opieki Mrs Portland, nawet mimo dodatkowych porcji jedzenia, które wszystkie sześć kobiet zawdzięczało relacjom Lizzie z Jeremiahem. Lizzie wielkodusznie rozdawała otrzymane prezenty

i denerwowała się, jeśli Candy nie mogła ścierpieć tego, że ona w czasie wyjść na pokład zniknęła w jakimś kącie ze swoim marynarzem.

Zakaz kontaktów między mężczyznami i kobietami oczywiście nie był przestrzegany. Wkrótce rozwinął się ożywiony handel między dziewczętami lekkich obyczajów z międzypokładem a żądnymi cielesnych uciech marynarzami i żołnierzami. Candy miała duże powodzenie i niemal zapomniała już o swoim ukochanym, w czym pomagał jej zwłaszcza dżin. I podczas kiedy grzecznie rozdzielala otrzymane produkty spożywcze między pozostałe kobiety, to dżin zatrzymywała dla siebie.

– Oni mają to już za sobą – westchnęła Mrs Portland, kiedy ciała zmarłych, po krótkiej ceremonii odprawionej przez kapitana, oddano morzu – zachwycająco niebieskiemu morzu, w którym pływały delfiny, ale w którym pojawiały się także ostre płetwy rekinów, czyhających na swe zdobycze.

– Kto wie, co jest jeszcze przed nami – dodała kobieta.

Mrs Portland była coraz bardziej otwarta w stosunku do Lizzie i nie miała jej już za złe związku z Jeremiahem. Wręcz przeciwnie, często prosiła dziewczynę, aby ta jej towarzyszyła, kiedy ona odwiedzała kobiety za innymi przegrodami, aby się zająć chorymi. Lizzie była chętna do pomocy, a Mrs Portland wdrażała ją cierpliwie w najważniejsze czynności.

– Gdzie się tego nauczyliście? – spytała nieśmiało Lizzie któregoś dnia.

Dotychczas Mrs Portland nigdy nie mówiła o swojej przeszłości, teraz jednak coś powiedziała:

– Pomagałam w szpitalu dla ubogich – wyjaśniła. – Z wdzięczności. Oni mnie tam dostatecznie często składali do kupy, a ja nie lubię czegoś brać i nic nie dawać w zamian. Tam potrzebna jest każda para rąk. Zwłaszcza na oddziale dla kobiet... Nie jest dobrze, jeśli kobieta jest związana z chłopem, a on ją bije do krwi.

Więcej nie powiedziała, ale Lizzie domyśliła się reszty. Mrs Portland była mężatką, a mąż ją bił. Czy ona go opuściła i potem zeszła na złą drogę?

– O nie, dziecko, ona go zamordowała!

To jedna z jej pacjentek w końcu uświadomiła Lizzie. Emma Brewster, starzejąca się prostytutka, która zaczęła okradać swoich klientów, aby przeżyć, cierpiała z powodu silnych bólów i obrzęków nóg. Mrs Portland stosowała na to okłady chłodzące i nacieranie dżinem. Lizzie właśnie wykonywała zleczone zabiegi, które przynosiły kobiecie wyraźną ulgę, kiedy w rozmowie poruszyły temat Mrs Portland i jej przestępstwa. Dziewczyna z wrażenia mało nie upuściła butelki z dżinem.

– Ona... Mrs Portland zamordowała swojego męża?

Emma Brewster skinęła głową.

– Tak jest, mała, byłam na rozprawie. Wiesz przecież, że nas sędzili w grupach, a Anna Portland była w kolejce tuż za mną. Nie radziła sobie za bardzo, jeśli chodzi

o obronę. I nie okazała cienia skruchy. Powiedziała, że on ją stale bił. Ale ona się z tym wciąż godziła, bo chciała być dobrą, świątobliwą żoną i czy ja wiem, co jeszcze. Tak było do chwili, kiedy on zaczął się dobierać do córki, która miała trzynaście lat. Pobił ją i właśnie stał nad nią z opuszczonymi spodniami, kiedy Anna weszła do domu. I wtedy ona chwyciła pograbacz i go zabiła. Jest silna... I powiedziała, że wcale tego nie żałuje i że zrobiłaby to jeszcze raz. I że jeśli Bogu to się nie podoba, to ona tego nie może zmienić, powiedziała jeszcze. Chyba ma coś wspólnego z diabłem.

Lizzie nie wiedziała, czy ma płakać, czy się śmiać.

– Nie została skazana na śmierć? – spytała.

Jej pacjentka skinęła głową.

– Jasne, ale ją ułaskawili. Jeśli chodzi o baby, to ułaskawiają prawie wszystkie.

– Ale... ale morderczynie... One są na najniższym pokładzie... – Lizzie nie bardzo mogła uwierzyć w to wszystko.

Emma Brewster przewróciła oczami.

– Dziecinko, Anna przez pół roku siedziała w Newgate. Tam pewnie zauważyli, że nie jest jakimś wyrzutkiem społeczeństwa. I doktor to zauważył, i wielebny... Wszyscy zaczęli się za nią wstawiać, także za tym, żeby ją zostawili w Anglii. Bo ona zostawia siedmioro dzieci. Ale nic nie można było zrobić. Anna musiała jechać za morza, a dzieci poszły do sierocińca.

Lizzie westchnęła. Pomyślała o swojej nieznannej matce. Dotychczas nie miała o niej zbyt dobrego mniemania, bo Lizzie uważała porzucenie dziecka za zbrodnię. Ale może też powodowała nią rozpacz, tak jak Anną Portland.

## ROZDZIAŁ 3

Kiedy „Asia” powoli żeglowała przez osławiony równikowy pas ciszy, gdzie często panowała całkowita flauta, a w krańcowych wypadkach na statkach zaczynało brakować żywności, epidemia gorączki na pokładzie osiągnęła swoje apogeum. Liczba zachorowań na międzypokładzie nie była zbyt wysoka, ale na dolnym pokładzie nikt nawet nie był zdolny wstać. Więźniowie nie byli więc wyprowadzani na codzienny spacer po pokładzie.

Strażnicy byli kompletnie wyczerpani i przeciążeni pracą. Z początku próbowano zmuszać więźniów, aby wychodzili na pokład, potem zdjęto im kajdany i pozostawiono po prostu swojemu losowi w ciemnych pomieszczeniach. Wezwanie, aby ci mężczyźni, którzy byli w stanie chodzić, zajęli się pielęgnacją chorych towarzyszy, nie znalazło posłuchu, próba zmuszenia ich do tego została zbojkotowana. Wkrótce także ci najsilniejsi byli zbyt słabi, aby codziennie myć i karmić gorączkujących i umierających.

Rozwiązanie pojawiło się dopiero wtedy, kiedy któregoś dnia morze pochłonęło wyjątkowo dużą liczbę zmarłych. Pasażerowie oczywiście uczestniczyli w ceremonii i na zakończenie Caroline Bailiff, odważna małżonka pewnego emerytowanego konstabla, zwróciła się do kapitana z propozycją.

– Dlaczego nie zaangażujecie kobiet do pielęgnacji chorych? – spytała. – Wiem, połowa z nich nie nadaje się do niczego, a dziwka to ostatnie, czego teraz potrzebują mężczyźni tam, na dole. Ale z pewnością znajdzie się kilka kobiet, które zachowały jakieś resztki poczucia odpowiedzialności i które może tylko z biedy weszły w konflikt z prawem. Im prędzej się je znajdzie, tym lepiej. Lepiej dla tych biednych dusz tam na dnie statku, a później także dla rodzin, które będą szukać pomocy domowych...

Ten ostatni argument, co zrozumiałe, został bardzo dobrze przyjęty przez przyszłych osadników, choć wzbudził wiele wątpliwości wśród strażników.

Caroline Bailiff już przy okazji najbliższego spaceru kobiet wzięła się do pracy i postanowiła wybrać przydatne pomocnice. Pierwszą, która zgłosiła się dobrowolnie, była Anna Portland.

– Naprawdę chcesz to robić? – dopytywała się Emma Brewster.

Starsza już dziś kobieta, dawna dziwka, w milczeniu zajęła wolne miejsce na pryczy za przegrodą Anny i Lizzie. Mogła tam spać o wiele spokojniej niż w swoim dotychczasowym kącie, który dzieliła z pięcioma bardzo przedsiębiorczymi dziewczętami. W grupie Anny najwyżej Candy przyprawiała czasem na swoją

pryczę marynarza czy też strażnika. Jeremiaś rozumiał poczucie wstydu Lizzie i dzięki temu umożliwiał jej dodatkowe wycieczki na świeże powietrze.

– Nie masz dość chłopów? Ja nie oglądam już kutasa, dopóki nie muszę, a już zwłaszcza kiedy mogę złapać od niego gorączkę... – Emma trzymała się z daleka od Caroline Bailiff i marynarza, który jej towarzyszył, zapisując imiona ochotniczek.

– Może być, że uratujesz jakiegoś, który zabił swoją babę!

– Oni nie wszyscy są złymi ludźmi – odparła Anna. – Może uratuję takiego, który ukradł chleb dla swoich dzieci. Między nimi jest wielu Irlandczyków, a cały świat wie o panującym tam głodzie...

Lizzie nigdy wprawdzie nie słyszała o klęsce głodu w Irlandii, ale wiedziała, że Anna obracała się w nieco lepszych kręgach społecznych niż ona. Jej mąż był rzemieślnikiem, ona mieszkała w porządnym domu i mogła nie tylko wyżywić dzieci, ale też od czasu do czasu nawet kupić sobie gazetę.

– W każdym razie potrafię się opiekować chorymi, sądzić muszą inni! Co z tobą, Lizzie, idziesz ze mną?

Lizzie z bijącym sercem podążyła w końcu za swą przyjaciółką do zaimprovizowanego biura za jednym z żagli słonecznych, w którym zasiadła Caroline Bailiff. Dama z przyjemnością popatrzyła na schludny czepek Anny, który zapewne musiał być taki sam jak jej, kiedy był nowy. Mrs Bailiff także preferowała staroświeckie nakrycia głowy. Lizzie patrzyła na nią sceptycznie.

– Cóż skłania cię do tego, aby pielęgnować chorych, dziewczyno? – spytała surowo, kiedy Anna udzieliła jej wyczerpujących informacji o swojej pracy w szpitalu.

Lizzie wzruszyła ramionami.

– Pomagam Annie, od kiedy tu jestem – oświadczyła. – Poza tym nie ma tu nic innego do roboty...

Mrs Bailiff uniosła brwi.

– O mężczyzn to się pewnie zawsze troszczyłaś? – spytała sarkastycznie. – Należysz przecież do dziewcząt, które... hm... na ulicach Londynu oferowały... szczególny rodzaj pielęgnacji?

Lizzie spojrzała jej prosto w oczy.

– Nie robiłam tego dobrowolnie! – oświadczyła. – Tylko dla pieniędzy. A chorzy to oni właściwie nigdy nie byli, wręcz przeciwnie. Oni... właściwie byli... w pełni rozkwitu i sił!

Mrs Bailiff zachowała surowy wyraz twarzy, ale w jej oczach pojawiło się rozbawienie.

– Ja będę uważać na tę dziewczynę, madame – wtrąciła się Anna. – To dobre, bardzo zręczne dziecko.

Lizzie się uśmiechnęła i poczuła ciepło w sercu wobec tych słów. Jeszcze nigdy nikt nie powiedział o niej czegoś podobnego.

Mrs Bailiff zastrzegła sobie czas do namysłu, ale szybko była zdecydowana przyjąć każdą ochotniczkę. Kobiety wcale nie śpieszyły się do tego, aby za cenę poprawy wyżywienia i warunków więzienia lub też za obietnicę otrzymania dobrego miejsca w nowym kraju świadczyć usługi pielęgnacyjne. Większość z nich sama dawno poprawiła sobie warunki więzienia. Niektóre miały stałych partnerów wśród strażników czy też marynarzy, którzy je odwiedzali, obdarowywali odrobiną peklowanego mięsa czy też kilkoma łykami dzinu. W każdym razie prawie żadna z kobiet nie była skłonna zamienić zwykłego zajęcia dziwki na brud dolnego pokładu i niebezpieczeństwo zarażenia się gorączką. Tylko cztery więźniarki i dwie ladies spośród grupy przyszlých osadników były gotowe udać się w głąb statku, zaopatrzywszy się uprzednio w wodę do mycia i nieodłączny dzin, który lekarz okrętowy uważał za jedyne nader skuteczne lekarstwo.

Mrs Bailiff i Anna Portland natychmiast zabrały się do pracy. Jednak cofnęły się przerażone, kiedy tylko zeszły na dolny pokład.

– To wykluczone, żebyśmy tu pracowały! – oświadczyła zdecydowanie Anna, zaniechawszy zbędnych grzeczności typu „madame”. – Tu się nie widzi własnej ręki trzymanej przed oczami, wszystko lepi się od brudu, a upał i wilgoć są nie do wytrzymania. Mrs Bailiff, proszę iść do kapitana i zażądać, aby ci mężczyźni zostali zabrani na pokład. Tam możemy się nimi zająć, pogoda jest przecież dobra.

„Asia” rzeczywiście dotarła już na Ocean Indyjski. Łądu nie było widać od tygodni, ale nadal utrzymywała się dobra pogoda, a falowanie morza było niewielkie. Nie należało się spodziewać fal, które zaleją pokład tak jak na Atlantyku czy ostatnio na Przylądku Dobrej Nadziei. Także jakiś bunt wśród więźniów – argument, za pomocą którego kapitan usiłował zniechęcić kobiety do zorganizowania personelu dla chorych – był raczej nieprawdopodobny.

– Może i są tam groźni przestępcy, ale oni w tej chwili są bardziej martwi niż żywi! – oświadczyła Mrs Bailiff kapitanowi w odpowiedzi na jego wątpliwości. – A nawet jeśli mieliby opanować statek, to dokąd mogliby się wtedy udać? Ja widzę tu dookoła tylko wodę, wodę i wodę, nie wiedziałabym, czy mam żeglować na lewo, czy na prawo, tym bardziej że nie umiem żeglować. Podobnie jak ci ludzie tam, na dole, oni są przecież albo z mrocznej Irlandii, albo z jeszcze bardziej mrocznych zaułków Londynu...

W końcu kapitan Roskell ustąpił. Nakazał strażnikom, aby zdjęli kajdany chorym więźniom i wyprowadzili ich na pokład z pomocą ich towarzyszy, którzy byli jeszcze w stanie chodzić. Kobiety położyły chorych na zaimprovizowanych legowiskach z koców i zdjęły z nich wilgotne ubrania. Mrs Bailiff pilnie uważała, żeby nagich mężczyzn oglądały tylko kobiety zamężne bądź te, które miały już za sobą okres płodności.

– Jak gdybyśmy nie naoglądały się tego dość na całe życie! – śmiała się Jenny



Toliver, wesola, rudowłosa i piegowata dziwka z Aldgate. – Ale co tam, jak któryś będzie mi oszczędzony, to też się będę cieszyć...

Lizzie przytaknęła, ale w głębi ducha musiała przyznać, że te młode, dawniej silne ciała, które teraz nacierała alkoholem, były i tak znacznie lepiej zbudowane niż ciała większości jej dawnych klientów. Oczywiście mężczyźni byli teraz strasznie wychudzeni i śmierdzieli potem, ale niektórzy...

Lizzie przejechała gąbką po piersi wysokiego, ciemnowłosego mężczyzny, którego twarz o ostrych rysach i pełnych wargach pozwalała przypuszczać, że był dawniej bardzo atrakcyjny. Przestraszyła się, kiedy nagle usłyszała z jego ust słowo „dziękuję”.

– Jesteście przytomni? – spytała zdziwiona. Z większością mężczyzn, którymi się zajęły, nie można było rozmawiać. Dwóch zmarło na rękach Anny i byli oni wyraźnie szczęśliwi, że mogli choć w ostatnich chwilach życia odetchnąć świeżym powietrzem.

– Nie... – wyszeptał mężczyzna. – Ja śnię. Śnię i marzę, że jestem wolny, że już nie mam na nogach kajdan, że nade mną świeci słońce i widzę anioła... Anioły są tylko w snach. A może już nie żyję?

Lizzie się roześmiała.

– Otwórzcie po prostu oczy, to zobaczycie, że nie jestem aniołem! – powiedziała i spojrzała w zaczerwienione, ale nieprawdopodobnie niebieskie oczy. Kiedy mężczyzna zamrugnął i zobaczył ją w świetle słońca, jego oczy ożyły.

– A jednak! – westchnął. – Anioł... i chmura... a obiecywali mi chmurę, z której będę spoglądać na dół...

Potem zamknął oczy i wydawało się, że znów pogrążył się w gorączkowych majakach. Ale najwyraźniej nie było z nim tak źle, jak z większością pozostałych więźniów. Lizzie postanowiła przestać myć mężczyzn i podeszła do Anny, która rozdelała właśnie herbatę wśród tych, którzy byli na tyle silni, aby móc pić. Przyniosła kubek pełen herbaty dla swojego podopiecznego i przyłożyła mu do ust.

– Tu! Pijcie to! – rozkazała.

Mężczyzna łykał posłusznie, ale nadal wydawało się, że przebywa w jakimś odległym swoim świecie.

– Kathleen! – wyszeptał, kiedy ochłodziła mu czoło.

Nie wiedziała, dlaczego nagle poczuła rozczarowanie. Było oczywiste, że ten mężczyzna miał jakąś ukochaną, może nawet żonę.

Michael starał się zachować świadomość tak długo, jak tylko się dało, także wtedy, kiedy bolało go całe ciało i głowa, a pierwsi więźniowie leżący obok zaczęli umierać. Poddał się dopiero wtedy, gdy usłyszał krzyk Billy'ego. Wydawało się, że biednego chłopca nawiedziły we śnie wszystkie diabły, jakie tylko były w piekle. Michael nie

mógł już znieść tego dłużej i zaczął się zanurzać we własnym świetle. „Może – myślał – dzięki gorączce będę miał piękne sny”, ale ta nadzieja okazała się złudna.

Ból towarzyszył mu nawet wtedy, kiedy tracił świadomość. Pręgi na plecach były zaropiałe i piekły, na ramionach i biodrach miał odleżyny, które przeżarły mięśnie aż do kości, a na nadgarstkach i kostkach krwawe obtarcia od kajdan. Każdy ruch był przyczyną strasznego bólu i nie mógł znaleźć takiej pozycji, w której nic nie bolało. Michael wiedział, że zwymiotował i posikał się w spodnie, co jeszcze spotęgowało i tak już potworny smród, ale nawet gdyby łańcuchy nie trzymały go na pryczy, to już od dawna nie był w stanie się podnieść. Do tego doszło palące pragnienie. Wprawdzie strażnicy przynosili wodę pitną, ale nikt nie zadawał sobie trudu, aby ją rozdzielić czy choćby przytrzymać kubek przy ustach gorączkujących mężczyzn. Michael próbował schwytać wargami choć parę kropeł, kiedy ekipy sprzątające znów wylały wiadro wody na jego ciało i pryczę, ale słona woda tylko pogarszała sprawę.

Hałas panujący wokół niego stawał się wręcz piekielny, uniemożliwiał myślenie czy ucieczkę w senne wspomnienia o piękniejszych chwilach życia. Gorączkujący mężczyźni przywoływali w malignie swoje matki i żony, także Michael mamrotał imię Kathleen. W każdym razie sądził, że tak robił, nie był tego jednak pewien. Właściwie nie było nic, czego mógłby być pewien, pomijając jedynie przekonanie, że wkrótce umrze. Tu, na angielskim statku, leżąc we własnych odchodach...

Michael wstydził się własnej słabości, ale kiedyś wreszcie zaczął płakać i rozpaczliwie jęczeć, podobnie jak przedtem Billy, którego tymczasem dawno już wyniesiono na pokład, owiniętego w płótno i gotowego do złożenia w marynarskim grobie. Michael walczył w myślach z wyobrażeniem stada wygłodniałych rekinów, które miały pożreć przyjaciela, a później także jego.

Bronił się rozpaczliwie, kiedy strażnicy wreszcie go rozkuli i kazali kilku innym więźniom wynieść go na pokład.

– Ja jeszcze nie umarłem! – jęczał. – Nie... jeszcze nie... nie umarłem.

Bo czy nie mogło być tak, że się pomylił i wrzucą go żywego do morza, rekinom na pożarcie? A może to on się mylił i dawno już nie żył, ale nie poszedł do nieba, tylko będzie bezradnie uwięziony we własnym ciele, aż go pożrą robaki albo rekiny?

I wreszcie ogarnęła go błogosławiona nieświadomość, a kiedy się ocknął, wydało mu się, że oddycha świeżym powietrzem. Czuł się przyjemnie odświeżony, a obok była ta dziewczyna, która go myła. Michael wyszeptał coś do niej... Kilka miłych słów, które dawniej mówił Mary Kathleen.

To pozwoliło mu znowu zapaść w senne marzenia, w których na polach nad rzeką wiał ciepły wiatr... Ale ten wiatr miał słony posmak. A woda... była gorzka...

Michael się zakrztusił, kiedy poczuł na podniebieniu smak niesłodzonej herbaty.

– Pijcie, to wam dobrze zrobi!

Ciepły, miły głos... Michael poczuł, że ktoś podnosi mu głowę i ciepła, gorzka lura

zaczęła splotać po przeliku do żołądka. Pił posłusznie. Zawsze była to jakaś ciecz, która mogła ugasić jego pragnienie...

Lizzie, która wlewała w niego herbatę, dostrzegła też zaropiałe pręgi na jego plecach i ten widok ją przeraził. Oczywiście w Newgate więźniowie nieraz byli spędzani i bici pałkami, ale to były ślady chłosty...

– Anno!

Tym musiał się zająć ktoś, kto miał więcej wiedzy na temat pielęgnacji chorych niż Lizzie po krótkich naukach Anny.

Wkrótce zarówno Mrs Bailiff, jak i Anna Portland pochylały się nad skatowanymi plecami Michaela.

– Przerazające! – stwierdziła Mrs Bailiff. – Jak w średniowieczu. Skąd jest ten człowiek? Z Irlandii? Tam dopiero muszą panować straszne warunki... Dobrze, że to zauważyłaś, dziewczyno, zwróć też na to uwagę u innych. Ci ludzie umrą od gorączki, jeśli ktoś się nimi nie zajmie. Proszę mi pomóc, Mrs Portland...

Lizzie zauważyła, że Mrs Bailiff nie zwracała się już do Anny przez „ty”. Obie kobiety odkryły swoje pokrewieństwo dusz i traktowały się wzajemnie z dużym szacunkiem.

Lizzie bardzo niechętnie rozstała się ze swoim pacjentem, za chwilę stwierdziła podobne rany u dwóch innych więźniów, a Mrs Bailiff i Anna zajęły się Michaeliem. Najpierw polały jego rany dżinem, a on zaczął krzyczeć z bólu.

Lizzie z trudem się powstrzymała. Chciała koniecznie powiedzieć choremu kilka pocieszających słów i prosić obie kobiety, aby były nieco ostrożniejsze. Ale Anna i Mrs Bailiff wiedziały, co robią. Gdyby Lizzie okazała odrobinę więcej zainteresowania ciemnowłosemu, przystojnemu mężczyźnie o łagodnym, głębokim głosie i zniewalających oczach, to bez wątpienia pozbawiono by ją możliwości opiekowania się nim.

Kobiety próbowały wydobyć od lekarza maść na rany, ale on o tej porze dawno był pijany. Pamiętał jak przez mgłę jedynie to, że jego poprzednik smarował takie rany smołą drzewną. Coś takiego zdenerwowało Mrs Bailiff jeszcze bardziej niż sam widok pręgi. Kobieta zniknęła w swojej kabinie i za chwilę pojawiła się z zapasem maści z nagietka.

– To właściwie miał być zapas do mojej domowej apteki – oświadczyła. – Bo kto wie, czy tam, w tej Australii, znajdę coś podobnego. Zanim wzejdą nasiona, które wzięłam ze sobą... Ale ta maść jest potrzebna teraz, nie możemy pozwolić, aby ci biedacy zdychali tu jak zwierzęta!

Kiedy Lizzie odważyła się podejść do mężczyzny, który zrobił na niej takie wrażenie, Michael był już umyty i zabandażowany. Ciągłe jednak dręczyła go wysoka gorączka. Lepsze jedzenie wydawało się go wręcz osłabiać. Lizzie znów wlała w niego herbatę i wodę, a potem przyniosła dodatkowy koc. Mimo ciepła na pokładzie

Michael dygotał na całym ciele. Lizzie chętnie została przy nim, ale zapadał już zmrok i strażnicy uparli się, aby kobiety zeszły z powrotem na dół, pod pokład. O pozostawionych na pokładzie mężczyzn miały się zatroszczyć Mrs Bailiff i druga z pielęgniujących je pasażerek, kościusta, pozbawiona poczucia humoru Amanda Smithers.

Lizzie była tak zmęczona, że zauważyła to dopiero wtedy, kiedy wyciągnęła się na swojej prycy. Ale nie dane jej było zaznać tam spokoju.

– Wróciłaś już, słoneczko? – usłyszała szept Jeremiaha.

Towarzyszyła mu Candy, na którą przypadła właśnie kolej przyniesienia jedzenia dla sześciu kobiet. Garnek napełniony był czymś w rodzaju gulaszu, składającego się głównie z ziemniaków.

– Pewnie jesteś głodna... Ale zostaw to, na górze mam dla ciebie chleb i mięso... – Jeremiah uśmiechnął się obiecująco.

Lizzie poczuła, że na samą myśl o tym ślinka pociekła jej do ust. Ale wiedziała, że na górze czekał na nią nie tylko smaczny posiłek, ale i niemyte ciało Jeremiaha. I możliwe, że zobaczyłyby ją Mrs Bailiff i Mrs Smithers! Nie do pomyslenia!

Lizzie spróbowała się zdobyć na uwodzicielski, ale i zawstydzony uśmiech.

– Trochę później, Jeremiahu. Proszę... Kiedy... – tu udało jej się nawet zaczerwienić – ...kiedy te damy...

Jeremiah wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– Ty naprawdę jesteś jak płochliwy zajączek! Można by wręcz przypuszczać, że jesteś cnotliwą panią z dobrego domu. Ale dobrze, nawet mi się to podoba... To później, kiedy już pasażerowie dostaną kolację...

Osadnicy podróżowali statkiem „Asia” wprawdzie nie w kajutach pierwszej klasy, jak na statkach wożących emigrantów, gdzie na zamożnych pasażerów czekały luksusowe pomieszczenia i gdzie zabierano nawet zwierzęta, aby móc podać na stół pieczeń ze świeżego mięsa, ale i tu, na „Asii”, spotykali się w jadalni na wspólnych posiłkach. Oczywiście jedzenie, które im podawano, było o wiele lepsze niż to przeznaczone dla więźniów. Mrs Bailiff i Mrs Smithers na pewno nie chciały stracić takiej okazji. Po ciężkiej pracy były równie głodne jak Anna i Lizzie.

Mimo to Lizzie czuła gwałtowne bicie serca, kiedy godzinę później Jeremiah prowadził ją po drabinie na górę. Czy uda jej się nie spotkać obu kobiet? Jak dotychczas nocą nigdy ich nie było na pokładzie. Gwiazdy migotały na niebie, kiedy Jeremiah zaspokajał się dzięki jej ciału.

– Te gwiazdy wydają się inne niż w Londynie! – oświadczyła i niechętnie przytuliła się do niego.

Wiedziała, że to lubił, choć co prawda nie mogła się zmusić do tego, żeby go pieścić, kiedy w nią wchodził. Ale przynajmniej przedtem i potem zdobywała się na kilka tkliwych gestów. Przeważnie potem, bo wcześniej Jeremiah nie zwracał na to

uwagi. A jeśli zadała sobie zbyt dużo trudu, to ryzykowała, że on będzie znów podniecony. Choć Lizzie uważała, że właściwie jest mu to winna. Bo Jeremiah był w gruncie rzeczy miłym facetem.

– Jasne! – oświadczył teraz z dumą, jak zawsze, kiedy mógł jej coś wyjaśnić. – Przecież jesteśmy już prawie po drugiej stronie kuli ziemskiej. Krzyż Południa... tam, widzisz? – Wskazał na cztery gwiazdy, który tworzyły wyraźny krzyż. – Jego dłuższa belka wskazuje południe, dlatego tak się nazywa. Dawniej ten gwiazdozbiór umożliwiał orientację na morzu... Ach, prawda, Australijczycy chcą umieścić Krzyż Południa na swojej fladze, jeśli w ogóle się dogadają, jak ona ma wyglądać.

Lizzie skinęła głową i zafascynowana wpatrywała się w nocne niebo. Gwiazdy wydawały się o wiele jaśniejsze niż w Londynie, ale przyczyną tego był oczywiście fakt, że pokład „Asii” był pogrążony w całkowitych ciemnościach, podczas kiedy ulice wielkich miast częściowo przynajmniej oświetlone były gazowymi latarniami.

– Przepiękne... – wyszeptała. – A właściwie byłeś już w Australii? Czy tam też jest ładnie?

Jeremiah wzruszył ramionami.

– Nee, nie byłem. Jak na razie jeszcze nie. Ale mógłbym tam zostać. Czasami o tym myślę. Można dostać ziemię, mógłbym się ożenić... A ty, Lizzie, mogłabyś sobie coś takiego wyobrazić?

Lizzie spojrzała na młodego mężczyznę z zaskoczeniem. Czy to były oświadczenia? Czy on rzeczywiście chciał...

– Ale ja... ja jestem skazana, ja...

– Ach, zasięgnąłem już języka. Jak znajdziesz męża, to cię zaraz ułaskawią. Chcą, żebyście jak najprędzej zrobiły się uczciwe i zaczęły prowadzić bogobojne życie. Gdzieś cię przeniosą na dwa lata, do kolonii. A potem... Trochę to potrwa, kilka lat muszę jeszcze pracować – roześmiał się. – No, ale przynajmniej mi nie uciekniesz.

„Ale w czasie następnego rejsu w twoje ręce wpadnie jakaś inna dziewczyna” – pomyślała trzeźwo Lizzie. Zastanawiała się, dlaczego jej to w ogóle nie poruszyło. Wyjść za mąż! Być uczciwą! Być wolną, mieć dzieci... Dobrze, nie kochała Jeremiaha, ale on był dobrym człowiekiem. Jak dotychczas nigdy nie widziała, żeby bił więźniów albo traktował ich okrutnie. Małżeństwo z nim byłoby czymś więcej, niż mogła sobie wymarzyć dziewczyna w jej sytuacji. A do tego własny kawałek ziemi, własny dom... A jednak Lizzie poczuła ulgę, że nie musiała teraz podejmować żadnej decyzji. Za kilka lat Jeremiah może też będzie miał inne plany.

A ona po prostu nie mogła zapomnieć... Ten ciemnowłosy mężczyzna z niebieskimi oczami i strasznymi pręgami na plecach... Myślała o nim ciągle. I miała nadzieję, że Jeremiah nie nabierze żadnych podejrzeń, kiedy poprosiła, by jej pozwolił zajrzeć do chorych, zanim zaprowadzi ją z powrotem pod pokład.

Tak jak myślała, Jeremiah trzymał się z daleka od tej części pokładu, na której

leżeli chorzy więźniowie. Strażnicy obawiali się zarażenia, podobnie jak więźniowie. Na szczęście Jeremiahowi nie przyszła do głowy myśl, że mógłby się zarazić także poprzez kontakty z Lizzie.

A Lizzie podeszła do legowiska młodego Irlandczyka i przeraziła się. Bo on nie dygotał już z gorączki jak poprzednio, ale i nie ruszał się w ogóle. Ale za chwilę spostrzegła, że otworzył oczy i zaczął się wpatrywać w rozgwieżdżone niebo, tak jak ona przed kilkoma minutami. Nagle poczuła, że coś ich łączy.

– To niebo, Kathleen... – wyszeptał. – Ono jest całkowicie obce... Myślałem, że będę patrzył gdzieś w dół... Ale patrzę do góry... Przez to niebo do nieba... To śmieszne, Kathleen...

Lizzie nagle poczuła, że twarz jej płonie. Mężczyzna miał gorączkę i majaczył, ale widział te same gwiazdy, które ją oczarowały.

– Nie jesteś w niebie – wyszeptała – tylko już prawie w Australii. To są teraz nasze gwiazdy... I popatrz – księżyc!

Jakiegokolwiek grzecznościowe zwroty wydały jej się w tej chwili niestosowne.

Cienki sierp księżyca właśnie wynurzył się z wody ponad ciemnoniebieski horyzont.

– A ja nie jestem Kathleen – powiedziała, choć brzmiało to wręcz smutno. – Jestem Lizzie. Lizzie Owens. Elizabeth...

Mężczyzna uśmiechnął się słabo i poszukał jej ręki.

– Jesteś piękna, Kathleen – wyszeptał. – Piękniejsza niż wszystkie gwiazdy...

Lizzie zrezygnowała z wyjaśnień. Chętnie dowiedziałyby się, jak on miał na imię. I chciałyby być taka piękna...

## ROZDZIAŁ 4

Podróż Iana i Kathleen Coltrane'ów do Nowej Zelandii przebiegała wyjątkowo spokojnie. Pomijając jeden sztorm koło Przylądka Dobrej Nadziei i kilka dni flauty w równikowym pasie ciszy, nie było właściwie żadnych zakłóceń. Kathleen mogła niemal rozkoszować się podróżą.

Oczywiście męczyła ją, podobnie jak innych pasażerów, ciasnota na międzypokładzie, ale za trzynaście funtów na osobę nie można było wymagać luksusu. Ian i Kathleen dzielili swoją kajutę z małżeństwem podróżującym z dwójką dzieci: płacziwą dziewczynką i dość bezczelnym małym chłopcem. Dla Kathleen i młodej, ale wiecznie strapionej Mrs Browning nad wyraz nieprzyjemne było to, że musiały sypiać ze swoimi mężami w towarzystwie dzieci i obcych ludzi. Ale ani Ian, ani też Mr Browning nie mieli tu żadnych zahamowań.

Pokład statku „Primrose” nie był też szczelny; woda przeciekała do pomieszczeń uboższych pasażerów, podobnie jak na statkach więziennych. Choć co prawda warunki sanitarne były tu nieco lepsze – także na międzypokładzie były toalety. Niestety było ich za mało dla wszystkich pasażerów i często były przepełnione, w związku z czym musiały być często sprzątane. Jedzenie było skromne i przeważnie stygło, zanim dotarło na międzypokład. Jednak z powodzeniem zaspokajało ono głód.

Na wpół zagłodzeni Irlandczycy nie rozumieli, dlaczego Anglicy złościли się z powodu każdego niedociągnięcia w pracy kuchni. Wielu z nich po raz pierwszy od lat mogło codziennie najeść się do syta. W ogóle to Irlandczycy stwarzali atmosferę i nastrój na statku, kiedy uporali się z bólem pożegnania. Wielu mężczyzn zabrało ze sobą flety, skrzypce czy harmonijki ustne i ci przygrywali nocami do tańca, podczas kiedy kobiety i dziewczęta śpiewały piosenki z dawnej ojczyzny. Kathleen musiała wtedy stale myśleć o Michaelu. Nikt nie grał na skrzypcach tak pięknie jak on, a chwilami niemal wydawało jej się, że słyszy jego niski głos, kiedy śpiewał dla niej.

Kiedy wreszcie mieli za sobą Atlantyk oraz związane z tym kłopoty z wilgotną odzieżą i wodą w kajutach, mężczyźni z międzypokładu i marynarze zaczęli próbować szczęścia w łowieniu ryb, aby nieco ożywić monotonne menu. Z początku była to raczej zabawa, kiedy próbowali za pomocą wędek i harpunów polować na delfiny, rekiny i barakudy, które stale towarzyszyły statkowi. Ale z czasem wędkarze udoskonalili technikę i coraz częściej można było poczuć dobiegający z kuchni zapach grillowanej ryby. Także ptaki, przede wszystkim albatrosy, padały ofiarą myśliwskiego zapachu mężczyzn. Łapano je za pomocą długich linek, do których

przyczepiano haki i ryby na przynętę i ciągnięto za statkiem.

Mięsne posiłki cieszyły Kathleen, cieszył ją też widok coraz bardziej obcego nieba, kiedy nocą razem z innymi pasażerami zakradała się na pokład. Znajdująca się tam promenada była właściwie przeznaczona tylko dla pasażerów pierwszej klasy, ale w miarę trwania podróży kapitan i marynarze coraz częściej przymykali na to oko. Nikt nie odmawiał tak pięknej dziewczynie jak Mary Kathleen, nawet jeśli teraz zupełnie już nie mogła ukryć swej ciąży. Kathleen miała nadzieję, że dziecko nie przyjdzie na świat na pokładzie, jeszcze w czasie podróży. Kiedy Ian dopiero na statku powiedział jej, że podróż będzie trwała dobre trzy miesiące, była przerażona i zarzuciła mu bezwzględność. Dziecko Kathleen miało przyjść na świat w początkach lipca i nie było żadnej gwarancji, że dotrą przedtem do nowej ojczyzny, nie mówiąc już o jakim takim urządzeniu się tam.

Ale Ian zupełnie się nie przejął jej wyrzutami – nie za bardzo też zwracał uwagę na cokolwiek, co mówiła. Kathleen miała uczucie, że jest dla niego czymś w rodzaju zwierzęcia domowego czy też lalki. Mówił do niej i oczekiwał określonych reakcji, ale ona mogła równie dobrze milczeć czy mówić po chińsku. Ian nie zwracał uwagi na żadne wyrzuty, nie rozmawiał o ich dalszych i bliższych planach, a nawet jeśli mu tłumaczyła, co ją cieszyło czy też denerwowało, z reguły w ogóle tego nie komentował.

Ale nie tylko milczenie Iana zatruwało Kathleen podróż i małżeństwo, lecz także ciągła nieufność, z jaką traktował ją małżonek. Jeśli tylko oddalała się gdzieś, co zawsze robiła bez niego, natychmiast zaczynał ją śledzić. Nigdy nie przychodziło mu do głowy, aby po prostu zapytać młodą żonę, gdzie była i co robiła. Chodził za nią zupełnie jak detektyw i wypytywał ludzi o to, gdzie była.

Browningowie odbierali to jako coś bardzo nieprzyjemnego, tym bardziej że Mrs Browning zauważyła, że Ian podejrzewa jej męża, iż ten darzy Kathleen jakimiś specjalnymi względami. W czasie wieczornych rozrywek Ian zazdrośnie obserwował każdy ruch żony – a przecież nikt nawet nie próbował się zbliżyć do będącej w widocznej i bardzo wysokiej ciąży kobiety! Jeśli ktoś poprosił ją do tańca – na statku było znacznie więcej młodych mężczyzn niż dziewcząt, a większość panów pozwalała bez żadnych oporów, aby ich żony zatańczyły z jakimś kawalerem – to Ian nie zgadzał się na to nigdy, zawsze odpowiadał przecząco. Z początku był zawsze uprzejmy i wskazywał na ciążę Kathleen, ale po kilku kieliszkach whiskey robił się coraz bardziej kłótlivy i zadziorny. I kiedy któregoś wieczoru omal nie doszło do bójki, podróżni zaczęli unikać Kathleen. Mężczyźni z powodu podejrzeń Iana, a kobiety z powodu plotek. Znużone kobiety szeptały na korytarzach międzypokładu, że jeśli ktoś musi tak pilnować swojej żony jak Mr Coltrane, to widocznie są po temu powody. A Mrs Coltrane jest bardzo piękna. Podejrzanie piękna... Z pewnością należy wobec tego uważać na własnego męża.



Po dwóch miesiącach na pokładzie Kathleen czuła się prawie tak odizolowana, jak w swojej rodzinnej wsi, kiedy wydało się już, że jest w ciąży. Nie było niczego, co można by jej zarzucić, ale wszyscy, począwszy od Iana, a skończywszy na dzieciach z zaimprovizowanej szkoły, patrzyli na nią podejrzliwie.

Młoda kobieta z rezygnacją godziła się z tym i szukała samotności. Jeśli udawało jej się uciec choć na kilka chwil z ciasnej kabiny, podziwiała nabite gwiazdami niebo i rozmawiała z dzieckiem w swoim łonie, które teraz ruszało się coraz bardziej.

Ian się złościł, kiedy jej rzekomy nocny pobyt w toalecie się przeciągał, ale Kathleen cieszyły rzadkie chwile swobody. Czuła, że pod tym niebem pełnym obcych, nieznanych gwiazd jest bliżej Michaela. Może on też patrzył teraz na Krzyż Południa i myślał o niej. Gdyby tylko mogła go w jakikolwiek sposób zawiadomić, że podąża za nim na drugą półkulę...

Wreszcie rozpoczęła się ostatnia część podróży. Po porannej mszy na pokładzie kapitan wyjaśnił pasażerom, że będą teraz przemierzać Morze Tasmana, rozciągające się między Australią a Nową Zelandią.

– Jak daleko jest do Australii? – spytała Kathleen cicho, kiedy lekarz okrętowy zapytał o jej samopoczucie.

Miała nadzieję, że nie on będzie odbierał jej poród, nie miała zbyt wielkiego mniemania o jego umiejętnościach medyka. Choć co prawda lekarz okazał się znakomitym nauczycielem. Dzieci na pokładzie, którymi się zajmował oprócz wykonywania swego pierwszego zawodu, prawie wszystkie nauczyły się czytać i pisać w czasie podróży.

– Daleko! – odpowiedział. – Bardzo daleko. Ale byliśmy nieco bliżej, kiedy ją mijaliśmy. Gdybyśmy płynęli do Botany Bay, już byśmy tam byli, Mrs Coltrane.

Kathleen zmusiła się do uśmiechu.

– Ale nikogo już nie zsyłają do Botany Bay, prawda? – powiedziała.

Lekarz skinął głową.

– Zgadza się, tam nie, lecz na Ziemię van Diemena, a ostatnio także do Zachodniej Australii. Pół kontynentu dalej.

Kathleen poczuła głębokie rozczarowanie.

– A z Nowej Zelandii nie można tam popłynąć? – niemal wyszeptała.

– A czemu chce pani jechać do Australii? – droczył się z nią lekarz. Nie miał nic złego na myśli, ale Kathleen niemal się wzdrygnęła przestraszona. Lekarz mówił niebezpiecznie głośno i Ian mógłby go usłyszeć. – Jeśli chce pani posłuchać mojej rady, proszę zostać w Nowej Zelandii. To bardzo przyjazny kraj, nie ma tam żadnych dzikich zwierząt oprócz kilku ptaków, nie ma żmij, niczego, co mogłoby być niebezpieczne. Za to w Australii połowa insektów jest jadowita, tubylcy są agresywni, pogoda ekstremalna, a co pięć minut dochodzi do pożarów buszu. Nieprzypadkowo łotrów wysyła się właśnie tam. Choć co prawda teraz także do

nowych kolonii próbuje się wysyłać uczciwych osadników – pierwsi z nich prawie umarli z głodu w zachodniej Australii.

Lekarz był w doskonałym nastroju i chętnie opowiadał, ale nagle zauważył udręczoną twarz Kathleen i umilkł.

– No, jeśli ktoś chce, to tam też można dotrzeć – dodał szybko. – Z zachodniego wybrzeża Nowej Zelandii pływają statki do Fremantle, może także z Wyspy Północnej. Niech pani zapyta o to po przyjeździe. Ale najpierw proszę urodzić dziecko. To przecież już niedługo. Jak się pani czuje, ma pani jakieś dolegliwości?

Kathleen odpowiedziała coś, ale nie za bardzo mogła się skoncentrować. Ian ją obserwował – czuła jego spojrzenia, nawet jeśli go wcale nie widziała. I pewnie zaraz będzie kogoś pytać, czy słyszał jej rozmowę z lekarzem. Rozejrzała się nerwowo. Mrs Browning stała niedaleko i znudzona wpatrywała się za reling. Właśnie Mrs Browning – Kathleen miała nadzieję, że kobieta nic nie słyszała. Ale z drugiej strony ona była jak najbardziej po jej stronie. Kathleen miała wrażenie, że ciągła podejrzliwość Iana działa na nerwy także Elinor Browning.

Kathleen zmusiła się do uśmiechu, kiedy szła w stronę swego męża. Każdy w tej sytuacji zapytałby właśnie ją, o czym rozmawiała z lekarzem. Ale Ian popatrzył jakby ponad nią i zwrócił się do Elinor.

– Cóż to za ważną rozmowę prowadziła moja śliczna małżonka z naszym doktorem?

Dla kogoś, kto przysłuchiwałby się temu z boku, to pytanie zabrzmiałoby żartobliwie. Ale dla Kathleen było ono pełne podejrzliwości.

Na twarzy Elinor Browning pojawił się wymuszony uśmiech.

– No jakże, chodziło przecież o pańskie dziecko! – oświadczyła. – Czy to będzie chłopiec, czy dziewczynka. Lekarze twierdzą, że tego nie widać po brzuchu, ale moim zdaniem dziewczęta są niżej i wtedy brzuch jest okrągły. Lecz pański mały chłopiec jest wyraźnie wyżej i łono żony jest niemal spiczaste...

Kathleen uśmiechnęła się z wdzięcznością do kobiety. Przeszkoda była ominięta. Gdyby równie łatwo poszło z innymi przeszkodami wokół Nowej Zelandii i Australii!

„Primrose” dotarła do Port Cooper dokładnie po stu dwóch dniach podróży. Dla dziecka Kathleen nie było to ani o jeden dzień za wcześnie. I kiedy imigranci zebrali się na głównym pokładzie – wycie syreny okrętowej obwieszczało ląd, niewidziany od wielu tygodni – Kathleen odeszły wody płodowe. Mimo skurczów powlokła się jednak na pokład, żeby zobaczyć kraj, który miał się stać jej ojczyzną. Choć nie był to zbyt obiecujący widok, wręcz przeciwnie, Wyspa Południowa Nowej Zelandii ukryta była za welonem deszczu i mgły. Gdzieś daleko majaczyło skaliste wybrzeże i pokryte śniegiem góry. I to ma być kraj, który przypomina Irlandię? Pełen owiec na zielonych łąkach? Kathleen była rozczarowana, ale teraz miała zupełnie inne zmartwienia. Zawijanie do portu mogło trwać godzinami. Co będzie, jeśli dziecko nie zechce tak

długo czekać? Bez względu na to, jak ten ład wyglądał, Kathleen nie chciała urodzić na statku!

Ale wkrótce okazało się, że było jeszcze trochę czasu. Elinor Browning i kilka innych kobiet zajęły się Kathleen, ale tylko do chwili, kiedy statek dotarł do portu. Wtedy natychmiast zostawiły położnicę samą, aby świętować przybycie do Nowej Zelandii. I podczas kiedy przyszli osadnicy pili z radości, że przeżyli długą podróż, zataczali się natychmiast po wyjściu na upragniony ład i całowali ziemię nowej ojczyzny, pozostawiona sama sobie Kathleen niemal umierała ze strachu i bólu. Co będzie, jeśli kobiety nie wrócą? Oczywiście Kathleen wmawiała sobie, że Ian będzie na nią uważał, ale nie widziała swojego męża od chwili, kiedy na horyzoncie dostrzeżono ład. W najgorszych koszmarach widziała go już pertraktującego na temat zakupu koni w Port Cooper, podczas gdy ona wiła się z bólu na statku, walcząc z kolejną falą skurczów. W końcu dziecko, które właśnie przychodziło na świat, nie było jego dzieckiem. Z pewnością było mu obojętne, co się z nim stanie.

Jednak Ian pojawił się wreszcie, choć z wyraźną niechęcią patrzył na żonę, kiedy spocona i dygocąca leżała w swojej koi. Wydawał się wręcz rozgniewany – najwyraźniej sądził, że Kathleen wyda dziecko na świat równie łatwo i szybko jak któraś z jego klaczy, rodząc źrebaka.

– Wstań, Kathleen, musimy iść. Potrzebujesz kogoś, kto się tobą zajmie. Rozmawiałem już z ludźmi z miasta. Zawieziemy cię do domu kowala...

– Do kogo? – spytała przerażona Kathleen. – Do kowala? Nie sądzisz chyba, że tutaj to kowal pomaga dzieciom przyjść na świat...

Było to typowe dla Iana, że pierwsza zawarta przez niego znajomość będzie właśnie taka; możliwe, że wiedział on już także, gdzie mieszka rymarz... Kathleen była bliska histerycznego śmiechu, ale umilkła, kiedy zobaczyła twarz Iana.

– Oczywiście, że nie, ale chyba jego żona jest akuszerką. Chodź teraz! I włoż coś na siebie, nie mogę wlec cię na ład ubraną tylko w nocną koszulę! Jak by to wyglądało? Chcemy tu otworzyć jakiś interes, Kathleen. Zachowuj się więc i wyglądamy jak lady.

Rozbawienie Kathleen zmieniło się po tych słowach w bezsilny gniew. Co kilka minut zwijała się z bólu ogarnięta kolejną falą skurczów – jak miała wstać, włożyć suknię i upiąć włosy? Ale mina Iana wykluczała wszelkie dyskusje. Szlochając i walcząc ze skurczami, z trudem podniosła się z koi, włożyła najluźniejszą suknię i spróbowała ukryć włosy pod czepkiem. W końcu, oparta na ramieniu Iana, wyszła na pokład.

Nie była w stanie dostrzec czegokolwiek, co teraz miało być jej nową ojczyzną. Długi pomost do zejścia ze statku, prymitywny mały port w kształcie gruszki – zapewne naturalna zatoka, w której jak na razie niewiele jeszcze zbudowano. Dalej wznoszące się nad tym wzgórze i osiedle. Kathleen była mokra od potu, kiedy wreszcie zeszła ze statku. Co chwila musiała przystawać i gdyby Ian jej nie

podtrzymawał, upadłaby i pewnie wydałaby dziecko na świat gdzieś na ulicy.

„Będziesz wychowywać nasze dziecko w godności...” – Kathleen się wydawało, że słyszy głos Michaela. Zagryzła zęby. Na szczęście kuźnia była blisko, w ogóle nic w Port Cooper nie znajdowało się daleko od zatoki, do której zawijały statki. Osiedle było niewielkie. Choć co prawda każdy z drewnianych domów był większy i bardziej okazały niż chałupy dzierżawców w Irlandii.

Kathleen była pełna nadziei, kiedy Ian zapukał do drzwi niebieskiego domku. Na wybiegu stał muł, a z położonej obok komórki dobiegał hałas kowalskiego młota. Kathleen osunęła się na ziemię obok drzwi. Przynajmniej nie stała na deszczu... Uśmiechnęła się mimowolnie, stwierdziwszy, że podobieństwo tego kraju do jej dawnej ojczyzny polega chyba na tym, że tu także stale panuje kiepska pogoda. Kiedy jednak drzwi się otworzyły, zaniemówiła ze zdumienia. Stojąca w nich kobieta była mniejsza od niej, krępa, o ciemnych, mocno kręconych włosach. Ale przede wszystkim: miała brązową skórę!

„Murzynka – pomyślała zmieszana Kathleen. – Ale oni mieszkają przecież tylko w Afryce!” Nikt jej nic nie mówił o czarnych ludziach w Nowej Zelandii... A może jednak? Ojciec O'Brien wspominał coś o tubylcach. Że jest ich mało. I że są nastawieni pokojowo.

Kiedy Kathleen dokładniej przyjrzała się kobiecie, stwierdziła, że jej widok właściwie nie budził przerażenia. Chociaż... Kathleen przerażiła się jednak, kiedy dostrzegła jej twarz pokrytą niebieskimi znakami. Tatuaze! Miała teraz uczucie, że pogrąża się w jakimś sennym koszmarze. W tym momencie chwyciła ją kolejna fala skurczów, której towarzyszyły też mdłości. Spróbowała się opanować. Nie mogła przecież zwymiotować wprost na progu domu tej obcej kobiety.

– O! Dziecko ale przyjdzie szybko! – Kobieta uśmiechnęła się do niej i dzięki temu jej twarz nie była już tak straszna. – Chodź do środka, pani! Ja pomagać, nie ma strach!

Ian nad wyraz chętnie uwolnił się od ręki Kathleen, kiedy podtrzymała ją ta kobieta. Kathleen dostrzegła, że dziwna akuszerka miała na sobie zwyczajną suknię. Także jej włosy były upięte tak, jakby była angielską czy też irlandzką gospodynią domową.

Kathleen pozwoliła się zaprowadzić do małego, ale bardzo przytulnego domku. Wszystko było tu normalne, oprócz cery ciemnoskórej kobiety i jej łamanej angielszczyzny. Czy ona, Kathleen, śniła? Bo nagle znalazła się w czystym łóżku – najwyraźniej małżeńskim łożu kowala, które stało w małej sypialni. Kathleen widziała taki luksus tylko we dworze i w domu Trevalliona.

Mała kobieta zręcznymi palcami obmacała jej brzuch.

– Przyjdzie wkrótce! – powiedziała pocieszająco i spytała: – Pierwsze dziecko?

Kathleen skinęła głową. I wreszcie odważyła się o coś zapytać. Bardzo uprzejmie,

miała się przecież zachowywać jak lady.

– Wy... wy nie jesteście Angielką?

Akuszerka niemal zatrzęsła się od śmiechu.

– Tak, jestem – zachichotała. – Ja z Londynu. Krewna od *queen*, mała kuzynka...

Kathleen znów ogarnęła fala skurczów. Czy to był żart? Już nie wiedziała, co było snem, a co jawą. Jak się tu znalazła, co ją czekało... Może się zaraz ocknie i będzie znów z Michael'em na ich plaży nad rzeką...

– Ty wstać i wyprostować się! Jak klęknąć, dziecko wyjdzie łatwiej. Ale wiem, to nie zwyczaj u was. I oczywiście nie kuzynka *queen*. Choć... siostrzenica od wodza. Moje imię Pere. Ja Maoryska. Ngai Tahu mój szczep.

Przy tych słowach mała ciemnoskóra kobieta pokazała palcem na swą pierś i uśmiechnęła się do nic nierozumiejącej Kathleen.

– Maorysi przyjąć przed *pakeha* przez morze z Tainui, jest połączenie szczepów. Wiele lat i zim temu... Ale teraz wszyscy żyją tu, nie wrogowie z *pakeha*, to biali osadnicy. Mój mąż *pakeha*, kowal...

Czyli to kobieta krajowców, która wyszła za miejscowego kowala. Ngai Tahu to chyba jej szczep albo jej wieś. Najwyraźniej pokojowo nastawieni do Anglików. Kathleen nie chciała się już więcej nad czymkolwiek zastanawiać. Pochłonęły ją bóle – wyczerpana oddała się w ręce Pere.

Syn Kathleen urodził się kilka godzin później. Ale jeśli ona sama była zachwycona małym, a Pere wydawała się ten zachwyt podzielać, to Ian nawet nie spojrział na nowo narodzonego. Tylko kiedy Pere naiwnie przedstawiła mu dziecko jako Kevina Jamesa Coltrane'a, zareagował nerwowo.

– James jest w porządku – ofuknął przerażoną akuszerkę. – Ale niech ona nie waży się nazywać go Kevin! Powiedz jej to! Ostrzegam ją, kobieto, jeśli ona spróbuje ze mną igrać... – W głosie Iana słychać było wyraźną groźbę.

Kathleen westchnęła, kiedy Pere przekazała jej tę wiadomość.

– Twój mąż niezbyt miły – oświadczyła Maoryska.

Kathleen zaczęła go usprawiedliwiać i przeproszać za Iana; ta postawa wkrótce szybko weszła jej w nawyk.

– Nazwę więc małego Sean – postanowiła.

To imię zawsze podobało się Kathleen i o ile wiedziała, nie występowało ani w rodzinie Iana, ani też Michaela.

Ian na szczęście nie miał zastrzeżeń i natychmiast przestał zwracać uwagę na żonę i dziecko. Wydawał się zadowolony z faktu, że Kathleen znalazła się w domu Johna i Pere Seekerów. On sam sypiał w przejściowych pomieszczeniach, które mieszkańcy Port Cooper przekazali do dyspozycji nowych przybyszów. Kilku osadników zamierzało tu zostać, innych ciągnęło za góry, do wnętrza kraju, gdzie mieliby lepsze

warunki do zakładania farm. Wokół Port Cooper było wprawdzie bardzo dużo urodzajnej ziemi, ale tę podzielili już między siebie obecni mieszkańcy. Kto chciał mieszkać na Canterbury Plains – nazwę tę nadali płaskowyżowi położonemu za górami pierwsi przybysze – ten musiał pertraktować z Maorysami.

Ale Ian nie miał takich zamiarów. Nie widział też konieczności nauczenia się choćby kilku słów z języka Maorysów – w końcu było raczej mało prawdopodobne, że tubylcy w najbliższej przyszłości będą u niego kupować konie. Prawie wcale nie hodowali bydła, raczej żyli z myślistwa i połowu ryb, jak też z prymitywnej uprawy roli. Za to Kathleen chętnie rozmawiała z Pere. Pierwsze maoryskie słowa, jakich się nauczyła, brzmiały: *Te whaka rau* – była to maoryska nazwa Port Cooper i znaczyła: port w trzcinie.

– A Nową Zelandię nazywają Aotearoa! – wyjaśniła Ianowi, kiedy ten wreszcie odwiedził ją po raz drugi.

W czasie pierwszych odwiedzin była zbyt wyczerpana po porodzie, ale teraz siedziała w łóżku w czystej koszuli, trzymała na ręku dziecko i była prawie tą samą dawną Kathleen. Choć co prawda bardziej szczęśliwą i jeśli to w ogóle było możliwe, jeszcze piękniejszą. Ian spojrzał na małego Seana niemal z zazdrością.

Pere obserwowała go z zaciśniętymi wargami. Jej angielski nie był co prawda perfekcyjny, za to wydawała się umieć czytać w ludzkich twarzach jak w książkach.

– Wielka biała chmura. Powinien być piękny kraj, mówi John, tu jest tylko port... Tylko zatoka ze skałami dookoła. Ale kraj jest rozległy i urodzajny...

– Co takiego ważnego omawiałas z kowalem? – pytał nieufnie Ian.

Przynajmniej zwrócił się tym razem wprost do Kathleen. Maoryska kobieta nie wydawała się godna wysłuchania. Kathleen wzruszyła ramionami. Chciała odpowiedzieć, że w tym nowym kraju chyba może się spodziewać, że usłyszy kilka ważnych informacji od każdego, ale nagle ogarnęła ją wściekłość. Nie będzie pozwalać, aby Ian stale ją szpiegował.

– No, leżę przecież w jego łóżku – zauważyła. – To wolno mi chyba zamienić z nim kilka słów.

Ian spojrzał na nią wrogo.

– Leżysz w łóżku Johna z dzieckiem Michaela na ręku... Tak, to godne zauważenia, Kathleen, powinnaś być rzeczywiście z siebie dumna! Ale tak dalej być nie może. Gdybyś bezustannie nie plotkowała, tylko słuchała, to dawno powiedziałbym ci, że część tego twojego *Te whaka* należy już do mnie. Kupiłem kawał ziemi i dom!

Czy za pieniądze Michaela? Kathleen miała to pytanie na końcu języka, ale powstrzymała się w ostatniej chwili. Wyraz twarzy Iana był na tyle niepokojący, że nie chciała go bardziej rozdrażnić. Ale mimo że wiadomość była ekscytująca, to tylko jeszcze bardziej ją zdenerwowała.

Własna ziemia! Własny dom! Zawsze tego pragnęła, ale w najśmielszych

marzeniach nie sądziła, że jej mąż postawi ją przed faktem dokonanym, i to w taki sposób. Czy Ian nie mógł poczekać, aby ona obejrzała to wszystko razem z nim? I jak w ogóle mógł zdecydować się na to, aby osiedlić się w Port Cooper, kiedy dalej mieliby może do dyspozycji więcej o wiele żyzniejszej ziemi?

Kathleen zagryzła wargi.

– Ian... To z pewnością wspaniała wiadomość. Ale... Czy nie pomyślałeś o tym, że może lepiej byłoby kupić ziemię gdzie indziej? Gdzieś za górami? Może tam jest taniej... Czy już podpisałeś akt kupna?

Przecież rozsądna rozmowa z nim musiała być w końcu możliwa!

Ian zmarszczył czoło. Kathleen zauważyła, że jej zastrzeżenia go zdenerwowały.

– Oczywiście, że podpisałem, nie muszę tego przecież uzgadniać z tobą ani też pytać cię o zdanie! I to jasne, że pomyślałem o wszystkim, nie jestem głupi! To jest jedyne większe osiedle w okolicy. Muszą przez nie przejeżdżać wszyscy nowi osadnicy, czy tego chcą, czy nie. Czyli jest to najlepsze miejsce na handel bydlęm. I jedyne. Myślę, że będę mógł cię stąd jutro zabrać, Mary Kathleen. Do tego czasu zawiozę do domu wszystkie nasze rzeczy. Możesz się tam urządzać.

Kathleen na razie ledwo mogła wstawać. Poród zaraz po długiej morskiej podróży wyczerpał ją bardziej, niż się spodziewała, i to Pere z Johnem okazali jej tak wiele wsparcia i zrozumienia. Wielki, niedźwiedziowaty John Seeker po prostu zabrał swoje rzeczy i wyniósł się do kuźni, a Pere położyła się koło Kathleen. Kobiety rozumiały się doskonale od pierwszej chwili. Wieczorami szeptały coś do siebie i opowiadały sobie swoje tajemnice. Pere opowiedziała Seanowi pierwsze bajki ze swojej ojczyzny Aotearoa.

– On musi znać opowieści! – wyjaśniła Kathleen. – To ważne dla nas, my nazywamy to *pepeha*. Każdy może opowiadać, jakim kanu jego przodkowie przyjechali do tego kraju, gdzie się osiedlili, co robili. Opowieści o przodkach też.

Pere zastanawiała się przez chwilę, zanim dotknęła niebezpiecznego tematu.

– Twój mąż nie jest szczęśliwy, kiedy ty urodzić dziecko. Dlaczego? Jest syn! Wszyscy życzą, żeby był syn.

Kathleen nauczyła się, że słowo *pakeha* to było maoryskie określenie pierwszych europejskich osadników, a *pakeha tane* znaczyło „biały człowiek”. Maorysi nazywali samych siebie myśliwymi Mōa. Nazwa pochodziła od ptaka, który żył w Aotearoa wtedy, kiedy oni tu przybyli. Dziś ten gatunek ptaka już nie istniał.

Kathleen westchnęła. Nie wiedziała, co ma na to odpowiedzieć. Ale Pere niezrażona mówiła dalej:

– Ono może od innego mężczyzny? U nas nie szkodzi, wszystkie dzieci kochamy. Ale *pakeha*...

Kathleen się zaczerwieniła i poczuła, że ogarnia ją dziwne przerażenie. Czy to tak łatwo można było dostrzec? Czy wszyscy wnet się o tym dowiedzą? Zatrwożona

chwyciła rękę Pere.

– Na miłość boską, Pere, nie mów o tym nikomu! – w głosie Kathleen słychać było błaganie. – Proszę, to dziecko to Coltrane, ja... ja zrobiłam wszystko, aby dać mu nazwisko i ojca. Nikt nie może się dowiedzieć, że... Nikt, proszę! Nie mów tego nawet Johnowi!

Pere wzruszyła ramionami.

– Mnie wszystko jedno. Nikomu nie opowiadać. Ale ty dałaś tylko nazwisko dziecku. Nie ojca! Ojciec to więcej niż nazwisko. A twoja mąż jest niczym...



## ROZDZIAŁ 5

Michael Drury uważał Lizzie za przyzwoitą dziewczynę. Przez trzy długie dni. A Lizzie nigdy nie czuła się szczęśliwsza.

Mężczyźni z dolnego pokładu wracali do zdrowia, gorączka powoli ustępowała. Lizzie i pozostałe kobiety jeszcze przez wiele godzin myły chorych, nacierały ich ciała dżinem i octem, wlewały im do ust wodę, herbatę i w końcu także zupę. Mrs Bailiff i Anna Portland odczuwały wielką satysfakcję – na ich rękach nie zmarł ani jeden pacjent. A Michael trzeciego dnia był nawet w stanie uśmiechnąć się do Lizzie i nie zwracać się do niej jak do Kathleen.

– Elizabeth... – powiedział łagodnie. – Widzicie, już pamiętam... Powiedzieliście mi swoje imię, kiedy byłem chory, i twierdziliście, że nie jesteście aniołem. Ale ja w to nie wierzę. Jesteście bez wątpienia aniołem...

Lizzie się uśmiechnęła, a Michael stwierdził, że jest śliczna. Dotychczas wydawała mu się niepozorną, przeciętną dziewczyną, choć z pewnością serdeczną i dobrą. Ale teraz oczarował go jej uśmiech, gorący i pełen zrozumienia.

– Anioły nie lądują na więziennych statkach – zauważyła. – No, chyba że zabłądzą i zgubią drogę...

Michael odpowiedział uśmiechem i wypił łyk herbaty, którą podała mu Lizzie.

– Sami mówicie, że to bez wątpienia pomyłka – odpowiedział. – Dlaczego zesłali was na Ziemię van Diemena, Elizabeth?

– Lizzie – poprawiła go, chociaż czuła się mile polectana. Elizabeth – tak, to brzmiało pięknie i dostojnie, i... w ogóle dobrze.

– Ukradłam chleb – odpowiedziała. – Byłam głodna. A wy?

Serce Lizzie biło gwałtownie, bo obawiała się tego pytania – i dlatego nie zadała go dotychczas Mrs Bailiff, nie mówiąc już o Jeremiahu. Michael był przez cały czas skuty kajdanami, a to znaczyło, że najwyraźniej należał do grupy ciężkich zbrodniarzy. Ale jakoś nie mieściło jej się w głowie, że ma przed sobą jakiegoś rabusia czy też nawet mordercę.

– Trzy worki ziarna – odpowiedział Michael. – Cała nasza wieś głodowała.

Lizzie poczuła taką ulgę, że zrobiło jej się wręcz słabo. A więc naruszył prawo powodowany wyższą koniecznością. I wszystko wskazywało na to, że chciał pomóc innym!

Uśmiechnęła się, szczęśliwa.

– To się nie liczy – wyjaśniła. – Sędziowie... oni nigdy nie byli głodni.

Przez kilka kolejnych dni Lizzie niemal szybowała na chmurce. Michael nie był

zbrodniarzem, mógł tego dowieść w Australii i potem stać się wolnym człowiekiem – tak samo jak ona! Kiedy nocą leżała na swojej pryczy, pozwalała sobie na marzenia o takiej wolności. Pola, dom, ogród – i Michael, który pytał ją nieśmiało, czy zechciałaby z nim to dzielić.

Oczywiście była to bardzo daleka przyszłość, gdzieś istniała przecież owa Kathleen, którą Michael najwyraźniej kochał. Mary Kathleen – Lizzie nie zamierzała być zazdrosna, ale czuła coś w rodzaju nienawiści do tej anielskiej istoty, kiedy on opowiedział o swej ukochanej w dawnej ojczyźnie. Ostrożnie zapytała, zażartowała, że chciałyby coś wiedzieć o tej dziewczynie, za którą ją wziął. Czy rzeczywiście jest do niej tak podobna?

Lizzie poczuła się urażona, kiedy on skwitował to pytanie śmiechem. Nie, oczywiście nie miała nic wspólnego z ową złotowłosą wróżką o błyszczących zielonych oczach... Michael zaczął roić o swej dziewczynie i wydawało się to nie mieć końca.

Lizzie mogła tylko ćwiczyć się w cierpliwości. Dobrze, nigdy nie zdoła dorównać owej uroczej dziewczynie, ale patrząc na sprawę praktycznie: Kathleen była bardzo daleko, Michael jej zapewne nigdy nie zobaczy, a kiedyś jej obraz zblednie. Za to Lizzie Michael miał stale przed oczami, we własnej osobie – i był mężczyzną. Kiedyś będzie potrzebował żony i dlatego Lizzie nie miałyby mieć szczęścia? Wśród deportowanych było niewiele naprawdę pięknych kobiet i szybko zostały nawet mężatkami.

Kapitan statku zdecydował się na piękną Velvet. Ona uległa mu raczej niechętnie, ale to jej szorstki sposób bycia właśnie mu się spodobał. Velvet nie miała się już zadawać z więźniem w nowej ojczyźnie. Wolny osadnik czy też żołnierz mógł jej zaoferować o wiele więcej – wcześniejsze zwolnienie albo nawet wielki dom ze służbą.

A Michael... Lizzie zauważyła już, że nie należał do łatwych ludzi. Oczywiście był sympatyczny, mądry, a ona uwielbiała jego żarty i pochlebstwa. Ale był też dumny i drażliwy. Lizzie wiedziała już, dlaczego znalazł się wśród zbrodniarzy, zakuty w kajdany. Michael Drury nie zamierzał się dostosować ani też pogodzić ze swym losem. Jeśli więc mimo wszystko zamierzał przetrwać w systemie, w którym od więźniów wymagano dobrego sprawowania i pokory, to będzie potrzebował kobiety, która stanie u jego boku.

Lizzie nie stosowała żadnej szczególnej strategii, aby zainteresować Michaela Drury'ego swoją osobą. Zbyt często była zmuszona robić to wobec innych mężczyzn. Teraz nie chciała niczego innego, jak po prostu zrobić coś dobrego dla Michaela, być koło niego. Nie od razu dostrzegła, że w takim wypadku pojawiał się przed nią trudny dylemat. Kiedy spotykała się z Jeremiahem na pokładzie, była właściwie na jego usługi i prosiła go o peklowane mięso i kiełbasę. Rzekomo po to, żeby ugotować

jakiś wzmacniający posiłek dla chorych. Ale faktycznie przynosiła wszystko Michaelowi.

– Dostajemy to jako zapłatę za opiekę nad chorymi – kłamała. – Ale ty tego potrzebujesz bardziej niż ja!

Rozmowy między chorymi i opiekunkami z czasem stawały się coraz bardziej bezceremonialne. Niektórzy pacjenci byli już nawet na tyle silni, aby szukać pocieszenia w ramionach bardziej skłonnych do tego dziewcząt lekkich obyczajów – a liczba opiekunek rosła z dnia na dzień. Lizzie nie była jedyną, która zakochała się w jednym z chorych mężczyzn, także inne kobiety miały dość wymuszonych związków z marynarzami i strażnikami. A w dodatku podróż dobiegała końca i wiele dziewcząt tęskniło za mężczyzną, który ich nie opuści, lecz może będzie ich podporą w nowym kraju.

– To urocza dziewczyna... – powiedział Michael do jednego z Irlandczyków, który także był więźniem w Wicklow. Od chwili śmierci Billy’ego Rafferty’ego mężczyźni sypiali obok siebie i trochę się zaprzyjaźnili. – Anglicy są szaleni! Żeby deportować taką miłą dziewczynę tylko dlatego, że ukradła chleb!

Hank Lauren zaśmiał się głośno.

– Może i ukradła chleb – zauważył. – Ale tylko dlatego, że była zbyt leniwa, aby poszukać sobie następnego klienta!

Michael oburzony podniósł się gwałtownie, opierając się na łokciu.

– A to co ma znaczyć? Dla ciebie chyba każda dziewczyna jest dziwką!

Śmiech, który znów zabrzmiał w odpowiedzi, był jeszcze głośniejszy. Śmiał się także marynarz po drugiej stronie Michaela.

– A dla ciebie każda ma aureolę świętej – zadrwił marynarz. – Mary Kathleen... Już samo to, jak wymawiasz jej imię, brzmi jak modlitwa...

– No, miejmy nadzieję, że przynajmniej owa Mary Kathleen jest tak święta, jak każe ci w to wierzyć. Małej Lizzie w każdym razie też się to udało – drwił Hank, który znany był w Wicklow jako oszust i sutener.

– I raczej nie zaczęła tego robić dopiero tutaj na statku – dodał marynarz.

Michael popatrzył na Lizzie – dziewczyna właśnie uśmiechała się ciepło do jednego z mężczyzn, którego życie ciągle było w niebezpieczeństwie. Na twarzy Lizzie widać było troskę i życzliwość; nic nie wskazywało na to, że jej zainteresowania wykraczają poza to.

– A jak wpadliście na to? – spytał niechętnie.

– Po prostu nie jesteśmy takimi wieśniakami jak ty! – drażnił się z nim Hank. – Dobry Boże, Mickey, to przecież można poznać choćby po tym, jak ona się porusza... Jak dotyka... A pomijając to: jak myślisz, skąd ona to bierze? – Wskazał na peklowane mięso i okrętowe suchary, których resztki Michael właśnie zlizywał sobie z palców. – Dodatkowe porcje za opiekę, śmiać mi się chce! Akurat!

– A jak myślisz, co ona robi sama na pokładzie prawie każdej nocy, kiedy to niby szybko jeszcze raz zagląda, co się z tobą dzieje? – spytał marynarz. – Myślisz, że sama siebie wypuszcza z pokładu więziennego? Nie, nie, Michael, robi to jeden lub dwaj strażnicy, z którymi spotyka się na górze. A wszystko po to, żeby potem mogła patrzeć w twoje piękne oczy...

Michael nie odpowiedział, ale od tej chwili zaczął obserwować Lizzie uważniej. I któregoś wieczoru, jeszcze zanim przyszła do niego, rzeczywiście usłyszał jej szepty z Jeremiahem. Lizzie była rozczarowana, kiedy pozdrowił ją bardzo chłodno i nie zdobył się choćby na jedno miłe słowo. A jeszcze poprzedniego wieczoru nazywał ją „gwiazdą wieczorną” i z uśmiechem szukał na niebie gwiazdy, którą mógłby nazwać jej imieniem. Teraz ograniczył się do krótkiego zdania:

– Dobry wieczór, Lizzie. No, już po pracy?

Nie dał po sobie poznać, co wiedział, ani też nie robił jej żadnych wyrzutów. Mimo to Lizzie potem dosłownie wypłakiwała oczy na swojej pryczy. Piękny sen przysnął jak mydlana bańka, dostrzegła to w jego oczach. Elizabeth znów stała się Lizzie, a anioł – dziwką.

Dokładnie po stu czternastu dniach podróży w chłodny lipcowy poranek „Asia” zawinęła do portu Hobart Harbour. Jeremiah powiedział Lizzie, że w Australii panowała właśnie głęboka zima – było zimno i położoną przed kontynentem wyspę zasłaniał welon deszczu. Zaraz też kapitan statku przekazał gubernatorowi Ziemi van Diemena dokumenty więźniów oraz swój ludzki ładunek. Ani Michael, ani też zbrodniarze, w których grupie się znajdował, już tego nie widzieli – przeniesiono ich pod pokład, zaledwie ład pojawił się na horyzoncie.

– Te chłopcy są już zdrowe! – oświadczył kapitan oburzonej Mrs Bailiff. – A widok ładunku doda im energii. Nie mam zamiaru ryzykować jakiejś rebelii kilka godzin przed ich wydaniem!

Za to więźniarki mogły przyglądać się z pokładu, jak statek zawijał do portu. Małe miasto wzniesione wokół naturalnego basenu portowego wcale nie wydało im się groźne. Budynki były nowe i ładne i żaden z nich nie przypominał więzienia.

– Port Arthur ma także swoje więzienie – zdradził zaciekawionej Lizzie gadatliwy Jeremiah. – Ale tam wsadzają tylko zbrodniarzy, wyłącznie recydywistów z kolonii, takie najgorsze szumowiny. Wszystkich innych wysyłają do obozów pracy, które już od dawna nie są zbyt pilnie strzeżone.

– A kobiety? – spytała wystraszona Lizzie.

– One idą do specjalnych obozów pracy – odparł Jeremiah. – Ale ponoć nie jest tam tak źle. Poczekaj trochę, Lizzie, mam przed sobą jeszcze ze dwie podróże, a potem wrócę i cię zabiorę...

Lizzie w to nie wierzyła, za to z nadzieją patrzyła na domy i umocnienia portowe.

Miasto leżało u ujścia Dervent River, u stóp góry. Sprawiało wrażenie o wiele czystsze niż Londyn, powietrze też wydawało się przejrzyste, nawet mimo deszczu, który przesłaniał widok. Ale przede wszystkim był to wreszcie z dawna wyczekiwany ląd. Lizzie czuła, jak ustępuje lęk, który odczuwała w czasie podróży. Nie przyznała się do tego nawet przed sobą, ale przerażała ją sama świadomość, że jest oddalona o setki mil od najbliższego lądu i płynie statkiem przez olbrzymi ocean.

Pierwszymi osobami, które mogły zejść ze statku, byli pasażerowie i przyszli osadnicy. Mrs Bailiff i Mrs Smithers pożegnały się uprzejmie z Anną Portland, powiedziały też kilka miłych słów Lizzie i pozostałym pomocnikom. Lizzie zaś pożegnała się z Jeremiahem – czując z jednej strony ulgę, a z drugiej jakieś opory. Nie kochała strażnika, ale przypuszczała, że odrzucenie jej przez Michaela, co ten w ostatnich dniach dawał jej odczuć coraz wyraźniej, było związane z jej relacją z Jeremiahem. Ale to przecież Jeremiah pomógł jej przetrwać podróż. Zawsze odnosił się do niej przyjaźnie, nigdy też nie wyładowywał na niej swej wściekłości i frustracji spowodowanej odnoszeniem się do niego przełożonych. A Lizzie potrzebowała opiekuna i płaciła za to Jeremiahowi jedynym środkiem płatniczym, jaki posiadała. Jeśli Michael tego nie pojmował, to nie można było tego zmienić.

Lizzie impulsywnie wytarła łzy z policzków. Jeremiah był poruszony i pocałował ją ostrożnie. Myślał zapewne, że ona płacze z jego powodu, a Lizzie chciała, aby w to wierzył.

– Cascades Female Factory...

Krzepka strażniczka w eleganckim mundurze wskazała woźnicy cel transportu, kiedy już z pomocą żołnierza przydzieliła kobietom miejsca w zamkniętym wozie. Lizzie, Candy i Anna Portland podtrzymywały się wzajemnie. Wydawało im się, że po długiej podróży statkiem ziemia pod ich stopami cały czas się chwiała. Anna omal nie upadła, kiedy schodziła po trapie w dół, a Lizzie, siedząc w wozie, miała osobliwe uczucie, że wiozą ją po niepewnym, ruchomym gruncie. Kobiety nie mogły wyglądać na zewnątrz, jedynie Velvet zerknęła przez szparę w plandece. Widać było czyste, krótkie ulice, drewniane domy i wreszcie obronną budowlę z czerwonego kamienia.

– Wszystko zbudowane przez więźniów – zauważyła Velvet beznamiętnym głosem. Lizzie się zastanawiała, czy dziewczyna oplakiwała kapitana, który w czasie ostatnich tygodni podróży ciągnął ją do swego łóżka niemal każdej nocy. Czarnowłosa dziewczyna jak zwykle nie dawała niczego po sobie poznać.

Także Cascades Female Factory, będąca miejscem pracy więźniarek, zbudowana była z kamienia. Był to długi, pozbawiony wszelkich ozdób kompleks budowli zawierający liczne rzędy cel.

Strażniczka najpierw zaprowadziła kobiety do poczekalni i dopiero potem, cały

czas pod surowym nadzorem, więźniarki mogły się umyć i otrzymały więzienne ubrania. Anna Portland ze smutkiem patrzyła na swój czepek, kiedy kilka więźniarek zniknęło, zabierając znoszone ubrania przybyłych kobiet. Wszystkie brudne rzeczy, zwykle nienadające się już do użytku, zostały spalone.

– A teraz obcinamy włosy! – rozkazała strażniczka, co wywołało u kobiet okrzyki przerażenia.

Lizzie patrzyła skonsternowana, jak na ziemię spadały brązowe, pełne siwych pasm włosy Anny, Candy szlochała rozpaczliwie, kiedy ścinano jej wspaniałe rude loki, także Lizzie płakała – znudzona strażniczka bez skrępułów i bardzo sprawnie pozbawiła ją długich, miękkich włosów. Lizzie wiedziała, że miną lata, zanim zacznie wyglądać pięknie – jej włosy rosły bardzo powoli. Velvet zniosła wszystko ze stoickim spokojem, ale Lizzie się wydawało, że jej nieruchome czarne oczy błysnęły z wściekłością. Lizzie w czasie całej podróży nie widziała w oczach tej dziewczyny uczucia o podobnej intensywności.

Anna, Lizzie, Candy i Velvet wraz z ośmioma więźniarkami zajęły jedno wspólne pomieszczenie sypialne. Było ono bardzo obszerne i jak wszystkie pomieszczenia w *female factory* – nieskazitelnie czyste. Kierowniczka ich rzędu cel dokładnie przedstawiła kobietom, jak miało wyglądać obecne bogobojne życie kobiet. Tak więc każdego ranka przed rozpoczęciem pracy oraz wieczorem po jej zakończeniu odmawiano modlitwę. Sam naczelnik więzienia osobiście przewodniczył modlitwie, w tym zaś czasie strażniczki dokonywały inspekcji cel pod kątem czystości i porządku. Praca rozpoczynała się o szóstej i trwała aż do zachodu słońca, z przerwami na posiłki i modlitwę. Czasu wolnego nie było.

Choć co prawda okazało się, że praca Anny i Lizzie na statku się opłacała, podobnie jak znakomite stosunki Velvet z kapitanem. Wszystkie otrzymały od razu status więźniarek pierwszej klasy, co oznaczało posiadanie paru przywilejów. Jednym z nich było to, że zostały zatrudnione do niezbyt ciężkiej pracy. Anna otrzymała posadę w izbie chorych, Lizzie i Velvet wylądowały w kuchni i niemal nikt ich nie nadzorował.

– Mogłybyście uciec! – stwierdziła nieco zazdrośnie Candy, która należała do grupy więźniarek drugiej klasy i dopiero po trzech miesiącach dobrego prowadzenia się mogła otrzymać lepszy status.

Anna potrząsnęła głową.

– A dokąd miałybyśmy uciekać, dziecko? – spytała łagodnie. – Naokoło nie ma nic, pustka...

*Female factory* znajdowała się w samym środku rzadkiego lasu, gdzie nie prowadzono żadnej gospodarki leśnej. Najbliższe osiedle było oddalone o wiele mil.

– Złapałoby cię, zanim dotarłabyś do miasta. I z czego miałabyś tam żyć? Czy z twojego dawnego rzemiosła? Złapałoby cię, zanim zadowolilibyś pierwszych trzech

klientów...

Rzeczywiście, okazało się, że ucieczka z *female factory* była zupełnie bezsensowna. Bo wystarczyło prowadzić się w miarę dobrze, aby wkrótce otrzymać ułaskawienie – a to ostatnie można było przyspieszyć, po prostu wychodząc za męża. Candy spotkało to już po dwóch miesiącach pracy w szwalni, do której przydzielono ją jako siłę roboczą.

– Nie możecie sobie tego wyobrazić! – opowiadała podekscytowana. – Musiałyśmy stanąć wszystkie w szeregu, z przodu oczywiście dziewczyny pierwszej klasy, i przed nami szli mężczyźni. Dwóch z nich było nowymi osadnikami, a jeden żołnierzem. Jeden z tych osadników wiedział dokładnie, kogo wybrać, chyba poznał Annie Charmichael jeszcze na statku. W każdym razie ona była pierwszą, przed którą spadła na ziemię chusteczka. Zaczerwieniła się jak indor, ale ją podniosła – i w ten sposób była już zaręczona!

Lizzie i pozostałe dziewczęta słuchały Candy z otwartymi ustami, a podekscytowana dziewczyna mówiła bez przerwy.

– A inni mężczyźni oceniali nas zupełnie jak kłacze na końskim targu. Czekałam, aż zaczną sprawdzać nasze zęby. Ale nie dotykali nas, tylko na nas patrzyli. I w końcu rzucali przed wybranymi dziewczynami chusteczki – jedna ją podniosła, a druga zaczęła beczeć... Pewnie jeszcze opłakiwała jakiegoś ukochanego w Anglii. Myślałam, że ten mężczyzna powie jej, że jeszcze wróci. Jakoś zawsze się czeka... Ale nie, on po prostu wypatrzył sobie inną. I te trzy będą teraz ułaskawione, i wyjdą za męża. Możecie to pojąć? Tym razem byłam jeszcze zbyt nieśmiała, a z tymi przyciętymi włosami wyglądam jak oskubany kogut. Ale następnym razem też będę się szeroko uśmiechać. Wezmę sobie któregoś i nie ma mnie tutaj!

Także Lizzie po kilku miesiącach odwiedzili dwaj mężczyźni. Dziewczęta, z których składał się personel więzienny, musiały ustawić się tak, jak opisywała Candy, i mężczyźni wybierali. Lizzie się wydawało, że zapadnie się ze wstydu pod ziemię. Oczywiście na londyńskich ulicach mężczyźni też dokonywali wyboru. Lizzie spacerowała często po ulicy obok innych dziwek. Ale to, kiedy i jak prezentowała swoje wdzięki, było jednak jej decyzją. Mogła ukryć twarz za warstwą szminki czy też głęboko nasuniętym kapelusikiem. Oczywiście było to coś w rodzaju samooszukiwania się, ale jednak miała uczucie, że jest panią swojego losu. Ale tutaj... Targ koński czy targ niewolników? Lizzie nie uśmiechała się więc.

Velvet także się do tego nie zmuszała, ale jednak została wybrana. Mężczyzna ani nie był młody, ani też przystojny, i Lizzie pytała samą siebie, dlaczego mimo to Velvet podniosła upuszczoną chusteczkę. Jej przyszły małżonek okazał się żołnierzem i Velvet miała zamieszkać razem z nim w małym mieszkaniu w koszarach. Żaden z mężczyzn nie zaszczycił Lizzie spojrzeniem, ale ona mimo to czuła gwałtowne bicie serca, kiedy naczelnik więzienia Female Factory któregoś

popołudnia zawołał ją do siebie. Zwykle działo się tak w przypadku jakiegoś przewinienia albo też wtedy, kiedy kobieta została wybrana przez mężczyznę na żonę. Czy któryś z mężczyzn jednak się zdecydował i wybrał właśnie ją? I jak miałyby odmówić, jeśli nie chciała stracić statusu więźniarki pierwszej klasy?

Wystraszona przemykała się długimi, ponurymi korytarzami *factory*, w których zawsze wiały przeciągi, nawet teraz, w lutym, w czasie australijskiego lata.

Ale naprzeciw surowego naczelnika więzienia nie siedział mężczyzna, lecz dobrze ubrana kobieta. Lizzie rozpoznała w niej małą, kościstą Mrs Smithers. Dygnęła grzecznie.

– Elizabeth Owens... – Naczelnik więzienia miał wysoki, ostry głos, na którego dźwięk wszystkie kobiety drżały. – Zakładam, że znasz Mrs Smithers...

Lizzie skinęła głową.

– Mam nadzieję, że dobrze się pani miewa – powiedziała uprzejmie, zwracając się do kobiety.

Mrs Smithers się uśmiechnęła.

– Dobrze, bardzo dobrze, dziewczyno, my...

Naczelnik jej przerwał – najbardziej lubił słuchać samego siebie i wydawało się, że w żadnym wypadku nie pozwoli, aby Mrs Smithers sama przedstawiła sprawę.

– Elizabeth, Mrs Smithers potrzebuje pokojówki. A ponieważ jeszcze na statku zrobiłaś na niej znakomite wrażenie, poprosiła wyraźnie, abyś to była ty.

Lizzie się zaczerwieniła i znów dygnęła. Zdarzało się czasem, że więźniarki były zatrudniane do pracy także poza obszarem *factory*. Posady w dobrych, zamożnych domach były zawsze bardzo pożądanymi – w końcu spędzało się wówczas cały dzień poza więzieniem, można było zobaczyć choćby niewielki fragment miasta i unikało się obowiązkowej obecności na wieczornym nabożeństwie. W dodatku jedzenie było wówczas o wiele lepsze niż w Cascades, bo podawane tu posiłki były wprawdzie sycące, ale właściwie ciągle takie same i bez jakichkolwiek przypraw. Na śniadanie dawano zwykle chleb i płatki owsiane, a na obiad i kolację zupę warzywną z chlebem. Tak było w każdy dzień pracy, także w niedziele i dni świąteczne. Nikt nie musiał głodować, ale Lizzie dawno już przestała się cieszyć wobec perspektywy posiłku.

– Mamy tu do czynienia z wyjątkową sytuacją... – mówił naczelnik więzienia. – Mr Smithers nadzoruje prace prowadzone na drodze z Hobart do Launceston. Dom, który do niego należy, znajduje się koło Campbell Town, a więc bliżej Launceston niż Hobart. Właściwie...

– Ale właściwie także dla dziewczyny z Launceston Factory byłaby to zbyt długa droga, aby pokonywać ją codziennie – weszła mu w słowo Mrs Smithers. – Pan naczelnik chce przez to powiedzieć, Lizzie... Elizabeth... że musiałybyś zamieszkać w naszym domu, gdybyś przyjęła tę pracę. Czy odpowiadałoby ci to?

Lizzie się przeraziła. Wiedziała, że większość dziewczyn cieszyłaby się



niesłuchanie wobec takiej perspektywy, ale ona poczuła nagłą rozterkę. Nigdy nie myślała, że opuści *female factory* tak szybko, i jeśli miała być wobec siebie szczerą, to była zadowolona z pobytu tutaj. Rzadko czuła się tak bezpieczna jak w tym więzieniu. Praca nie była ciężka, kucharka, gruba, sympatyczna kobieta, żartowała i śmiała się wraz ze swoimi dziewczętami i żadnej jeszcze nigdy nie uderzyła. Także kobiety w sypialni Lizzie były bardzo przystępne, wszędzie było czysto, wszędzie też panował wzorowy porządek.

I mimo że jedzenie nie było specjalnie smaczne, to jednak były to zawsze trzy posiłki dziennie i Lizzie po raz pierwszy w życiu była zawsze syta. Długie modlitwy nudziły ją czasami, ale z drugiej strony radowało ją uczucie, że choć raz w życiu może być dobrym człowiekiem i nie mieć żadnych skrupułów. Strażniczki i ksiądz byli w stosunku do niej mili, w niedzielę mogła czasami przeczytać coś w Biblii lub w równie budujących, choć niezbyt ciekawych książkach. Mogła też pobawić się z dziećmi innych więźniarek – kilka kobiet zostało deportowanych razem ze swymi pociechami, a jeśli któraś z osadniczek z Ziemi van Diemena wchodziła w konflikt z prawem, to odbywała karę w *female factory* razem z dziećmi. Dla tych dzieci organizowano zajęcia szkolne, one także były zadowolone z pobytu tutaj, Lizzie zaś lubiła kontakty z nimi, a jednocześnie oszczędzona jej była konieczność ciągłej troski o nie.

Dziewczyna miała nadzieję, że kiedyś dostanie pracę przy opiece nad dziećmi, choć właściwie praca poza więzieniem byłaby bardziej pożądana. W każdym razie Lizzie oswoiła się z myślą, że najbliższe trzy i pół roku spędzi w Cascades. Po odbyciu połowy kary kobiety zwykle ułaskawiano. Potem mogłaby poszukać sobie pracy w mieście, może rozejrzeć się za mężem...

Czasami Lizzie znów pozwalała sobie na marzenia. Nawet jeśli twarz jej księcia z bajki zakryta była welonem chmur... Wówczas nie musiała przyznawać się do tego, że jego ciało jest ciałem Michaela Drury'ego. A teraz ta oferta, aby się przeprowadzić do Campbell Town, do państwa Smithers...

– Przeprowadziliśmy się właśnie do pięknego domu – mówiła Mrs Smithers z uśmiechem. Najwyraźniej rozterki Lizzie nie uszły jej uwagi. – Jego właściciele wyjechali na jakiś czas do Anglii i byli tak mili, że zostawili go nam na czas prac wykonywanych na tym odcinku drogi. W każdym razie, ja pilnie potrzebuję pokojówki i myślę, że będziesz się u nas dobrze czuła. Dostaniesz piękny pokój, kucharka jest miła, a ogrodnik... – Mrs Smithers mrugnęła porozumiewawczo. – No, w każdym razie mam nadzieję, że nikt nam cię nie zabierze za szybko, chcąc się z tobą ożenić. Tak jak to miało miejsce w przypadku twojej poprzedniczki. I co, Lizzie, zgadzasz się?

– Przede wszystkim musi się oczywiście zgodzić Cascades Female Factory – zauważył surowo naczelnik. – Ale ponieważ dziewczyna jak dotychczas dobrze się

prowadziła...

Lizzie nie za bardzo wiedziała, co się z nią dzieje, ale już godzinę później siedziała obok Mrs Smithers w zwykłej małej bryczce jadącej w kierunku Launceston.

## ROZDZIAŁ 6

Kathleen Coltrane wlokła się powoli pod górę. Pogoda w tym wiosennym dniu była przepiękna, a daleko za wzgórzami, które otaczały Port Cooper, widać było majestatyczne wierzchołki Alp Południowych. Przed górami rozciągała się płaska, żyzna kraina, całkowicie porośnięta trawą – widok, o którym Kathleen często marzyła. Szczególnie kiedy znów musiała iść na piechotę z dwójką dzieci przez kamieniste ulice Port Cooper do domu – pod górę.

Prawie wszystkie domy w szybko rozwijającym się porcie, ostatnio zwanym Port Victoria, położone były na wzgórzach. Także mały niebieski domek, który Ian kupił swego czasu dwa dni po ich przybyciu do nowej ojczyzny. Kathleen rozmyślała o dniu, w którym pierwszy raz musiała pokonać to wzniesienie. Niewiele brakowało, a osunęłyby się na ziemię.

Trzy dni po urodzeniu syna i tak krótko po długiej morskiej podróży – zrobiło jej się czarno przed oczami, kiedy wstała i spróbowała iść. Ale Ian nie znał pardonu. Nabył dom i chciał się tam wprowadzić z młodą żoną. I to mimo faktu, że praktycznie nie mieli mebli. Poprzedni właściciel, który wyprowadził się na Canterbury Plains, zostawił tylko te sprzęty, których nie potrzebował w swoim nowym domu. Już w chwili wejścia do zimnych, niezagospodarowanych pomieszczeń Kathleen wybuchnęła płaczem.

– Jak mam tu zamieszkać z dzieckiem? Gdzie mamy spać?

Ian w odpowiedzi wzruszył ramionami.

– Kupimy łóżko. Jeśli o mnie chodzi, to także kołyskę, będziemy jej potrzebowali częściej. Możesz się tym zająć, dam ci na to pieniądze. A przede wszystkim... Nie zachowuj się tak, jak gdyby u was w chałupie nie sypiano na podłodze.

To oczywiście była prawda, ale przynajmniej wszyscy mieli maty, a na kominie zawsze palił się ogień. A Kathleen ani wtedy, ani też nigdy w życiu nie była tak chora i wyczerpana. Ian nie postarał się też o żywność, przede wszystkim o mleko. Na stole o trzech nogach leżał tylko worek mąki. Kathleen mogłaby upiec z niej chleb – gdyby czuła się choć odrobinę lepiej.

– Jak mówiłem, Kathleen, zajmij się tu wszystkim – rozkazał Ian. – Ja muszę iść do stajni, prawdopodobnie wkrótce będę tam miał pierwszego konia. Ta kobyła od młynarza jest ponoć trudna, zgodnie z tym, co on mówi. Podobno mało nie poniosła, ciągnąc wóz z chlebem. No, muszę się nią zająć. A gospodarstwo domowe to naprawdę twoja sprawa!

Kathleen spojrzała z rozpaczą na piec w kuchni – nie tylko nie nadawał się do

rozpalenia ognia, ale przede wszystkim nie było czym palić. Gdzieś na dworze na pewno leżało jakieś drewno. Ale ona nie była w stanie wyjść na zewnątrz, bo miała wrażenie, że ziemia chwieje jej się pod stopami.

Położyła Seana na kocu i rozejrzała się po domu. Na szczęście dziecko spało – a ona miała mleko, żeby je wykarmić. Tak przynajmniej było do tej pory – Pere karmiła ją zupą i dziwnymi owocami, które nazywała słodkimi ziemniakami. Kathleen była syta. Ale teraz – nie wiedziała, czy znajdzie w sobie tyle siły, żeby przygotować cokolwiek do jedzenia.

A przy tym dom był właściwie bardzo piękny. Prosty, ale jednocześnie o bardzo wygodnej konstrukcji – był tu salon, sypialnia, kolejny pokój, w którym mógłby sypiać Sean, i przestronna kuchnia. Jak na irlandzkie stosunki był to dom wręcz wielkopański; nikt z rodzinnej wsi Kathleen nie miał tyle miejsca, nawet dom Trevalliona był mniejszy. I z pewnością koło domu znajdowały się stajnie oraz łąki, Ian zawsze myślał najpierw o swoim czworonożnym towarze.

Kathleen musiała z niechęcią przyznać, że jej mąż dokonał dobrej transakcji. Okna w kuchni wychodziły wprost na port i Kathleen pomyślała, że zawsze będzie miała na co popatrzeć, kiedy będzie się tu krzątać. A kiedy wyjrzała przez jedno z nich, czekała ją radosna niespodzianka. Właśnie nadchodziła Pere, niosąc na ramieniu kosz, a obok niej szła jeszcze jedna młoda kobieta.

– Przynosić prezenty na przeprowadzkę! – zawołała maoryska kobieta i z dumą podała swojej nowej przyjaciółce kosz pełen słodkich ziemniaków oraz nasion. Jej towarzyszka uśmiechnęła się do Kathleen, mówiąc:

– Jestem Linda Holt, a mój mąż jest tu młynarzem. I właśnie mi opowiedział, że się tu wprowadziliście. Bez mebli, bez zapasów, za to z nowo narodzonym dzieckiem. Ach, ci mężczyźni! Carl też nie wpadł na pomysł, żeby dać waszemu małżonkowi dzbanek mleka albo szynkę... Mamy małe gospodarstwo rolne...

Kobiety nie czekały na zaproszenie Kathleen, lecz zaraz weszły do domu.

– Dobry Boże! – obruszyła się Linda. – Ci Shoemakersowie nic tu przecież nie zostawili... A co z panią? Pani drży...

Kathleen nie była w stanie się odezwać, ale Pere w kilku słowach opowiedziała żonie młynarza, jak rodzina Coltrane'ów dotarła do portu. I zaraz potem kobiety szybko wzięły się do pracy. Pere przyniosła dużo drewna i napaliła we wszystkich piecach.

– Zimno musi precz, ono niedobre dla dziecka – wyjaśniła, kiedy Kathleen zaczęła protestować. Drewno było z pewnością drogie.

Linda pobiegła do domu po kołyskę. Jej córka właśnie z niej wyrosła.

– A zanim na świat przyjdzie kolejne maleństwo – stwierdziła, dotykając z zadowoleniem swojego brzucha – to dawno będzie pani miała własną!

W drodze powrotnej przyniosła ze sobą córkę – malutką dziewczynkę o bujnych,

kręconych włosach. Kathleen pilnowała dziecka, a Pere upiekła chleb – dziwne placki, które mało miały wspólnego ze znanymi Kathleen bochenkami. Linda w tym czasie zaprzęgała do wozu upartego konia swojego męża i pojechała do stolarza. Była bardzo zręcznym woźnicą i mowy nie było, aby koń poniósł. Kiedy wróciła, na wozie znajdowały się łóżko, stół i dwa krzesła.

– To akurat stolarz miał u siebie. Jeśli czegoś jeszcze potrzebujecie, musicie mu zlecić wykonanie. Pere, pomóż mi złożyć to łóżko... Ależ ono dużo miejsca zajmuje! Wy, Maorysi, sypiacie tylko na matach, prawda? To rzeczywiście o wiele bardziej praktyczne!

Słowo „praktyczne” było ulubionym słowem Lindy i Kathleen wkrótce miała zdobyć sympatię wysokiej, szczupłej kobiety o blond włosach. W ogóle nie miała pojęcia, jak przetrwałyby pierwsze dni w Port Cooper bez pomocy życzliwych sąsiadek. To Linda i Pere, także Veronica, żona stolarza, i Jenny, drobna, ale bardzo odważna żona handlarza drewnem, gotowały dla niej, pożyczyły jej meble i przedmioty gospodarstwa domowego, ładowały drewno do pieców, a przede wszystkim zawsze miały w pogotowiu słowa pociechy.

Ian obserwował kobiecą inwazję na jego dom bardzo nieufnie. Kobiety zauważyły wkrótce, że ich obecność była mu niemiła i uciążliwa, i trzymały się z daleka, kiedy jego wóz stał przed domem. To odpowiadało Ianowi, ale Veronica i Jenny często prosiły swoich mężów o pomoc dla nowych osadników. Stolarz wziął miarę i wkrótce dostarczył meble. Małżonek Jenny przysłał chłopca z naręczem drewna. Kiedy Ian dowiadywał się o tych odwiedzinach, reagował coraz bardziej wrogo, zwłaszcza w miarę upływu czasu od chwili narodzin Seana. A dokładnie w dwa tygodnie później położył się na swojej żonie.

– Nie! – Kathleen chciała go delikatnie odsunąć. – Jeszcze nie można, za wcześnie. Ja... jestem jeszcze strasznie obolała...

Ian przytrzymał mocno jej rękę.

– Ach tak, jesteś obolała? Ale chyba nie poród jest przyczyną? Kto cię odwiedził, Kathleen? Z kim się zabawiasz, kiedy ja haruję? Ten chłopak, którego widziałem wczoraj, kiedy wracałem do domu, całkiem nieźle wygląda...

– To najstarszy syn Jenny – wyjaśniła Kathleen, walcząc z żelaznym uchwytem Iana. – Właśnie skończył trzynaście lat. Przyniósł drewno do pieca... Dobry Boże, Ian, za kogo ty mnie uważasz? Za sukę w okresie rui, która przed każdym mężczyzną...

– ...rozklada nogi? No, dotychczas nie udowodniłaś czegoś przeciwnego. A ja nie chcę ponosić ryzyka wychowywania kolejnego bękarta. Dlatego tym razem będziesz w ciąży ze mną...

Ian szybko pokonał jej opór i wszedł w nią bez żadnych wstępów, choć nie mogła powstrzymać głośnego okrzyku bólu. Sean zaczął popłakiwać i Kathleen zagryzła wargi. Miała też nadzieję, że sąsiedzi nic nie słyszeli.

I zaledwie trzy tygodnie później Ian zrealizował swój zamiar. Kathleen była w ciąży. Wydała na świat swego drugiego syna Colina zaledwie dziesięć miesięcy po przybyciu do nowego kraju. Ale jeśli podczas ciąży z Seanem nie miała właściwie żadnych problemów, to druga ciąża obfitowała w liczne komplikacje. Kathleen walczyła z mdłościami i słabością i musiała szybko odstawić Seana od piersi, bo po prostu zabrakło jej pokarmu. Dziecko było z tego powodu wprost oburzone i stale krzyczało. Kathleen nie wiedziała, jak je uciszyć, kiedy Ian wracał do domu.

Na szczęście często go nie było, jego interesy szły dobrze i wielokrotnie wyjeżdżał na dłużej na Canterbury Plains. W Nowej Zelandii nie było takich targów bydła jak w Irlandii czy Anglii. Ian musiał wykonywać swoje rzemiosło jako ktoś w rodzaju obwoźnego handlarza. Kupował kilka koni, owiec lub bydła, pędził je przez kraj i oferował najbliższemu farmerowi. Lepiej szedł mu oczywiście handel końmi, mułami i osłami niż handel bydłem, którego transport wymagał pracy poganiaczy i psów pasterskich. Było to konieczne zwłaszcza na drogach ciągnących się między domami osadników w Port Cooper i farmami na Canterbury Plains: przeprowadzenie zwierząt przez stromą, trudną do pokonania przełęcz oddzielającą port od wnętrza kraju było wręcz niemożliwe. Toteż w Port Cooper Ian koncentrował się na handlu końmi – i w krótkim czasie zdołał też doprowadzić do ochłodzenia stosunków ze swoimi nowymi sąsiadami.

Kathleen rozmyślała o tym, idąc powoli stromą ścieżką, niosąc na ręce niezdarnego Seana, a na plecach przywiązanego w nosidle Colina. Druga ręka potrzebna jej była do dźwigania zakupów. Niosła warzywa zakupione na targu koło portu, mleko i ześrutowane ziarno, potrzebne do pieczenia chleba i gotowania kaszki dla dzieci. Kathleen miała też w ręku spory worek wełny, która musiała zostać wyprana, zgręplowana i uprzedzona. Kathleen robiła to bardzo dobrze i szczególnie Linda, ruchliwa żona młynarza, chętnie korzystała z jej usług. Linda wychowała się na farmie i trzymała w stajni obok młyna kilka zwierząt. Swoje pięć owiec strzygła sama, ale prace ręczne, takie jak przedzenie i tkanie, nie szły jej już tak dobrze. Kathleen myślała z goryczą, że dawniej Linda albo jej mąż po prostu przywieźliby jej wełnę pod drzwi. Ale teraz ich koń ponoć znów okulał i nawet jeśli Linda nie mówiła tego wprost, to Kathleen zauważała, że ją także winiono za oszustwa Iana, jakich ten dopuszczał się w handlu końmi.

– Co ten twój mąż sobie myśli, żeby sprzedawać mojemu Carlowi taką starą chabetę! – denerwowała się żona piekarza. Dziś rano Kathleen znów musiała tego wysłuchać. – Ta klacz była jakaś dziwna: przyszła raz do domu bez Carla... – w głosie Lindy słychać było teraz zduszony chichot. Ona sama pochodziła ze wsi, a jej mąż z przedmieścia Londynu. Był znakomitym piekarzem i młynarzem, ale nie potrafił się obchodzić ze zwierzętami. – Ale co prawda zawsze szła z przodu. Ale ten nowy koń... założę się, że ma na karku co najmniej ze dwadzieścia lat.

– Nie można tego poznać? – wtrąciła się nieśmiało Kathleen. – Na przykład po zębach?

– Och, na to też są sposoby – zauważył kowal John. Właśnie przyszedł do młyna, aby raz jeszcze obejrzyć nogę konia. – Zeszlifuje się trochę szkliwa na zębach i... Tak, handlarze końmi są bardzo pomysłowi!

– Ale... ale to przecież nie Ian... – broniła męża Kathleen.

Pozostali patrzyli na nią z zaciśniętymi wargami. John przewrócił wymownie oczami.

– Nie spotkałem jeszcze handlarza końmi, który nie byłby oszustem – powiedział.

– Ale zgadzam się, Mrs Coltrane: sąsiadom nie należy sprzedawać kulawych chabet. To się zemści prędzej czy później. Założmy więc, że pani mąż po prostu nie miał pojęcia o szachrajstwach poprzedniego właściciela tego konia...

Kathleen uwierzyłaby w to chętnie, ale w małej miejscowości było już zbyt dużo plotek na ten temat. Prawie nikt nie był zadowolony ze zwierząt, które kupił od Iana, jedynie George Hancock, farmer, cieszył się początkowo ze swojej wspaniałej czarnej klaczy hodowlanej. Niestety, już drugi rok nie urodziła źrebaka, a Hancock dopiero co ustalił, że poprzedni właściciel sprzedał ją właśnie z tego powodu. Nikt nie uwierzył w argument, że Ian o tym nie wiedział. Sprzedawca przysiągł, że go o tym poinformował.

– Nie miał powodu kłamać – stwierdził rozjuszony George Hancock w czasie pikniku po niedzielnym spotkaniu modlitewnym. – Penny to bardzo piękna klacz, ale nie nadaje się do hodowli. Ale Ian Coltrane, proszę darować, Mrs Coltrane, ten typ oszukuje w oczywisty sposób. Nie ma żadnych skrupułów i przychodzi mu to tak łatwo, jak nam oddychanie.

Kathleen udała, że tego nie słyszy – Colin znów próbował przekrzyczeć dorosłych, a Seana trzeba było powstrzymać, aby do niego nie dołączył. Ale te słowa bolały i naruszyły zawarte niedawno przyjaźnie. Ianowi to oczywiście odpowiadało. Ciągłe prześladował Kathleen zazdrością, bo po urodzeniu Colina nie zaszła od razu w ciążę. Stałe był rozdrażniony i chyba się zorientował, że Port Cooper nie był dla niego idealnym miejscem do osiedlenia się.

Wkrótce po ich przybyciu w Anglii utworzono Canterbury Association. Była to organizacja wierzących anglikanów, która stawiała sobie za cel założenie w nowej kolonii większego osiedla. Na Canterbury Plains, zaledwie o dzień drogi marszu od Port Cooper, zakupiono dużą ilość ziemi – miało tu powstać nowe miasto i siedziba biskupa Kościoła anglikańskiego, Christchurch. W niedługim czasie zamierzano też zbudować drogę przez trudną do pokonania górską przełęcz. Do transportu przywiązanych z tym pracach potrzebne były zwierzęta juczne i pociągowe. Przyszli mieszkańcy Christchurch z pewnością nie będą się zaopatrywać w przedmioty codziennego użytku i żywność w Port Cooper. Ian myślał więc o przeprowadzce,

choć Kathleen była przerażona na samą myśl o rozstaniu z nowymi, tak sympatycznymi sąsiadami. I kiedy Ian któregoś dnia znów wyładował na niej zły humor i zarzucił jej, że ich oszukuje pod jego nieobecność, pozwoliła sobie po raz pierwszy na gwałtowny sprzeciw.

– Akurat ty śmiesz mi zarzucać oszustwo! A kto tu uchodzi za końskiego oszusta? Nie mogę tym ludziom spojrzeć w oczy, każdy skarży się na stare, okulałe albo nieplodne chabety, które im sprzedałeś! I sądzisz, że będzie inaczej, kiedy przeprowadzimy się do Christchurch? A może nagle zamienisz się w uczciwego kupca?

– Będę takim samym uczciwym kupcem, jak ty uczciwą żoną! – wrzasnął Ian i rzucił ją na łóżko. Ostatnio nie poprzestawał na korzystaniu ze swoich małżeńskich praw dopiero wieczorem, kiedy dzieci spały, a Kathleen zjawiała się w sypialni umyta i ubrana w skromną nocną koszulę. Najwyraźniej obawiał się, że ona robi coś, aby zapobiec ciąży, i w związku z tym sądził, że należało ją zaskakiwać. A przemoc przed seksualnym aktem podniecała go, zmuszał więc Kathleen coraz częściej do współżycia także wtedy, kiedy Colin krzyczał, a niepilnowanemu Seanowi mogło się stać coś złego.

Kathleen w takich wypadkach nie była w stanie się rozluźnić. Odczuwała jedynie ból i wściekłość upokorzenia. Nie miało to nic wspólnego z radością miłości na polach i nad rzeką w Irlandii. Błagała Boga o przebaczenie za swoje uczucia, ale powoli zaczynała nienawidzić męża.

Tego wiosennego dnia problemy Iana z sąsiedztwem miały się poważnie nasilić. Kathleen wlokła syna, niosła zakupy i przechodziła właśnie koło kuźni kowala Johna. Zastanawiała się, czy ma zrobić małą przerwę i odpocząć. Sean marudził i płakał, bo strone podejście zmęczyło także jego. W dodatku pogoda była wręcz niezwykła jak na wczesnowiosenny miesiąc listopad: było upalnie i duszno. Pere na pewno dałaby Kathleen szklankę wody, a dla małego kubek mleka. Maoryska kobieta była jedyną we wsi, która wciąż traktowała Kathleen z taką samą serdecznością jak w chwili ich przyjazdu. A przecież właśnie ona, znając tajemnicę pochodzenia Seana, miałaby powód, aby pogardzać Kathleen. Ale Maorysi najwyraźniej mieli zupełnie inny sposób myślenia.

– Każde dziecko jest radość, każde dziecko własność szczepu, każda kobieta matka, każda stara kobieta babka! – uspokajała Pere Kathleen. Stale opowiadała o zwyczajach swojego ludu, gdzie także pozamałżeńskie dziecko nie było żadnym powodem do wstydu.

– Jak mężczyzna wie, że kobieta płodna, to ceni ją jeszcze bardziej!

Mały Sean także ciągnął teraz matkę w stronę domu kowala. Cieszył się, kiedy razem z nią odwiedzali Pere, która opowiadała mu bajki i zawsze miała dla niego



jakieś słodczyce. Cukier był dla Maorysów czymś bardzo cennym i Pere rozkoszowała się tym, że jako żona *pakeha* miała go pod dostatkiem. Wyrabiała więc cukierki, cukrowe laski i piekła słodkie ciasta, a potem wszystko chętnie rozdawała dzieciom sąsiadów.

Ale teraz, kiedy Kathleen się zastanawiała, czy ma zastukać do drzwi, czy też raczej iść prosto do domu i zająć się przedzeniem wełny, z kuźni dobiegły ją odgłosy gwałtownej kłótni. Usłyszała głos Iana i rzeczywiście zobaczyła jego konia, silnego kasztanka, uwiązanego przed domem. Kathleen w pierwszym odruchu chciała wręcz pobiec do domu. Gdyby Ian spotkał ją tutaj, mógłby jej zarzucić, że chciała się zobaczyć z Johnem albo dostać od Pere jakieś środki służące zapobieganiu ciąży. Byłoby więc o wiele lepiej, gdyby Ian zastał Kathleen przy praniu i czesaniu wełny. Ale wówczas usłyszała wyraźne, dobrze zrozumiałe słowa i była zbyt ciekawa, aby uciekać. Kazała marudzącemu Seanowi milczeć i przyłożyła ucho do drewnianych drzwi kuźni.

– Co to znaczy, że tego nie zrobisz? – pytał Ian wyraźnie zdenerwowanego Johna. – Chodź, proszę cię tylko, abys wbił gwoździe trochę wyżej, sprzedawca oddał mi tę szkapę, bo podkowy się nie trzymały...

John w odpowiedzi parsknął głośno, niemal jak wściekły koń.

– Nie opowiadaj mi bajek, Coltrane, jeśli podkowy się nie trzymają, nie zmienia się szkapy, tylko kowala. Ten człowiek sprzedał konia, bo on chodzi nierówno i ma coś z lewą przednią nogą, sądzę, że to kość kopytowa jest obniżona. A ja mam mu wbić gwoździe w lewą nogę, tak żeby go uciskały? Wtedy będą go bolały obie nogi i nie będzie utykał, to się zgadza. Ale ja tego nie zrobię, Ianie Coltrane, to niezgodne z honorem mojego stanu!

– Ach, John, co tam honor? Jazda, zrób to, zapłacę trzy pensy więcej... – Głos Iana był teraz spokojny. – Jeśli ty tego nie zrobisz, to będę musiał zrobić to sam, ale nie potrafię wbić gwoździ porządnie jeden za drugim i będzie można to prędzej zauważyć.

Kathleen się przeraziła, kiedy John gwałtownym ruchem otworzył drzwi. Teraz już nie mogła się ukryć.

– Tak, myślę, że ty rzeczywiście nie wiesz, co to jest honor! Ale ja wiem, dlatego wynoś się z twoją kulawą szkapą i wstydz się!

Silny kowal jednym ruchem wyrzucił Iana przed kuźnię. Handlarz potknął się i upadł, a koń, którego trzymał za wodze, spłoszył się. Kathleen miała nadzieję, że uda jej się cofnąć i pozostać niezauważoną, ale Ian już ją dostrzegł.

– A ty, mała dziwko! – Chwycił ją za ramię i potrząsnął gwałtownie. – Wreszcie cię przyłapałem, co? Podśluchujesz pod drzwiami, czy teren jest czysty i czy możesz wejść do kochasia!

Kathleen rozpaczliwie potrząsnęła głową. Dzieci zaczęły głośno płakać, a wówczas

John Seeker ponownie otworzył drzwi kuźni.

– Znikaj stąd, Coltrane! – ryknął. – Na mojej ziemi nie będziesz ani wbił temu koniowi gwoździ w kopyta, ani też nie będziesz bił swojej żony! Ona biedna rzeczywiście nie zasłużyła na kogoś takiego jak ty! Zostaw ją w spokoju, siadaj na konia, jedź do domu i się uspokój! I biada ci, jeśli zobaczę jutro twoją żonę ze śladami pobicia na twarzy! Wszystko w porządku, Miss Kathleen?

Kathleen skinęła głową z twarzą czerwoną ze wstydu. A więc teraz także sąsiedzi dowiedzieli się o tym, że Ian ją bije... I to akurat John w swoim zapale bronił jej i nazwał ją po imieniu. Ian z pewnością jej to zarzuci, bo zwykle mężowie jej przyjaciółek zwracali się do niej z szacunkiem jako do Mrs Coltrane. A już szczególnie, kiedy w pobliżu był Ian.

Ian brutalnie popchnął Kathleen w kierunku domu.

– Cicho bądź! – syknął. – Patrz, jakiego durnia ze mnie zrobiłaś! Jazda do domu, czekam tam na ciebie! I tym razem na pewno zrobię ci dziecko!

Kathleen rzeczywiście znów była w ciąży, kiedy dwa miesiące później Ian sprzedał dom w Port Cooper. John Seeker opowiedział wszystkim o incydencie w kuźni i od tej chwili wszyscy unikali Iana Coltrane'a. Także Kathleen nie otrzymywała już zaproszeń na zebrania kółka biblijnego ani niedzielne spotkania modlitewne, na których spotykali się wszyscy osadnicy, zgodnie ze swoją religią. Jak dotychczas w Port Cooper nie pojawił się żaden duchowny, ani katolicki, ani też anglikański, osadnicy radzili więc sobie sami. Kathleen, która czytała fragmenty Biblii głośnym, a jednocześnie słodkim głosem, była z początku mile widziana. Ale teraz Ian pozbawił ją także tego. Mówił, że po drugiej stronie gór nie będzie żadnych sąsiadów, z którymi mogłaby flirtować, i wkrótce nabył farmę nad Avon River, położoną w pobliżu nowego osiedla Christchurch, choć co prawda na tyle daleko, aby uniemożliwić Kathleen wszelkie kontakty towarzyskie.

– Możesz się zająć dziećmi, będziemy też mieć kilka owiec, a dla odmiany masz przedzenie wełny.

Ian był zadowolony, że mógł zamknąć swoją młodą żonę na samotnej farmie.

Mimo wielu obaw Kathleen była ciekawa świata leżącego po drugiej stronie gór. W końcu będzie mogła zobaczyć coś więcej ze swojej nowej ojczyzny niż tylko portową zatokę i kilka okolicznych wzgórz. Patrzyła więc z optymizmem w przyszłość, kiedy ciągnęła za rękę Colina, niosła część dobytku i szła powoli ścieżką w kierunku Christchurch. Ścieżka była teraz równa i uporządkowana, bo ludzie w Port Cooper spodziewali się fali przybyszów zdążających właśnie do Christchurch. Pokonanie jej nie było więc już żadnym wyzwaniem, choć co prawda konie i muły prowadzone były za uzdy przez miejscowych pomocników za drobnym wynagrodzeniem. Właśnie temu drodze zawdzięczała swoją nazwę: Bridle Path. Ian

i Kathleen w chwili przeprowadzki mieli już trzy zwierzęta juczne – ale te potrzebne były teraz Ianowi do transportu mebli i wszystkich sprzętów gospodarstwa domowego. Wprawdzie niektóre rzeczy można było przewieźć statkiem przez rzekę Avon na Canterbury Plains, ale Ian poskąpił na to pieniędzy. Po podróży z Europy i kupnie nowego domu z pieniędzy Michaela nie zostało już nic. Farmę finansował teraz Ian z dochodów ze swojego interesu.

Kathleen mimo to uważała, że część wspólnego majątku należy do niej i Seana. I nie wstydziła się już z powodu pieniędzy pochodzących z handlu whiskey. Pędzenie alkoholu zawsze traktowano w Irlandii z przymrużeniem oka. To, co robił Ian, było o wiele gorsze.

Kathleen musiała więc teraz iść wraz z dziećmi, podobnie jak większość osadników, którzy przybyli do Nowej Zelandii jako pasażerowie międzypokładu. I tak była w lepszej sytuacji od nich, bo nie była osłabiona długą podróżą i nabrała już sporo wprawy w pokonywaniu wzniesień, chodząc prawie codziennie do Port Cooper. Nie dostawała tak szybko zadyszki, ale mimo to pokonanie pierwszej części wznoszącej się drogi, która prowadziła na przełęcz Bridle Path, było dla niej bardzo przygnębiającym doświadczeniem. Musiała ciągnąć za rękę strasznie marudnego Seana, który nie rozumiał, dlaczego ma wchodzić na przełęcz i dlaczego zabrano meble z domu. A perspektywa zamieszkania zupełnie gdzie indziej, z dala od ukochanej ciotki Pere, przerażała go tak samo jak jego matkę. W dodatku droga była nie tylko stroma, lecz niezbyt ciekawa krajobrazowo. Znikły rozległe łąki, kraj był skalisty, a potem przez długi czas trzeba było wędrować przez ponurą, pełną wulkanów okolicę i przechodzić tuż koło kraterów. Sean uczeplił się ręki matki, a Colin wisiał jej na szyi. Kathleen zaczęła mieć obawy, zanim pokonali jedną trzecią drogi, tym bardziej że Ian nie zadawał sobie trudu, aby dodać jej odwagi. Dopiero kiedy potknęła się w niebezpiecznym miejscu, wziął od niej nosidło z Colinem i przyczepił je do juków jednego z mułów.

– On tam nie może zostać, Ian, bo kiedy się poruszy, to nosidło się odczepi i dziecko runie w przepaść. – Wyczerpana Kathleen była zadowolona, że nie musi nieść dziecka, ale to chybotliwe siedzisko na mule...

– Ruszasz się tak niezdarnie, że może spaść właśnie wtedy, kiedy ty go będziesz niosła! – odparł Ian. – Nie mogę pozwolić, żebyś naraziła na niebezpieczeństwo moje dziecko!

Kathleen miała na końcu języka jakąś ostrą odpowiedź, ale się powstrzymała, widząc, że Ian niechętnie zdjął nosidło z muła i wziął je na plecy. Można było mu wiele zarzucić, ale rzeczywiście kochał Colina. Czasami nawet przywoził coś małemu ze swoich podróży, były to zwykle wycinane z drewna koniki albo plecione piłki, które zapewne wyrabiali tubylcy. Colin był jeszcze za mały, aby się tym bawić, ale Sean był zachwycony. Kathleen wołała nie myśleć, jak zareaguje jej syn, kiedy

zrozumie, że Ian przywoził wszystkie te cuda nie dla niego, lecz wyłącznie dla jego brata.

Droga prowadząca przez skały, a potem stromą, niemożliwie wąską ścieżką wydawała się nie mieć końca. Wreszcie wyszli na coś w rodzaju rozległej platformy i Ian się zatrzymał, przywiązał muły do drzewa i zaproponował odpoczynek. Kathleen musiała właściwie rozpakować przygotowane kanapki, była też bardzo spragniona, ale przeważyła ciekawość. Trzymając Seana za rękę, podeszła ostrożnie do skraju platformy. Widok, który rozciągnął się przed jej oczyma, poruszył ją jak żaden do tej pory! Miała przed sobą świat, który opuściła prawie dwa lata temu. Przed nią rozciągała się jej ojczyzna Irlandia. Pola... Rzeka...

Kathleen zamrugła oczami, aby się upewnić, że nie śni. Ale potem wpatrzyła się w zielony pagórkowaty krajobraz przecięty wstęgą rzeki Avon, pełen niewielkich lasów i formacji skalnych, dokładnie takich, jakie znała z Irlandii. Brakowało jedynie ludzkich osiedli. Nie było tu wiosek ani też dworów, gdzieś można było dostrzec jedynie małe domy farmerów. I jednak czegoś brakowało: owych nieskończenie długich kamiennych murków, które dzieliły kraj na małe poletka. To był rozległy, wolny kraj!

Kathleen czuła, że jej serce biło gwałtownie, ogarnęło ją osobliwe uczucie szczęścia. Miała przed oczami kraj, o którym marzyła razem z Michaeliem. Zalany słońcem, ale zielony, tak zielony jak Irlandia – ten widok odbijał się w oczach Kathleen jak w lusterkach.

– Dobry Boże, Ian, ależ tu pięknie – powiedziała w nabożnym skupieniu. – To jest... to jest mój kraj!

– Twój kraj to nie jest – ofuknął ją Ian. – Ale to jest kraj naszych dzieci. I kiedy będą dorosłe, spory kawał tego kraju będzie należał do mnie. Tak duży, żebym mógł mieć wielką farmę. Może owce... Konie... Będziemy bogaci!

Kathleen się zastanawiała, czy myślał także o Seanie, kiedy mówił o dzieciach. Nie mógł wydziedziczyć chłopca. Ian dostał pieniądze Michaela – Kathleen była już pewna, że wiedział o sakiewce, zanim rozpoczął starania o jej rękę. A Sean nosił jego nazwisko. Uczciwy handel. W papierach Sean był jego synem, a Kathleen wiedziała, że będzie o niego walczyła. Ziemia wokół Port Cooper nie była dla niej ważna. Ale ten kraj tutaj... Ten kraj musi należeć do syna Michaela!

## ROZDZIAŁ 7

Gdyby nie Mr Smithers, to Lizzie Owens mogłaby być stale szczęśliwa po przyjęciu nowej posady.

Podróż z *female factory* do Campbell Town trwała trzy dni, ale już same noclegi po drodze były o wiele przyjemniejsze, niż Lizzie w ogóle była w stanie sobie wyobrazić. Mrs Smithers zatrzymała się najpierw u znajomych w Green Ponds, gdzie Lizzie przenocowała w pokoju służącej Lisy. Także ona była kiedyś więźniarką, ale miała tyle szczęścia, że teraz mogła opowiadać tylko o dobrych stronach swojej posady – i życia. Obie dziewczyny plotkowały przez pół nocy i Lizzie z trudem mogła uwierzyć, że tematem tych plotek nie byli jedynie klienci, głód i zapobieganie niepożądaney ciąży, lecz niewinna paplanina i romantyczne historie – jak to zwykle bywa wśród dziewcząt.

Drugą noc podróży Mrs Smithers spędziła w małym domu gościnnym w Jericho, ładnym mieście leżącym przy jednym z gotowych odcinków drogi prowadzącej do Launceston. Oczywiście było, że dla Lizzie wynajęto osobny pokój, a Mrs Smithers żartobliwie upominała dziewczynę, aby jej w nocy nie uciekła. Ale Lizzie zupełnie o tym nie myślała. Po raz pierwszy w swoim życiu spała sama w osobnym pokoju, na śnieżnobiałym prześcieradle i miękkich poduszkach, które pachniały różami i lawendą. Lizzie czuła się jak w niebie albo co najmniej jak w pięknym śnie.

Sama podróż także była ekscytująca. Droga między Hobart i Campbell była zbudowana, ale prowadziła częściowo przez puszcę. Lizzie, która nigdy nie opuściła Londynu, zerknęła zafascynowana w mroczne, pozornie nieprzeniknione lasy deszczowe, w których ponoć grasowały jakieś niesamowite gatunki zwierząt, jak torbacze czy diabeł tasmański. Dziewczyna krzyknęła na widok kangura przebiegającego przez drogę, ale naprawdę przeraziła się wtedy, kiedy zobaczyła pierwszych przymusowych robotników. Lizzie nie było źle w *female factory* i dlatego nie martwiła się o Michaela. Ale teraz się przekonała, że Korona Angielska zupełnie inaczej traktowała więźniów płci męskiej. Ze zgrozą patrzyła na osławionych *chain gangs* – zbrodniarzy, których prowadzono na miejsce pracy skutych razem łańcuchami. Ich strażnicy nie tylko byli uzbrojeni po zęby, ale mieli też ze sobą pejczy i korzystali z nich bez skrępowań. Ślady takiego traktowania widać było na przeważnie nagich plecach wielu mężczyzn. Bezlitośnie zmuszano ich do kruszenia kamieni w niezwykle szybkim tempie, aby jak najprędzej naprawiać drogę i karczować las dla nowych osadników. Lizzie zasłoniła oczy ręką.

– Taaa... nie jest to piękny widok, Lizzie – zauważyła Mrs Smithers i kazała spuścić

zasłone w swojej szykownej bryczce, właśnie zaczęło padać. – Ale oni na to naprawdę zasłużyli. Ktoś, kto tu musi harować, akurat w *chain gangs*, nie wykazał się niczym dobrym gdzie indziej. Większość była zbrodniarzami już w Anglii, a tu dopuszczali się kolejnych przewinień. Wiem, przykro ci na ten widok. Ale pamiętaj, że tu mamy do czynienia z rabusiami i mordercami!

– Ale niektórzy... niektórzy są przecież tylko uciekinierami... – odważyła się wtrącić Lizzie. W *female factory* mówiono o tym, że kilku mężczyzn stale próbowało uciekać z więzienia. Dla dziewcząt byli oni romantycznymi bohaterami, nieugiętymi rebeliantami, których nie mogło złamać nawet najgorsze traktowanie. W końcu łądowali zawsze w budzącym grozę więzieniu w Port Arthur lub byli zatrudniani do prac przymusowych w *chain gangs*. Dotychczas zza murów Richmond Gaol ani z łańcuchów *chain gangs* nie uciekł jeszcze żaden więzień. Lizzie zobaczyła teraz, że ich los nie miał w sobie nic romantycznego. Mężczyźni pracowali aż do oporu – czyli tak długo, aż padali ze zmęczenia. Z pewnością lepiej więc było podporządkować się regułom i robić wszystko, aby otrzymać ulaskawienie, zamiast próbować ucieczki.

– Kilku z nich na pewno jest tylko uciekinierami – stwierdziła Mrs Smithers lekceważąco. – Ale jeśli mnie pytasz, to ci powiem, że także głupota jest karalna! A kto ucieka kilka razy, jest po prostu niewiarygodnie głupi. Dokąd oni chcą uciec? Do dżungli? Żeby zginąć od ugryzienia żmii albo paść łupem drapieżnika? Miasta są tu za małe, aby w nich zniknąć. Jericho, Hobart, Launceston – żadnego z tych miast nie da się porównać z Londynem. A w dodatku tu nikogo nie znają. Ucieczka po prostu nie ma żadnych szans.

– A jeśli oni ukradną statek? – spytała Lizzie. – Jeśli popłyną nim do domu?

– Do domu? – Mrs Smithers się roześmiała. – Przez Morze Tasmana, Ocean Indyjski, wokół Przylądka Dobrej Nadziei? Potem jeszcze Atlantyk? Dziecko, gdyby któryś z nich był kapitanem i potrafił żeglować na otwartym morzu, to nie siedziałby tutaj. Co prawda słyszałam, że czasami więźniowie uciekali z Nowej Zelandii. Ale to pewnie tylko opowieści, a nie prawda. I czy oni siedzą na tej, czy innej wyspie, to też wszystko jedno.

„Nie dla kogoś, kto chce być wolny” – pomyślała Lizzie z niepokojem i próbowała zapomnieć o tęsknocie w oczach Michaela. Wspomnienie jego spojrzenia sprawiało, że wszystko w niej tajało i także zaczynała marzyć o wolności. Ale przecież on myślał tylko o tej dziewczynie, którą nazywał Mary Kathleen.

Dom w Campbell Town był rzeczywiście imponujący. Mrs Smithers nie obiecywała za wiele: właściciele byli właściwie w posiadaniu czegoś w rodzaju pałacu. Lizzie dziwiła taka ilość pokoi, ogromne meble, srebro i porcelana z Anglii. W najbliższym czasie miała się nauczyć codziennie polerować naczynia do połysku. Ale tego pierwszego dnia wędrowała z niedowierzaniem od jednego cuda do drugiego.

W oczach Lizzie najwspanialszym z nich była pewna izba w części przeznaczona dla służby. Tę właśnie izbę przydzielono Lizzie. Była ona niewielka. Oprócz łóżka, stołu, fotela i regału nie mieściło się w niej nic więcej. Ale należała wyłącznie do Lizzie. Nie będzie jej już przeszkadzać niczyje chrapanie, płacz czy też gadanie przez sen. Pościel w łóżku była prosta, ale czysta – a jeśli uda jej się zdobyć kilka kwiatów lawendy i ususzyć je, to pościel będzie pachniała tak samo jak w domu gościnnym w Jericho. Nie powinno to być trudne, w ogrodzie rosło wiele róż. Nawet obawy Lizzie, że pozostali służący będą na nią patrzyli z góry, ponieważ była więźniarką, szybko okazały się bezpodstawne. Także kucharka okazała się ułaskawioną deportowaną.

– Stałam na czatach i kryłam mojego chłopca podczas włamania – wyznała natychmiast. – Boże, ależ byłam głupia wtedy, ciągle myślałam, że on właśnie zarabia wielkie pieniądze. A on zamiast tego zastrzelił człowieka. I tak miałam szczęście, że nie skończyłam na szubienicy.

Ogrodnik szedł zawsze na noc do baraku więziennego, gdzie odsiadywał karę. Dziękował Bogu, że udało mu się uniknąć pracy przy budowie drogi, choć co prawda był tak drobnej postury i tak niskiego wzrostu, że niewiele byłoby z niego pożytku w tej pracy. Natychmiast, i to bardzo gwałtownie, zakochał się w Lizzie i wkrótce dziewczyna była wręcz zasypywana płatkami róży. Za to parobek był mężczyzną o wiele bardziej postawnym, miał nadzieję, że niedługo otrzyma ułaskawienie i planował ożenek z kucharką. Oboje chcieli zostać w domu Mrs Smithers, gdzie już czekało na nich mieszkanie. Lizzie nie po raz pierwszy doszła do wniosku, że dla wielu skazańców deportacja była bardziej błogosławieństwem niż przekleństwem. Ona sama dostała schludną suknię służącej i podobała się sobie w swoim czepku. Mrs Smithers poświęciła też trochę czasu, aby wprowadzić ją w tajniki nowej pracy. Cierpliwie pokazywała dziewczynie, jak się poleruje srebro i podaje herbatę do stołu. Lizzie zmieniała też bieliznę pościelową, ścierała kurze, polerowała drewniane meble i podawała posiłki do stołu. Nie każde z tych zajęć sprawiało jej satysfakcję, ale było to lepsze niż codzienne wędrówki po londyńskich ulicach i obsługa jednego klienta za drugim na tych samych brudnych prześcieradłach. Po raz pierwszy Lizzie mogła sprostać wymaganiom wielebnego: była dobra, prowadziła bogobojne życie i zapewne wszystko toczyłoby się tym trybem dalej.

Gdyby nie Mr Smithers.

Małżonek Amandy Smithers często był nieobecny przez cały tydzień – zgodnie z tym, co powiedziała Mrs Smithers w więzieniu, nadzorował budowę drogi, przy której oczywiście zatrudnieni byli więźniowie. Niektórzy z nich byli bardzo zręczni, ale żaden nie miał doświadczenia w żadnym rzemiośle. Jeśli chodzi o angielskich skazańców, byli to przeważnie uliczni złodzieje i oszuści, którzy jeszcze nigdy nie żyli z pracy własnych rąk. Skazańcy z Irlandii i Szkocji byli zwykle rolnikami, znali

się na uprawie roli oraz hodowli bydła i spisywali się bardzo dobrze przy wykonywaniu prostych prac, takich jak karczowanie lasu na terenie przewidzianym pod budowę nowej drogi. Nie mieli jednak żadnych fachowych umiejętności w kruszeniu kamienia i umacnianiu dróg.

Także strażnicy mieli za sobą jakąś karierę wojskową, lecz żaden z nich nie był wykwalifikowanym robotnikiem. Martin Smithers musiał więc przyuczać do pracy swoich mniej lub bardziej dobrowolnych robotników i o każdej drobnostce decydować sam. W związku z tym sypiał w namiotach albo w barakach, a komfort takich noclegów był właściwie taki sam jak komfort więźniów. I tylko w weekendy małżonek Mr Smithers zjawiał się w swojej wielkopańskiej rezydencji, bardzo przytulnie tymczasem urządzonej z myślą o nim przez Mrs Smithers i jej służbę.

Lizzie poznała Mr Smithersa niecały tydzień po przyjeździe do jego domu i przy okazji oficjalnego przedstawienia przez żonę ten nie okazał szczególnego zainteresowania jej osobą – a przynajmniej takiego, które mógłby dostrzec postronny obserwator. Mrs Smithers wydawała się niczego nie podejrzewać, ale Lizzie dostrzegła krótki, osobliwy błysk w jego oczach, który nie wróżył nic dobrego. I to wrażenie się potwierdziło, kiedy Mr Smithers następnego dnia rano wszedł do jadalni, w której ona nakrywała właśnie do śniadania.

– Ach, oto mamy tu naszą uroczą pokojówkę kicię! – zauważył.

Lizzie nie miała pojęcia, jak powinna zareagować na takie określenie, i wahała się pomiędzy chęcią zignorowania mężczyzny i dalszego wykonywania swojej pracy a chęcią dygnięcia zgodnie z nakazem uprzejmości. Ostatecznie zdecydowała się na to drugie – dygnęła ze skromnie spuszczonej oczami. Ale Smithers nie zostawił jej w spokoju.

– Dlaczego nie patrzysz mi prosto w oczy, kotku? – spytał z nieco obscenicznym uśmiechem i wsunawszy palec pod jej podbródek, łagodnie uniósł twarz Lizzie do góry. – Boisz się, że mógłbym wyczytać w twoich oczach pożądanie? Ale przecież jesteś taką grzeczną dziewczynką, zgodnie z tym, co opowiada mi moja żona.

Lizzie potulnie popatrzyła na jego szeroką, zaczerwienioną twarz. Smithers był wysokim, postawnym mężczyzną, który nie wydawał się za bardzo pasować do swojej malutkiej, drobnej żony. Miał brązowe, mocno przerzedzone włosy i wodniste, jasnoniebieskie oczy. Pożądanie było raczej ostatnim uczuciem, które Lizzie mogła odczuwać na jego widok. Dawna dziwka w niej samej raczej oceniła z westchnieniem wagę mężczyzny, który ewentualnie miałby na niej spoczywać w trakcie zaspokajania się.

– Nie rozumiem, co pan ma na myśli, sir! – powiedziała Lizzie, mając nadzieję, że się zarumieniła. Ale zbyt często słyszała takie słowa, aby odczuwać wstyd. Miała ich jedynie dość, a teraz w dodatku poczuła narastający lęk.

– Ależ pomyśl, kotku! – uśmiechnął się mężczyzna, a jego palce wędrowały od jej



podbródka przez policzki do skroni. – Śliczna z ciebie dziewczynka, nie każ mi za długo czekać, aż zaczniesz się gonić...

Lizzie na szczęście usłyszała idącą korytarzem Mrs Smithers i zdążyła się cofnąć przed swoim nowym pracodawcą, zanim jego małżonka weszła do jadalni. Przez resztę weekendu starała się unikać Mr Smithersa, ale było to prawie niemożliwe. Mężczyzna uśmiechał się do niej obscenicznie przy każdej okazji, a kiedy podawała do stołu, musiała dobrze uważać, bo próbował sięgnąć ręką pod jej spódnicę albo nawet uszczypnąć ją złośliwie. Wówczas oczywiście nie mogłaby sobie pozwolić na okrzyk przerażenia. Lizzie była wykończona nerwowo, kiedy po zmyciu naczyń i przygotowaniu do niedzielnego śniadania chciała się wślizgnąć do swego pokoju – i stwierdziła, że Smithers czyhał na nią już w korytarzu.

– Nie można pozwolić, aby taki słodki kotek poszedł do łóżka bez całusa na dobranoc... – Lizzie się cofnęła, kiedy próbował ją objąć.

– Sądzę... – wyrzuciła zza zaciśniętych warg. – Sądzę, że nie jest zdrowo całować i tulić zwierzęta domowe.

Miał to być żart – na londyńskich ulicach łatwo nabywało się wprawy nie tylko w wabieniu mężczyzn, lecz także w ciętych odpowiedziach. Złodzieje kieszonkowi i oszuści zwykle szukali nie dziwki, lecz kochanki. Ci poszukiwacze szczęścia często byli bardzo szarmanccy i byłoby niemądre i nieuprzejme bronić się przed nimi złośliwością. Żart, nawet ordynarny, był o wiele lepszy, bo dzięki niemu można było odprawić mężczyznę, nie obraziwszy go. Lizzie uważała swój żart za bardzo oryginalny, ale Martin Smithers cofnął się gwałtownie, jak gdyby go zaatakowała.

– A co to ma znaczyć, mała? Grozisz mi? Co takiego masz na sumieniu, że od razu pokazujesz pazurki? Myślałem, że tylko coś ukradłaś. Jak będziesz brutalna...

Lizzie niemal zeszytniała z przerażenia. Przecież nic nie zrobiła... Ale cokolwiek ten mężczyzna opowiedziałby jej zwierchniczce, to ona by uwierzyła! Przestraszona cofnęła się pod ścianę korytarza i obronnym gestem wyciągnęła przed siebie rękę.

– Nikogo nie skrzywdziłam, sir, przysięgam, pana także nigdy... nigdy...

– Tak? Czy to nie była aluzja do tego, że pazury drapią? – spytał Smithers nieufnie.

Lizzie przestraszona potrząsnęła głową.

– Oczywiście, że nie, sir. Tylko... Lekarze mówią... Tylko że zwierzęta domowe zwykle łapią i pozerają szczury, i w ogóle... Mają pchły... – zaczęła się jąkać w rozpaczliwej próbie wyjaśnienia swojego żartu. I rzeczywiście Smithers wreszcie okazał nieco rozbawienia, choć w jego śmiechu słychać było groźbę.

– Pchły chyba ci wytępilli w *female factory*... Pamiętaj, skąd jesteś, zanim zdobędziesz się na słowa sprzeciwu! Szczury czekają na ciebie!

Po tych słowach przyciągnął Lizzie do siebie i wycisnął na jej ustach pocałunek. Nie było to bardziej brutalne niż u dawnych klientów, ale Lizzie była przerażona i czuła obrzydzenie. Następnego dnia musi być ostrożniejsza... Jeśli on w ogóle

pozwole jej teraz odejść... Ale na szczęście usłyszała hałasującą w kuchni kucharkę. A Mrs Smithers z pewnością także jeszcze nie spała – i rzeczywiście w tym momencie zawołała swojego męża. Lizzie odetchnęła i w głębi ducha dziękowała zarówno swojej szefowej, jak i Bogu. I jak tylko Mr Smithers się odwrócił, wbiegła do pokoju i zamknęła za sobą drzwi na klucz.

Następnego ranka Lizzie musiała wraz ze swoimi chlebodawcami iść do kościoła. Smithers także teraz nie tracił okazji, aby być w jej pobliżu. Kucharka i Lizzie usługiwały potem przy pikniku, ale Lizzie była zbyt nieśmiała, aby po jego zakończeniu przyłączyć się do kucharki i jej absztyfikanta – oboje poszli na spacer i spotkali się przy tej okazji z więźniami pierwszej klasy bądź tymi, których już zwolniono z więzienia. Została więc przy Amandzie i Martinie Smithersach. Chętnie posiedziałyby jeszcze na kocu, aby się cieszyć słońcem, osobliwym krajobrazem otaczającym miasteczko Campbell Town oraz maleńkim kościółkiem. Na pierwszy rzut oka była to sceneria jak w jednym z londyńskich parków, ale gdy oglądało się wszystko dokładniej, to każde drzewo, każde źdźbło trawy było tutaj inne.

Mr Smithers znów zaczął nękać Lizzie, kiedy tylko wstała z koca, aby rozprostować nogi. Pod pretekstem pokazania jej ptaków i drzew, zaprowadził ją do niewielkiego lasu koło kościoła i tam zaczął ją całować.

– Tak lepiej, malutka. Ależ z ciebie milutki kotek...

Lizzie rozpaczliwie próbowała wyrwać się z jego objęć.

– Sir... proszę, nie tutaj. Ktoś może nadejść...

Lasek za kościołem był jedynym miejscem, w którym młodzi zakochani mogli się ukryć przed wścibskimi spojrzeniami obcych. Także kucharka i parobek nieraz tam znikali.

Smithers chrząknął porozumiewawczo.

– Tak, tak... Masz rację... Ja tylko nie mogę wytrzymać, kiedy widzę migotanie w twoich oczach... I jak się ruszasz... Żwawo, ale i z wdziękiem... Taka powinna być każda kicia...

– Ale... ale... – Lizzie walczyła ze łzami. Gdyby ktokolwiek ich nakrył...

– I jesteś taka płochliwa... też nieźle. A więc dobrze, nie tutaj, ale znajdziemy jakiś ukryty zakątek i wtedy dotrzymasz swojej obietnicy...

Lizzie nie wiedziała wprawdzie, co mu obiecała, ale kiedy ją wreszcie puścił, odczuła taką ulgę, że skinęła głową.

W czasie pozostałych godzin niedzieli Lizzie miała wolne. Spędziła je na rozmyślaniach i bezradnej modlitwie w swoim pokoju. I jak zawsze Bóg nie słuchał, a może nie udzielił odpowiedzi.

W poniedziałek Mr Smithers wyjechał na swoją budowę, ale Lizzie była tak zdenerwowana i wzburzona, że nie mogła się skoncentrować na pracy. Zbiła jedną filiżankę, za co ją zrugano, zapomniała posprzątać ze stołu po herbacie i otrzymała

kolejną reprimendę. A kiedy po południu miała pomóc kucharce, skaleczyła się w palec, i to tak mocno, że jej krew pociekła do miski z sałatą.

– Co się z tobą dzieje? – warknęła kucharka i szybko zabrała miskę, aby wypłukać jej zawartość. A potem Lizzie nie miała w ogóle ochoty jeszcze raz pokroić warzyw.

– Przecież zwykle jesteś bardzo zręczna.

Lizzie była przede wszystkim wdzięczna, że kucharka właściwie się nie złościła. Dziewczyna ukryła twarz w rękach i się rozplakała. Ogarnęły ją zasadnicze wątpliwości co do siebie samej, kiedy szlochając, opowiedziała całą swoją historię.

– Po mnie to widać! – jęczała. – A ja przecież chcę być dobra... Ja naprawdę chcę... Chcę żyć bogobojnie...

Kucharka słuchała z kamienną twarzą.

– Czyli znów się zaczyna... – westchnęła po chwili. – Nie, przestań, to nie twoja wina!

Lizzie w ogóle nie słuchała.

– Czy... czy może być tak, że bycie dziwką to jakieś przeznaczenie? – spytała zrozpaczona.

Kucharka potrząsnęła głową.

– Dla takich typów jak Smithers każda dziewczyna jest zwierzyną łowną. Ta zwierzyna zawsze nosi czepek służącej – zauważyła spokojnie. – Z jakiegoś powodu on na ten widok całkiem wariuje. Nawet mnie szcypie czasem w tyłek, a nie jestem młodsza niż ta jego *missus*. Jak myślisz, dlaczego Tilly tak szybko odeszła?

Tilly była poprzedniczką Lizzie jako pokojówka.

– Ona była tu bardzo szczęśliwa, aż do chwili, kiedy Smithersowie przejęli ten dom. Cartlandowie stale wysyłali zaproszenia na różne wieczory i spotkania, Tilly kasowała napiwki bez końca. Właściwie chciała oszczędzać jeszcze przez trzy lata i dopiero potem wyjść za mąż za swojego Toma. Ale nowy pan tego domu nie zostawił jej w spokoju choćby przez jeden dzień...

– Ale... Ale... czy ona nie mogła... Była przecież ułaskawiona, prawda? – wystękała Lizzie z trudem. Mimo wszystko poczuła jakąś ulgę.

– Dziecko, to naprawdę niewiele znaczy. Temu typowi wystarczyłoby, aby zniknęła jedna srebrna łyżka, aby zawiesić ułaskawienie. I koniec z wolnością. A z tobą nie będzie inaczej. Ty...

– Może mogłabym poprosić, aby przenieśli mnie z powrotem do *factory*? – zastanawiała się Lizzie.

W tej chwili Cascades wydała jej się czymś w rodzaju niemal niebiańskiego schronienia. Choć co prawda była całkowicie gotowa, aby poddać się temu, co nieuniknione, i pójść do łóżka z Mr Smitherssem. Ale gdyby cokolwiek dotarło do uszu Mrs Smithers, to marzenia i plany – wszystko by przepadło. Jej uwolnienie, status więźniarki pierwszej klasy... Wysłano by ją z powrotem do więzienia, i to

okrytą wstydem i hańbą.

Kucharka potrząsnęła głową.

– A na jakiej podstawie? Chcesz powiedzieć prawdę? To wówczas rzucą się na ciebie oboje, Smithers i jego żona. Na miłość boską, bądź ostrożna. Coś takiego może się skończyć szubienicą! Najlepiej rób dobrą minę do złej gry i jak najszybciej poszukaj sobie męża. Choćby ogrodnika. Nie jest co prawda piękny, ale to dzielny człowiek. Chociaż... Wówczas zaoferują ci dalszą pracę tutaj, co oznacza, że chcąc nie chcąc, będziesz oszukiwać biedaka...

– A jak mogę znaleźć kogoś innego? Jak długo to będzie trwać... czy nic nie mogę zrobić? – Lizzie patrzyła z rozpaczą na starszą kobietę.

Kucharka zastanawiała się przez chwilę.

– Mogłabyś rzeczywiście coś ukraść – powiedziała twardo. – Coś małego, a ja zwałę winę na ciebie. Może chleb albo coś podobnego; możesz powiedzieć, że masz przyjaciela w najbliższym *chain gang* i chciałaś mu to dać. Ale z drugiej strony wezmą cię wtedy na przesłuchanie, abyś powiedziała jego nazwisko... Nie, lepiej coś innego, coś...

– Nie chcę być znowu skazana! – broniła się Lizzie. – Drugi raz tego nie przeżyję. A recydywa oznacza klasę trzecią – zgniłabym wówczas w więzieniu...

Kucharka wzruszyła ramionami.

– No to staraj się uszczęśliwić starego Smithersa...

Lizzie oddała się swojemu panu w najbliższy sobotni wieczór. W ten sposób sprofanowała też swój pokój, w którym była taka szczęśliwa. Martin Smithers widział w tym dowód tego, że dobrowolnie i z radością poszła z nim do łóżka, ale dla Lizzie było to jedyne bezpieczne miejsce, w którym nikt nie mógł ich przyłapać. Mrs Smithers nigdy nie przychodziła do części domu przeznaczonej dla służby, a kucharka wiedziała o wszystkim. Kiedy mężczyzna wreszcie sobie poszedł, Lizzie zmieniła prześcieradło, umyła się specjalnie naszykowaną wodą, nawet jeszcze ciepłą, i płakała przez sen.

Nie wierzyła już w to, że kiedykolwiek będzie dobra. Lizzie Owens walczyła o przetrwanie.

## ROZDZIAŁ 8

Nowa farma Iana Coltrane'a położona była w przepięknym miejscu, nad Avon River, która później miała przepływać przez miasto Christchurch. Na farmę składały się wielki, choć nieco podupadły dom oraz stajnie potrzebne do hodowli bydła użytkowego. Ale przede wszystkim jej powierzchnia obejmowała więcej hektarów ziemi niż powierzchnia całej wsi Kathleen w hrabstwie Wicklow. Coltrane'owie mieli nagle większą posiadłość niż ich dawny landlord Wetherby. Choć co prawda brakowało płotów i dzierżawców.

Ian i Kathleen nie byliby w stanie obrobić sami tyle ziemi – i tak zresztą zajmowano się tu głównie hodowlą owiec, a nie uprawą roli. Ian szybko sprowadził do stajen najróżniejsze zwierzęta i wkrótce Kathleen była przeciążona pracą przy karmieniu bydła. Oczywiście pochodziła ze wsi, znała się na uprawianiu ogrodu i na pracy w polu. W dobrych latach jej ojciec miał nawet kozę, kilka kur i jedną czy dwie owce. Ale tu, na rozległych łąkach, które Ian ogrodził tylko prowizorycznie, pasły się już całe stada zwierząt. Ian nigdy nie zatrzymywał zwierząt na dłużej, były one przedmiotem jego handlu i szybko je sprzedawał. Często puszczał je wolno na łąki, licząc właśnie na rozległość swych łąk oraz na nie najlepszy instynkt psa pasterskiego – przy okazji jego nabycia tym razem dla odmiany oszukano właśnie jego, Iana Coltrane'a! A niestety okazało się, że upodobanie owiec do wędrówek jest właściwie nieograniczone, w dodatku z niewiadomych powodów dążyły one na place budowy przyszłego miasta Christchurch.

Toteż jedyne kontakty towarzyskie Kathleen w czasie pierwszych miesięcy na Canterbury Plains ograniczały się do wizyt oburzonych inwestorów budowlanych lub też rozzłoszczonych szyprów statków rzecznych, którzy przybiwszy do brzegu, musieli szukać drogi wśród stłoczonego, spokojnie przeżuwanego stada owiec. Kathleen mimo ciąży wdrapywała się na któregoś muła lub konia przeznaczonego na sprzedaż i próbowała zapędzić zwierzęta na tereny farmy. Zwykle pomagało jej przy tym kilku mężczyzn – uroda Kathleen i jej wyraźna rozpacz poruszały serce przede wszystkim młodych chłopców, którzy mieli okazję spróbować swoich sił jako poganiacze bydła. I oczywiście oczekiwali w ramach podziękowania zaproszenia na kawę, a najlepiej na whiskey. Lecz Kathleen z biciem serca wymawiała się od tego, dziękując w myślach Bogu, jeśli mężczyźni odjeżdżali. Było nie do pomyślenia, że Ian mógłby ją zastać siedzącą przy kuchennym stole z jednym lub kilkoma mężczyznami, często bardzo przystojnymi. Nowi osadnicy na Canterbury nie byli z reguły na wpół zagłodzonymi emigrantami z Irlandii czy Szkocji, lecz

anglikańskimi chrześcijanami z dobrych domów, którzy szukali przygody. Jednak w nowym osiedlu nie było jakoś szczególnie niebezpiecznie. Wielu mężczyzn, którzy pracowali jako robotnicy budowlani, zwerbowano jeszcze w Anglii i przeważnie byli to ludzie przyjaźnie nastawieni do wszystkich i dobrze wychowani. Żaden nie próbował się zbliżyć do samotnej żony farmera, choć niejeden nocą śnił o niej. Kathleen także nie była nimi zainteresowana – jeśli w ogóle miała siły na to, aby marzyć, to przed jej oczami pojawiał się Michael. Ale wspomnienie jego twarzy także z czasem bladło. Życie Kathleen było teraz nieprzerwaną harówką i dreptaniem między ogrodem, polami i stajniami, do tego dochodziła oczywiście troska o dzieci, które trzeba było pilnować. Szczególnie Colina trudno było utrzymać z dala od stajen, bo gdy tylko nauczył się chodzić, robił wszystko, aby się tam dostać. Natomiast Sean mniej się interesował zwierzętami. Lubił jedynie podwórkowego psa, z którym przesiadywał zgodnie na drewnianym tarasie farmy – pies i chłopiec siedzieli obok siebie i wpatrywali się w wodę płynącej rzeki. Sean czasami szeptał coś psu do ucha, a Kathleen się zastanawiała, czy dziecko opowiadało mu bajki. Czy Sean rzeczywiście pamiętał historie o kanu i maoryskich półbogach, które kiedyś opowiadała mu Pere? Chłopiec nie mógł się też nasłuchać, kiedy matka wygrzebywała z pamięci irlandzkie opowieści o wrózkach i skrzatach zwanych leprechaunami, i Kathleen była naprawdę zmęczona wieczorami, kiedy wreszcie zasypiał.

Oprócz kontaktów z dziećmi i nielicznymi mieszkańcami Christchurch, którzy zjawiali się na farmie z zażaleniami, kontakty towarzyskie Kathleen ograniczały się do spotkań z klientami Iana, ale przed nimi Kathleen stała zwykle w milczeniu i z opuszczoną głową. Zachowywała się tak od czasu, kiedy raz wymknęły jej się dwa niestosowne, ale za to prawdziwe zdania na temat sprzedawanych przez Iana zwierząt. Mąż pobił ją potem tak, że obawiała się, że straci dziecko. Mimo wszystko Kathleen cieszyła się z wszystkich wizyt. Na zakończenie każdej Ian wypijał z klientami jedną lub dwie szklanki whiskey dla przypieczerowania udanej transakcji i trochę z nimi gawędził. Była to dla Kathleen jedyna okazja, aby dowiedzieć się czegoś nowego o świecie.

Strumień osadników zdążających do Christchurch płynął nadal nieprzerwanie. Po przybyciu pierwszych czterech statków coraz więcej ludzi ze Starego Świata interesowało się nowym krajem leżącym po drugiej stronie kuli ziemskiej. Klienci Iana stale podkreślali, że Nowa Zelandia, w przeciwieństwie do Australii i Ziemi van Diemena, nie jest zasiedlana przez więźniów, lecz przez porządnych chrześcijan. Kupcy byli z tego dumni, a Ian wznosił z nimi toasty za tych ludzi, choć Coltrane'owie byli oczywiście katolikami i traktowali angielskich protestantów ze znacznie mniejszą dozą szacunku niż irlandzkich skazańców.

Ian nie pozwalał też Kathleen jeździć na niedzielne msze do anglikańskiego

kościół w Christchurch, choć ona robiłaby to bardzo chętnie – Bóg na pewno przymknąłby oko na niesłuszne wyznanie jej otoczenia i mimo wszystko wysłuchał jej modlitw. Ale Ian nie dał się przekonać. Kathleen w głębi ducha dopatrywała się tu raczej braku pobożności niż wymówki. W końcu Ian także w Irlandii niezbyt regularnie chodził do kościoła.

Klienci Iana od czasu do czasu opowiadali też o Port Cooper lub Port Victoria – co oczywiście interesowało Kathleen szczególnie. Ciągłe brakowało jej Pere i pozostałych przyjaciółek z małego portowego miasta, które właśnie otrzymało nową nazwę. Miejscowość nazywała się teraz Lyttelton, od nazwiska pewnego prominentnego człowieka z Canterbury Association, i niewielkie osiedle powoli zamieniało się w miasto. Ruch tranzytowy w kierunku Christchurch był też przyczyną napływu pieniędzy. Kował John miał teraz firmę transportową, świadczącą usługi dla nowych osadników. Za opłatą przeprowadzano ludzi na mułach przez Bridle Path, z której to usługi chętnie korzystali zwłaszcza zamożni imigranci. John oczywiście nie kupował zwierząt u Iana, co bardzo drażniło męża Kathleen. Ian był też w końcu zmuszony przestać oszukiwać konkurenta Johna pracującego w Christchurch, lecz dostarczać mu zdrowe, zdolne do pracy zwierzęta. Ale mimo to nie mógł się przebić na rynku. John mieszkał w Lyttelton i było to po prostu od razu na miejscu, kiedy statki zawijały do portu. W Lyttelton był teraz hotel i pub, a ostatnio osiedlił się tam także lekarz i pewien duchowny. Tę wiadomość Kathleen przyjęła niemal z zazdrością. Za kilka tygodni czekało ją rozwiązanie, a tym razem nie mogła liczyć na pomoc Pere czy jakiejś innej akuszerki, nie mówiąc już o lekarzu! Teoretycznie można było przywieźć kogoś z Christchurch, ale Coltrane'owie nie znali tam nikogo, a Ian nie robił nic, aby nawiązać jakieś kontakty. W dodatku nie było też pewne, czy Ian w ogóle będzie w domu, kiedy zaczną się poród. Oczywiście obiecał, że w tym czasie nigdzie nie wyjedzie, ale gdyby dziecko miało przyjść na świat kilka dni wcześniej, to Kathleen byłaby zdana wyłącznie na siebie samą. Kathleen próbowała na razie o tym nie myśleć. Ale wówczas pojawił się ktoś, kto dość szybko ten problem poruszył.

Kathleen kontrolowała właśnie płoty w pobliżu domu – była to praca, której nienawidziła nie tylko dlatego, że brzuch skutecznie utrudniał jej wykonywanie. Już po godzinie była mokra od potu, choć trwała zima – suchy, chłodny czerwcowy dzień, niezwykle przejrzysty jak na tę porę roku. Kto zwracał uwagę na otaczający krajobraz, mógł sięgnąć spojrzeniem aż do majestatycznego łańcucha Alp Południowych i nawet rozpoznać poszczególne szczyty. Kathleen знаła jedynie nazwę najwyższego z nich – słynnego Mount Cook. W Port Cooper Pere opowiedziała jej wszystko o tamtejszej zatoce i o Port Hills, łańcuchu wzgórz oddzielającym Lyttelton od Canterbury. Tu, na Plains, nie robił tego nikt. Dla Kathleen okoliczne góry i płaskowyże nie miały nazw, ona też nie zadawała sobie

trudu, aby wymyślać nazwy dla poszczególnych punktów krajobrazu. Tym miał się wkrótce zająć mały Sean. Bardzo wcześnie zaczął mówić i już teraz ochrzcił mały lasek, w którym znajdowała się mała polana, nadając mu nazwę „Łąka Elfów”, skalną zaś bryłę stojącą pośrodku łąk nazwał Wielkim Skrzatem Leprechaunem. Dzieci oczywiście bawiły się teraz koło Kathleen, przy czym Colin całą swą uwagę kierował na narzędzia, Sean zaś próbował nauczyć psa podawania łapy.

– Dobry piesek, podaj prawą łapkę! – mówił do łagodnego, ale zupełnie bezużytecznego kundla.

Ian ostatnio doszedł do wniosku, że musi nauczyć swoich synów dobrych manier i robił to, gdy tylko był w domu.

– To zaimponuje klientom! – oświadczył. – A zwłaszcza tym lepszym. Farmerom jest przeważnie obojętne, czy i jak wy się przedstawicie. Ale prawdziwi dżentelmeni chcieliby usłyszeć od was: „sir, tutaj” i: „sir, proszę”, albo: „sir, jak dobrze siedzicie na koniu”, „sir, ten koń rzeczywiście nie jest łatwy, dla rolnika ma zbyt wielki temperament. Ale jeśli zapanuje nad nim taki wspaniały jeździec jak wy!”. I macie się przy tym kłaniać i uśmiechać!

Colin, który miał dopiero trzynaście miesięcy i nic nie rozumiał z tego, co mówił jego ojciec, zwykle śmiał się po tych słowach i próbował się kłaniać, naśladując Iana, ale Sean marszczył czoło i milczał. Miał teraz dwa lata i coraz częściej zadawał przeróżne pytania. Kiedyś nawet włączył się do rozmowy przy sprzedaży konia. Kupiec był zainteresowany klaczą i właśnie jeździł na niej dla próby po łące otaczającej dom.

– Dżentelmen musi uważać. Zaraz spadnie z konia na ziemię. *Mommy* też spadła.

Kathleen na samą myśl o tym zdusiła śmiech, choć upadek nie był całkiem niegroźny. Musiała wtedy spędzić owce, a ruda jak lis Fairy była jedynym koniem, którego miała do dyspozycji. Niestety zwierzę okazało się niemożliwe do ujeżdżenia.

– Są ludzie, którzy będą w stanie to zrobić, są też tacy, którzy sobie z tym nie poradzą – przyznał Ian niechętnie, i bardziej przed samym sobą. – Najważniejsze, żeby klient wierzył w to, że konia ujeździ. A kiedy się okaże, że jednak nie... No, nieliczni wrócą, żeby to stwierdzić. A jeśli ten kupiec zaraz wróci z koniem, chłopcy, to podajcie mu prawe łapki i grzecznie się kłaniajcie.

– Dlaczego prawe łapki? – dopytywał się Sean, choć ryzykował otrzymanie policzka za bezczelność. – Lewa łapka też ładna!

Teraz wydawało się, że z psem jest podobnie. Jeśli w ogóle unosił w górę łapę, to zwykle lewą. Ale w tym momencie coś odwróciło uwagę Seana od psa. Drogą prowadzącą z farmy do Christchurch dreptał osioł. Było to srokate, bardzo małe zwierzę o uniesionych w górę uszach. Osioł był bardzo starannie okiełznany, a na jego grzbiecie siedziała amazonka, która wyglądała równie osobliwie jak on sam. Kobieta była młoda, musiała być w wieku Kathleen, czyli miała około dwudziestu lat.



Była szczupła i delikatna, a Kathleen się wydawało, że dostrzegła u niej oznaki ciąży. Elegancka zamszowa suknia do jazdy konnej miała mocno podniesioną talię i była dość opięta na piersiach. Ale kobieta siedziała bardzo pewnie w angielskim damskim siodle do jazdy konnej. Miała bardzo zgrabny, prosty dosiad, który Kathleen widziała w Irlandii u lady Wetherby w czasie polowania. Ale na ośle, w dodatku tak małym, zarówno ogromne, wysokie siodło, jak i wygląd amazonki sprawiały wrażenie czegoś zupełnie nie na miejscu. Kathleen musiała się roześmiać, kiedy dostrzegła kobietę, a ona w odpowiedzi uśmiechnęła się życzliwie. Twarz kobiety otaczała fala brązowych, mocno kręconych włosów. Spod gęstych brwi i rzęs patrzyły równie brązowe oczy, a mały nos oraz czerwone usta znakomicie pasowały do ciemnej cery młodej kobiety.

– Dzień dobry! – pozdrowiła kobieta, lekko pochylając się w ukłonie i z gracją unosząc rękę trzymającą szpicrutę. Ten gest Kathleen też знаła – widziała go u jeżdżących konno dam w swojej ojczyźnie. – Jak to miło spotkać tu kogoś! A do tego jeszcze kobietę. Nawet jeśli mnie pani zaraz wyśmiej. Tak, przyznaję, że wyglądam trochę jak Sancho Pansa jadący na osiołku.

– Jak kto...? – spytała Kathleen nieśmiało.

Ale kobieta pominęła milczeniem pytanie, patrząc badawczym spojrzeniem na Kathleen i obu jej synów.

– Taak, widzę, że ci kawalerowie są jeszcze za mali, aby mi pomóc zsiąść z siodła – zauważyła z żartobliwym rozżaleniem, po czym zgrabnie zsunęła się z osła. Uśmiechając się, podeszła do Kathleen.

– Czy mogę się przedstawić? Jestem Claire Edmunds ze Stratford Manor, leżącego tam, nad rzeką...

– Stratford Manor? – spytała Kathleen onieśmielona, bo zabrzmiało to bardzo wytwornie. Domy bogatych Anglików w Irlandii miały równie wytworne nazwy.

– No tak, to od Stratfordu. Stratford-upon-Avon, wie pani przecież. To ojczyste miasto Szekspira. To głupie nazywać tę rzekę Avon, a już miasto Christchurch... Co za bigoteryjny, obłudny naród, wszyscy pewnie niedoszli misjonarze. W każdym razie nazwałam tak moją farmę, bo to brzmi nieco lepiej niż Edmunds' Farm. A mój mąż śmieje się teraz ze mnie... Jak się nazywa pani farma?

Kathleen wzruszyła ramionami.

– Handel byłem Coltrane – odpowiedziała. – A ja jestem Kathleen Coltrane.

Claire Edmunds zmarszczyła czoło.

– Ach prawda, pani mąż sprzedał mojemu Spottey – wskazała na osła.

Kathleen przypomniała sobie teraz, że jakiś czas temu widziała zwierzę w stajni Iana. Dzieci były nim zachwycone.

– To miłe zwierzę – mówiła Claire. – Ale pani mąż nie powinien był mówić, że takie małeństwo jest w stanie wykonać całą pracę na farmie. Powiedział, że ona jest

warta tyle, co dwa muły, i to zarówno ciągnąc wóz, jak i pług.

Kathleen się zaczerwieniła.

– Mój mąż... – zaczęła.

– Jest handlarzem końmi, wiem o tym! A ci zawsze kłamią. Po prostu nie należy im wierzyć, a Spottey jest tego dowodem... Ale Matt po prostu nie ma pojęcia o koniach. A mnie w ogóle nie słucha!

– Spottey? – spytał Sean i pogłaskał nos osiołka.

Claire skinęła głową.

– Właśnie tak. A jak ty się nazywasz, młody człowieku?

Sean podał jej rękę, niestety lewą, ale za to ukłonił się wdzięcznie.

– Sean, miss...

Claire Edmunds roześmiała się i beztrząsco potrząsnęła jego dłonią.

– Jakie słodkie dziecko! I jak dobrze wychowane! A więc, jak mówiłam, nie mam za złe tej transakcji ze Spottey. Wręcz przeciwnie. Do roboty na farmie wprowadzić się nie nadaje, za to mam go dla siebie.

– To siodło jest śmieszne – zauważył Sean.

– Przywiozłam je ze sobą z Anglii – wyjaśniła Claire. – Konia też chętnie bym zabrała, lecz na to nie mogliśmy sobie pozwolić... – Jej twarz posmutniała. – Ale co tam, od tego przecież nie zależy szczęście! – Na twarzy młodej kobiety znów pojawiła się radość. – W każdym razie mam teraz siodło i suknię do jazdy konnej, i Spottey. I wreszcie znalazłam kobietę, która mieszka niedaleko i chce ze mną rozmawiać.

Claire popatrzyła pytającym wzrokiem na onieśmiałą Kathleen.

– Będzie pani przecież chciała ze mną pomówić, prawda?

Kathleen się uśmiechnęła i pomyślała, że jej onieśmienie było nie na miejscu.

– Proszę posłuchać – powiedziała. – Jest pani pierwszą kobietą, którą jest mi dane widzieć od siedmiu miesięcy. Czy mogłabym więc nie chcieć z panią rozmawiać? Jestem tylko trochę... zaskoczona.

Claire skinęła głową ze zrozumieniem. Wszystko wskazywało na to, że była w podobnej sytuacji. Na jej twarzy pojawił się szelmowski uśmiech.

– Nie szkodzi. Ale teraz musi mnie pani zaprosić na herbatę, bo wkrótce muszę wracać. Kiedy mój mąż wróci wieczorem, będzie chciał dostać coś do jedzenia. A ja podchodzę do tego poważnie. Do serca przez żołądek!

Claire wyznała to z głębokim przekonaniem.

– Tylko że ja nie umiem dobrze gotować... – dodała z żalem.

Kathleen musiała się roześmiać i zaprosiła Claire do domu. Nie miała herbaty, ale Claire zadowolila się kawą. Zdjęła swój kapelusik, odsłaniając węzeł ciemnych włosów. Niektóre silnie skręcone pasma uwolniły się z upięcia i figlarnie otoczyły jej twarz. Kathleen się zastanawiała, jak ona sama wyglądałaby w takiej fryzurze, i zdała sobie sprawę, że ma na sobie znoszoną suknię, a włosy potargane. Claire wydawała

się czytać w jej myślach.

– Ja też nie mam zbyt wielu porządnych sukni – wyznała otwarcie. – Właściwie to moja jedyna suknia i nigdy nie miałam jej na sobie, od kiedy wyjechałam z domu. I wkrótce będzie na mnie za ciasna, podobnie jak pozostałe. Matt mówi, że powinnam po prostu uszyć sobie nową, ale tego też nie umiem... – Claire westchnęła. – W każdym razie dziś ubrałam się elegancko, aby móc wyjechać z domu konno. I w dodatku spotkałam kogoś miłego! – Jej twarz się rozjaśniła. – Matt bardzo się z tego ucieszy! On to zaraz zauważy. Właściwie... wie pani...

– Gdzie... Gdzie był pani dom w Anglii? – spytała Kathleen.

– W Liverpoolu – wyjaśniła Claire natychmiast. – A pani? Jesteście Irlandczykami, prawda? Matt coś o tym mówił... – jej twarz nagle poczerwieniała.

Kathleen znów się roześmiała.

– Ci cholerni Irlandczycy – powiedziała, naśladując wymowę Matta i wiedząc, że z pewnością powiedział coś podobnego. – Wszyscy Cyganie i oszuści handlujący końmi...

Claire zachichotała rozbawiona.

– Tak, to było coś takiego! – potwierdziła. – Ale nie chciałam tego powiedzieć, aby pani nie obrazić. I z pewnością nie wszyscy Irlandczycy są tacy. Są też sympatyczni... – Zagryzła wargi i zmieniła temat. – Proszę powiedzieć... Może jest pani akuszerką? Ja... będę miała dziecko...

Kathleen przełknęła ślinę. W jej ojczyźnie ludzie nie byli tak pruderyjni jak w Anglii, ale po półgodzinnej znajomości nawet w Irlandii nie poruszono by takiego tematu. Jedynie Pere, maoryska kobieta, mówiła bez żadnego skrępowania o rodzeniu dzieci.

Claire znów się zaczerwieniła.

– Przykro mi, to było niezbyt stosowne. Ale naprawdę muszę zaraz wracać, a to leży mi na sercu. Ja... Mrs Coltrane, ja... ja nie mam pojęcia, jak dziecko w ogóle wydostaje się na świat! – Zagryzła nerwowo wargi.

Kathleen właściwie powinna czuć się skrępowana, ale Claire ją rozbawiła. Obie były w tym samym wieku, ale ta dziewczyna sprawiała wrażenie tak niewinnej i naiwnej, że z trudem można było sobie wyobrazić, że była już mężatką i spodziewała się dziecka.

– No, mówiąc ogólnie, dziecko wychodzi na świat tym samym otworem, którym weszło do środka – odpowiedziała sucho.

Claire popatrzyła na nią z niedowierzaniem.

– Ma pani na myśli, że tamtędy, gdzie mój mąż...? Ale... Ale tam nie ma dość miejsca... tam ledwo starcza miejsca dla mężczyzny... – Jej twarz była teraz całkiem czerwona ze wstydu i Claire sprawiała wrażenie dziesięcioletniej dziewczynki z klasy ojca O'Briena.

Kathleen się uśmiechnęła.

– Claire! – odpowiedziała. – Mogę mówić ci Claire? – Jakoś nie była w stanie zwracać się do tej dziewczyny oficjalnie per Mrs Edmunds. – Będzie chyba dobrze, jeśli będziemy mówiły do siebie po imieniu... Ten otwór, Claire, rozszerza się...

– Na pewno? – spytała Claire podejrzliwie. – Wiem, jestem głupia w tych sprawach. Choć mój ojciec jest lekarzem. Ale o tym się po prostu nie mówi. Moja *mom* zaraz dostawała ataku astmy, kiedy o coś podobnego pytałam. A mój *daddy*...

– Na pewno – uspokoiła ją Kathleen. – Nie potrzebujesz się obawiać! Ale przecież wydano cię za męża! Czy nikt ci przedtem nic nie powiedział na temat przychodzenia dzieci na świat?

Claire zagryzła dolną wargę.

– Mówiąc dokładnie, nie wydano mnie za męża – wyznała. – Ja sama się wydałam. Właściwie miałam wyjść za kuzyna, który ma zostać lekarzem i przejąć praktykę po moim ojcu. Ale ten kuzyn jest głupi i nudny. No tak, a potem poznałam Matta. – Na twarzy Claire pojawił się promienny uśmiech. – W mieście, na targu. On jest taki wesoły, Kathleen! Zawsze doprowadzał mnie do śmiechu. I potrafi tak pięknie opowiadać. O wszystkich swoich podróżach. Pomyśl tylko, on był w Ameryce! I na Hawajach! I w Australii! Ale powiedział, że najpiękniejsza jest Nowa Zelandia. Trochę przypomina Anglię, ale wszystko jest nowe, nie ma żadnych tłustych bogaczy, żadnych ograniczeń. Matt chciał kupić ziemię i się osiedlić. Ze mną! Och, Kathleen, to było takie romantyczne, kiedy mnie zapytał, czy za niego wyjdę! I jak o wszystkim opowiadał! O rzece tutaj... Avon... nie sądzisz, że jej nazwa może być znakiem? Ja jestem Julią, a Matt to Romeo... Ale moi rodzice nigdy by się na to nie zgodzili. Po prostu zrobiłam to sama!

Claire podniosła się i przybrała dramatyczną postawę.

– Och Romeo! Wyrzecz się swego ojca, porzuć tę nazwę, lub, jeśli nie chcesz, powiedz, że mnie kochasz, a ja wyrzeknę się swego rodu! Lub, jeśli nie chcesz, miłość mi przysięgnij, a ja wyrzeknę się krwi Capulettich!

Dziewczyna spojrzała na Kathleen rozpromieniona, ale ona zmarszczyła czoło. Czy jej nowa przyjaciółka zwariowała?

Claire sprawiała wrażenie równie zaskoczonej.

– Nie znasz tego? – spytała z niedowierzaniem. – To Szekspir, *Romeo i Julia*. To przecież słynna historia... Czy wy w Irlandii w ogóle nie jesteście romantyczni?

Kathleen nie zdradziła jej tego pierwszego dnia, w jakie pułapki romantyzmu zaplątała się ona sama wespół z Michaeliem – jeszcze w Irlandii, też nad rzeką. I to zupełnie bez wiedzy o słynnym bardzie ze Stratford-upon-Avon. Za to dowiedziała się o każdym szczególe ucieczki Claire z domu jej rodziców, o jej szybkim ślubie w Londynie i potem o podróży do Nowej Zelandii.

– Napisałam o tym do rodziców, ale oni już nie chcieli mnie więcej widzieć. Nie za

bardzo za nimi tęsknię, po prawdzie... Brakuje mi tylko mojego konia, choć teraz mam Spottey. I oczywiście mam Matta. On jest cudowny, naprawdę. Tylko... Z początku wszystko było tu takie ekscytujące na farmie, w nowym kraju... Ale teraz, jestem całkiem sama, Kathleen! – Claire na przemian wpadała w euforię, aby za chwilę sprawiać wrażenie całkowicie rozczarowanej. – Matt kupił sobie łódź, i to dobrze, że on pracuje... To takie romantyczne. Łowi ryby w rzece, przewozi ludzi, którzy chcą się dostać z Port Victoria do Christchurch. On mówi, że możemy być bogaci, naprawdę bogaci, jeśli tylko ja będę lepiej gospodarzyć. On jest... to znaczy, on na pewno mnie kocha, ale on... Sądzę, że nie jest ze mnie zadowolony... – Claire sprawiała wrażenie dziecka, które otrzymało zły stopień. – A ja naprawdę się staram. Tylko nie wiem, jak mam sobie z tym wszystkim poradzić! Czy ty przedtem doiłaś krowy? To znaczy, zanim tu przyjechałaś?

Te słowa nie wymagały odpowiedzi i tak było z pewnością lepiej. Opowieść o doświadczeniach Kathleen w hodowli bydła i owiec kazałaby młodej kobiecie umilknąć z nabożną czcią. Claire opowiadała więc dalej i zdumiona Kathleen dowiedziała się, że nikt nigdy nie wyjaśnił jej nowej przyjaciółce niczego na temat praktycznych spraw dotyczących rodziny i prowadzenia domu. Rodzice Claire prowadzili wielki, otwarty dom, a służba wyręczała Claire i jej młodszą siostrę we wszystkim. Ich matka była kobietą dość mocno oderwaną od codziennego życia i nie potrafiła przekazać swoim córkom żadnej wiedzy na temat gospodarstwa domowego. Dziewczęta mogły zajmować się tym, co im się podobało – o ile odpowiadało to zasadom wytwornego wychowania. Claire lubiła jeździć konno, poza tym dużo czytała i się uczyła. Znała francuski, łacinę i włoski. Umiała też bardzo dobrze grać na fortepianie i trochę na skrzypcach. Czytała książki z zakresu astronomii i zawsze marzyła o odkryciu jakiejś nowej gwiazdy.

– Było tak pięknie z Mattem! – zachwyciła się Claire. – Patrzyliśmy razem w niebo, a on objaśniał mi gwiazdy. I opowiadał o południu... o Krzyżu Południa... – Uśmiechnęła się rozmarzona na samo wspomnienie, ale za chwilę posmutniała. – Teraz każdego dnia też odkrywam gwiazdy – powiedziała trzeźwo. – Choć nie z Mattem. On... On nie ma na to czasu. A na pewno zna ich nazwy. Mogłabym o nich poczytać, ale nie mogę znaleźć żadnej książki, w której są opisane. W ogóle nie mogę znaleźć żadnej książki, Kathleen! Mogłabym poczytać coś o położnictwie. Skąd... skąd ty to wszystko wiesz o niemowlętach? Opowiadano ci o tym, zanim wyszłaś za mąż?

Kathleen westchnęła.

– Chyba dowiedziałam się o tym za wcześnie... – stwierdziła. – Kiedy twoje dziecko ma przyjść na świat?

– Jeszcze jest czas – odparła Claire, ale nic nie wskazywało na to, że wie, ile zwykle trwa ciąża. – Ale twoje małe niedługo się urodzi, prawda? Masz kogoś, kto ci

pomoże?

Kathleen potrząsnęła głową, a Claire wydawała się rozumieć, że jej doświadczona przyjaciółka obawia się porodu nie mniej niż ona sama.

– Wiesz co? – powiedziała radośnie, choć Kathleen nie wiedziała, czy chciała dodać otuchy sobie samej, czy też jej. – Kiedy przyjdzie ten czas, przyjadę tutaj i zostanę z tobą. Wprawdzie nie umiem nic zrobić, ale popatrzę sobie. I przynajmniej będę wiedzieć, co mnie czeka. Tak w każdym razie będzie lepiej, niż gdybyś miała być sama...

## ROZDZIAŁ 9

– Nie sądz, że nie wiem, że coś jest między tobą a moim mężem. – Mrs Smithers wygłosiła tę wstrząsającą uwagę zupełnie mimochodem, wkładając do utrzymanego przez Lizzie koszyka świeżo ścięte róże. Miała to być dekoracja stołu. W sobotę spodziewano się przybycia Mr Smithersa, który miał przyjechać wraz ze swoim partnerem w interesach. Lizzie poczuła, że krew odpływa jej z twarzy. Zachwiała się i omal nie upuściła kosza – a potem czuła już tylko rezygnację i wyczerpanie. Dobrze, a więc to koniec, wszystko stracone. Ale przynajmniej nie będzie się już musiała ciągle obawiać. Próbowwała odetchnąć i uporządkować myśli. Wodziła oczami po zarośniętym ogrodzie, który przypominał trochę angielski park. Róże kwitły tu pięknie, ale trawa była zbyt bujna i nie jedwabście miękka, lecz twarda jak trzciny. Krzaki akacji zarosły większą część ogrodu, zamiast tworzyć gęsty żywopłot, a drzewa eukaliptusa rzucały cień na wypielęgnowane angielskie drzewka owocowe.

Był chłodny, ale wyjątkowo bezdeszczowy letni dzień w kraju van Diemena. Lizzie od prawie sześciu miesięcy starała się ukryć smutną tajemnicę swojej relacji z Mr Smithersem. Nie było to łatwe, bo Mr Smithersowi często brakowało ostrożności i poczucia taktu. Czasami wręcz tracił panowanie nad sobą, kiedy zastawał Lizzie przy jakiejś pracy, ubraną w niebieską sukienkę, biały koronkowy fartuszek i czepek. Najchętniej brałby ją na dywanie albo nawet na chodniku i reagował niechętnie, kiedy wystraszona Lizzie broniła się, jak mogła. Ona sama nie miała sobie nic do zarzucenia. Nie kusila go, nie prowokowała i leżała nieruchomo w swojej izbie, czekając, aż on się zaspokoi. Klienci w Anglii w takich wypadkach się skarżyli, ale nic nie wskazywało na to, żeby to przeszkadzało Smithersowi, o ile miała przy tym na sobie swój fartuszek i czepek. Najwyraźniej pociągał go bardziej strój służącej niż ubrana w niego dziewczyna. A teraz, po tylu wysiłkach, wszystko się wydało...

– Madame, ja... – zaczęła się jąkać Lizzie, ale zabrakło jej słów.

– Nie próbuj mnie okłamywać! – odpowiedziała Mrs Smithers surowo. Spojrzała na dziewczynę spod runda szerokiego słomianego kapelusza, który zwykle nosiła w ogrodzie, także wtedy, kiedy nie było słońca. Najwyraźniej liczyła się z tym, że Lizzie będzie wszystkiemu zaprzeczać. – Jeżeli cokolwiek może cię uratować, to tylko absolutna szczerłość!

Uratować? Lizzie miała wrażenie, że ziemia chwieje jej się pod stopami – o wiele mocniej niż wtedy, po długiej morskiej podróży.

– Ja...

Mrs Smithers nie dała jej żadnej szansy usprawiedliwienia się.

– Obiecujesz sobie coś po tym? – spytała krótko. – Robisz sobie jakieś nadzieje? Nadzieje? Ależ one właśnie rozsypały się teraz w proch! Lizzie omal się nie roześmiała. Może był to tylko zły sen?

Bezradnie potrząsnęła głową.

– Oczekujesz może jakichś świadczeń? A może wcześniejszego ułaskawienia? Pieniędzy za milczenie?

Lizzie zaprzeczyła jeszcze gwałtowniej.

Mrs Smithers zmarszczyła czoło.

– Kochasz go?

Jej samej wydało się to niemożliwe.

– Nie! – zawołała Lizzie, wreszcie wyraźnie i głośno.

– To dlaczego to robisz? – wyrzuciła z siebie gwałtownie Mrs Smithers i zabrzmiało to po raz pierwszy jak pytanie zadane w uczciwej intencji. I przeraziło ono Mrs Smithers, odpowiedziała więc sama sobie, zanim zrobiła to Lizzie: – No tak, wy, dziewczyny, gonicie się jak suki. Dlatego też tutaj jesteście, ostrzegano mnie przed tym.

Lizzie spuściła głowę. Powinna właściwie odczuwać wściekłość, ale była tylko wyczerpana i nie chciała już niczego więcej słyszeć. Niech Mrs Smithers ogłosi wyrok i wreszcie to wszystko się skończy...

– Czy to dla ciebie jasne, że mogę cię odesłać z powrotem do Cascades?

Lizzie z pokorą skinęła głową.

– Ale z drugiej strony... – Mrs Smithers popatrzyła na stojącą przed nią dziewczynę z koszem, która w tej chwili wyglądała jak istna kupka nieszczęścia. – Następna stamtąd nie będzie pewnie lepsza. A ty przynajmniej nie jesteś ładna...

Coś w Lizzie nakazywało krzyknąć na tę kobietę i powiedzieć jej, że ona sama bez trudu zaciągnęłaby swego męża do łóżka, gdyby tylko ubrała się w fartuszek i włożyła na głowę czepek. Ale milczała, bo nagle poczuła gwałtowną ciekawość. Co takiego knuła Mrs Smithers?

– Nie, postanowiłam zrobić inaczej. Jesteś tu przydatna i możesz zostać. Ale wydam cię za mąż. Możesz wziąć za męża Cecila, ogrodnika. On będzie zachwycony i możecie urządzić sobie mieszkanie w starej remizie. Jeśli twoja poządliwość będzie wówczas zaspokojona...

Mrs Smithers poczerwieniała.

A Lizzie poczuła narastającą panikę. Jeśli zamieszka w remizie, to dopiero będzie łatwą zwierzyną łowną! Będzie oszukiwać nie tylko Mrs Smithers, ale także własnego męża! I kiedyś znów ktoś ją przyłapie. Lizzie nie widziała wyjścia...

– Ależ madame, pani mąż...

– Ani słowa przeciwko mojemu mężowi, dziewczyno! – zagrzmiała Mrs Smithers głosem, którego trudno było się spodziewać po tak drobnej i niepozornej istocie. –



To już postanowione. Pomówię z Cecilem i on ci się wkrótce oświadczy...

Po tych słowach wyrwała z rąk Lizzie kosz i krocząc dumnie, ruszyła do domu.

Lizzie stała bezradnie na miejscu. Ale wyjaśnić... Wyjaśnić – to było jedyne rozwiązanie. Musi porozmawiać o tej sprawie z Cecilem. Ogrodnik też był więźniem i musi ją zrozumieć.

Tej nocy Lizzie nikt nie niepokoił, Mr Smithers upił się ze swoim gościem. Był to wojskowy, który koordynował zatrudnianie więźniów w całym regionie i chyba chciał wyświadczyć swojemu gospodarzowi przysługę, przysyłając mu do wykarczowania krzewów akacji w ogrodzie więźniów z *chain gang*.

Lizzie podsłuchiwała rozmowę, gdy podawała do stołu, a Mrs Smithers w afektowany sposób dopytywała się o niebezpieczeństwa związane z pobytem i pracą mężczyzn skutych łańcuchami. Sierżant Meyers, drobny, krępy mężczyzna z twarzą buldoga, uspokajał ją ze śmiechem.

– Te niedźwiedzie są na łańcuchach, madame, i to od miesięcy. Dawno przestali myśleć o robieniu głupstw. Na dłuższą metę, a także tu, będą spokojni. Każdego z nich wychowamy na dobrego chrześcijanina... – Wypił zdrowie Smithersa.

Lizzie odwróciła się z niesmakiem. Noc spędziła na ponurych rozmyślaniach. Jak miała zacząć rozmowę z Cecilem i jakie rozwiązanie mogłaby mu zaproponować? Ale ostatecznie wszystko i tak będzie zależało od niego. Może Cecilowi nie będzie przeszkadzał fakt, że będzie dzielić żonę z Mr Smithersem? Wówczas ona będzie stracona. Ale przy odrobinie szczęścia może ogrodnik nie zgodzi się w tych okolicznościach pojąć ją za żonę. W takim wypadku będzie musiała możliwie szybko znaleźć innego męża, najlepiej dość wpływowego, który nie wyśle jej do pracy w domu Smithersów. Lizzie nigdy nie sądziła, że do tego dojdzie, ale teraz zaczęła tęsknić za Jeremiahem.

Następnego ranka ogrodnik Cecil zajęty był kierowaniem do pracy mężczyzn z *chain gang*. Sierżant Meyers nie obiecywał zbyt wiele, strażnik już od wschodu słońca poganiał do pracy dwunastu powiązanych łańcuchem mężczyzn. Wszyscy sprawiali wrażenie silnych, byli też mocno opaleni po ciągłej pracy pod gołym niebem, choć na Ziemi van Diemena słońce świeciło raczej rzadko. Lata i zimy były chłodne i przeważnie wiał silny zachodni wiatr. Lizzie patrzyła z domu w kierunku pracujących mężczyzn i czekała, aż Cecil znajdzie dla niej chwilę czasu, ale okazało się, że Mrs Smithers obserwowała ogrodnika równie uważnie. Zanim Lizzie mogła podejść do niego w miarę niepostrzeżenie, usłyszała, że Mrs Smithers go woła.

– Czego ona chce? Znowu hodować jakieś nowe rośliny ozdobne? – warknęła kucharka.

Mrs Smithers była namiętą ogrodniczką, ale nie potrafiła pojąć, że większość roślin z jej dawnej ojczyzny tutaj nie zakwitnie. A miejscowym roślinom Mrs Smithers nie poświęcała zbyt wielkiej uwagi i uważała je za chwasty.

– Z hodowlą ma to rzeczywiście coś wspólnego... – westchnęła Lizzie i zabrała się do ścierania kurzu w pokojach naprzeciwko pomieszczeń, w których Mrs Smithers przyjmowała gości. Nie chciała, aby ktokolwiek ją zobaczył, kiedy Cecil będzie wychodził, zamierzała jednak pójść za nim do ogrodu, jak tylko będzie to możliwe.

Drobny i niski mężczyzna, który przypominał jakiegoś gнома, wprost nie posiadał się z radości, kiedy Mrs Smithers wreszcie się z nim pożegnała. Lizzie słyszała, że dziękował jej po tysiącokroć. Opuścili ją resztki odwagi, bo wiedziała już, że oficjalna rozmowa z Cecilem nie będzie łatwa. Może lepiej będzie poczekać, aż Cecil nieco ochłonie. Też nie, bo za chwilę ogrodnik będzie stał pod jej oknem z bukietem zerwanych róż. Taka rozmowa musiała odbyć się zaraz. Lizzie ostrożnie odłożyła miotełkę do odkurzania i zdecydowanym krokiem ruszyła do ogrodu.

Ale nie była przygotowana na takie powitanie.

– Lizzie! – Malutki ogrodnik promieniał na całej swej karzełkowatej twarzy, kiedy tylko ją zobaczył. W ogóle nie czekał, aż ona się do niego odezwie, tylko ruszył biegiem w jej stronę, chwycił ją i zawirował nią w powietrzu, po czym bez ceremonii pocałował ją w usta. – Wiedziałem, że też będziesz tego chciała. Byłaś tylko nieśmiała, tak mówiła *missus*, i to jest dobrze. Ale teraz będziemy się już kochać!

Lizzie niemal pękało serce na samą myśl o tym, że będzie musiała zepsuć jego radość. Zupełnie nie była zakochana w tym gnomie, ale ceniła go jako człowieka miłego i uczynnego.

– To nie takie proste... – zaczęła, starając się jednocześnie zniknąć z pola widzenia domu i ciągnąc go w cień wielkiego eukaliptusa. – Cecil... nasza *missus*...

I kiedy mówiła, z twarzy ogrodnika znikła najpierw radość, a potem kolor.

– A więc tak naprawdę nie chcesz wyjść za mnie?

Lizzie westchnęła.

– Cecil, to, czego ja chcę, w ogóle nie ma znaczenia. Chętnie wyszłabym za ciebie, ale wówczas będę nadal własnością Mr Smithersa...

Na twarzy Cecila znów pojawił się uśmiech.

– Ale przecież nie na zawsze! – pocieszył ją i siebie. – Oszczędzimy trochę pieniędzy i potem stąd wyjedziemy. A Cartlandowie też przecież kiedyś wrócą. Wtedy będziemy pracować dla nich...

– Ale oni wrócą dopiero za pół roku – stwierdziła Lizzie. – Najwcześniej. Do tego czasu...

– Do tego czasu wytrzymam! – oświadczył Cecil wielkodusznie.

„Ale ja nie!” – chciała krzyknąć Lizzie. A przede wszystkim nie chciała wychodzić za fajtlapę, który nawet nie rozumiał, co ryzykował, oddając ją bez skrpułów w ręce każdego lubieżnika! A może Cecil też spodziewał się jakichś korzyści po tym zaaranżowanym małżeństwie? Może ukrywałby nierząd Smithersa, posługując się własną żoną, i żądałby za to więcej pieniędzy albo lepszej posady?

– Jutro będą ogłoszone nasze zapowiedzi! – oświadczył rozradowany Cecil. – *Missus* omówi to z wielebnym. I wyjaśni sprawę twojego ułaskawienia!

Cecil otrzymał ułaskawienie przed czterema tygodniami i po weselu Lizzie także byłaby wolna. Ale akurat teraz Lizzie czuła się jak zamknięta w ciasnej klatce...

Cecil poszedł do swoich kwiatów, a Lizzie w zadumie popatrzyła na mężczyzn w *chain gang*. Kucharka kazała zanieść im wodę. Równie dobrze mogła to zrobić zaraz.

Podeszła do studni i napełniła dzbanek wodą. Jakies naczynia do picia mężczyźni mieli mieć ze sobą. Miotana na przemian uczuciem gniewu i rozpaczy ruszyła w stronę akacyjowej dżungli w tylnej części ogrodu. Zgodnie z zasadami przyzwoitości trzymała głowę nisko opuszczoną i nagle omal się nie roześmiała. Cnotliwość nie doczekała się nagrody, świątobliwość tym bardziej.

– To przecież... Lizzie, nie poznajesz mnie już?

Lizzie nalewała właśnie wody do naczynia pierwszego z mężczyzn, uprzednio grzecznie pozdrowiwszy strażnika, kiedy wysoki, ciemnowłosy więzień zawołał do niej z wielkim ozywieniem:

– Lizzie Owens! Mój mały anioł ze statku?

Lizzie popatrzyła z niedowierzaniem, ale rozpoznała już niski, miękki głos o irlandzkim akcencie. Wpatrywały się w nią niebieskie, teraz podekscytowane oczy Michaela Drury'ego.

– I jak zwykle nikomu nie darujesz! – kpił Michael. – To było przecież powitanie. A od kiedy to lubisz leprechauny?

– Co takiego? – spytała Lizzie zmieszana i zaskoczona. I tak była już dostatecznie wzburzona, ale nagłe pojawienie się Michaela zupełnie wytrąciło ją z równowagi.

– Leprechauny. Gnomy. Karły... Tak nazywamy w Irlandii takie istoty, jak twój mały przyjaciel!

Michael popatrzył pogardliwie na Cecila, który właśnie przygotowywał ziemię pod siew nowych nasion przysłanych z Anglii.

Lizzie wzięła się w garść. Jeśli teraz okaże słabość, pokazując, co czuła do Michaela, a co odezwało się w niej ze wzmożoną siłą na jego widok, to nigdy nie będzie mogła zachowywać się swobodnie w jego obecności.

– Mały mężczyzna, ale za to wolny – odparła kpiąco. – Za to ty, Michaelu Drury... już cały rok jesteś na Ziemi van Diemena i nadal w łańcuchach! A przecież ukradłeś tylko kilka worków ziarna. A może to kłamstwo?

Michael wzruszył ramionami.

– Może tylko nieco zbagatelizowane, Lizzie, zupełnie jak twój chleb. – Mrugnął do niej. – Może ja oprócz tego sprzedawałem na boku trochę whiskey, tak jak ty sprzedawałaś trochę samej Lizzie? – Michael uśmiechnął się do niej szeroko.

Lizzie, choć już udręczona, uśmiechnęła się także.

– Żeby chodzić w łańcuchach, to musisz mieć coś więcej na sumieniu.

Starła się zachować spokój i przede wszystkim kontrolować swój wyraz twarzy. Strażnik nie musiał wiedzieć, że spotkała tu znajomego. Szła powoli od jednego mężczyzny do drugiego i nalewała im wody, nie przestając się sprzeczać z Michaeliem.

– Trzy próby ucieczki – przyznał Michael. – Pierwsza zaraz następnego dnia, bo myślałem, że to dobry pomysł: zakraść się z powrotem na „Asię”. W końcu znałem wszystkie jej zakamarki. I byłaby to bezpośrednia podróż do Irlandii! – Roześmiał się.

– Właściwie całkiem niezły pomysł. I coś poszło nie tak? – spytała Lizzie.

– Powinienem był poczekać, aż wysprzątają łajbę i załadują towar – stwierdził Michael z rezygnacją. – A tak zaraz mnie złapali. A potem...

Lizzie tymczasem skończyła nalewać wodę. Wszyscy pili, strażnik zaś patrzył pytającym wzrokiem, dlaczego ona ciągle stała przy więźniach. Lizzie musiała wracać do domu.

– Słuchaj, Michael, muszę iść – wyszeptała. – Ale jutro jest niedziela, po południu mam wolne. Gdzie cię znajdę?

Michael uniósł brwi.

– Pytanie powinno brzmieć: gdzie znajdziesz nas wszystkich? Jak widzisz, jesteśmy bardzo uzależnieni od siebie nawzajem, poza celą można nas zobaczyć tylko w łańcuchach. Ale w niedzielę po południu wypuszczają nas na świeże powietrze. Tak między dwudziestoma pięcioma słowami na niedzielę i trzema rundami modlitewnymi...

Pozostali mężczyźni się roześmiali.

– Idź po prostu wzdłuż nowej ulicy, baraki znajdują się nad rzeką. To te stare, w których mieszkali robotnicy pracujący przy budowie mostu. Są odpowiednio do tego zapluskwione...

Strażnik podniósł pejcz i popatrzył karcąco na Lizzie.

– Koniec pauzy, ludzie!

Lizzie pozdrowiła Michaela i podniosła dzbanek.

– Przyjdę! – wyszeptała.

Następnego dnia miała jednak najpierw spotkać pewną dawną znajomą. Jak w każdą niedzielę udała się wraz ze Smithersami do kościoła, a rozradowany Cecil mocno i zaborczo trzymał ją pod ramię. Mr Smithers sprawiał wrażenie mocno skruszonego. Jego żona prawdopodobnie dokładnie wyjaśniła mu przyczyny, dla których tak bardzo zależało jej na małżeństwie ogrodnika i pokojówki. Lizzie szła z nieszczęśliwą miną obok swego nowego narzeczonego. Nie była nawet w stanie odpowiedzieć uśmiechem na wypowiedziane przez wielebnego życzenia szczęścia.

Kucharka krzepiącym gestem pogłaskała ją po ramieniu.

I w tym momencie zainteresowanie Lizzie przeniosło się na sierżanta Meyersa i jego małżonkę. Oficer wprowadził się zapewne do nowego mieszkania w gminie i witał teraz Smithersów przed drzwiami kościoła. Jego małżonka – wysoka, elegancko ubrana kobieta – stała obok niego. Miała na sobie prostą brązową suknię ozdobioną beżowym koronkowym kołnierzem, takie same koronkowe rękawiczki na szczupłych dłoniach i śliczny brązowy kapelusik z kremową wstążką na włosach – teraz związanych nisko na karku w węzeł. Czarne jak węgiel włosy, oczy błyszczące jak diamenty i delikatna cera...

Lizzie patrzyła skonsternowana na Velvet, dawną złodziejkę biżuterii z Londynu. Velvet eleganckim gestem podała Smithersom rękę i z uśmiechem powiedziała kilka grzecznościowych zwrotów. Mrugnęła dyskretnie do Lizzie, dając znać, że także ona poznała dawną współtowarzyszkę z celi, a potem ruszyła za mężem, od którego była wyższa o pół głowy.

Lizzie nie była w stanie skupić się na mszy i słowach wielebnego. A więc dlatego Velvet pozwoliła, aby wydano ją za męża: sierżant Meyers zajmował wysokie stanowisko, z pewnością doskonale zarabiał, mógł liczyć na dobrą emeryturę i kilka hektarów ziemi, kiedy już zakończy karierę w wojsku. Lizzie nie wiedziała, co prawda, że nawet tak dobrze sytuowani mężczyźni szukali sobie żon wśród więźniarek, ale Velvet bez wątpienia była piękną. Za to sierżant Meyers był mężczyzną koszmarnie szpetnym – w Anglii być może znalazłby sobie żonę bardziej cnotliwą, ale równie jak on brzydka.

Velvet skinęła nieznacznie ręką w stronę Lizzie, kiedy Meyersowie udali się po mszy na przejażdżkę wespół ze Smithersami. Kobiety dawno już nie widziały, jak postępowały prace przy budowie drogi, i przede wszystkim Mrs Smithers chciała się dowiedzieć, co też robił jej mąż w ciągu całego tygodnia. Velvet z gracją wsiadła do bryczki, a Lizzie porozumiewawczo skinęła głową. Obie wiedziały, że gdyby ich znajomość wyszła na jaw, żadnej z nich nie przyniosłoby to korzyści.

Lizzie musiała się teraz przede wszystkim uwolnić od towarzystwa Cecila, jeśli jeszcze tego dnia chciała się zobaczyć z Michaeliem. Ale niestety mały ogrodnik tkwił przy niej jak natręt i opowiadał rozwlekle o swoim smutnym życiu, prowadząc ją na długi spacer. Był najmłodszym z piętnaściorga dzieci chłopskiej rodziny mieszkającej w Walii, uciekając przed biedą i głodem, trafił do Cardiff, zaciągnął się na statek jako marynarz, ale po kilku podróżach morskich stwierdził, że takie życie mu nie odpowiada, i wrócił na wieś. Tam ukradł owcę i został natychmiast złapany. I ostatecznie został zesłany do kolonii.

– A twoją historię opowiesz mi następnym razem! – zakończył nagle, ku zaskoczeniu Lizzie, dodając: – Teraz muszę się spotkać z kilkoma kumplami!

Z tajemniczą miną wyciągnął z kieszeni małą butelkę whiskey.

– To dał mi nasz pan. Abym uczcił zaręczyny...

Lizzie zatrzęsała się z wściekłości. Czy ten mały obrzydliwiec nie powinien podzielić się otrzymaną whiskey właśnie z nią? Dobry Boże, Lizzie doprawdy potrzebowała kilku porządných łyków po wszystkich przeżyciach ostatnich dni. A w ogóle najwyraźniej wszystko zaczynało iść takim trybem, jak się spodziewała: Mr Smithers podarował Cecilowi whiskey, a on przyjął ją z podziękowaniem. Obaj zapewne zostaną niedługo dobrymi znajomymi... Aby potem podzielić się żoną.

Lizzie nie zadała sobie żadnego trudu, aby być choć trochę ładniejszą, zanim ruszyła nową drogą, która wcale nie była aż tak nowa. Czerwony most łączący oba brzegi rzeki zbudowany był przez więźniów już prawie dwadzieścia lat temu. Teraz robotnicy zajmowali się głównie rozbudową drogi i pracami remontowymi. A poniżej mostu, przy Elizabeth River, stały baraki, w których zamieszkali. I jak niemal wszędzie na Ziemi van Diemena, także tu przywiązywano niewielką wagę do bezpieczeństwa. Bo dokąd więźniowie mieliby uciekać? Większość z nich zostawała tu dobrowolnie, czekając na ulaskawienie. Kilku nielicznych uparciuchów i równie nielicznych niebezpiecznych zbrodniarzy trzymano zakutych w łańcuchy, i to nawet w niedziele.

Mężczyźni z *chain gang* Michaela zabawiali się właśnie nad rzeką. Dwóch zrobiło sobie coś w rodzaju wędek i próbowało łowić ryby, ale wszystko wskazywało na to, że żaden z nich nigdy przedtem nie miał w ręku wędkę. Kilku innych próbowało ich pouczyć, ale ani jeden, ani drugi wędkarz nie słuchał.

Michael uśmiechnął się ciepło do Lizzie, kiedy podeszła bliżej i usiadła koło niego na brzegu. Rzeka była w tym miejscu naprawdę piękna i spokojna, na powierzchni wody pływały liczne rośliny, Lizzie się wydawało, że to coś w rodzaju lilii wodnych. Ale pewnie było to coś innego – na Ziemi van Diemena nie było właściwie niczego, do czego była przyzwyczajona.

– Późno się zjawiasz, czy to twój leprechaun tak długo cię zatrzymał? – dokuczał jej.

– Mój przyszły małżonek udał się ze mną na spacer – odparła Lizzie z godnością.

Wszyscy z *chain gang* zaczęli się głośno śmiać. Niektórzy pozwolili sobie na ordynarne żarty. A każdy proponował jej małżeństwo i obiecywał o wiele więcej radości, niż miałyby zaznać w ramionach Cecila. Lizzie zmarszczyła czoło.

– Chłopcy, teraz to nawet nie można was mieć pojedynczo! – ofuknęła ich krótko. – Jazda, Michaelu Drury! Co takiego zrobiłeś, że ciągle trzymają cię w łańcuchach?

Mówiąc to, spojrzała na jego nadgarstki.

– O nieba, znów masz rany, tym razem na rękach! Masz szczęście, że tu nie jest tak gorąco, bo wtedy na ranach siedziałyby muchy i znów zaraziłbyś się gorączką...

Michael wzruszył ramionami.

– Teraz to jestem mądrzejszy, Lizzie. Ale mężczyzna potrzebuje czasu, żeby się

czegoś nauczyć. To było głupie, takie ucieczki bez żadnego planu... Miałem nadzieję, że są tu jakieś większe miasta, w których można się ukryć...

– Zaplanowane ucieczki też nie mają żadnego sensu! – zauważył jeden z więźniów, który nie był zakuty w łańcuchy i chyba w dodatku wiedział, jak się łowi ryby. Obok niego leżały już trzy wielkie, dopiero co złowione okazy. – Te miasta to takie większe wsie, a wszystko znajduje się na wyspie, jeśli jeszcze tego nie zauważyliście. Stąd nie ma jak uciekać.

– No, tego bym nie powiedział – odparł któryś z mężczyzn. Lizzie z zaskoczeniem rozpoznała dawnego marynarza, który na statku „Asia” sypiał w koi obok Michaela. Najwyraźniej on też należał do tych niepoprawnych, którzy ciągle marzyli o ucieczce. – W każdym razie mamy pewien plan. Jak tylko nas wypuszczą, to ruszamy.

Michael w odpowiedzi skinął głową i rzucił kamień do wody.

– Chcesz uciekać jeszcze raz? – spytała Lizzie skonsternowana. – To odbędziesz całą karę w łańcuchach! Zrozum wreszcie, Michael, bez statku, bez kapitana i załogi nie dotrzesz do Irlandii!

– Do Irlandii nie... – stwierdził Michael w zamyśleniu i włożył do ust źdźbło trawy. – Ale...

– Tylko nie zdradzaj naszego planu! – ostrzegł go marynarz. – Ta mała jest tuż przed ułaskawieniem, słyszysz przecież. Potem może nas zdradzić...

– Sami się właśnie zdradzacie! – odpowiedziała Lizzie gniewnie. – Kto jest wtajemniczony w wasz genialny plan? Wy wszyscy, dwunastu ludzi?

Bez wątpienia wtajemniczonych było dwóch kolejnych Irlandczyków; Lizzie pomyślała w głębi ducha, że było coś na rzeczy w tym gadaniu o ich niepoprawności. Dylan był krępy, rudowłosy, młodym mężczyzną, w którym na pierwszy rzut oka można było rozpoznać Irlandczyka. Ciało miał jak napakowane mięśniami. Will nie wydawał się o wiele słabszy, był za to znacznie wyższy. Był barczystym mężczyzną o kręconych blond włosach, mocno cofniętym czole i małych, złośliwych oczach pitbula.

– My trzej i Connor będziemy nawigatorami – powiedział Michael z dumą. – Connor pływał już po morzu. Odnajdzie to na ślepo...

– Co odnajdzie na ślepo? – dopytywała się Lizzie, podczas kiedy pozostali śmiali się albo szemrali.

Dylan lamentował ciągle z powodu „zdrady” tajemnicy. Lizzie potrząsnęła głową, słuchając o owej rzekomej tajemnicy, którą znało dwunastu mężczyzn – i prawdopodobnie połowa pozostałych mieszkańców baraku. Ale nie to stanowiło problem. Nikt nie zdradziłby tych mężczyzn. Bo ucieczka z Ziemi van Diemena była tak dalece bezcelowa, że nikt z nadzoru nawet nie zadawał sobie trudu, aby proponować jakieś przywileje za zdradę jej planów.

– Nowa Zelandia! – ogłosił były marynarz. – Ona leży bardzo blisko i dotrzeć tam

to pestka!

– I pewnie dlatego wyjechała tam już połowa więźniów zesłanych do kolonii – zakpił wędkarz.

– Jeśli się wie, jak się do tego zabrać... – zgodził się marynarz.

– Co to w ogóle jest ta Nowa Zelandia? – spytała Lizzie. – Jeszcze jedna kolonia?

Godzinę później kręciło jej się w głowie od licznych, przeważnie sprzecznych informacji. Will i Dylan opisywali Nową Zelandię niemal jak ziemię obiecaną, Michael słyszał, że jest podobna do Irlandii. Marynarz, który według niej był najbardziej wiarygodny, opowiadał o fantastycznych połowach wielorybów i polowaniach na fok. Coraz częściej padało przy tym określenie „wybrzeże zachodnie”. Lizzie znów zatęskniła za Jeremiahem. Jego informacjom można było w większości zaufać. Ale ona sama też potrafiła coś ustalić. W gabinecie Smithersa stał globus. Wieczorem poszukała wysp znajdujących się w pobliżu Australii, ale oprócz Ziemi van Diemena znalazła tylko Nową Gwineę i kilka małych wysp po drugiej stronie kontynentu. Żeglowanie w tamtą stronę wydało się Lizzie szaleństwem. Trzeba byłoby płynąć wzdłuż całego wybrzeża australijskiego, Botany Bay... Australia Zachodnia... Wszędzie tam przetrzymywano skazańców. Lizzie nie potrafiła sobie wyobrazić, że ktoś pozwoli przepłynąć tamtędy innym żaglowcom. Nie mówiąc już o łodziach wiosłowych.

Ale wówczas, wpatrując się w globus, odkryła dwie wyspy po drugiej stronie Morza Tasmana. Jedna z nich była długa i bardziej wysunięta na południe, druga zaś mniejsza, o kształcie przypominającym Ziemię van Diemena. Nowa Zelandia. A na zachód od niej znajdowała się Ziemia van Diemena. Ale by tam dotrzeć, należało pokonać ocean! Lizzie spróbowała ocenić odległość i zakręciło jej się w głowie.

– Co tu robisz, kiciu? – Lizzie aż podskoczyła z przerażenia, kiedy usłyszała głos Martina Smithersa. – Odkurzasz kulę ziemską? I nie masz na głowie swojego czepeczka...

Lizzie westchnęła.

– To mój wolny wieczór, sir... – wyszeptała. – Ale jeśli pan sobie życzy... Mogę go zaraz włożyć. Tylko proszę nie mówić...

– ...że byłaś ciekawa, jak wygląda kula ziemską? Ależ słodziutka, po co miałbym to mówić? Teraz, kiedy niedługo twoje wesele i z pewnością marzysz o tym, aby wrócić z Cecilem do Anglii. Ale popatrz, kotku, jak długo musiałybyś żeglować. Anglia jest oddalona o piętnaście tysięcy mil. – Pocałował ją w kark.

– A Nowa Zelandia? – spytała Lizzie zachrypniętym głosem.

Smithers się roześmiał.

– Też nie dasz rady dopłynąć tam wpraw. Ale dobrze: to tylko dwa tysiące czterysta mil. Z Hobart nawet pływa tam jakiś statek. Ale ostrzegam cię, kotku, to morze jest bardzo burzliwe! A co z twoim Cecilem? Będzie łowił wieloryby? Polował na fok?



Przecież on nie skrzywdziłby nawet muchy! A dla takiej kici jak ty też nie ma tam pracy. No, najwyżej jeśli są takie rozwiązłe jak ty... – Smithers objął Lizzie i zaczął obmacywać jej piersi. – Dostatecznie dużo klientów jest za to na zachodnim wybrzeżu!

– Czy był pan tam już, sir? – spytała Lizzie, walcząc skutecznie z obrzydzeniem.

– Może być tak, że tam pojedziemy, kiedy zakończymy tutaj wszystkie prace – stwierdził Smithers, ale wyraźnie z niezbyt wielkim entuzjazmem. – Oni właśnie budują miasto na wschodnim wybrzeżu. Byłaby tam praca dla mnie. David Parsley zajrzy tam niebawem...

David Parsley, asystent Smithersa, był młodym inżynierem, którego Smithersowie bardzo cenili.

– Jeśli będziesz grzeczna, kiciu, zabierzemy ciebie i twojego Cecila...

Martin Smithers pokrywał kark Lizzie wilgotnymi pocałunkami.

Jechać do Nowej Zelandii z nim i Cecilem – to było ostatnie, czego pragnęłyby Lizzie. Choć „nowe miasto” – to brzmiało kusząco. Wszędzie tam, gdzie powstawało coś nowego, zwykle panował rozgardiasz i bałagan. A wydawało się, że w Nowej Zelandii nie było więźniów, czyli także nie było żadnej milicji, która szukała uciekinierów.

– Jak sobie to dokładnie wyobrażacie, to z Nową Zelandią? – spytała Michaela, z którym znów spotkała się w najbliższą niedzielę. Więźniowie z *chain gang* pracowali ciągle w pobliżu, Lizzie udała więc ból głowy, aby się pozbyć Cecila i móc raz jeszcze odwiedzić mężczyzn. – Stąd jest daleko do morza...

– Nie jesteśmy też na razie wolni! – wyjaśnił Dylan. – Potrwa jeszcze kilka miesięcy, zanim nam zdejmą łańcuchy i potem wylądujemy w Launceston.

– Raczej w Hobart! – poprawił Michael optymistycznie. – Zwiejemy, ukradniemy statek...

– Jaki statek? – dopytywała się Lizzie.

– Żaglowiec. Na wiosła to trochę za daleko, nie, Connor?

Connor przytaknął.

– Marzy mi się taki mały, sportowy żaglowiec...

– Byle płynąć naprzód! – dodał Will równie optymistycznie.

Czyli taka lepsza łupina orzecha. Lizzie z przerażeniem myślała o rozległym morzu i o tym, co mówił Smithers o sztormach.

– A czy któryś z was już kiedyś żeglował? To znaczy, oprócz Connora? – spytała surowo.

Michael, Dylan i Will potrząsnęli głowami.

– Ale tego każdy się szybko uczy! – pocieszał Connor.

Lizzie nie bardzo wiedziała, co począć. Ale zaczynała powoli wątpić

w doświadczenie Connora, jeśli chodziło o podróżę na pełnym morzu. Możliwe, że był jedynie chłopcem okrętowym, nie mógł mieć przecież więcej niż osiemnaście, dziewiętnaście lat. Jej zdaniem ten plan skazany był z góry na niepowodzenie. Więźniowie będą mogli mówić o szczęściu, jeśli zostaną złapani w porcie Hobart! Na morzu za swoją lekkomyślność mogą zapłacić śmiercią.

Na takie niebezpieczeństwo Lizzie w żadnym wypadku nie chciała narażać Michaela. A już zwłaszcza siebie. Nie mówiąc już o tym, że nie mogła wiecznie czekać, aż jakiś ślepy przedstawiciel Korony Brytyjskiej podejmie się takiego głupstwa, jak zdjęcie łańcuchów Dylanowi i Willowi. Lizzie wiedziała już, że ci naiwni chłopcy będą tkwili w *chain gang* aż do późnej starości. Należało wymyślić coś innego. I kiedy tego wieczoru leżała pod spoconym i stękającym Smithersem, próbowała nie zapomnieć o pięknych miejscach tej ziemi.

Lizzie obmyślała pewien plan.

## ROZDZIAŁ 10

Odwiedziny Claire Edmunds dodały Kathleen skrzydeł. Jej milczenie, rezygnacja i poddanie się samotności ustąpiło chęci do działania. Gdyby rzeczywiście znalazła przyjaciółkę! Gdyby można było kogoś regularnie odwiedzać, być z kimś w czasie narodzin dzieci, od czasu do czasu poplotkować swobodnie z sąsiadką, jak kiedyś w Irlandii albo w czasie pierwszych miesięcy w Port Cooper!

Kathleen chciała umyć filiżanki po kawie, swoją i Claire, ale przyszło jej do głowy coś innego. Filiżanka Claire stanowiła dowód na to, że ona tu była! A Kathleen wcale sobie tego nie wmawiała, nie była na prostej drodze do obłędu. I zaraz następnego dnia będzie czas na rewizytę. Jeśli dom Claire także znajdował się nad Avon, to musiała do niego prowadzić krótsza trasa niż ta przecinająca drogę do Christchurch. Kathleen przechowywała jak skarb filiżankę, z której Claire piła kawę.

Następnego dnia zaraz po zrobieniu jedynie tego, co było w domu najkonieczniejsze, wsadziła obu swych chłopców na najspokojniejszego i najbezpieczniejszego muła, jakiego Ian miał w stajni. Usiadła z tyłu za dziećmi, ale okazało się wkrótce, że bardzo ciężko jest przedzierać się przez trzciny, wysoką trawę i nisko wiszące gałęzie drzew na brzegu rzeki. Kathleen zsiadła więc i prowadziła zwierzę, trzymając je za uzdę, ale nie była zniechęcona. Po trzy- albo czterokrotnym przejściu wzdłuż rzeki ścieżka będzie już dobrze wydeptana. Brzeg był mocno zarośnięty, ale nie niemożliwy do przejścia. I rzeczywiście trud Kathleen się opłacił. Potrzebowała tylko jednej godziny, aby pokonać tę odległość – farmy Stratford Manor i Coltrane'a były więc oddalone od siebie o jakieś trzy mile. Także posiadłość Edmundsów nie onieśmiała tak bardzo, jak się tego obawiała. Wręcz przeciwnie, na przekór tak pięknie brzmiącej nazwie nie był to żaden wielkopański dwór, lecz ubogi, sklecony z desek domek, podobny do domu Iana i Kathleen. Kathleen pamiętała przekleństwa Iana, kiedy objęli w posiadanie swoją farmę. Jej mąż przez kilka pierwszych tygodni zajmował się wyłącznie naprawianiem i łataniem, aż dom i stajnie były wreszcie w takim stanie, że wiatr nie wiał przez szpary w deskach ścian, a dach był w miarę szczelny. Pierwsi osadnicy najwyraźniej budowali szybko i niezbyt starannie i niedługo potem dochodzili do wniosku, że woleliby jednak mieszkać w nowym osiedlu Christchurch albo choć bliżej miasteczka Furt, przez które prowadziła droga łącząca Port Cooper z Christchurch. Kto jako pierwszy osiedlił się w tej okolicy, raczej rzadko zostawał farmerem, pręcej rybakiem lub szyprem, bo ci, mieszkając nad rzeką, po prostu więcej zarabiali. Także małżonek Claire płynął codziennie swoją łodzią w kierunku Christchurch, aby

przewozić za opłatą ludzi czy też transportować dobytek nowych osadników morzem i rzeką Avon do nowego miasta. Gdyby mieszkał stale na farmie, byłoby to kłopotliwe i zabierało dużo czasu. Matt nie miał więc dotychczas czasu czy też pieniędzy, aby uszczelnić dom lub choćby go pomalować. Stara niebieska farba odpadała płatami, co potęgowało wrażenie zaniedbania i opuszczenia. Także płoty wokół padoku, po którym spacerowały oślica Spottey, gruba krowa i jej nowo narodzone cielę, jak też kilka owiec, nie sprawiały wrażenia stabilnych. Teraz było tam dostatecznie dużo trawy, ale kiedy jej zabraknie, Claire będzie musiała często wyruszać na poszukiwanie swoich zwierząt, szukających paszy w dalszej okolicy, podobnie jak to robiła Kathleen.

Kathleen zdjęła swoje dzieci z muła, przywiązała porządnie zwierzę do kołka w płocie, który wydał jej się najsolidniejszy, i poszła przez grożący zawaleniem taras do drzwi. Claire otworzyła niemal natychmiast – tak samo jak Kathleen pragnęła jakiegokolwiek odmiany i odwiedzin. Choć dziś nie była tak elegancko ubrana jak w czasie wizyty u Kathleen. Jej ciemne włosy były niedbale upięte, miała też na sobie starą domową suknię, tak samo opiętą na brzuchu jak suknia do jazdy konnej. Czemu właściwie nie poszerzyła swoich ubrań?

Miła twarz Claire promieniała wprost radością, kiedy zobaczyła Kathleen i jej dzieci. Spontanicznie chwyciła nową przyjaciółkę w ramiona.

– Jak dobrze, że jesteście! – cieszyła się. – Wejdźcie do środka, zrobię herbaty. Poczęstowałabym was też daniem z warzyw i mięsa, które gotuję, ale obawiam się, że ono chyba nie jest zbyt smaczne...

Rzeczywiście Kathleen raczej nie miała ochoty spróbować całkowicie rozgotowanych słodkich ziemniaków.

– Powinnaś je była obrać przed gotowaniem – zauważyła, co z kolei zakłopotało Claire.

– Ale przecież łupiny same schodzą, kiedy się odpowiednio długo gotuje ziemniaki, a potem...

– Ale potem są jak papka, a w wodzie po gotowaniu jest piasek, chyba że dokładnie szcztokujesz ziemniaki przed gotowaniem. Jeśli to ma być danie z warzyw, musisz obrać ziemniaki i pokroić je w małe kawałki. I dodałabym do tego coś jeszcze oprócz ziemniaków i kawałka mięsa. Co to w ogóle jest? W każdym razie nie możesz tego gotować tak długo, aż włókna zaczną odchodzić od kości. Ja bym je po prostu już teraz odkroiła. A może masz kilka cebul i prawdziwe ziemniaki?

Kathleen spróbowała uratować potrawę. Wylała wodę, pokroiła słodkie ziemniaki i warzywa, które znalazła w całkowicie zarośniętym ogrodzie Claire, i wszystko, wraz z mięsem odkrojonym od kości postawiła na ogniu. Claire nie mogła się nadziwić. Nie ona zakładała ten ogród, musiała to zrobić żona poprzedniego właściciela farmy. Claire nie miała nawet najmniejszego pojęcia, że rośnie tam coś

jadalnego. Jej próby ograniczyły się do posadzenia kilku młodych krzewów miejscowej rośliny rata.

– One są bardzo piękne, prawda?! – zawołała zachwycona i wskazała na czerwone kwiaty.

Kathleen przytaknęła bez zbytniego zainteresowania.

– Ale nie można ich jeść – powiedziała.

Dla dzierżawców z Irlandii zbiory z przeważnie malutkich ogrodów związane były z koniecznością przeżycia. Nikomu nawet nie przyszłoby do głowy, aby hodować tam kwiaty.

– Tutaj, popatrz tylko, tu są ziemniaki i marchew. I zioła przydatne w kuchni. To wszystko możesz zebrać...

Claire słuchała uważnie i cieszyła się z każdej wykopanej bulwy tak, jak gdyby to był wydobyty z podziemi skarb.

– Nie miałaś w domu własnego ogrodu? – spytała Kathleen, kiedy już obie czyściły razem warzywa.

Claire tak niezdarnie posługiwała się nożem, że Kathleen obawiała się o jej palce.

– Tak, mieliśmy – przyznała Claire. – Ale mieliśmy też ogrodnika. Moja matka troszczyła się najwyżej o róże. A my, dziewczyny, zajmowałyśmy się robieniem ozdób z kwiatów.

Jeśli chodziło o ozdoby, to Claire zadała sobie wiele trudu, aby ozdobić swoją chatę. Kwiaty krzewów rata, jak też połyskliwe zielone gałęzie drzewa pohutukawa oraz żółto kwitnące kowhai stały na podłodze w pięknych porcelanowych wazach. Ale pomijając to, chata była urządzona raczej biednie. Edmundsowie mieli jeszcze mniej mebli, a te były w wyraźnie gorszym stanie niż meble Iana i Kathleen. Lecz śliczny stolik o trzech nogach był teraz nakryty pięknym lnianym obrusem, a Claire podała herbatę w serwisie z prawdziwej porcelany. Sean zafascynowany obmacywał filiżankę do herbaty z cieniutkiej porcelany. Kathleen ostrożnie wyjęła mu ją z ręki, dopóki była cała.

– Ach, nic takiego by się nie stało, niektóre pobiły się w czasie podróży – skomentowała spokojnie Claire. – Mam nakrycia dla dwunastu osób, tylu ludzi nie mieszka tu w całym hrabstwie!

Kathleen musiała się roześmiać. To gospodarstwo było równie dziwne jak jej nowa przyjaciółka, która nawet nie umiała ugotować ziemniaków, ale za to z wielką gracją i elegancją podawała herbatę. Claire przypominała Kathleen lady Wetherby. Także ona nauczyła swoją pokojówkę, jak przygotowywać i podawać ten staroangielski napój. Czy tylko tego uczyły się dziewczęta w angielskich domach?

Claire szczerze przyznała, że tak, kiedy Kathleen odważyła się o to zapytać.

– Tak – powiedziała. – Tak mniej więcej. Ale oczywiście wiem jeszcze, jak nakrywać stół do obiadu składającego się z wielu dań i tak dalej. I gdzie należy posadzić gości,

kiedy na przykład z wizytą przychodzą jednocześnie biskup i generał... Ale ta wiedza nie za bardzo mi się tu przydaje. Podobnie jak nakrycia... – Spojrzała z żalem na swoje skarby z chińskiej porcelany.

– To dlaczego zabrałaś to ze sobą? – spytała Kathleen. Chyba nikt jeszcze nie wykazał się podobnym brakiem praktycznego zmysłu, choć właściwie Claire miała w sobie wiele pionierskiego ducha.

Claire się skrzywiła.

– Matka mi to przysłała. Opowiadałam ci przecież, że pisałam do mojej rodziny z Londynu, już po weselu. Ojciec nie chciał już o mnie nawet słyszeć, ale moja matka przysłała mi skrzynię z posagiem. Miałaby złamane serce, gdybym pojechała na obczyznę tak bez niczego, tak napisała...

– Ale przecież inne rzeczy bardziej by się przydały... – stwierdziła Kathleen. Myślała o garnkach do gotowania ziemniaków, materiałach na suknie i po prostu o pieniądzech.

Claire spojrzała na przyjaciółkę ze zrozumieniem.

– Prawda? Też tak myślałam. Na przykład moje skrzypce. Albo kilka książek, nuty... Leksykon! W ogóle nie wiem, jak mam wychowywać moje dziecko. Jak mam je czegoś nauczyć, jeśli nawet nie mam leksykonu?

Kathleen westchnęła. Było gorzej, niż się obawiała. Claire była bez wątpienia doskonale wykształcona, ale nie posiadała żadnej umiejętności, które dla Kathleen były oczywiste i w tym kraju konieczne do tego, aby przeżyć. Claire ani nie umiała szyć, ani też nie potrafiła się obchodzić z miotłą i szczotką do szorowania.

– Kiedy nasza pokojówka wytarła w domu podłogę, to było czysto – wyznała młoda kobieta bezradnie. – Ale kiedy ja to robię, to wszystko jest tylko mokre...

Choć trzeba przyznać, że Claire nie traciła odwagi z powodu braku niezbędnych kwalifikacji. Była pracowita i próbowała nauczyć się wszystkiego, przy czym najczęściej sukcesów odnosiła w pracy w stajni. Jej urok i miły sposób bycia przydawały się nawet przy pracy ze zwierzętami. Dlatego też miała świeże mleko do herbaty. Claire opowiadała nie bez humoru o tym, że ochrzciła krowę „Minerwa” i zawarła z nią coś w rodzaju *lady's agreement*. Kiedy karmiła zwierzę i śpiewała, krowa stała spokojnie przy dojeniu.

– A dzisiaj w nocy urodziła w dodatku cielątko! – opowiadała zachwycona o swojej najnowszej przygodzie. – Ono wyszło jej tam z tyłu. – Zaczerwieniła się. – Tak, masz rację, to... hm... to się rozszerza. Czy u nas też tak jest? – Dotknęła palcami swojego brzucha.

Kathleen skinęła głową.

– W każdym razie musieliśmy je wyciągać, Matt i ja, oj, było ciężko i... czy ludzkie dzieci też są takie... śliskie? No, ale teraz cielę już jest i właściwie jego matka nie powinna się nazywać Minerwa, bo przecież ona była dziewczicą! – dalej paplała wesoło

Claire.

– Krowa była jeszcze jałówką? – przerwała jej Kathleen zdziwiona. – Myślałam, że Ian sprzedał ją, kiedy była już cielna. I przecież dawała wtedy mleko.

Claire zrobiła wielkie oczy.

– Wiedziałaś, że ona jest cielna?

W ciągu następnej godziny Claire dowiadywała się, że krowy tylko wtedy dają mleko, kiedy mają bądź miały cielęta, a zafascynowany Sean słuchał opowieści o bogini Minerwie, która wyskoczyła z głowy swojego ojca i nigdy nie wybrała sobie towarzysza życia.

– Chociaż tu na pewno coś pięknego straciła! – oświadczyła Claire z głębokim przekonaniem.

Kathleen jednak nie podpisała by się pod tym bez zastrzeżeń. Już dawno zaczęła rozważać sensowność swojego małżeństwa z Ianem. Czy Claire Edmunds była jej już na tyle bliska, aby pomówić z nią i o tym?

Także tego dnia Kathleen rozstała się bardzo niechętnie ze swoją dziwną, ale i bardzo interesującą przyjaciółką. Wieczorem spodziewała się powrotu Iana i w żadnym wypadku nie chciała ryzykować tego, że mąż zastanie dom pusty. Claire wielkodusznie podarowała jej połowę zebranych w ogrodzie warzyw. W ogrodzie Kathleen nic jeszcze nie zdążyło urosnąć.

– To teraz też możesz ugotować swojemu mężowi taką potrawę! – stwierdziła Claire. – No, Matt będzie się dziwił, kiedy wróci!

W jej kuchni pachniała już gotowa zupa.

– A następnym razem przyniesiesz mi drożdże, czy jak to się nazywa!

Wysiłki Claire, aby upiec chleb, ograniczały się dotychczas do zmieszania grubo zmielonego ziarna z wodą. Efektem były twarde, niesmaczne placki. Ale dzisiejszego popołudnia Claire dowiedziała się o istnieniu środków spulchniających.

Kathleen była szczęśliwa i zadowolona z towarzystwa Claire, ale Ian Coltrane nie był tak zachwycony nową przyjaźnią żony. Kathleen dotychczas w ogóle nie opowiadała mu o Claire. Postanowiła być ostrożna, od kiedy zaczął traktować jej uwagi jako ataki na siebie, a w najbardziej niewinnych opowieściach dopatrywał się wyznań o niewierności. Kathleen rozmawiała więc z mężem tylko o tym, co było naprawdę konieczne.

Ale Sean wygadał się z nowinami, gdy tylko Ian wszedł do domu. Najpierw drwił – na tyle, na ile potrafił w tym wieku – ze śmiesznego siodła „cioci Claire”.

– Czy ona nie spadnie? – pytał.

– Pottey, Pottey! – wołał Colin ze śmiechem.

– Czy oni mówią o tej głupiej kozie z miasta i jej osle? – spytał niechętnie Ian.

Kathleen wyjaśniła, o czym mówiły dzieci, i zdradziła mu, gdzie mieszka Claire.

– Z tym marynarzem, który teraz próbuje być szyprem? Niedaleko zajedzie. A ta

jego żona – muszę cię ostrzec, Kathleen, przyzwoite kobiety z Christchurch nie rozmawiają z nią!

A więc dlatego Claire się obawiała, że Kathleen też odrzuci jej towarzystwo.

– Dlaczego? – spytała. – Claire jest nieco dziwna, to trzeba przyznać. Ale bardzo miła i otwarta...

– Zadziera nosa! – oświadczył Ian. – I jest bezczelna. Kobieta ze sklepu z towarami kolonialnymi mówi, że zadawała jej tak niestosowne pytania, że krew uderzyła jej do twarzy! I w dodatku jest flejtuchem, to mówi nawet jej mąż. Innym babom jest go wręcz żal, kiedy widzą, jak wyglądają jego ubrania. Ona w ogóle nie ceruje jego rzeczy ani mu nie gotuje. A ich dom... sam widziałem, Kathie. Wstyd po prostu! Nie podoba mi się, że się z nią spotykasz!

Kathleen wzruszyła ramionami.

– No, eleganckie kobiety z Christchurch się o tym nie dowiedzą – zauważyła. – Choć ciekawe, skąd ty się dowiedziałeś o ich paplaninie. Ale bez względu na to, co cały świat mówi o Claire Edmunds: za kilka tygodni mam urodzić dziecko. A jedyną kobietą istotą w promieniu dziesięciu mil jest właśnie Claire. Obiecała, że będzie wtedy ze mną i...

– Ona? – zaśmiał się Ian. – Ona przecież wierzy jeszcze w bociany! Ostrzegam cię, Kathleen...

Kathleen spuściła głowę. Ale mimo to postanowiła mówić dalej. Claire i ona nie dzieliły jeszcze ze sobą wszystkich tajemnic, ale sam kontakt z tą pełną życia dziewczyną dodał Kathleen odwagi.

– Tak jest zapewne dlatego, że nikt nie chciał odpowiedzieć na żadne z jej niestosownych pytań – powiedziała spokojnie. – A poza tym Claire Edmunds też jest w ciąży. Ktoś musi pomóc przyjść jej dziecku na świat i to będę ja. To jest chrześcijański obowiązek, Ian! Czy ci to odpowiada, czy nie.

Ku zdumieniu Kathleen Ian nie zdobył się już na żadną odpowiedź i nie rozmawiał z nią o Claire Edmunds. Ale też nie próbował zabraniać jej utrzymywania kontaktów z Claire. Prawdopodobnie zrozumiał, że to zbyt wiele.

– Dowiem się, Kathleen, jeśli zabawiasz się z Mattem Edmundsem! – stwierdził, po czym wstał od stołu i popatrzwszy ponuro, ruchem głowy wezwał Kathleen do sypialni. Poszła za nim z westchnieniem – ale kiedy tym razem leżała pod nim, znosiła jego brutalne pocałunki i słuchała jego stękania, nie myślała już o innym mężczyźnie, lecz o walecznej bogini Minerwie.

– Ach, Matt również nie chce, żebyśmy się przyjaźniły! – powiedziała Claire spokojnie, kiedy Kathleen w ostrożnych słowach zwierzyła jej się na temat zdania Iana. Okazało się też, że Claire bardzo dobrze wiedziała, co o niej mówiono. Słyszała też coś niecoś o Kathleen i nie wahała się jej tego przekazać.



– One mówią, że nie chciałaś mieć nic wspólnego z gminą, bo jesteś katoliczką. I że wszyscy Irlandczycy są śmieszni. I mają śmieszne rytuały...

– Rytuały? – spytała Kathleen, która nie знаła tego słowa.

– To, co się robi w czasie nabożeństwa. U was coś się dzieje z krwią i ciałem czy jakoś tak. Jak posłuchać gadania żony kramarza, to w ogóle można pomyśleć, że pożeracie dzieci!

Claire się roześmiała, ale Kathleen była przerażona.

– Poważnie, Matt mówi, że powinnam uważać na nasze maleństwo! Ale jest tylko wściekły na twojego Iana, z powodu tej sprawy z osłem. On ma mu to bardzo za złe. A teraz Matt potrzebuje muła; mam nadzieję, że twój mąż tym razem go nie nabierze. Nie możesz na niego jakoś wpłynąć?

Kathleen z żalem potrząsnęła głową. Ian nie wtajemniczał jej w swoje plany sprzedaży, ale było oczywiste, że nadal uprawiał swój nieczny proceder. Najgorsze dla Kathleen było to, że ostatnio pozwalał przyglądać się chłopcom, jak na czas rozmowy o sprzedaży zamieniał stare, kulawe szkapy w młode, tryskające temperamentem konie o lśniącej sierści. Dotychczas dzieci niewiele wiedziały o jego praktykach, ale obaj chłopcy czuli się bardzo dowartościowani, kiedy ojciec zabrał ich do stajni i objaśniał im swoje „rzemiosło”. Gdyby tak miało być dalej, to te dzieci wyrosną na oszustów, jeszcze zanim nauczą się dobrze mówić. Kathleen próbowała za pomocą historii biblijnych stworzyć im podstawy zdrowego fundamentu moralnego, ale te opowieści tylko u Seana padały na podatny grunt. Tu także Claire szybko stała się jego idolką. Nikt nie znał więcej wspaniałych opowieści niż ona. Claire w zamian chętnie słuchała wskazówek Kathleen dotyczących spraw codziennego życia.

Kobiety odwiedzały się już do trzech razy w tygodniu, a ścieżka nad rzeką była wkrótce tak dobrze wydeptana, że osiołek Claire i muł Kathleen truchtały po niej, wcale się nie zatrzymując. Claire zrobiła znaczne postępy w sztuce kulinarnej, a jej mieszkanie było teraz czyste i lśniło tak jak dom Kathleen. A Kathleen zaczęła czytać. Wprawdzie dobrze opanowała tę wpojoną jej przez ojca O'Briena sztukę, lecz nigdy nie czytała płynnie. Teraz powoli przedzierała się przez tekst Biblii, który na razie w zupełności jej wystarczał. Ale potem Claire pożyczyła jej jedną ze swych nie mniej ciekawych książek. Kathleen zadała sobie sporo trudu i wkrótce czytała niemal tak, jak jej przyjaciółka. A największą radość odczuwała wtedy, kiedy pod osłoną nocy wyciągała pożegnalny list Michaela, który od chwili zawarcia małżeństwa starannie ukrywała przed Ianem. Teraz, kiedy czytała już płynnie, wydawało jej się, że przy jego lekturze słyszy niski, łagodny głos.

„Mary Kathleen... Ja wróczę...” Jak dawno nikt już nie nazwał jej Mary Kathleen!

Mniej więcej trzy miesiące od chwili pierwszego spotkania obu kobiet Kathleen wydała na świat dziewczynkę. Był to łatwy poród. Mała Heather był drobniutka,

a Claire zachwycała się jej małąkami, kształtnymi paluszkami u nóg i rąk, słodkimi ustami i mięciutkimi złotymi loczkami. Ian znów był w podróży, ale Claire, tak jak obiecała, była cały czas przy swojej przyjaciółce – choć co prawda jej pomoc ograniczała się przeważnie do robienia herbaty i dodawania otuchy. Kathleen nigdy nie sądziła, że komuś może się udać doprowadzić ją do śmiechu w czasie bólów i skurczów porodowych. Ale Claire porównywała poród Heather do rozwiązania u swojej krowy z tak śmiertelną powagą, że Kathleen nie mogła się powstrzymać od śmiechu.

– Cieszę się, że nie musiałam sięgać ręką w głąb twojego wnętrza! – oświadczyła Claire, kiedy już podała Kathleen niemowlę. Krótco przed porodem na obu farmach przyszły na świat jagnięta i Kathleen udzielała fachowej pomocy, kiedy dochodziło do jakichś komplikacji. Claire przyglądała się z zainteresowaniem, ale tylko mniej więcej pojęła, co robiła Kathleen, aby po kolei wydobyć na świat dwoje zakleszczonych bliźniaczych jagniąt. – Ale w takiej sytuacji też bym to oczywiście zrobiła!

Niedługo potem rodziła także Claire – choć nie bez problemów. Leżała prawie dwa dni, cierpiąc potworne bóle, a Kathleen poważnie się obawiała, czy przyjaciółka przeżyje poród. Matt nie zamierzał sprowadzić lekarza z Christchurch, a kiedy Kathleen spytała go o przyczynę, oświadczył, że to zbyt wysoki koszt.

– Możecie przecież robić to same! – złościł się, a w jego głosie słychać było wyraźną niechęć. – Jakoś u krów to jest możliwe!

– Matt, czy wy będziecie w stanie pomóc, jeśli będzie trzeba, tak jak wtedy u krowy? – spytała Kathleen rozzłoszczona.

Na szczęście nie doszło do tego. Bo po kilku pierwszych godzinach, w czasie których Claire rozpaczliwie krzyczała i stękała, Matt Edmunds wsiadł do swojej łodzi i unoszony łagodnym prądem rzeki popłynął do najbliższego pubu.

Kathleen wprost się pienila ze złości. Ale ku jej zdziwieniu wraz ze zniknięciem Matta Claire poczuła przypływ nadziei.

– Na pewno szuka akuszerki... – powiedziała, dysząc – albo lekarza. Aż tak drogie to przecież nie będzie... On... mnie kocha...

I w końcu młoda kobieta okazała się o wiele dzielniejsza i silniejsza, niż sądziła Kathleen. We właściwej chwili zaczęła przec z całej siły i krzycząc przeraźliwie, wydała córkę na świat drogą naturalną.

– Nigdy nie będę prawdziwą lady... – stękała Claire. – Moja matka mówiła... mówiła, że ladies nie krzyczą. Lady znosi każdy ból bez słowa skargi...

– Doprawdy? – mruknęła Kathleen. – Ladies są nam tu niepotrzebne. Niech lepiej siedzą w Liverpoolu. Zobacz, jakie masz śliczne dziecko! Wiesz już, jak ją nazwiesz?

Claire zgodziła się z przyjaciółką, że jej córka była wprost zachwycająca.

– Myślę, że dam jej na imię Chloé – powiedziała. – To pasuje do Claire. –

pogłaskała delikatną buzię niemowlęcia, którego skóra po porodzie sprawiała wrażenie trochę pomiętej. – Ale nie wiem, czy chcę przeżywać coś takiego jeszcze raz! – zastanowiła się. – Podziwiam cię, Kathleen! Trzy razy taka tortura. Myślę, że mnie raz wystarczy!

Kathleen, nieco zmieszana, wyjęła jej dziecko z rąk i zaczęła je kąpać i zawijać w pieluszki.

– Matt chyba nie będzie pytać – stwierdziła zawstydzona. – Ian w każdym razie...

– Masz troje dzieci tylko dlatego, że Ian przy tym obstawał? – spytała Claire z zaciekawieniem. – A ja myślałam... myślałam, że tylko ja jedna... – Zagryzła wargi.

– Tylko ty jedna? To znaczy? – dopytywała się Kathleen. Ian miał chyba trochę racji, kiedy dowodził, że nie powinny prowadzić takich rozmów. To było nawet bardziej niż niestosowne. Ale jednak ciekawość Kathleen przemogła.

– Tylko jedna, której to nie sprawia przyjemności. To... no... hm, to kochanie się...

Kathleen nie wiedziała, czy ma się śmiać, czy udać szok i umilknąć. Ale Claire mówiła dalej:

– W książkach piszą, że to ma być piękne. To znaczy, nie, właściwie nic tam o tym nie piszą, ale to ma być tak, że wesele jest takim najważniejszym momentem, a potem żyje się szczęśliwie i radośnie. Tylko... że ja... Mnie się zdaje, że przed weselem było o wiele piękniej... Wtedy Matt rozmawiał ze mną inaczej, jakoś tak miło... A kiedy mnie całował, to delikatnie i tak tkliwie. Ale teraz... Czy tobie się to kiedykolwiek podobało, Kathie? To... to, co się robi w łóżku?

Kathleen się uśmiechnęła... i nagle jej się wydało, że czuje na twarzy pocałunki Michaela. Raptem poczuła palące pragnienie, aby podzielić się z kimś swą tajemnicą. Albo przynajmniej zrobić jakąś aluzję na ten temat.

– To niekoniecznie ma coś wspólnego... z weselem... – powiedziała. – Z tym, co jest przedtem, czy potem...

Ale nagle umilkła i właściwie się cieszyła, że Claire po porodzie była zbyt zmęczona, aby powiedzieć jej coś więcej.

Mijały kolejne zimy i lata. Kathleen wraz z upływem czasu zaczynała doskonale rozumieć przyjaciółkę i jej rozczarowanie osobą Matta Edmunda. Po opowieściach Claire zupełnie inaczej wyobrażała sobie jej młodego męża, a tymczasem okazał się on chudym, małomównym mężczyzną, który teraz nie przejawiał jakiegoś szczególnego zainteresowania córką. Ale Claire mimo to nie przestawała opisywać przyjaciółce byłego marynarza jako śmiałka i wspaniałego gawędziarza, który swego czasu szturmem podbił jej serce. Takim go zapewne widziała, a Matt Edmunds był rzeczywiście przystojnym mężczyzną – szczupłym, dobrze zbudowanym, o jasnych włosach. Ale w obecności Kathleen zawsze miał niechętny wyraz twarzy, co powodowało, że sprawiał wrażenie człowieka mało sympatycznego

i nieprzystępnego. Małżonek Claire wydawał się mieć całemu światu coś za złe – a najbardziej swojej ślicznej, eleganckiej i pełnej radości żonie. Najwyraźniej Matt inaczej wyobrażał sobie emigrację i życie w nowym kraju, choć Claire i Kathleen nie za bardzo potrafiły ustalić, co mu tu właściwie nie odpowiadało. Bo w zestawieniu z faktem, że oboje przyjechali tutaj niemal tylko z porcelanową zastawą do herbaty i kilkoma książkami, właściwie nie powodziło im się tak źle. Matt dobrze zainwestował swoje niewielkie oszczędności z marynarskich czasów: kupił łódź i zarabiał dostatecznie dużo, aby dobrze żyć. Wiedział, że z czasem jego interes będzie przynosił jeszcze większe dochody, bo szybko rosnące miasto Christchurch obiecywało wszystkim obywatelom bezpieczną i pewną egzystencję. Może więc Mattowi brakowało po prostu kolejnych barwnych przygód, których dawniej dostarczało mu życie na morzu. I było aż nadto widoczne, że Claire, mimo całego swego uroku, nie potrafi mu tej straty zrekompensować. Choć ona za żadną cenę nie chciała się do tego przyznać.

– On na pewno mnie kocha! – mawiała uparcie, kiedy Kathleen wymykała się od czasu do czasu jakaś niezbyt pochlebna uwaga na temat zachowania jej męża. – Nawet jeśli uważa mnie za głupią... I nudną...

I nie bardzo było wiadomo, czy te oceny wynikały tylko z przeświadczenia Claire, czy też Matt powiedział jej wprost, że stracił zainteresowanie dla jej osoby.

– To wszystko dlatego, że nic nie robię dobrze... – usprawiedliwiała jego zachowanie Claire.

Kathleen nie odpowiedziała, choć miała na końcu języka jakąś ostrą uwagę. Przecież teraz Claire prowadziła swoje gospodarstwo bardziej niż wzorowo. I w żadnym wypadku nie była głupia. Wręcz przeciwnie, pod względem intelektualnym znacznie przewyższała swojego męża. Oczywiście brakowało jej praktycznego doświadczenia, a co się tyczy robótek ręcznych, to jej talent był najwyżej przeciętny. Ale jeśli chodzi o inteligencję i oryginalność myśli, była Matta Edmunda na głowę.

Kathleen nie mogła się wprost nasłuchać wesołych opowieści i ciągle nowych pomysłów Claire. Wyobrażała sobie wieczory u Edmundsów jako pełne radości i rozmów – zupełnie inne niż jej przebywanie z Ianem, smutne i pełne milczenia. Ale może Claire też milkła w obecności swojego męża. Kathleen miała wrażenie, że przyjaciółka kilka razy drgnęła z przestraszeniem na widok Matta wracającego nieoczekiwanie do domu, podczas kiedy one obie siedziały przy kuchennym stole i rozmawiały.

Ale może przyczyną był fakt, że Matt reagował wściekłością na każdego, kto nosił nazwisko Coltrane. Kiedy zastawał Kathleen w swoim domu, zawsze padały z jego ust takie uwagi jak: „leniwe baby”, „nic niewarci Irlandczycy” czy też „oszuści”. A przy tym Kathleen doskonale rozumiała jego irytację wobec praktyk Iana. Mąż

Claire drogo zapłacił za osiołka Spottey, teraz zaś był zmuszony pożyczać muły, jeśli na farmie była do wykonania jakaś ciężka praca. A jego zawsze ponure i pełne niechęci usposobienie powodowało, że ta prosta czynność stawała się trudna i nie lubiana. W dodatku najbliższa farma był daleko i sprowadzenie, a potem odprowadzenie zwierząt wymagało dużego nakładu czasu. Jeszcze dalej mieszkał inny handlarz końmi i dlatego Kathleen nie była zdziwiona, kiedy zobaczyła łódź Matta Edmunda na brzegu rzeki koło ich farmy i usłyszała głosy Iana i Matta dobiegające ze stajni.

– Popatrzcie tylko, ta gniada mulica. Mocna, młoda i o spokojnym usposobieniu; moje dzieci na nią wsadzam... Idź, Sean, przyprowadź gniadą z padoku!

Sean, który miał już prawie trzy lata, chwycił z wielką gorliwością za uzdę. Obaj chłopcy prześcigali się w tym, aby móc pomagać ojcu, kiedy tylko był w domu. Sean na szczęście nie zauważał, że zadowolone spojrzenie Iana częściej skierowane było w stronę Colina, podczas gdy on sam częściej był rugany niż chwalony. Ale na razie Sean górował nad bratem po prostu z powodu wieku i wynikającej z tego większej zręczności. Poważniejsze problemy zaczną się dopiero, kiedy Colin mu dorówna. Kathleen z dumą patrzyła na swojego syna, kiedy ten pobiegł na wybieg, staranie zamknął za sobą bramę i ruszył w stronę starej gniadej mulicy, którą Ian od tygodnia miał w swojej stajni. Oszust dobrze wykorzystał czas, aby zeszlifować jej zęby i tak opiłować kopyta, że niewielka nierówność chodu, którą dało się wcześniej dostrzec, teraz była niewidoczna. Sierść, potraktowana środkami barwiącymi i olejami, była teraz ciemna i lśniąca, a siwych włosów nad oczami i pod czupryną na czole nie można było dostrzec. Duże porcje owsa oraz kompresy ze specjalnej mikstury, którą Ian zwał świetlikiem, sprawiły, że oczy muła intensywnie błyszcząły. Kathleen zastanawiała się z niepokojem, czy Ian zastosował jakieś metody dla poprawienia temperamentu zwierzęcia i czy z tego powodu Sean nie znajdzie się w niebezpieczeństwie, ale prowadzona za uzdę klacz szła tak samo grzecznie jak poprzednio. Była stosunkowo łagodnym zwierzęciem, ale miała przynajmniej piętnaście lat.

– Obejrzyjcie sobie jej zęby: najwyżej sześć lat. A widzicie jej stabilne nogi? Ślicznie wygląda, prawda? Wasza małżonka przywiązuje do tego duże znaczenie, jak słyszałem! – Ian zaśmiał się przymilnie.

Matt Edmunds grzecznie zajrzał mułowi do pyska – i był równie nieporadny, jak jego żona w czasie pierwszej wizyty w swoim ogrodzie warzywnym. Jeśli chodzi o byłego marynarza, to Ian niepotrzebnie zadawał sobie tyle trudu, szlifując końskie zęby. Matt Edmunds nie miał o tym bladego pojęcia.

– I nie jest droga... To naprawdę dobra oferta. W Port Cooper mógłbym ją sprzedać lepiej jakiejś firmie transportowej. Ale jeśli o was chodzi, Matt... no, mam trochę wyrzutów sumienia, bo nie doceniałem waszej farmy, jeśli chodzi o jej

rozmiary. Myślałem, że ten mały osioł – wspaniałe zwierzę, jak wasza małżonka zapewnia moją! – wystarczy do pracy na farmie. Ale macie tyle ziemi, która musi być zaorana. Moje uznanie! I to jeszcze oprócz waszego drugiego zajęcia, czyli szyprowania na rzece! Wasza żona też pewnie potrafi ostro zabrać się do roboty, prawda?

Kathleen z najwyższą niechęcią podziwiała przebiegłość swojego męża. Zwłaszcza że Matt Edmunds chętnie połknął przynętę. Obszernie i z ponurą miną opowiedział o wszystkich wadach Claire. Oględziny mulicy były najwyraźniej zakończone. Kathleen miała jeszcze sporo roboty w ogrodzie, ale kiedy wreszcie weszła do domu, obaj mężczyźni pili właśnie drugą whiskey, oblewając w ten sposób zakończenie transakcji. Kathleen miała chęć krzyknąć, ale podjęła już decyzję. Ian nie oszuka swojego najbliższego sąsiada po raz drugi! Ona nie zniesie, jeśli Claire odwróci się od niej, tak jak wtedy kobiety w Port Cooper.

Kiedy Edmunds wreszcie poszedł, stanęła przed Ianem.

– Ian, tak nie można! Ten człowiek zauważy przecież po kilku dniach, że jego muł jest stary jak świat, zwłaszcza że znów zacznie kuleć najpóźniej po pierwszym podkuciu! Claire być może dostrzeże to wcześniej, ona zna się dobrze na koniach. I wówczas nie będą chcieli z nami nawet rozmawiać!

Ian się zaśmiał i nalał sobie kolejną whiskey. Miał teraz zawsze w domu pełną butelkę i chętnie wypijał szklaneczkę po zakończeniu udanych transakcji. W dodatku była to dobra whiskey, nie tania, samodzielnie pędzona. Ian Coltrane zarabiał naprawdę dobrze. I było to po nim widać: w ciągu kilku lat spędzonych w Nowym Świecie mocno przytył; nie był to już szczupły i barczysty, trochę tajemniczy mężczyzna, któremu przypisywano cygańskie pochodzenie. Coraz bardziej przypominał swojego krępego, przysadzystego ojca. Twarz miał teraz mięsistą i nalaną, o rozmytych, już nie tak ostrych rysach. I choć nie był jeszcze gruby, to sprawiał wrażenie ciężkiego i korpulentnego. Nabrał też pewnego typowego dla handlarzy koni przyzwyczajenia: zawsze nosił ze sobą gruby, sękaty kij, na którym opierał się w czasie rozmów i którym mógł też szybko i nader skutecznie popędzić konia. Także Kathleen i nawet mały Sean zdążyli zawrzeć znajomość z tym narzędziem.

Jeśli chodzi o Kathleen, to od dawna już nie czuła ani cienia sympatii do męża. Wręcz przeciwnie, Ian Coltrane wydawał jej się coraz bardziej odstręczający. Znosiła noce z nim tylko dzięki świadomości, że między swoimi ubraniami ma ukryty list Michaela. Kiedy Ian zostawiał ją w spokoju, zakradała się często do swojej skrzyni, gładziła list Michaela i jego włosy. Czuła się przy tym tak, jak gdyby poprzez to się oczyszczała.

Ian się roześmiał.

– Jest mi to cholernie obojętne, czy Edmundsowie z nami rozmawiają, czy nie! –

warknął, puszczając słowa Kathleen mimo uszu. – Ten typ jest głupi, a jego baba zarozumiała! Po co nam oni?

Kathleen z rozpaczą potrząsnęła głową.

– Ian, Edmundsowie są naszymi sąsiadami! Jeśli coś się stanie, jesteśmy na nich zdani. Claire i ja pomagaliśmy sobie przy porodach. Jesteśmy przyjaciółkami...

– A ja ci od razu mówiłem, że nie zgadzam się na tę przyjaźń! – powiedział Ian spokojnie. – I jeśli przestaniesz ciągle latać do tej głupiej gęsi, która tylko mąci w głowie dzieciom swoimi historiami, to tym lepiej!

Kathleen westchnęła, ale zawzięcie próbowała dalej swojego.

– Ian, ona im nie mąci w głowach. Uczy Seana czytać, choć jest jeszcze taki mały. A Colina będzie uczyć w następnym roku. Gdzie te dzieci mają się czegokolwiek nauczyć? Nie mogę przecież wysyłać ich codziennie do szkoły w Christchurch! Ian, proszę! Jeśli nie możesz zaniechać oszukiwania przy handlu końmi, to rozróżnij, kogo można bezkarnie oszukiwać, a kiedy lepiej z tego zrezygnować!

Ian podniósł się i popatrzył na nią groźnie.

– Kathleen, nie pozwolę nazywać się oszustem! A już zwłaszcza żeby robiła to taka dziwka jak ty! Ktoś taki nie ma w ogóle pojęcia, co uchodzi, a co nie!

Kathleen wiedziała, że ten wieczór zakończy się dla niej siniakami, a także o wiele gorszymi upokorzeniami, ale nie mogła przestać. A przede wszystkim chciała otrzymać odpowiedź na kilka pytań.

– To dlaczego tak się wtedy śpieszyłeś, aby poślubić dziwkę? – zapytała w nagłym przyływie odwagi. – Wiedziałeś przecież, że byłam w ciąży. Wiedziałeś o Michaelu! Jeśli więc byłam dla ciebie tak wstrętna...

Ian się roześmiał i znów pociągnął łyk prosto z butelki. Tego dnia wypił znacznie więcej whiskey niż zwykle.

Kathleen drżała. Miała nadzieję, że nie posunęła się za daleko.

Ian niemal z tkliwością dotknął jej włosów, ciągle miękkich i złotych.

– Ależ słodziutka, komu mogłabyś się wydać wstrętna? Najpiękniejsza dziewczyna w Wicklow... Choć nieco nadpsuta, ale tylko troszkę. W końcu wybrałaś przecież mnie, a nie tę pracę u Miss Daisy...

Kathleen nagle zrobiło się gorąco, a zaraz potem zimno. Ian wiedział o ofercie właścicielki burdelu?

Ian uśmiechnął się do niej szeroko.

– Tak, dziewczyno, wiedziałem. A co, myślałaś, że żyłem w Wicklow jak mnich? – spytał szyderczo. – Kathleen, skarbie, ja handlowałem końmi. A dobry handlarz końmi zna każdego i wie wszystko! Od twojego Michaela też dostatecznie często kupowałem po kilka butelek bimbru. A że on ukradł ziarno Trevalliona nie po to, żeby wspomagać biednych, to chyba było jasne dla każdego, kto nie był ślepy ani też w nim zadurzony. A jeszcze do tego ten Billy Rafferty! Zabrałem go na wóz po jego

pijackiej wyprawie. Nie mógł się powstrzymać, żeby się nie wygadać, że twój Michael dał mu zaledwie nędzną część tego, co mu się należało... Bo przecież musiał zapłacić za podróż statkiem swojej małej Kathleen...

Kathleen słuchała zmieszana, z oczami rozszerzonymi z przerażenia. Jej przypuszczenia nie były więc bezpodstawne: Ian wiedział o pieniądzach Michaela już wtedy, kiedy po raz pierwszy zabrał ją do Wicklow. Czy możliwe, że zdradził też Billy'ego Rafferty'ego przed milicją? Kathleen wołała w to nie wierzyć.

W każdym razie Ian się postarał, żeby Kathleen spotkała swojego ukochanego w Wicklow – po raz pierwszy, a potem dla pewności po raz drugi. Przy czym za drugim razem dane jej było zobaczyć tylko odpływający statek, ale o tym Ian nie mógł wiedzieć. Nie była to przyjacielska przysługa, aby ona mogła po raz ostatni spojrzeć na Michaela Drury'ego, lecz po prostu upewnienie się. Ian wiedział, że Michael będzie się starał za wszelką cenę przekazać swojej ukochanej pieniądze z rabunku – bo nie mógł z nimi już nic zrobić.

– Ty... wiedziałeś o moim posagu? – upewniła się Kathleen bezbarwnym głosem.

Ian zatrzęsł się ze śmiechu.

– Ależ oczywiście! Potrafiłem i potrafię wykonać prosty rachunek typu jeden dodać jeden. Na przykład te przywileje Michaela w więzieniu... Stara Bridget ma miękkie serce, ale że utrzymuje dwóch wieśniaków takich jak Michael i Billy ze swoich kurewskich pieniędzy – w to przecież nie mogłem uwierzyć!

– Skąd wiedziałeś o przywilejach? – spytała Kathleen.

Ian lekceważąco machnął ręką.

– Siostra Billy'ego Rafferty'ego. Stała wtedy pod latarnią koło końskiego targu. Zagadnałem ją, postawiłem jej whiskey... jak to zwykle bywa, Kathleen. I nie miej teraz takiej przerażonej miny! Czy nie gospodarowałem mądrze tymi pieniędzmi? A tobie i twojemu bękartowi źle się powodzi?

Kathleen się odwróciła, ale Ian jeszcze nie skończył.

– I słyszałem też o ofercie Miss Daisy, Mary Kathleen! – zatriumfował. – Powiedz, ciężko ci było podjąć taką decyzję? Miałabyś wówczas w Wicklow łatwe życie. Dlaczego mimo to wzięłaś mnie za męża, Kathleen? Tylko ze względu na twojego małego bękarta?

Kathleen nie odezwała się ani słowem. Także wtedy, kiedy w pijackim rauszu, opanowany żądzą władzy zaciągnął ją do łóżka, a ona się obawiała, że udusi się nie tylko pod jego ciężarem, ale także przytłoczona faktami, o których się dowiedziała.

Wstała rankiem, zanim jej mąż się poruszył. Szybko ugotowała dzieciom płatki owsiane, przywiązała sobie na plecach małą Heather i posadziła przed sobą chłopców na młodym, kasztanowatym mule. Popędziła tak szybko, jak tylko była w stanie, ścieżką nad brzegiem rzeki i zastała Matta Edmunda w czasie klarowania swojej łodzi, na chwilę przed wyruszeniem do Christchurch.



– Mr Edmunds... – Kathleen zeskoczyła na ziemię i przyprowadziła mu muła. – Przysłała mnie mój mąż, abym dostarczyła wam kupionego wczoraj konia. To bardzo piękne zwierzę. Myślę, że tym razem będziecie zadowoleni!

Matt Edmunds nawet nie zauważył, że klacze zostały zamienione, ale za to zdziwiła się Claire, kiedy razem z Kathleen prowadziła zwierzę do stajni.

– Wasza śliczna klacz? Twój Ian sprzedał mojemu Mattowi swojego najlepszego muła? Ile on za to zapłacił? Muszę liczyć się z tym, że będę niedługo wypędzona z chałupy, kiedy nie dostarczymy pieniędzy? – Roześmiała się i poklepała muła po grzbiecie. Spottey natychmiast zareagowała zazdrosnym rykiem.

Kathleen nie była w nastroju do żartów.

– Przede wszystkim wypędź dziś swoje zwierzęta trochę dalej, na trawę... – poradziła przyjaciółce. – Zabierz Spottey i nową klacz i daj im się paść przy tej skale, Skrzacie Leprechaunie. Albo lepiej ukryj je na Łące Elfów. A przede wszystkim staraj się nie wejść w oczy mojemu mężowi. Ach – i zobacz jutro, co u mnie! I zatroszcz się o moje dzieci, jeśli on mnie zabije!

## ROZDZIAŁ II

Sierżant Meyers nie mieszkał ze swoją młodą żoną w prowizorycznym budynku koszar, który był niewiele bardziej komfortowy niż baraki więźniów. Oboje wynajęli w przytulnym, małym pensjonacie mieszkanie składające się z dwóch pokoi i gospodyni od razu wpuściła Lizzie do środka. Wygląd dziewczyny budził zaufanie – miała na sobie ciemną suknię, bardzo starannie upięła też włosy. Zdjęła jednak czepek i fartuszek, aby nie wyglądać jak służąca. Był środek tygodnia i Lizzie wykorzystwała konieczność zrobienia jakichś sprawunków, aby dostać wolną godzinę.

Szła za gospodynią z bijącym sercem. Sierżanta Meyersa nie powinno być o tej porze w domu. Lecz przecież nigdy nic nie wiadomo...

Ale rzeczywiście w domu była tylko Velvet, która powitała ją radośnie. Natychmiast odesłała ciekawą gospodynię, uprzejmie, ale stanowczo, prosząc o przyniesienie herbaty i ciasta dla niej i przyjaciółki.

– Właściwie nie mogę zostać zbyt długo... – Lizzie wierciła się nerwowo, rozglądając się po pokoju. – Ładnie masz tutaj! Stałaś się prawdziwą lady, Velvet.

Velvet się uśmiechnęła.

– Nie jest tu tak ładnie jak u twoich państwa – powiedziała. Meyersowie tymczasem także odwiedzili Smithersów. Obrzuciła Lizzie nieco wyzywającym spojrzeniem i źle zrozumiała jej nieszczęśliwy wyraz twarzy. – No tak, gdybym musiała każdego dnia sprzątać taki dwór, to też patrzyłabym na to inaczej... – uściśliła.

Lizzie potrząsnęła głową.

– Nie, to nie to. Lubię sprzątać... Ale nie mamy zbyt wiele czasu, Velvet. Posłuchaj, potrzebuję twojej pomocy.

Velvet wykonała ręką ostrzegawczy gest, wskazując ruchem głowy na drzwi. W tym momencie do pokoju weszła bez pukania gospodyni i postawiła na stole tacę z filiżankami do herbaty i ciastkami.

Velvet podziękowała jej z uśmiechem i poprosiła Lizzie, aby usiadła.

– Teraz możemy pomówić – powiedziała, kiedy kobieta wyszła. – A więc, co mogę dla ciebie zrobić? Słyszałam, że chcesz wyjść za mąż.

– Ja chcę uciec – poprawiła ją Lizzie. Nie miała czasu na uprzejmą konwersację. – Razem z Michaelem Drurym. Ale on najpierw musi się uwolnić z łańcuchów *chain gang*.

– Chwileczkę... – Velvet nalała herbaty do filiżanek. Nie wydawało się, aby słowa Lizzie zrobiły na niej jakieś wrażenie, ale Velvet w końcu zawsze taka była. – To

trochę za szybko. Czy zdajesz sobie sprawę, że dotychczas nikt jeszcze nie uciekł z Ziemi van Diemena?

– Tak mówią – odpowiedziała Lizzie. – Ale gdyby mnie, a nie gubernatorowi od czasu do czasu ktoś uciekał, to też bym się do tego nie przyznała. Zresztą to nieważne. My będziemy pierwsi.

– Ale dlaczego, Lizzie? – Velvet poznała po zniecierpliwionym wyrazie twarzy dawnej współtowarzyszki z celi, że ona nie chce na ten temat dyskutować.

Lizzie spojrzała wymownie na piękny zegar stojący w kącie pokoju.

– Muszę iść do rzeźnika, kucharka czeka na mięso...

Velvet skinęła głową.

– A więc dobrze, chcesz koniecznie unieszczęśliwić siebie i tego Michaela Drury’ego. Co ja mogę zrobić?

– Możesz się wstawić u twojego męża, aby przeniósł Michaela do grupy z drugim stopniem bezpieczeństwa i zdjął mu łańcuchy! – oświadczyła Lizzie. – To po pierwsze. Potem musimy się jakoś dostać do Hobart...

Jeśli miała być szczerą, to jej plan nie był jeszcze opracowany we wszystkich szczegółach. Tym bardziej że wszystko musiało się odbyć bardzo prędko, bo jej zapowiedzi wisiały już w kościele.

– Jakoś – powtórzyła Velvet kpiąco. – Nie siedź, Lizzie, jak na szpilkach, poświęć mi trochę czasu.

– Ale ja nie mam czasu! – wyrwało się Lizzie. – Ta świnka Smithers kładzie się na mnie każdej nocy, którą spędza pod swoim dachem! I to z błogosławieństwem swojej żony, której się zdaje, że zdoła go ode mnie odstawić, kiedy wyda mnie za mąż! Za cztery tygodnie chcą mnie wydać za ogrodnika, który zgadza się na to, że będzie się mną dzielił ze Smithersem. A Michael Drury jest uwiązany do łańcucha z kilkoma silnymi głupkami, którzy roją o ucieczce do Nowej Zelandii. Tylko nawet nie potrafią wiosłować, nie mówiąc już o przepłynięciu Morza Tasmana żaglowcem. Nie mam czasu, Velvet! Potrzebne mi są papiery i bilet na najbliższy statek!

– Statki do Anglii są bardzo dokładnie kontrolowane – stwierdziła Velvet.

– Do Anglii, ale nie do Auckland albo Greymouth, czy jak też się nazywają te dziwne miejscowości w Nowej Zelandii! Sam pomysł nie jest zły, tylko plany jego realizacji! Z Dylanem i Connorem Michael nigdy się tam nie dostanie!

Velvet ugryzła kawałek ciasta.

– A więc, po pierwsze: masz więcej czasu, niż sądzisz – stwierdziła. – Nie, nie teraz, musisz iść zaraz do rzeźnika, to rozumiem. Ale masz czas, jeśli chodzi o wychodzenie za mąż. Przed ułaskawieniem przesłuchają cię jeszcze raz, a w tym celu przewiozą cię do Hobart albo do Launceston, jak będziesz miała pecha. Ale nie sądzę, bo twoje papiery są ciągle w Cascades. To na pewno potrwa dwa miesiące, więc nie szalej. A po drugie... Rozumiem, że chcesz uciekać. A pomysł jest genialny...

Gdyby mi to kiedyś przyszło do głowy! Ale do czego, na miłość boską, potrzebny ci jest ten Drury?

Lizzie zamknęła oczy.

Velvet z westchnieniem odsunęła ze swego alabastrowego czoła kilka pasm pięknych czarnych włosów.

– No tak, wiem, kochasz go. Można to było zauważyć już na statku. Ależ Lizzie, ten mężczyzna sprawi, że będziesz nieszczęśliwa! To jest lekkoduch, on...

– Nie znasz go w ogóle! – Lizzie broniła z zębami swojego idola.

Velvet wymownie przewróciła oczami.

– Dość się nasłuchiwałam o jego przygodach – powiedziała. – Przy czym lekkoduch to raczej niewłaściwe słowo, może ten Drury jest rzeczywiście dobrym człowiekiem. W końcu ciągle całym sercem kocha tę dziewczynę, którą zostawił w ciąży w Irlandii...

– On... z Mary Kathleen...?

Lizzie dotychczas nie ruszyła swojej herbaty, ale teraz potrzebowała czegoś na wzmocnienie. Velvet wyciągnęła z za kanapy butelkę dzinu i wlała jej solidną porcję do herbaty.

– Masz, pij, tego nie będzie czuć. Więc tak, twój Michael zostawił dziewczynę, która jest z nim w ciąży. Najpierw zrobił jej dziecko, a dopiero potem zaczął się zastanawiać, jak je wyżywić. To tak samo, jak gdyby najpierw uciekł do lasu pełnego żmij, a potem zaczął myśleć, jak się stamtąd wydostać. On z początku nie wiedział nawet, że jest na wyspie. Ten człowiek zawsze będzie cię wpędzał w kłopoty, Lizzie! Jest zbyt uczuciowy, zbyt impulsywny. Już go raz uratowałaś, kiedy leżał w gorączce. A teraz chcesz go znów ratować... On cię nawet nie kocha! – Velvet nałala dzinu także do własnej filiżanki.

– Ale mnie pokocha! – upierała się Lizzie. – Jeśli tylko ja...

Na nosie Velvet pojawiła się podłużna zmarszczka, jak zwykle wtedy, kiedy pozwalała sobie na zdenerwowanie.

– Jeśli co jeszcze dla niego zrobisz? Kłamstwa, kradzieże, puszczanie się... Ja zrobiłabym wszystko dla mojego Murphy'ego... A potem musiałam słuchać, jak w sądzie zwałił całą winę na mnie. Twierdził, że jest tylko wieśniakiem i nawet nie za bardzo wiedział, że kradzież zegarków jest zabroniona. Tak powiedział. I dodał, że to ja podrzuciłam mu ten zegarek... A ja kradłam dla niego całe dwa lata. Z początku myślałam, że umrę. Ale nie jest tak łatwo umrzeć. – Velvet spuściła wzrok.

– Ale Michael... – spróbowała raz jeszcze Lizzie.

– Zapomnij o Michaelu! – przerwała jej Velvet ostro. – Sama powalcz o swoje bezpieczeństwo. Znajdziesz kogoś innego w twojej Nowej Zelandii, w tych koloniach jest mnóstwo chłopów. I tam, na wyspach, oni wszyscy są wolni!

Lizzie zagryzła dolną wargę.

– Sama nie dam rady uciec – wyszeptała. – Potrzebuję go.

Velvet potrząsnęła głową.

– Ty go nie potrzebujesz. To on potrzebuje ciebie!

– To przecież jest to samo! – upierała się Lizzie. – No więc, pomożesz mi teraz?

Proszę, Velvet! Sama mówisz, że to dobry człowiek!

Velvet z namysłem oparła czoło na rękę.

– A więc dobrze, Lizzie – powiedziała po chwili. – Ale obiecaj mi, że niczego nie będziesz robić pochopnie! Przemyśl wszystko jeszcze raz w spokoju!

Lizzie przytaknęła bez przekonania, a Velvet rozmyślała intensywnie i za chwilę miała pierwszy pomysł.

– Posłuchaj, Lizzie, twój Michael jest ze wsi. Nie wiesz, czy on się zna na koniach?

Lizzie nie miała o tym pojęcia, ale natychmiast przytaknęła gorliwie.

– Na pewno! – oświadczyła.

– Dobrze. Tutaj bardzo brakuje woźniców. Do transportu materiałów budowlanych i drzew po karczunku potrzebne są ciężkie zaprzęgi, ale większość więźniów pochodzi z wielkich miast. Nie potrafią powozić, w dodatku boją się tych ogromnych koni pociągowych. Jeśli twój Michaela zwolnią z łańcuchów i przez kilka tygodni będzie się nienagannie zachowywał, dostanie wóz do powożenia. To będzie twój i jego bilet do Hobart. Ale na to wszystko potrzeba trochę czasu. Dasz radę wytrzymać?

Lizzie przytaknęła dzielnie.

– Spróbuję! – oświadczyła. – Jeśli Michael Drury nie zwieje natychmiast, jak tylko zdejmą mu łańcuchy...

Velvet przewróciła oczami.

– Wtedy potraktuj to jako wyraźny znak dla ciebie! – rzekła. – W gruncie rzeczy byłoby to najlepsze, co mogłoby ci się przytrafić. A teraz idź do rzeźnika, bo będziesz miała kłopoty.

Odprowadziła Lizzie do drzwi i nagle objęła dziewczynę gwałtownie przy pożegnaniu.

– Życzę ci szczęścia, Lizzie! – wyszeptała. – Byłoby cudownie, gdyby choć jedna z nas była szczęśliwa!

Lizzie zadziwiająco dobrze przetrwała następne tygodnie. Mr Smithers był zachwycony, zaś jego żona i Cecil rozczarowani, bo procedura ułaskawienia się przeciągała i wesele musiało poczekać. Mrs Smithers od czasu do czasu pozwalała sobie na złośliwe uwagi; najwyraźniej była zdania, że Lizzie mogłaby się teraz zabawiać z Cecilem, a nie z jej mężem. Bez względu na to, czy akt ślubu był już wypisany, czy też nie! Choć nigdy nie zwracała się z tym wprost do Lizzie.

Michael w trzy tygodnie po rozmowie między Lizzie a Velvet rzeczywiście został

uwolniony z łańcuchów, ale nagle ułaskawienie i rozstanie z kompanami z *chain gang* przynajmniej przez jakiś czas wydawało się go niepokoić. Na razie zachowywał się dobrze i szybko się odnalazł w nowej pracy jako chłopiec stajenny, do której skierował go Meyers po krótkim wypytywaniu o wcześniejsze doświadczenie. Michael dawniej bez trudu radził sobie z mułami, a ciężkie, zimnokrwiste perszerony, którymi miał się teraz zajmować, były co prawda większe, ale nie trudniejsze w obejściu. Michael karmił je i czyścił, i ku ogromnemu zdumieniu koniuszego wiedział nawet, jak się je zaprzęga.

– Potrafisz nimi powozić?

Michael skinął głową i szybko nauczył się jeździć ciężkim wozem, którym transportowano materiały budowlane i wielkie pnie drzew. Konie były mniejszym problemem niż rozmiary wozu. Choć co prawda wozy żniwne lorda Wetherby też nie były o wiele mniejsze. Michael szybko został woźnicą, ale jeszcze nie ufano mu na tyle, aby wysłać go samego na ulicę.

– Nie rób, proszę, głupstw! – zaklinała go Lizzie.

Starła się z nim spotykać tak często, jak tylko możliwe, ale nie było to łatwe. Najprędzej udawało się go zobaczyć w dni powszednie, kiedy musiała załatwić jakieś zakupy. Kucharka Ginnie wielkodusznie brała udział we wszystkim, choć nie była wtajemniczona w plany ucieczki ze względu na liczne, choć nieco inne obawy.

– Jak to będzie, dziecko? Kochasz jednego mężczyznę, a wychodzisz za mąż za innego, a trzeci bierze sobie, co tylko chce. Uważaj, dziewczyno! Cecilowi może nie spodobać się to, co robisz z panem. Ale co prawda on nic nie może na to poradzić. Za to jak się dowie o tym przystojnym woźnicy...

Lizzie wzruszała ramionami. Zanim Cecil o czymkolwiek się dowie, miała być już na statku płynącym w stronę nowej Zelandii – albo w więzieniu w Hobart. Wiedziała, że jeśli ucieknie, to nie będzie już powrotu, i czasami wydawało jej się, że lepiej być dziwką Smithersa niż żoną Cecila.

– Zachowuj się przez parę miesięcy dobrze, pozwól, aby Meyers zaczął ci ufać!

Lizzie kolejny raz zaklinała Michaela, który siedział na koźle wozu, podczas kiedy ona szła obok, pozornie przypadkowo, w kierunku sklepu. Próbowała przy tym na niego nie patrzeć i z trudem się powstrzymywała, aby nie zerkać na jego przystojną twarz i błyszczące zadowoleniem oczy.

– Kiedyś wreszcie nadarzy się jakaś okazja! – wyszeptała.

– Tak, oczywiście! – w głosie Michaela słychać było wyraźną beztróskę. Praca woźnicy odpowiadała mu, i to bardzo. A może on już wcale nie chce uciekać? Lizzie poczuła bolesny skurcz serca. Jeśli ona wszystko zorganizuje, a on powie nie... – Sam i tak nic nie zrobię. Muszę poczekać na Willa, Dylana i Connora! Bez Connora to bez szans!

Lizzie odetchnęła. Czyli on też chciał uciekać. Pomysł czekania na tych

rzejmieszaków będzie musiała mu wyperswadować.

A potem, kilka tygodni po rozmowie Lizzie z Velvet, wydarzenia zaczęły pędzić jedno za drugim.

Zaczął się od tego, że Mrs Smithers zawołała do siebie Lizzie. Dziewczyna pobiegła z bijącym sercem. Czy zdaniem jej pani wszystko trwało już za długo? A może będzie jej znów robiła wyrzuty, że uwodzi jej męża?

Ale Mrs Smithers daleka była tak od jednego, jak i od drugiego. Bo wiadomości, które miała, były raczej bardzo pozytywne.

– Jutro jedziesz do Hobart. Chcą cię jeszcze raz przesłuchać i potem, mam nadzieję, sprawa twojego małżeństwa pójdzie szybko. A Pete i tak jedzie do Hobart, odwozi Davida Parsleya na statek.

Pete był parobkiem, który pełnił także funkcję woźnicy.

Serce Lizzie zabiło mocno.

– Mr Parsley... wyjeżdża? – odważyła się zapytać, starając się przy tym nie okazywać zainteresowania.

– Tak, w interesach. Jedzie do Nowej Zelandii, chodzi o pewne zlecenie. Oni planują chyba budowę drogi z wybrzeża wschodniego na zachodnie... Coś w tym rodzaju. Ja wolałabym wrócić do Anglii... Ale to nie twoje zmartwienie, zwłaszcza że w ciągu najbliższych dwóch, trzech lat i tak nie będziemy mogli stąd wyjechać. W każdym razie przygotuj się teraz, wyjazd jest o świcie.

Lizzie rozmyślała o tym gorączkowo w czasie pracy. Dziś jest czwartek, jutro piątek, a w sobotę byłoby już w drodze, czyli statek wypływał w niedzielę lub w poniedziałek. Sądziła, że da sobie radę z Parsleyem, bo ten był wyjątkowym fajtlapą, a w dodatku często mrugał do niej i patrzył na nią dwuznacznie, kiedy tylko był u Smithersów z wizytą, a ona mu usługiwała. Czy wiedział, że ona należała do jego szefa? Lizzie poczuła, że krew uderza jej do twarzy. Ale w gruncie rzeczy było jej to już obojętne. Wręcz przeciwnie, to mogło nawet poprawić sprawę. Teraz należało przede wszystkim znaleźć Michaela. Dziewczyna szybko nakryła stół do kolacji i pobiegła do Ginnie.

– Muszę koniecznie wyjść! Wyślij mnie z jakąś sprawą dokądkolwiek!

Kucharka zmarszczyła czoło.

– A co chcesz teraz załatwiać, dziecko? *Missus* wie, że będziesz usługiwać. I czeka na Mr Smithersa...

Lizzie popatrzyła na nią z przerażeniem.

– Co, już dziś?! Ale to nieważne. Muszę wyjść, i to koniecznie, Ginnie! Wymyśl coś. Powiedz im, że poszłam do Cecila, aby mu przekazać radosną wiadomość o moim rychłym ułaskawieniu. Albo powiedz, że wysłałaś mnie po jajka, a ja potem powiem, że skręciłam stopę w kurniku i...

Ginnie chwyciła się za głowę.

– Kury już śpią – zauważyła. – Oprócz tych, które nie mają piór, te mają bąki w tyłkach! No to biegnij, dziewczyno, ale się pośpiesz! Coś wymyślę. Missus jest w dobrym humorze. A on... No, jeśli wrócisz w odpowiednim czasie...

Lizzie skinęła głową. Znała swoje obowiązki. Ale teraz zerwała z siebie w biegu fartuszek i zawinęła się w wielką chustę Ginnie. Było późne lato i na Ziemi van Diemena wcześniej robiło się zimno. Padał drobny deszczyk, kiedy Lizzie biegła przez wieś do koszarowych stajen. Jeśli będzie miała szczęście, to zastanie tam jeszcze Michaela. Musiał tam jeszcze być!

Michael, gwiżdżąc, właśnie dorzucał koniom siana. Lizzie poczuła taką ulgę, że niemal zrobiło jej się słabo.

– Michael, Michael, jesteś, dzięki Bogu! – Musiała się opanować, aby nie rzucić mu się na szyję z radości.

– Aniołku! – roześmiał się. – Hej, pali się, czy też masz jakieś problemy z twoim małym kochasiem? Może mam się bić w twojej obronie?

Michael wydawał się mieć dobry nastrój i w dodatku nie był całkiem trzeźwy. Nic dziwnego, jeśli wśród więźniów kursowała zakazana whiskey, to woźnicy zawsze należało się kilka łyków. Michael objął nawet Lizzie ramieniem, kiedy ona oparła się o ścianę boksu i próbowała odetchnąć po długim biegu.

– Daj spokój głupstwowi i posłuchaj! – Napięcie i strach sprawiły, że zaczęła się bronić energiczniej, niż właściwie chciała. Miała nadzieję, że nie był na tyle pijany, aby nie zrozumieć jej planu! – Michael, w niedzielę w nocy albo w poniedziałek z Hobart wypływa statek do Nowej Zelandii. Będziesz miał papiery i bilet. Nie, nie pytaj mnie teraz skąd, nie mam czasu. Ale musisz jakoś dotrzeć do Hobart. Spotkamy się...

– ...w Battery Point, tawerna Mayfair... – powiedział szybko Michael. Na szczęście pojął wszystko błyskawicznie. – To jest pub, ponoć łatwo go znaleźć...

Lizzie przewróciła oczami.

– Nie mów tylko, że milicja będzie szukać właśnie tam – zakpiła. – Ale dobrze, przynajmniej mamy jakiś adres. Tylko nie wchodź do środka! Bądź gdzieś w pobliżu. Albo jeszcze lepiej: poszukaj statku do Nowej Zelandii i ukryj się przy nabrzeżu. Zjawię się tam z pewnym mężczyzną. Będziesz szedł za nami, ale tak, żeby cię nikt nie zauważył. Spotkamy się potem i wtedy dam ci papiery.

– Ale jak ty chcesz... – To było jednak zbyt szybko dla Michaela.

– Nie wiem jeszcze, ale rzecz jest warta spróbowania. Przyjedź po prostu do Hobart. I nikomu o tym nie mów. Także twoim kompanom z *chain gang*!

– Ale oni będą... Przecież nie mogę ich... Oni będą się dopytywać...

– Mają się dopytywać! Lepiej zostawić ich w niepewności, gdyby mieli cię wsypać! Michael, zanim statek wypłyne z portu, musisz się ukrywać przez trzy dni



i w dodatku pokonać ponad sto pięćdziesiąt mil! Łatwiej będzie ci to zrobić, jeśli nikt nie będzie wiedział, gdzie cię szukać!

Michael zastanawiał się przez chwilę, zapewne rozważał cenę swojej lojalności. Ale wreszcie wzruszył ramionami.

– Zapomnijmy o tym, tak czy tak ruszam jeszcze dziś w nocy! – oświadczył krótko.

Lizzie zacisnęła na chwilę oczy.

– Nie sądzisz, że będzie lepiej, jeśli jutro z zaprzęgiem...

– Zaprzęg za bardzo rzuca się w oczy, mam coś lepszego. Wezmę konia! Życz mi szczęścia, Lizzie!

Lizzie chciała już iść, ale on nagle się pochylił i pocałował ją. Najpierw w czoło, a potem szybko w usta.

– Tobie też życzę szczęścia!

Lizzie była nawet w stanie uśmiechać się tej nocy, kiedy Smithers po raz ostatni przyszedł do jej łóżka. Zniosła jego pieszczoty i rozmyślała o Michaelu.

Bo to jemu akurat potrzebny był łut szczęścia. Nie tylko w czasie ucieczki, lecz już przy wyruszaniu z baraków. Wśród koni, którymi się opiekował, był też młody i nader niesforny ogier rasy shire. Był to wspaniały, ogromny wierzchowiec o ciemnobrązowym umaszczeniu, białych skarpetkach i wysokości wynoszącej prawie dwa i ćwierć jarda. Pewien farmer z Launceston sprowadził tego konia z Anglii i jeden z jeźdźców przywiózł go z Hobart. Teraz ogier stał w stajni Michaela i czekał na możliwość dalszego transportu – przy czym koniuszy wcale się z tym nie śpieszył. W jego stadzie było wiele klaczy i koniuszy zamierzał je pokryć ogierem, zanim ten zostanie odtransportowany. Oczywiście za darmo, co zrozumiałe, bo nawet nie planował powiedzieć o tym farmerowi. W dodatku wszyscy okoliczni osadnicy posiadający klacze czy oślice też zgłaszali się do niego z podobnymi propozycjami. Uiszczali koniuszemu niewielkie opłaty, a ogier spisywał się nadzwyczaj dobrze.

Zwierzę, by tak rzec, nie dowierzało własnemu szczęściu. Kiedy tylko w pobliżu zjawiała się kolejna klacz, niesforny ogier niecierpliwie bębnił kopytami w ścianę boksu, który Michael musiał już trzy razy naprawiać. Było jak najbardziej możliwe, że któregoś dnia ogierowi uda się uciec. A był to koń bardzo silny. Mógł bez trudu dotrzeć do Hobart, nawet z Michaelem na grzbiecie. Gdyby przedtem w ogóle kiedykolwiek nosił na grzbiecie jeźdźca...

Michael wcale nie był tego pewien, a jego serce biło gwałtownie, kiedy szukał w stajni największego siodła. A może jednak nie, przecież brak siodła będzie zauważony natychmiast! Michael przełknął ślinę, ale postanowił zaryzykować i jechać na koniu bez siodła. Założył ogierowi jedynie stary pas, okiełznał go najstarszym i najbardziej niepozornym kielzmem, jakie było w stajni, i przemawiając do konia uspokajająco, wyprowadził go na zewnątrz. Należało jeszcze zostawić

wiadomość. W stajni była tablica, na której woźnice zapisywali, dokąd jeździli. Michael poszukał kredy i napisał wielkimi literami w poprzek:

OGIER UCIEKŁ, BIEGNĘ ZA NIM W KIERUNKU ZACHODNIM. MICHAEL.

Na kilka godzin powinno to uspokoić i zająć koniuszego. Z pewnością wyśle jakąś grupę poszukiwawczą, ogier był cennym zwierzęciem. A Michael będzie w tym czasie pędził na wschód... Albo wkrótce skręci sobie kark.

Teraz Michael potrzebował jedynie jakiegoś kamienia albo innego sposobu, aby się wdrapać na grzbiet olbrzymiego konia. Nie mógł ryzykować zostawienia śladów na miękkiej ziemi. Koniuszy natychmiast znalazłby ślady podków ogromnego ogiera, których nie można było pomylić z innymi. Młody mężczyzna wyszeptał krótką modlitwę i myślał o Kathleen, kiedy stojąc na koźle wozu, wdrapywał się na grzbiet Gideona. Ogień tańczył przez chwilę niecierpliwie, przebierając kopytami, ale szybko się uspokoił. Michael dziękował niebiosom. A potem popędził konia. Gideon zrobił kilka kroków i Michael wiedział już, że to tylko przedsmak tego, co go czekało. Bez siodła koń wytrzęsie go tak, że będzie go potem przez długi czas bolało wszystko. Ale to już nie miało znaczenia. Byli w drodze.

Lizzie starała się paplać wesoło i swobodnie, kiedy razem z Davidem Parsleyem wsiadała do bryczki jadącej do Hobart. Niestety ten młody mężczyzna najwyraźniej należał do ludzi, którzy wczesnym rankiem zawsze byli nie w sosie. Lizzie w końcu zamilkła i postanowiła poczekać, aż David się obudzi. Mimo ogromnego zdenerwowania i niepokoju udało jej się zdobyć na ciepły uśmiech, kiedy on wreszcie okazał nieco zainteresowania jej osobą. Lizzie znalazła też temat rozmowy, który go zainteresował, a była to budowa dróg. I teraz wreszcie Parsley mówił i mówił. Lizzie mogła umilknąć, była jednak potwornie zmęczona, kiedy Pete zatrzymał się wieczorem przed znanym jej uroczym małym pensjonatem, w którym Lizzie w drodze do Smithersów spędziła najprzyjemniejszą i najbardziej obiecującą noc swojego życia. „I to bez mężczyzny” – pomyślała gorzko. Właściwie towarzystwo mężczyzny jeszcze nigdy nie sprawiło jej przyjemności. Pachnące lawendą łóżko kusilo, a David Parsley właśnie zaczął się do niej zalecać. Jednak lepiej było zachować ostrożność...

– Śpimy na sianie – oznajmiła woźnicy Pete’owi. On przynajmniej jej nie dotknie. Westchnęła i zachowywała się tak, jak gdyby ciężko jej przyszło pożegnać się z Parsleyem. Na szczęście magia zadziałała. Dzięki jej uśmiechowi nieprzystępne serce inżyniera zmiękło i choć nie czekała jej noc na pachnących lawendą prześcieradłach, to przynajmniej zjadła dobrą kolację. Lizzie po raz pierwszy w życiu piła dobre wino i zachwycała się owocowym smakiem nieznanego jej napoju. W Londynie próbowała kiedyś słodkiego, lepkiego napoju, który zwano czerwonym winem, ale nie można było tego porównać z lekką kwaskowatością oraz posmakiem

cynamonu i gruszki francuskiego Muscata Blanc. Mogłaby siedzieć bez końca przy stole ozdobionym zapalonymi świecami, bez względu na to, co opowiadał Parsley.

– Nie przepuszczasz żadnej okazji... – zamruczał Pete, kiedy mocno ożywiona, choć dygocząc z zimna, mościła sobie wygodne pośłanie na sianie. Ta uwaga kazała jej natychmiast spoważnieć. Ginnie i Pete dotychczas mieli o niej jak najlepsze zdanie, ale za kilka dni także oni będą uważali Lizzie Owens za dziwkę.

Następny dzień podobny był do pierwszego, ale Parsley był już bardziej ożywiony i zaczął flirtować z Lizzie.

– Nie ma pan żony, Davidzie Parsley? Nie brakuje panu czasem delikatnych kobiecych ramion, kiedy tak podróżuje pan po świecie, aby budować drogi we wszystkich koloniach?

Parsley zaczerwienił się jak panna i próbował wymigać się od odpowiedzi.

– Taka kobieta... hm... takiej słodkiej jak pani po prostu... ehm... jeszcze nie znalazłem.

Lizzie się uśmiechnęła i pozwoliła sobie na marzenia. Co by było, gdyby on mówił poważnie? Gdyby udało jej się zdobyć tego przystojnego i bez wątpienia bardzo rozmownego mężczyznę? David Parsley miał gęste brązowe włosy, okrągłą twarz i miłe brązowe oczy. Potrafiłby się zatroszczyć o rodzinę – a jej może udałoby się zobaczyć kawałek świata, gdyby z nim jeździła. Ale to była iluzja. Nigdy nie potrafiłaby przekonać Parsleya, żeby już teraz zabrał ją do Nowej Zelandii – a zwłaszcza jeszcze przed ułaskawieniem. A kiedy teraz wróci, to ona od dawna będzie już żoną Cecila. Bycie dobrą było znów niemożliwe. Wręcz przeciwnie: Lizzie dołożyłaby do i tak bogatego rejestru swych grzechów jeszcze kilka innych.

Drugiego wieczoru znów zjadła kolację z Parsleyem i tym razem nie było już tak łatwo odrzucać jego awanse i propozycje. David Parsley wypił większą część dwóch butelek wina i chwiał się trochę, kiedy wstali oboje od stołu i odprowadzał Lizzie.

– Proszę przyjść do mnie, Miss Lizzie... U mnie będzie cieplej niż na sianie... a o ile dobrze zrozumiałem Mr Smithersa, nie jest pani aż tak pruderyjna...

Lizzie poczuła nagły chłód w sercu. A więc jednak. Ten młody mężczyzna, pozornie taki naiwny, wiedział o jej hańbie. Smithers zdążył się pochwalić wszem wobec...

Lizzie odetchnęła głęboko. Nie wolno jej było się obrazić, miała przecież pewną rolę do odegrania.

– Ale... Ale nie na oczach woźnicy Mr Smithersa, Mr Parsley... – wyszeptała. – To... byłoby kompromitujące, nie sądzi pan? Ale może... może jutro. Właściwie... kiedy odpływa pański statek, Mr Parsley?

## ROZDZIAŁ 12

Zadaniem Pete'a było jedynie dostarczyć Lizzie w sobotę wieczór do Cascades Female Factory. Miała ona spędzić tam noc, a w poniedziałek być przesłuchana. Kiedy jednak dotarli po południu do Hobart, Parsley wcisnął woźnicy do ręki jednofuntowy banknot. Dla więźnia był to mały majątek.

– Zapomnij teraz o tej małej, człowieku! – rozkazał Parsley. – Jutro rano wypływa mój statek i chcę się przedtem zabawić. Zabieram ją do mojego hotelu!

– Ale moi państwo będą pytać... – odpowiedział Pete niepewnie. – I *factory*... Przyjazd tej dziewczyny jest tam zgłoszony...

– Pojadę tam przecież, Pete – uspokoiła go Lizzie. – Tylko troszkę później, w nocy. Zapukam grzecznie do drzwi, żeby nikomu nie przyszły do głowy głupie myśli, i powiem im, że po drodze złamała nam się oś.

– Osobiście ją tam odwiozę! – oświadczył Parsley i uśmiechnął się szeroko do Lizzie.

Pete w końcu wzruszył ramionami.

– Sam pan wie najlepiej, co robić, sir. A ty też! – Rzucił Lizzie niechętnie spojrzenie i zawrócił wozem w stronę stajni, gdzie też miał nocować na sianie.

Lizzie odetchnęła. Teraz miał się rozegrać ostatni akt. A Michael... Miała nadzieję, że Michael zdołał już dotrzeć do Hobart!

– Teraz poszukamy sobie przytulnego pensjonatu, słodziutka... – wyszeptał Parsley, ujmując Lizzie pod ramię, a ona uśmiechnęła się do niego obiecująco.

– Może gdzieś w porcie? – spytała. – Wtedy nie będziesz miał daleko jutro rano. A ja tak chciałabym zobaczyć statek! Lubię oglądać statki, wiesz? Gdybym była mężczyzną... Och, myślę, że wtedy zostałabym marynarzem... Pływałabym po morzu...

– Ty w marynarskim ubraniu, jakież to byłby śliczny widok! – droczył się z nią Parsley.

Lizzie zadrżała. Czy wszyscy mężczyźni lubili uniformy?

Statek okazał się nowoczesnym trójmasztowcem, a o ile potrafiła to ocenić Lizzie, robił wrażenie naprawdę szybkiego. Był mniejszy niż „Asia”, ale też nie miał podróżować przez trzy miesiące. Parsley zdradził jej, że podróż do Nowej Zelandii miała trwać od dwudziestu do trzydziestu dni. Lizzie znów czuła przyspieszone bicie serca. Gdyby wreszcie byli na pełnym morzu!

I wtedy zobaczyła Michaela. Siedział na nabrzeżu z wędką w ręku dla kamuflażu. Wyglądał jak jakiś biedny hulaka, który próbował w cieniu portowego ładunku

złowić coś na kolację. Lizzie starała się nie spojrzeć w jego kierunku po raz drugi. Ale w tym momencie on dostrzegł ją i zaczął zwiajać wędkę. Lizzie zdecydowanym ruchem cofnęła ramię spod ręki Parsleya.

– Chodź teraz, zimno mi się robi... My... My... A może kupimy sobie butelkę whiskey?

Lizzie modliła się w duchu, żeby Parsley się zgodził. Już poprzedniego wieczoru zauważyła, że niezbyt dobrze znosił alkohol. Jeśli zataczał się po winie, to po wypiciu pół butelki whiskey będzie spał jak zabity. Wtedy byłaby zwolniona z konieczności ogłuszenia go, co było zadaniem nader nieprzyjemnym. Lizzie w ogóle nie sądziła, że będzie w stanie je wykonać.

Parsley przyciągnął ją do siebie.

– O, to whiskey też lubisz, Miss Lizzie... Kto by to pomyślał, a w domu Smithersów zachowywałaś się tak cnotliwie... Tak, tak, ot wy, dziewczyny...

Parsley zachichotał, jak gdyby odkrył tajemnicę strzeżoną od czasów pramatki Ewy. Lizzie roześmiała się mimo smutku, wiedziała, że teraz musi wytrwać i nie wolno jej brać poważnie żadnego z jego słów. Na szczęście Parsley nie zdecydował się na hotel na godziny, lecz na pensjonat, którego gospodyni nie pytała o akt ślubu, kiedy wpisał ich do księgi gości jako małżeństwo Parsley, za to oddała im do dyspozycji przestronny pokój i kilka czystych prześcieradeł.

Lizzie rozcieńczyła swoją whiskey wodą, za to sporą ilość czystej naląła Parsleyowi. Była aż za bardzo zdenerwowana, nie mogła się doczekać, kiedy David będzie pijany, i zastanawiała się poważnie, czy po pierwszym stosunku, kiedy drzemał wyczerpany, nie przyłożyć mu w głowę pogrzebaczem. Ale nie, tak właśnie Anna Portland zamordowała swojego męża! Lizzie nie mogła ryzykować. Wprawdzie nie było jej pisane zostać dobrym człowiekiem, ale nie musiała też być od razu morderczynią. Znow się więc uśmiechnęła i zaczęła potrząsać Parsleya, żeby się obudził.

– Nie masz mnie chyba jeszcze dosyć! Nie możesz! Tu, wypij jeszcze parę łyków. A potem spraw, abym jeszcze raz była szczęśliwa.

Lizzie rzadko pracowała tak ciężko jak tej nocy, wykonując swoje nie ulubiane rzemiosło, ale o trzeciej w nocy David Parsley wypił już ponad dwie trzecie butelki whiskey. O piątej zaś należało się stawić na statku, który o siódmej wypływał z portu. David spał jak zabity. Lizzie mogła teraz zajrzeć spokojnie do jego walizek i opróżnić je – ale zaraz, dlaczego nie miałyby ich zabrać ze sobą? Oboje z Michaeliem będą potrzebować bagaży. Gdyby ich nie mieli, byłoby to podejrzané. Z zimną krwią schowała do kieszeni sakiewkę Davida i zniosła jego torbę na dół.

– Mój mąż zaraz zejdzie – powiedziała do gospodyni i wybiegła szybko, zanim ta zdążyła o cokolwiek zapytać.

Lizzie miała nadzieję, że kobieta nie pobiegnie za nią albo nie zacznie budzić Parsleya. Ale to było mało prawdopodobne. Jak długo David był w hotelu, gospodyni

musiała czekać na zapłatę rachunku. A co niosła ze sobą „Mrs Parsley” w torbie, to zupełnie nie obchodziło właścicielki hotelu.

Michael wyszedł z niszy w murze, kiedy tylko pojawiła się na dole.

– Wreszcie! Myślałem, że nigdy nie wyjdiesz! Kto to był? I co... co robiłaś?

Lizzie zmęczona podała mu paszport swojej ofiary.

– To był David Parsley. A teraz ty jesteś David Parsley. Więcej nie musisz wiedzieć.

Jak najciszej, jak zupełnie „legalna” para nocnych hulaków, wędrowali oboje w stronę portu. Michael zarzucił na ramię torbę Parsleya. Czuć było od niego intensywną woń końskiego potu.

– Do diabła, niemal nie mogłem się uwolnić od tej szkapki – opowiadał o swoich przygodach z Gideonem. Dzielny ogier zaniósł go na swym grzbiecie aż do Hobart i wcale nie był zmęczony. Dopiero w drugą noc Michael zjechał na boczne drogi i barwnie opowiadał o egzotycznych zwierzętach, które tam spotkał.

– Przysięgam ci, że jedno z tych bydła to był ów osławiony diabeł tasmański...

Opisał zwierzę wyglądające naprawdę strasznie, o olbrzymich zębach, czarne jak smoła, które jednak nie odważyło się podejść do olbrzymiego Gideona. Za dnia Michael spał spokojnie w cieniu swego olbrzymiego rumaka – wierząc, że stanowi on doskonałą ochronę. Lizzie wiedziała, że na Ziemi van Diemena jedynie jadowite żmije i owady stanowią jakieś niebezpieczeństwo, w przeciwieństwie do osobliwych torbaczy, ale nie powiedziała tego. Michael rozstał się ze swoim koniem z wyraźną niechęcią.

– Gdybym go sprzedał, dostałbym za niego okrągłą sumkę – stwierdził z żalem. – Ale to za bardzo zwracałoby uwagę i mogłoby się komuś wydać podejrzane...

– To było bardzo rozważne z twojej strony! – pochwaliła go Lizzie. – A co z nim zrobiłeś?

– Puściłem go wolno – odparł Michael. – Gdzieś się w końcu pojawi, prawdopodobnie na wybiegu jakiejś miłej klaczy. Farmer będzie mógł się zastanowić, czy zatrzyma go jako przybłąkanego, czy też ma szukać właściciela.

Lizzie uważała, że Michael postąpił słusznie.

– To jest ten statek! – powiedziała, kiedy dotarli do nabrzeża. – „Elizabeth Campbell”. A tu są karty pokładowe. – Podała Michaelowi kilka następnych papierów. – W sakiewce jest dość pieniędzy, mozesz...

– Lizzie, nie wiem, jak mam ci dziękować! – Michael wziął wszystko z jej rąk i popatrzył na trap prowadzący na statek. Przejście było oświetlone, statek po załadunku i wielu pasażerów już nań wchodziło. – To, co dla mnie zrobiłaś... Ale powiedz, czy dla ciebie to nie jest zbyt ryzykowne? Jeśli ten mężczyzna teraz się obudzi...

Lizzie patrzyła na niego, nic nie rozumiejąc.

– Czy to jest dla mnie ryzykowne? – powtórzyła z niedowierzaniem. – Michael, to

jest najbliższy współpracownik Smithersa! I pewnie, że się niedługo obudzi, po jednej butelce whiskey przecież nie umrze...

– Ale wtedy... przecież ciebie obciąży winą... – Michael patrzył na nią zatroskany.

Lizzie przewróciła wymownie oczami.

– Michael, zanim on się obudzi, to my będziemy już dawno na pełnym morzu!

– My? – spytał Michael. – Ty chcesz... jechać ze mną?

– A co ty sobie wyobrażałeś? – Lizzie była w tej chwili zbyt zaskoczona, aby poczuć się urażona. – Że pomogę ci w ucieczce i grzecznie wrócę, żeby poślubić tego – jak ty go nazywasz? – leprechauna?

– To jak to będzie? – Michael nerwowo przekładał torbę Davida Parsleya z jednej ręki do drugiej.

Lizzie czuła, że powoli zaczyna ogarniać ją wściekłość.

– To będzie bardzo proste! – oświadczyła. – Pójdiesz teraz do kapitana, ochmistrza czy też do kogokolwiek, kto jest za to odpowiedzialny, i zabukujesz dodatkowo przejazd dla słodkiej Elizabeth Parsley, twojej kochanej małżonki. To się uda, jak będzie trzeba, to będziesz musiał wziąć mnie do swojej koi.

– Ale to się będzie rzucać w oczy! – zaprotestował Michael. – Jakim cudem ów David Parsley nagle będzie miał żonę?

Lizzie zmusiła się do cierpliwości.

– Michael, kapitan w ogóle nie zna Parsleya. Dla niego Parsley może być żonaty od dziesięciu lat, a może właśnie dopiero co znalazł wielką miłość. Kapitan tego nie wie, a w ogóle będzie mu to cholernie obojętne. On tylko się ucieszy z twoich pieniędzy. Idź więc teraz i powiedz mu, że nagle zdecydowałeś się zabrać swoją małżonkę.

– No nie wiem...

Michael wahał się aż nadto wyraźnie. Z jednej strony zawdzięczał Lizzie możliwość ucieczki, która, jeśli przyjrzeć się temu dokładniej, nie była zbyt honorowa. I okradanie uczciwych ludzi, takich jak David Parsley, jak to właśnie zrobiła Lizzie, właściwie było mu nie w smak. Michael wolałby ukraść statek Korony Brytyjskiej, tak jak planowali wspólnie z Connorem i innymi więźniami, choć bez wątpienia było to związane ze znacznie większym ryzykiem. A teraz nie można już było niczego cofnąć. Byłoby samobójstwem szukać teraz Parsleya po to, żeby mu oddać skradzione papiery. Ale z drugiej strony Michael nie miał też specjalnej ochoty na towarzystwo złodziejki i dziwki w nowym, wolnym życiu w Nowej Zelandii.

– Ale ja wiem! – zawołała Lizzie przytomnie i szybkim ruchem wyrwała zaskoczonemu Michaelowi sakiewkę z pieniędzmi Davida Parsleya.

– Albo jedziesz ze mną, albo wcale. Zastanów się.

Prowokująco machała sakiewką nad wodą za murem nabrzeża, a Michael się przeraził. Jeśli powie teraz coś niewłaściwego albo jeśli tylko przestraszy ją jakimś nieoczekiwanym ruchem, wszystko będzie stracone. Poddał się więc losowi.

– No dobrze. Powiem kapitanowi... powiem mu, że...

Lizzie westchnęła.

– Nic mu nie mów, ja pójdę z tobą – stwierdziła z rezygnacją. – A ja już wymyślę powód.

– Mam wielką nadzieję, że znajdzie się dla mnie wolne miejsce na statku? – spytała Lizzie kapitana, posilkując się przy tym spojrzeniem, które właściwie miało robić wrażenie skromnego. Ale dla przewrażliwionego Michaela każda jej mina była trochę nieprzyzwoita. – Proszę tylko pomyśleć, mój mąż pozwolił, abym z nim jechała! A on tak się o... nas troszczy! – Lizzie nieznacznym ruchem pogładziła się po płaskim brzuchu i naprawdę udało jej się przy tym zaczerwienić. Jej uśmiech był wprost ujmujący.

*Skipper* w odpowiedzi wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– Ależ jasne, milady. I nie ma obaw, na „Elizabeth Campbell” będzie pani bezpieczna jak na łonie Abrahama. Za niewielką dopłatą znalazłaby się nawet komfortowa kabina...

– To byłoby cudowne! – rozpromieniła się Lizzie. – Och, słyszałeś, kochanie? Ten statek nazywa się Elizabeth, tak jak ja!

Michael, zgrzytnąwszy zębami, posłusznie poddał się jej woli. „Niewielka dopłata” pochłonęła ich kapitał startowy w nowym kraju, ale kabina była rzeczywiście luksusowa. Lizzie podziwiała śnieżnobiałą pościel na łóżkach, porcelanowe naczynia służące do mycia i ogromne lustro. Spojrzała badawczo na swoje odbicie i odetchnęła.

Nie, nie widać po niej tego, co zrobiła ostatniej nocy! Tego nie zobaczy nikt! Wyglądała ładnie, choć trochę prowincjonalnie, w szarej sukni, którą odziedziczyła po Mrs Smithers. Na włosach miała też dobrany do sukni kapelusik, może nie tak szykowny jak ten z Londynu, ozdobiony kwiatami, ale mimo to bardzo odpowiedni dla damy.

– Chciałabym się umyć – powiedziała do Michaela nieco zawstydzona. – Mógłbyś...

Michael wyniósł się natychmiast na zewnątrz. Lizzie zastanawiała się, czy ma o coś do niej żal. Przecież nie mógł mieć jej naprawdę za złe, że okradła Davida Parsleya! A okoliczności z tym związane... Lizzie trochę się zaczerwieniła. Dlaczego właściwie udawanie miłości było czymś o wiele gorszym niż pędzenie whiskey czy kradzież łodzi?

Podczas kiedy Lizzie czuła się w swojej kabinie w miarę bezpiecznie, Michael przechadzał się nerwowo po pokładzie statku. Powinien był dokładniej wypytać, co właściwie stało się z Parsleyem. Czy Lizzie rzeczywiście tylko go upiła? A co będzie, jeśli tamten obudzi się za wcześnie? Mogło być tak, że oboje będą złapani jeszcze teraz, przed wypłynięciem. Wówczas umarłby chyba ze wstydu, że miał udział



w zyskach Lizzie pochodzących z oszustw. To byłaby chyba najbardziej idiotyczna próba ucieczki od czasu, kiedy jakiś więzień z Hobart uciekał w przebraniu ze skóry kangura, skacząc tak jak on!

Ale obawy Michaela się nie sprawdziły. „Elizabeth Campbell” wypłynęła punktualnie o siódmej i *skipper* skierował statek z naturalnego portu Hobart wprost na pełne morze. Serce Michaela, pełne radosnego oczekiwania, biło mocno, kiedy po kilku chwilach ląd zniknął z pola widzenia. Ale jak czułby się teraz, gdyby płynął z Dylanem, Willem i Connorem skradzionym statkiem? Dwadzieścia dni! Dopiero kiedy Lizzie mu powiedziała, jak długo trwa taka podróż, zdał sobie sprawę, że byłaby to niebezpieczna przygoda. Musiał w głębi ducha przyznać, że Lizzie miała rację. To była jedyna możliwość, aby bez narażania życia i zdrowia uciec do Nowej Zelandii. Nieco się uspokoił, kiedy to sobie uświadomił.

Poszedł więc do ich luksusowej kabiny, gotów do przeprosin. Lizzie siedziała przy bulaju, przez który do wnętrza wpływało światło słońca, i zęgnęła się spokojnie z tym obcym krajem, w którym mieszkała ponad rok, a którego tak naprawdę wcale nie poznała.

– Teraz nie widziałam diabła tasmańskiego... – uśmiechnęła się, odwracając się do Michaela. Najwyraźniej nie miała mu niczego za złe. A jej uśmiech był naprawdę czarujący. Łagodny i pełen ciepła. Jej niepozorna twarz pod ciemnoblonde włosami aż rozbłysła. Była też po kąpieli. Włosy jej błyszcząły, a wilgotne wargi lekko lśniły.

Michael nagle sobie uświadomił, że bardzo długo nie trzymał w ramionach kobiety. Uśmiechnął się do niej także.

– Mógłbym ci pokazać diabła irlandzkiego... – powiedział nieco obscenicznie i usiadł koło niej.

Lizzie cofnęła się nerwowym ruchem. Oczywiście, robiła to dotąd tylko dla pieniędzy... Ale może... Może w stosunku do niego poczułaby trochę sympatii...

– Lizzie... nie mam niczego, co mógłbym ci dać... – W głosie Michaela słychać było błaganie. – Ale ja... popatrz, będziemy teraz ponad dwa tygodnie mieszkać tutaj. Leżeć obok siebie jak... mężczyzna i kobieta...

– Albo jak brat i siostra – zauważyła Lizzie ubawiona.

To było ze wszech miar słuszne, być cierpliwą! Bo z początku on niczego nie rozumiał, a teraz... a teraz wreszcie zachowywał się tak, jak gdyby się jej oświadczał!

– Lizzie! Zlituj się! Ja nie mogę! Jestem mężczyzną! I zbyt długo nie miałem kobiety. Czy ty mogłabyś... Czy możesz sobie wyobrazić... Lizzie, proszę cię, żebyś dzieliła ze mną łóżko!

A więc jednak, nareszcie. Michael patrzył nią błagalnym wzrokiem, a jego oczy wprost płonęły.

Lizzie się uśmiechnęła. A potem pozwoliła, aby ją objął.

Michael nie wziął Lizzie szybko i brutalnie, tak jak mężczyźni, którzy mieli ją

przedtem. Pragnął jej bardzo, ale nauczył się sztuki miłości w burdelu Miss Daisy w Wicklow, a jeśli tamtejsze ladies robiły coś za darmo, to wówczas chciały coś z tego mieć. Daisy osobiście wprowadzała przystojnego, ciemnowłosego chłopca w tajniki swego fachu, a on rozkoszował się każdą minutą spędzoną ze starszą kobietą. Później dzięki jego powolnej, pełnej tkliwości miłosnej grze szczęśliwa była Kathleen. Teraz zaś nie chciał rozczarować Lizzie.

Lizzie, której fizyczna miłość kojarzyła się jedynie z bólem, a w najlepszym wypadku z obojętnością, była dotychczas przekonana, że nie można się nią rozkoszować. Mężczyźni tego potrzebowali, kobiety natomiast miały się cieszyć miłymi słowami, delikatnymi pocałunkami, a przede wszystkim nadzieją, że mężczyzna stworzy im bezpieczne domowe zacisze i będzie je chronić. Rozkosz aż do tej chwili była Lizzie zupełnie obca, bez względu na to, co sądziły o niej Mrs Smithers i inne kobiety. Ale tego pierwszego dnia na statku płynącym do Nowej Zelandii Michael dotknął strun, których istnienia u siebie nawet nie podejrzewała. Głaskał, dotykał i całował takie miejsca na jej ciele, których ona przed większością swoich klientów nawet nie obnażała, po czym wniknął w nią powoli i ostrożnie, jak gdyby była dziewicą. Lizzie zapomniała o całym świecie, nie wiedziała, gdzie kończy się jej ciało, a zaczyna jego, i wreszcie niemal eksplodowała w paroksyzmie rozkoszy, unosząc się pod nim i wbijając paznokcie w jego plecy. Przycisnęła twarz do jego szyi i wyszeptała:

– Michael... Michael...

Michael osunął się na nią powoli. Przytulił twarz do jej piersi, wdychał jej zapach.

– Kathleen... – wyszeptał.

Lizzie ogarnęło nagle uczucie, jak gdyby wszystko w niej umarło. Leżała spokojnie, nie przeszkadzała mu i próbowała wbrew wszystkiemu zatrzymać czar tych chwil. Michael wreszcie odetchnął głęboko, uniósł głowę, pogładził pieszczotliwie jej piersi i brzuch.

– To było cudowne – powiedział łagodnie i czule. – Nie wiem, jak mam ci dziękować, Lizzie, ty jesteś... jesteś taką dobrą dziewczyną!

Lizzie nie odpowiedziała ani słowem. Tej nocy po raz pierwszy spała obok mężczyzny, którego kochała. Ale płakała we śnie.

**SIŁA**

**NELSON, KAIKOURA, CANTERBURY PLAINS**

**1850–1858**

# ROZDZIAŁ 1

Lizzie i Michael spędzili dwadzieścia dwa niczym niezakłócone dni na pokładzie „Elizabeth Campbell”. Nocami dzielili łóżko w swej luksusowej kabinie, nie wracając ani słowem do rozmowy z pierwszego dnia, a wszyscy oczywiście traktowali ich jak małżeństwo. Statek był niewielki, podróżowało nim niewielu pasażerów, co niepokoiło Michaela.

– Oni będą nas bardzo dobrze pamiętać, kiedy ktoś będzie nas szukać! – stwierdził Michael zaniepokojony. – Musimy natychmiast opuścić miasto, do którego zawiniemy – jak ono się nazywa? Nelson?

– Tak szybko nie rozpoczną poszukiwań. – Lizzie była znacznie spokojniejsza. – A jeśli chodzi o nasz rysopis: przecież nie zasłaniałiśmy twarzy także na Ziemi van Diemena! I kto miałby nas szukać? Oczywiście władze australijskie zawiadomią policję w Nowej Zelandii, o ile tam jest jakaś policja. Ale to w żadnym wypadku nie nastąpi z dnia na dzień. I chyba nie sądzisz, że władze Nowej Zelandii skoncentrują się teraz tylko na tym, żeby szukać dwojga uciekinierów pośród tysiąca wolnych osadników? Myślę, że będziemy mogli się tam spokojnie rozejrzeć.

Lizzie udawała nieustraszoną, ale tak naprawdę czuła rosnące przerażenie na myśl o przybyciu do Nelson. I mniej miało to wspólnego z niebezpieczeństwem ponownego uwięzienia, a bardziej było związane z ewentualnym rozstaniem z Michaeliem. Lizzie nie wiedziała, co Michael zamierzał robić w nowym kraju, ale przypuszczała, że jego plany nie obejmują jej osoby. Niemniej jednak, kiedy dopłynęli do położonej przy północnym krańcu Wyspy Południowej zatoki Nelson, przed jej oczami rozpostarł się wspaniały, zapierający dech w piersiach widok bardzo młodego osiedla o wybitnie miejskim charakterze. Miejscowość wydawała się drzemać w ciepłych promieniach popołudniowego słońca, kiedy statek ostrożnie wpływał do naturalnego portu. Przybysze mieli przed oczami plaże, zielone wzgórza i eleganckie drewniane domki. W tle można było dostrzec łańcuch pokrytych śniegiem gór.

– I palmy! – zawołała Lizzie z zachwytem, kiedy statek zbliżał się do lądu. – Michael, widziałeś przedtem palmy? Jak tu musi być ciepło! Och, podoba mi się tutaj, Michael! Może tu zostaniemy? – W euforii przytuliła się do stojącego obok niej mężczyzny.

Ale Michael odsunął ją niechętnie.

– Zostać tutaj? Zwariowałaś, Lizzie! W końcu nie przybywamy tu jako osadnicy, my...

– A jako kto my tutaj przybywamy? – Lizzie wciągnęła powietrze do płuc. Nie miała najmniejszej ochoty zadawać dociekliwych pytań, ale chyba przyszedł na to czas. Nawet gdyby miało to zabość, musiała się teraz dowiedzieć, czego mogła się spodziewać. – Oczywiście możemy jak najszybciej opuścić to miasto. Ale chyba nie sądzisz, że wyjedziesz z tej wyspy!

Michael się roześmiał, ale był to śmiech trochę wymuszony. Odwrócił wzrok od słonecznego Nelson i tęsknie spojrział na morze.

– Pewnie, że wyjadę! – oświadczył tonem głębokiego przekonania. – Zostanę tu tak długo, aż zarobię pieniądze na podróż statkiem. A potem – bywaj, Nowa Zelandio! Ojczyzna wzywa!

Lizzie musiała przytrzymać się relingu, aby nie ulec impulsowi i gwałtownej chęci potrząśnięcia Michaeliem.

– Chcesz wracać do Irlandii? Chyba nie mówisz poważnie! Michael, przecież tam złapią cię od razu i pierwszym statkiem wyślą natychmiast z powrotem na Ziemię van Diemena!

Michael potrząsnął głową.

– A gdzie tam! W Irlandii mam przyjaciół, ukryję się. I nie pojedę na długo. Zabiorę Kathleen i niemowlę...

Lizzie przełknęła ślinę.

– Michael, to „niemowlę” ma teraz dwa lub trzy lata! A przez ten czas w ogóle nie słyszałeś, co się dzieje z Kathleen. Nie wiesz nawet, gdzie ona jest. Nie wiesz, czy może wyszła za mąż...

– Mary Kathleen? Moja Mary Kathleen? – Odwrócił się do niej, wyraźnie rozzłoszczony. – Powiedziałem jej, że wrócę! Przysiągłem, że przyjadę, a ona mi wierzy. Kathleen czeka na mnie. I to z całą pewnością!

Przejechał ręką po gęstych, rozwianych teraz przez wiatr włosach.

– A gdzie ona czeka? – spytała kpiąco Lizzie. Dobry Boże, rozstaną się skłóceni, ale przecież to niemożliwe, żeby nie dało mu się przemówić do rozsądku! – W waszej wsi? Myślisz, że jej rodzice palą się do tego, aby ją utrzymywać? Ją i jej... bękarta?

– No... może nie ma jej we wsi... – przyznał Michael. – Może mieszka w jakimś większym mieście. W Dublinie czy gdzieś... i... – jego twarz się rozjaśniła – może w ogóle wyjechała! Dałem jej pieniądze na podróż do Ameryki. Może jest właśnie tam...

– I codziennie wędruje na plażę, aby cię wypatrywać! – zakpiła Lizzie. – Nie wiem nic o Ameryce, Michael, ale z Londynu wypływa tam bardzo wiele statków. Mniej więcej co tydzień, a każdy z tych statków jest pełen ludzi. Czyli to jest pewnie wielki kraj. Jak więc ją znajdziesz? I z czego ona miałaby żyć, razem ze swoim dzieckiem? O nieba, Michael, dla dziewczyn to nie jest takie łatwe!

Michael chodził teraz niespokojnie tam i z powrotem.

– Co chcesz przez to powiedzieć? Że Mary Kathleen może się poniżyła? Że ona... jest kimś takim jak ty?

Pogarda, jaką Michael odczuwał do upadłych dziewcząt, zadźwięczała teraz w jego słowach aż nadto wyraźnie. Lizzie się odwróciła, ale nagle poczuła wściekłość i postanowiła odpowiedzieć.

– Ależ oczywiście, że nie! To absolutnie niemożliwe! – stwierdziła szyderczo. – Mary Kathleen jest zbyt święta na to, żeby rozkładać nogi dla kawałka chleba. Bez wątpienia raczej wolałaby umrzeć. A może rzeczywiście poszła pod wodę razem ze swoim bękartem i hańbą! Bo czasem to jest naprawdę jedyny wybór dla dziewczyny, Michael. Albo zostać dziwką, albo umrzeć. Przykro mi, że dotychczas byłeś zbyt tchórzliwy, aby przyjąć to do wiadomości. Przy czym, jeśli chodzi o potępienie, to czy zostanie się dziwką, czy samobójczynią, to i tak na jedno wychodzi. Bóg jedną i drugą wysyła do piekła. Jakaś różnica jest tylko dla Michaela Drury'ego. Jak w ogóle możesz z tym żyć, że odzyskałeś wolność dzięki moim pieniądzom, które zarobiłam jako dziwka!

Lizzie odwróciła się i wybiegła. Prawie nie miała czasu, aby pozbierać parę swoich drobiazgów ze wspólnej kabiny. Michaelowi udało się dzięki torbie Davida Parsleya, ona w czasie podróży zamieniła dla niego tylko kilka rzeczy, właściwie musiał zostawić tylko stare spodnie. A sama znów musiała zaczynać wszystko w jednej jedynej sukni i staroświeckim kapeluszu. Lizzie zastanawiała się przez chwilę, trzymając w ręku sakiewkę Davida Parsleya, którą ukrywali pod materacem łóżka. Niewiele tam zostało, ale połowa dziesięciu szylingów należała do niej. Zaraz, dlaczego połowa? Lizzie wyjęła wszystkie pieniądze, aż do ostatniego pensa. To ona na to pracowała. A Michael jeszcze miał jej to za złe. Do diabła z nim, gdyby musiał zapłacić za każdą noc, którą podarowała mu na statku w czasie tej podróży...

Lizzie wsadziła na głowę kapelusz i pobiegła do zejścia na nabrzeże małego, bardzo spokojnego portu. Wiedziała, że musi zapomnieć o Michaelu – wreszcie był czas, aby rozpocząć wszystko od nowa. Gdzieś w tym pięknym kraju, w którym powietrze wydawało jej się bardziej przejrzyste niż gdziekolwiek indziej, w tym kraju z pewnością znajdzie się dla niej miejsce. Poszuka sobie jakiejś posady i może uda się wreszcie żyć bogobojnie.

Lizzie szła przez czyste, nowe ulice miasta Nelson i czuła, że jej wściekłość powoli opada. Miała nadzieję, że znajdzie w sobie miejsce na odwagę i optymizm, ale jednocześnie ogarniał ją ogromny smutek. Bez względu na to, jak potraktował ją Michael – ona go kochała. A teraz pewnie nigdy go już nie zobaczy. Michael był wzburzony i rozgniewany, kiedy niedługo po niej schodził z pokładu. Z jednej strony czuł wściekłość – bo zauważył brak pieniędzy – a z drugiej strony rozterkę. Kłótnia z Lizzie leżała mu na sercu. Bo w końcu nie wszystkiemu, co powiedziała o Kathleen, można było od razu zaprzeczyć. To oczywiste, że Kathleen nigdy nie poniżyłaby się

do tego stopnia, aby kraść i sprzedawać swoje ciało. Ale rzeczywiście trudno będzie ją znaleźć. Ta myśl prześladowała Michaela, kiedy szedł ulicami Nelson i zastanawiał się nad pilniejszymi problemami. Gdzie na przykład będzie mógł zarobić parę groszy na kolejny posiłek? Co dalej? Ale wszystko to bladło wobec tego, że nie miał pojęcia, gdzie teraz mogła być Kathleen i jak miał ją znaleźć.

Dopiero po długich, ponurych rozmyślaniach Michael doznał wrażenia, że spadły mu łuski z oczu: ojciec O'Brien! Duchowny z pewnością będzie wiedział, gdzie przebywa Kathleen. Michael musiał tylko do niego napisać i o to zapytać. Ale najpierw potrzebny był mu adres, pod który ojciec O'Brien będzie mógł wysłać swoją odpowiedź...

Michael odetchnął i zaczął rozglądać się uważniej. Do cholery, to Nelson było chyba najczystszy portem, jaki kiedykolwiek dane mu było widzieć! Wszystko sprawiało wrażenie wyjątkowo przejrzystego i uporządkowanego. Ale przecież – to był jednak port. Michael Drury, a właściwie Parsley, nie był z pewnością jedynym człowiekiem, który wylądował w tym mieście bez pieniędzy i jasnych widoków na przyszłość. Po krótkim namyśle wszedł do najbliższego pubu ze zwycięskim uśmiechem i rozejrzał się. Zobaczył barmana za szynkwasem i pijących hulaków, takich samych jak wszędzie.

– Bóg z wami, ludzie! Jest tutaj coś, co mógłbym robić, żeby zarobić na piwo? Właśnie przyjechałem z Australii, a moja mała ukradła mi wszystkie pieniądze na statku...

Barman zaśmiał się gromko, a jeden z piwoszy zrobił miejsce dla Michaela koło siebie i skinął, aby przyniesiono mu szklanekę. Kilka godzin później Michael odsypiał na podwórzu pubu swojego pierwszego kaca w nowym kraju. Następnego ranka wyruszył do swojej nowej pracy.

– Jedź na południe, do Kaikoury! – poradził mu jeden z mężczyzn. – Stacja połowu wielorybów Waiopuka. Tam zawsze jest robota dla mężczyzny i nikt nie pyta o papiery...

– Ale ja nie jestem marynarzem – zwrócił uwagę Michael.

Mężczyzna w odpowiedzi wzruszył ramionami.

– To nie szkodzi – stwierdził. – Oni po prostu wyciągają te bydlęta na ląd!

Lizzie wędrowała przez krzyżujące się pod kątem prostym ulice miasta Nelson, oszołomiona odzyskaną wolnością. Nienawidziła swojego życia w Londynie, ale od czasu do czasu były w nim też szczęśliwe chwile: przypomniawszy sobie słoneczne dni, kiedy to dzięki niebu, a raczej jakiemuś miłszemu klientowi, udawało jej się zdobyć parę szylingów więcej i miała tyle czasu, że mogła sobie pozwolić na spacerowanie targowymi ulicami miasta. Podziwiała kolorowe wystawy, gdzie indziej mierzyła jakiś wyjątkowo ładny kapelusik i wydawało jej się, że świat śmieje się do wesołej

młodej dziewczyny, jaką w takich chwilach była.

W ostatnich latach bardzo jej tego brakowało. Na Ziemi van Diemena każdy wiedział, kim była, a ona nie miała na własność ani jednego pensa. Dlatego poczuła się bardzo bogata, kiedy weszła do przytulnej herbaciarni, mieszczącej się w jednym z białych drewnianych domów, ozdobionych licznymi wykuszami i balkonami. Lizzie usiadła, uśmiechnęła się do obsługującej kobiety, po czym zamówiła herbatę i ciastka. Czowała się tak dobrze i miło, że poczuła pokusę, by zapytać o jakąś posadę. Ale jeśli o to chodzi, Michael miał rację: osiedlanie się w Nelson byłoby szaleństwem. A praca w herbaciarni, do której kiedyś mógł zawitać David Parsley, kiedy już dotrze do Nowej Zelandii... Lizzie omal nie zachichotała. Jeśli spędzi jeszcze kilka godzin w takim radosnym nastroju, to wkrótce zacznie traktować swoje dotychczasowe życie jak przygodę! Ale tak przecież nie było. Lizzie zmusiła się do poważnych rozmyślań. Jej pieniądze na długo nie wystarczą, musiała więc coś zrobić.

– Przepraszam, mogę o coś zapytać? – zwróciła się do obsługi ze swoim nieśmiałym, ale zniewalającym uśmiechem. – Miałam się spotkać tu, w Nelson, z kuzynem z naszej wsi w Anglii. Kuzyn przyjechał tu dwa lata temu i pisał do nas. Tylko zapomniałam nazwy miejscowości, w której się osiedlił. Gdzieś koło Nelson, to wiem na pewno. Nie w mieście. Są tu w okolicy jakieś osiedla?

Młoda kobieta wzruszyła ramionami.

– Dziewczyno, do Nelson od dziesięciu lat przyjeżdżają osadnicy. I tylko niewielu zostaje tutaj, bo niestety tu się nie da nic zarobić. Oni w każdym razie rozjeżdżają się po okolicy – udają się do wsi, na farmy. Najbliższa miejscowość to Sarau. Ale tam są prawie sami Niemcy.

– Niemcy? – zdziwiła się Lizzie, choć narodowość przyszłych współmieszkańców była jej obojętna. Musiała koniecznie zaimprovizować. – Tam, gdzie pani mówi... mój kuzyn pisał coś o Niemcach! I – Sarau, tak, to może być właśnie to! Jak tam dotrzeć?

– Dżentelmen, który tam siedzi, jest właśnie z tamtej okolicy. – Kobieta wskazała na wysokiego, ciężkiego mężczyznę o brązowych włosach i twarzy jakby wypłowiałej od wiatru, który siedział w kącie izby i powoli pochłaniał ogromną porcję pasztetu mięsnego oraz słodkich ziemniaków, popijając to kawą. – Proszę go zapytać, może on zna pani kuzyna. I może będzie mógł panią zabrać. On jest bardzo sympatyczny. Zawsze tu przychodzi, kiedy ma coś do załatwienia w mieście.

Lizzie zagryzła nerwowo wargi.

– Ale przecież nie mogę tak po prostu usiąść przy jego stole. Co on sobie o mnie pomyśli?

Kelnerka się uśmiechnęła.

– Pomówię z nim – obiecała.

Za chwilę Lizzie dygnęła grzecznie przed Ottonem Ladererem, farmerem z Sarau.



– Owensa nie znam – odpowiedział farmer twardym, trochę łamanym angielskim.  
– Są w pobliżu Anglicy. Ale oni siedzą tylko ze sobą, jak my. A więc może być, że tam twój kuzyn jest. Możesz jechać ze mną i szukać, jak chcesz.

Lizzie podziękowała grzecznie, poczekała, aż Mr Laderer skończył swój posiłek, i wdrapała się na ciężki wóz, do którego zaprzężone były dwa silne konie. Laderer przywiózł do Nelson drzewo, po czym kupił jakieś narzędzia i parę drobiazgów, jak kawę i herbatę, tkaniny i towary żelazne. Nie było tego wiele.

– My mieć farmę z bydłem mlecznym, świnie, kury, pola. Żywić się sami – wyjaśniał Laderer rozwlekłe zaciekawionej Lizzie.

Lizzie uznała tę informację za wręcz fascynującą. Jeszcze nigdy nie była na wsi, a sama myśl o tym, że można się wyżywić za darmo plonami z własnego ogrodu, wydawała jej się wręcz niezwykła.

– Czy Sarau to ładna miejscowość? – dopytywała się. – Właściwie... właściwie miałam tu przyjechać po to, żeby poślubić mojego kuzyna. – Lizzie była oszołomiona wymyślaną przez siebie historią, która zaczynała się teraz toczyć swoim własnym biegiem. – Ale jak go nie znajdę? I w ogóle... wcale nie wydaje mi się to zbyt nęcące, wychodzić za mąż za kogoś, kogo nie widziałam od dziesięciu lat...

Rosły Niemiec spojrział na nią przelotnie z boku.

– Dobrze będzie – mruknął.

Lizzie ofiarowała mu jeden ze swoich najśłodszych uśmiechów.

– Może i tak. Ale jeśli nie... Myślicie, że mogłabym znaleźć w Sarau jakąś posadę? Ja jestem pokojówką. Pracowałam u wykwintnych ludzi.

– Wykwintni ludzie nie w Sarau – odrzekł na to Niemiec. – Ale praca. Dużo pracy. Jak chcesz – wezmę cię na służącą. Jedzenie i ubranie i jeden funt na tydzień. Ale ciężka praca.

Lizzie skinęła głową.

– Jestem do tego przyzwyczajona! – oświadczyła zarozumiale. W końcu w Campbell Town też harowała od wschodu do zachodu słońca.

Farmer znów spojrział na nią z boku, ale tym razem dość pogardliwie. Spojrzenie jego jasnych oczu wędrowało po jej delikatnej, kruchej postaci, wąskich ramionach i biodrach. Lizzie była przyzwyczajona do takich spojrzeń, ale z zaskoczeniem stwierdziła, że teraz nie było ono lubieżne.

– Będzie zobaczyć – stwierdził farmer spokojnie i cmoknął na konie.

Zaprzęg jechał przez rzadkie lasy, za którymi widać było panoramę gór. Lizzie z ufnością patrzyła w przyszłość.

Kaikoura była oddalona o ponad sto mil od Nelson, ale nowo poznany kompan od kieliszka zaoferował Michaelowi podwózkę. Mężczyzna pływał na statku, który woził do Europy tran i fiszbin. Statek zabrał już trochę towaru na zachodnim wybrzeżu,

ale główną jego część miał załadować w Kaikourze.

– Nie mógłbym płynąć z wami do Anglii? – dopytywał się gorączkowo Michael, który ledwo mógł uwierzyć w swoje szczęście. – Na pewno się do czegoś przydam.

Ale nieliczna załoga żaglowca nie potrzebowała teraz dodatkowego marynarza, a w dodatku kapitan nie miał ochoty przyuczać „wieśniaka”. I tak już z wielką niechęcią zabrał Michaela do Kaikoury, oświadczając od razu, że ta podróż nie jest darmowa.

– Ach, stary Fyfe zapłaci za ciebie – pocieszał Michaela kompan z pubu. – Jesteś duży i pewnie silny, to on już sobie zęby ostrzy. Oczywiście musisz to odpracować. Ale będzie dobrze!

Robert Fyfe był założycielem i zarządcą stacji wielorybniczej i wydawało się, że rzeczywiście usilnie poszukuje pracowników. Ale kapitan statku brał także udział w handlu. A nie sprawiał wrażenia kogoś, kto obdarza bliźnich zbyt wielkim zaufaniem. Michael wsiadł więc znów na statek i opuścił Nelson – oraz Lizzie Owens – bez większego żalu.

Kaikoura okazała się nazwą idyllicznego półwyspu, który dzielił dwie zatoki o częściowo piaszczystych, a częściowo kamienistych plażach. W jednej z zatok znajdowała się stacja wielorybnicza Waiopuka, zbudowana tuż obok okazałej posiadłości, która była domem jej właściciela.

– Ten dom jest zbudowany na fundamencie wykonanym z kości wielorybów – opowiadał kompan Michaela. – Drewna tu prawie wcale nie ma...

Tak naprawdę tylko krzyże nagrobne tych mężczyzn, których na Kaikourze zaskoczyła śmierć, wykonane były z kości wielorybów, jak dowiedział się potem Michael. Ciała tych ogromnych morskich zwierząt znajdowały wielorakie zastosowanie, a ich połów musiał być zajęciem przynoszącym ogromne zyski. Robert Fyfe, wysoki, chudy mężczyzna, który skórę na twarzy miał jak wygarbowaną, o rzadkich rudych włosach, wsunął kapitanowi do ręki pieniądze za podróż Michaela.

– Możesz sobie tam wyżej zbudować chatę – wskazał nowemu pracownikowi ubogie osiedle powyżej swojego domu.

Chaty wielorybników zbudowane były z kory drzew i pni olbrzymich, zdrewniałych paproci. W oknach i drzwiach wisiały plandeki albo stare worki, których rolą była względna osłona od wiatru i deszczu. Przyszły sąsiad Michaela, Chuck Eagle, zaprosił go do swojego domostwa, którego umeblowanie składało się z pryczy, niestarannie ociosanego stołu i stołka z kości wieloryba. Wszędzie śmierdziało wprost strasznie – najwyraźniej kości nie wygotowano dostatecznie. A może tak śmierdziało także ubranie Chucka Eagle’a?

– Przyzwyczaisz się do tego – pocieszył go Chuck dobrodusznie, kiedy zobaczył zmarszczony nos Michaela. Podał mu butelkę whiskey, a Michael pociągnął duży łyk.

– Te bydlęta śmierzdzą, szczególnie kiedy nie od razu wyciągnie się je na brzeg. Próbuujemy utrzymać je na wędce i zaciągnąć na plażę, ale czasem harpuny wypadają i ścierwo tonie. Właściwie to nic złego, bo ono puchnie i po kilku dniach wypływa na powierzchnię. Tylko wtedy śmierdzi.

– Na wędkę? – spytał Michael. – Wy... łapiecie te olbrzymie ryby na wędkę?

Dotychczas nigdy nie widział wieloryba, także w czasie podróży statkiem żaden się nie pokazał. Ale dzięki resztkom olbrzymich szkieletów na plaży miało się jakie takie pojęcie, z czym należało się liczyć w tym miejscu.

Chuck zaśmiał się hałaśliwie.

– Nooo, połów na przynętę byłby raczej trudny! Taki kaszalot połyka całe rekiny! Naprawdę, te bydlaki pożerają ryby o długości dwudziestu łokci. I to jednym kłapnięciem! A przy tym to właściwie nie są ryby. Bo ich młode ssą jak krowy. W każdym razie my polujemy na nie z harpunami.

Jak to wyglądało, Michael dowiedział się zaraz następnego dnia. A był to, zgodnie z tym, co mówił Chuck, wyjątkowo szczęśliwy przypadek.

– Dawniej łapaliśmy co tydzień jedną sztukę, ale teraz zrobiły się ostrożne. A może w tej okolicy już wszystkie wylapaliśmy, nie mam pojęcia. Czasami całymi tygodniami jest kiepsko i wtedy mało zarabiamy.

Zarobki na stacji wielorybników były zróżnicowane. Najwięcej zarabiał harpunnik, który musiał dobrze trafić swoją olbrzymią bronią w wieloryba, aby osłabić go za pierwszym strzałem. Zadziory potężnego haka musiały dobrze utkwąć w mięśniach. Jeśli to się nie udało, połów był z reguły stracony. Wieloryb się zanurzał i albo przeżywał mimo zranienia, albo tonął gdzieś dalej. Martwe zwierzęta pokonywały wówczas ogromne odległości i nie należało się łudzić, że będzie można odnaleźć ścierwo.

Jeśli strzał był dobry, to wieloryb był, mówiąc w przenośni, „na wędce”. Harpuny przywiązane były do długich lin łączących je z łodzią. Walcząc o życie, olbrzymi ssak ciągnął łódź szybko za sobą i była to piekielna jazda, która uzasadniała wysoki zarobek sześciu wioślarzy i sternika. Łodzie często się przewracały, a ich pasażerowie też potem walczyli w wodzie o życie. Najzręczniejsi i najodważniejsi wioślarze i harpunnicy na stacji Fyfe’a byli z reguły niesłychanie silnymi mężczyznami o ciemnej cerze i ciemnych prostych włosach, które często nosili związane w węzeł. Twarze mieli wytatuowane niebieską farbą w przerażające wzory.

– To Maorysi – wyjaśnił Chuck. – Oni przybyli na Nową Zelandię jako osadnicy kilkaset lat wcześniej niż biali.

Michael był trochę zaskoczony. Ponieważ na Ziemi van Diemena od dawna nie było „dzikich”, to nie spodziewał się, że spotka tubylców w Nowej Zelandii. Co prawda Maorysi na stacji wielorybniczej nie sprawiali wrażenia dzikich, byli raczej bardzo przystępni, jeśli przywykło się do znaków ich plemienia wytatuowanych na

twarzach. Nosili taką samą odzież jak biali wielorybnicy – białe koszule i spodnie z lnu oraz szerokie kapelusze. Wszyscy mówili po angielsku, nie zawsze perfekcyjnie, ale zrozumiale. Śmiali się z tych samych dowcipów co biali albo przynajmniej udawali, że rozumieli zawarte w nich aluzje, i nie mówili „nie”, kiedy wokół krążyła butelka whiskey. Za to nie mieszkali w prowizorycznych chatkach na stacji, lecz szli wieczorami do swojej wsi – i nie był to kral, jak sądził z początku Michael, lecz ogrodzone osiedle składające się z drewnianych domów ozdobionych skomplikowanymi, rytymi w drewnie rysunkami.

– Ale śpią wszyscy w jednym pomieszczeniu! – zdradził Eagle zdumionemu Michaelowi. – Dziewczyny też!

Maoryskie dziewczęta, jak się okazało, nie były szczególnie piękne, jeśli wziąć pod uwagę angielski ideał urody. Podobnie jak mężczyźni były krępej budowy ciała i często już w młodym wieku bardzo zaokrąglone. Ich twarze także były wytatuowane, co z początku robiło na Michaelu odstręczające wrażenie. Były jednak bardzo miłe i przede wszystkim bezpruderyjne. Nie tylko dlatego, że przy ciepłej pogodzie często rezygnowały z górnej części ubioru i chodziły nago, kołysząc piersiami, bądź tak tańczyły. Ale sypiały też z każdym mężczyzną, który im się podobał, najwyraźniej nikt tu nie kontrolował, czy dziewczyna wymykała się nocą ze wspólnego domu-sypialni.

– I one za to nic nie biorą! – cieszył się Eagle. – Chociaż cieszą się oczywiście, jeśli przynosi się im jakiś upominek. Osobliwe zwyczaje, ale bardzo przyjemne!

Michael z początku nie myślał o dziewczynach. Kiedy zarznął swego pierwszego wieloryba, nie pragnął niczyjego towarzystwa – jedyne, o czym marzył, to dużo wody i mydła. I butelka whiskey, żeby móc o wszystkim zapomnieć. Na łódź jeszcze nie pozwalano mu wsiadać.

– Muszę najpierw zobaczyć, czy umiesz wiosłować – orzekł Fyfe.

Michael, który bardzo liczył na większe zarobki, nie zdradził mu, że jeszcze nigdy tego nie robił. Bo w końcu nie wyglądało to na coś trudnego, a miał dość sił po tylu latach przymusowej pracy w łańcuchach.

Ale Fyfe wydawał się czytać kłamstwo na jego twarzy.

– Najpierw patrz i pomagaj dzielić wieloryba. A potem zobaczymy! – obiecał.

Michael obserwował więc z brzegu, jak wieloryb ciągnął za sobą łódź harpunnika i jak zwierzę traciło siły. Na koniec sternik wbił w jego ciało długą włócznię, próbując przy tym utrzymać zwierzę przy życiu, tak aby znajdowało się tuż pod albo ponad powierzchnią wody. Łódź ciągnęła potem zwierzę na ląd, gdzie mężczyźni zaczęli je patroszyć.

– On jeszcze nie jest martwy! – krzyknął Michael przerażony, kiedy pierwsze noże wbiły się w olbrzymie ciało, aby wyciąć warstwę tłuszczu znajdującą się pod skórą.

– Nie pleć bzdur, tylko bierz się do roboty! – nakazał mu Eagle.

Tego dnia to jemu przypadł zaszczyt wbicia harpuna w ciało wieloryba – Eagle wprost palił się do tego, aby to odpowiednio uczcić. Ale przedtem ścierwo musiało być dokładnie podzielone. Michael próbował nie patrzeć w małe oczy zwierzęcia, kiedy wbił w jego bok swój własny szeroki nóż. Tłuszcz było biało-szary, śliski i obrzydliwy. Michael nie był w stanie tego dotknąć i wołał zająć się jego transportem do kotłów – wielkie kawały tłuszczu przewożono za pomocą kołowrotka i potem gotowano. Przenikliwa woń wypływającego tranu była jeszcze bardziej ohydna niż zapach ścierwa – i długo utrzymywała się na ubraniach oraz skórze mężczyzn.

Żółtawa ciecz była potem przelewana do beczek – z jednego wieloryba napełniano do dwudziestu beczek, a za każdą dobrze płacono. Rzeźnicy docierali tymczasem do kości wieloryba i oddzielali fiszbin. Mężczyźni dzielili go na duże płyty, oczyszczali z grubsza z resztek mięsa i kazali Michaelowi i kilku innym zakopywać je w piasku.

– Wtedy nie będą tak śmierdzieć, kiedy mięso będzie się rozkładać – pouczał Chuck swego nowego sąsiada.

Michael się zastanawiał, czy to stanowi jakąś różnicę, ale zakopywał gorliwie. Po kilku tygodniach lekkie kości wykopywano – osiągały one wysokie ceny na rynku. W Anglii wyrabiano z nich gorsety dla dam, resory do bryczek, wędki i wiele innych rzeczy, do których produkcji potrzebny był lekki, giętki, ale mimo to twardy surowiec.

Dla Michaela zarzynanie wielorybów było czymś ohydny i budzącym wstręt, nie chciał też jeść ich mięsa, które mężczyźni gotowali w tych samych kotłach, w których uprzednio gotował się tran. Za to cieszył się, kiedy wielorybnicy na koniec otworzyli coś w rodzaju wodociągu, za pomocą którego spłukano do morza resztki pokrojonego wieloryba. Woda oczyściła plażę, ale Michael sam sobie wydawał się śmierdzący i brudny mimo długiej kąpieli w płytkiej wodzie Pacyfiku tuż przy brzegu. Połowę jego dniówki zatrzymał Fyfe jako pierwszą ratę zapłaty za podróż statkiem, drugą połowę Michael przepił.

– Tak, na lądzie niewiele się zarabia – pocieszał go Chuck, który przypisywał przygnębienie i kiepski nastrój sąsiada równie kiepskiemu zarobkowi, który w dodatku tak szybko się rozpląnął. – Następnym razem wiosłujesz z nami, dostaniesz więcej!

I rzeczywiście, kilka dni później miał miejsce kolejny połów, a do tej pory Michael opanował całkiem nieźle wiosłowanie. Tane, jeden z najsilniejszych Maorysów, siedział obok niego i dawał mu wskazówki.

– My tak zawsze robimy – powiedział przyjaźnie, kiedy Michael z początku miał trudności. – My przyjechać w kanu, wiele, wiele żywotów przedtem. Moja rodzina przybyć z Aotea. Wielkie, dumne kanu!

– Przybyliście tu wiosłową łodzią? – spytał Michael zaskoczony. – Skąd?

Od czasu swego rejsu żaglowcem do Kaikoury i po swoich pierwszych próbach

wiosłowania coraz cieplej myślał o Lizzie Owens. Lepiej nie myśleć, co mogłoby się stać, gdyby ona nie przejęła inicjatywy, lecz pozwoliła na to, aby on sam wraz ze swoimi kompanami znalazł się na pełnym morzu! Już kilka czynności, które pozwolono mu wykonać teraz na żaglowcu płynącym do Kaikoury, pozwoliło mu zrozumieć, jak trudno było manewrować takim statkiem. A co dopiero na Morzu Tasmana!

– Z Hawaiki ląd, my przybyć! Daleko, daleko stąd... Kupe, pierwszy człowiek w Aotearoa – tak my nazywamy wyspę – zabił małżonka Kury-marotini. Była bardzo piękna kobieta. A potem on z nią uciec. Tutaj...

– Ale to chyba było dawno temu? – pytał później Michael Chucka Eagle’a.

Ten zaśmiał się, wyraźnie ubawiony.

– Sześćset lat temu! Ale tak czy owak, to oni są pierwszymi osadnikami i ten kraj należy do nich tak samo jak do nas. I każą sobie dobrze płacić, kiedy sprzedają nam ziemię.

Chuck Eagle oszczędzał pieniądze na kupno kawałka ziemi. Marzył o farmie, ale nie wiadomo było, czy w Anglii pracował kiedykolwiek na farmie i znał się na tej pracy. Prawdopodobnie głównie pływał po morzach – Michael nie pytał. Większość wielorybników miała za sobą raczej mroczną przeszłość. Pomijając Maorysów, każdy z nich przed czymś uciekał.

Maorysi należeli do tych, którzy radzili sobie najlepiej z tą okropną pracą. Tane mamrotał jakiś rodzaj modlitwy czy zaklęcia w swoim języku, kiedy w czasie kolejnego połowu siedział koło Michaela w łodzi. Harpunnik właśnie wystrzelił i ogromny hak wbił się w bok imponującego kaszalota.

– Mówić wybaczyć do Tangaroa, boga morza – zdradził mu Tane. – Wybaczyć, że zabijamy, i dziękuję, że ty zesłać wieloryba. I prośba o pomoc w łowach.

Maorys nie skończył mówić, kiedy trafiony kaszalot się odwrócił. Dla Michaela i pozostałych oznaczało to początek piekielnej jazdy. Zwierzę, chcąc się pozbyć harpuna, szalało w wodzie w panicznej ucieczce, zbliżając się do wybrzeża i oddalając od niego. Łódź była wprost miotana na linie. Do środka chlusnęła woda i wszyscy byli momentalnie mokrzy. Michael przełknął gęstą, słoną ciecz, która zalała mu twarz, ale nie zwrócił uwagi na natychmiastowe mdłości. Był przekonany, że za chwilę utonie, kiedy kołysząca się łódź groziła wywrotką. Tane i pozostali mężczyźni próbowali gwałtownymi ruchami wiosł i wagą ciał utrzymać równowagę łodzi, ale Michael nawet nie był w stanie myśleć.

W końcu jednak wyczerpany wieloryb leżał na powierzchni wody, a Michael zwymiotował za burtę prosto do morza, kiedy sternik wbił długą włócznię w bok bezradnego zwierzęcia. Znów zaczęli wiosłować, i Michael miał wrażenie, że śmiertelnie ranione zwierzę prześladowuje go swym wzrokiem. Z całą pewnością było to szaleństwo, nie próbował się nawet rozglądać, aby się o tym przekonać. Nie mógł

jednak zapomnieć o milczącym oskarżeniu zwierzęcia. Michael dawniej łowił już ryby, łapał króliki – skręcał też kark innym małym zwierzętom, które wpadały w jego pułapki. W czasach klęski głodu chwymano wszystko i Michael nie czuł się z tego powodu winny. Ale to tutaj – to było coś zupełnie innego. To było bezlitosne zabijanie zwierząt w celu zdobycia dóbr, których tak naprawdę nikt nie potrzebował. Anglia przetrwałaby bez tranu i fiszbinu – bez względu na ich cenę. Michael był mocno przekonany, że modlitwa Tane nie zostanie wysłuchana. Bóg morza czegoś takiego nie mógł przebaczyć.

Wieczorem Michael pił i usiłował zapomnieć o tym, co widział i robił – i potrzebował do tego znacznie więcej whiskey niż zwykle. Mężczyźni jedli niewzruszenie mięso wieloryba, a niemożliwy smród zdawał się im wcale nie przeszkadzać. Michael wiedział, że nigdy więcej nie będzie chciał płynąć łodzią na połów, a już w żadnym wypadku nie wyobrażał sobie siebie jako sternika czy też harpunnika. Zniósł w milczeniu śmiechy i złośliwości mężczyzn, którzy dokuczali mu, że zapewne ogarnął go strach. Myślał o tym, jak najszybciej uciec ze stacji wielorybników. Oczywiście musiał najpierw odpracować swój dług. Ale zostać tu tak długo, żeby zarobić na powrót Irlandii? Nie, to było nie do pomyślenia!

## ROZDZIAŁ 2

Lizzie jeszcze nigdy nie była tak bliska zasadom bogobojnego życia jak teraz, kiedy była służącą u Ladererów w Sarau. Ich farma znajdowała się nieco poza prześliczną wioską położoną w regionie Marlborough, na skraju równiny Waimea. Jak prawie wszystko w tym kraju, także ta osada była w trakcie budowy, sprawiała jednak bardzo obiecujące wrażenie. Ziemia była tu bardzo urodzajna, a osadnicy byli za to bardzo wdzięczni niebiosom, tym bardziej że w czasie pierwszych lat w nowym kraju szczęście im nie dopisywało. W pobliżu Nelson znaleźli mało terenów nadających się pod uprawę, w dodatku parokrotnie nawiedziły ich powodzie.

Ale takie przeciwności ze strony natury nie przerażały Ottona Laderera. Odważył się rozpocząć wszystko od nowa po raz drugi i teraz uprawiał jeszcze więcej akrów ziemi. Kwitła także jego hodowla bydła. Margarete, silna i rośła żona Ottona, pracowała równie ciężko jak on, podobnie zresztą jak ich dwaj synowie. Ani ojciec, ani obaj chłopcy, dla których znaleziono już w sąsiedztwie przyszłe żony, nigdy nie spoglądali na Lizzie pożądliwie. A jeśli któryś z osadników interesował się dziewczyną, to owe zainteresowania ograniczały się jedynie do kilku uprzejmych słów i może wspólnej przejażdżki w niedzielę. Ci dzielni i grzeczni chłopcy z Meklemburgii czy też Dolnej Saksonii wiedzieli i przystawali na to, że któregoś dnia poślubią jedną z równie grzecznych i dzielnych dziewcząt z sąsiedniego gospodarstwa. A ewentualny związek nawet z córką któregoś z bawarskich katolików w ogóle nie wchodził w grę, bo byłby dla ich rodziny istną katastrofą. Toteż energiczna służąca bez żadnych środków finansowych była daleko poza kręgiem ich zainteresowań, bez względu na to, jak miło się uśmiechała.

Ladererowie zaczęli pracę wraz ze wschodem słońca i szli spać, kiedy tylko robiło się ciemno. Tego samego oczekiwali od Lizzie, a wieczorne zużywanie oleju do lampy uchodziło za zbędny luksus. Praca była ciężka, ale posiłki regularne i bardzo obfite. Z podobną regularnością i sumiennością wypłacano też Lizzie comiesięczny zarobek. Kobiety ubierały się zawsze w niebieskie bluzki i spódnice, a w domu nosiły dodatkowo białe fartuszki. Mrs Laderer dała Lizzie swoje stare ubranie robocze i obiecała jej materiał na nową suknię w prezencie na Boże Narodzenie. Jedyne pytanie, które zadała dziewczynie, brzmiało:

– Jak mogłaś jechać z Anglia tylko z jedna suknią?

Poprzednie życie Lizzie było jej chyba zupełnie obojętne.

Ladererowie nazywali swoją nową służącą Liese lub Lieschen i nie pytali nawet o jej nazwisko. W niedzielę oczywiście zabierali dziewczynę do kościoła, w którym



Lizzie brakowało trochę uroczystego ceremoniału. Wielebny, który tu nazywał się pastor, też sprawiał wrażenie o wiele bardziej surowego niż jego konfrater w Campbell Town, choć Lizzie nie była w stanie tego dokładnie ocenić, bo wygłaszał kazania tylko po niemiecku.

Ale nic z tego wszystkiego Lizzie nie przeszkadzało. Była zadowolona z tego, że zostanie tu przez dłuższy czas i będzie oszczędzać, choć niestety nie znajdowała w swej pracy choćby jednej iskry radości i była stale przemęczona. Lizzie nie była leniwa, jako pomoc kuchenna i pokojówka była stale chwalona. Ale Ladererowie nie potrzebowali właściwie służącej w domu, tylko dziewczyny do pracy w stajni i oborze. Lizzie musiała wywozić gnój i doić krowy, zbierać jajka w kurnikach i pomagać przy zarzynaniu. I zwłaszcza jeśli chodzi o to ostatnie, nie za bardzo potrafiła to znieść. Radziła sobie z wywożeniem gnoju, pomijając jedynie fakt, że była wprost śmiertelnie zmęczona, kiedy wepchała na przymę kompostową piątą czy szóstą ciężką taczkę, a Mr Laderer zwracał przy tym baczną uwagę na porządek i czystość. Lizzie była dziewczyną drobną i kruchą. Ciężka praca nie za bardzo jej służyła. Jeszcze gorsze było dojenie i karmienie oraz zapędzanie krów i koni. Lizzie po prostu obawiała się dużych zwierząt. Nie ufała im i była śmiertelnie przerażona, kiedy krowa w czasie dojenia podnosiła nogę albo odwracała głowę, spoglądając na niezbyt zręczną dójkę. Czasami zwierzę wywracało przy tym wiadro z mlekiem i Mrs Laderer bardzo się złościła. Lepiej radziła sobie Lizzie z pracami polowymi; rośliny cieszyły ją bardziej niż zwierzęta, a z biegiem czasu jej prawdziwą pasją stał się ogród znajdujący się za kuchnią. W niedziele wykopywała w lesie te kwiaty, które pięknie kwitły lub z jakichś względów szczególnie jej się podobały, i sadziła je w ogrodzie, aby był piękniejszy. Co prawda, nie spotkało się to ze zrozumieniem i aprobatą Mrs Laderer.

– Na co kwitnące krzaki? Lepiej posadzić jabłoni.

Ladererowie w zasadzie odrzucali wszystko, co nie przynosiło wymiernych korzyści ani zysku. Lizzie chwilami przyłapywała się na tym, że brakowało jej domu Smithersów – odkurzania pięknych mebli, mycia porcelanowych naczyń do herbaty, kwiatów w wazonach, różanego ogrodu... Lizzie potrafiła marzyć o piękniejszym życiu bez względu na to, jak brudna i pełna lęku była otaczająca ją rzeczywistość. U Ladererów nie musiała się niczego obawiać, choć co prawda było to życie pozbawione marzeń i wszystkiego, czym można by się cieszyć. Brakowało jej też ojczywego języka. Ani Ladererowie, ani też ich sąsiedzi nie uważali za konieczne, aby nauczyć się angielskiego lepiej niż tyle, ile było im naprawdę niezbędne – i właściwie obchodzili się oszczędnie nawet z własnym językiem. Zwłaszcza osadnicy z Dolnej Saksonii byli szczególnie małomówni i chłodni, co Lizzie odczuwała aż nadto wyraźnie.

Bardzo się więc ucieszyła, kiedy Margarete Laderer po czterech miesiącach pracy

poprosiła Lizzie, aby tego popołudnia pomogła jej w domu.

– Ty mówiłaś, byłaś w wykwinny dom – wyjaśniła. Otto Laderer najwyraźniej opowiedział jej o dziwnej rozmowie w sprawie zatrudnienia z niemniej dziwną angielską dziewczyną. – Dzisiaj Anglicy przyjeżdżać, wykwinny mężczyzna. Councillor, Bay of Islands.

Lizzie nie za bardzo wiedziała, co to znaczy „Bay of Islands”, ale słowo „councillor” brzmiało tak, jak gdyby kryło się za nim coś bardzo ważnego.

– Wizyta, chce mówić z kimś, kto zna angielski. Dlatego Otto.

Otto Laderer rzeczywiście mówił po angielsku lepiej niż większość osadników.

– Pewnie będzie pić herbatę. Ty zrobić herbatę?

– Czy umiem zaparzyć herbatę? Oczywiście – przytaknęła z uśmiechem Lizzie. – Potrafię też ją podać. Och, proszę, Mrs Laderer, proszę pozwolić mi nakryć stół i obsłużyć gości. Dokładnie tak, jak u bardzo wykwinnych ludzi. Proszę! – Lizzie wprost paliła się do tego, aby zaprezentować swoje umiejętności.

– My dobre ludzie, nie wykwin... – mruknęła Mrs Laderer, ale nie wzbraniała się przed ofertą Lizzie.

Lizzie pobiegła do kuchennego kredensu i wygrzebała stamtąd najpiękniejszy obrus, którego Ladererowie używali tylko z okazji najważniejszych świąt. Błyskawicznie ułożyła serwetki, ścięła kilka najpiękniejszych kwiatów rata i udekorowała stół. Daremnie szukała wazonów, podobnie jak dzbanka do herbaty. Farmerzy pili wyłącznie kawę. Na szczęście mieli śliczny gliniany serwis do kawy, niebieski w białe kropki – jeśli podać w nim herbatę, to na pewno będzie smakować równie dobrze. Lizzie przygotowała wszystko i włożyła swoją śliczną suknię podróżną oraz czysty biały fartuszek. Brakowało tylko czepka, żeby dopełnić całości stroju służącej. Lizzie odegnała pewną myśl, która przyszła jej do głowy, gdy zerknęła w małe i jedyne lustro Ladererów. Z pewnością councillor nie ma takich obrzydliwych skłonności jak Mr Smithers. I będzie umiał docenić przede wszystkim jej pracę, a nie wygląd. Na koniec Lizzie postawiła na kuchni wodę na herbatę – w korytarzu słyszała już głosy gościa i gospodarza. A potem pobiegła do drzwi. Zafascynowana Mrs Laderer obserwowała przez szparę w drzwiach, jak jej dziewczka stajenna elegancko dyga i odbiera od gościa pelerynę, którą miał na sobie wysoki i szczupły mężczyzna – na dworze siąpił przenikliwy, drobny deszczyk. Gość się uśmiechnął, podał jej jeszcze wysoki kapelusz i poszedł za małomównym Ottonem do izby, w której czekała Mrs Laderer.

– James Busby! – Gość, kłaniając się elegancko, przedstawił się pani domu, która najwyraźniej nie bardzo wiedziała, co ma odpowiedzieć. W końcu niezdarnie zaprosiła go do stołu, a Lizzie udało się podać herbatę ściśle po przepisowych trzech minutach parzenia. Stała dokładnie po prawej stronie gościa, grzecznie zapytała o cukier i znów dygnęła, kiedy mężczyzna podziękował.

Otto Laderer patrzył na dziewczynę niemal z nabożną czcią, a Lizzie z trudem udawało się zachowywać spokój na twarzy, a nie uśmiechać się promiennie jak mała dziewczynka. Wreszcie udało jej się zrobić właściwe wrażenie na swoich pracodawcach!

Jednak wszystko wskazywało na to, że Ladererowie nie będą w stanie pomóc swojemu gościowi.

– Słyszałem, że kilku niemieckich osadników tu, w regionie Marlborough, zna się trochę na uprawie winorośli – powiedział Mr Busby, teraz już wyraźnie nieszczęśliwy po wymianie kilku słów z Ottonem Ladererem. – Nie muszą być ekspertami, przeszkoliłbym ich. Ale trochę doświadczenia w pracy winiarskiej byłoby wskazane. Nasi miejscowi pracownicy nie mają do tego drygu, wiecie? Nigdy też nie pili wina, a jeśli dać im skosztować – to ono im nie smakuje!

Busby powiedział to z wyrazem takiego oburzenia na owalnej, otoczonej nieco już posiwiąłą brodą twarzy, jak gdyby Maorysi co najmniej bluźnili w ten sposób Bogu, ale Ladererowie zachowali takie same kamienne twarze. Lizzie uważała za całkiem możliwe, że nigdy nie próbowali wina. Pili niewiele, a jeśli już, to pędzoną własnoręcznie czystą wódkę albo nalewki – coś w rodzaju likieru: owoce zalane wódką z dodatkiem cukru. Lizzie uważała, że było to smaczne, ale dość mocne.

– My nie robimy wina – stwierdził Laderer. – Może Bawarczycy. Ale nie sądzę. Oni raczej piwo.

– Nie macie tutaj żadnych winnic? – westchnął Busby, jak gdyby było absolutnie nieuniknione, że ktoś, kto raz spróbował wina i wiedział coś niecoś na temat jego uprawy, musiał je także produkować. – Taaak, to rzeczywiście niewiele można zrobić. Proszę wybaczyć, że zająłem wam tyle czasu. I bardzo dziękuję za herbatę, była wspaniała! – Busby uśmiechnął się do Mrs Laderer i do Lizzie.

– Czy wypije pan jeszcze jedną filiżankę? – spytała Lizzie.

To pytanie powinna była właściwie zadać Mrs Laderer, ale ona wydawała się raczej zadowolona, że uda im się wkrótce pozbyć Anglika.

Busby zaprzeczył, ale uniósł przy tym brwi do góry.

– Jesteś Angielką, śliczne dziecko? – spytał uprzejmie.

Lizzie przytaknęła i znów dygnęła.

– I jaka wykształcona! Gratuluję, Mr Laderer. To rzadkość. W większych miastach mówią już o tym, żeby sprowadzać angielskich służących z sierocińców w Londynie. I to właśnie tu, na Wyspę Południową, gdzie przecież nie mamy do dyspozycji tak wielu tubylców. A przy tym wydaje mi się, że tutejsi tubylcy są bardziej chętni do pracy niż nasi na północy... Ale jeśli o tę dziewczynę chodzi – to bardzo szczęśliwe posunięcie! Skąd jesteś, dziecko?

Lizzie zastanawiała się przez chwilę, czy ma skłamać. Ale jeśli ten mężczyzna choć trochę znał Anglię, to zapewne usłyszy po jej wymowie, skąd ona pochodzi.

– Z Londynu, sir! – odpowiedziała. – Whitechapel.

Busby się uśmiechnął.

– Ale nie z tego genialnego importu sierot, zakładam. Osobliwy pomysł doprawdy, żeby sprowadzać tu te wyrzutki społeczeństwa.

Lizzie się zaczerwieniła.

– Nie... Mój... ojciec był... stolarzem.

Mąż Anny Portland był stolarzem.

– I od dziecka jesteś na służbie. Pięknie... Jak mówiłem, macie szczęście, Laderer! A może mógłbym tę dziewczynę zwerbować do pracy u siebie?

Busby, uśmiechając się, zwrócił się z tymi słowami do Mr Laderera. Chyba nie mówił tego poważnie.

Otto Laderer ściągnął wargi.

– Zwer...?

– Zwerbować. To znaczy, że Mr Busby chciałby, abym pracowała u niego!

To było już bezczelne, ale Lizzie nie mogła się powstrzymać. Busby najwyraźniej zakładał, że ona zamierzała tu zostać do końca życia i że niemieccy farmerzy byli bardzo zadowoleni z takiej służącej. Ale tak naprawdę... Nie mogło im przecież aż tak zależeć na dość niezdarnej dziewczynie!

– Liese u nas dziewczka stajenna – zauważyła Mrs Laderer.

Mr Busby spojrzał uważnie na Lizzie. Miał surowy, przenikliwy wzrok.

– Czy to prawda, Lie...? – Niemiecka wymowa sprawiała mu wyraźne trudności.

Lizzie dygnęła.

– Elizabeth, sir. Lizzie.

– A dalej, dziecko? – pytał Busby.

Lizzie odetchnęła głęboko. Tylko teraz nie zrobić żadnego błędu!

– Portland, sir. Elizabeth Portland. I tak, to prawda, ja tu pracuję głównie w stajni. Tu... pokojówka nie jest... potrzebna.

Lizzie starała się mówić tak wyraźnie, aby zrozumieli ją także Mrs i Mr Laderer.

– To dlaczego nie poszukasz sobie innej posady? W Nelson albo w Christchurch czy też na wielkich farmach ludzie szukają takich dziewcząt! Na pewno masz też listy polecające.

Busby popatrzył z zainteresowaniem, ale i surowo.

Lizzie rozmyślała gorączkowo. Potrzebowała dobrej historii! Takiej, która tłumaczyłaby, dlaczego nie miała żadnych papierów ani świadectw pracy. Zagryzła wargi, jakby w rozterce. Najlepiej, żeby to była historia jak najbardziej możliwa. Nie musiała być to jej własna historia, ale też nie taka dopiero co wymyślona. W myślach przeklęła samą siebie za taki brak rozwagi. W końcu w czasie tych długich, nudnych miesięcy w Sarau dawno mogła coś wymyślić.

– Mr i Mrs Laderer byli dla mnie bardzo dobrzy, kiedy przyjechałam tu z Australii

– powiedziała ze wzrokiem wbitym w podłogę. – O nic mnie nie pytali, a ja... ja wstydziałabym się opowiedzieć im wszystko.

Busby się uśmiechnął.

– Z Australii? Ale chyba nie jesteś więźniarką? – Żartobliwie pogroził Lizzie palcem.

Lizzie spojrzała na niego nieszczęśliwym wzrokiem.

– Ja nie, sir, ale moja matka. Anna Portland... w Londynie... W Londynie każdy o tym słyszał... I moi państwo nie chcieli mnie już zatrudniać. To pomyślałam, że mogłabym być razem z moją matką, jak wyjadę do Australii. Spadek po ojcu akurat na to wystarczył. Ale ja... – Lizzie dramatycznie zawiesiła głos – ...ja jej nie znalazłam.

I podczas kiedy Ladererowie słuchali z zainteresowaniem, ale z pewnością zrozumieli zaledwie połowę, Lizzie, jękając się, przedstawiła dramat Anny Portland councillorowi Bay of Islands. Człowiekowi, który mógł się łatwo przekonać o tym, czy ta historia jest prawdziwa, wysyłając list do Londynu, a jeszcze szybciej – wysyłając list do Australii z zapytaniem o zbiegłą więźniarkę.

Po wysłuchaniu jej opowieści Busby był wyraźnie bardzo poruszony.

– Oczywiście będę musiał to wszystko sprawdzić, Elizabeth. Ale w zasadzie... Gdyby twoi obecni państwo pozwolili ci odejść... Chętnie byłbym cię zabrał do Waitangi. To jest na Wyspie Północnej. Mam nadzieję, że nie cierpisz na chorobę morską.

Ladererowie pozwolili odejść w pokoju swojej niezbyt zręcznej dziewczce stajennej, a James Busby opowiadał licznym znajomym spotykanym w drodze powrotnej z Lizzie, że jego żona wreszcie będzie z niego zadowolona.

– Zwykle przywożę ze sobą winogrona, a teraz zapowiedziałem jej, że przywiożę niemieckiego właściciela winnicy. Jeśli zamiast tego wszystkiego dostanie angielską pokojówkę, nie będzie się posiadała z radości.

Lizzie z nie mniejszą radością przyjęła do wiadomości fakt, że w domu Jamesa Busby'ego czeka na niego żona, której najwyraźniej był bardzo oddany. Bądź co bądź para miała już sześcioro dzieci. Także w czasie długiej wspólnej podróży szkocki znawca win i polityk zachowywał odpowiedni dystans w stosunku do nowo zatrudnionej pracownicy. Ale oprócz tego znaczącego faktu Lizzie niełatwo było go ocenić. Busby w wielu kwestiach miał już wyrobione zdanie i potrafił go bronić. W drodze do Waitangi – miejscowości leżącej na najbardziej wysuniętym krańcu Wyspy Północnej, często gościli w domach zarówno jego politycznych przyjaciół, jak i wrogów, i wówczas dochodziło często do gorących sporów i dyskusji między gospodarzem a Busbym. Lizzie raz po raz słyszała, że jej nowy pan był uparty, ale z drugiej strony cieszył się dużym szacunkiem i zapewne był dobrym dyplomata.

I rzeczywiście, jak opowiedział jej Busby, to on był autorem słynnej umowy

z Waitangi, zgodnie z którą wodzowie trzydziestu czterech maoryskich szczepów podporządkowali się bez walki Koronie Brytyjskiej. Wynikła z tej umowy sława przypadła w udziale Williamowi Hobsonowi, ale Busby już na długo przed nim reprezentował interesy brytyjskie w Nowej Zelandii. Tymczasem objął oficjalnie stanowisko Bay of Islands Councillor, czyli pełnił funkcję doradcy w sprawach terenu obejmującego Waitangi.

Zatoki i wyspy tego regionu były dość słabo zaludnione, Maorysi od dawna schryścianizowani i zasymilowani, bo zamiast wielorybników i poławiaczy fok już na początku tego stulecia osiedlili się tutaj misjonarze. Ziemia była bardzo urodzajna, z dużym sukcesem zajmowano się rolnictwem, którego kulisy stanowiły zatoki o lazurowej wodzie, soczyste zielone lasy deszczowe i potężne wodospady.

Nikt nie potrzebował doradztwa Busby'ego, bo w swoim czasie zbyt często oferował on swą pomoc misjonarzom i osadnikom. Wydawało się, że najlepiej radził sobie z Maorysami – jego wcześniejsze sukcesy były także efektem dobrych, zręcznych zabiegów dyplomatycznych wobec wodzów miejscowych szczepów. Ale oni teraz także nie potrzebowali councillora i Busby wreszcie znalazł czas na własne zainteresowania. Jednym z nich była właśnie uprawa winorośli i wyrób wina, choć ruchliwy i niepozbawiony temperamentu Busby próbował swych sił także jako wydawca gazety, handlowiec oraz farmer. Ale przede wszystkim sprawdzał się jako nauczyciel, przynajmniej tak długo, jak długo jego uczniowie nie próbowali mu się sprzeciwić. W swoim czasie w Australii uczył gospodarki rolnej i uprawy winorośli i wydawało się, że teraz mu tej pracy bardzo brakowało.

Temu właśnie Lizzie zawdzięczała bardzo edukacyjny charakter swej krótkiej podróży. Busby znał Nową Zelandię jak mało kto i zasypywał dociekliwą Lizzie mnóstwem informacji o florze i faunie tego kraju. Lizzie dziwiły ogromne lasy paprociowe i dziwne ptaki, które wykopywały jamy w ziemi, dowiedziała się też wszystkiego o hodowli owiec, w której Busby widział przyszłość przede wszystkim Wyspy Południowej, ale najwięcej – o uprawie winorośli, do którego to tematu Busby ciągle wracał. Próbował już założyć winnicę powyżej słynnego Waitangi i był zachwycony, choć trudno było na razie mówić o wielkich sukcesach.

Krajobrazu wokół Waitangi nie dało się w ogóle porównać z okolicą miasta Nelson. Lizzie, dziewczyna z Londynu, była zachwycona wyjątkową urodą natury Wyspy Północnej. Właśnie tak wyobrażała sobie biblijny raj: zatoki o ciemnoniebieskiej wodzie i skaliste wysepki, ciemnozielone paprociowe lasy i otaczające wszystko góry, których bajeczne kolory zmieniały się wraz z kątem padania promieni słonecznych. No, może w raju padało mniej deszczu... Jak dowiedziała się Lizzie, pogoda zarówno zimą, jak i latem była bardzo zmienna. Było tu znacznie cieplej niż na Wyspie Południowej, ale znacznie bardziej wilgotno.

I wreszcie udało się Lizzie prowadzić bogobojne, a mimo to wcale nie nudne, lecz

pełne zadowolenia życie! Agnes Busby prowadziła otwarty, duży dom i rzeczywiście ucieszyła się z nowej pomocy w gospodarstwie. Dotychczas miała tylko maoryskich służących i pokojówki, ale nie mówiła ani słowa w ich języku. Musiała się posługiwać językiem migowym albo jej mąż przychodził tłumaczyć. Ani jedno, ani drugie ku jej żalowi nie wychodziło najlepiej.

Mrs Busby kochała piękne przedmioty i chętnie prowadziłyby swój dom tak, jak gdyby to był angielski dwór. Ona sama wychowywała się w Nowej Południowej Walii, ale pochodziła ze szlacheckiej rodziny. Niestety ani jej mąż, ani też maoryscy pracownicy nie interesowali się woskowaniem i polerowaniem ciężkich mebli czy też prawidłowym układaniem fałd w zamszowych zasłonach okien salonu. Nikt nie potrafił odpowiednio wyszczotkować sukni do jazdy konnej Mrs Busby, nie mówiąc już o prasowaniu koronkowych wykończeń jej sukni. A Lizzie większości takich prac nauczyła się od Mrs Smithers i w dodatku podzielała radość swojej nowej *missus*, którą ta czerpała już z samego widoku zadbanych, czystych pokoi i faktu właściwego prowadzenia gospodarstwa. Lizzie najpierw ogarnął dawny lęk, kiedy zobaczyła swój strój służącej: fartuszek i czepek. Ale to na szczęście okazało się bezpodstawne, dziewczyna szybko zaczęła się w nim dobrze czuć i tylko maoryskie dziewczyny bez przerwy mamrotały coś na ten temat w swoim języku.

Kontakty z dziećmi Busbych sprawiały Lizzie ogromną przyjemność – chętnie przejęła opiekę nad nimi, zwalniając z tego obowiązku miłe maoryskie dziewczyny, które wyraźnie nie radziły sobie z angielskim stylem wychowywania, ale nadal chętnie jej pomagały. Te dziewczęta wymagały odrobiny zrozumienia i życzliwości, a w przeciwieństwie do Mrs Busby, która traktowała je jako coś w rodzaju nic nierozumiejących zwierząt roboczych, Lizzie szybko stwierdziła, że Maorysów i Anglików więcej łączy niż dzieli. Lizzie z początku zaskakiwało wszystko. W Anglii nigdy nie było jej dane widzieć ciemnoskórego człowieka, a zgodnie z opowieściami o dzikusach w kazaniach wygłaszanych w kościołach przez wielebnych sądziła, że są to istoty wprawdzie daleko spokrewnione, ale jednak nie ludzie. W tym przekonaniu umacniał ją początkowo widok wytatuowanych, silnie zbudowanych ludzi o dziwnych fryzurach i to, że ich kobiety chodziły półnagie. Ale później zauważyła, że maoryskie dziewczęta rozmawiały ze sobą, chichotały i żartowały tak samo, jak ona to kiedyś robiła z przyjaciółkami. Dzieci Busbych w lot chwyciły język swych opiekunek, a zafascynowana Lizzie zauważyła, że wkrótce potrafiły porozumiewać się z Maorysami tak samo jak z Anglikami. Wobec tego Lizzie nie używała języka migowego, nie próbowała też przyswoić sobie nieprzyjemnej metody Mrs Busby, która mówiła do Maorysów tym głośniejszym głosem, im bardziej jej nie rozumieli. Lizzie zaczęła natomiast wypytywać Maorysów o nazwy poszczególnych przedmiotów oraz znaczenie słyszanych słów i uczyła się bardzo prędko; już po kilku miesiącach razem z dziewczyną z kuchni imieniem Ruiha śmiała się z tego, że w maoryskim nie ma

słów oznaczających kartę wizytową i bufet. Zrozumiała też, że osobliwe zwyczaje Maorysów mają swoje znaczenie, a przerażające tańce i okrzyki, które z początku napełniały ją lękiem, były często tylko rytuałami związanymi z pozdrowieniem, tatuże zaś oznaczały przynależność plemienną.

Ruiha i inni Maorysi pracujący u Busbych wkrótce zaprosili Lizzie do swojego *marae*. Dziewczyna podziwiała kunsztowne drewniane płaskorzeźby w domach zebrzań i tych, w których sypiali Maorysi. I jeszcze jedno zaskoczyło ją niezmiernie: u Maorysów najwyraźniej nie grał zbyt dużej roli fakt, kto był czyim mężem czy żoną, a pojęcie „łatwe dziewczyny” też wydawało się im nieznanym. Ruiha, chichocząc, znikła gdzieś wieczorem z ogrodnikiem Hare. Dziewczyna miała już małego synka, ale chyba nie za bardzo było wiadomo, kto jest jego ojcem. Lizzie była przerażona, kiedy koniuch Paora bez skrępowania zaczął się do niej zalecać, ale Maorysi zaczęli się głośno śmiać, kiedy dziewczyna zaczęła się niemal panicznie bronić. Lizzie się obawiała, że taka reakcja tylko zachęci chłopaka do użycia siły, potem jednak stwierdziła, że jego współplemieńcy śmiali się raczej z odrzuconego Paora, a nie z jej nieprzystępności. Niezbyt wysoki, ale ciężki i bardzo silny młody mężczyzna wycofał się skruszony, dwie zaś dziewczyny sparodiowały, jak należy się poprawnie zalecać do *pakeha wahine*. Napięcie Lizzie stopniowo ustąpiło i wreszcie była w stanie śmiać się ze wszystkimi, kiedy jedna z dziewcząt wręczała drugiej kwiaty i stale się przed nią kłaniała. Dziewczyna, która odgrywała rolę dziewczyny *pakeha*, ciągle się wzbraniała, aż wreszcie „oddawała się” swojemu wielbicielowi, przedstawiając to za pomocą tanecznych ruchów, co Lizzie wydało się dość obsceniczne. Ale dla pozostałych widzów nie było to nieprzyjemne. Wciąż się śmiali, że kochanek potykał się o swoje spodnie i chyba nie za bardzo wiedział, czy w czasie aktu seksualnego ma je zostawić na sobie, czy też zdjąć. A później Paora zniknął gdzieś z inną dziewczyną, a Lizzie niepokojona wróciła do domu Busbych.

Mrs Busby przyglądała się przyjaźni Lizzie z Maorysami raczej z mieszanymi uczuciami. Z jednej strony Lizzie jako tłumaczka ułatwiała jej życie, a z drugiej strony nie za bardzo podobało jej się takie bratanie się z autochtonami, jak nazywała Maorysów. Przede wszystkim wydawało jej się to niestosowne dla grzecznej angielskiej dziewczyny.

Mr Busby patrzył na to wszystko raczej z zadowoleniem. Bardzo szanował Maorysów, choć solą w oku było mu ich niewielkie zainteresowanie uprawą winorośli. A jego winnica nie prosperowała zbyt dobrze, mimo że tak bardzo się angażował. Robotnicy po prostu nie rozumieli, że to nie wszystko jedno, czy winobranie odbędzie się dziś, czy też dopiero za tydzień, albo czy zacier należy przed fermentacją poddać wyciskaniu, czy też nie. Przerzedzanie winorośli uważali za stratę i chociaż Busby pokazywał im to wiele razy, ciągle zostawiali na krzakach zbyt wiele pędów. Winnica dawała dużo wina, ale niezbyt wartościowego. Mr Busby



mógł dyskutować o tych problemach godzinami, ale oprócz jego synów tylko Lizzie interesowała się dylematami sztuki winiarskiej. Busby importował wina na swój stół z najróżniejszych terenów i od chwili, kiedy Lizzie zdradziła swoje zainteresowanie tym tematem, co rusz dawał jej i swojej mało zachwyconej rodzinie jakieś wino do skosztowania. W niedziele zabierał dziewczynę ze sobą do swoich winnic, rzekomo po to, aby przygotować piknik dla całej rodziny, ale tak naprawdę dlatego, że była cierpliwą słuchaczką jego niekończących się opowieści o winogronach. Czasami Lizzie odważała się nieśmiało wyrażać swoje zdanie, co zachwycało Busby'ego.

– Robię się zazdrosna – komentowała Mrs Busby i chowała się zadowolona z książką pod swoim parasolem słonecznym, podczas kiedy jej mąż prowadził Lizzie oraz dzieci w góry, by objaśnić im sens wczesnych zbiorów oraz znaczenie przycinania krzewów winorośli.

Lizzie była po raz pierwszy szczęśliwa i całkowicie zadowolona ze swojego życia. Oczywiście myślała czasami o Michaelu i osobliwym magnetyzmie, którym ją przyciągał, a także o nieoczekiwanej błogości, jakiej doznała w jego ramionach. Ale nie chciała dłużej pograżać się w żalu. Bo na koniec on ją skrzywdził, a ona dość już krzywd wycierpiała! Lizzie nie chciała już doznać rozczarowania ani lęku. Praca u Busbych podobała jej się i czuła się dzięki niej spełniona. Lata i zimy mijały w mgnieniu oka, ale ona była przecież jeszcze młoda, miała dopiero dwadzieścia dwa lata. Miała dość czasu, by odpocząć, zanim zacznie myśleć o mężu i dzieciach. Lizzie potrzebowała jeszcze kilku lat, ale podświadomie ufała, że kiedyś będzie mogła znów się zakochać. I to w dobrym człowieku. Ciągle wierzyła w bogobojne życie z dziećmi w małym, przytulnym domu.

– Dla naszej Lizzie poszukamy winiarza! – mawiał żartobliwie James Busby, kiedy ktoś z licznych znajomych rodziny pytał, dlaczego w polu widzenia nie ma żadnego narzeczonego. – Jak myślisz, Lizzie – czy to ma być Francuz z Langwedocji o oczach pełnych żaru, czy też jasnowłosa, błękitnooki Niemiec?

– Ciemnowłosa o niebieskich oczach – odpowiadała kokieteryjnie Lizzie i dodawała: – Ale obawiam się, że tacy siedzą w Irlandii i pędzą whiskey!

## ROZDZIAŁ 3

Michael nie mógł się przyzwyczać do zabijania i patroszenia wielorybów, ale nie widział też żadnej alternatywy dla pracy w Waiopuka. A ponieważ nie doczekał się zostania harpunnikiem ani sternikiem, jego zarobki były raczej nędzne. I znaczną ich część zużywał na poprawianie sobie wieczorami nastroju za pomocą picia. Spłacenie podróży z Nelson miało wobec tego trwać lata. O oszczędzaniu nie było co myśleć, przyszłość widział więc w czarnych barwach. Inne zajęcia, które nadawały się dla mężczyzn w tej dzikiej części Nowej Zelandii, były mało kuszące. Michael raz widział, jak zabijano młode foki i jak potem zdzierano z nich skóry, i potrzebował całej butelki whiskey, aby nie widzieć ogromnych oczu zabitych zwierząt i nie słyszeć żalnego wycia ich matek. Z dwojga złego wolał już patroszyć wieloryby.

Dopiero po dwóch latach wykonywania przez niego tej nie ulubianej pracy na horyzoncie pojawił się promyk nadziei. Stary wilk morski Robert Fyfe rozkazał swoim pracownikom, aby z dnia na dzień zbudowali zagrodę obok jego masywnego, posadowionego na wielorybich kościach domu. Potrzebne do tego drewno przywieziono z zachodniego wybrzeża, najwyraźniej Fyfe nie szczędził trudu ani pieniędzy dla swojego nowego projektu.

– Co on wymyślił, pole uprawne i hodowlę bydła? – spytał zdziwiony Michael swojego sąsiada Chucka Eagle’a.

Ten wzruszył ramionami.

– Może konie? To mogę sobie najprędzej wyobrazić. Ale coś nowego musi zacząć robić. Wieloryby są daleko. W tym miesiącu złapaliśmy dopiero jednego!

– Jest przecież zima – stwierdził Michael.

Chuck potrząsnął głową.

– Tutaj to żadna różnica. A poza tym to tylko samce wielorybów, samicom jest tu za zimno przez cały rok. A dawniej łowiliśmy przez cały rok. Ale teraz... te bydłeta nie są głupie, Michael. Trochę to potrwało, ale w końcu skapowały, że ten kawałek wybrzeża nie jest bezpieczny. Więc stary Fyfe musi albo kupić statek, albo wymyślić coś nowego. A nie ma chyba ochoty znów pływać po morzach!

Mieszkańcy zagrody przybyli kilka dni później i Michael nie mógł się na nich napatrzeć. Od kiedy opuścił Irlandię, nie widział na oczy ani jednej owcy. A mówiąc szczerze, w swojej ojczyźnie nie widział nigdy tak pięknych, dobrze odżywionych egzemplarzy jak te trzysta zwierząt, które tłoczyły się teraz na wybiegu przed domem Fyfe’a.

– Rasa romney, dwa tryki i trzysta owiec maciorek! – wyjaśnił z dumą Fyfe. –

Patrz, Parsley, ile siły mają te zwierzęta!

Oba tryki zaczęły właśnie ze sobą walczyć. Ciasnota chyba wzmagala ich agresję.

– Rozdzieliłbym je, zanim się pozabijają – zauważył Michael sucho. – Ale to rzeczywiście piękne zwierzęta. Jakość pierwsza klasa, moje uznanie!

– Znasz się na owcach? – spytał Fyfe nieufnie.

– Trochę – skinął głową Michael. – Mieliśmy ich trochę we wsi, z której pochodzę. A dokładniej mówiąc, to landlord je miał. My, dzierżawcy, mogliśmy wyżywić najwyżej dwie, trzy, a później wcale. W czasie klęski głodu sami żarliśmy trawę.

Fyfe się roześmiał. Michael zagryzł wargi.

– No to wiem, do kogo się zwrócić, kiedy będę miał jakieś problemy! – stwierdził Fyfe życzliwie, czego Michael niemal nie zauważył.

Fyfe był znany jako ktoś, kto uparcie obstaje przy swoim i wie wszystko lepiej. Od kiedy istniała stacja wielorybników, nigdy jeszcze nie zapytał nikogo o zdanie. Także teraz zakup zwierząt znakomitej jakości był z pewnością szczęśliwym przypadkiem, bo jakiś handlarz mógłby nieźle okantować starego kapitana. Michael nie myślał potem zbyt często o owcach, zwłaszcza że w następnych tygodniach w ręce wielorybników wpadły dwa ogromne zwierzęta. Michael pograżył się najpierw we krwi i w tłuszczu, a na koniec w whiskey.

Ale potem, dokładnie cztery tygodnie po przybyciu wspaniałych owiec rasy romney, kapitan Fyfe zjawił się rankiem przed jego chatą.

– Parsley! Ja... hm... Ty znasz się na owcach... tak mówiłeś...

Michael, chwiejąc się, wyszedł na dwór. Ostatniej nocy mocno nadużył whiskey.

– W każdym razie lepiej niż na wielorybach – wymamrotał.

Ale Fyfe już mówił dalej.

– Chwaliłeś się, czy jest coś na rzeczy?

Michael ziewnął i spróbował dojść do siebie.

– Pilnowałem owiec landlorda, kiedy byłem chłopcem – wyjaśnił. – Potem pracowałem głównie na roli, nie jestem owczarzem. Ale coś niecoś wiem, cała Irlandia jest pełna owiec.

Fyfe zastanawiał się przez chwilę.

– No dobrze – stwierdził w końcu. – Mniej niż ja na pewno nie wiesz. To chodź i obejrzyj te bydłeta. Dla mnie wyglądają tak, jak gdyby było z nimi coś nie w porządku. Przede wszystkim kuleją. Chciałbym wiedzieć dlaczego.

Michael powłókł się więc na dół do domu kapitana, kiedy się już nieco odświeżył. Z żalem patrzył na zwierzęta, przedtem czyste i piękne. Teraz miały wełnę sklejoną i brudną, a grunt na padoku zamienił się w błotnistą maź. Zwierzęta nie chciały też żreć siana, które było zmieszane z błotem i mokre. Wiele owiec kulało.

– I co, masz jakiś pomysł? – spytał Fyfe niechętnie. Nie podobało mu się, że teraz nie on miał tu decydujący głos.

Michael skinął głową.

– Jasne. Wybiegi są za małe. Grunt jest zbyt mokry i błotnisty.

– I dlatego kuleją? – spytał Fyfe.

Michael znów przytaknął.

– To tak zwana kulawka, czyli bakteryjne zapalenie racic – powiedział. – Popatrzcie!

Podszedł do jednej z owiec, jednym ruchem przewrócił broniące się zwierzę na grzbiet i chwycił jego nogę.

– Tu, w tej szparze między racicami, to się zaczyna. Powąchajcie. Śmierdzi, co?

Michael pokazał zaropiałą masę, która zgromadziła się między racicami, a kapitan zmarszczył nos. Michael nie uważał, żeby woń zgnilizny racic była tak odrażająca, jak smród rozkładającego się wieloryba, zdziwił się jednak, że Fyfe w ogóle miał jeszcze zmysł węchu.

– I co się z tym robi? – spytał Fyfe z wyraźną odrazą. – Do diabła, jeśli ten handlarz owiec mnie oszukał...

Michael potrząsnął głową.

– Nie sądzę, kiedy je tu przypędzono, były w doskonałym stanie. Przyczyną jest błoto. I spowodowana tym wada ich postawy.

– Czyli potrzebna jest większa łąka... Jeszcze więcej drewna... Czy te bydłeta wyjdą z tego? Czy też będą stale kuleć?

Michael się uśmiechnął.

– Nie możecie ogrodzić łąki dla sześciuset do dziewięciuset owiec – powiedział. – A tyle będziecie mieć, kiedy te ladies zaczną się kocić. – Wskazał na owce maciorki. – Puście te bydłeta, niech się pasą wolno. A racice trzeba porządnie przyciąć. A potem zapytajcie w aptece o siarczan miedzi. Tym to posmarujemy albo zapędzimy owce do kąpieli, to wyjdą z tego.

– Przyciąć? – spytał Fyfe wyraźnie sfrustrowany. – Coś obciąć przy kopytach? Potraficie to zrobić i nie zamordować przy tym tych zwierząt?

Michael się roześmiał.

– Jeśli postaracie się o nóż do kopyt.

Robert Fyfe natychmiast wyruszył do Kaikoury, a Michael próbował, jak tylko się dało, zmyć z siebie ohydny woń wielorybów, której owce się bały. A potem zajął się ich racicami. Niezbyt tym zachwyceni pozostali pracownicy budowali tymczasem coś w rodzaju płytkiego basenu, przez który należało przepędzić zwierzęta, aby wyleczyć ich racice. Dwa dni później przywieziono drzewo, które Fyfe kupował, gdzie tylko mógł je dostać, aby zbudować płoty. Najwyraźniej był zdecydowany zająć się na poważnie hodowlą owiec.

Wilgotna zima ustąpiła miejsca równie wilgotnej wiosnie i Michael z troską zauważył, że grunt na nowych wybiegach wkrótce będzie taki sam jak na starych.

– Musicie wypędzić owce! – poradził po raz kolejny kapitanowi Fyfe’owi, ale stary wilk morski nie mógł się przemóc, aby po prostu puścić wolno swój cenny nabytek.

– A jeśli one potem nie wrócą? – pytał zatroskany.

– To wyślijcie z nimi pasterza! – radził Michael. – Takiego, który lubi wędrować. W Irlandii było to oczywiste, że owce ze swoimi pasterzami chodziły po łąkach.

Fyfe prychnął lekceważąco.

– To by ci pasowało! – zadrwił. – Przyznaj, że palisz się do takiej roboty. Cały dzień gapić się naokoło i zgarniać za to pieniądze!

Michael wzruszył ramionami.

– Jak zostawicie owce tutaj, to wkrótce znów zapłacicie mi za przycinanie racic.

Jeśli o to chodzi, dobrze wykorzystał swoją szansę: Fyfe zapłacił za przycinanie owczych racic tak samo dobrze, jak harpunnikowi za jego robotę. Teraz zagryzał wargi w wyraźnej rozterce i szukał najtańszego rozwiązania.

– A dziewczyny też mogą to robić? – spytał.

Michael się roześmiał.

– To może robić każdy, kto nie jest ślepy i kulawy. Jeden z pasterzy w Irlandii miał prawie siedemdziesiąt lat.

Fyfe uśmiechnął się zadowolony i oszedł, zostawiając Michaela. Żadnemu z nich nie przyszło do głowy, obaj zapomnieli o czymś ważnym – ale Michael uświadomił to sobie szybko, kiedy któregoś z kolejnych dni był świadkiem osobliwego spektaklu.

Wieczorem poszedł do zagród, aby jeszcze raz zajrzeć do owiec. Jednak wybiegi były puste. Czyli Fyfe posłuchał w końcu jego rady. Michael zastanawiał się, kogo zwerbował jako pasterza, może jakąś dziewczynę? Postanowił od razu zapytać o to starego wilka morskiego. A ten właśnie wyszedł z domu i patrzył podejrzliwie na wzgórze wznoszące się za stacją wielorybników. Najwyraźniej czekał na owce.

Pierwsze można było już dostrzec, kiedy Michael zbliżył się do kapitana. Zbiegały w dół ze wzgórza, a stado otaczało kilka lekko ubranych, zwinnych i wesołych dziewcząt Maorysów.

– Trwało trochę długo, ale wszystkie znaleźć dziś! – powiedziała pierwsza z nich do starego wilka morskiego. – Musieć daleko chodzić, Kere i Harata. A ja wspinać się! – dziewczyna była wyraźnie dumna ze swoich przyjaciółek.

Michael nie mógł powstrzymać śmiechu.

– Co w tym takiego śmiesznego? – spytał Fyfe markotnie. – Nie zgubiłyście żadnego zwierzęcia, prawda, Ani?

Dziewczyna dumnie potrząsnęła głową.

– Cieszę się już na piękne widoki, sir! – powiedział Michael i popatrzył z podziwem na szczupłą i zwinną Ani, której długie czarne włosy rozwiewał wiatr. – Niech mi ktoś tylko powie, czemu owce w Irlandii spędza się przy pomocy psów. W Nowej Zelandii wygląda to o wiele ładniej. Choć cenię psy, bo są szybsze. A może

to właśnie dlatego one kiedyś zastąpiły dziewczęta i słowo collie pochodzi od *colleen*.

Colleen było w Irlandii często używanym słowem, którym nazywano dziewczęta.

Fyfe popatrzył na niego ze zmarszczonym czołem.

– Psy? – spytał. – Które znów kosztują kupę pieniędzy?

Maoryskie dziewczęta zrozumiały szybciej. Zaraz następnego ranka przyprowadziły dwa grube, żółto-brązowe mieszańce, które machały przyjaźnie ogonami, witały radośnie każdego człowieka i absolutnie nie interesowały się owcami.

Fyfe zawołał Michaela.

– Możesz je wyszkolić? Tak, żeby zastąpiły dziewczęta?

Michael spróbował i ani jemu, ani kundlom nie można było zarzucić braku gorliwości. Także pasterki pomagały cierpliwie i robiły, co im kazał, ale maoryskie psy nie miały za grosz instynktu pasterskiego. Za to najbardziej kusząca była dla nich plaża wielorybników, na której wytarzały się dokładnie w resztkach zarżniętych zwierząt.

– Jeśli jakaś owca przed nimi ucieknie, to tylko dlatego, że makabrycznie śmierdzą – westchnął Michael, rozmawiając ze swoim przyjacielem Tane.

Maorys zacisnął wargi.

– Ale to są psy! – oświadczył.

Michael przytaknął.

– Tylko nie te, co trzeba... Tane, nie ma tu w okolicy jakiejś owczej farmy? Może trochę dalej? Że w pobliżu nie ma żadnej, o tym wiem. Ale może gdzieś w głębi kraju?

Tane zastanawiał się przez chwilę, potem popytał swoich współplemieńców i wreszcie coś znalazł. Michael poprosił Fyfe'a o urlop i w najbliższy weekend wyruszył na wędrowkę w górę Clarence River wraz z Tane, dwójką maoryskich chłopców i dwiema sukami, które akurat miały cieczkę. Przyłączyły się do nich także trzy gorliwe pasterki, co przyczyniło się wydatnie do poprawy nastroju. Michael czasami nie mógł dotrzymać kroku Maorysom, zwłaszcza że w rzadkich laskach ciągnących się wzdłuż rzeki prawie nie było dróg.

W końcu dotarli do terenów, gdzie lasy były już wykarczowane, i do rozległych łąk.

– Coverland Station – wyjaśnił jeden z maoryskich chłopców. – Tam dom! – Wskazał na zachód i szybko obliczył na palcach odległość w milach.

Michael wraz z Maorysami rozłożyli obóz mniej więcej o milę przed domem owczej farmy. Tane i Maorysi założyli w rzece wężycierze i wkrótce były ryby na kolację. Michael rozpalil ognisko, a dziewczęta włożyły do żaru zabrane słodkie ziemniaki. Psy zniknęły gdzieś w nocy i pojawiły się dopiero rankiem, w towarzystwie wspaniałego czarno-białego owczarka collie.

– To jest dobry pies! – stwierdził Michael zadowolony i przez następne dwa dni łowił ryby, polował, a przede wszystkim zapominał o całym świecie w ramionach

ślicznej Ani.

Kilka miesięcy później w maoryskiej wsi zaroilo się od szczeniaków, a wszystkie miały lepszy instynkt pasterski niż ich matki. Większość z nich była czarno-biała, niektóre aż do złudzenia przypominały pięknego ojca.

– Z nimi dopiero będziemy hodować owce! – cieszył się Robert Fyfe i chętnie wypłacił Michaelowi i Maorysom stosowną premię.

Michael skoncentrował się teraz wyłącznie na układaniu psów, a Fyfe, choć niechętnie, zaakceptował go jako pasterza. Bo czekały go teraz o wiele poważniejsze zadania niż tylko wypędzanie owiec na pastwiska: zbliżał się czas kocenia się i strzyży. To pierwsze okazało się małym problemem. Młode pasterki Maorysów w lot pojęły, o co chodzi, kiedy Michael pokazał im, jak można pomóc maciorkom w razie komplikacji. Za to strzyżenie było większym problemem. Michael robił to kilka razy w Irlandii i po krótkich wprawkach efektem było całkiem możliwe runo. Szło to jednak bardzo powoli – było nie do pomyślenia pozbawić wełny trzysta owiec, a potem już około tysiąca. Przyuczanie dziewcząt do tej pracy nie miało sensu – Maoryskom brakowało siły, aby przewrócić jednym ruchem zwierzę na grzbiet, a potem płynnym ruchem ścinać nożycami wełnę. Ani i jej przyjaciółki ostrzygły zaledwie troje zwierząt, a potem znikły – jak zwykle u Maorysów – nie odmeldowując się, nie mówiąc już o przeproszeniu. Za to chętni do strzyżenia okazali się Tane i pozostali Maorysi. Liczba schwytanych wielorybów ciągle spadała i było jasne, że polowanie na nie powoli przestaje być źródłem pieniędzy. Maorysi zaś przywykli już do dodatkowych zarobków u *pakeha*. Uważali swoje życie za bardziej przyjemne, od kiedy mogli robić zakupy w sklepach białych ludzi i od kiedy nie byli już uzależnieni od połowu ryb, polowań oraz nikłych zbiorów ze swoich pól uprawnych. Pilnie starali się więc o pracę na farmach i okazali się bardzo sprawnymi pracownikami, a w dodatku wszyscy znakomicie potrafili się obchodzić ze zwierzętami. Jednak strzyżenie okazało się dla Tane i jego przyjaciół poważnym problemem moralnym.

– Owca tego nie chce – tłumaczył Tane, kiedy Michael chwycił jedno ze zwierząt i trzymał je mocno między nogami w czasie strzyżenia. Baran beczał głośno, protestując.

– No i co z tego? – odpowiedział Michael zdziwiony. – Wieloryby też nie chcą ginąć od harpuna. Jakoś wam to dotychczas nigdy nie przeszkadzało.

– U wieloryba co innego – stwierdził Tane. – U wieloryba my przedtem wołać do Tangaroa i prosić o wybaczenie. Potem wieloryb nam przebaczać.

Michael wątpił w to, ale wzruszył obojętnie ramionami.

– Pięknie, to proście też o pośrednictwo u owiec – podsunął mu.

Ale Tane potrząsnął przecząco głową.

– Tangaroa bóg morza – wywodził. – Owca nie z morza! Owca w ogóle nie stąd. Przyjść razem z *pakeha*.

Michael zrozumiał. W niebie wśród bogów Aotearoa po prostu nie było nikogo, kto odpowiadał za owce. Ale jednak znalazł się środek zaradczy. Michael w głębi ducha dziękował ojcu O'Brienowi za wiedzę na temat najróżniejszych świętych Kościoła katolickiego.

– Za owce odpowiada u nas święty Wendelin – wyjaśnił swoim przyszłym współpracownikom. – Wszyscy możemy zwrócić się do niego i odmówić krótką modlitwę.

– Teraz musimy ich tylko jeszcze skłonić do tego, aby przyłożyli się lepiej do pracy – rozważał Michael w rozmowie z Robertem Fyfe'em i nowym przybyszem z Waiopuka, George'em, kuzynem Roberta. Znowu chodziło o strzyżenie owiec. George Fyffe, który nigdy nie przestawał pouczać wszystkich, że w jego nazwisku występują trzy „f”, nabył właśnie spory kawał ziemi na północ od Kaikoury i nazwał tę posiadłość Mount Fyffe. Planował hodować tam owce na wielką skalę.

– Dotychczas z trudem dają radę ostrzyc jedną albo dwie owce na dzień, a potem staje się to dla nich zbyt męczące. A co by było, gdybyśmy zrobili coś w rodzaju zawodów? Najszybszy postrzygacz dostanie butelkę whiskey?

Pomysł wkrótce się sprawdził – Michael wygrał pierwszą butelkę whiskey, a potem zręczni krajowcy szybko go prześcignęli. Pozostał jeszcze do rozwiązania problem, czy modlitwę do świętego Wendelina należy odmówić przed, czy też w czasie pracy. Dotychczas Tane i jego przyjaciele nawiązywali kontakt ze świętym przed strzyżeniem każdej owcy, ale teraz szybko się zgodzili, że o rozgrzeszenie należy poprosić przed rozpoczęciem pracy. George Fyffe i jego brygadzysta Michael Parsley wkrótce zdobyli opinię szczególnie poważanych i bogobojnych mężczyzn. W końcu przecież żaden owczy farmer nie zwoływał swoich ludzi przed pracą na modlitwę.

Podczas kiedy Michael zdobył w ten sposób pewną sławę, a wreszcie opuścił swoją chatę w Waiopuka i przeprowadził się do okazałego domu z bali w Mount Fyffe, pewien duchowny w Irlandii rozmyślał o trudnym zadaniu, które go czekało. Ojciec O'Brien miał przed sobą kilka listów od Kathleen Coltrane, która donosiła mu o narodzinach swoich dzieci, a potem o postępach w ich rozwoju – ku radości duchownego jego dawna uczennica pisała o wiele lepiej niż kiedyś – oraz jeden list od Michaela Drury'ego, napisany trochę niezdarnym pismem, ale niemniej zaskakujący. Michael z kolei donosił mu o swojej ucieczce z Ziemi van Diemena – i robił to z dumą, bo niewielu ludziom udało się coś podobnego. A teraz, jak pisał, przebywa w Nowej Zelandii i jest na najlepszej drodze do osiągnięcia szczęścia jako wielorybnik. I sądzi, że w najbliższym czasie zarobi dość pieniędzy, aby móc sprowadzić tu Kathleen i swoje dziecko. Michael prosił też o wiadomość



bezpośrednio od swojej „narzeczonej” i przesyłał jej pozdrowienia.

Ojciec O'Brien, człowiek nadzwyczaj rozważny, postarał się najpierw o to, aby Patrick Coltrane zaoferował mu podwózkę do Dublina. I kiedy handlarz bydlą załatwiał swoje interesy, duchowny odwiedził kilka bibliotek w poszukiwaniu wiadomości o odległej Nowej Zelandii. Może Christchurch i Kaikoura były oddalone od siebie o setki mil, a może też znajdowały się na różnych wyspach. Wówczas nie musiałby kłamać. Ale w głębi serca stary ksiądz wiedział, że sobie coś wmawia. Michael Drury był gotów jechać przez pół świata, aby zobaczyć Kathleen O'Donnell. A odległość kilkuset mil byłaby najwyżej przyczyną jego charakterystycznego, zawadiackiego uśmiechu.

Do tego wszystkie nadzieje duchownego okazały się złudne: Kaikoura była oddalona od Christchurch o niecałe sto mil. Michael mógł dotrzeć do Kathleen i swojego syna w przeciągu kilku dni. I co wtedy? Czy będzie jej robił wyrzuty? A może dojdzie do bójk między nim a Coltrane'em? Czy Kathleen popełni śmiertelny grzech i opuści swojego męża, kiedy zobaczy Michaela? Kathleen nie kochała Iana, kiedy O'Brien dawał im ślub, a z jej listów nie można było wnosić, że to się z biegiem czasu zmieniło. Właściwie prawie wcale nie pisała o Ianie – prawdopodobnie wstydziła się z powodu jego oszustw.

Im dłużej ojciec O'Brien rozmyślał, tym mniej wskazane wydawało mu się informowanie Michaela o miejscu pobytu jego dawnej ukochanej. A to, że oboje znaleźli się tak niedaleko od siebie, zakrawało na jakiś osobliwy żart Pana Boga. A może była to ingerencja diabła, aby wystawić wszystkich na pokuszenie? Duchowny w żadnym wypadku nie chciał czuć się winny i po długich namysłach zdecydował się sformułować list następująco:

*...Jeśli zaś chodzi o Mary Kathleen O'Donnell, mój chłopcze, to wkrótce po Twojej deportacji wyszła za mąż za handlarza bydlą Iana Coltrane'a. Oboje wyemigrowali i ostatnie, co o niej słyszałem, to że ma troje dzieci i gdzieś za morzem wiezie bogobojne życie. Ta wiadomość być może Cię rozczaruje, ale to bez wątpienia Bóg prowadził Mary Kathleen i będzie otaczał ją i jej dzieci dalszą opieką. Najstarsze ma na imię Sean. Chłopiec urodził się tylko kilka miesięcy po weselu i zgodnie z tym, co pisze Kathleen, ma jasny umysł i ciemne włosy jak jego ojciec. Pamiętam w swoich modlitwach o Mary Kathleen, jej rodzinie, i także o Tobie, drogi Michaelu. Pozostaję więc pełen troski o Twoje zbawienie i Twoją nieśmiertelną duszę.*

Ojciec O'Brien.

## ROZDZIAŁ 4

– Patrz, co mam! – Podeksycytowana Claire wciągnęła przyjaciółkę do swojego domu.  
– Albo poczekaj chwilę, najpierw zajmijmy się dziećmi, bo nie chcę mieć potem na wszystkim lepkich odcisków palców. Chloé, Heather... ale nie kłóćcie się, proszę!

Kathleen posadziła Heather obok Chloé, która bawiła się w kącie pokoju drewnianymi klockami, a Claire wręczyła dziewczynkom świeżo upieczone ciastka herbaciane. Te właśnie wypiekane przez nią ciasteczka były znakomite, za to chleb jej wyrobu odpowiadał gustom tylko najmniej wybrednych.

– Dwa takie ciasteczka kiedyś ukradłam – powiedziała Kathleen w zamyśleniu. To już tak dawno temu! – Nie chciałam tego robić, ale byłam taka głodna, a one tak rozkosznie pachniały.

Claire się roześmiała.

– No to teraz masz ich tutaj, ile tylko chcesz. Weź jeszcze jedno, proszę! Tylko trzy albo cztery muszę zostawić dla Matta. – Podała Kathleen dwa ciasteczka na porcelanowym talerzyku, specjalnie przygotowanym dla Kathleen. – Kandyzowane owoce! Już całe lata ich nie jadłam! – Claire z nieukrywaną rozkoszą ugryzła kolejne ciastko.

Kathleen spróbowała i musiała przyznać, że jeszcze nigdy nie było jej dane kosztować słodkich kawałków owoców, jakie jej przyjaciółka dodała do ciasta.

– Skąd ty to masz? – spytała.

Obie kobiety siedziały jak zwykle w niezbyt komfortowo urządzonej salonie Claire, co robiły już niemal w każde popołudnie. Od czasu narodzin córki Claire i sprawy z próbą oszustwa przy zakupie muła minęły już mniej więcej dwa lata i zarówno Matt Edmunds, jak i Ian Coltrane prawie pogodzili się z tym, że ich żony się przyjaźniły. Mąż Claire w każdym razie nie miał już Ianowi nic za złe. Od chwili, kiedy kasztanowa kobyła dzielnie służyła u niego na farmie, traktował swój zakup jako wadliwą ocenę konia przez handlarza i był gotów utrzymywać dobre stosunki z sąsiadem. Kathleen nader chętnie przyjmowała jego pomoc. Ian oczekiwał wprawdzie, że farma będzie przynosić jakiś dochód, ale w okresie siewu i zbiorów często nie było go w domu, a poza tym w ogóle nie miał ochoty zaorywać pola i kosić zboża. Ciągle jeździł po okolicy i skupował, a potem sprzedawał bydło.

Przeważnie handlował końmi, ale w tej chwili miał na farmie także stado przepięknych owiec, które zdaniem Kathleen należało koniecznie ostrzyc. Kobiety się zastanawiały, czy nie sprowadzić na obie farmy grupy profesjonalnych postrzygaczy. Od kiedy hodowla owiec i pozyskiwanie wełny stały się ważną gałęzią

gospodarki na Canterbury Plains, takie grupy tworzyły się zupełnie spontanicznie. Właściciele dużych farm nazywano już „owczymi baronami”, a Ian starał się robić z nimi interesy, podczas kiedy Kathleen wolała skoncentrować się na pracy ze zwierzętami. Właściwie nic się nie zmieniło między małżonkami – choć Ian stosunkowo spokojnie przyjął do wiadomości fakt zamiany mułów. W każdym razie nie kupił Kathleen nowego zwierzęcia do jazdy wierzchem, lecz po prostu zostawił jej tę starą kobyłę, która wówczas była przewidziana dla Matta Edmundsa.

– No, teraz zobaczymy, jak będziesz odwiedzać swoją przyjaciółkę! – szydził, sądząc, że ukarze w ten sposób Kathleen bardziej, niż gdyby znów miała dostać cięgi.

Ale młoda kobieta tylko wzruszyła ramionami – nakarmiła porządnie kłacz, a Claire zabrała ją ze sobą, kiedy jechała któregoś razu ze swoim osiołkiem do kowala w Canterbury, co robiła bardzo regularnie. Kowal podkuł zwierzę, dał Claire masę do smarowania jego nogi i poradził, aby kłaczy za bardzo nie obciążać.

– Może jeszcze trochę popracować – powtórzyła Claire przyjaciółce, próbując przy tym sparodiować głos kowala. – Nosić na grzbiecie taką słodką kobietkę jak pani, Mrs Coltrane, no to musi być przecież radość dla tego zwierzęcia! Oczywiście powiedział: Mrs Edmunds – dodała Claire już swoim głosem i uśmiechnęła się jak konspirator. – Myślę, że on jest trochę we mnie zakochany!

Jak było z miłością pomiędzy Claire a jej małżonkiem, tego Kathleen się nie dowiedziała, ale dziwiła się, że młoda kobieta w ciągu ostatnich dwóch lat nie zaszła znów w ciążę. Było to właściwie niezwykle u tak młodej i zdrowej dziewczyny. Kathleen była w tym czasie już dwa razy w ciąży z Ianem, ale w obu wypadkach skończyło się to poronieniem.

– Chyba za ciężko pracujesz – powiedziała Claire z żalem, kiedy przyjaciółka w piątym miesiącu ciąży straciła małą dziewczynkę.

Kathleen sama dopatrywała się przyczyny poronień raczej w brutalnym traktowaniu jej przez Iana. Z pewnością nie było dobrze dla nienarodzonego dziecka, kiedy on, mniej lub bardziej pijany, przy okazji każdego powrotu do domu wprost rzucał się na nią, aby ją posiąść. Wprawdzie w czasie dwóch pierwszych ciąż też regularnie współżył z Kathleen, był jednak wówczas o wiele bardziej ostrożny. Teraz bez żadnych skrępowań wbijał się w jej wnętrze i po prostu ją bił, kiedy się broniła albo okazywała choćby cień niechęci. A ostatnio bardzo przytył, podczas kiedy z Kathleen został niemal cień. W dodatku w ogóle nie miała apetytu. Jej ogród był pełen warzyw, pola dostarczały zboża, a Ian zarzynał kilka razy do roku któreś z kupionych zwierząt, mięsa było więc też pod dostatkiem. Ale Kathleen pracowała od rana do nocy, a przede wszystkim żyła w ciągłym napięciu. Powodem był oczywiście Ian, przy czym Kathleen potrafiła się jakoś uporać z tym, jak traktował ją, ale nie mogła znieść jego stosunku do Seana. Synowie Kathleen mieli teraz pięć i sześć lat, a jeśli chodzi o zdolność rozumienia i pojmowania świata oraz fizyczną

sprawność, między Seanem i Colinem prawie nie było różnicy. Sean w stosunku do młodszego brata nie mógł się właściwie niczym wyróżniać – a przynajmniej nie tymi umiejętnościami, które były ważne dla Iana. Wręcz przeciwnie, jeśli chodziło o wszystkie prace w stajni i przy koniach, Colin był często o wiele bardziej obrotny i sprytny niż Sean. Colin już teraz wiedział, kiedy na jego buzi ma się pojawić łobuzerski uśmiech, za pomocą którego można było omamić ewentualnego kupca. Podczas kiedy Sean miał ciemne włosy i cerę, podobnie jak jego obaj „ojcowie”, Colin był blondynem i miał rysy twarzy matki. Oczarowywał zwłaszcza kobiety dołkami w policzkach, żywymi brązowymi oczami i wesołym, swobodnym sposobem bycia. Mężczyznom zaś imponowało jego całkowite, wręcz demonstracyjne oddanie i przywiązanie do ojca.

Colin podziwiał, ubóstwiał i czcił Iana. A Ian robił wszystko, aby podtrzymać taki stosunek syna do ojca. Aby to osiągnąć, chwalił dziecko, przywoził mu prezenty, pozwalał mu jeździć na koniach przeznaczonych na sprzedaż i nawet kłusować na nich przed kupcami. Kiedy Ian wybierał się w krótszą podróż, zabierał Colina ze sobą, a dziecko siedziało spokojnie i z pełnym zrozumieniem na twarzy obok niego w pubie i słuchało, jak ojciec przechwala się swymi sukcesami. Sean nie dostawał od Iana nic, co go mocno przygnębiało. Na początku dawał się nabierać na triki Kathleen, która mówiła:

– Tak, Colin dostał kamień jadeitu, ale tobie *daddy* przywiózł nową opowieść! Jutro możesz ją odebrać u cioci Claire! – Ale na dłuższą metę przestawało to działać. Sean wyraźnie odczuwał odrzucenie i rewanżował się przekorą wobec brata i ojca. Chłopcy często się kłócili, a od Iana Sean dostawał lanie, jeśli tylko lekceważył jego wskazówki i odważył mu się sprzeciwić.

– Dlaczego ja mam wyczyścić ci siodło, kiedy mi potem mówisz, że Colin zrobiłby to o wiele lepiej? – zapytał bezczelnie Sean któregoś dnia, na co Ian w odpowiedzi przełożył go przez kolano. Chłopiec zagryzł zęby w czasie bicia i nie wydał z siebie ani słowa skargi. Kathleen się zastanawiała, skąd chłopiec znalazł w sobie tyle odwagi do buntu, ale przecież także Michael nie był potakiwaczem i lizusem. Claire w czasie lekcji z dziećmi niejako wspierała umiejętność sprzeciwiania się cechującą jej ulubionego ucznia, karmiąc go opowieściami o bohaterach w rodzaju Robin Hooda i króla Artura. Ale jej prawdziwym konikiem były mity greckie i rzymskie. Nie tylko swoim zwierzętom nadawała odpowiednio górnotne imiona (nowy muł nazywał się Artemis, tak jak grecka bogini łowów), ale także snuła przed swoimi małymi i dużymi słuchaczami barwne opowieści o tym, jak Herakles i Tezeusz utrzymywali porządek w starożytnym świecie.

Kathleen i Sean zawsze słuchali z napięciem i fascynacją. Claire często wybuchała śmiechem, kiedy dostrzegała wpatrzony w nią dwie pary jednakowo zielonych i nieruchomych oczu. Była to jedyna cecha zewnętrzna, którą Sean odziedziczył po

matce. Choć co prawda zieleń jego oczu nie była tak promienna jak u Kathleen, lecz raczej jasna i jak gdyby lekko przesłonięta mgłą. Sean miał ciemne włosy Michaela i było widać już teraz, że odziedziczył także ostre rysy jego twarzy. Był wyjątkowo mądrym chłopcem, choć trochę skłonny do marzycielstwa. Miał wyjątkowo silnie rozwinięte poczucie sprawiedliwości. Czasami potrzebował wielu godzin, aby nakarmić konie, bo niemal liczył każde źdźbło siana, aby nie dać więcej jednemu niż drugiemu.

– Może będzie kiedyś sędzią! – Claire popatrzyła na swoją przyjaciółkę z nadzieją.

Ale Kathleen wzruszyła ramionami. Wyobrażała sobie Seana jako prawego gospodarza lub – o ile w ogóle będzie możliwe ukończenie przez niego jakiejś szkoły! – jako duchownego. Jedyne ewentualna kariera handlarza końmi była wykluczona wobec jego cech. Obie małe dziewczynki, Chloé i Heather, nie wykazywały jeszcze żadnych szczególnych cech charakteru, jedynie zewnętrznie obie bardzo przypominały swoje matki. Claire miała nadzieję, że Heather będzie kiedyś tak piękna jak jej matka, a Kathleen ze swej strony życzyła swojej chrześnicy Chloé, aby była tak żywą i radosną istotą jak jej matka, jak też, aby była tak jak ona zawsze otwarta na wszystko co nowe.

Kathleen przyjrzała się teraz nieufnie kolorowo nakrapianym ciasteczkom.

– Co to w ogóle jest? – spytała, próbując wydłubać z wypieku kawałek błyszczącej, czerwonej, kandyzowanej wisienki, aby przyjrzeć jej się dokładniej. – Sama to zrobiłaś?

W to ostatnie z trudem mogłaby uwierzyć. Claire nauczyła się już wielu rzeczy, które ułatwiały prace domowe, ale podobnie jak przedtem nie wykazywała w tym kierunku żadnych talentów.

– To są owoce – pośpieszyła z wyjaśnieniem Claire. – Najpierw włożone do syropu z cukru, a potem smażone. Nie wiem dokładnie, jak się to robi, ale czy nie smakują wyśmienicie? Ja je...

Zanim Claire mogła wyjaśnić, skąd pochodzą te smakołyki, obaj chłopcy wpadli do pokoju i rzucili się w kierunku blachy z wypiekami. Colin odepchnął Seana na bok, ale ten natychmiast odplącił mu pięknym za nadobne. Kathleen musiała rozdzielić braci. Chwyciła ich za kołnierze jak szczeniaki za sierść na karku.

– Jeść, ale nie kłócić się! – skarciła ich surowo. – I najpierw powiedziec grzecznie „dzień dobry”! – Wskazała przy tym na Claire, której chłopcy dotychczas w ogóle nie zauważyli.

Sean uspokoił się natychmiast, a po chwili podszedł do Claire, podał jej rękę i grzecznie się uklonił. Za to Colin wyszczerzył zęby w szerokim uśmiechu, uklonił się krótko i spytał o jej samopoczucie. Kathleen natychmiast zauważyła różnicę. Sean był uprzejmy, ale nie natrętny, podczas gdy Colin wykorzystywał każdą okazję, aby nawiązać rozmowę z osobą, z którą się witał, i przy okazji błyskawicznie owinąć

ją sobie wokół palca.

– Owoce są od mojej matki – obwieściła wreszcie nowinę Claire. – Napisałam jej o narodzinach Chloé, a ona przysłała mi całą skrzynię niespodzianek!

– Jeszcze więcej porcelany? – spytała sceptycznie Kathleen.

– Nie, ale za to podręczniki szkolne! – cieszyła się Claire. – Leksykon! I kandyzowane owoce, bo tak je zawsze lubiłam. I materiał na nową suknię; napisałam jej, że teraz sama szyję!

Kathleen się uśmiechnęła. To już była lekka przesada. Jeśli chodziło o szycie, to Claire wykazywała równie mało talentów, jak w przypadku wszystkich innych prac domowych. Choć co prawda potrafiła już naprawić i połatać ubrania własne i Matta, i nawet udało jej się uszyć prostą sukienkę dla córki.

– Popatrz, czy nie będę w tym pięknie wyglądać?

Claire wyszukała w obiecująco wyglądającej skrzyni materiał i przyłożyła go do siebie. Był rzeczywiście piękny, lśniący, złotobrazowy, znakomicie pasujący do koloru jej oczu i włosów. Poza tym w skrzyni znajdowały się też kremowe, ręcznie robione koronki. Można było nimi ozdobić suknię albo nawet wyczarować z tego kapelusik.

– Pomożesz mi przy szyciu? – poprosiła Claire przyjaciółkę. – Popatrz, chcę mieć coś takiego! Damy radę to uszyć?

Z tymi słowami wyciągnęła ze skrzyni stos czasopism i rozłożyła je przed Kathleen, która natychmiast zaczęła je studiować z szeroko otwartymi oczami. Kathleen Coltrane miała dwadzieścia dwa lata, ale po raz pierwszy w życiu oglądała pismo dla kobiet. Claire wskazała na rysunki przedstawiające najnowsze paryskie kolekcje i zwróciła jej uwagę na model sukni, który sobie wyszukała. Była to pięknie skrojona, podkreślająca talię suknia, którą można było nosić tylko z gorsetem. Dół sukni był szeroki, ozdobiony koronką, podobnie jak okrągły dekolt. Claire nigdy nie byłaby w stanie uszyć podobnej sukni. Ale Kathleen? Ona akurat aż zaniemówiła z wrażenia wobec obfitości przeróżnych krojów i ich wariacji, które zawierało czasopismo. Były tam bufiaste rękawy, spódnice na stelażu, ubrania marynarskie i gorsety z fiszbinu – w Irlandii taką różnorodność strojów można było podziwiać najwyżej u lady Wetherby i nawet ona w swej wiejskiej posiadłości przeważnie nosiła proste suknie podomki oraz te do jazdy konnej.

– Musiałaby być trochę krótsza – stwierdziła w końcu Kathleen. – Jeśli będzie sięgała aż do podłogi, zniszczysz ją. Ale poza tym jest przepiękna! I oczywiście poradzimy sobie z szyciem! Matt będzie zachwycony!

Claire skinęła głową, ale nie wydawała się pełna nadziei i entuzjazmu, jak zawsze, kiedy ktoś wspominał o jej mężu. Kathleen trochę to zmartwiło. Gdzież się podział bezgraniczny optymizm Claire i jej przekonanie, że jest kochana przez Matta ponad wszystko? Dawniej Claire skwitowałyby taką uwagę radością i śmiechem, ale teraz,

kiedy Kathleen wspomniała o jej mężu, poczuła bolesny skurcz serca. W końcu jednak się roześmiała.

– Zaraz się do tego zabierzemy! – oświadczyła ucieszona. – Weźmiesz miarę i wykroisz suknię. A ja ci pomogę przy szyciu. Czy tego materiału w ogóle wystarczy?

Materiału wystarczyłoby nie tylko na suknię dla małej i drobnej Claire, lecz także na spódnicę dla Kathleen. Co prawda ona zaproponowała, że lepiej będzie uszyć sukienkę dla Chloé, ale o tym Claire nawet nie chciała słyszeć.

– Nie, kiedy ty podejmujesz się takiej pracy dla mnie, to też musisz z tego coś mieć! Ian jest przecież dokładnie taki sam jak Matt: nigdy nie kupuje niczego dla ciebie!

Była to prawda, choć Kathleen zdziwiło to sformułowanie. „Dokładnie taki sam jak Matt”. Czy nieograniczony zachwyt Claire wobec jej męża się kruszył? Ale rzeczywiście trudno było nie zauważyć, że zarówno Ian, jak i Matt nie byli zbyt hojni, jeśli chodziło o ich żony. Claire naprawiała po raz kolejny swoje stare suknie, a Kathleen od lat nie nosiła niczego innego jak suknie z taniego perkalu, który Ian nabywał gdzieś bardzo tanio. A czy jego kolor pasował do cery Kathleen, koloru jej włosów i oczu, to było mu całkowicie obojętne. Kathleen szyla więc według starych wykrojów, których jeszcze jej matka używała do szycia własnych sukien, przeznaczonych przeważnie na okres ciąży.

Nowa spódnica – a właściwie jej kolor – podkreślała złoty odcień jej włosów i blask oczu. Szkoda tylko, że bluzki Kathleen były dokładnie z takiego samego taniego materiału jak suknie! Ale wielkoduszna Claire uparła się, aby Kathleen zabrała resztę koronki i ozdobiła nią swoją najlepszą seledynową bluzkę. Kathleen nie mogła się napatrzeć na swoje odbicie, kiedy w końcu mogła się przejrzeć w starym lustrze Claire.

A nowy strój Claire wypadł chyba jeszcze lepiej.

– Nie mogę w to uwierzyć! – cieszyła się młoda kobieta, kręcąc się przed lustrem, które oczywiście było za małe, aby obejrzeć się w całości. – Ta suknia leży świetnie! Doprawdy, Kathleen, w Liverpoolu szyliśmy ubrania u najlepszego krawca w mieście, ale on ci nie dorównuje! Skąd ty to umiesz?

Kathleen wzruszyła ramionami. Posługiwanie się igłą i nitką zawsze przychodziło jej łatwo. W końcu jej ojciec był krawcem i mogła to i owo u niego podpatrzeć, ale James O'Donnell rzadko szył damskie suknie, które wymagały tak dużego nakładu pracy. Kiedyś, jeszcze w lepszych czasach, ojciec dostał nawet zadanie uszycia sukni ślubnej, a lady Wetherby też czasami przynosiła coś do poprawki. Tym ostatnim często zajmowała się Kathleen, kiedy służyła we dworze. A suknie interesowały ją zawsze.

– Mogłabyś zarabiać na tym pieniądze! – wołała zachwycona Claire. – Wiesz, co zrobimy? Jak twój Ian znów wyjedzie na parę dni, zabiorę cię i pojedziemy razem do

Christchurch!

Claire od czasu do czasu robiła takie wycieczki, od kiedy Edmundsowie mieli nowego muła. I jeśli Artemis, którą Matt i Kathleen nazywali po prostu Missy, nie była potrzebna na farmie, Matt nie miał nic przeciwko temu. Choć sprawiał wrażenie znużonego, kiedy Claire zawsze wracała z takich wyjazdów, tryskając radością, i opowiadała mu o wszystkich nowościach z miasta. Kathleen była dwa razy świadkiem, jak ją za to ostro zganił, a jej przyjaciółka milczała potem rozczarowana.

– Włożymy nasze nowe ubrania i pójdziemy do sklepu starej Broom. No, oczy jej wyjdą na wierzch z wrażenia! A potem zajrzemy jeszcze na chwilę do hotelu i może jeszcze wpadniemy do wielebnego. Tak, to dobry pomysł! Jego żona jest okropnie zarozumiała, w dodatku mają głupią i brzydką córkę. Jak nas zobaczą, to się przekonają, że dziewczyna może być piękna, jeśli będzie miała piękne suknie!

Kathleen nie mogła się nie roześmiać.

– Ale przecież w Christchurch nie można dostać tak wykwintnego materiału – zwróciła uwagę.

Claire zmarszczyła czoło i z niedowierzaniem potrząsnęła głową.

– Ty chyba już dawno tam nie byłeś, prawda? – spytała.

Dokładnie rzecz biorąc, Kathleen jeszcze nigdy nie była w szybko rozwijającym się miasteczku. Jedynie raz czy dwa odwiedziła przejazdem sklep Mr i Mrs Broomów, ale wówczas wszystko było jeszcze w trakcie budowy.

– W Christchurch można teraz dostać naprawdę piękne materiały, jest tam także krawiec męski – poinformowała ją Claire. – Za kilka lat będziesz mogła dostać tam to wszystko, co w Londynie, a miasto rozwija się naprawdę szybko. Zresztą zobaczysz sama. Zrobimy sobie spacer połączony z zakupami! Polatamy po sklepach!

Kathleen uśmiechnęła się zmęczona. Ten pomysł weźmie w łeb choćby dlatego, że ani ona sama, ani Claire jeszcze nigdy nie miały własnych pieniędzy. Ale jej przyjaciółka była w tak radosnym nastroju, że wołała nie poruszać tego tematu. I oczywiście nie wspomniała ani słowem, co powiedziałby Ian, gdyby Kathleen bez jego nadzoru paradowała po ulicach Christchurch w niedzielnym stroju.

Nie, wyprawa do miasta bez błogosławieństwa jej męża była w ogóle nie do pomyślenia!

Claire była jednak uparta, a gdy była przekonana o słuszności jakiegoś pomysłu, to nie dawała się od niego tak łatwo odwieść. Także tym razem zaledwie tydzień później zatrzymała swój wóz przed domem Kathleen. Zeszła z kozła, zachowując manieri księżniczki, w białych rękawiczkach, które musiała ściągnąć, żeby przywiązać muła. Ten piękny dodatek do garderoby także pochodził ze skrzyni od jej matki i był na wsi w Nowej Zelandii potrzebny jak dziura w moście, ale Claire była najwyraźniej szczęśliwa z jego posiadania. Młoda kobieta bardzo starannie uczesała



i upięła włosy. Jej długie, przypominające sprężynki loki wysuwały się spod starego kapelusza, bardzo pasującego do sukni i pięknie ozdobionego przez Kathleen resztkami koronki. Oczy Claire błyszczały i były pełne woli działania.

– Jazda, przebierz się, Christchurch czeka! – zawołała do przyjaciółki. – Dzieci, możecie jechać z nami. Chłopcy, na furę z tyłu! Tylko pilnujcie swojej siostry i Chloé, żeby nie spadły!

Edmundsowie nie posiadali oczywiście bryczki i Claire zaprzęła Missy do wozu. Na koźle były tylko dwa miejsca, dzieci musiały więc jechać z tyłu. Sean i Colin uważali to za coś szczególnie ekscytującego. Cieszyli się z przygody, a Kathleen straciła sporo czasu, nim przekonała ich obu do tego, aby się przebrali i umyli. Claire czekała na dworze, aż wszyscy będą gotowi, i przeraziła się, kiedy zobaczyła Colina. Chłopiec kroczył dumnie przed matką ubrany w kraciatą marynarkę, w efekcie czego wyglądał jak miniatura swego ojca.

– No, ale jesteś elegancki! – roześmiała się Claire, kiedy już się opanowała. – Kto co ci to uszył? Ty, Kathleen? – Najwyraźniej zwątpiła teraz w dobry gust przyjaciółki i w jej uzdolnienia w zakresie krawiectwa damskiego.

Kathleen spojrzała na nią z udręczeniem.

– To krawiec z miasta. Ian przywiózł to w weekend. Uszył sobie taką marynarkę i zostało trochę materiału. Oczywiście nie dla Seana...

– I tak bym czegoś takiego nie włożył! – stwierdził Sean, ale słychać było wyraźnie, że czuł się urażony. – Wyglądasz jak... jak leprechaun!

Claire parsknęła śmiechem. Podczas kiedy ona lubowała się w opowieściach, Kathleen miała zaskakujący talent do rysowania. Claire opisywała sugestywnie bohaterów swych baśni, a Kathleen już w czasie jej opowieści potrafiła przenieść na papier niejedną z tych postaci. Najbardziej zaś lubiła rysować wróżki i gnomy z irlandzkich baśni, a podobieństwo małego Colina w jego ubraniu do dziwnych krasnali z Irlandii było wręcz uderzające.

– Brakuje tylko cylindra! – dodał Sean kpiąco. On sam miał na sobie niedzielne ubranie uszyte przez Kathleen, bardzo porządne, ale z taniego materiału.

– Wolałbym mieć ubranie marynarskie! – zażądał Sean.

Chłopiec czytał wszystko, co mu wpadło w ręce, oczywiście także zurnale z modą od Claire. W nich właśnie znalazł obrazki przedstawiające najnowszą modę dziecięcą: chłopców i dziewczęta w marynarskich strojach.

Claire kazała chłopcom wsiadać i podała im obie dziewczynki.

– Jak twoja *mommy* zarobi wkrótce pieniądze, to ci takie uszyje! – obiecała Seanowi i cmoknęła na muła, kiedy wszyscy wsiedli.

Kathleen się zaczerwieniła i potrząsnęła głową. Zwariowany pomysł. Kto miałby jej płacić za szycie? A tego „spaceru z zakupami” też będzie pewnie żałować. Tak bardzo, jak bardzo się teraz na to cieszyła.

Bardzo szybko się przekonała, że pierwsze przypuszczenie nie było prawdziwe, jeśli zaś chodzi o to drugie – to okazało się później, że było jak najbardziej słuszne.

Niewinna wycieczka Claire i Kathleen zamieniła się szybko w coś w rodzaju pochodu triumfalnego. Już w sklepie Mrs Broom ich suknie przyjęto z najwyższą aprobatą. I natychmiast dwie klientki zachwyciły się też nowymi krojami, a po chwili pochylały się podekscytowane nad żurnalami z modą, które przewidująca Claire zabrała ze sobą. Obie znalazły szybko suknie swoich marzeń, ale żadna z nich nie odważyłaby się uszyć czegoś takiego.

– Kathleen wam to uszyje! – zaproponowała Claire. – Oczywiście nie za darmo!

Kathleen zaczerwieniła się jak wiśnia i nie ważyła się wymienić ceny, kiedy kobiety natychmiast ją o to zapytały.

– Nie wiem... jeden funt?

Claire także była tu bezradna, ale wówczas wkroczyła do akcji gruba i kochająca plotki Mrs Broom. Raczej nie była znana z udzielania darmowych porad, nie mówiąc już o uszczęśliwianiu ludzi, ale przede wszystkim była kobietą interesu.

– Co, jeden funt? Chcecie obrazić tę drobną, potulną kobietę? Za tę cenę Mr Peppers w zakładzie krawiectwa męskiego nawet nie będzie chciał nawlec nitki! – zaatakowała swoje klientki. – Nie, nie, Mrs Coltrane, niech się pani na to nie zgadza! Za cenę mniejszą niż dwa funty nie może pani uszyć takiej sukni, już prędzej za trzy! Jeśli ktoś sobie na to nie może pozwolić, to musi wziąć się sam do szycia!

Mrs Broom popatrzyła taksującym wzrokiem na obie klientki, które natychmiast zrozumiały to jako zagrożenie opinii swojej oraz ich mężów jako zamożnych obywateli miasta. Obie pośpiesznie zamówiły suknie – jedna z nich miała materiał w domu, a druga przeglądała właśnie zapasy w sklepie Mrs Broom.

– Ale gorsetów potrzebnych do tych sukni nie mogę wykonać – wyjaśniła Kathleen ostrożnie. Obie klientki wybrały suknie z talią osy.

– Zamówię je w Anglii! – ucieszyła się Mrs Broom. Mrugnęła do Kathleen konspiracyjnie, kiedy zadowolone klientki wyszły. – A dla mnie proszę uszyć coś takiego! – Mówiąc to, wskazała na czarną suknię z koronki, która w Paryżu zrobiła furorę. – Ale za funta, w końcu zdobyłam dla pani dwie klientki!

– I sprzedała pani przy okazji materiał na suknię i dwa gorsety! – zauważyła złośliwie Claire. – Za to powinnyśmy właściwie mieć udział w zyskach. Nie, jeśli Mrs Coltrane coś pani opuści, to najwyżej dwa szylingi!

Kobiety szybko się porozumiały i ustaliły, że Kathleen narysuje modele sukien z żurnali i zostawi rysunki w sklepie Mrs Broom. Za każdą klientkę zwerbowaną w ten sposób w sklepie Kathleen miała jej płacić przy zamówieniu jednego szylinga.

Mrs Broom miała błyszczące oczy, kiedy wypuściła młode kobiety ze sklepu. Niemal nie mogła się powstrzymać z radości wobec perspektywy posiadania czarnej francuskiej sukni wieczorowej.

– Uszyjesz jej tę suknię za darmo – wróżyła Claire. – A ona będzie w niej wyglądać okropnie. Jak tort śmietankowy w żałobie... Ale znajdzie ci więcej klientek, niż będziesz w stanie obsłużyć.

Następnym przystankiem był dom wielebnego, a Kathleen rzeczywiście się dziwiła, jak bardzo rozwinęło się Christchurch od czasu, kiedy przeprowadziła się z Port Cooper na Canterbury Plains.

– Ma tu być nawet siedziba biskupa – objaśniała Claire wesoło. – A nasz wielebny Baldwin z pewnością bardzo na to liczy. Nie możesz powiedzieć, że szylaś... czy ja wiem, na przykład, że szylaś już coś dla żony papieża?

Kathleen przeżegnała się z trwogą.

– Po pierwsze, ja nie kłamię, a po drugie katolicycy duchowni nie mogą się żenić – odparła zgorszona.

Claire zmarszczyła czoło, najwyraźniej rozmyślając nad alternatywą.

– Ale za to noszą bardzo wytworne szaty, prawda? Suknia balowa dla biskupa w Irlandii?

Kathleen oświadczyła stanowczo, że nie będzie opowiadać żadnych kłamliwych historii, które w dodatku graniczyły nawet z bluźnierstwem wobec jej Kościoła. Jako katoliczka wstydziła się nawet trochę składać wizytę anglikaninowi, ale szczupła żona wielebnego oraz jej pulchna córka mimo to zamówiły po jednej sukni. Ich próby targowania się Claire odrzuciła równie stanowczo jak w sklepie Mrs Broom.

– Choć właściwie nie byłoby źle zostawić kilka żurnali w kościele – zastanawiała się w drodze powrotnej – albo przynajmniej na plebanii. Stara Baldwin jest oczywiście na tyle skąpa, że zgodziłaby się na to, gdybyś tylko taniej uszyła dla niej suknie. Ale myślę, że wielebnemu by to nie pasowało.

Claire się uparła, aby uczcić udane transakcje herbatą w White Hart Hotel. Młoda kobieta była w swoim żywiole; weszła do herbaciarni z gracją i wdziękiem przedsiębiorczej lady, którą z całą pewnością była w Anglii. Kathleen źle się czuła wśród cennych, ciężkich mebli, brokatowych zasłon i srebrnych luster i cały czas siedziała z opuszczoną głową. A mimo to przyciągnęła wzrok kilku gości. Claire była ładna, ale piękność Kathleen zwróciła uwagę wszystkich kobiet w lokalu, mimo jej nieśmiałości. Zakłopotanie potęgowało wręcz efekt, jaki wywoływała jej uroda. Właśnie dlatego miała zaróżowione policzki, a jej duże oczy wydawały się jeszcze większe. Claire z uśmiechem obserwowała, jak kelnerzy prześcigali się, usługując Kathleen. Któryś z panów przysunął jej krzesło, a kobiety patrzyły na nią wręcz z zazdrością. I tylko Claire poleciła jej, by się cieszyła szczęściem, czego jej przyjaciółka zupełnie nie potrafiła robić.

– No, uśmiechnij się trochę! – przykazała Kathleen. – Jesteś tu kimś wyjątkowym, wszyscy patrzą na ciebie z sympatią!

Ale Kathleen nadal miała opuszczoną głowę, prawie nie piła herbaty, nie jadła

ciasta i tylko karmiła nim swoją córeczkę. Sean jadł grzecznie kawałek tortu. Próbował używać widelczyka do ciasta z taką dystynkcją i swobodą, z jaką robiła to ciocia Claire. Używał słów „proszę” i „dziękuję”, starał się o perfekcyjne formy zachowania. Colin pochłonął momentalnie eklerkę i natychmiast postarał się o towarzystwo.

– Cóż to za czarujący chłopiec! – Kathleen usłyszała tę uwagę z ust kilku kobiet, kiedy obie wstały i szły z dziećmi przez herbaciarnię do wyjścia. Wszystkie jednak, jak jej się wydawało, miały na końcu języka uwagę: „Dlaczego pani tak ubiera to dziecko?!”, kiedy Colin z dumą sięgnął po swoją marynarkę w kratkę. Claire zdeponowała ją z wiadomych powodów w garderobie i ukryła pod innymi płaszczami.

– Tutaj lepiej nie mówmy, że jesteś krawcową – wyszeptała do Kathleen.

Ian w czasie najbliższej wizyty w Christchurch dowiedział się oczywiście o eskapadach swojej żony i wrócił rozwścieczony do domu. Wieczorem pobił Kathleen tak, że miała ciemnoniebieskie siniaki na twarzy, zabrał też wszystkie zaliczki przyszłych klientek.

– Kurewskie pieniądze! – wrzeszczał.

Zrozpaczona Kathleen wypłakiwała się przyjaciółce z powodu straconych banknotów. W tej sytuacji będzie teraz musiała szyć przez miesiąc, nie mając za to ani szylinga.

– A ja myślałam, że będę mogła coś oszczędzić – szlochała. – Bo Sean kiedyś pójdzie na uniwersytet...

Claire przytuliła ją serdecznie, posmarowała chłodzącą maścią siniaki na jej pobitej twarzy.

– Będiesz mogła oszczędzać. Coś takiego już nam się nie przydarzy! – pocieszała ją. – Następne zlecenia będę zbierać sama, a ty zostaw tę pracę, kiedy Ian będzie w domu. I najlepiej nic nie pokazuj Colinowi, temu małemu zdrajcy!

Kathleen popatrzyła na nią z oburzeniem.

– Colin ma dopiero pięć lat! – zauważyła.

Claire uniosła w górę brwi.

– Ale chwali się wszem wobec swoimi przygodami. Wiesz sama, jakie cuda opowiadał na temat swoich wycieczek z Ianem. Z całą pewnością opowiedział swojemu *daddy* o każdej pochlebnej uwadze kelnera w herbaciarni White Hart.

– Ale... przecież ten kelner był tylko uprzejmy! – broniła mężczyzny Kathleen.

Claire przytaknęła, ale odpowiedziała z niezwykłą surowością:

– Wiesz, co Ian robi z takich historii. A z kolei Colin doskonale wie, co chce usłyszeć *daddy*. I to już teraz, kiedy ma zaledwie pięć lat. A więc niczego sobie nie wmawiaj!

Pomysł Claire był dobry – młoda kobieta jeździła raz w miesiącu do Christchurch, dostarczała gotowe suknie i przywoziła nowe zlecenia. Dodatkowo poprosiła matkę o nowe żurnale z modą. Ale nie były one aż tak potrzebne – Kathleen sama znajdowała inspiracje do kolejnych projektów. Od kiedy odrysowała z żurnali suknie dla sklepu Mrs Broom po swoich pierwszych odwiedzinach u niej, żurnale potrzebne jej były tylko do pobieżnego zorientowania się w najnowszych tendencjach mody. A w pracy wystarczała jej własna fantazja. Claire była zachwycona jej pomysłami, podobnie zresztą jak klientki.

Już po upływie krótkiego czasu Kathleen musiała odrzucać niektóre zlecenia, bo nie była w stanie ich wykonać. Oczywiście przyczyną było także to, że chwytła za igłę wieczorami i nocami, kiedy wszystkie prace na farmie były zakończone, a Colin spał. Kathleen nie chciała tego przyznać przed Claire, ale sama także zauważyła, że w domu rósł szpieg Iana – Colin.

Tymczasem zdążyła się także uporać ze strzyżką owiec, co tym razem na szczęście nie stało się przyczyną kolejnego kryzysu w jej małżeństwie. Claire przysłała grupę postrzygaczy w jednym z tych nielicznych dni, kiedy Ian był w domu, a Kathleen nie pokazała się na zewnątrz. Ian wykorzystał okazję, aby sprzedać przewodnikowi grupy konia.

– To znaczy, że na następny raz będziemy musiały poszukać innych ludzi – westchnęła Kathleen, patrząc na uwolnione od wełny zwierzęta i piękne runo. – Ten człowiek szybko zauważy, że kupiony wałach jest leniwy i w dodatku kuleje. Ale może w następnym roku o tej porze wcale nie będziemy mieli owiec.

– My na pewno będziemy! – zawołała radośnie Claire.

U Edmundsów stan posiadanej bydła nie zmieniał się tak często, a w przeciwieństwie do Kathleen, która w owcach widziała jedynie ciąglych uciekinierów i producentów gnoju, Claire bardzo lubiła te zwierzęta. Potrafiła się lepiej dogadywać z postrzygaczami i nawet sama ostrzygła dwie owce. Ale teraz wprost paliła się do tego, aby nauczyć się prząść wełnę. Kathleen pokazywała jej to cierpliwie i w niedługim czasie Claire doszła do pewnej wprawy. I choć Kathleen niewiele sobie po tym obiecywała, to zaoferowała swoją wełnę w sklepie Mrs Broom. Ku jej zaskoczeniu kobiety w mieście kupowały ją bardzo chętnie.

– Mówiłam ci przecież! – cieszyła się Claire, pakując kolejny ładunek na swój wóz. – U was w Irlandii każda kobieta umie prząść, ale w Liverpoolu nikt tego nie robił. Robótki na drutach, szydełkowanie, to już prędej, ale gręplowanie wełny, farbowanie i przedzenie – tego się nie da robić w gospodarstwie domowym w mieście, a tu opłaca się to tylko wtedy, kiedy się ma własne owce.

Kathleen i Claire sprzedały całą wełnę ze swoich obu farm – i cieszyły się, że żaden z ich mężów nie zażądał od nich oddania pieniędzy. Ani Matt, ani Ian nie mieli ambicji, aby zostać „owczymi baronami”. Dla Iana własne zwierzęta były uciążliwymi

zarłokami – każde próbował odsprzedać, o ile tylko było to możliwe. A Matt dzień w dzień kursował między Lyttelton i Christchurch. Robił dobre interesy, transportując majątek osadników albo towary handlowe z Canterbury Plains na statki. Jeśli o to ostatnie chodziło, to musiał chyba zauważyć, że przewoził coraz więcej wełny wysyłanej do Anglii. Lecz albo uważał kilka tuzinów swoich własnych owiec za niewarte wzmianki, albo po prostu nie interesował się tym, co transportował. Za brakiem zainteresowania przemawiało coraz więcej, bo Matt sprawiał wrażenie coraz bardziej znudzonego i był zawsze w złym nastroju. Claire cierpiała z tego powodu i było to widoczne, chociaż starała się tego po sobie nie pokazywać. Kathleen jednak nie mogła niczego wmówić. Sam fakt, że Claire nie zachwycała się już pełnym humorem, przystojnym i tkliwym Mattem Edmundsem, dowodził, że patrzyła na męża trzeźwo i traciła złudzenia.

Za to cieszyła się niesłychanie z zarobionych pieniędzy.

– Będziemy jeszcze bogate, Kathleen! – śmiała się, ale poważniejąc, dodała: – Uciekniemy razem!

Kathleen z zaskoczeniem patrzyła na swoje pieniądze. Właśnie przeliczyła je po raz kolejny i niemal nie była w stanie pojąć swego bogactwa. Ale ostatnie zdanie Claire wyrwało ją z zadumy. Czy Claire Edmunds myślała o ucieczce od męża?

– One mówią... – wyszeptwała Claire, która chyba chciała wreszcie zrzucić ciężar posiadanych wiadomości – to znaczy kobiety w Christchurch... One mówią, że Matt ma kochankę w Lyttelton.

Kathleen objęła ją pocieszająco.

– To nie musi być prawda, Claire. To z pewnością tylko plotki!

– Ale może tak być – odparła Claire gorzko. – W czasie pierwszych lat morze rzadko było tak wzburzone, żeby musiał nocować w Port Cooper. Ale teraz zdarza się to ciągle. Ja to widzę, Kathleen. Nie jestem ślepa.

– Ale czy nie pozwalasz już, aby przychodził do twojego łóżka? – spytała Kathleen, czerwieniąc się. – To znaczy... ty chyba nie jesteś znów w ciąży?

Claire otarła sobie łzy z oczu.

– To nie jest tak, że ja mu nie pozwalam – odpowiedziała cicho. – Kocham go przecież, chociaż jest teraz taki inny. To on nie chce. Matt jest jakiś... nie wiem, dlaczego jest taki nieszczęśliwy i ponury, ale... Jeśli chodzi o Matta, to sądzę, że mogłabym z dnia na dzień zniknąć i on by tego nie zauważył!

Claire Edmunds, wieczna optymistka, wybuchnęła łkaniem.

## ROZDZIAŁ 5

Także w ciągu następnych lat małżeństwa Kathleen Coltrane i Claire Edmunds nie były szczęśliwe. Za to ich wspólny interes rozwijał się nadzwyczaj pomyślnie. Kathleen dawno już przestała wykonywać samodzielnie otrzymywane zlecenia szycia sukien i nawet kreacji wieczorowych. Skoncentrowała się teraz głównie na projektowaniu strojów i na wykrojach – prace krawieckie przejęły dwie kobiety w mieście, które zwerbowała Claire. Claire zaś przerzuciła się na tkanie delikatnych materiałów wełnianych. Przerabiała sama niemal całą wełnę ze swoich owiec i przejmowała też wełnę Kathleen, jeśli Coltrane'owie w okresie strzyży mieli owce w stajni. Sprzedaż małych ilości wełny prawie się już nie opłacała – rosnące farmy „owczych baronów” dostarczały handlarzom ogromnych ilości bardzo dobrego jakościowo runa. Wełna, która różniła się kolorem i strukturą, mogła być sprzedana tylko jako już przerobiona i tu Claire nabrała dużej wprawy w osiągnięciu coraz to nowych efektów oraz przeróżnych odcieni. Jej wypieszczone, zadbane owce stały się źródłem utrzymania całej rodziny, co było już pilną koniecznością. Claire skarżyła się, że interesy Matta nie szły dobrze. I podczas kiedy niemal każdy szyper sprawił już sobie większą i bardziej nowoczesną łódź, a sam połów ryb przynosił niezły dochód przy sprzedaży w Christchurch, to Matt jakoś sobie nie radził. Pieniądze, które zarabiał, przepijał w pubie albo na łodziach z przyjaciółmi.

– Dobrze się go słucha – mruknął ponuro Ian, który czasami wspominał przy jakiejś okazji o sytuacji Matta, a raczej o jego upadku. – Zabawia cały pub swoimi marynarskimi historiami. Ale w efekcie nie łapie ryb ani nie transportuje towarów, a tych i tak jest mniej, bo rozbudowują Bridle Path.

Drogą prowadzącą do Bridle Path można już było jeździć bryczką, kiedy więc Ian któregoś razu wybrał się w dłuższą podróż i zabrał ze sobą Colina, Kathleen i Claire odważyły się pojechać na wycieczkę do Lyttelton. Kathleen chciała koniecznie odwiedzić swoją maoryską przyjaciółkę Pere, a Claire, wiedzioną ambicją w kwestii farbowania wełny, miała nadzieję, że uda jej się otrzymać od tubylców jakieś odpowiednie przepisy.

Pere była oczywiście uradowana. Cieszyła się i dziwiła, że Sean jest już taki duży, i natychmiast zaczęła dogadzać Heather i Chloé swoimi słodyczami. Kathleen z kolei zdziwiły ogromne postępy w rozbudowie prymitywnego osiedla Port Cooper, które stało się małym, uroczym miastem, zwanym teraz Lyttelton. Miała to być jego ostateczna nazwa, pochodząca od nazwiska dżentelmena przewodniczącego Canterbury Association. Kathleen, szczęśliwa, że nie musi się obawiać ciągłych

napadów zazdrości ze strony Iana, mogła spokojnie rozmawiać z mężem Pere, Johnem, i dowiedziała się wielu rzeczy o rozwoju jej nowej ojczyzny.

– W Westport znaleziono węgiel i teraz rozpocznie się jego wydobywanie – mówił w zamyśleniu flegmatyczny John. – Ale o wiele ważniejsze są odkrycia złotoonośnych pól w Otago. Wariaci i poszukiwacze szczęścia wszelkiego rodzaju ruszą tam niebawem w nadziei, że znajdą tam swoje szczęście. Większości się nie uda, ale dzięki temu przyjedzie tu wielu ludzi. Niestety, znów nie będą to ci najlepsi. Ale za to powstają nowe miasta. Dunedin na południowym wybrzeżu, zamieszkane głównie przez Szkotów. Blenheim na północy – w tamtej okolicy jest wielu Niemców. I powoli kraj zaludnia się coraz bardziej.

– A waszym współplemioncom to nie przeszkadza? – spytała Claire zawsze spokojną i opanowaną Pere, która właśnie pokazywała dzieciom gwiazdy. Był pogodny letni wieczór i wszyscy cieszyli się widokiem morza, a Pere po południu grillowała ryby i słodkie ziemniaki. Teraz przed ich oczami rozpostarło się niebo nabite gwiazdami i ku niesłychanemu zdumieniu Claire Pere знаła ich nazwy. Choć co prawda nie były to nazwy angielskie, lecz wyłącznie maoryskie.

Słyszając jej pytanie, Pere potrząsnęła głową.

– Tutaj nie. Na Wyspie Południowej, Te Waaka-Maui, nigdy nie było nas dużo. Tylko jeden szczep, Ngai Tahu, i trochę nas na północy. Nie mieć nic przeciw *pakeha*, jak oni uczciwie płacić za naszą ziemię i naszą pracę. Trzeba uważać, wielu oszustów! Ale nasi wodzowie mądrzy, nie kłócić się ze sobą. Na Wyspie Północnej inaczej, tam dużo szczepów, dużo umów... W Waitangi wodzowie zawrzeć umowę z *pakeha*, ale mimo to są kłopoty.

– Tu ludzie są bardzo zadowoleni, jeśli dostaną pracę – dorzucił John.

Pere uśmiechnęła się do niego.

– I pieniądze, i garnki, i koce, i ciepłe ubrania – uzupełniła. – Kto nie lubi trochę lepsze życie?

Kathleen i Claire przytaknęły zgodnie. W ich życiu brakowało odrobiny luksusu, mimo obecnych dobrych przychodów, które Claire ukrywała w oborze pod gnojem, a Kathleen za luźnym kamieniem koło komina. Obie żyły w paradoksalnej sytuacji: nie mogły nic wydać, jeśli nie chciały zwrócić uwagi swoich mężów na własne dochody. Teraz obie patrzyły tęsknie na wygodny dom Pere, na poduszki na krzesłach, barwne kilimy na ścianach, utkane przez maoryskie kobiety, i małe rzeźby z jadeitu pounamu.

– To *hei-tiki!* – wyjaśniła Pere i podarowała Kathleen i Claire malutkie wisiorki, figurki bogów na cienkich skórzanych paskach.

Claire obejrzała swój wisiorek z niemal nabożną czcią, podczas kiedy Kathleen szybko ukryła go pod suknią. Cieszyła się, że ma amulet przynoszący szczęście, ale wolała nie myśleć o tym, co by było, gdyby Ian to znalazł. Postanowiła, że najlepiej



będzie, jeśli ukryje go w skrytce, w której przechowywała list i kosmyk włosów Michaela, a także swoje pieniądze.

Claire przyłączyła się teraz do małych obserwatorów gwiazd i posadziła sobie córkę na kolanach.

– To jest Droga Mleczna – objaśniła, pokazując gwiazdy.

Pere się uśmiechnęła.

– My nazywamy ją Te Ika o te Rangi – powiedziała. – A tam Matariki! Bardzo ważne, żeby ustalić, kiedy Nowy Rok – i wielkie święto!

– To są Plejady – przetłumaczyła Claire. – Ale jak się nazywa ta gwiazda, Pere? Nie znam jej nazwy.

Maoryska kobieta odpowiadała cierpliwie i powoli spełniała życzenie Claire, aby ta mogła poznać nowe gwiazdy.

Pełne gwiazd niebo było Kathleen raczej obojętne. Podczas kiedy Claire i dzieci ze śmiechem powtarzały maoryskie słowa, ona starała się zapamiętać nazwy osiedli *pakeha*, które wymieniał John. Greymouth i Westport, Nelson i Blenheim, Dunedin i Queenstown. Do gwiazd nie pojedzie nigdy. Ale może tu, gdzieś na nowozelandzkiej Wyspie Południowej, znajdzie się jakieś miejsce dla niej i dzieci, w którym będzie bezpieczna i gdzie nie będzie się obawiać razów i obelg ze strony Iana.

Claire lubiła nazywać gwiazdy – Kathleen była zdecydowana kiedyś po nie sięgnąć!

A jednak musiało znów upłynąć kilka lat, zanim zaczęła poważnie myśleć o urzeczywistnieniu swoich planów ucieczki; był już rok 1858, a zasadniczym impulsem w tej kwestii nie była jej rosnąca rozpacz ani coraz gorsze stosunki Seana z Ianem. To Matt Edmunds uruchomił całą lawinę wypadków. Sean miał już jedenaście lat, a Colin dziesięć i obaj chłopcy chodzili do szkoły w Christchurch. Oczywiście była to daleka droga, ale Sean chętnie pokonywał te dziesięć mil na końskim grzbiecie – lubił się uczyć, wprost pochłaniał wiedzę i od samego początku należał do najlepszych uczniów. Dzięki lekcjom Claire umiał już od dawna czytać i pisać, dobrze też liczył, znał nawet trochę łaciny. Przeczytał połowę leksykonu i przyswoił sobie zaskakujące wiadomości, często na tematy zupełnie zbędne. Już w czasie pierwszych lekcji zaskoczył nauczycieli słowami takimi jak „absolucja” lub „diagnozować”, których używał nie zawsze zgodnie z ich znaczeniem, ale w efekcie wyrażono zgodę na to, aby przeskoczył trzy klasy. Także wśród starszych uczniów należał do najlepszych i mówiono już o późniejszym przyjęciu go do będącego obecnie w rozbudowie, bardzo cenionego Christ’s College.

Colinowi nauka nie sprawiała takiej przyjemności. Także on dzięki lekcjom Claire przeskoczył pierwszą klasę i z pewnością nie musiałby uczęszczać do drugiej, ale nie był zbyt ambitny. Do wykonywania swego przyszłego zawodu handlarza byłem – co

deklarował już teraz i Kathleen przypuszczała, że powtarzał zdanie Iana – musiał jedynie umieć dobrze liczyć. Pozostałe umiejętności przekazywane w szkole były jego zdaniem zupełnie zbędne i wręcz stanowiły przeszkodę. Colin już teraz wolał pracować w stajni, gdzie przygotowywał konie do sprzedaży, objeżdżał je i był zdania, że nie ma nic piękniejszego niż towarzyszenie ojcu w jego podróżach po kraju.

W dalszym ciągu tylko w niektórych osiedlach odbywały się targi bydła. Ian przeważnie jeździł od farmy do farmy, a Kathleen podejrzewała, że unikał wizyt w tych największych i najważniejszych. Ludzie tacy jak Wardenowie na Kiward Station, Barringtonowie czy też Beasleyowie nie pozwoliliby się oszukać i bez wątplenia uważali też, że przyjmowanie takiego oszusta jak Ian było poniżej ich godności. Sprowadzali swoje zwierzęta wprost z Anglii albo hodowali je sami. Ian robił interesy z drobnymi farmerami i przeważnie udawało mu się jakoś dogadywać z ludźmi, mimo ich złych doświadczeń w handlu. Oczywiście ważną rolę odgrywała wówczas whiskey. Ian pił teraz często także za dnia. Ciemnowłosego młodego mężczyzna, w którym Kathleen niemal mogła się swego czasu zakochać, coraz bardziej przypominał swojego ojca: stał się ociężały, miał bladą twarz i ciągle zaczerwieniony nos, był przy tym bardzo elokwentny i wygadany, ale też lubił szybko robić użytek z pięści lub z pejcza. W Nowej Zelandii, podobnie jak w Irlandii, wbrew swoim nadziejom nie zdołał się szybko wzbogacić, ale Coltrane'owie mieli za co żyć. Kathleen byłaby właściwie zadowolona, gdyby tylko Ian traktował ją nieco inaczej i gdyby nie faworyzował Colina tak ostentacyjnie na oczach pozostałych dzieci. Odrzucał Seana coraz wyraźniej, a na małą Heather w ogóle nie zwracał uwagi. W ostatnich latach dziewięcioletnia dziewczynka coraz bardziej bała się ojca, bo przecież nie dało się ukryć, że szykanował tak uwielbianego przez nią brata i bił matkę. Oprócz Colina cała rodzina oddychała z ulgą, kiedy Ian wyruszał w swoje podróże połączone ze sprzedażą koni. Także tego wiosennego listopadowego dnia tylko Colin był w złym humorze. Właśnie tego dnia rano Ian wyjechał na dłużej, ale tym razem zostawił syna w domu, nie chcąc, aby chłopiec opuszczał lekcje w szkole. Colin znęcał się nad koniem, z którym pracował na padoku przed domem. Obok w stajni Sean wywoził gnój i kłócił się z bratem za każdym razem, kiedy tylko wyjeżdżał z taczkami na dwór. Uważał, że Colin traktował młodego konia zbyt okrutnie – zwierzę nie potrafiło jeszcze podobać zadaniom, które przed nim stawiano. Kathleen była w domu, a Heather zrywała kwiaty i układała piękny bukiet z czerwonych rata i żółtych kowhai. Dziewczynka usilnie starała się dorównać Claire – koniecznie chciała być dystyngowaną lady i gustownie ozdabiać dom.

Muł Claire niemal przewrócił małą. Kasztanowa klacz galopowała po nieutwardzonej drodze między domem Kathleen a padokiem tak szybko, jak gdyby goniły ją furie. Tuż za nią pędziła równie szybko oślica Spottey, na której grzbiecie

siedziała Chloé, która była teraz prawie tak dobrą amazonką jak jej matka. Zwykle jednak Chloé siedziała bardzo grzecznie i pewnie w siodle czy to męskim, czy damskim. Teraz dziewczynka z trudem utrzymywała równowagę na kościstym grzbiecie oślicy. Jeśli matka i córka w tym tempie pokonały trzy mile, dziewczynka musiała mieć bolesne obtarcia.

Claire i Chloé niemal osunęły się ze swoich wierzchowców, kiedy tylko te się zatrzymały. Mała Chloé próbowała uwiązać oba zwierzęta, ale Claire sprawiała wrażenie niezdolnej do jakichkolwiek rozsądnych działań i myśli.

– Kathleen! – zawołała.

I kiedy Kathleen zdumiona wyszła z domu, Claire, szlochając, dosłownie rzuciła się jej w ramiona.

– Kathie... Kathie... ja... my... nasz dom... Matt...

Kathleen objęła przyjaciółkę i przytuliła ją do siebie. Przez głowę przelatywały jej przeróżne myśli o wszystkich możliwych katastrofach. Czy dom się spalił? Czy Matt zginął w płomieniach?

– Czy to... pożar, Claire? – spytała ostrożnie.

Claire potrząsnęła głową, ale nie była w stanie mówić.

– Przyjechali ludzie – wyjaśniła zamiast niej Chloé – mężczyzna i kobieta, i dwóch chłopców. I oni... i oni nas wyrzucili!

Chloé sprawiała wrażenie bardziej zaskoczonej i pełnej niedowierzania niż niespokojnej. Wydawała się nie rozumieć powagi sytuacji.

– Jak to was wyrzucili? – Kathleen także niczego nie rozumiała, chociaż natychmiast opadły ją wspomnienia z Irlandii. Grainné Rafferty na nabrzeżu w Wicklow... chata Drurych zburzona i spalona... – Ale to przecież niemożliwe, Claire, tu jest wolny kraj! Nie ma landlordów, kraj nie należy do Anglików, należy do...

– Ci ludzie powiedzieli, że kupili nasz dom – wyjaśniła Chloé. Jak na swoje osiem lat, była dziewczynką bardzo rozumną, która doskonale potrafiła się wypowiadać. – Z całym in... in...

– Inwentarzem – dokończyła Claire mechanicznie i w tym momencie wydawało się, jakby zaczęła odzyskiwać mowę. – Oni byli w stanie to udowodnić. Umowa kupna była sporządzona poprawnie. Ten drań Matt...

– Matt sprzedał dom za waszymi plecami? – spytała Kathleen przerażona.

Claire skinęła głową.

– Może nas też potraktował jako część inwentarza – dodała gorzko. – W każdym razie kupcy byli bardzo rozzłoszczeni, że nas tam zastali. Powiedzieli, że Matta już nie ma. Zainwestował pieniądze za dom w udziały w szkuner, to statek, frachtowiec. I płynie nim teraz do Chin.

Kathleen patrzyła na przerażoną, całkowicie wyczerpaną przyjaciółkę i nagle

uspokoila się w jednej chwili. Tę decyzję odsuwała tak długo, ale teraz los wziął sprawy w swoje ręce. Nie mogła pozwolić Claire odejść – teraz wszystko w niej wzbraniało się przed tym, aby wrócić do smutnego, beznadziejnego życia, jakie wcześniej wiodła. Wcześniej – przed przyjazdem Claire. A Claire była zbyt dobrze wychowana, teraz także zbyt wyczerpana i skrzywdzona, aby mogła sama przeżyć w Christchurch czy też Lyttelton. Kathleen odetchnęła głęboko.

– Co z twoimi sukniami, Claire? – spytała przede wszystkim.

Matt nigdy nie interesował się garderobą Claire, na to czasami przysyłała materiał jej matka. Claire i Chloé posiadały już dość bogatą garderobę, wykonaną z pomocą Kathleen. Suknie były zupełnie nowe, bo przecież obie nie miały jeszcze okazji, aby je włożyć.

Oczy Claire ciskały błyskawice. Najwyraźniej wracała już do siebie, a jej przerażenie ustąpiło gniewowi.

– One należą do inwentarza! – powiedziała wzburzona. – Chciałam coś spakować, ale ta kobieta natychmiast zauważyła, że mam nie tylko takie stare rzeczy jak te. – Claire miała na sobie spraną domową sukienkę, prawdopodobnie pracowała w ogrodzie, kiedy spotkało ją nieszczęście. – W każdym razie rozsiadła się wygodnie przed moją szafą i oświadczyła, że wszystkie części garderoby zostały zakupione razem z domem.

– Ale to można przecież zaskarżyć – zastanawiała się Kathleen. – Adwokat z Christchurch...

Claire machnęła lekceważąco ręką.

– Ach, zapomnij, oni wszystko sprzedadzą, zanim adwokat się tu zjawi. A poza tym... – uśmiechnęła się z satysfakcją – mamy za to zwierzęta!

– Które w tym wypadku rzeczywiście należały do inwentarza, prawda? – spytała Kathleen. – Jak ci się udało je zabrać?

Claire spojrzała na nią, teraz niemal swawolnie.

– One były w lesie, przy Łące Elfów! – powiedziała. – A ci nowi ludzie musieli dobrze uważać, żebym nie zabrała czegoś z chaty i byli tym bardzo zajęci. No to najpierw pobiegłyśmy nad rzekę i potem okrążyłyśmy podwórze, i zakradłyśmy się do lasu. No i jesteśmy!

– Ale nie możecie zostać tu zbyt długo – poradziła Kathleen. – To niemal gwarantowane, że zgłoszą kradzież.

Przez twarz Claire przemknął cień.

– Ty... nie mówisz tego poważnie... – wyszeptała. – Ty... ty nas wyrzucasz? Myślałam...

Kathleen niecierpliwie potrząsnęła głową.

– Przestań gadać bzdury, to oczywiste, że was nie wyrzucę na ulicę! Ale zrozum, oni będą szukać najpierw tutaj! A najpóźniej wtedy, kiedy się dowiedzą, że się

przyjaźnimi. Poza tym Ian was tu nie ścierpi. Ale to i tak nie ma już znaczenia. Wyjedziemy obie. My dwie i nasze dzieci.

– Wyjedziemy obie? – W oczach Claire pojawiło się zdumienie. – Ty chcesz... opuścić Iana?

Kathleen przytaknęła zdecydowanie.

– Już dawno chciałam to zrobić. Mam dość obrażania i bicia. Tylko sama bym się na to nie odważyła. Ale teraz daj temu spokój, musimy wszystko zaplanować. Najpierw trzeba zaprowadzić zwierzęta do stajni. Sean... – Odwróciła się i zobaczyła nie tylko najstarszego syna, ale także pozostałe dzieci. Sean siedział spokojnie na płocie padoku, przysłuchując się, Colin przykucnął obok konia, patrzył i słuchał z rozdziawioną buzią, a Heather szeptała z Chloé. Obie dziewczynki komentowały wydarzenia na swój sposób. Za to nigdzie nie było widać Missy ani Spottey. Sean mrugnął porozumiewawczo do matki. Kathleen uśmiechnęła się do niego ciepło. Ten chłopak potrafił myśleć!

– Dobrze. To idziemy teraz do domu, a wy pakujcie swoje rzeczy, dzieci. Musimy wziąć powóz i tego starego muła. Ian, niestety, zabrał duży wóz. A więc nie zabierajcie wiele rzeczy, jest nas sześcioro, więc i tak będzie ciasno.

Kathleen odetchnęła i odważyła się zadać pytanie, którego się obawiała.

– Claire, czy ty masz pieniądze?

Znów odetchnęła, tym razem z ulgą, kiedy Claire skinęła głową.

– Tak! – wyszeptała Claire i w jej oczach błysnęły szelmowskie iskierki. – Chloé zabrała je ze stajni, kiedy ja kłóciłam się z tą kobietą o suknie. Bo ci ludzie z pewnością rościliby sobie do nich prawa. Ale mam je tutaj!

Wygrzebała z kieszeni sukni jednofuntowe banknoty i monety. Właściwie przechowywała te pieniądze w ślicznej mahoniowej skrzynce – była częścią jej bezużytecznego posagu, ale raczej nie mogłaby jej transportować na końskim grzbiecie, pędząc jak oszalała.

– Dobrze! – Kathleen odczuła tak wielką ulgę, że spontanicznie objęła przyjaciółkę.

– Claire, a więc nie jest tak źle! Patrz, masz pieniądze, zwierzęta... jesteś bogata, Claire, i ja też! Wyjedziemy! I zaczniemy gdzieś wszystko od początku!

– Ale gdzie?

Ciągle jeszcze zszokowana i przerażona Claire podążyła za Kathleen do domu.

A Kathleen postawiła na kuchni wodę, a na stole chleb i masło. Bez względu na to, jak się śpieszyły, Claire powinna była teraz napić się herbaty i koniecznie coś zjeść. Przynajmniej Chloé wyglądała na bardzo głodną i natychmiast sięgnęła po jedzenie. Także dzieci Kathleen nic jeszcze nie robiły, aby się przygotować do wyjazdu. Zafascynowane przysłuchiwały się rozmowie dorosłych, a Colin musiał błyskawicznie zaprowadzić z powrotem konia do stajni, skoro już tu był.

– To musi być miasto. – Kathleen zaczęła natychmiast snuć plany. – I raczej nie

takie, które jeszcze niedawno było stacją wielorybników czy czymś podobnym. Tam prawie wcale nie ma kobiet, to komu będziemy sprzedawać nasze suknie? W grę wchodzi tylko takie osiedla jak Christchurch.

– Ale to jest za blisko! – zaprotestowała Claire.

Kathleen przewróciła oczami.

– To przecież oczywiste, że nie pojedziemy do Christchurch! Ian sprowadziłby nas w ciągu jednego dnia, a ty miałabyś na głowie sprawę w sądzie z powodu kradzieży! Nie, myślę, że powinniśmy się udać w kierunku północno-zachodnim, gdzieś w stronę Nelson, albo na południe, w stronę Dunedin.

– Optowałbym za Nelson, *mommy*. – Sean po lekturze leksykonu wypowiadał się we właściwy sobie, nieco napuszony sposób. – Albo od razu na Wyspę Północną. Tam są duże miasta: Wellington, Auckland... I *dad* nas tam nigdy nie znajdzie.

Sean był jedynym dzieckiem, które nie było zaskoczone planami ucieczki Kathleen. Wręcz przeciwnie, wszystko wskazywało na to, że sam o tym myślał.

– Ale ja nie chcę wyjeżdżać od *daddy*! – zawołał Colin, który chyba dopiero teraz pojął, o co tutaj chodzi. – Nie wyjedziemy przecież, *mommy*, prawda? My... my należymy...

– My właśnie nie należymy do twojego ojca, Colin! – odpowiedziała Kathleen, mimo woli gwałtownie. – To nie jest słuszne ani sprawiedliwe, że on mnie tu więzi od lat i teraz mam tego dosyć. Jedziemy do...

– Ja nigdzie nie jadę! – gorączkował się Colin. – Ja zostaję z *daddy*!

Kathleen potrząsnęła głową.

– Nie ty tu decydujesz, Colin. I tak nabrałeś już zbyt wielu złych przyzwyczajzeń. Od tej chwili koniec z oszustwami przy sprzedaży koni! Będiesz chodził do szkoły i zdobędziesz porządny zawód. Na Boga, od kiedy wyszłam za mąż za twojego ojca, musiałam słuchać wyrzutów wielu ludzi z powodu jego oszustw. Nie mogłabym patrzeć na siebie w lustrze, gdybym je miała, jeśli będę słyszała to jeszcze o własnym synu!

Colin zerwał się z miejsca.

– Całkiem nieźle żyłaś z tych jego oszustw, ty i twój...

Colin nie zapamiętywał słów tak szybko jak jego brat, ale w tym momencie twarz Kathleen poczerwieniała – jej syn chciał powtórzyć to, o co tak często obwiniał ją Ian! Chciał powtórzyć jego obelgi, których musiała słuchać tyle lat! Było wprost konieczne, aby dzieci stąd wyjechały! Nie do pomyślenia, że kiedyś zaczęłyby rozumieć, co znaczą słowa „bękart” czy „bastard”. Claire wydawała się rozumieć, co chciał powiedzieć chłopak. Także ona się zaczerwieniła i spuściła oczy.

Kathleen odetchnęła, po czym zamachnęła się i wymierzyła Colinowi solidny policzek.

– Zamknij buzię, Colin! Sean, zabierz brata do pokoju i pomóż mu spakować jego

węzełek. Weźcie po jednej koszuli i jedno spodnie na zmianę, kilka drobiazgów, jeśli chcecie je zabrać... Tak, Sean, na Boga, leksykon też.

– Masz go jeszcze tutaj? – Twarz Claire rozjaśniła się nagle.

Kathleen wzniosła oczy do nieba, ale Colin nie dał za wygraną.

– Czy nie słyszałaś, kobieto? – spytał tym samym tonem i używając tych samych słów co jego ojciec. Kathleen poczuła zimny dreszcz na plecach. – Ja zostanę. Nie ucieknę za plecami taty! Powozu też nie wolno ci zabrać! Jest nowy, *dad* go kupił i...

– *Daddy* kupił to wszystko za moje pieniądze – odpowiedziała Kathleen spokojnie.

– Jeśli więc wezmę powóz i muła, to i tak ja za to zapłaciłam! – wyrzuciła z siebie. – A teraz, dzieci, jazda!

– Tak? A co chcesz zrobić? – spytał Colin wyzywająco. – Przywiążesz mnie do powozu? Zwiążesz mi ręce i nogi? To zrób to porządnie, *mommy*, bo jeśli się uwolnię, pojedę do taty. Wiem, gdzie go szukać, *mommy*! A on potem przyjedzie do tego Nelson i cię zabierze, albo na tę Wyspę Północną, gdziekolwiek, gdzie się ukryjesz!

Claire spojrzała na przyjaciółkę. Kathleen dostrzegła w jej pełnym współczucia spojrzeniu także lęk, bo ona wierzyła w słowa chłopca. I to samo zobaczyła w oczach Seana. On również nie ufał bratu.

– Kiedyś będziesz musiała mnie wypuścić! – triumfował Colin. – A ja wtedy pójde do oficera policji i doniosę na ciebie! A on znajdzie potem *daddy*, nawet jak będziemy daleko!

– Colin – Kathleen miała wrażenie, że pęka jej serce. – Colin, wybac policzek. Ale przecież nie możemy jechać bez ciebie! Jesteśmy przecież rodziną.

– Moją rodziną jest *dad*! – zawołał Colin. Był już blisko drzwi. – I ja teraz pojedę do niego!

Zwinnie jak wiewiórka uciekł z kuchni. Sean nie wahał się ani chwili i ruszył za nim.

– Przecież nie możemy go tu zostawić – powiedziała Kathleen bezradnie.

Claire nalala jej herbaty. Teraz ona była tą, która zachowała spokój i jasność umysłu.

– Ale nie możemy go też zabrać – powiedziała zdecydowanie. – Naraziłby nas na niebezpieczeństwo! Zawsze tak było, przypomnij sobie wycieczkę do Christchurch.

– Ale on jest przecież jeszcze małym chłopcem – wyszeptała Kathleen. – On nie jest zły...

Claire wzruszyła ramionami.

– U małych chłopców między złem a dobrem nie ma zbyt wielkiej różnicy – stwierdziła. – Colin jest pod przemożnym wpływem swojego ojca. Kocha go i tak powinno być, ale też podziwia i uwielbia. W przekonaniu Colina Ian nie robi nic złego. Ale za to ty, Kathleen, w jego oczach robisz mnóstwo błędów, on słyszy od lat, co zarzuca ci Ian. Musisz mi kiedyś dokładnie opowiedzieć, co się właściwie stało.

Sean...

Kathleen skinęła głową, ale położyła palec na ustach.

– Nie przy dziewczynkach – powiedziała cicho. – Ale jeśli go teraz zostawię, to znaczy... to znaczy, że go porzucam, że go stracę.

Claire popatrzyła jej twardo w oczy.

– Możesz stracić Colina albo siebie – powiedziała stanowczo. – A może powinnam powiedzieć: stracić Seana? Bo on kiedyś zrozumie, co dla niego zrobiłaś, i będzie cię za to kochał. Jeśli zostaniesz, to cię znienawidzi!

Kathleen bawiła się filizanką. W tym momencie otworzyły się drzwi i do środka wszedł Sean.

– Uciekł – powiedział, oddychając ciężko. – Przykro mi, *mommy*, ale był szybszy ode mnie. Pobiegł w stronę lasu. Pójdę teraz do stajni i przypilnuję zwierząt. Nie może zabrać konia.

– To znaczy, że chcesz zabrać jego konia? – spytała Kathleen słabo.

Sean skinął głową.

– Nie pozostaje nam nic innego. Na szczęście mamy go tu. Ale jeśli zostawimy mu jakiegoś wierzchowca...

– On wróci! – wyszeptała Kathleen. – Jeśli troszkę poczekamy...

Sean przewrócił oczami.

– Jasne. Wróci, jak tylko zgłodnieje. A potem co? Chcesz go przywiązać?

– Idź do stajni, Sean – powiedziała Claire. – Zaprzęgnij muły do wozu. Za pół godziny będziemy gotowe.

Sean przestępował z nogi na nogę.

– *Mommy?* – spytał.

Kathleen nerwowo zagryzła wargi.

– Zrób, co mówi ciocia Claire, Sean.

Kathleen zapakowała wszystkie swoje wykroje i wzory oraz rysunki. Także ubrania dla siebie i dla Claire. Na szczęście Claire była mniejsza od niej, można więc będzie poprzerabiać niektóre rzeczy dla przyjaciółki. Na koniec wydobyla pieniądze ze swojej skrytki za kominem. Nie był to majątek, ale razem z oszczędnościami Claire wystarczy, aby rozpocząć jakiś mały interes. Zastanawiała się przez chwilę, czy ma zabrać część porządnej garderoby Colina dla Seana, ale ta myśl ją przeraziła. Bez wątplenia Colin dorastał w przekonaniu, że jego matka jest złodziejką i dziwką, ale ona nie chciała przynajmniej okradać syna. Sean też nie chciałby nosić jego ubrań. Kathleen zapakowała więc tylko własne rzeczy i leksykon.

Sean zajechał właśnie przed dom wozem, kiedy ona wyszła ze spakowanym dobytkiem z domu.

Claire pomagała Heather przy pakowaniu i wzięła parę rzeczy dla Chloé.

– Nie masz nic przeciwko temu? – spytała zakłopotana, patrząc na Kathleen, ale



ona tylko machnęła ręką.

Mały, czarny, czterokołowy powóz był stosunkowo nowy i nawet troszkę wielkopański. Ian jeździł nim do miasta, kiedy sprzedawał tam części do bryczek. Do powozu można było zaprząć jednego albo dwa konie i Sean zaprzął teraz muły Kathleen i Claire. Osiołek był przywiązany z tyłu, a koń z boku, ciągle osiodłany i okiełznany. To dlatego Colin tak szybko znalazł się w kuchni tuż po przybyciu Claire. Po prostu nie zadał sobie trudu, aby rozsiodłać zwierzę. A może postąpił tak na wszelki wypadek, aby móc uciec do ojca?

Sean zrobił Kathleen miejsce na koźle i podszedł do przywiązanego konia.

– Pomyślałem, że ja pojedę konno, żebyście miały więcej miejsca w wozie – powiedział i umieścił swój bagaż przy siodle.

Obie kobiety skinęły głowami, dziewczynki też wzięły swoje węzłki i wspięły się na tylne siedzenia powozu. Kathleen wepchnęła swoje rzeczy pod koziół. I wkrótce były w drodze.

– Nelson... A w ogóle jak daleko stąd leży Nelson? – spytała Claire, jeszcze kiedy Kathleen chwyciła za cugle.

– Około dwustu mil, może więcej – odpowiedziała krótko Kathleen.

– A Colin naprawdę nie pojedzie z nami? – spytała żałośnie mała Heather. Dziewczynka patrzyła z nieszczęśliwą miną za siebie. Farma nad rzeką Avon znikła właśnie za zakrętem.

– Kochanie, Colin zagroził, że nas zdradzi, jeśli go zmusimy, aby jechał z nami. – W ustach Claire brzmiało to tak, jak gdyby zaczynała właśnie jedną ze swoich opowieści, która wydarzyła się dawno, dawno temu na dworze króla Artura. – Dlatego zostawiliśmy go zgodnie z jego wolą.

– Ten gnojek i tak nas zdradzi! – syknął Sean, który kłusował obok powozu. – Nie powinniśmy jechać głównymi drogami, *mommy*... Może nawet trzeba pojechać jakąś okreśną drogą.

Kathleen potrząsnęła głową.

– Wiem – odpowiedziała z zaciśniętymi ustami. – Wiedziałam o tym od razu, nawet... nawet jeśli nie chciałam w to uwierzyć. Dlatego powiedziałam, że jedziemy do Nelson. Ale Nelson jest za daleko, Sean. Droga przez góry to przygoda, ale nie przejedziemy tam tym powozem, tam można jechać tylko wierzchem albo iść pieszo. A potem Kaikoura... Obóz wielorybników... dwie kobiety i dwie dziewczynki... to po prostu zbyt ryzykowne, Sean, choć bezsprzecznie masz rację, jeśli chodzi o Wyspę Północną.

– To dokąd my jedziemy? – spytała zaskoczona Claire, kiedy Kathleen skrzyła na południe.

Kathleen podjęła ostateczną decyzję.

– Do Szkotów. Do Dunedin.

## ROZDZIAŁ 6

Bogobojne życie Lizzie u Busbych trwało ponad siedem lat.

Lata te były bardzo burzliwe dla Wyspy Północnej, a dom Jamesa Busby'ego często znajdował się w samym centrum ekscytujących wydarzeń. Nieprzerwany strumień uchodźców z Anglii, Irlandii i innych części Wielkiej Brytanii ustawał powoli, ale po zawarciu traktatu w Waitangi pojawiły się kolejne fale osadników. Powstawały miasta, pozyskiwano coraz więcej terenów dla rolnictwa, odkryto też bogate złoża węgla. James Busby, jako Councillor Bay of Islands, przeprowadzał zakrojone na wielką skalę pomiary terenów, przyjmował u siebie najznacniejszych imigrantów i częstował ich własnym winem, choć jego osiągnięcia w winiarstwie były mizerne wobec win francuskich czy niemieckich, co go bardzo martwiło. Nabrał zwyczaju dyskusowania o tym problemie z Lizzie – rodzina Busbych była zupełnie niezainteresowana.

Agnes Busby miała minę równie kwaśną, jak kwaśny był jej zdaniem napój męża, kiedy znów była zmuszona kosztować któregoś z jego wyrobów. Lizzie za to robiła, co mogła, aby urzeczywistnić marzenia Busby'ego o winiarstwie, nie stroniła także od pracy przy zbiorze winogron. Ale przede wszystkim dokonywała cudów, przebywając wśród przymusowych maoryskich winiarzy. Mówiła już płynnie po maorysku i była w stanie wyjaśnić sens wszystkich działań, za pomocą których Busby chciał nie tyle pomnożyć zbiory z winnicy, ile poprawić ich jakość. W ogóle w kręgu jej przyjaciół było coraz więcej Maorysów – już choćby dlatego, że w okolicy brakowało znajomych *pakeha*. Lizzie nie miała kontaktu z biedniejszymi osadnikami, w bogatszych zaś rezydencjach prawie nie było personelu składającego się z białych.

Lizzie byłaby bardzo osamotniona, gdyby nie spędzała tyle czasu wśród gościnnych Maorysów. Pokojówki i ogrodnik chętnie zabierali ją ze sobą, kiedy wracali do swojego szczepu, gdzie była mile widziana, nikt też nigdy nie zadawał jej dociekliwych pytań na temat przeszłości. Dawało to Lizzie poczucie wolności – zwłaszcza że były uzasadnione powody, by sądzić, że nikt z Maorysów nie potępiłby jej nawet mimo dokładniejszej wiedzy na temat jej poprzedniego życia. Już samo pojęcie prostytutki było Maorysom równie obce jak surowa moralność *pakeha* w kwestii seksu. Maoryskie dziewczęta chętnie obdarzały mężczyzn swoimi względami, zanim zdecydowały się na wybór małżonka – tylko córki wodzów niektórych plemion były z tej zasady wykluczone i podlegały przeróżnym *tapu*. Jeśli więc Maorysów coś dziwiło u Lizzie, to właśnie fakt, że nie przejawiała jakichkolwiek chęci do wyboru partnera. Ruiha, która opiekowała się dziećmi Busbych, zapytała ją

o to któregoś razu wprost.

– Czy ty nie lubisz mężczyzn? – spytała, bawiąc się pasmem swych długich czarnych włosów, które ciągle wymykały się z upięcia i spod przepisowego czepka należącego do stroju służących w domu Mrs Busby. – Wolisz kobiety? Jeszcze nigdy tego nie widziałam, ale wiem, że jest coś takiego.

Lizzie zaczerwieniła się gwałtownie.

– Może... – wyjąkała nieśmiało, po czym dodała szczerze: – Może miałam ich już zbyt wielu... to znaczy... mężczyzn, nie kobiet. Z kobietami jeszcze nigdy... w ogóle nie wiedziałam, że coś takiego jest!

Ruiha skinęła głową ze zrozumieniem. Nie za bardzo pojmowała postawę Lizzie, ale przyjęła ją do wiadomości.

Pracodawcy Lizzie obserwowali jej częste kontakty z tubylcami nie bez uprzedzeń – zwłaszcza że relacje między Maorysami a *pakeha* z upływem lat się pogarszały. Tubylcy już nie tak chętnie jak z początku witali kolejnych imigrantów. Ich zdaniem na wyspie robiło się zbyt tłoczno, a spory się mnożyły. Oczywiście często były to nieporozumienia – jeśli w ogóle choć jedna ze stron dobrze opanowała język drugiej, to były to przeważnie dzieci Maorysów, które uczyły się angielskiego w szkołach prowadzonych przez misjonarzy. Tam zapoznawały się ze sztuką czytania, pisania i liczenia – a po jakimś czasie te najzdolniejsze opanowywały ją na tyle, że zaczęły kwestionować traktaty i umowy sprzedaży ziemi. James Busby musiał w związku z tym rozpatrywać ich zażalenia oraz łagodzić wściekłość osadników skarżących się na „krnąbrnych” Maorysów. A Mrs Busby się złościła, że tubylczy służący mimo wieloletniej pracy w jej domu ciągle nie byli perfekcyjni. W dodatku zupełnie nie rozumiała, co kazało spędzać tyle czasu w wiosce Maorysów jej zwykle tak nienaganej pokojówce Lizzie.

– Mogłabyś posiedzieć tutaj i na przykład poczytać jakąś dobrą książkę! – powiedziała niezyczliwie, kiedy Lizzie którejś niedzieli po cotygodniowej mszy i podaniu obiadu znów wybierała się do swych przyjaciół. – Chętnie ci jakąś pożyczę. Albo uszyłabyś sobie suknię... Czemu po prostu nie robisz tego, co zwykle robią inne służące?

Lizzie zrezygnowała z ponownego wyjaśniania, że w tej miejscowości po prostu nie było innych służących *pakeha*. A ona czytała raczej powoli i z trudem, a szyć nie potrafiła. Za to sprawiało jej przyjemność to, co robiła razem z maoryskimi kobietami. Zwykle pomagała im przy zbiorze lnu, potem przy jego czesaniu i tkaniu, uczyła się też dmuchać we flet przez nos, dusiła mięso z warzywami i słodkimi ziemniakami w gorącej wulkanicznej ziemi. Lizzie, dziecko miasta, nauczyła się rozpalać ogień i łowić ryby. Swojej pani przynosiła miód z kwiatów rongoa i proszek ze startych liści rośliny koromiko, który był pomocny przy jej bólach głowy. Wszystko to było zupełnie nieszkodliwe i niczemu nie zagrażało, ale Mrs Busby

patrzyła mimo to nieufnie.

– Naprawdę nie chodzisz z ich chłopcami... w krzaki, Lizzie? – spytała któregoś razu, czerwieniąc się poprawnie. – Nie masz tam jakiegoś czarnego kochasia, który cię kiedyś zostawi z bękartem?

Lizzie mogła z czystym sumieniem zaprzeczyć jednemu i drugiemu – choć właściwie był mężczyzna, który całkiem otwarcie się do niej zalecał. Kahu Heke, wysoki, silnie zbudowany, ale według maoryskich pojęć bardzo szczupły mężczyzna, pochodził z najlepszej rodziny i wolał przebywać w towarzystwie wielorybników w ich obozie Kororareka, zamiast doskonalić tradycyjne umiejętności Maorysów: sztukę walki, umiejętność wygłaszania przemów, myślistwo i taniec. Kahu Heke nosił imię swego słynnego przodka. Lizzie nie bardzo wiedziała, czy wielki wódz Hone Heke, który w ciągu ostatnich dziesięciu lat był przyczyną wielu niepokojów w kolonii angielskiej i w efekcie doprowadził do konfliktu o maszt flagowy, zwanego potem Flagstaff War, był ojcem czy wujem Kahu Heke.

W każdym razie Kahu był na pewno siostrzeńcem obecnego wodza szczepu Kuti Haoka, który często ostrzegał go surowo, kiedy Kahu po swoich niesłychanych przygodach znów zasiadał przy plemiennym ognisku. Podobnie jak jego wielki przodek, Kahu lubił łamać maszt z angielską flagą Union Jack, zadbał też o ulepszenie hodowli owiec swojego ludu, dostarczając któregoś dnia kilka dorodnych osobników rozplodowych, pochodzących z hodowli *pakeha*. Ponoć barany po prostu „pobiegły za nim”, a Kahu w dodatku bardzo chętnie pisał listy z zażaleniami na białych tym Maorysom, którzy choćby z najbliższego powodu zdenerwowali się na białych. Kahu opanował perfekcyjnie sztukę pisania i czytania w szkole misyjnej, gdzie w ogóle otrzymał znakomite wykształcenie, i oficjalnie był chrześcijaninem – nieoficjalnie natomiast chętnie powoływał się na prawa dawnych bogów, kiedy chciał utrudnić osadnikom *pakeha* korzystanie z tych dóbr ziemskich, które rzekomo były święte dla jego ludu. Kahu nie miał jeszcze żony, a po latach spędzonych w szkole misyjnej miał chyba problemy ze swobodnymi obyczajami panującymi w *marae* jego szczepu. Lizzie najwyraźniej mu się podobała, zalecał się więc do niej w sposób, który nie odpowiadał zasadom ani jednej, ani drugiej kultury. Czasami pozwalał sobie na dość ordynarne żarty, po których każdej kobiecie *pakeha* krew uderzała do twarzy. A potem przynosił Lizzie drobne prezenty albo zrywał dla niej kwiaty zgodnie ze zwyczajami *pakeha*. Pozostała część plemienia bawiła się przy tym znakomicie, wcale tego nie kryjąc. Lizzie nie wiedziała, czy Maorysi robią zakłady, ale jeśli tak było, to na pewno szło o to, czy i kiedy Kahu odniesie sukces w swych staraniach. Nie zachęcała więc Kahu do niczego i mogła wymienić liczne powody, dlaczego tak robiła. Bo Kahu był bez wątpienia bardzo przystojnym mężczyzną, ale jako Maorys z wyższych warstw miał twarz pokrytą przerażającymi tatuażami, które dla Lizzie były wręcz odstręczające. W dodatku dziewczyna nie

chciała zakochać się w kimś, kto właściwie był jedną nogą w więzieniu. Bo jeśli chodzi o Kahu Heke, to obawiała się, że prędzej czy później wyjdą na jaw nie tylko kradzieże, których się dopuszczał, ale także buntownicze zamiary, których wcale nie ukrywał.

Dla członków szczepu Ngati Pau Kutu Haokas byli *hapu*, czyli czymś w rodzaju podporządkowanego klanu rodzinnego. A szczep początkowo był bardzo przyjaźnie nastawiony do białych. Ich wielki wódz Hongi Hika podpisał traktat w Waitangi jako jeden z pierwszych. Choć co prawda także ten szczep zwątpił teraz w uczciwość przybyszów zza oceanu. Zbyt często *pakeha* naruszali różne *hapu* i *iwi* maoryskich plemion przy zakupie ziemi, a wszelkie ograniczenia w takim handlu dotyczyły właściwie tylko Maorysów, a nie białych. Kahu Heke opowiadał o kolejnych podobnych przypadkach, gdy pojawiał się we wsi.

– Oni zabierają naszą ziemię, naruszają nasze *tapu*, wycinają nasze lasy na drzewo potrzebne do budowy ich statków. A co my za to dostajemy? Ich whiskey i ich choroby!

– No, whiskey bardzo ci smakuje – droczyła się z nim Ruiha.

Bo podczas kiedy Lizzie była zupełnie obojętna wobec zalotów Kahu, to jej drobna, ciemnowłosa przyjaciółka miała wyraźną słabość do młodego buntownika. I jeśli chodzi o choroby, to Kahu miał z pewnością rację. Wielu tubylców umierało na dziecięce choroby, jak odra, które u *pakeha* przebiegały łagodnie. A nie każdy wojownik umiał też rozsądnie obchodzić się z whiskey, co często prowadziło do konfliktów wewnątrz *iwi*.

– Na dłuższą metę nie możemy na to pozwalać! – trąbił wszem wobec Kahu. – Słuchajcie moich słów, bo w niedługim czasie dojdzie do wojny.

Lizzie nie lubiła tego słuchać, bo w końcu prowadziło to do konfliktu lojalności wobec jej pracodawców. James Busby z pewnością oczekiwał od niej, że będzie mu meldowała o takich buntowniczych hasłach. Jednak Lizzie milczała – zarówno w czasie maoryskich zebrań, jak w kwestii ich stosunku do białych.

Bo ostatecznie nie była to żadna rebelia, która mogłaby zakończyć jej pełne zadowolenia i spokoju życie u Busbych. Do konfrontacji z jej przeszłością doszło w sposób najbardziej nieoczekiwany i nagły, jak tylko było możliwe.

– Dziś wieczorem wydajemy uroczystą kolację, Lizzie – oświadczyła Mrs Busby, kiedy Lizzie i pozostałe pokojówki zjawily się któregoś ranka w jej pokoju przyjęć. – Bądźcie więc wszystkie eleganckie, w czystych strojach i butach. Lizzie, miej oko na dziewczyny, wiesz, że one nie podchodzą do tego tak skrupulatnie.

Europejskie obuwie, które należało do służbowego stroju pokojówek, zawsze wydawało się maoryskim dziewczętom podejrzane.

– Ruiha będzie usługiwać do stołu, Lizzie przyjmie gości, kolejność potraw omówię potem z kucharką. Wypolerujcie srebro stołowe, ci panowie przyjeżdżają

wprost z Anglii. Są przyzwyczajeni do eleganckiej zastawy.

– Ilu osób należy się spodziewać, madame? – spytała uprzejmie Lizzie.

Mrs Busby wzruszyła ramionami.

– Dwóch brytyjskich inżynierów czy architektów i kilku panów z Russell. Chodzi o jakiś projekt budowy drogi, czyli znów będę się nudziła przez cały wieczór. Ach, prawda, przynieś na górę kilka butelek francuskiego wina, Lizzie. Może uda nam się je otworzyć, zanim James poda te swoje kwaśne wyroby!

Lizzie dygnęła grzecznie i zabrała się do przygotowań do wieczoru. W przeciwieństwie do maoryskich dziewcząt jej sprawiała przyjemność wyjmowanie porcelanowych nakryć, polerowanie srebra, że aż lśniło, i wycieranie do połysku kryształowych kieliszków.

Dziewczęta zjawiły się wymyte, w czystych strojach i dobrodusznie pozwoliły, aby Lizzie komenderowała nimi tak długo, aż każdy czepek wyglądał perfekcyjnie. I wreszcie Lizzie czekała cierpliwie na gości przy wejściu, aby odebrać od nich płaszcze oraz parasole. Była zima i choć nie było bardzo zimno, to od rana padał uporczywy deszcz. Uroda zatok i otaczających je zielonych, pokrytych lasem wzgórz znikła za welonem mgły.

Lizzie nie rozpoznała tego mężczyzny na pierwszy rzut oka, ponieważ wszedł do domu wraz z grupą ciemno ubranych panów, a wszyscy się śpieszyli, aby jak najprędzej znaleźć się w ciepłym i suchym wnętrzu. I dopiero kiedy wysoki, czerwony na twarzy inżynier budowy dróg zdjął kapelusz i płaszcz, Lizzie poczuła się tak, jak gdyby trafił ją piorun. Przed nią stał Martin Smithers, który patrzył na Lizzie równie zdumiony jak ona na niego.

Pierwszym odruchem Lizzie było uciec – po prostu uciec i zachowywać się tak, jak gdyby nic się nie stało. Może Smithers w ogóle jej nie zauważył i zdoła uciec, zanim on sobie przypomni, skąd ją zna. Ale to oczywiście była czysta iluzja. Bo mężczyzna o wiele szybciej niż ona ochłonął z zaskoczenia. Wodniste, jasne oczy Smithersa błysnęły pożądliwie. Uśmiechnął się do Lizzie, podając jej swój płaszcz.

– No popatrzcie, pokojówka kicia! Co za radość, że mogę cię znów zobaczyć! I ponownie, by tak rzec, sprawujesz swój urząd! – Rozejrzał się dookoła i pochylił się do Lizzie, widząc, że pozostałych gości pochłonęła rozmowa. – Wcale nie byłem zachwycony twoim odejściem, kochanie! Wiesz, kogo moja *missus* zatrudniła zamiast ciebie, kochanie? Chudego, bladego typka, który zanim okradł swoich poprzednich chlebobawców, wyuczył się zawodu kamerdynera! Nie żartuję, kiciu!

Lizzie cofnęła się o krok, jak gdyby płaszcz i kapelusz były dla niej za ciężkie. Zniosła jedno i drugie do garderoby, rozmyślając gorączkowo. Smithers ją zdradzi! Aresztują ją, zawiozą z powrotem do Australii. Ale może Busby'owie będą chcieli ją zatrzymać, może nie będzie tak źle. Może...

Smithers nie spuszczał z niej oka, kiedy wróciła i grzecznie dygała przed gośćmi.

Lizzie dziękowała niebiosom, że to Ruiha została wyznaczona do obsługi w czasie kolacji. Ona sama miała doglądać jeszcze raz potraw w kuchni i sprawdzić, czy zostały przygotowane zgodnie z europejskim wyczuciem smaku i piękna. Kucharka pozwałała sobie czasem w kuchni na egzotyczne improwizacje, których efekty rodzina wprawdzie chętnie próbowała, ale lepiej było oszczędzić tego gościom.

James Busby oczywiście musiał wykorzystać okazję do zaprezentowania wina własnego wyrobu. Ruiha zjawiała się w kuchni z poleceniem swego pana dla Lizzie.

– Masz przynieść jedno z naszych win z późnego zbioru i je de... de...

– ...dekantować – pomogła jej Lizzie i westchnęła.

Znaczyło to, że wino należało podać do głównego dania i to ona miała je podać. James Busby zamierzał więc zaprezentować swoją oryginalną angielską pokojówkę razem ze swoim niemniej oryginalnym nowozelandzkim winem. Nigdy jej to nie przeszkadzało, ale tego dnia...

– Pokojowa kiciu... poczekaj na mnie w korytarzu! – Smithers wyszeptał do niej te słowa, kiedy nalewała wina do jego kryształowego kieliszka. – Musimy zamienić parę słów...

Lizzie znów zaczęła rozmyślać o ucieczce, ale z pewnością lepiej wysłuchać, co Smithers miał jej do powiedzenia. Może będzie można się z nim potargować. Lizzie opuściła więc kuchnię zaraz po następnym daniu pod jakimś pretekstem i przycupnęła przy wyjściu. Martin Smithers nie kazał długo na siebie czekać.

– Pokojowa kiciu, nawet nie wiesz, jak mi ciebie brakowało!

Mężczyzna przycisnął Lizzie do ściany i zaczął ją łapczywie całować. Sprawiał wrażenie wygłodniałego. Lizzie poczuła smak sosu do pieczeni i kwaśnego wina. Było to obrzydliwe.

– Ale tobie mnie nie brakowało, co? Pan Busby z pewnością prowadzi dom otwarty... Wielu klientów i taka miła kurewka jak ty...

Lizzie próbowała się uwolnić.

– Jestem uczciwą dziewczyną, Mr Smithers! – powiedziała. – Od kiedy opuściłam Australię, nie zrobiłam niczego, za co można by mnie potępiać. Stale pracowałam. I... i pracuję już ponad siedem lat u Busbych. Ja... odpokutowałam moją winę.

Smithers się roześmiał.

– Nie mówisz tego chyba poważnie, kotku! Odpokutowałaś winę? Może tę drobną kradzież w Londynie. Ale co się stało z tą sumą, którą zwinęłaś biednemu Parsleyowi, uwiódłszy go najpierw zgodnie ze wszystkimi zasadami swojej sztuki? Stał się obiektem kpin całej kolonii. Myślisz, że on tego nie zgłosił? Szukają cię, kiciu. I tym razem nie dostaniesz ulaskawienia. Dziewczyny takie jak ty zatrzymują w *factory* na dziesięć, piętnaście lat...

Lizzie zobaczyła przed oczami mury, pomyślała o dniach, których przebieg był zawsze taki sam. Kiedyś nie wydawało jej się to takie złe. Ale teraz była

przyzwyczajona do wolności. Do rozległego nieba nad zatokami, do ciemnych lasów z ich tajemnicami, do świąt z maoryskimi przyjaciółmi.

– Mr Smithers... proszę! – Lizzie nie wiedziała, o co właściwie prosi. Ten człowiek z pewnością nie będzie znał łaski. Ale może... może należało się z nim potargować.

– Mr Smithers, może... może mnie też pana brakowało... – Próbowała się uśmiechnąć, ale wiedziała, że wypadło to żałośnie.

Smithers znów się roześmiał.

– Ach, nie kłam, kiciu! Ależ jesteś słodka, kiedy się uśmiechasz. Ten czepeczek zasługuje na uśmiechniętą twarz... Och, mógłbym cię pozrec na surowo. – Znów zaczął ją całować.

Lizzie zniosła to bez słowa. A potem odetchnęła głęboko.

– Mr Smithers, może mnie pan mieć... tylko wtedy, jeśli mnie pan nie zdradzi!

Smithers cofnął się i zmarszczył czoło.

– Tak? – zapytał z wyraźną groźbą w głosie. – A któż może mi zakazać to zrobić?

– Ja! – odpowiedziała Lizzie spokojnie. – Jeśli nie przysięgnie mi pan na... na Boga, że mnie nie wyda, to... zacznę krzyczeć, i to zaraz!

Smithers uśmiechnął się złośliwie.

– Ale nikt ci nie uwierzy, słodziutka! Wtedy ja powiem, że to ty na mnie napadłaś!

Lizzie poczuła nagle gwałtowne pragnienie, aby zabić tego człowieka. Słyszała już legendy Maorysów o kobietach wojownikach. W dawnych czasach kobiety walczyły w bitwach u boku swoich mężczyzn, dziewczęta pokazywały jej maczugi przeznaczone specjalnie dla kobiecych rąk. Lizzie to właściwie przerażało, ale chciałyby mieć jedną taką maczugę z jadeitu i wyobraziła sobie nagle, jak uderza nią w czaszkę tego człowieka. Raz za razem, aż jego szerokiej, spoconej twarzy o złym uśmiechu nie będzie można rozpoznać.

– Sir, służę w tym domu od wielu lat – powiedziała z godnością. – I dotychczas nie napadł na mnie żaden z bywających tu dżentelmenów. A więc nikt panu nie uwierzy. Oczywiście może pan opowiedzieć o mojej ucieczce. Ale wówczas zostanę aresztowana. I spędzę noc w policyjnym areszcie. Chce się pan zakraść na posterunek i próbować przekupić oficera? Chce mnie pan tam zgwałcić, w tym małym więzieniu, gdzie ściany mają uszy? Na to jest pan zbyt wielkim tchórzem, sir! Cała Nowa Zelandia się o tym dowie!

Smithers zagryzł wargi. Nie podobało mu się to, ale musiał przyznać rację swojej ofierze. Lizzie byłaby stracona, ale w tym układzie to ona miała przewagę.

– A więc dobrze, kiciu... Jaka jest alternatywa?

Nie uśmiechał się już, ale w jego oczach aż nadto wyraźnie widać było pożądanie.

– Przyjdę do pańskiego pokoju, do hotelu. Musi mnie pan tylko przeszmurować do pokoju, ale to nie będzie trudne, budynek ma tylne wejście.

Lizzie bywała tam często przy okazji transportów wina i innych produktów



z farmy Busbych. Ale Smithers zinterpretował jej wiedzę zupełnie inaczej.

– Bywałaś tam częściej nocami, słodziutka, prawda? – spytał, teraz znowu z kumplowskim uśmiechem. – A więc dobrze! Ale oczekuję niezapomnianej nocy!

Lizzie skinęła głową. Jeśli miała w ten sposób kupić swoją wolność, to zostawi mu wolną rękę. A zgodnie z jej doświadczeniem nie będzie trudno go zadowolić, jeśli tylko ona włoży czepek.

Smithers wcześniej zakończył wieczór – był najważniejszym gościem, ale nie udało mu się przekonać dostojników z Russell o konieczności budowy drogi do Auckland. Inżynier Smithers sprawiał wrażenie rozkojarzonego i zdenerwowanego.

– Zupełnie jakby miał dzisiaj jeszcze coś do zrobienia – powiedział zdziwiony Busby do swoich przyjaciół, z którymi pił drinka w gabinecie. – Śmieszny dziwak, może lepiej będzie, jak poszukamy kogoś innego!

Dlaczego wcześniej nie przyszło jej to do głowy? Ale teraz nie było się nad tym co zastanawiać. Lizzie kończyła wszystkie swoje prace w kuchni, podczas kiedy Ruiha i inne dziewczyny poszły zadowolone do swoich rodzin z pozostałym po kolacji jedzeniem. Kucharka była wielkoduszna, a Mrs Busby prawie jej nie kontrolowała.

Lizzie przekradła się więc do swojego pokoju. Czy miała zabrać węzełek ze swoimi rzeczami? A może w ogóle lepiej byłoby uciec, kiedy już zaspokoi Smithersa? Ale dokąd? Kochała swoją pracę u Busbych! Mimo to spakowała szybko suknię i trochę bielizny na zmianę. Obiecała Smithersowi całą noc. Gdyby się przy tym upierał, musiałaby się zjawić do pracy u Busbych od razu potem.

Martin Smithers czekał już przy tylnych drzwiach hotelu, kiedy Lizzie ostrożnie zastukała. Udało mu się bez problemu przesznuć ją do pokoju, tak aby gospodyni niczego nie zauważyła. Lizzie odetchnęła z ulgą. Byłby to niesłychany wstyd, gdyby została złapana z gościem przez dystygowaną starszą damę, która prowadziła ten hotel. Smithers niemal nie dał jej czasu, aby mogła zdjąć suknię, choć najbardziej podniecające dla niego było to, że ona na koniec miała na sobie tylko fartuszek. Lizzie bała się wręcz, że zerwie z niej ubrania, i dziękowała teraz Bogu za swoje szczęście. Może rzeczywiście wszystko nie skończy się aż tak źle i jeszcze uda jej się nie zająć w ciążę! Lizzie dawno przestała obserwować swój miesięczny cykl, miała więc tylko nadzieję, że w tej chwili nie były to najbardziej niebezpieczne dni. I tak postanowiła zrobić sobie potem płukanek z octem – lepiej nie ryzykować!

Smithers oczekiwał całej nocy, ale nie żądał zbyt wiele. Lizzie czuła obrzydzenie, czując jego wilgotne pocałunki i kiedy on chciał, aby ona, ubrana tylko w czepek i fartuszek, dygała przed nim i mówiła coś w rodzaju: „Podano do stołu, sir!”. Ale zbliżenie ze Smitherssem prawie nie było bolesne, był on kochankiem raczej pozbawionym fantazji. Lizzie mimo to zrobiła, co było w jej mocy, aby ta noc była dla

niego wyjątkowa. To była jej część targu, więc starała się być tkliwa, chętna i bardziej atrakcyjna niż w Campbell Town. Nad ranem Smithers zasnął. Lizzie leżała jeszcze jakiś czas koło niego – jak na szpilkach. Chciała jak najszybciej do domu. Im szybciej zrobi płukanke, tym lepiej. I oczywiście dobrze będzie trochę się przespać przed pracą. Była śmiertelnie zmęczona. Choć nie bardzo mogła liczyć na parę chwil spokoju. Była piąta rano, kiedy wychodziła z pokoju, a o wpół do siódmej zaczynała swą pracę.

Lizzie rzuciła ostatnie spojrzenie na mężczyznę w łóżku – miała nadzieję, że nie zobaczy go już nigdy więcej. Jak na złość gospodyni była już na nogach i robiła coś w korytarzu kuchennym. Tylne wyjście było więc zablokowane, a Lizzie nie ważyła się wyjść od frontu. Czekala więc niecierpliwie, aż kobieta znikła. Musiała teraz niemal biec, aby zdążyć do pracy. Na ulicy i na kuchennym dziedzińcu Busbych było zimno, ale Lizzie mimo to nabrała wody do dzbanka, poszła z nim do swojego pokoju i umyła się tak dokładnie, jak tylko było to możliwe. Potem przyszło jej do głowy, że zapomniała o occie! Dawniej zawsze miała przy sobie buteleczkę, ale to była jej pierwsza płukanke od lat. Lizzie zastanawiała się przez chwilę, czy ma jeszcze dość czasu, aby pobiec do kuchni, zanim przyjdzie kucharka, i zdecydowała się zaryzykować. Kucharce można było coś opowiedzieć, ale ewentualnej ciąży nie mogłaby ukryć. I kiedy była już w drodze do swojego pokoju, nagle usłyszała czyjś głosy.

– O tej porze, Mr Smithers? – dobiegał z salonu zirytowany głos Jamesa Busby’ego.

– Czy pańska pilna wiadomość nie może poczekać? Wyciągnął nas pan z łóżka, *mister!*

Kiedy Busby był wyrwany ze snu, lepiej było zejść mu z drogi. Lizzie wiedziała, że w całej kolonii uchodził za choleryka, choć ona radziła sobie z nim dobrze.

– Zanim się pan wyśpi, to delikwentka może będzie już w drodze do najbliższej większej miejscowości! – tłumaczył gromko Martin Smithers.

Lizzie miała wrażenie, że wszystko w niej sztywnieje. Co za bydlak! Ona podarowała mu tę noc, ale on czym prędzej zjawił się tutaj, aby ją zdradzić, choć jego łóżko było jeszcze ciepłe.

– Nie byłem wczoraj pewien, czy to rzeczywiście ta dziewczyna, ale kiedy ona przyszła nocą do mnie do hotelu...

Lizzie poczuła mdłości. A więc tak zamierzał to przedstawić! Będzie uchodziła za dziwkę i złodziejkę, a wersja Smithersa będzie wiarygodna nawet dla jego żony! A więc koniec... Lizzie pragnęła teraz osunąć się na ziemię i rozplakać. Nawet nie zdołała obronić swej cnoty. Nie tylko ją zdradzono, lecz ona sama ponownie się sprzedała.

Ale po chwili jakoś się pozbierała. Jak na razie była jeszcze wolna! Martin Smithers ciągle mówił coś szybko do zaspanego Busby’ego. Zanim ten wszystko pojmie i zacznie cokolwiek robić, aby ją schwytać, mogła być już daleko! Gdyby tylko miała

dokąd iść... W Russell ani w Kororareka nie mogła się ukryć. Do Russell nie było daleko, ale to miasteczko było za małe, a w obozie wielorybników każda kobieta była zwierzyną łowną. Mogła się tam ukryć najwyżej jako dziwka, i to tylko do chwili, kiedy wyznaczą niewielką nagrodę za jej głowę. Pierwszy klient wydałby ją wówczas niechybnie.

Ale wtedy przypomniała sobie wieś Maorysów i nagle poczuła wielką ulgę. Dlaczego nie przyszło jej to na myśl dzień wcześniej? Jej tubylczy przyjaciele nie zdradziliby jej – oni prawdopodobnie nie byliby w stanie pojąć, dlaczego ją w ogóle ścigano. A *pakeha* nie odważą się wejść do wsi Ngati Pau.

Lizzie nie ważyła się już iść do swojego pokoju, ale kiedy wyszła z domu, spotkała po drodze idącą do pracy kucharkę. A także Ruihę i Kaewę, która była drugą pokojówką.

Wszystkie trzy z niewzruszonym spokojem właściwym ich rasie wysłuchały chaotycznej opowieści Lizzie. Lizzie nie wiedziała, czy kobiety ją rzeczywiście rozumiały, ale nie pozostawiły ani cienia wątpliwości, że w ich wsi będzie mile widziana.

– Możesz zostać tak długo, jak tylko chcesz – powiedziała spokojnie Kaewa.

– Czy mogłybyście... moje rzeczy...

Lizzie chciała prosić dziewczyny, aby zabrały spakowany przez nią węzełek, ale tu zawiodły ją umiejętności językowe. Poza tym była zdenerwowana i śmiertelnie wyczerpana. Próbowwała powiedzieć na migi, o co jej chodziło. Spakowany wieczorem węzełek musiał jeszcze leżeć w jej pokoju.

Ruiha jak zwykle spokojnie i łagodnie skinęła głową w odpowiedzi.

– A jeśli się nie da, to dostaniesz suknię ode mnie – powiedziała przyjaźnie.

Lizzie doceniła jej ofertę. Maoryskie dziewczęta kochały zachodnie ubrania i zwykle nie posiadały ich zbyt wiele.

W *marae* szczepu wodza Kuti Haoka mimo wczesnej godziny panował ożywiony ruch – kobiety piekły placki z mąki na otwartym ogniu i przygotowywały piec *hangi*. Piec te, które były wykopanymi w gorącej wulkanicznej ziemi jamami, musiały być przygotowane najpóźniej do południa, jeśli mięso miało być uduszone na wieczór. Obok bawiły się dzieci, a mężczyźni zajmowali się bydłem – ostatnio szczep miał sporo owiec. Lizzie powitano spokojnie. Nikt nie pytał, co ją tu sprowadza w dzień roboczy i o tej porze, ale oczywiście kobiety dostrzegły jej zdenerwowanie i strach.

– Jesteś chora? – spytała matka Ruihy. – Idź do Tepory, ona teraz rozmawia z duchami, ale potem z pewnością będzie miała czas dla ciebie.

Tepora była we wsi akuszerką – uchodziła za znawczynię sztuki leczenia i chyba służyła bogom jako kapłanka. Lizzie tak dokładnie nie wiedziała, jakie zadania stoją przed *tohunga*, jak nazywano takie kobiety. Ale znała Teporę – wiedziała, że zawsze

jest gotowa do pomocy i że jest pełna wewnętrznego spokoju. Także teraz Tepora przyjęła dziewczynę bez wielkich słów, usmażyła dla niej chleb na ogniu i zagrzała wodę z ziołami. Lizzie poczuła się lepiej, kiedy jadła i piła. A potem zaczęła opowiadać: o Londynie, o Australii, a w końcu o ostatniej strasznej nocy.

Tepora łagodnie głaskała ją po ręce.

– Wiedziałam, że cierpisz z powodu twojego wczoraj – powiedziała przyjaźnie. – To wszystko wpływa na twoje życie dzisiaj, ale nie możesz pozwolić, aby nad tobą panowało.

– Czy to znaczy, że to moja wina? – obruszyła się Lizzie. – Przecież wcale nie tęskniłam za tym Smithersem!

Tepora potrząsnęła głową.

– Nie rozumiesz, dziecko. Nie widzisz różnicy między *taku* i *toku*. *Taku* mówi, jak ważna jesteś ty sama dla swojej historii. A *toku* mówi, jak ważna jest twoja historia dla ciebie. Nie jesteś ważna dla Londynu czy Australii. A ten mężczyzna nie jest ważny dla ciebie.

– Tylko że z jego powodu uciekam – stwierdziła Lizzie gorzko. – Z życia, które mi się tak podobało.

– Może biegniesz od celu, który czekał na ciebie w przeszłości – powiedziała Tepora cicho. – Wszystkie czasy są jednością, Lizzie, i tylko ty masz na to wpływ.

Lizzie westchnęła. Nigdy do końca nie rozumiała Tepory – nawet jeśli nie było jej obce znaczenie wszystkich słów. Ale teraz pojęła, że stara kobieta najwyraźniej nie mogła jej pomóc. A może jednak?

– Znasz może jakieś zioła, które zapobiegają temu, żebym miała dziecko? – spytała pełna nadziei.

Tepora wzruszyła ramionami.

– To nie całkiem pewne, ale trochę tak – odpowiedziała. – Poczekaj, coś ci przyniosę. To wywoła twoje krwawienie.

Lizzie czekała cierpliwie przed domem Mądrej Kobiety. Nie wolno jej było wejść do środka, wewnątrz także należało do licznych *tapu* szczepu. Tepora pojawiła się wkrótce z kubkiem i Lizzie wypila gorzki wywar. Przynajmniej to niebezpieczeństwo wydawało się zażegnane. A potem, kiedy już zegnała się z Mądrą Kobieta, dostrzegła kogoś, kto być może mógłby jej pomóc i z całą pewnością stał mocno obiema nogami w terażniejszości.

Kahu Heke spacerował po wsi. Młody wojownik uśmiechnął się do Lizzie, kiedy do niego podeszła, i gdyby nie przerażające tatuaże na jego twarzy, wydałby się jej sympatyczny.

– Jesteś, Elizabeth! – powiedział radośnie. Zawsze nazywał Lizzie pełnym imieniem, przy czym to słowo w ustach Maorysa brzmiało trochę dziwnie. – Mam cię poszukać, bo wódz chce z tobą pomówić. Kobiety mówią, że uciekłeś od *pakeha*. –

Kahu się rozpromienił, a niebieskie kreski na jego policzkach wydawały się tańczyć.

– Słusznie! Może zrozumiesz teraz, dlaczego ja ich nie lubię!

Kahu czasami trącał Lizzie porozumiewawczo, kiedy ona broniła Busbych przed jego oskarżeniami. Teraz wzruszyła ramionami.

– Chodziło o coś zupełnie innego – odpowiedziała niejasno.

Kahu uniósł do góry jedną brew.

– O ile zrozumiałem kobiety, sprzedano cię pewnemu staremu rozpuszalnemu.

Lizzie znów poczuła uderzenie krwi do twarzy. Trudno było wyrazić w obcym języku, co naprawdę jej się przytrafiło. Ale Kahu mówił płynnie po angielsku, jak większość młodych Maorysów. Cieszyła się, że towarzyszył jej do domu wodza – wszystko jedno, czy jako obrońca, jako tłumacz, czy też po prostu z ciekawości.

Kuti Haoka przyjął Lizzie przed *wharenui*, domem zebrań wsi. Tego dnia nie padało, dlatego oszczędził sobie rozlicznych ceremonii, które zgodnie ze zwyczajami Maorysów były konieczne, aby zaprosić gościa do środka. Ale już kulisy powitania wystarczyły, aby poczuć respekt. Kuti Haoka, stary, roztropny wojownik, stał w tradycyjnym stroju przed ozdobionym niesłychaną ilością płaskorzeźb *wharenui*. Przed zimnem chronił go gruby, duży pled, co w zestawieniu z plemiennymi tatuażami na twarzy powodowało, że trochę przypominał ogromnego drapieżnego ptaka. Za jego plecami w oddali zza horyzontu wyłaniały się góry i mimo deszczu poprzedniego dnia powietrze było przejrzyste i krystalicznie czyste.

Lizzie, Kahu i inni słuchacze ze wsi zatrzymali się w odpowiedniej odległości, chcąc w ten sposób okazać szacunek. Także wódz szczepu był *tapu*. Nie wolno go było dotknąć, nawet przygotowanie i spożywanie przez niego posiłków odbywało się ściśle według surowych zasad.

– Jesteś tutaj, *pakeha wahine*, aby prosić nas o pomoc?

Lizzie przełknęła ślinę, słysząc głęboki i niski głos. Wódz po raz pierwszy skierował swoje słowa do niej. Zaczęła opowiadać chaotycznie, nerwowo, ale Kuti Haoka niecierpliwym gestem nakazał jej milczenie i w kilku słowach wezwał Kahu, aby ten przetłumaczył.

– Mów po prostu po angielsku – zachęcił ją dawny uczeń szkoły misyjnej. – Tak będzie łatwiej. Wódz docenia to, że mówisz w naszym języku, ale widzi, że dziś bogowie złożyli na twoje ramiona zbyt wielki ciężar. Ja będę mu tłumaczył.

Lizzie patrzyła na niego, nie rozumiejąc. Kahu westchnął.

– On wie, że dziś słowa z trudem przechodzą ci przez gardło – wyjaśnił krótko.

Lizzie się uśmiechnęła. A potem zaczęła opowiadać po angielsku swoją historię.

Wódz wysłuchał wszystkiego w spokoju.

– Wysłano cię za karę tak daleko od twojego szczepu, na wyspę pod obcymi gwiazdami? – spytał z niedowierzaniem. – Dlatego, że chciałaś nakarmić dzieci

i wzięłaś kilka placków z ognia twojego sąsiada?

– Tak mniej więcej – odpowiedziała Lizzie. Tłumaczenie Kahu wydało jej się dość swobodne. – Tylko że ja nie mam prawdziwego szczepu.

– A potem posiadł cię mężczyzna, którego nie chciałaś, a inne kobiety nie interweniowały?

Lizzie przytaknęła.

– Każda kobieta by uciekła! – poparł ją Kahu.

Wódz skinął głową i rozmyślał długo, jakiej odpowiedzi ma udzielić Lizzie.

– Chciałbym ci pomóc, *pakeha wahine*, ale nie chcę mieć kłopotów – oświadczył w końcu; tak mniej więcej Kahu przetłumaczył jego bardzo kwiecistą wypowiedź. – Ostatnimi czasy jest bardzo dużo złej krwi między Maorysami i *pakeha*, a także sporów między szczepami. Nie bardzo więc mogę cię odesłać do innego szczepu. Może do Waikato, bo spośród nich pochodzi nasz król. Mogłabyś... jak oni to nazywają, Kahu? Poprosić o azyl?

Jakiś czas temu, za namową kilku wpływowych mężczyzn, jak Hongi Hika i Wiremu Tamihana, spośród kilku maoryskich wodzów wybrano króla. Wszyscy mieli nadzieję, że łatwiej będzie pertraktować z białymi, jeśli angielskiej *queen* przeciwstawi się maoryskiego *kingi*. Ale niełatwo było znaleźć ochotników gotowych do objęcia urzędu *kingi*, a po jego wyborze królowa Wiktoria zupełnie ignorowała króla Potatau I z Aotearoa.

Kahu Heke potrząsnął głową. Jego oczy błysnęły właśnie tak, jak gdyby planował spłatać jakiegoś figla *pakeha*.

– Potatau w ogóle nie będzie w stanie pojąć, o co chodzi, wuju! – zwrócił uwagę wodzowi. – A poza tym on nie ma żadnego wpływu na cokolwiek. Z tego będą tylko kłopoty. Ale... ale jeśli dasz mi duże kanu, kanu wodza, to ja zawiozę ją do Ngai Tahu!

– Do kogo? – spytała Lizzie. O takim szczepie jeszcze nie słyszała.

– Na Wyspę Południową – wyjaśnił Kahu szybko i cicho, aby nie przeszkadzać wodzowi w rozmyślaniach na temat planów jego śmiałej przygody. – Tam cię nigdy nie znajdą.

– Ale... ale Wyspa Południowa jest daleko... Ja stamtąd przybyłam. W drodze tutaj musieliśmy jechać przez cały kraj. – Lizzie poczuła zawrót głowy, kiedy przypomniała sobie długą podróż z Jamesem Busbym. – Nigdy nie będziemy w stanie zrobić tego tak, żeby oni mnie nie znaleźli.

Ale Kahu nakazał jej milczenie.

– To jak, wuju? Jeśli zapewnimy tej *wahine* bezpieczeństwo, przyczyni się to do wzrostu mojego i twojego *mana*. Będą o nas mówić we wszystkich szczepach.

Zdobyte przez wojownika wpływy i poważanie Maorysi nazywali *mana*.

Wódz popatrzył surowo na siostrzeńca.

– Mężczyzn przy ognisku będzie bawić taka historia, Kahu. Ale czy od tego urośnie

*mana*, które przyznają ci duchy? Czy walka, którą tu prowadzimy o Aotearoa, nie jest zbyt poważna i święta, aby o jej losach decydowała uprowadzona dziewczyna i przewrócone maszty z flagami?

Kahu wzruszył ramionami.

– To zależy od ducha – wyrwało mu się po angielsku. – Wódz Hone Heke tam daleko, na Hawaiki, będzie się bić z radości po udach.

Przodek Kahu Heke zmarł kilka lat wcześniej i zgodnie z wierzeniami Maorysów jego dwór znajdował się na legendarnej wyspie Hawaiki.

Kahu mrugnął do Lizzie. Opanował się jednak i sformułował wszystko w swoim języku bardziej elegancko.

Ale na wodzu nie zrobiło to żadnego wrażenia.

– Czy dopuściłeś się jakiegoś nagannego czynu, Kahu? Chcesz wyjechać? Czy zobaczymy jeszcze to kanu? Dlaczego ryzykujesz podróż, która może cię kosztować życie?

Kahu położył rękę na sercu.

– Wuju, co ty sobie myślisz? To oczywiste, że kanu wróci tutaj! I jestem dobrym żeglarzem, ceną tej podróży nie będzie moje życie. A dlaczego to robię? A dlaczego Kupe wykradł Kure-maro-tini?

Lizzie nie zrozumiała ostatnich słów, zobaczyła jednak, że wódz się uśmiecha.

– A więc droga będzie nas wiodła na nowe wyspy, z błogosławieństwem bogów – powiedział. – Ale przecież Kupe wrócił, jak wiadomo.

Lizzie się wydawało, że wódz patrzy na nią taksującym wzrokiem.

– Co mu powiedziałaś? – wyszeptła do Kahu. – Dlaczego chcesz mnie wywieźć?

Młody Maorys popatrzył na nią z udawaną naiwnością.

– Bo mamy wspólnych wrogów – wyjaśnił. – A nie ma lepszego przyjaciela niż wróg twojego wroga.

Lizzie zmarszczyła czoło. Właściwie nie były to słowa, których nie знаła w języku Kahu. Jakąś ich część powinna była zrozumieć. Ale może były to znów aluzje, których tak lubili używać Maorysi i robili to nader często. Lizzie często sądziła, że życia nie starczy, aby wysłuchać opowieści i legend o Aotearoa oraz dawnych bohaterach i zrozumieć ich zawiły sens.

Kuti Haoka podjął wreszcie decyzję.

– Dobrze – oświadczył i zwrócił się podniesionym głosem do zebranych członków szczepu, mówiąc: – Kahu Heke, syn wodza szczepu Ngati Pau, wypłyne dużym kanu. Będzie żeglował z błogosławieństwem bogów! Tangaroa będzie mu towarzyszył w podróży. Przygotujemy teraz łódź. A ty – wódz zwrócił się do Lizzie – do jutra będziesz tu bezpieczna. Ale jeśli chcesz leżeć nocą obok mojego siostrzeńca, to zrób to w domu zebrzań. Znam zwyczaj *pakeha*. I nie powinnaś splamić swojego honoru z mężczyzną mojej krwi.

Po tych słowach wódz się odwrócił.

Lizzie podbiegła do Kahu.

– Co on miał na myśli? Mamy się pobrać? A to dlaczego?

Wspólny nocleg w *whareniui* szczepu był równoznaczny z zawarciem związku małżeńskiego. Kobiety i mężczyźni, którzy chcieli się tylko ze sobą zabawić, ukradkiem wymykali się na dwór. Ale w przekonaniach Maorysów nie naruszało to czci kobiet...

– Wódz coś źle zrozumiał – odpowiedział natychmiast Kahu. – Nie martw się. Nic ci nie zrobię, ani dziś w nocy, ani w czasie podróży.

Lizzie z ulgą zmieniła temat. I tak było wiele spraw, które niepokoiły ją o wiele bardziej.

– Jak w ogóle wyobrażasz sobie taką podróż? – spytała i przypomniała sobie zwariowany pomysł Michaela i Connora, aby uciec małym żaglowcem z Australii do Nowej Zelandii. – Chcesz żeglować? Czy też wiosłować? Zupełnie sam? Wiesz, jak to daleko? Przecież musimy opłynąć całą wyspę! To bardzo wiele mil, a jest zima.

Lizzie sobie przypomniała, że Anglia nie wysyłała przed wiosną transportów z więźniami na morze. Zimą morze uchodziło za bardzo niespokojne i dotyczyło to z pewnością także Morza Tasmana.

Kahu popatrzył na nią surowo.

– To chcesz uciec od tego starego typu, który cię szuka, czy nie? – spytał niemal ze złością. Najwyraźniej liczył na słowa wdzięczności, a nie na dociekliwe pytania. – Nie mów mi, że to daleko! Zapomniałaś chyba, że my już opłynęliśmy te wyspy w swoim czasie, i to dziesięć pokoleń przed narodzinami waszego Tasmana! Opływaliśmy je zimą, wiosną i jesienią. A teraz wybac. Muszę objąć w posiadanie kanu wodza.



## ROZDZIAŁ 7

Spuszczenie na wodę kanu wodza wydawało się sprawą mocno skomplikowaną, mającą wymiar wysoce duchowy. Mężczyźni ze szczepu przez resztę dnia przebywali na plaży, śpiewali, tańczyli i błogosławili łódź.

Lizzie niewiele z tego słyszała, bo wszystkie prace związane z łodzią i przygotowaniem jej do podróży nie należały chyba do zadań kobiet. W każdym razie dziewczęta i kobiety wołały się zająć przygotowaniami do wystawnej kolacji. Lizzie pomagała w krojeniu, przyprawianiu i duszeniu warzyw, ryb i wieprzowiny. Najwyraźniej planowano uroczystość pożegnalną. Wszyscy byli w doskonałych nastrojach, młodsze dziewczęta już po południu włożyły tradycyjne stroje, zakładane w czasie tańców: spódnice z twardych włókien lnu i ręcznie tkane górne części. Na ramiona zarzuciły pledy chroniące przed zimnem. Zrobiło się ciemno, a mężczyźni ciągle jeszcze świętowali na plaży, kobiety zaś powitały Ruihę i Kaewę oraz kucharkę Busbych. Lizzie wprost płonęła ciekawością i koniecznie chciała się dowiedzieć, co się działo w domu councillora. Ucieszyła się, kiedy Ruiha pomachała trzymanym w rękę zawiniątkiem z jej ubraniami. Na szczęście znalazła je i zabrała, zanim zauważono, że Lizzie zniknęła.

– Trochę potrwało, zanim *mister* i *missus* zrozumieli wszystko, co Smithers powiedział o tobie – opowiadała Kaewa.

– I co? Uwierzyli mu?

Lizzie zadała to pytanie, mimo że odpowiedź była właściwie jasna. Ale choć przez ułamek sekundy mogła mieć nadzieję, że Busby'owie potrafili docenić jej lojalność i długoletnią pracę dla ich rodziny. Może James Busby nawet wyrzucił z domu Smithersa. Albo wysłał list z prośbą o jej ułaskawienie na Ziemię van Diemena. Tyle lat pracy u rodziny takiej jak Busby'owie znaczyło przecież więcej niż ucieczka. Ale Ruiha przytaknęła.

– Tak, na koniec mu uwierzyli. Zwłaszcza że ciebie już nie było. Może gdybyś została...

– A gdzie tam! – To był Kahu Heke, który właśnie wrócił znad morza. Wraz z nim zjawili się też pozostali mężczyźni, mocno wygłodniali i zmęczeni po długich tańcach i śpiewach na cześć bogów morza. – Tylko niech ci nie przychodzi do głowy, aby wracać, Elizabeth! Biali każdemu przypisują wszystko, co najgorsze, także swoim.

Kaewa skinęła głową, dodając:

– *Missus* powiedziała, że ostatnio i tak wydawałaś jej się podejrzana. Byłaś ciągle

tu, we wsi, i właściwie od razu ci nie ufała.

Lizzie przelknęła łzy. Nie miało sensu oplakiwanie urażonej dumy. Ostatecznie już kilka razy zauważyła, że bogobojne życie widać nie było jej pisane.

– Masz, zjedz coś lepiej – poradził Kahu, podsuwając jej miskę z mięsem i słodkimi ziemniakami. – I wypij łyk. – Podał jej butelkę whiskey. – Zapomnij o Busbych! Jutro będziemy na morzu!

Następnego dnia rano Kahu załadował do kanu zapasy jedzenia i wody. Lizzie pomagała mu gorliwie. Poczula się wyraźnie lepiej, kiedy zobaczyła łódź. Dotychczas wyobrażała sobie, że kanu to rodzaj małej łodzi wiosłowej. Ale teraz miała przed sobą „Hauwhenua”, piękne, ozdobione licznymi płaskorzeźbami kanu z pływakami z boku. Była to duma szczepu i wodza Kuti Haoka. Tylko kształt łodzi przypominał małe łódki, którymi dzieci Busbych pływały po zatoce. Na tej łodzi było miejsce dla przynajmniej dwudziestu wiosłarzy lub pasażerów. Z reguły łódź tego rodzaju napędzana była jednak siłą wiatru dmącego w żagle, a nie siłą mięśni wiosłarzy. Umieszczony z boku na wysięgniku pływak miał za zadanie uniemożliwić przewrócenie się łodzi.

Kahu wyjaśnił Lizzie, że pozornie bardzo osobliwa forma żagla także zapewniała łodzi bezpieczeństwo. Żagiel nie miał formy czworokątnej, lecz owalną i był przymocowany do dwóch znajdujących się na dole wysięgników.

– Dzięki temu łódź jest szybsza – powiedział Kahu. – A poza tym lepiej siedzi na wodzie, kiedy wieje wiatr. To bardzo ważny wynalazek, tylko *pakeha* dotychczas na to nie wpadli! – Kahu uśmiechnął się krzepiąco, a Lizzie wrzuciła swoje zawiniątko do wnętrza łodzi. – Naprawdę nie potrzebujesz się obawiać, *pakeha wahine!* – dodał łagodnie. – Przykro mi, że byłem wczoraj taki szorstki, ale dla mnie nie było jasne, że obawiasz się tej podróży.

Lizzie skinęła głową. Rozmyślała długo o słowach, które poprzedniego dnia Kahu skierował do swego wuja. Kupe był pierwszym przybyszem z Polinezji, któremu udało się dotrzeć do Nowej Zelandii, a Kura-marō-tini była jego żoną. Kahu zapewne porównał ich oboje do siebie i Lizzie, a wódz przypuszczał, że Kahu liczył na coś w rodzaju miłosnej zapłaty za morską podróż na Wyspę Południową. I to przypuszczenie oburzyło Kahu. Lizzie natomiast zrozumiała, że Kahu nie chciał od razu się z nią zenić. Lizzie w zasadzie była gotowa oddać mu się w ramach zapłaty za ratunek. Z doświadczenia wiedziała, że mężczyźni zwykle upierali się przy tej formie zapłaty, i jeśli nawet twarz Kahu była dla niej odstręczająca, to jego ciało było muskularne i silne. Bez wątplenia byłoby przyjemniej spać z nim niż z Martinem Smithersem.

– Co to znaczy *hauwhenua*? – spytała, chcąc odwrócić jego uwagę od tego tematu.

Kahu się uśmiechnął.

– Wiatr, który wieje od lądu – wyjaśnił. – To kanu ma nas zanieść jak najdalej od

wybrzeża.

I wreszcie nastąpił moment, kiedy cała wieś odprowadziła podróżnych nad wodę. Przed wszystkimi kroczył dostojnie wódz, jego przez nikogo nietknięte córki i kilku kapłanów. Wypłynięciu *waka ama* także towarzyszyły śpiewy i błogosławieństwa. Kahu elegancko pomógł Lizzie wsiąść do łodzi. Dziewczęta uśmiechały się z rozbawieniem. Stały przecież na plaży Aotearoa otoczone kilkoma półnagimi, śpiewającymi tubylcami, a Kahu zachowywał się jak uprzejmy dżentelmen, który w Hyde Parku zaprasza swoją ukochaną na przejażdżkę łodzią. Sposób bycia Kahu był właściwie mieszanką szczepowych obyczajów i angielskiego wychowania, które zawdzięczał swoim europejskim nauczycielom. Lizzie zastanawiała się, co przeważa.

Kahu skierował „Hauwhenua” najpierw w stronę Wyspy Południowej. Jego zdaniem lepiej było opłynąć Wyspę Północną od strony zachodniej przez Morze Tasmana. Lizzie niemal wpadła w panikę, kiedy łódź zniknął jej przed oczu, ale jej maoryski towarzysz roześmiał się tylko. Choć właściwie zabrzmiało to trochę gorzko.

– Tak naprawdę nie ufasz mi, Elizabeth, prawda? Czy to dlatego, że nie jestem białym? A może dlatego, że uważasz mnie za głupiego włóczęgę?

Lizzie poprawiła chustkę, którą zawiązała sobie na włosach. Na morzu było przenikliwie zimno. A potem spróbowała się uśmiechnąć.

– Ja... To tylko, bo... bo statek jest taki mały. A ty... nie jesteś marynarzem.

Kahu roześmiał się głośno.

– Ja się urodziłem marynarzem, Elizabeth, jak wszyscy mężczyźni z maoryskich szczepów. Czy nigdy nie widziałaś maoryskich dzieci pływających w małych łódkach po zatokach? Ale może będę cię mógł uspokoić w inny sposób. Płynąłem na angielskim trójmasztowcu z Tamaki Makau Rau do Londynu.

– Ty byłeś w Londynie? – Lizzie wyprostowała się zdumiona. Z trudem mogła w to uwierzyć. Tamaki Makau Rau było maoryską nazwą miasta Auckland.

Kahu skinął głową.

– O tak, chciałem zobaczyć to miasto. Dlatego zaciągnąłem się na angielski statek. Przecież trzeba znać wroga, jeśli chce się z nim skutecznie walczyć. A ja chciałem się dowiedzieć, co zamierzają *pakeha*. Co zrobią z naszego kraju, jeśli im na to pozwolimy. I od razu ci powiem, że mi się to nie spodobało.

Lizzie wzruszyła ramionami.

– No tak, Londyn. Nie jest to złe miasto, ale dzielnica portowa...

– To jest istna kloaka, Elizabeth! – wyrwało się Kahu. – Wiesz to przecież sama. Oczywiście są tam też piękne, wielkie domy i wielu bogatych ludzi. Ale wasz szczep nie trzyma się razem. Społeczeństwo jest w stanie rozkładu. W tych najgorszych dzielnicach widziałem dzieci, których jedynym wyborem jest kraść albo umrzeć

z głodu. Mogę sobie wyobrazić, jak wyglądał twój wczorajszy dzień, Elizabeth.

Lizzie się zaczerwieniła.

– Czy ty...?

– Czy ja kupiłem sobie dziewczynę *pakeha* na jedną noc? – Kahu potrząsnął głową.

– Nie. Ale nie dlatego, że jestem takim dobrym człowiekiem, przykro mi, że muszę cię rozczarować. Poszedłem do miasta z innymi marynarzami. Tylko że mnie dziewczyny nie chciały. – Pokazał na swoje tatuaże.

Lizzie uśmiechnęła się dzielnie.

– Mnie... one nie przeszkadzają – oświadczyła. – Jeśli więc chciałbyś...

Kahu ze świstem wydmuchnął powietrze z płuc.

– Sądziś więc, że dlatego miałbym to zrobić?

Lizzie wzruszyła ramionami.

– To nie jest tak – odpowiedział, nie patrząc na Lizzie. – To coś zupełnie innego. Jeśli miałbym się położyć obok ciebie, Elizabeth, to tylko w domu zebranych na oczach starszych plemienia. Nie chcę być częścią twojego wczoraj, lecz częścią twojego jutra. I chcę być dla ciebie *toku*, a nie *taku*.

Nieśmiały uśmiech Lizzie był tym razem szczery.

– Czy to jest... miłosna deklaracja? – spytała ostrożnie. – A co z... wrogością między Maorysami a *pakeha*? Z... z wojną, o której sądzisz, że wkrótce nastąpi?

Kahu ciągle wpatrywał się w morze.

– Każda wojna kiedyś się kończy, prędzej czy później. A jeśli chcesz wiedzieć, nie sądzę, że będziemy w stanie wyrzucić *pakeha* z naszego kraju. Kiedyś będziemy musieli te ziemie podzielić. Musimy zacząć darzyć się wzajemnie szacunkiem, ale niestety wielu z was rozumie tylko mowę broni. Ale nie ty, Elizabeth Portland. Ty i ja, my moglibyśmy zbudować coś nowego.

Lizzie westchnęła.

– W ogóle mnie przecież nie znasz – powiedziała cicho. – Nawet Portland nie jest moim prawdziwym nazwiskiem.

Kahu próbował z boku zajrzeć jej w oczy. Maoryski wojownik sprawiał wrażenie dziwnie zakłopotanego. Ale za chwilę się uśmiechnął.

– Ale za to znam nazwę kanu, którym przybyłaś do Aotearoa.

Lizzie zapragnęła móc go pocałować, ale nie czuła nic oprócz jakiejś nieokreślonej formy wzruszenia. Kahu odetchnął głęboko i poprawił żagiel.

– Czy nocami będziemy schodzili na ląd? – spytała Lizzie.

Kahu potrząsnął głową.

– Nie. Najpierw będziemy płynąć blisko wybrzeża, ale później nieco się oddalimy, a wówczas nawigacja nocą jest prostsza, o ile bogowie pozwolą świecić gwiazdom. Tylko od czasu do czasu będziemy przybijać do lądu, żeby uzupełnić zapasy wody i żywności. Ale naprawdę nie musisz się obawiać. W tej podróży nie zamierzamy

dokonywać żadnych odkryć, Elizabeth. Opłyniemy kraj, który od stuleci należy do mojego ludu, mimo że twój lud wyciąga po niego rękę. Możesz spokojnie położyć się spać. A jutro pokażę ci, skąd przybyliśmy! Skierujemy nasz wzrok w kierunku Hawaiki!

Lizzie ku swemu zdziwieniu bardzo dobrze spała w kołyszącym kanu – zawinięta w kilka koców w ogóle nie odczuwała przenikliwego chłodu zimowej nocy. Fale kołysały o wiele łagodniej niż na wielkich statkach białych, powietrze było świeże, a zmęczenie też zrobiło swoje. Obudziła się wypoczęta, nie czując już żadnych obaw. Ani morze nie wydawało się mieć czegoś przeciwko niej, ani też Kahu jej nie dotknął. Lizzie zamierzała właśnie zacząć szykować śniadanie dla nich obojga, kiedy Kahu zawołał ją do siebie i wyciągnął rękę w kierunku wybrzeża. Można było stąd rozpoznać imponujące klify, opadające stromo do morza. Skały nie były niczym porośnięte, tylko gdzieś tam można było dostrzec mizerne drzewko kauri uczone skaleńca, na który wiatr naniósł kilka okruchów ziemi.

– Popatrz, to Cape Reinga, najbardziej na północ wysunięty skrawek wybrzeża Te Ika-a-Maui i oczywiście całej Aotearoa. To stąd dusze zmarłych Maorysów wędrują z powrotem na Hawaiki, wyspę, z której przybyły tu pierwsze kanu.

Kahu wskazał na morze. Można było dostrzec zarysy maleńkiej wysepki, ale dalej był już tylko ocean – nikt nie wiedział, gdzie naprawdę znajdowała się Hawaiki. Przodkowie Kahu musieli pokonać niewyobrażalnie duże odległości.

Lizzie zadygotała.

– Hawaiki znajdowała się więc na północy? – spytała. – I było tam zimniej niż tutaj? Kahu, śmiejąc się, wziął suszoną rybę i chleb, który mu podała.

– Elizabeth, *wahine!* Jak długo jesteś już po tej stronie kuli ziemskiej? Siedem lat, czy może dłużej? I w tym czasie ciągle jeszcze nie zrozumiałaś, że tu jest inaczej niż w Anglii? Na Hawaiki było cieplej niż na Aotearoa. Dlatego nasi przodkowie nie mogli tutaj zasadzić wielu przywiezionych ze sobą roślin. Właściwie przyjęła się tylko *kumara*, czyli słodkie ziemniaki. Wy, *pakeha*, macie na tym polu więcej sukcesów, bo wasz klimat jest podobny do naszego. Wasze rośliny przyjmują się tutaj i rosną, zwierzęta też się rozmnażają. Wy zostawicie na tej ziemi o wiele więcej śladów niż my, możecie o wiele więcej działać. Ale to nie jest powód, aby przywłaszczać sobie ten kraj, uczciwie za to nie płacąc.

Lizzie przytaknęła w zamyśleniu, ale nie chciała się koncentrować na sporach między Maorysami a *pakeha*. Rozległe plaże i wysokie klify, wzdłuż których płynęli, były zbyt piękne, podobnie jak pierwotny, dziki krajobraz gór, pośród którego co jakiś czas pojawiały się białe plaże i zielone wzgórza. Pod wieczór ląd zniknął z pola widzenia i oprócz bezmiaru wody nie było nic widać przez kolejnych kilka dni. Lizzie znów poczuła niepokój.

A potem pogoda znacznie się pogorszyła. Po dwóch dniach trafili w sam środek przerażającego sztormu. Wprawdzie „Hauwhenua” właściwie nie mogła się wyrwać, ale nie dało się na niej znaleźć schronienia przed kaprysmi pogody. Fale zalewały łódź, Kahu zajęty był żaglem, a Lizzie bez przerwy wylewała wodę za burtę. Szybko przemokła do nitki, marzła i dygotała na całym ciele.

– Ale za to szybko pędzimy! – wołał wyraźnie rozbawiony Kahu, wcale nie zwracając uwagi na szalejące nocą błyskawice i grzmoty.

Gnana wiatrem łódź rzeczywiście pokonywała milę za milą, a nocna podróż po ogromnych falach raczej sprawiała przyjemność żeglarzowi.

Lizzie była tak wystraszona, że czuła jedynie potrzebę modlitwy. I zastanawiała się całkiem poważnie, czy ma się zwrócić od Jezusa Chrystusa, czy też lepiej do Tangaroa, maoryskiego boga morza.

Kahu zatrząśł się ze śmiechu, kiedy spytała, do kogo powinna się modlić.

– Może wyda ci się to śmieszne, ale ja nie chcę drażnić Boga – powiedziała gniewnie. – A już zwłaszcza przy takim sztormie! Jak się teraz zdenerwuje...

Potężny Maorys popatrzył tkliwie na drobną dziewczynę, która teraz wyglądała trochę jak mokry, przestraszony kot. Lizzie w ogóle nie wiedziała, jak bardzo była podobna do dziewcząt z jego ludu! Kahu w każdym razie nigdy nie spotkał białej kobiety, która podchodziłaby tak praktycznie do spraw religii. Większość *pakeha* zawsze wydawała mu się raczej bigoteryjna.

– A przy dobrej pogodzie zaryzykowałabyś to? – droczył się z nią, przekrzykując wiatr. – Módl się, do kogo chcesz, Elizabeth, ale i tak nic ci nie zagraża. Wiatr wkrótce się uspokoi. My, Maorysi, uczymy się, że Tane jest odpowiedzialny za las, Tangaroa za morze, Papa za ziemię. W szkole misyjnej śpiewaliśmy za to pieśni o Chrystusie jako o pasterzu, o żeglarzu i jako ogrodniku w winnicy Pana...

– W winnicy? – spytała Lizzie zaciekawiona. W swoich studiach Biblii jakoś nie natknęła się na taki fragment, lecz to właśnie ją zainteresowało. Ale Kahu nie dał się odwieść od dalszych rozważań teologicznych.

– Czasami – wywodził – zastanawiałem się, czy dla niego nie było to za dużo.

Lizzie roześmiała się niemal wbrew swojej woli.

– Patrz, tam widać gwiazdę! – zawołała i pokazała fragment nieba, gdzie właśnie zaczęły się rozrywać pierwsze chmury.

Kahu spokojnie skinął głową.

– No widzisz, pogoda się poprawia. A za to możesz podziękować Rangi, to bóg nieba!

Kiedy po nocy wreszcie się rozjaśniło, Kahu skierował łódź w stronę lądu. Należało koniecznie uzupełnić zapasy i się wysuszyć.

– To teren szczepu Ngati Maniapoto – wyjaśnił Maorys, wyciągając łódź na plażę. – Właściwie są nastawieni bardzo wojowniczo, ale od kiedy z ich szczepu wyłoniono

naszego króla, zachowują się dyplomatycznie. W każdym razie zaraz rozpalimy ognisko i będziesz mogła się ogrzać. A ja się rozejrzę za wodą...

Okolica z pewnością obfitowała w wodę. Plażę otaczały zielone wzgórza i gęste lasy, nad którymi wznosiły się wysokie, strome skały przypominające olbrzymy. Lizzie poczuła niepokój, kiedy Kahu rzeczywiście zostawił ją samą, ale wykorzystała okazję, aby zdjąć całkowicie przemoczone rzeczy i owinać się w wilgotny pled, zupełnie jak maoryska kobieta. Ten egzotyczny strój, o dziwo, sprawił, że poczuła się nieco pewniej – w końcu Ruiha i Kaewa pośród przyrody swojego kraju też by się niczego nie obawiały.

Kahu uśmiechnął się tkliwie, kiedy wrócił i zobaczył Lizzie siedzącą przy ogniu. Rozpuściła włosy, które były teraz mocno potargane i sztywne od słonej morskiej wody, ale zdążyły już wyschnąć. Jej szczupłe ciało okrywał pled, który w pasie zawiązany był paskiem. Dziewczyna piekła właśnie w ognisku ryby na długim kiju i słodkie ziemniaki w żarze. Nie była to już *pakeha wahine*, lecz prawdziwa maoryska dziewczyna. Kahu nagle zapragnął wziąć ją w ramiona. Zauważył, że zbudowała ze zdrewniałych paproci coś w rodzaju rusztowania, na którym teraz suszyły się ich ubrania.

Kahu przyniósł w naczyniach słodką wodę i ptaka, którego upolował. Tego dnia czekała ich więc uczta. Wojownik oskubał ptaka, natarł mięso morską solą i położył je na prowizorycznym grillu Lizzie.

– Jak ty go zastrzełeś? – spytała Lizzie zdziwiona. Kahu wyszedł bez broni i miał ze sobą tylko mały nóż. – A w ogóle, co to jest za zwierzę? Te pióra wyglądają bardziej jak sierść.

Kahu przytaknął.

– Tak, na pierwszy rzut oka. I nie zastrzełem go, tylko wygrzebałem z ziemi. No nie patrz z takim niedowierzaniem! Kiwi to ptaki prowadzące nocny tryb życia, które za dnia zagrzebują się w ziemi w lesie. Przy odrobinie doświadczenia można znaleźć ich jamy, łatwo wtedy wydobyć i zabić takiego ptaka. Anglicy bez wątplenia uważaliby to za coś okropnego, ale ja jestem głodny!

Lizzie także było obojętne, jak Kahu schwytał ptaka – upieczone mięso smakowało wyśmienicie. Była już sucha i czuła się znacznie lepiej, kiedy znów ściągnęli kanu na wodę.

– A w ogóle, jak to jeszcze jest daleko? – spytała.

Kahu wzruszył ramionami.

– Moglibyśmy tam dotrzeć za dzień lub dwa. Pytanie tylko, jaki będziemy mieli wiatr. I dokąd w ogóle chcemy dotrzeć.

– Myślę, że na Wyspę Południową! – powiedziała Lizzie. – Czyli do... do Nelson?

Kahu spojrział na dziewczynę ze zmarszczonym czołem.

– Byłoby to ostatnie miejsce, do którego bym zmierzał w twojej sytuacji –

oświadczył. – I dopiero co Maorysi w okolicy po tej sprawie z Wairau...

– Tam była wojna, prawda? – Lizzie wyglądała na przerażoną. – Niemieccy osadnicy opowiadali o tym. Czy ci... Ngai Tahu są bardzo konfliktowi?

Kahu potrząsnął głową i roześmiał się gorzko.

– Wręcz przeciwnie. Są nastawieni aż za bardzo pokojowo! Dotychczas nie było tam ani jednego powstania przeciwko białym. W Wairau mieszkali Ngati Toa. Ich dom jest właściwie na Wyspie Północnej, ale mieli bardzo wojowniczego wodza, dzięki któremu obszar ich zamieszkania rozszerzył się aż na Wyspę Południową. I doszło do paru konfliktów z Ngai Tahu. A Ngati Toa nie są szczególnie wyrozumiali ani cierpliwi. Jak *pakeha* zaczęli prowadzić pomiary ich ziemi, zanim w ogóle doszło do jakichś pertraktacji, to zaatakowali. Było dwudziestu dwóch zabitych po stronie białych, czterech po maoryskiej. Nie nazwałbym tego wojną.

– W końcu też nie jesteś martwy – zauważyła Lizzie. – Nikt nie bierze tego poważnie, o ile nie znajdzie się w samym środku.

Kahu się uśmiechnął.

– Oto słowa godne Tepory! Ale pomijając wszystkie wojny, walki, tumulty czy jak to jeszcze nazwać, uważałabyś rzeczywiście za rozsądne ukryć się tam, gdzie ten Busby wtedy cię zwerbował? Przecież tam będą cię szukać najpierw.

Lizzie zagryzła wargi.

– Ale przecież są tam jeszcze inne miasta? To znaczy...

Kahu przewrócił oczami.

– Wyspa Południowa jest znacznie większa niż Północna, chociaż nie tak gęsto zaludniona. Lud Ngai Tahu liczy może dwa tysiące ludzi. Ale jest tam więcej *pakeha*. Z tego miejsca, gdzie jesteśmy, najbliżej jest na wybrzeże zachodnie. Ale tam nie chciałbym cię zostawiać – jak na razie mieszkają tam tylko wielorybnicy i myśliwi polujący na fokę. To najgorsza zbieranina i najpodlejsze typy, jakie może zaoferować wasza Anglia. Miejscowości dopiero się budują; jedyne, co jest już gotowe, to puby.

Lizzie westchnęła. Potrafiła sobie dobrze wyobrazić możliwości zarabiania pieniędzy dla dziewczyny w takich miastach.

– Na wschodnim wybrzeżu są miasta Dunedin i Christchurch. Oba bardzo daleko, potrzebowalibyśmy kilku dni, aby tam dotrzeć. Ale tam mieszkają baaardzo... bogobojni ludzie... – Mrugnął do Lizzie.

Lizzie machnęła ręką.

– Ach, wiem. Canterbury Association. I jakaś szkocka organizacja, nie pamiętam nazwy w tej chwili. Mr Busby zna ich wszystkich. Ciągłe gościli u nas przedstawiciele tych dostojników... Kahu, nie odważę się jechać do Christchurch! Tam od razu wpadnę w ramiona jakiemuś Mr Smithersowi.

Kahu skinął głową.

– A dlaczego nie jemu samemu? – spytał. – Na Wyspie Południowej też budują



drogi... Znów chcesz pracować jako pokojówka?

– A co mogę robić innego?

Lizzie, wyraźnie przygnębiona, opuściła rękę za reling.

– Niczego innego nie potrafię. Ale może już nie u tak ważnej i szanowanej rodziny. Jakiś mniejszy dom... Jak trzeba, to nawet taka farma jak ta Ladererów.

– Mogłabyś pójść do Ngai Tahu – zaproponował Kahu mgliście.

Lizzie potrząsnęła głową.

– Nie... nie, Kahu, nie miej mi tego za złe. Ja... ja was, Maorysów, bardzo lubię. Ale jestem *pakeha*. U Busbych mi się podobało. A Ngai Tahu przecież mnie nie zechcą. Co mieliby ze mną robić? Nie, my... A nie ma tu innych miast?

Kahu się zastanawiał.

– Kaikoura – powiedział trochę niechętnie. – Właściwie to też stacja wielorybników. Ale teraz ponoć osiedla się tam coraz więcej farmerów, choć na pewno nie są to... dżentelmeni tacy jak twój Mr Busby. Nikt nie będzie cię tam szukał. – Uśmiechnął się. – I byłabyś bliżej mnie. Legenda mówi, że półbóg Maui złapał koło Kaikoury olbrzymią rybę, która później stała się Wyspą Północną.

Lizzie spojrzała na Kahu. Tym razem udał jej się ów ciepły uśmiech, który wszędzie szybko zjednywał jej przyjaciół.

– To możemy też po prostu złapać rybę i mielibyśmy wyspę tylko dla nas!

Kahu wzruszył ramionami.

– Na to, niestety, mogą sobie pozwolić tylko bogowie. A ludzie muszą brać swoje kanu i płynąć po morzu tak długo, aż znajdą ląd. Jak kiedyś Kupe i Kura-marotini. Jeśli więc chcesz, Elizabeth...

Lizzie opuściła wzrok, widząc miłość w jego spojrzeniu.

Kilka dni później Kahu wysadził Lizzie na ląd przed Kaikourą. Półwysep, na którym znajdowało się miasteczko, fascynował dziewczynę już wtedy, kiedy się do niego zbliżali. Plaże, wzgórza i wspaniałe górski krajobraz, który sięgał tu niemal do morza – wszystko wydawało się większe i bardziej dziewicze niż na północy. A w dodatku przeraziła się śmiertelnie, kiedy nagle przed nimi wynurzył się z wody wieloryb.

– On... on może nas pożreć jednym kłapnięciem szczęk! – sapnęła Lizzie, patrząc na oddalające się olbrzymie zwierzę.

– Ale tego nie robi – uspokoił ją Kahu. – Cieszy się, że my mu nic nie robimy. Ludzie tępią je po prostu i nie ma już ich tak wiele jak kiedyś.

Lizzie nie mogła sobie tego wyobrazić, ale zrozumiała, skąd się wzięła legenda o Maui i jego olbrzymiej rybie. Tak ogromne zwierzę rzeczywiście mogło się zamienić w wyspę!

Kahu zaproponował, że przedstawi Lizzie najpierw w miejscowym osiedlu Ngai Tahu, ale ona wolała jechać od razu do miasta.

– Sama mogę tam iść i powiedzieć dzień dobry ludziom ze szczepu, jeśli to będzie konieczne – stwierdziła. – Ale pracę i nocleg muszę znaleźć w Kaikourze.

Przede wszystkim nie chciała zjawić się w osiedlu Maorysów z Kahu. Dla każdego, a zwłaszcza dla kobiet, będzie od razu jasne, co czuł do niej Kahu. Wszyscy będą sądzić, że ona jest jego żoną, a przynajmniej kochanką. Platonicznego stosunku między dwojgiem tubylcy nie byli sobie w stanie wyobrazić. A Lizzie nie chciała zaczynać nowego życia od kłamstwa i fałszu!

– Będziesz potrzebowała pieniędzy – zauważył.

Lizzie wzruszyła ramionami.

– Czy Ngai Tahu dadzą mi je? – spytała.

Kahu z westchnieniem wyciągnął sakiewkę z zawiniątka, w którym trzymał swoje rzeczy.

– Dam ci trochę. Ale to niewiele. Nie przeżyjesz za to więcej niż dzień, może dwa.

Lizzie zaczerwieniła się, biorąc mały woreczek.

– To jest... to jest... nie musisz tego robić, Kahu...

Machnął lekceważąco ręką.

– Nie możesz mi za to nic dać, a przynajmniej nic takiego, co chciałabyś dać, a co ja bym przyjął. Nie mów nic, Elizabeth! Jest w porządku. Jeśli bogowie zechcą, to spotkamy się znowu. Możesz mi wtedy zwrócić tę sumę, jeśli do tego czasu będziesz bogata. *Haere ra*, Elizabeth!

Chciał się lekko ukłonić, ale ona podeszła do niego i przyłożyła czoło i nos do jego twarzy. *Hongi* – maoryskie pozdrowienie.

– Dlaczego... dlaczego nazywasz mnie Elizabeth? – spytała. Właściwie nie zamierzała przeciągać pożegnania, ale już dawno chciała go o to zapytać.

Kahu popatrzył na nią poważnie.

– Bo to jest twoje imię. Może nie Portland. Ale także nie Lizzie. Lizzie to imię służącej. Ale Elizabeth jest królową!

Lizzie zagryzła wargi. Czy on rzeczywiście tak ją widział? Michael widział w niej tylko dziwkę... Nie wiedziała, dlaczego pomyślała teraz o Michaelu.

Lizzie podniosła rękę i pogłaskała delikatnie tatuaże na policzku Kahu. Znaki wodza.

– *Haere ra*, Kahu Heke – powiedziała cicho. – Mam nadzieję, że bogowie będą z tobą.

## ROZDZIAŁ 8

Lizzie brnęła powoli w płytkiej wodzie na ląd – Kahu nie chciał wpływać do małego portu charakterystycznym kanu wodza, które bardzo rzucało się w oczy. Wysadził ją po prostu na plaży w pobliżu osiedla. Lizzie włożyła pończochy i buty i ruszyła do miasta. A może była to jednak wieś? Osiedle było przepięknie położone, gdy się patrzyło od strony morza, sprawiało wrażenie wręcz idyllicznego i skąpanego w promieniach słońca. I bardzo kuszącego. Ale z bliska widać było, że słońce oświetlało także brud i opuszczenie. Pierwotnie była tu kolonia wielorybników, jak mówił Kahu, i tak też wyglądało to dziś, choć Lizzie oczywiście nie widziała dotychczas żadnej kolonii wielorybników. Ale знаła dzielnicę portową w Londynie i wiedziała, jak wygląda miejsce, w którym mieszkają głównie mężczyźni i młode, zagubione i niemające własnego domu dziewczęta. Kaikoura składała się z tanich, naprędce skleconych drewnianych domów w różnym stadium opuszczenia i rozpadu. Tu słowo „osadnictwo” rozumiano inaczej niż w Nelson. Wszystko było przygotowane pod kątem wagabundów, którzy polowali na wieloryby, ściągali skóry z fok i potrzebowali jedynie od czasu do czasu jakiegoś dachu nad głową. Nikt nie zostawał tu na dłużej, nikt nie potrzebował kobiety dłużej niż na parę godzin, nikt nie posiadał tu niczego na własność. Wyjątek stanowiło jedynie kilka biednych chat rybaków, w których z pewnością nikt nie potrzebował pokojówki czy służącej. W sklepie z towarami kolonialnymi sprzedawano wszelkie możliwe rupiecie, poczynając od żywności, a kończąc na haczykach do wędek. Ale także tutaj właściciel potrząsnął przecząco głową, kiedy Lizzie spytała o pracę.

– Radzę sobie sam z żoną – stwierdził. – I dobry Boże, pokojówka! Może nawet w czepku i fartuszk! Moja Alison popłakałaby się ze śmiechu, gdybym jej coś takiego zaproponował!

– Byłabym cię wyrzuciła! – warknęła przysadzista, opryskliwa kobieta, która w tym momencie weszła do sklepu z pokoju znajdującego się za nim. Była o głowę wyższa od swego małżonka sprawiającego wrażenie karła, i z pewnością to ona sprawowała tu władzę. – Każdy wie, do czego dochodzi w takich wielkopańskich domach między panem a pokojówką!

Lizzie się zastanawiała, skąd każdy o tym wiedział. Była czerwona na twarzy.

– Jestem uczciwą dziewczyną – oświadczyła. – I... mam świadectwa.

Rzeczywiście je miała – napisane przez Kahu Heke, dzięki wykształceniu zdobytemu w szkole misyjnej. Lizzie była poruszona do głębi, kiedy znalazła je w sakiewce z pieniędzmi, którą wetknął jej Kahu Heke. I nawet nie mogła mu za nie

podziękować!

Żona kupca się roześmiała.

– Na nic ci się one nie przydadzą, dziewczyno! Uczciwa czy nie, tu nikt nie potrzebuje służby w domu! Może gdzieś na owczych farmach w głębi kraju. Ale tu nie ma takich wielkopańskich domów jak na Canterbury Plains. Miejscowi farmerzy byli dawniej wielorybnikami albo polowali na foki. Jak potrzebują sprzątaczkę, to idą do Maorysów – i od razu mają dziewczynę do łóżka, która nie robi z tego powodu żadnego przedstawienia. Nie, słodziutka, poszukaj sobie innego miasta albo innej roboty.

Było to mocno zniechęcające, ale Lizzie mimo to poszła dalej. Kaikoura miała tylko jeden sklep, kuźnię, warsztat stolarski, którego właściciel był jednocześnie przedsiębiorcą pogrzebowym, i trzy puby. Przed jednym z nich Lizzie spotkała dziewczynę, trochę młodszą od siebie i mocno umalowaną. Sprawiała wrażenie jakiejś znajomej z Londynu.

– Pracujesz tutaj? – spytała Lizzie. – Na... na ulicy czy w jakimś domu?

Dziewczyna popatrzyła na Lizzie zdumiona. Jej jasne włosy upięte były w jakąś skomplikowaną fryzurę, a suknia w kolorze ostrej czerwieni była zbyt wyzywająca jak na uczciwą córkę kupca. Za to Lizzie w swojej schludnej sukni służącej sprawiała wrażenie osoby wyjątkowo grzecznej i skromnej. Dziewczyna z baru spodziewała się raczej z jej strony spojrzenia pełnego wyrzutu, a nie życzliwej uwagi.

– W pubie – odpowiedziała. – Na ulicy żadna z nas nie da rady. Za mokro i za zimno. A poza tym właściciele potrzebują ciągle nowej krwi. A płacą – jako tako. Szukasz pracy?

Lizzie skinęła głową.

– Tak. Ale właściwie nie takiej.

Dziewczyna się roześmiała.

– Jasne, rozumiem. Marzy ci się klasztorna kuchnia, a może w ogóle chciałabyś od razu wstąpić do zakonu? Ta kiecka nawet pasuje. Niestety, niestety nie ma tu w okolicy żadnego porządnego konwentu. Gdyby tak było, to już bym tam była, dziewczyno. Jestem Irlandką i dobrą katoliczką...

Lizzie zmarszczyła czoło. Nie знаła się na klasztorach, ale ta dziewczyna z pewnością chciała z niej zakpić.

– Pracowałam dotychczas jako pokojówka – wyjaśniła. – A przedtem jako dziewczyna w stajni.

– No to przynajmniej nie będzie cię brzydził brud i smród twoich klientów! – stwierdziła blondynka. – Poważnie, słodziutka, ci tutaj śmierdzą jak zwierzęta! Tran, krew, czy ja wiem co jeszcze? Wielorybnicy nie pasują do subtelnych pańienek. – Spojrzała na Lizzie taksującym wzrokiem. – Ale ty do nich nie należysz, prawda, siostrzyczko? Coś mi mówi, że nie jesteś nowa w tym rzemiośle?

Lizzie westchnęła. Czyli jednak było to po niej widać. Zawsze o tym wiedziała.

– Dawno już tego nie robiłam – odpowiedziała.

Dziewczyna machnęła ręką i odparła:

– Tego się nie da oduczyć.

Lizzie zagryzła wargi.

– Ale ja już nie chciałam tego robić.

Tamta prychnęła jak kot.

– Kochanie, ja też tego nie robię dlatego, że mi to sprawia aż taką przyjemność. Ale rozejrzyj się: tu naokoło nie ma nic, oprócz tej dziury zabitej dechami. Zaraz za nią zaczynają się góry, trochę bardziej na południe jest jeszcze Waiopuka, czyli stacja wielorybników na wybrzeżu, i to głównie stamtąd przychodzili nasi klienci. Ale teraz jest ich mniej, im potrzebne są statki, żeby móc płynąć za tymi swoimi bydłętami. I łowią je tutaj, a my obsługujemy tych chłopaków. Ze stałymi klientami byłoby milej, ci przynajmniej od czasu do czasu się myją. Ale co robić? Ci ze stacji wielorybników Fyfe'a zajmują się teraz głównie owcami!

Lizzie chwyciła się tej deski ratunku.

– Słyszałam, że na tych wielkich owczych farmach... Że tam mieszkają tacy ludzie, którzy potrzebują personelu w swoich domach.

– Ci dwaj Fyffe'owie to stare wilki morskie. Oni potrzebują głównie whiskey i od czasu do czasu dziewczyny, ale na pewno nie do tego, aby im usługiwała przy stole. I w tej okolicy nie ma wielkich farm owczych – te są na Canterbury Plains. Bogate, wielkopańskie rezydencje możesz znaleźć w Christchurch.

– Tam nie pojedę. – Lizzie była zmęczona i zniechęcona.

– Ja też nie, oskubałam tam jednego klienta – oświadczyła blondynka z rozbijającą szczerością. – Właściwie nie była to moja wina, nie chciał zapłacić, to przywaliłam mu krzesłem w łeb i zwiałam z całą sakiewką. Na nieszczęście okazał się bratem oficera policji... W każdym razie teraz mnie ścigają. Ale Christchurch jest i tak za uczciwe, żeby coś zarobić. A Dunedin jeszcze gorsze, sami kalwiniści...

Lizzie rozmyślała gorączkowo nad jakimś wyjściem z sytuacji.

– Musi być coś innego! Potrafię ciężko pracować. Znam się na rybach. Myślisz, że mogłabym coś robić na stacji wielorybników?

Blondynka aż się zatrzęsała ze śmiechu.

– Dziewczyna na stacji wielorybników! No, chciałabym zobaczyć, jak brodzisz pólnaga w krwi i tranie i kroisz te bydłeta! Słodziutka, nie musisz tego robić! Jesteś w miarę ładna, masz doświadczenie zawodowe... Chcesz pytać rybaków, czy potrzebują pomocy przy langustach?

– Przy langustach? – spytała Lizzie.

– Tak. Wyciągają je z morza masami. Smakują wspaniale. Ale nie sądzę, żeby rybacy zatrudniali dziewczyny. Nawet żony zabierają na morze, a to takie biedne,

spracowane stworzenia! Jak się przy tym upierasz, to może jakiś rybak się z tobą ożeni. Oni szaleją za babami. Jak tylko uda im się zebrać trochę grosza, to przychodzą do pubu, a każda dziewczyna, do której się odezwą, za chwilę słyszy oświadczenia. Ale czy tego chcesz?

Lizzie musiała uczciwie przyznać, że tego nie chciała. Chaty rybaków wyglądały na biedne i zaniedbane. A żony rybaków najpierw harowały wraz z mężami na morzu, a potem czekało na nie gospodarstwo i dzieci. Może takie życie było świątobliwe, ale pobożność też miała swoje granice.

– Zastanowię się – powiedziała do dziewczyny. – Jak się właściwie nazywasz?

– Claudia – przedstawiła się blondynka. – A ty?

– Lizzie.

Znów świat, w którym każdemu wystarczało tylko imię. Lizzie także w Kaikourze nie będzie się nazywać Portland. Tego Annie nie mogła robić. Zapytała jeszcze stolarza robiącego trumny, który oświadczył jej, że wprawdzie jest całkiem miła, ale jego klienci nie potrzebują już, aby ktokolwiek dodawał im otuchy. Pokręciła się jeszcze koło chat rybaków i poszła do wsi Maorysów.

Ngai Tahu byli sympatyczni i o wiele bardziej otwarci niż szczepy na Wyspie Północnej, Lizzie od razu poczuła się u nich dobrze, już choćby dlatego, że tylko niewielu młodych ludzi miało tatuaże. Za to częściej można ich było zobaczyć w europejskiej odzieży. Najwyraźniej Maorysi z Wyspy Południowej szybciej się asymilowali i przyswajali sobie zwyczaje *pakeha* niż ich pobratymcy z północy. Ale pod względem gospodarczym szczep miał się o wiele gorzej. Wielu mężczyzn pracowało na stacji wielorybników, i to wyłącznie jako dniówkowi robotnicy. A od kiedy tam także niewiele się działo, nic już nie zarabiali. Dla dziewcząt i tak prawie nie było zajęcia. Niektóre pomagały w owczarniach na owczych farmach, ale tylko okazjonalnie. I jeśli chodzi o służbę w domu, Maorysi potwierdzili to, co mówili *pakeha* w mieście. Nikt tu nie przyuczał Maorysów do pracy w charakterze służących, ogrodników czy woźniców, a co dopiero jako pokojówki czy też do pracy w kuchni.

Lizzie została na noc we wsi, która bardziej przypominała obóz i niewiele miała wspólnego z pięknymi, ozdobionymi licznymi płaskorzeźbami *marae* Ngati Pau. Tu ludzie najwyraźniej zostawiali swoje osiedle na łasce losu.

– Wiosną, kiedy zapasy się kończą, wyruszamy w góry na lepsze tereny łowieckie. Jak chcesz, możesz iść z nami, ale tam prawie wcale nie ma *pakeha*, a już na pewno żadnych wielkich domów, gdzie mogłabyś pytać o pracę.

Szczepy maoryskie mogły oczywiście żyć z połowu ryb, ale coraz częściej dochodziło do sporów z *pakeha* o łowiska. Lizzie się dziwiła, dlaczego nie próbowały one walczyć tak jak ich wojowniczy pobratymcy z północy, ale Ngai Tahu przyjmowali swój los z obojętnym spokojem.

– Zanim przyszli *pakeha*, było nam jeszcze ciężiej – opowiadały kobiety. – Dobrze,

były ryby, ale nie było nasion, owiec. Było zimno zimą. A teraz mamy cieplejszą odzież, uprawiamy nasze pola i długi czas mieliśmy pracę u białych.

Efekty tej pracy można było zobaczyć w domach szczepu: ich wnętrza były o wiele bardziej przytulne niż domy szczepu Ngati Pau – kobiety przędły wełnę, wyrabiały koce i maty. Jadłospis też wydawał się bardziej różnorodny, a jedzenia nie przygotowywano w ziemnych piecach i na prowizorycznych rożnach czy po prostu na kijach nad ogniskiem, lecz w garnkach i patelniach nabytych u *pakeha*. Oczywiście inne też było położenie geograficzne. Lizzie natychmiast zauważyła, że było tu o wiele chłodniej niż na Wyspie Północnej. Z pewnością trudniej tu było przetrwać zimę.

Lizzie nie chciała zbyt długo siedzieć na garnuszku szczepu. Po dwóch dniach pożegnała się, zostawiła kobietom trochę pieniędzy i poszła z powrotem do miasta.

Pub, przed którym spotkała Claudię, nazywał się Green Arrow i był to najczystszy lokal w Kaikourze. Lizzie weszła do środka i zapytała o pracę.

Pete Hunter, krępy właściciel, ani nie pytał o jej świadectwa, ani też nie chciał znać jej nazwiska. Popatrzył krótko na dziewczynę taksującym wzrokiem, zamruczał coś niechętnie, ale wysłał Lizzie do jednego z obrzydliwie brudnych pokoi na pierwszym piętrze.

– O czystość musisz dbać sama, bieliznę pościelową masz zanosić raz na tydzień do chińskiej pralni. Jak chcesz zmieniać ją częściej, to musisz pracować sama.

Lizzie spędziła kilka pierwszych godzin swojego nowego-starego życia, szorując wszystkie kąty pomieszczenia i walcząc z pchłami.

– Mam ci pożyczyć suknię? – spytała Claudia, kiedy obie zeszły wieczorem na dół do pubu. – Hunter pożyczyci ci pieniądze, jak będziesz chciała sobie coś sama uszyć, ale zażąda, żebyś zwróciła mu z odsetkami.

Lizzie potrząsnęła głową. Przez ostatnią godzinę powiększyła dekolt swojej sukni i podciągnęła dół, w efekcie czego suknia była krótsza i można było zobaczyć jej nogi. Miała umalowaną twarz i upięte włosy, a na nich figlarny, nieco krzywo włożony czepek.

Zawstydzona stanęła obok drzwi pubu i dygnęła, kiedy wszedł pierwszy gość.

– Czy mogę zdjąć panu płaszcz? – Lizzie uśmiechnęła się do niego przymilnie i rozpoznała stolarza, który zajmował się wyrobem trumien. Mężczyzna uśmiechnął się szeroko i sięgnął ręką do jej dekoltu.

Lizzie miała pierwszego klienta.

Kahu Heke skierował swoje kanu na północ i rozmyślał o dziewczynie, którą zostawił. Była pierwszą dziewczyną, która, jak mu się wydawało, mogłaby wędrować z nim pomiędzy dwoma światami. Ale coś jeszcze trzymało Elizabeth u *pakeha*. A czy jego też? Kahu Heke nie znał odpowiedzi. Prawdopodobnie po śmierci wuja zostanie

wybrany na wodza szczepu. Ngati Pau darzyli go dużym szacunkiem. Ale gdyby Kahu chciał mieć choć cień szansy na to, aby zdobyć Elizabeth, to musiałby raczej zostać farmerem. Odrzucić wszystkie *tapu*, które otaczały go jako wojownika i wodza, asymilować się tak jak Ngai Tahu na Wyspie Południowej, którą ciągle jeszcze miał przed oczami. Mógł zbliżyć do siebie oba światy i zrobiłby to dla Elizabeth, ale tak naprawdę tylko przyspieszyłby pewien proces, który był nieunikniony.

Kahu postanowił nie kręcić się już w Kororareka i nie wchodzić w kontakty w wielorybnikami. Lepiej będzie nauczyć się rolnictwa – może nawet tego, co tak fascynowało Lizzie: uprawy winorośli.

Młody Maorys się uśmiechał, kiedy niesiona wiatrem „Hauwhenua” pędziła po falach. Kiedy zostanie wodzem i będzie miał na to ochotę, to może się nawet koronować na króla. Jak dotychczas nikt się nie rwał, aby pełnić tę zaszczytną funkcję, Maorysi raczej nie znali pojęcia centralnego rządu. Gdyby ktoś taki jak Kahu, świetnie znający kulturę i język *pakeha*, chciał zostać wybrany, wszyscy zgodziliby się z radością.

Łódź płynęła coraz szybciej, a Kahu, oszołomiony szumem wiatru, oddał się marzeniom. Elizabeth byłaby jego królową i któregoś dnia zabrałby ją do Londynu. Młody Maorys widział siebie jako *kingi* pertraktującego z angielską *queen* i aż się roześmiał na samą myśl o tym, że Elizabeth dygałaby przed królową, a *prince* Albert całowałby ją w rękę. Elizabeth byłaby dziewczyną godną swego imienia. Byłaby królową, która rozgrzewałaby ludzkie serca swoim urzekającym uśmiechem.



## ROZDZIAŁ 9

Michael Drury nie mógł już patrzeć na owce. W ostatnich dniach on i jego maoryscy pomocnicy uwolnili od wełny ponad cztery tysiące przeważnie opierających się owiec maciorek i tryków, i były to wszystkie owce z farm w dystrykcie Kaikoura. Przyjęło się, że każdej wiosny Michael zostawiał na kilka tygodni owczą farmę Fyffe'a maoryskim dziewczynom i z grupą postrzygaczy ciągnął od farmy do farmy. Dla mężczyzn oznaczało to pokaźny dodatkowy zarobek, podczas kiedy dziewczęta najpierw pomagały maciorkom przy koceniu się, a potem wypędzały owce na lato w góry. Praca z psami była dziecinnie łatwa, a Maorysi mieli naprawdę rękę do zwierząt. Co prawda tylko Fyffe zatrudniał także kobiety, inne farmy zatrudniały jako poganiaczy wyłącznie mężczyzn.

Ale teraz wszystkie owce były ostrzyżone, Michael miał pieniądze w kieszeni i usprawiedliwione pragnienie. Szybka runda po pubach Kaikoury byłaby czymś jak najbardziej wskazanym. Nawet zostałoby trochę pieniędzy, aby odłożyć na podróż do Irlandii.

Michael ciągle oszczędzał na powrót do domu, choć sam nie był pewien, czy myśli o tym poważnie. Od chwili, w której otrzymał ów list od ojca O'Briena, jego zapał wyraźnie ostygł. Bo i tak już nie zastałby tam Kathleen. Jego ukochana wyjechała. Była gdzieś w Ameryce, razem z tym gnojkiem i oszustem Ianem Coltrane'em!

Michael się zastanawiał, jak ona mogła się zadać akurat z tym człowiekiem. Kiedy myślał o tym, że jego syn nazywał ojcem handlarza bydłem, ogarniała go zgroza. A wszystko w dodatku za jego pieniądze! Ian Coltrane nigdy nie byłby w stanie sam zapłacić za podróż statkiem. Michael nie wierzył też, że Ian kochał Kathleen. O ile wiedział, Coltrane utrzymywał w Wicklow pewną dziewczynę – małą, rudowłosą dziwkę, wyjątkowo bezczelną i cyniczną, która była całkowitym przeciwieństwem łagodnej i powściągliwej Kathleen. A Kathleen też nie mogła kochać Iana – może to nawet jej rodzice zmusili ją, aby go poślubiła.

Kiedy Michael jeździł po okolicy i kontrolował stada owiec, często sobie wyobrażał, że jedzie do Ameryki i szuka Kathleen. I że znajdzie ją gdzieś w Nowym Jorku albo jeszcze gdzie indziej, i wyrzuci Iana Coltrane'a z jej łóżka. Ale w chwilach przeblasków rozsądku zdawał sobie oczywiście sprawę, że sam Nowy Jork trudniej będzie przeszukać niż całą Irlandię! A poza tym nie za bardzo można było dotrzeć do Ameryki z Nowej Zelandii. Zwykle droga prowadziła przez Australię – tam zaś Michael absolutnie nie chciał jechać! – a potem przez Chiny. Michael odsuwał więc decyzję na nieokreślony czas. Jego oszczędności i tak rosły tak powoli, że musiałyby

pracować jeszcze latami, zanim będzie mógł sobie pozwolić na jakąkolwiek podróż. Winne temu było nie tylko względnie niskie wynagrodzenie, jakie płacili bracia Fyffe'owie swojemu zarządcy, ale także whiskey i blondynki w Kaikourze. Kiedy Michaela ogarniała tęsknota, pozwalał sobie na przykład na tak śliczną dziewczynę jak Claudia z Green Arrow – zresztą płacił tak dobrze, że żadna z dziewczyn się nie skarżyła, kiedy w szczytowym momencie rozkoszy nazywał je wszystkie Kathleen.

Także tego wieczoru po strzyży poczuł potrzebę spędzenia nocy z Claudią albo z jakąś inną chętną blondynką. Zostawił swoich maoryskich przyjaciół Tane i Maui w pierwszym pubie, gdzie piwo było trochę słabsze, a dziewczęta tańsze, i udał się do Green Arrow. Kiedy otworzył drzwi, zaskoczony zobaczył dziwną postać, która powitała go słowami:

– Dobry wieczór, wielmożny panie! Czy mogę wam pomóc zdjąć płaszcz? – Drobna, ciemnowłosa dziewczyna w skromnej sukni służącej, co prawda mocno skróconej i z dużym dekoltem, patrzyła na Michaela przyjaźnie. – *Mylord*, cieszyłabym się, gdybym mogła panu dziś usługiwać.

Dziewczyna aż przysiadła w niskim ukłonie, uśmiechając się uwodzicielsko. Michael nie mógł się powstrzymać i roześmiał się głośno.

– Lizzie Owens! Ciągle jeszcze nie uczciwa!

Lizzie spojrzała na nieco podartą odzież Michaela, sprane bryczesy i brudny płaszcz przeciwdeszczowy.

– Michael Drury! – odparowała, dodając: – Ciągle jeszcze nie bogaty!

Michael dawno zapomniał o nieporozumieniu, jakie miało miejsce przed ich rozstaniem. Śmiejąc się, wziął Lizzie w ramiona i wykonał z nią taneczny obrót.

– Dziewczyno, jakże miło cię znów widzieć! Już od dawna się zastanawiałem, co się z tobą stało. Co prawda sądziłem, że złapałaś jakiegoś dzielnego niemieckiego rolnika z Nelson!

Lizzie uwolniła się z jego objęć. Też się ucieszyła na widok Michaela, ale zbesztła samą siebie w myślach za to uczucie. Michael już raz kiedyś ją skrzywdził. W żadnym wypadku nie mogła dopuścić, aby zrobił to znowu.

– Przecież powinieneś już od dawna być w Irlandii, prawda? – spytała. – Żonaty z Mary Kathleen?

Michael westchnął.

– Ach, Lizzie, to jest bardzo długa historia.

I właśnie zamierzał zacząć opowiadać, ale w tej chwili między ich oboje wcisnęła się Claudia. Dziewczyna czekała na klientów przy barze, ale dostrzegła Michaela.

– Ręce precz od niego, Lizzie! To jest mój stały klient! – Przytuliła się do Michaela i spojrzała mu uwodzicielsko w oczy.

Lizzie się cofnęła. Głos Claudii był wesoły, ale bardzo szybko mógł się stać poważny, jeśli jej beneficjum miało być zagrożone.

– Nic od niego nie chcę, po prostu znam go z dawnych czasów – odparła. – Idźcie, możemy pomówić potem.

Claudia uśmiechnęła się szeroko, a Michael wydawał się dziwnie zakłopotany. Był ciągle bardzo przystojny, a czarne, mocno kręcone włosy miał teraz znacznie dłuższe. Lizzie niemal zapomniała, jak niebieskie były jego oczy i jaki miały wyraz, kiedy chciał sobie kogoś owinąć wokół palca.

– To... nie masz nic przeciwko temu, Lizzie, jeśli my najpierw...?

Lizzie przewróciła oczami.

– Nie, Michael, spokojnie mogę sobie darować, aby ktoś nazywał mnie w łóżku Mary Kathleen. Choć chętnie dowiedziałabym się, co się stało z tą lady. Wypijemy drinka, kiedy już uszczęśliwisz Claudię.

Z krzywym uśmiechem znów stanęła przy drzwiach. I jak właściwie każdego wieczoru, nie musiała zbyt długo czekać. Zawsze znajdowali się mężczyźni, którym podobał się numer ze „służącą”, a już zwłaszcza wtedy, kiedy Lizzie zwracała się do każdego wielorybnika czy pasterza per *mylord*. Pete Hunter już od dawna nie traktował jej jak przeciętnej dziewczyny, lecz mawiał, że to jeden z najlepszych koni w jego stajni. Lizzie zarabiała dość, aby dobrze żyć i móc pozwolić sobie od czasu do czasu na nową suknię. Zawsze wybierała skromne, nierzucające się w oczy suknie z dobrego materiału, które nie miały zbyt dużego dekoltu. Claudia i pozostałe dziewczyny nazywały je kpiąco niedzielnymi sukniami do kościoła.

Ale Lizzie nie chodziła do kościoła tak jak jej koleżanki. Wielebny był spokojnym mężczyzną, który często przyglądał się swoim owieczkom dokładniej niż jego Bóg, dlatego też ich nie wyrzucano. Ale Lizzie po prostu już nie mogła się modlić do Boga, który zdaniem Kahu w najlepszym wypadku był przeciążony wiernymi, a w najgorszym oni go w ogóle nie obchodzili. Lizzie była pobłażliwa i rozumiała, że Bóg nie mógł iść ludziom aż tak na rękę w kwestii pragnienia bogobojnego życia. Nie mogła mu jednak darować kłód, które jej osobiście rzucał pod nogi. Już Martin Smithers był wystarczającą próbą, nie mówiąc o życiu w Green Arrow.

Lizzie nienawidziła tego, że musiała być na każde zawołanie myśliwych polujących na foki i wielorybników – jedni i drudzy śmierdzili tranem i krwią. Równie odstręczająca była intensywna woń owiec – i zarazem ich pasterzy. Dawniej też nie lubiła się sprzedawać, ale jakoś nie było to takie złe, jeśli chodziło o marynarzy w londyńskim porcie. Ci po podróży morskiej przynajmniej nie żałowali sobie kąpieli, a przy tym byli zawsze weseli, kiedy opowiadali Lizzie o dalekich ładach i panujących tam zwyczajach. A mężczyźni w Kaikourze byli smutnymi nieudacznikami życiowymi, którzy harowali bez żadnej nadziei na poprawę swojego losu i w soboty przepijali albo zostawiali u dziwki swoje nędzne, ciężko zarobione grosze. Lizzie nigdy ich nie pytała, przed czym właściwie się ukrywali, ale wiedziała, że tu prawie wszyscy przed czymś uciekali. W łóżku byli prymitywni i prostacy –

choć Lizzie i tak mogła wybierać dla siebie tych najlepszych i w końcu wystarczało trochę humoru i fantazji, aby przystać na zabawę z nimi. Ale także ci „lordowie” chcieli, aby ona dała im jak najszybciej i jak najwięcej za sumę, którą zapłacili, a każdy z nich zostawiał w łóżku kilka pcheł i wszy.

Życie Lizzie stało się teraz ciągłą walką ze smrodem, brudem i robactwem, codziennie prała też sama prześcieradła ze swojego łóżka, ale właściwie musiałaby je zmieniać po wizycie każdego klienta. I kiedy dziewczyny odsypiały za dnia wieczorne pijaństwo, ona była przeważnie trzeźwa. Nie miała zamiaru jeszcze walczyć za dnia z bólem głowy, wystarczało, że jej noce przypominały jakieś senne koszmary. W dodatku nie smakowała jej wstrętna wódka, którą Pete Hunter oferował swoim gościom. Nie tylko dlatego, że teraz każda tania wódka obrażała jej zmysł smaku po winach dobrych gatunków u Busbych – po wypiciu siwuchy z baru Huntera otrząsał się także każdy koneser zwykłej whiskey. Lizzie nie wiedziała, skąd właściciele pubów w Kaikourze sprowadzali ten trunek, ale ktokolwiek to pędził, zasługiwał na zesłanie nie tyle nawet do Australii, ale co najmniej na biegun północny.

Lizzie w każdym razie kazała sobie nalewać zimnej herbaty, kiedy klienci stawiali jej whiskey, i była rankiem w miarę wypoczęta. Wychodziła zwykle z Green Arrow późnym przedpołudniem i zwiedzała okolicę w nadziei znalezienia czegoś, co stanowiłoby alternatywę dla jej nędznego życia w pubie. Nie mogło przecież być tak, że miałyby tam spędzić resztę życia!

Czasami w niedzielę wynajmowała z Claudią albo innymi dziewczynami bryczkę i jechały razem na wycieczkę po okolicy – ale nigdy nie dotarły do odległych owczych farm – być może prowadzonych przez angielskich dżentelmenów i ich ladies, które pały chęcią zatrudnienia wyszkolonej pokojówki. Lizzie się obawiała, że utonie w tej beznadziei, zwłaszcza kiedy jej maoryscy przyjaciele udawali się na wędrówkę. Tęskniła za Kahu Heke i jego kanu, tak jak dziewczyny marzą o księciu na białym koniu. W myślach widziała, jak jego kanu przybija do plaży w Kaikourze, ona wsiada do niego i odpływa z tego tak nędznego życia.

Lizzie nie wiedziała tylko, dokąd miałyby prowadzić jej ucieczka z Maorysem. Czasami myślała nawet, że lepiej byłoby się ujawnić i pogodzić z ryzykiem ponownego przewiezienia na Ziemię van Diemena. W *female factory* czuła się lepiej niż w Green Arrow, a w końcu nawet najcięższe zbrodniarki były kiedyś ulaskawiane. Przyłapywała się też na tym, że marzyła nawet o życiu u bezzębnego ogrodnika Smithersów...

A teraz zjawił się Michael.

Lizzie myślała o nim, leżąc pod wielorybnikiem, który tego ranka wbił swój harpun w olbrzymiego wieloryba z gatunku pływaczy szarych. Mężczyzna, niepozorny, brodaty gnom, od razu z dumą jej o tym opowiedział, chociaż trudno

było nie zauważyć tego połowu. A teraz śmierdział tak, jak gdyby wykąpał się w tranie i całe ciało miał pokryte lepłą mazią. Lizzie musiała odwrócić głowę, bo obawiała się, że zwymiotuje. Próbowała przypomnieć sobie twarz Michaela. Ciągłe świetnie wyglądał, może teraz nawet lepiej niż dawniej. Twarde życie i praca na powietrzu – a może także troska o Kathleen – wyostrzyły jego rysy i pogłębiły drobne zmarszczki. W efekcie wyglądał wręcz młodziej. Ale tak jak dawniej nadal sprawiał wrażenie wesołego zawiadacza, a jego śmiech także brzmiał młodzieńczo. Lizzie próbowała ustalić, co właściwie do niego czuła. Czy za nim tęskniła? Czy chciałaby dzielić z nim życie, tak jak chciała wtedy, kiedy grali rolę męża i żony w drodze do Nowej Zelandii? Przynajmniej na jedno pytanie mogła odpowiedzieć szybko: z pewnością nie wyobrażała go sobie jako kochanka. W tej chwili w ogóle nie pragnęła miłości fizycznej. A jednak cieszyło ją to, że się pojawił. I dlatego czuła niemal... nadzieję!

Oczywiście było to głupie. Michael nie miał w sobie nic z księcia z bajki. Ale jednak – coś kazało jej walczyć, aby mieć go koło siebie. To było tak, jak gdyby Michael otwierał jakąś stronę w niej samej – do diabła, przecież nie zabierze jej na swojego białego konia i nie ucieknie z nią, ale był przecież mężczyzną! Nikt nie mógł mu przeszkodzić, gdyby chciał zrealizować coś, co przysłoby mu do głowy. Tylko nie za bardzo się wykazał jako człowiek mający jakieś pomysły – nie odniósł sukcesu, starając się o Mary Kathleen ani też w związku z Lizzie. A przecież nie był ani za głupi, ani też zbyt dumny, aby słuchać kobiet. Lizzie czuła się na siłach, aby samej zebrać cugle białego konia i wyprowadzić księcia na właściwą drogę. Musiała tylko coś wymyślić. Może gdyby się dowiedziała, co robił... skąd się wziął i co robił teraz.

Ale czy nie wiedziała czegoś, co było decydujące w jego historii? Serce Lizzie biło gwałtownie, kiedy wielorybnik, stękając głośno, wreszcie zsunął się z niej. Jeśli prawdą było to, co Michael opowiadał jej o Irlandii, to może byłaby to szansa, aby ona była wreszcie zarówno bogata, jak i uczciwa!

Lizzie nie od razu wróciła na swoje miejsce pracy do baru. Pełna obrzydzenia zmyła z siebie dokładnie ślady ostatniego klienta i włożyła jedną z porządnych sukien. A potem poszła się usprawiedliwić do Pete Huntera.

– Pete, wybacz, ale... mam niespodziewanych gości – zaczerwieniła się. Dziwki, używając tego zwrotu, informowały, że mają okres.

Hunter spojrzał na nią niechętnie.

– Co, już znowu, Lizzie? Tydzień temu też byłaś niedysponowana.

Lizzie patrzyła w podłogę.

– Ja... coś złapałam... w każdym razie wyleczyłam się, ale teraz... no, zdarza się, że potem się krwawi.

Miała nadzieję, że gospodarz wie na tyle mało o kobiecych przypadłościach, aby jej uwierzyć. W końcu nie mogła zająć w ciąży kilka dni po ostatnim okresie. Ale Pete

tylko machnął ręką.

– Już dobrze, najważniejsze, żebyście nie chodziły tu z brzuchami. Chcesz wyjść?

Rzucił krótkie spojrzenie na jej suknię.

– Nie byłoby lepiej, żebyś się położyła do łóżka?

Lizzie udała, że wykręca się od odpowiedzi.

– Pete, ja muszę... jeszcze raz pójść do tej kobiety. Właśnie z tego powodu... nie chcę mieć dłuższej przerwy, niż to naprawdę konieczne.

Michael na szczęście stał już z Claudią przy barze i widział, jak ona wychodzi. Lizzie miała nadzieję, że pójdzie za nią, i rzeczywiście dogonił ją zaraz za rogiem.

– Znowu można cię spotkać na nieoświetlonych ulicach! – Uśmiechnął się szeroko i przyjacielsko objął ją ramieniem. – Opowiedz mi, co porabiałaś, Lizzie! Albo nie, poszukajmy najpierw jakiegoś przytulnego pubu, gdzie moglibyśmy się czegoś napić.

Lizzie potrząsnęła głową.

– Nie ma tu takiego pubu, Michael. Wszystkie trzy puby to jednocześnie burdele, a ja nie mogę się pokazać w Golden Horseshoe albo w Paul's Tavern, kiedy wymknęłam się z pubu Pete'a. Jak chcemy się czegoś napić, to musisz zdobyć skądś butelczynę i pójdziemy na dół, do portu.

Wiosenna noc nie była zbyt zimna, ale Lizzie mimo to dygotała, kiedy czekała przy nabrzeżu na Michaela. Nabrzeże było jedynym miejscem, gdzie mogli się spotykać mężczyźni i kobiety, którzy rzeczywiście się kochali, a nie robili ze sobą interesy. Synowie rybaków spędzali tu czas ze swoimi dziewczynami, często w łodziach ich własnych ojców. Lizzie zastanawiała się właśnie, czy też ma wejść do jednej z tych łodzi, kiedy pojawił się Michael z butelką whiskey.

– Co za paskudztwo! – złościł się, kiedy wypił łyk i podał butelkę Lizzie. Dziewczyna uśmiechnęła się tak, jak gdyby liczyła się z taką reakcją.

– Także o tym chciałabym z tobą pomówić – rzekła. – Ale najpierw opowiedz ty. Co z twoimi planami związanymi z Irlandią?

Michael opowiedział w ogólnych zarysach, co się z nim działo, a Lizzie się śmiała.

– A więc wystawiła cię do wiatru twoja Mary Kathleen! – szydziła. – A miała przecież do końca swoich dni czekać na ciebie, odmawiając ciągle modlitwę za zaginionego ukochanego!

– Na pewno nic nie mogła zrobić! – Michael uparcie bronił swojej miłości. – Pewnie...

Lizzie przewróciła wymownie oczami.

– W każdym razie nie zaoszczędziłem jeszcze pieniędzy na Irlandię – przyznał – czy też na Amerykę. Jako pasterz bydlęta nie zarabia się zbyt wiele. Stary Fyffe trzyma nas dość krótko.

Lizzie przytaknęła, choć miała na końcu języka kolejną złośliwość.

W rzeczywistości dobrzy postrzygacze zarabiali znacznie więcej niż większość wielorybników i myśliwych polujących na foki. Bądź co bądź widziała, gdzie właśnie powędrowały pieniądze Michaela.

– A u ciebie co się dzieje? – zmienił temat Michael. – Pozostałaś wierna dawnemu rzemiosłu?

Lizzie potrząsnęła głową i opowiedziała najpierw o Busbych.

Michael złapał się za głowę, kiedy opowiedziała też o Smithersie.

– Nie do wiary! – śmiał się. – W Nowej Zelandii mieszka jakieś pięćdziesiąt tysięcy białych ludzi i akurat on wpada ci w ramiona. Zdaje się, że to przeznaczenie, Lizzie, pogódź się z tym! No i mimo wszystko masz nową pracę!

Lizzie spojrzała na niego z boku.

– Chętnie bym ci ją oddała, Michael. Nawet bym się z tobą zamieniła, owce nie śmierdzą bardziej niż te chłopy, a przede wszystkim nie musiałabym się do nich uśmiechać. Nie musiałabym się też obawiać, że zajdę w ciążę w tej pracy, od tryków nie zaraziłabym się żadną paskudną chorobą... Do cholery, Michael, mam dość!

Michael wzruszył ramionami.

– Mogę zapytać starego Fyffe'a – powiedział pojednawczo. – Zatrudniamy przy owcach kilka maoryskich dziewcząt. Ale dziewczyna *pakeha* z portowej dzielnicy w Kaikourze? Lizzie, na Boga, te typy ze stacji wielorybniczej stracą głowę. A gdzie chcesz mieszkać?

Lizzie westchnęła.

– Nie chcę iść do owczarni, Michael. Chcę robić coś innego. Słuchaj, ty...

– Nie moglibyśmy gdzieś pójść? – przerwał jej Michael, który trząśnięty z zimna. – Może do stajni, koło mojego konia jest ciepło.

– To jest coś, co przemawia za moim pomysłem! – stwierdziła Lizzie.

Michael spojrzał na nią zaskoczony.

– Ty chcesz iść do stajni? – spytał.

Lizzie wymownie dotknęła czoła.

– Chcę iść pod jakiś dach z butelką whiskey! Ale musi być lepsza od tego, co pijemy teraz. Michael, ty to dawniej sprzedawałeś. Potrafiłbyś też pędzić?

Michael się zastanawiał.

– Mój ojciec pędził whiskey. Ale to nie jest takie trudne. Do destylacji potrzeba trochę sprzętów... Kocioł i ziarno. A poza tym ważną rolę odgrywa drewno. Trzeba mieć dębinę albo jesion. A tego tutaj w ogóle nie ma.

Lizzie machnęła niecierpliwie ręką. Szczegóły jej nie interesowały.

– Potrafisz to robić czy nie? – spytała chłodno.

Michael przytaknął zdecydowanie.

– Potrafię. Ale... Gorzelnia whiskey... Czy to tutaj wolno robić?

Lizzie potarła oczy. Nie sądziła, że będzie aż tak trudno.

– A czy w Irlandii przejmowałeś się tym choć odrobinę? Michael, tu zaraz za miastem zaczyna się puszcza! Zbuduj sobie w górach jakąś szopę i nikt nie będzie tropił gorzelni whiskey! A jeśli nie da się inaczej, to zapłacisz parę groszy podatków. Kaikoura jest pełna spragnionych ludzi, którzy mają dość tego paskudztwa... – Pokazała na butelkę. – To ani tobie, ani mnie nie smakuje. Jeśli nasz wyrób będzie tylko odrobinę lepszy, to wystarczy, abyśmy go z łatwością sprzedali.

– A co to ma wspólnego z końską stajnią? – spytał Michael, otwierając stajnię należącą do Green Arrow. Jego mały, rudy koń powitał go cichym prychnieniem.

Lizzie zmusiła się do cierpliwości.

– To ma coś wspólnego z tym, że w tym mieście brakuje porządnej gospody. Takiej, w której nie sprzedaje się kobiet, a do której rybak może przyprowadzić swoją dziewczynę i oboje nie będą musieli się wstydzić albo marznąć w porcie. Wynajmiemy jeden z tych starych domów!

– My? – spytał Michael z niedowierzaniem.

Wydawało się, że powoli zaczynał pojmować, iż Lizzie mówiła całkiem poważnie i że jej plany nie dotyczyły wyłącznie jego. Ale to zawsze przychodziło mu z niejakim trudem. Lizzie się starała, aby znów nie ogarnęło jej rozczarowanie i zniechęcenie. Musiała być rzeczowa i pamiętać, że stosunki, jakie miały łączyć ją z Michaeliem, miały być tylko służbowe. Nie chciała wychodzić za mąż za księcia, chciała prowadzić jego konia...

– Myślałam, że to ja będę prowadzić gospodę – wyjaśniła podekscytowana. – A ty będziesz dostarczał mi whiskey. A właściciele pubów i tak wkrótce będą chcieli kupować twój wyrób. I tu trzeba będzie towar zróżnicować. Możesz pędzić bardzo dobrą whiskey dla nas i nie taką dobrą dla innych. Wówczas wszyscy będą pić u nas, a po dziewczyny pójdą do Green Arrow. I wszyscy będą zadowoleni.

– Ale najpierw będziemy musieli zainwestować w to pieniądze! – zauważył Michael. – Miedziane kotły są drogie. I będę musiał trochę poeksperymentować. Będą potrzebne butelki!

Lizzie przytaknęła.

– Ja oszczędziłam trochę pieniędzy – odparła. – A ty chyba też?

– Na Irlandię – odpowiedział Michael z zaciętością.

Lizzie miała ochotę mocno nim potrząsnąć.

– Dobry Boże, Michael, jak rozkręcimy destylarnię i gospodę, to w rok zarobisz tyle, że będziesz mógł zaraz wracać do Irlandii i poszukać tam od razu trzech dziewczyn, które nazywają się Mary i znają na pamięć swój modlitewnik! A tak ani ty nie odniesiesz sukcesu, ani ja nie będę mogła rzucić Green Arrow. Michael, spróbujmy! Jesteś mi coś winien!

W czasie najbliższych kilku tygodni Michael ścinał drzewo w lesie, w czym pomagali



mu Tane i Maui. Trzej mężczyźni zbudowali sobie chatę i eksperymentowali przy destylacji różnych gatunków drewna.

– Jeśli drewno będzie wilgotne albo jeśli przy jego paleniu powstaje za dużo dymu, to takie się nie nadaje – wyjaśniał Michael. – Wówczas ktoś z miasta to zauważy, a ja od razu będę mógł powiesić drogowskaz dla śledczych.

Lizzie pochwaliła go za tak daleko idącą przezorność i powstrzymała się od wygłoszenia uwagi, że w Kaikourze nie było nawet posterunku policji. Miała zupełnie inne zmartwienia. Kaikoura leżała na uboczu, dookoła prawie nie było rolnictwa. Skąd mieli brać ziarno potrzebne gorzelni?

Lizzie najpierw zamówiła różne gatunki zboża w znanym jej już sklepie. Oświadczyła, że potrzebuje ich do specjalnego wypieku, który chciała przygotować w ramach tęsknoty za domem.

– Ale co można upiec ze słodu i żyta? – dopytywała się nieufnie gruba żona kramarza.

– Aaa... tak... no, niemiecki chleb! – odpowiedziała Lizzie.

Mrs Laderer wyrabiała w Sarau ciemny chleb z grubo mielonego ziarna z dodatkiem różnego rodzaju przypraw; Lizzie nie za bardzo pamiętała jakich, ale składniki były podobne do tych, z których pędziło się whiskey.

– Jesteś Niemką? – Żona kramarza była coraz bardziej zdziwiona. – Bo mówisz, jakbyś była z Cheapside w Londynie.

Lizzie przytaknęła.

– Zgadza się. My... wyjechaliśmy do Anglii, kiedy byłam całkiem mała – wymyśliła na poczekaniu. – Ale właściwie jestem z... z... St. Pauli!

Tak nazywał się statek, który przywiózł pierwszych Niemców do Nelson, a Lizzie mgliście sobie przypominała, że była to też nazwa miejscowości.

– No tak, racja – mruknęła żona kramarza i wręczyła Lizzie jej towary.

Michael musiał pojechać do Christchurch, aby kupić miedziany kocioł i kolby. Ale wśród gorliwych wyznawców Kościoła anglikańskiego nikt nie sprzedawał sprzętów do produkcji whiskey. W końcu Michael przekonał aptekarza, aby ten sprzedał mu część wyposażenia jego apteki. Kocioł i kolby do destylacji były co prawda mniejsze niż te, których używał jego ojciec, należało więc z początku pędzić mniejsze ilości.

Kilka dni później Michael przedestyłował pierwszą porcję alkoholu na oczach Lizzie i nieco zdumionych Maorysów Tane i Maui. Mężczyźni złali płyn do pustej beczki, którą znaleźli wśród rupieci w szopie braci Fyffe'ów. Stary wilk morski Robert sprowadzał whiskey ze Szkocji i puste beczki zwykle odkładał gdzieś na swojej farmie.

– To z pewnością jest whiskey! – oświadczył Michael z miną znawcy, spróbowałszy kilka pierwszych kropel. – Tylko powinna teraz leżakować kilka lat.

– Kilka lat? Zwariowałaś? – Lizzie, która z ciekawością i napięciem czekała, aż w kolbach pokaże się alkohol, popukała się wymownie w czoło. – Wymyśl taki przepis, żebyśmy mieli whiskey zaraz. Teraz moja kolej, otwieram gospodę! I potrzebna mi whiskey!

Michael jej nie rozczarował. Zaledwie tydzień później zaprezentował jej całkiem niezły i nadający się do picia wyrób – a potem pędził wódkę z najdziwniejszych produktów, także z nowozelandzkich słodkich ziemniaków. Dla uproszczenia Lizzie nazywała to wszystko whiskey. Co to mogło obchodzić klientów, jak naprawdę smakowała whiskey? W razie wątpliwości Lizzie była gotowa mieszać ten wyrób z innymi cieczami – Mrs Busby pijała czasem koktajle i Lizzie zapamiętała kilka przepisów. Zaimponowała jej zwłaszcza mieszanka kawy i whiskey, którą przyjaciółki Mrs Busby ceniły szczególnie. Nie było widać ani czuć wlanego do kawy alkoholu, którego nadmierne spożywanie przez kobiety było jeszcze bardziej potępiane niż picie przez mężczyzn.

Lizzie, która liczyła także na klientelę wywodzącą się z żeńskiej części mieszkańców miasta, nazwała swój nowo otwarty lokal Irish Coffee – a jego oferta najbardziej uradowała spracowane żony rybaków, które zawsze wyczerpane i często przemarznięte wracały do domu z porannego połowu jeszcze przed południem. Ich mężowie nie mogli im nic zarzucić, jeśli wstępowały po drodze na kawę i chwilę pogawędki, tym bardziej że Lizzie nigdy nie żądała za swój napój więcej niż jednego pensa. Dla rybaków także były ceny specjalne – bo to oni pomogli Lizzie znaleźć dom na gospodę. Stał on tuż przy porcie, a zbudował go jeden z myśliwych polujących na fokę, który teraz wyprowadził się na zachodnie wybrzeże. Na wpół rozwalona szopa stała od tego czasu pusta, ale Michael i obaj Maorysi szybko odrestaurowali ją na tyle, by Lizzie nie musiała się obawiać, że któregoś dnia zginie pogrzebana pod jej gruzami. Lizzie sama pomalowała domek na zielono, a niektóre elementy na brązowo i umocowała nad drzwiami szyld z nazwą gospody.

– Teraz klienci muszą się nauczyć, że gospodyni jest tylko do oglądania! – śmiał się Michael, kiedy otworzyła swój lokal.

A Lizzie już poprzez swój stonowany strój dała wszystkim wyraźnie do zrozumienia, że nie zamierza dalej być dziewczyną na sprzedaż. Zawsze nosiła jedną ze swych ciemnych sukien z wysokiej jakości materiału, co prawda o nieco większym dekolcie niż na pójście do kościoła, ale mimo to bardzo powściągliwą. Na suknię wkładała śnieżnobiały fartuszek, ale na jej elegancko upiętych włosach nie było czepka.

– Nauczą się na pewno! – zaśmiała się Lizzie.

I rzeczywiście potrafiła z uśmiechem delikatnie wskazać zbyt natrętnym klientom, gdzie jest ich miejsce. Przez pierwsze tygodnie jeden z barczystych

Maorysów stał dodatkowo przy barze, popijał piwo i był gotów wyprosić niezbyt grzecznych biboszy – zawsze uprzejmie, ale stanowczo. Dość szybko obowiązek ten przejęli stali klienci. Gospodę Lizzie chętnie odwiedzali rybacy i rzemieślnicy, którzy po pracy chcieli w spokoju czegoś się napić i czasem wygadać się przed miłą gospodynią. Nawet bibosze byli wieczorami samotni, ale niefrasobliwie, wieczorami często już pijane dziwki w burdelach nie zawsze ich pociągały, niezbyt często też mogli sobie pozwolić na ich towarzystwo. A rozbrajający, ciepły uśmiech Lizzie był zawsze darmowy, podobnie jak kanapki i drobne słodycze, które choć trochę zaspokajały głód klientów. Większość samotnych mężczyzn mieszkała w nędznych, prymitywnych mieszkaniach, gdzie nie za bardzo można było coś ugotować. Irish Coffee szybko stała się czymś w rodzaju ciepłego, zacisznego domu. Po kilku tygodniach jedna z żon rybaków zaproponowała otworzenie obok gospody smaźalni ryb.

– Krewetki – powiedziała kobieta, Maoryska, która wyszła za jednego z białych mężczyzn. – Od nich pochodzi nazwa miejscowości. Kaikoura znaczy: „posiłek z krewetek”. Są pyszne i nie można ich porównać z niczym innym.

Lizzie zgodziła się natychmiast po tym, kiedy skosztowała krewetek, i zaczęła oferować dodatkowo właśnie krewetki oraz zupę rybną po naprawdę przystępnych cenach. Michael był zaskoczony, kiedy po upływie połowy roku najpierw podała mu obfity obiad, a potem przedstawiła pierwsze rozliczenie. Przejęła całkowicie dystrybucję pędzonej przez niego whiskey. To, czego nie sprzedawała ona sama, wędrowało do pozostałych pubów.

– To niewiarygodne! – wymamrotał Michael. – Tyle nie zarabiałem nawet w dwa lata.

Lizzie przytaknęła zadowolona.

– A w dodatku mniej wydajesz, bo nie musisz już kupować whiskey – dokuczała mu.

Michael po raz pierwszy od długiego czasu popatrzył na nią poważnie. Podobało mu się to, co zobaczył. Lizzie w ostatnich miesiącach trochę przytyła i nie wyglądała już jak wychudzony kot. Miała świeżo umyte, lśniące włosy, a na jej twarzy widać było zadowolenie. Nie była tak piękna jak Kathleen, ale miała w sobie wiele słodyczy i radości. Michael myślał o tym, jak tkliwa i delikatna była wtedy na statku i jak ciepło potrafiła się uśmiechać. Nic dziwnego, że połowa Kaikoury kochała się w Miss Lizzie, gospodyni z Irish Coffee.

Delikatnie odgarnął z jej twarzy kosmyk włosów i przyciągnął ją do siebie, chcąc ją pocałować.

– Mam jeszcze jeden pomysł, jeśli chodzi o oszczędzanie – wyszeptał jej do ucha. – Nie potrzebuję dziewczyny z Green Arrow, kiedy tutaj mógłbym schrupać gospodynię. Poważnie, Lizzie, jesteś tak urocza w swojej skromnej sukieneczce.

Wyglądasz tak grzecznie i sympatycznie. Jak myślisz, nie moglibyśmy wreszcie pobyć razem – ale w nieco inny sposób?

Lizzie przez chwilę walczyła z uczuciem słabości, które opanowało ją, kiedy tylko Michael jej dotknął. Do cholery, ciągle jeszcze nie była uodporniona na blask jego niebieskich oczu i czułe słówka! Szybko wyswobodziła się z jego ramion i cofnęła się o dwa kroki do tyłu.

– Ja chciałam być uczciwa, a ty bogaty – powiedziała nieubłaganie. – I robię, co mogę, aby ci pomóc w tym ostatnim. Ale akceptuj, proszę, także moje życzenia.

Michael skinął głową. Nigdy więcej nie dotknął Lizzie w Kaikourze.

# **GORĄCZKA ŻŁOTA**

**DUNEDIN, KAIKOURA, TUAPEKA, OTAGO**

**1859–1862**

# ROZDZIAŁ 1

Dunedin było w pewien sposób podobne do Christchurch. Także ono było miastem młodym i w ciągłej rozbudowie. Pierwsi szkoccy osadnicy przybyli tu zaledwie dziesięć lat temu. Przedtem jednak była tu stacja wielorybników, a myśliwych kusila także kolonia fok, która istniała dziś jeszcze w pobliżu centrum miasta.

Trzystu pięćdziesięciu mających przed sobą jasny cel Szkotów, którzy wylądowali na dwóch statkach na Wyspie Południowej w 1848 roku, zlikwidowało prymitywne osiedla składające się z namiotów i drewnianych chat. Zamysłem Szkotów była założenie miasta i wzniesienie budowli, które miały przetrwać niemal wieczność. Miał tu powstać nowy Edynburg. Ortodoksyjni zwolennicy Church of Scotland natychmiast przystąpili do wznoszenia monumentalnych, kamiennych budynków. Wszyscy byli fanatycznymi kalwinistami, a postawa tradycyjnych Kościołów szkockich w kwestiach wiary była dla nich zbyt liberalna. Nowi obywatele Nowej Zelandii uważali siebie za wybrańców Boga i próbowali dać temu wyraz, pracując niemal bez przerwy w celu osiągnięcia dobrobytu gospodarczego. Stawiali też na surową dyscyplinę i porządek.

O tym wszystkim wiedziała i opowiadała Claire, podczas kiedy muły ciągnęły na południe powóz wraz z siedzącą w nim Kathleen i dziećmi.

– Mam nadzieję, że tam kobiety interesują się modą, choć podobno są bardzo ascetyczne. A może traktują piękne suknie jako zbędny luksus?

Kathleen wzruszyła ramionami.

– W coś muszą się ubierać. I chyba nie wszyscy mieszkańcy to wyłącznie Szkoci, prawda?

– Nie wiem – przyznała Claire. – Ale podobno wszyscy są tam bardzo, bardzo pilni i pracowici, a my przecież też takie jesteśmy. Poradzimy sobie, Kathleen!

Nastrój Claire znacznie się poprawił od chwili, kiedy znalazła się w podróży. Kathleen była nawet zdania, że przyjaciółka zdumiewająco szybko uporowała się z ucieczką i postępkami swego męża rozbójnika, ale Claire po prostu była niepoprawną optymistką i marzycielką. Uroda otaczającego je krajobrazu także dodawała jej otuchy. W tym regionie istniała już dobra droga wiodąca wzdłuż wybrzeża, a z niej roztaczały się wspaniałe widoki na błękitne laguny i strome klifowe skały. Odległe góry wydawały się schodzić coraz niżej, od kiedy kobiety opuściły płaski krajobraz rolniczy Canterbury Plains i dotarły do bardziej górzyszej okolicy Otago. Dla Claire każdy zakręt drogi oznaczał możliwość czekania na cud, który mógł się nagle stamtąd wyłonić. Nie przestawała żartować z Chloé i Heather

i opowiadać im coraz to nowych historii.

Kathleen przynajmniej w czasie pierwszych dni podróży ciągle rozglądała się z niepokojem, choć wiedziała, że Ian nie mógł jej ścigać. Nawet gdyby z jakichś powodów miał wcześniej wrócić ze swej podróży, Colin wysłałby go najpierw do Nelson. Jednak Kathleen wiedziała, że będzie spokojniejsza dopiero wtedy, kiedy będzie mogła zniknąć wśród wielu ludzi w jak największym mieście. Jeśli w ogóle kiedykolwiek będzie spokojniejsza. Kathleen dawno marzyła o takiej ucieczce, ale już teraz prześladowały ją wyrzuty sumienia. W oczach swojego Kościoła Kathleen zawiodła po raz drugi. Po pierwsze nie wyszła za męża jako dziewica, a teraz w dodatku opuściła męża. Nie ważyła się myśleć o tym, co ojciec O'Brien powiedziałby na temat takich uchybień swej dawnej ulubionej uczennicy!

Za to syn Kathleen Sean podchodził do tego mniej więcej tak jak Claire. Oszałamiały go nowe wrażenia i czuł się wolny. Dla kalwinistów – także o tym powiedziała mu Claire – dużą rolę odgrywało wykształcenie, a w Dunedin ponoć już powstawały dobre szkoły, planowano nawet założenie uniwersytetu. I nikt nie będzie go tu łąć, jeśli będzie przedkładać naukę nad pracę w stajni. Z pewnością też nie będzie musiał pokonywać wielu mil na końskim grzbiecie, żeby dotrzeć do szkoły! Sean cieszył się na nowe życie i z zachwytem przyglądał się nowym budowlom i pilnie pracującym ludziom na ulicach, kiedy już dotarli do miasta.

Heather i Chloé były mniej zachwycone swoją nową ojczyzną.

– Ależ *mommy*, tutaj przecież nic nie jest skończone! – zwróciła uwagę Heather, kiedy minęli drugą i trzecią budowę w stanie surowym. – To gdzie będziemy mieszkać?

W czasie podróży dzieci spały w wozie, a Kathleen i Claire pod nim. Ale w Dunedin było to oczywiście niemożliwe, zwłaszcza dla przyszłych kobiet interesu! Kathleen, która w nowym mieście czuła się równie niepewnie jak córka, spoglądała z niepokojem na Claire. A ona z błyszczącymi oczami przyglądała się pracy rzemieślników.

– No, najpierw w jakimś pensjonacie – wyjaśniła Claire, która z pewnością była bardziej obyta w świecie niż jej przyjaciółka. – Albo w jakimś hotelu! Aż do chwili, kiedy znajdziemy dom, który będziemy mogli wynająć.

Kathleen rozglądała się sceptycznie.

– Gdzie ty chcesz coś wynająć? Heather ma rację, te domy są wszystkie w budowie. Ale Claire wzruszyła ramionami.

– Inwestorzy budowlani też muszą gdzieś mieszkać. A kiedy jeden z tych nowych domów będzie gotowy, to stary zostanie pusty. Nie martw się bez przerwy, Kathie! Znajdziemy coś!

Kathleen udała się najpierw na poszukiwanie stajni do wynajęcia i szybko coś znalazła. Obok budynków stajni wznoszono też hotel, ale na razie widać było

niewiele więcej niż tylko fundamenty.

– Pensjonat? – powtórzył opiekujący się stajniami mężczyzna w odpowiedzi na nieśmiałe pytanie Kathleen. Był to potężny, niedźwiedziowaty człowiek nazywający się Duncan McEnroe. Na dźwięk tego nazwiska Claire zaraz przyszły na myśl obrazy przedstawiające wojowników walczących w obronie rodzinnych klanów i opowieści o dawnych bohaterach. McEnroe, co prawda, nie sprawiał wrażenia bohatera, był raczej mrukliwy i podejrzliwy. Już sam sposób, w jaki wymówił słowo pensjonat, kazał się domyślać burdelu.

– No tak, jest tu chyba jakieś porządne, czyste schronisko, gdzie przyzwoita kobieta może się zatrzymać na kilka nocy i gdzie nie będzie się czuła zagrożona – sprecyzowała Claire.

McEnroe uniósł ze zdziwieniem brwi.

– A skąd się pani w ogóle wzięła? – zapytał gburowato. Wszystko wskazywało na to, że w Szkocji przywiązywano niewielką wagę do uprzejmości i grzeczności. – Dwie baby same, z dziećmi, ale bez męża?

– Mój mąż pływa po morzu – wyjaśniła Claire, co akurat było prawdą. – A Mrs Coltrane jest wdową.

To znów było bujda. Kathleen pokornie spuściła głowę.

– To czemu same jeździcie po okolicy?

Duncan McEnroe nie był jedynym człowiekiem, który chciał się tego dowiedzieć. Także dwie gospodynie pensjonatów, których adresy w końcu niechętnie podał kobietom, zadawały dociekliwe i niedyskretne pytania. Pierwsza z nich kategorycznie odmówiła przyjęcia pod swój dach kobiet z dziećmi, druga nie uwierzyła w opowiadaną przez Claire historię o zaginionym mężu i kiepskich żniwach, które zmusiły kobiety do porzucenia swych farm na Canterbury.

– Kto jest prawy i uczciwy i porządnie obrabia swoją ziemię, temu Bóg zsyła obfite żniwa! – oświadczyła drobna, starsza dama i zamknęła kobietom drzwi przed nosem.

– No, widać, że nigdy nie słyszała o zarazie ziemniaczanej – zauważyła Kathleen.

– Przed wyjazdem tutaj pewnie nigdy nie wychyliła nosa z Edynburga! – przypuszczała Claire. – Prawdopodobnie była żoną jakiegoś bardzo surowego kalwinisty, który zmarł w czasie podróży, i teraz musi wynajmować pokoje, żeby przetrwać...

W tym momencie Kathleen ruchem ręki nakazała Claire umilknąć.

– Claire, nie trwoń swojej sztuki opowiadania bajek dla tej starej wiedźmy! Lepiej zastanów się, co robić. Musimy gdzieś znaleźć nocleg i schronienie.

Kobiety szły przez miasto razem z marudzącymi, zmęczonymi dziećmi. Zarys ulic miasta tworzył ogromny ośmiokąt. Zabudowa była już rozplanowana i wszystko wskazywało na to, że kiedyś będzie to naprawdę piękne miasto. Ale na razie



w Dunedin było naprawdę niewiele budynków. A w dodatku jeszcze zaczęło padać.

– Najlepiej będzie, jak przyprawdzimy naszą furę i poszukamy czegoś za miastem – powiedziała Kathleen zniechęcona.

Ale Claire w ogóle jej nie słuchała. W samym środku ośmiokąta dostrzegła właśnie dziwny plac budowy. W przeciwieństwie do pozostałych placów nie było tu kamieni stojących jeden na drugim, za to pośrodku ktoś rozbił namiot.

– Popatrz, tam ktoś mieszka w namiocie! – powiedziała podekscytowana Claire. – Może tak się robi, jeśli chce się budować. Może w ten sposób dostaje się ziemię! To znaczy, jeśli się odpowiednio długo na niej mieszka, to wtedy grunt jest przyznawany. Chodź, zapytamy!

Kathleen uniosła brwi. Claire miała doprawdy dziwne wyobrażenia na temat nabywania ziemi, czego przyczyną było zapewne czytanie zbyt wielu baśni i legend. W bajkach Claire bogowie darowywali ludziom ziemię, której rozmiary zależały od tego, ile człowiek był w stanie przejść w ciągu jednego dnia. Albo ziemię, na którą rzucało się włócznią lub też mierzyło się ją za pomocą skóry wołu, tak jak zrobiła Dydona w Kartaginie. Kathleen jednak nie mogła sobie wyobrazić prowadzenia takich archaicznych zabaw w samym środku Dunedin. Tu ziemię najprawdopodobniej się dzierżawiło albo kupowało, a jeśli ktoś rozbił namiot tam, gdzie było to zabronione, to po prostu wylatywał.

Ale Claire nie można było powstrzymać. Uderzyła kilka razy ręką w ścianę namiotu, aż w środku ktoś się poruszył. Za chwilę wyszedł stamtąd wysoki, ubrany na ciemno mężczyzna.

Stojąca w pewnym oddaleniu Kathleen nie słyszała, o czym rozmawia z nim jej przyjaciółka, ale odetchnęła, kiedy zobaczyła, że Claire przywołuje ją ruchem ręki.

– Niechże pani wejdzie, bo przemoknie pani na tym deszczu! – powiedział przyjaźnie mężczyzna. Rzeczywiście, zapadał zmrok, a deszcz nie ustawał.

Mężczyzna miał przyjemny głos, sympatyczne brązowe oczy, brązowe włosy nad wysokim czołem i dołek w brodzie, co świadczyło o tym, że zapewne często się śmiał. Choć jego pozycja społeczna zmuszała go zapewne do zachowywania postawy pełnej godności. Koloratka pod szyją świadczyła o tym, że był duchownym.

Kathleen i dzieci weszły za Claire pod płócienny dach i znalazły się w zaskakująco przytulnie urządzonej wnętrzności. Stały tu fotele i sofa, także ciężki drewniany bufet oraz duży stół. Pomieszczenie sprawiało wrażenie dość zapchanego, jak gdyby meble były przeznaczone do urządzenia jakiegoś większego domu. Ale nic nie wskazywało na to, że wielebny traktował swoje mieszkanie jako prowizoryczne.

– Wielebny Peter Burton z Kościoła anglikańskiego – przedstawił się mężczyzna. – A dokładniej mówiąc, z anglikańskiej diecezji w Dunedin. Ale na razie bez biskupa.

– Będzie pan biskupem? – spytała Claire z szacunkiem.

Wielebny Burton się roześmiał.

– Nie, z pewnością nie. W każdym razie bardzo bym się zdziwił, gdyby tak się stało. Jestem bardziej osobą trzymającą to miejsce. W najprawdziwszym znaczeniu tego słowa.

– No widzisz! – zatriumfowała Claire, zwracając się do Kathleen. I kiedy już dziewczynki dygnęły przed wielebny, a Sean podał mu grzecznie rękę, wyjaśniła Burtonowi swoją teorię zajmowania ziemi w Dunedin. Wielebny roześmiał się w odpowiedzi jeszcze głośniej.

– Nie, *mylady*, takie łatwe to nie jest, choć w moim przypadku nie do końca się pani myli. Wygląda to tak, że Johnny Jones, dawny wielorybnik z Waikouaiti, który teraz jest farmerem, podarował Kościołowi ten plac budowlany. Świątynia będzie się nazywała St. Paul's Cathedral – choć szlachetnemu darczyńcy z pewnością bardziej pasowałaby nazwa St. John's, co z pewnością nie pozostałoby bez wpływu na jego dalszą hojność. Toteż złożyłem taką propozycję, ale nikt mnie nie słucha.

Wielebny poprosił Kathleen i Claire, aby usiadły. Przyniósł też dzbanek wody i nalał wszystkim po kubku. Potem usiadł i kontynuował swoją przemowę.

– Położenie naszego przyszłego domu Boga odpowiada ściślemu centrum miasta, jak panie zapewne zauważyły, co znów nie pasuje naszym kalwińskim ojcom miasta. Church of England w samym środku Edynburga! W każdym razie nasz plac budowy jest miejscem spornym i aby nikomu nie przyszło na myśl wznieść tu pomnik Jana Kalwina lub coś podobnego, obozuję tu w swoim namiocie.

Peter Burton uśmiechnął się szeroko.

– Jestem więc kimś w rodzaju Piotra Skały, na której kiedyś zbudujemy nasz kościół. Mam nadzieję, że biskup nie weźmie tego dosłownie i nie zamuruje mnie w fundamencie zgodnie z pogańskim zwyczajem, jako kogoś przynoszącego szczęście.

Kathleen patrzyła oszołomiona.

– Ale tego chyba nikt nie robi? – spytał przestraszony Sean w odpowiedzi na słowa Burtona.

Duchowny znów się roześmiał.

– Są ludzie, którzy uważają to za naprawdę dobry pomysł. Ale przyznaję ci rację, synu, to nie jest chrześcijańska myśl i biskup też z pewnością się do tego nie przychyli!

Claire podarowała mu jeden ze swych uśmiechów.

– Wnioskuje z pańskich słów, że pańska pozycja nie należy do najbardziej pożądanых w Kościele anglikańskim! – zauważyła, a potem dodała: – Ale musimy się najpierw przedstawić. Claire Edmunds i Kathleen Coltrane. Z Chloé, Heather i Seanem.

Burton oficjalnie podał rękę kobietom. Kathleen znów wstała i nieśmiało dygnęła.

– Chloé i ja należymy do Kościoła anglikańskiego – mówiła dalej Claire. –

Kathleen... no, ona jest Irlandką.

Burton skinął głową.

– Tym samym moja gmina właśnie powiększyła swój stan o dwie osoby. Czyli byłoby nas już... sędzę, że pięcioro! Mrs Coltrane i jej dzieci są oczywiście także mile widziane, zobaczy pani, że różnice nie są aż tak duże.

Kathleen skinęła głową. Bywała już w Lyttelton na anglikańskiej mszy w niedzielę.

– Ale co panie tutaj sprowadza, pomijając fakt, że chciałyby panie nabyć szybko i w prosty sposób ziemię?

Claire opowiedziała znów historię o zaginionym i zmarłym małżonku.

– Chcemy otworzyć zakład krawiecki! – wyjaśniła. – Może będziemy mogły tutaj zostawić kilka naszych rysunków? Żona pastora w Christchurch należała do naszych najlepszych klientek.

Kathleen się zaczerwieniła, ale Claire już wygrzebała z torby kilka rysunków.

Na ich widok wielebny Burton gwizdnął jak urwis.

– Piękne! – powiedział zachwycony. – Ale od razu mówię, że traficie panie z tym do niewielu ludzi, podobnie jak ja ze swoim nabożeństwem. Czy widziałyście tutejsze kobiety? Prześcigają się w swych wysiłkach, by wyglądać jak wrony!

Claire zachichotała i nawet Kathleen nie mogła też się nie roześmiać. W przeciwieństwie do przyjaciółki już w czasie jazdy przez miasto zauważyła, jak smutno i nieładnie ubrane były żony Szkotów. Gospodyni ostatniego pensjonatu rzeczywiście bardzo przypominała jakąś złośliwą wronę. Za to duchowny patrzył teraz na Kathleen z wyraźną przyjemnością. Dotychczas to Claire prowadziła rozmowy i na nią głównie zwracał uwagę, ale teraz zauważył włosy Kathleen w kolorze miodu, jej arystokratyczne rysy i niepokojąco zieloną barwę jej oczu.

– To tutaj – wielebny wskazał na jeden z rysunków, przedstawiający obcisłą suknię wieczorową – purytaninowi wyda się prostą drogą do piekła. Ostatecznie taka suknia każdemu mężczyźnie podsuwa grzeszne myśli.

Te słowa wcale nie zabrzmiały ostro w zestawieniu z uśmiechem Burtona. Claire nawet mrugnęła z konspiratorskim uśmiechem, ale Kathleen spojrzała na wielebnego z przestachem. Burton zaczął przyglądać się dyskretnie kobietom. Claire Edmunds sprawiała wrażenie swobodnej i beztroskiej, ale Kathleen Coltrane nie wyglądała jak pełna inicjatywy i odnosząca sukcesy kobieta interesu. Była raczej onieśmielona i przestraszona. A może przed czymś uciekała?

– No to co teraz z paniami zrobimy? – spytał duchowny. Kobiety robiły wrażenie wyraźnie zmęczonych, podobnie jak ich dzieci. – Myślę, że dzisiejszej nocy udzielię paniom azylu kościelnego. Przy czym sam kościół musicie sobie panie wyobrazić.

– Mamy spać tu u pana w namiocie? – spytała Claire, marszcząc czoło.

Wielebny Burton potrząsnął głową.

– Na Boga, mój biskup byłby mnie... A więc w Nowej Zelandii nie ma chyba

bardziej interesującej posady niż ta właśnie, ale gdzieś na świecie znalazłoby się kilku kanibali, do których należy koniecznie wysłać misjonarza!

– Jakie to przestępstwo ma pan na sumieniu? – spytała Claire. – To znaczy, skoro zesłano pana właśnie tutaj, a nie od razu do kanibali?

Kathleen miała już dość gadania. Heather dawno oparła się o nią i właśnie zasypiała, i nawet Sean wyglądał tak, jakby miał zaraz upaść. Ona sama czuła się zresztą podobnie i marzyła o łóżku. Nieco rozdrażniona zwróciła się do wielebnego:

– Proszę powiedzieć, gdzie mamy spać! W przeciwnym razie będziemy musiały czegoś sobie poszukać, a jest już przecież ciemno. A nie sądzę, żeby ów Mr McEnroe pozwolił nam przenocować w stajni.

– Raczej nie! – stwierdził sucho Burton. – Mogłaby pani uwieść konie! Nie, jak mówiłem, udzielę paniom azylu kościelnego. Widzicie to panie? – to mówiąc, uniósł plandekę w wejściu do namiotu i wskazał na drugi namiot, stojący kilka jardów dalej.

– To jest St. Paul's Church. Uroczyście położyliśmy kamień węgielny pod jego budowę, a ja rozbiłem w tym miejscu namiot. Teraz należy on do pań. W niedzielę odprawiamy tam mszę. Ale paniom niepotrzebna jest od razu cała katedra. W przyszłości ma w niej być miejsce dla pięciuset wiernych, jak mówi mój biskup.

Kathleen uśmiechnęła się do biskupa nieśmiało i przepraszająco.

– To bardzo... miło z pana strony.

Peter Burton machnął ręką.

– Nie ma jeszcze za co dziękować. Chociaż tak, jeśli wyświadcycie mi panie przysługę i zjecie ze mną mój ubogi posiłek, przy czym wcale nie musi on być ubogi, o ile będzie mi wolno wysłać tego młodego człowieka do rzeźnika. – Wskazał na Seana. – Nie spodziewałem się dziś odwiedzin. Ale głodować nie będziemy, mam też piec do gotowania. Chętnie bym więc nakarmił panie i dzieci pań, jeśli wolno.

Kathleen chciała się wymówić zmęczeniem, ale Claire rozpromieniła się i radośnie skinęła głową.

– Oczywiście, że wolno! Pozwólcie dzieciaczkom przyjść do mnie... A właściwie nawet musi pan to zrobić. A my jesteśmy bardzo wygłodniałe. Czy mamy coś ugotować? Ja, co prawda, nie za bardzo umiem, ale Kathleen jest wspaniałą kucharką.

Kathleen w końcu niezbyt chętnie objęła we władanie prowizoryczną kuchnię wielebnego Burtona, podczas kiedy on sam towarzyszył Claire i dzieciom w drodze do stajni. W przysłym kościele było sucho i ciepło, ale oprócz paru drewnianych ławek i krzyża nie było tam żadnego umeblowania ani oczywiście łóżek. Claire zaproponowała, aby jeszcze tego wieczoru przywieźć koce i pościel, którą kobiety miały w powozie, i trochę urządzić pomieszczenie. Chętnie też przyjęła propozycję towarzystwa ze strony wielebnego.

– Choć w oczach Mr McEnroe'a będzie pan z pewnością skompromitowany –

droczyła się z nim.

Burton wzruszył ramionami i otworzył olbrzymi czarny parasol, trzymając go nad głową młodej kobiety.

– W oczach Mr McEnroe’a wszyscy jesteśmy skazani na piekło. A najlepsze jest to, że niczego tu już nie możemy zmienić. Bóg już u zarania wszystkich czasów postanowił, że Duncan McEnroe pójdzie do nieba, a my nie. Toteż nic dziwnego, że Duncan tak zadziera nosa, a przecież nie ma w tym żadnej jego zasługi. W końcu też mógłby być skazany na piekło. W każdym razie teraz przywieziemy rzeczy pań, a jutro poszukacie sobie lepszej stajni do wynajęcia. Po drugiej stronie miasta rezyduje Irlandczyk Donny Sullivan. Trochę handluje końmi i oczywiście jest katolikiem. Ale poza tym to bardzo sympatyczny człowiek.

– Cóż więc takiego pan narozrabiał? – dopytywała się znów Claire godzinę później, kiedy wszyscy siedzieli za dużym stołem wielebnego Burtona. Wielebny odmówił krótką modlitwę, a przed każdym stała już parująca miska z mięsem, warzywami i ziemniakami. Wszyscy zajęli się jedzeniem, a duchowny nie szczędził pochwał kucharce. Kathleen rumieniła się zakłopotana i nerwowo sączyła wino ze swojego kieliszka. Dotychczas jeszcze nigdy nie piła wina, ale przecież Jezus też to kiedyś robił, nie mogło więc być to tak niegodziwe jak konsumpcja whiskey. Wielebny Burton wznosił z kobietami toast, otworzywszy najpierw zamaszystym gestem butelkę.

– Wypijmy za pierwsze odwiedziny w nowej diecezji! I za naszą fantastyczną kucharkę, Mrs Coltrane! – powiedział, uśmiechając się do Kathleen, która onieśmielona spuściła oczy i popatrzyła z boku na Claire, szukając pomocy.

A tamta wróciła do swojego pytania.

– A więc, cóż takiego się panu przydarzyło?

Claire wcale nie kryła swej inkwizytorskiej ciekawości. Kathleen wiedziała, że przyjaciółka nie spocznie, aż wielebny nie opowie swojej historii.

Burton spojrzał na nią taksującym wzrokiem.

– Jeśli się teraz wypowiadam, to potem chcę także usłyszeć historię pań! – odrzekł krótko. – I ma to być lepsza wersja niż ta z kiepskimi żniwami. Kilka miesięcy temu przejeżdżałem przez Christchurch, ladies. Na Canterbury Plains nie było kiepskich żniw. A już zwłaszcza zarazy ziemniaczanej! Powinnyście panie albo powiedzieć prawdę, albo zręczniejsz oszukiwać, inaczej ktoś wpadnie na wasz trop!

Kathleen znów się zaczerwieniła i nawet Claire, nie kryjąc poczucia winy, zagryzła wargi.

– Może... powódź? – spytała. – Zalanie terenu? O właśnie, mieszkaliśmy przecież na rzeką Avon.

Burton przewrócił oczami.

– Ma pani szczęście, że nie mogę przyjąć od pani spowiedzi – stwierdził. – Pani

przyjaciółka nie kłamie tak bezwstydnie. Czy powie mi pani prawdę, Mrs Coltrane?

Kathleen pochyliła się tak nisko nad talerzem, że prawie nie było widać jej twarzy.

– Ja... ja... to znaczy... właściwie to nie była powódź – wyjąkała. – Ale to ma coś wspólnego z polami nad rzeką... i z kiepskimi żniwami też.

Wielebny, a także Claire parzyli na nią, nic nie rozumiejąc. A potem Burton machnął ręką.

– No, może nie będę w stanie teraz tego pojąć. I widzę, że jeśli chodzi o wyznanie win, to nadeszła moja kolej.

Uśmiechnął się do obu kobiet, po czym podszedł do regału z książkami i wyciągnął stamtąd jakiś niezbyt opasły tom.

– Zakładam, że panie tego nie znacie.

Kathleen była jeszcze trochę poruszona po ostatnich pytaniach, ale Claire sięgnęła z zainteresowaniem po książeczkę, także Sean popatrzył z zaciekawieniem.

Karol Darwin *O skłonności gatunków do tworzenia odmian oraz o utrwalaniu się gatunków drogą doboru naturalnego.*

Claire zmarszczyła czoło.

– O czym to jest? – spytała.

– To fascynująca teoria – odparł wielebny z błyszczącymi oczami. – Chodzi tu o powstawanie gatunków roślin i ras zwierząt. Darwin wychodzi z założenia, że jeden gatunek, że tak powiem, rozwinął się z drugiego w ciągu tysięcy lat.

– Tak. I co dalej? – spytała Claire i wypięła kolejny łyk wina. Wyraźnie jej ono smakowało: był to jej pierwszy kieliszek wina, od kiedy opuściła Anglię. – To jest podobnie jak w hodowli owiec. Jeden gatunek krzyżujemy z drugim, aby wełna była piękniejsza, a owce bardziej odporne na kaprysy pogody. Prawda, Kathie? – Claire upewniła się u przyjaciółki co do swojej wiedzy na temat rolnictwa.

Kathleen przytaknęła z nieobecny wzrokiem.

– Ale Mr Darwin twierdzi, że to się odnosi także do ludzi – kontynuował Burton.

– To także nic nowego – odparła spokojnie Claire. – Ja mam ciemne włosy i brązowe oczy, mój mąż ma... miał... e... ma... – Claire zdążyła już opowiedzieć tyle wersji swojej historii, że nie bardzo wiedziała, czy to Kathleen, czy też ona miała być wdową – niebieskie oczy i blond włosy. A Chloé ma czarne włosy i niebieskie oczy. Gdzie tu problem?

Burton zagryzł wargi.

– Musi pani spojrzeć na to nieco szerzej, Mrs Edmunds. Mr Darwin twierdzi, że... że człowiek na swój sposób pochodzi od małp!

Claire zmarszczyła czoło.

– Widziałam kiedyś małpę – powiedziała. – Była bardzo sympatyczna. I trochę przypominała człowieka. Wydawała się rozumną istotą i zbierała pieniądze do skrzynki kataryniarza.

Wielebny Burton znów się roześmiał.

– Mr Darwin jak na razie chyba przeoczył żądzę pieniądza, którą wydają się odczuwać tylko lepiej rozwinięte gatunki.

Claire zachichotała, ale Kathleen wydawała się nie słuchać.

– A co to ma wspólnego z tym, że pan, wielebny Peter Burton, broni działki budowlanej przed Wolnym Kościołem Szkocji, zamiast wygłaszać kazania gdzieś na Canterbury? – spytała wreszcie Claire. – Związek między jednym a drugim nie jest dla mnie całkowicie jasny.

Burton wskazał na dzieło Darwina, mówiąc:

– Ja mówiłem o tym w swoich kazaniach – wyjaśnił. – O tym, że wobec tego konieczna jest zupełnie nowa wykładnia Biblii.

Claire zrozumiała.

– Bo to może się nie zgadzać z teorią o Adamie i Ewie – powiedziała. – Ale co prawda, ja jej też nie mogłam za bardzo zrozumieć. Nie powstałam przecież z czyjś żebra! – Dumnie odrzuciła głowę do tyłu, a Burton popatrzył na nią z wyraźną przyjemnością.

– I poprzez to już oboje jesteśmy winni bluźnierstwa przeciw Bogu – droczył się z nią. – W przeciwieństwie do pani, Mrs Edmunds, mój biskup się upiera, a wraz z nim zapewne cały anglikański Kościół, że Darwin nie ma racji. Ma ją natomiast Biblia. Będzie więc pani musiała zaprzyjaźnić się z żebrem, nawet jeśli małpa wydaje się pani bardziej sympatyczna.

– Ale co się biskupowi nie podoba w nowej wykładni Biblii? – spytała Claire, popijając z wyraźną przyjemnością wino. – Czy to nie wszystko jedno, czy Bóg stworzył świat w ciągu sześciu dni, czy też potrzebował na to trochę więcej czasu?

Kathleen podniosła głowę. Sprawiała wrażenie obojętnej, ale jednak słuchała uważnie.

– Jeśli biskup przyzna, że ta sprawa z żebrem się nie zgadza – powiedziała spokojnie – to musi też przyznać, że pozostałe twierdzenia też może nie są prawdą. To... to o Dziewicy Marii i niepokalanym poczęciu. Albo to o... nierozzerwalności małżeństwa.

Burton nie wiedział dlaczego, ale miał wrażenie, że ta piękna jasnowłosa kobieta dzięki tej rozmowie doznała jakiejś otuchy i pocieszenia.

## ROZDZIAŁ 2

Znalezienie mieszkania dla dwóch kobiet i trójki dzieci okazało się równie trudne jak wynajęcie pokoju w pensjonacie. Poza ośmiokątnym, rozległym centrum miasta, gdzie powstały już ważne budynki publiczne, w mieście znajdowało się też kilka domów, a niektóre z nich były naprawdę pięknymi, kilkupiętrowymi budowlami z kamienia. Przeważnie jednak zamieszkiwali je sami właściciele, a jeśli w ogóle mieli coś do wynajęcia, to oczywiście było, że to oni decydują o tym, kto będzie najemcą. Anglikanka i katoliczka bez mężów, za to z dziećmi, zwykle lądowały na ostatnim miejscu listy życzeń właścicieli. Wszyscy obywatele byli szkockimi kalwinistami.

– A nasze krawiectwo też tutaj czarno widzę – westchnęła Claire. Znów były gośćmi wielebnego i siedziały przy jego stole. Uprzednio zrobiły zakupy i przygotowały posiłek, a teraz szykowały się do drugiej nocy w prowizorycznym kościele w Dunedin. – I to w dosłownym znaczeniu tego słowa, bo zdaje się, że tu kobiety nie noszą ubrań w innych kolorach.

– A czy nie mogłybyście panie robić czegoś innego? – spytał wielebny Burton. – Już pomijając gotowanie, dzisiejszy obiad też był pyszny, Mrs Coltrane! Ale obawiam się, że ich Kościół zatrudnienie kucharki traktuje także jako luksus, podobnie jak kupno pięknych ubrań.

– Praca na farmie – odpowiedziała cicho Kathleen. – Zawsze pracowałam w ogrodzie, na polu i ze zwierzętami. Sean też to potrafi.

Chłopiec przytaknął ze smutkiem. Miał właściwie nadzieję, że nie będzie musiał się zajmować karmieniem zwierząt i wywożeniem gnoju, ale w przeciwieństwie do swej małej siostry dobrze rozumiał powagę sytuacji. Jeśli nie można było inaczej, to oczywiście też był gotów do pracy.

Burton pomyślał chwilę, a potem jego twarz się rozjaśniła.

– Jeśli nie musi to być dokładnie Dunedin, to pomysł z pracą na farmie podsuwa mi pewne rozwiązanie. Wspominałem już o Johnnym Jonesie, naszym wielkodusznym protektorze, prawda?

Obie kobiety przytaknęły.

– Jak mówiłem, początkowo miał tutaj stację wielorybniczą – mówił wielebny. – Ale od pewnego czasu zajmuje się handlem, żegluga i prowadzi też farmę! To znaczy, jest kilka gospodarstw rolnych w Waikouaiti – to mała miejscowość niedaleko stąd. Osiedliło się tam kilku farmerów już jakiś czas po tym, gdy założono Dunedin. Zaopatrują miasto w artykuły spożywcze. O ile wiem, powodzi im się



wszystkim dobrze.

– Gdzie to jest? – spytała Claire, ale za chwilę była ze swoimi myślami zupełnie gdzie indziej. – Ach, przyszło mi coś do głowy: mogłabym dawać lekcje gry na fortepianie!

Zarówno Kathleen, jak i wielebny dostrzegali więcej szans w pracy w Waikouaiti niż w udzielaniu lekcji gry na fortepianie szkockim dzieciom.

– Jeszcze przyjdzie ci do głowy, żeby grać na organach w czasie ich nabożeństwa – zganiała ją Kathleen, zauważywszy, że Claire bardzo niechętnie dała się odwieść od kolejnego pomysłu. – O ile nie traktują muzyki jako bluźnierstwa przeciwko Bogu. Za to na farmie na pewno będziemy mogły tkać. Stonowane kolory, to może da się sprzedać nawet tutaj.

– Jutro tam pojedziemy – stwierdził Burton pogodnie i otworzył kolejną butelkę wina. Claire, widząc to, doznała pewnej pociechy, bo była wręcz nieszczęśliwa z tego powodu, że będzie znów mieszkać poza miastem. Za to Kathleen pomysł Burtona się spodobał. Ożywiła się, kiedy opowiedział jej o osadnikach z tamtej miejscowości. Przywiózł ich Johnny Jones z australijskiego miasta Sydney.

– To wolno im było wyjechać? – spytała z zaskakującym zaciekawieniem. – Czy oni nie są wszyscy skazańcami?

– Po pierwsze, nie wszyscy Australijczycy przyjechali do tego kraju jako skazańcy – odparł Burton, nieco zdziwiony jej nagłym zainteresowaniem. – A po drugie, jest tam niewielu skazańców z wyrokiem dożywocia. Większość z nich dostała siedem albo dziesięć lat. Jak tylko odsiedzą karę, mogą iść, dokąd chcą. Ale nigdy nie zarobią na powrotną podróż do Anglii. A dlaczego Jones sprowadził tu Australijczyków i czy to byli skazańczy, czy nie – nie mam pojęcia. Ale będziecie panie mogły jutro same o to zapytać.

Sean znów zaprzągnął muły; kobiety nie chciały zmienić wynajętej stajni, czego Burton zupełnie nie mógł zrozumieć. Bo sądził, że Kathleen Coltrane będzie się cieszyć, mogąc poznać rodaka, a już tym bardziej, że Donny Sullivan brał mniej pieniędzy niż McEnroe. Ale Irlandka i jej syn zareagowali niechętnie, wręcz odrzucali ten pomysł, jeśli tylko rozmowa zesła na sprawę zmiany stajni – najwyraźniej istniały tu jakieś resentymenty związane z osobą handlarza końmi.

Burtonowi nie udało się wydobyć od obojga żadnych dodatkowych informacji. A sprawa i tak rozwiązała się sama. Wielebny przyprowadził swojego konia i jechał obok Seana za wozem z kobietami. Natychmiast dostrzegł, jak pewnie chłopiec siedział w siodle na swoim małym karym. Wprawdzie większość dzieci farmerów dobrze potrafiła trzymać się na koniach, ale Burtonowi się wydało, że Sean się tego uczył; prowadził młodego konia z rutyną, ale i pewnością. Ale zaczerwienił się, kiedy wielebny wygłosił komplement i pochwalił go. Cóż za cichy chłopiec, podobnie jak

jego matka. Burtonowi oboje wydali się sympatyczni, nawet jeśli Kathleen była chłodna i pełna dystansu. Może miała jakieś opory związane z jego przynależnością religijną. Irlandczycy chyba sporo wycierpieli od Anglików. Ale Peterowi Burtonowi się nie śpieszyło. Zamierzał być tu długo i Kathleen chyba też. Kiedyś na pewno się przed nim otworzy.

Waikouaiti leżało kilka mil za granicą miasta Dunedin i nie można go było porównać z osiedlem Szkotów. Tu osiedlano się bezpośrednio przy wybrzeżu, a okolica była całkowicie płaska. Dopiero o milę dalej za farmami zaczynał się znów górzysty krajobraz Otago. Dwie mile dalej do morza wpływała Waikouaiti River. Claire wszystko tu przypominało Avon i rzeczywiście Waikouaiti bardziej przypominało Canterbury Plains niż Dunedin. Mała miejscowość składała się z wiejskich domków, które zdaniem Claire podobne były do opuszczonych budynków ich farm.

Wielebny Burton skierował się od razu w stronę porządnego, pomalowanego na czerwono budynku szkoły, który stał obok równie zadbanego małego kościółka. Niedaleko znajdowała się też plebania.

– Mój konfrater Watgin sprawuje tu także funkcję nauczyciela – poinformował Burton uśmiechającego się z zainteresowaniem Seana. – Mieszka tu już prawie dwadzieścia lat i znany jest ze swej surowości – ani słowa, proszę, o naukach Mr Darwina. Watgin uważa mnie za niebezpiecznego, zapewne biskup ostrzegął go przede mną. W każdym razie to Johnny Jones sprowadził go tutaj, aby nauczał osadników i towarzyszył im w kwestiach moralnych. On rzeczywiście pomyślał o wszystkim.

Wielebny Watgin i jego żona sprawiali wrażenie nie mniej bigoteryjnych i sztywnych niż szkoccy osadnicy w Dunedin, ale ponieważ mieszkali znacznie dłużej na Wyspie Południowej, to nie można było już po nich poznać pionierskiego ducha.

W stosunku do wielebnego Burtona okazali minimum uprzejmości, ale byli bardziej niż sceptyczni wobec jego towarzystwa.

– Przyjechałyście więc z Plains – stwierdził Watgin, wysoki, chudy mężczyzna o kłującym, przenikliwym spojrzeniu. – Wdowy?

– Mój mąż pływa na morzu – pośpieszyła z wyjaśnieniem Claire.

– To czemu nie czeka pani w ojczystym porcie na jego powrót, jak każda porządna baba? – spytał Watgin surowo. – W cokolwiek został pan uwikłany, wielebny Burton, mamy tu do czynienia ze skutkami tak zwanych nowoczesnych czasów. Księża zaprzeczają temu, co głosi Biblia, kobiety opuszczają swój dom...

Kathleen i Claire pominęły milczeniem jego złośliwości, zgodnie z tym, co radził Burton.

– Złożymy zaraz krótką wizytę, ale wielebny niewiele będzie miał do powiedzenia – stwierdził. – Najważniejsze, żeby się panie spodobały Mrs Jones. Johnny jest

przeważnie na morzu i to jego żona ma tu decydujący głos. To niekoronowana królowa tej okolicy!

Mrs Jones rezydowała w Matanaka Farm, nazwanej tak od skrawka wybrzeża na północnym krańcu zatoki Waikouaiti. Należał do niej ogromny i bardzo zadbane dom z ogrodem, w którym wrażliwa na piękno Claire natychmiast dostrzegła bujnie kwitnące kwiaty. Także jasne, świeże kolory budynków farmy świadczyły o tym, że mieszkał tu ktoś o pozytywnym stosunku do życia. A w dodatku pani tego domu wydawała się mieć słabość do przystojnych młodych mężczyzn. W każdym razie jej małe niebieskie oczka rozbliły radośnie na widok wielebnego Burtona, kiedy tylko otworzyła drzwi.

Mrs Jones była okrągła, a na jej tłusciutkiej twarzy na widok gościa pojawił się uśmiech. Nieco zaniepokojona poprawiła fryzurę, składającą się chyba z tysięcy maleńkich, jasnych loczków. Z całą pewnością potrzebowała codziennie wielu godzin, aby za pomocą żelazka osiągnąć ten efekt, ale dzięki temu rzeczywiście wyglądała młodziej. A jasny, wesoły głos także przyczyniał się do tego, że każdy natychmiast lubił Mrs Jones.

– Wielebny Burton! Czy znów chciałby pan zaszczepić którąś ze swoich niebezpiecznych myśli pośród mieszkańców naszego spokojnego miasteczka? – zażartowała, a wszystkie loczki kołysały się wraz z każdym ruchem jej głowy. – Kogóż to pan ze sobą przywiózł? Chyba nie upadłe dziewczyny, prawda? – Pogroziła wielebnemu palcem. – Proszę pamiętać: nasze pochodzenie przypisać należy obywatelom południowej Anglii, ale wyłącznie przyzwoitym i cieszącym się dobrą opinią. – Ostatnie słowa wypowiedziała wysokim, nieco jazgotliwym głosem, wyraźnie kogoś przedrzeźniając. – Niechże pan nie podsuwa naszej Mrs Ashley zbłąkanych owieczek. Mogą zabrudzić całe stado, jak przysłowiowe czarne owce!

Mrs Jones mrugnęła do wielebnego i obu kobiet.

– No, ale ona jednocześnie podważa teorię dziedziczności! – roześmiał się Burton. Najwyraźniej oboje mówili o jakiejś wspólnej znajomej. – Ależ Mrs Jones, doprawdy powinna się pani wstydzić. Ledwo się spotykamy, a już obmawia pani swoich braci i siostry w Panu. Czy to po chrześcijańsku?

Burton nie czekał na odpowiedź, tylko od razu dodał:

– Myślę, że czas, aby zrobić coś dobrego, czyli przyczynić się do grzechu, i będzie pani musiała ścierpieć wszystko, co będzie miała do powiedzenia na ten temat Agnes Ashley!

I zaraz potem wielebny przedstawił Carol Jones sytuację obu kobiet i ich dzieci.

– Zna pani Szkotów, Mrs Jones, oni zaraz dopatrują się wiecznego potępienia, kiedy kobieta jest sama, bez względu na to, z jakiego powodu tak jest. Mrs Edmunds i Mrs Coltrane nie osiągną niczego, a ja przecież nie mogę ciągle oferować im noclegu w kościele. Ludzie już i tak strzępią języki. Także tutejsze damy nie są

aniołami, jak pani chyba dobrze wie.

Mrs Jones zachichotała.

– Tak, a mają panie doświadczenie w pracy na farmie? – zwróciła się do Kathleen i Claire. – Czy też chciałyby panie robić coś innego?

Kathleen skinęła głową i chciała powiedzieć coś o sobie, ale ubiegła ją Claire.

– Miałyśmy przedtem coś w rodzaju małego interesu w Christchurch! – oświadczyła odważnie. – Moda damska w stylu paryskim i londyńskim. – Mówiąc to, zamaszystym gestem podsunęła Mrs Jones rysunki Kathleen. Żona założyciela miasta przyjrzała się im spokojnie, a na jej twarzy pojawił się wyraz pożądlivości.

– Potrafi pani uszyć coś takiego? – Loczki Mrs Jones zatrzęsły się jeszcze bardziej. – Doprawdy?

Jakiś czas potem Kathleen, Claire i dzieci wprowadziły się do solidnej szopy na wybrzeżu. W szopie, co prawda, nie było okien, ale za to słychać było szum morza, co natychmiast stwierdziła z radością Claire.

– Okna każemy wstawić – stwierdziła z podobną beztróską Mrs Jones. – To ważne, bo inaczej zepsuje sobie pani oczy przy szyciu. Wielebny, naprawdę sądzi pan, że w tej krynolinie będzie mi do twarzy? – Mrs Jones nie mogła się oderwać od rysunków. Znalazła właśnie model swojej wymarzonej sukni. – Czy ona nie pogrubia?

Kathleen była zajęta sprzątaniami szopy i urządzaniem jej, kiedy Claire serdecznie żegnała się z Burtonem.

– Ale będzie pan nas od czasu do czasu odwiedzał, prawda? – spytała.

Wielebny skinął głową.

– Oczywiście. Ale już się cieszę i czekam na wizytę pań w czasie niedzielnej mszy. To co prawda trochę daleko, ale od czasu do czasu będzie paniom potrzebna odmiana w kazaniach wygłaszanych przez mojego wielce szanownego konfratry. – Mrugnął porozumiewawczo. – I musi pani mi to oddać. – Wskazał na traktat Mr Darwina, który Claire sobie pożyczyła, aby postudiować go wspólnie z Seanem.

Kathleen nie całkiem była tym zachwycona. Sean miał teraz chodzić do szkoły wielebnego Watgina i nie powinien podpaść na samym początku. Ale z drugiej strony jego pragnienie wiedzy trudno było zaspokoić.

– Czekam właśnie na jego kolejną książkę – powiedział Burton. – *O powstawaniu gatunków*, to ma się niedługo ukazać. Mr Darwin udowadnia tam swoją tezę. Uważajcie panie, to w najbliższych latach będzie przyczyną wielkiego poruszenia. Świat się zmieni!

I jeśli o to ostatnie chodziło, wielebny Burton miał wiele racji – przynajmniej w odniesieniu do Otago. Choć co prawda to nie nauki Mr Darwina nieomal wyróciły do góry nogami spokojne miasto Dunedin i jego okolice!

Życie Kathleen i Claire w Waikouaiti szybko zaczęło biec zwykłymi, utartymi drogami. Choć mówiąc prawdę, ku zmartwieniu Claire niewiele się różniło od ich zwykłych dni w Christchurch, zwłaszcza że pomijając wesołą Mrs Jones, kobiety prawie nie miały tu przyjaciółek. Kathleen cieszyła się z możliwości poznania osadników z Australii, bo spodziewała się otrzymać od nich więcej informacji o kraju, do którego został zesłany Michael. Ale już choćby krótka wzmianka o koloniach skazańców była przyczyną niemal wściekłości farmerów, a zwłaszcza ich żon.

– Zawsze tak jest! – jazgotała Mrs Ashley, którą Mrs Jones sparodiowała na tyle dobrze, że w ogóle nie trzeba jej było przedstawiać Kathleen i Claire. – Jak tylko ktoś wspomni ten nieszczęsny kraj, to zawsze chodzi o łotrów, złodziei i morderców! W ogóle nie można mówić, że się stamtąd przyjechało, bo ludziom się zaraz wydaje, że przywleczono nas tu w łańcuchach. Ale my, drogie panie, jesteśmy uczciwymi ludźmi o pionierskim duchu! Opuściliśmy południową Anglię dobrowolnie, zapamiętajcie to sobie! Pochodzimy z bardzo szanowanych rodzin i...

– Ale ja tylko chciałam wiedzieć, jak tam jest – wymamrotała nieśmiało Kathleen. – Jaki jest ten kraj... pogoda... ludzie...

Ale Mrs Ashley nie dała się tak łatwo udobruchać i patrzyła na obie kobiety nieufnie.

– Wszystko zależy od tego, dokąd się trafiło w tym piekielnym kraju – zdołał się wtrącić Mr Ashley. Nie był tak bigoteryjny i konfliktowy jak jego małżonka, ale też nie spodobał się zarówno Kathleen, jak i Claire. Krępy, mrukliwy farmer, sprawiający wrażenie trochę przygłupiego. – Są tam pustynie, gdzie słońce pali jak ogień, ale są też i takie okolice, gdzie stale pada, tak jak tutaj. Mają tam stepy, ale też deszczowe lasy tropikalne i bagna... W każdym razie nic tam nie jest takie, jak powinno być. A zwierzęta... Wszystko, co pełza i gryzie, niesie ze sobą śmierć: żmije, skorpiony, ogromne pająki. A te wielkie zwierzęta nie wydają swoich młodych na świat w normalny sposób, lecz noszą je na brzuchu w torbach z sierści i skóry! To nie jest zgodne w naturą!

– W każdym razie na pewno inne niż w południowej Anglii – uśmiechnęła się Mrs Jones, ale nikt nie zauważył jej sarkazmu.

Cała kolonia spotkała się przy okazji niedzielnej mszy przed kościołem, a jej „królowa” po raz pierwszy miała na sobie nową suknię, uszytą zgodnie z angielską modą przez Kathleen. Obszerna krynolina i bufiaste rękawy powodowały, że Mrs Jones przypominała trochę lalkę składającą się z kulek, ale mimo to jedwabna suknia w kolorze soczystego morskiego błękitu była obiektem podziwu wszystkich kobiet, które patrzyły na Mrs Jones z mieszaniną fascynacji, dezaprobaty i zawiści.

– Niechże pani nie słucha naszych przyjaciół, oni rozczarowali się Australią i dlatego też są tutaj.

– Ale najgorsze, co może być, to skazańcy! – przerwała tyradę swojego męża Mrs Ashley. – Jak tylko ktoś postawi nogę na ziemi w tym kraju, to musi się pożegnać z dobrą opinią. I w dodatku nie można być pewnym swojego życia i zdrowia. Kiedy tylko ci ludzie odsiedzą karę, oni puszczają ich wolno, a często nawet wcześniej, przed końcem kary. Proszę sobie to wyobrazić! Cały kraj zasiedlony przez łotrów!

– Z pewnością nie wszyscy są łotrami – odważyła się wtrącić Kathleen, ale to jeszcze gorzej nastawiło do niej Anglików. Każdy chciał opowiedzieć o tym, jak on sam albo jego sąsiad został obrabowany czy też oszukany przez byłych skazańców.

– Chyba jest trochę prawdy w tym wszystkim, co oni opowiadali – powiedziała Kathleen do Claire po kościele. – Na pewno niektórzy więźniowie są niebezpieczni. No i te pożary lasów, dzikie zwierzęta... Wielu skazańców też tam chyba ginie.

Kathleen nie mogła tego już dłużej ukrywać i tej drugiej niedzieli w ich nowym domu wreszcie opowiedziała swojej przyjaciółce o Michaelu. Odetchnęła, kiedy Claire nie potępiła jej za tę miłość, lecz raczej uznała wszystko za piękną, romantyczną historię.

– On tu pisze, że wróci! – powiedziała zachwycona, kiedy Kathleen pokazała jej przechowywany przez tyle lat list Michaela. A już widok kosmyka jego włosów poruszył Claire do łez. – Och, Kathleen, może powinnaś była na niego czekać!

Mrs Ashley i jej przyjaciółki uznały za co najmniej dziwne zainteresowanie Kathleen Australią. I tak ich zdaniem dwie kobiety z dziećmi bez męskiej opieki były podejrzane. Śliczna, żywa i pełna radości Claire oraz cicha, ale za to wyjątkowo piękna Kathleen były też według nich ciągłą pokusą dla ich mężów. Każda rozmowa, nawet krótka wymiana zdań z którymś z robotników z farmy lub osadnikiem była powodem plotek i domysłów. Ale mimo to te tak prawe w swoim mniemaniu kobiety nie mogły sobie odmówić chęci wyglądania zgodnie z londyńskim szykiem. Co jakiś czas któraś z nich potajemnie zakradała się do domu Kathleen i Claire, aby zlecić im uszycie jakiejś części garderoby, a potem za ich plecami narzekać na zbyt wysokie koszty.

– Ale tyle co w Christchurch w każdym razie nie będziemy zarabiać – stwierdziła z troską Claire pod koniec miesiąca. – Cieszyłam się wręcz na metropolię z atmosferą, a zamiast tego siedzimy znów na wsi i pierzemy wełnę. Gdyby przynajmniej pozwolili mi częściej pomagać przy koniach i owcach! Ale przecież mogłabym przy tym uwieść Mr Ashleya! Jak gdyby był bardziej atrakcyjny od barana!

Claire była tego dnia bardziej niż niezadowolona.

Kathleen o wiele lepiej niż jej przyjaciółka odnalazła się w spokojnym, pozbawionym wszelkich większych wydarzeń życiu. Bądź co bądź nikt jej nie bił ani nie obrażał, nikt też nie dręczył Seana, a Heather nie była świadkiem okropnych scen. Wszystkie dzieci uczęszczały już do szkoły wielebnego Watgina, ale bez

większego wysiłku prześcignęły dzieci osadników. Zwłaszcza Sean nie za bardzo mógł się czegoś nauczyć w wiejskiej szkole i także byłby bardzo rozczarowany Otago, gdyby nie wielebny Burton. Przynajmniej raz w miesiącu Claire upierała się przy tym, aby pójść na niedzielną mszę w Dunedin, i przeważnie wyglądało to tak, że obie kobiety razem z dziećmi wyjeżdżały już w sobotę po południu, jadły kolację w namiocie Burtona i nocowały w „kościel” lub u któregoś z członków gminy. Anglikańska gmina rosła powoli, ale jednak, a Burton nie chciał zyskać złej sławy z powodu ciągłych noclegów kobiet w jego domu.

Ale oczywiście zawsze chętnie widział u siebie Kathleen i Claire, a także Seana, którego jasny umysł go fascynował. Rozmawiał z chłopcem jak z dorosłym na temat historii i filozofii, pożyczał mu książki i odpowiadał na jego dociekliwe pytania. Także Claire lubiła i ceniła ciekawe dyskusje z wielebny. Kathleen przeważnie słuchała w milczeniu, ale nigdy nie miała nic przeciwko wizytom w Dunedin i nic nie wskazywało na to, że się nudziła. Jeśli od czasu do czasu wtrącała jakąś uwagę, to było to zwykle spostrzeżenie trafne i wnikliwe. Jednakże doskonale obyłyby się bez dyskusji na temat tez wysuwanych przez Mr Darwina.

Kathleen zastanawiała się często, dlaczego lubiła przebywać z wielebny Burtonem. Wiedziała, że w jego obecności czuła się bezpiecznie i dobrze – lepiej niż gdziekolwiek, od kiedy uciekła od Iana. Jednak cały czas walczyła z poczuciem winy, nie tyle w stosunku do Iana, co do Colina. Nie wolno jej było zostawiać syna samemu sobie i jego ojcu oszustowi! W dodatku obawiała się też odwetu ze strony Iana. Snując wszystkie plany dotyczące jej ucieczki, nigdy nie myślała o tym, że Ian mógłby jej szukać, lecz raczej podświadomie wychodziła z założenia, że chyba pozwoliłby jej odejść. Ale teraz każdej nocy miała przed oczami jego ataki zazdrości. Nie mógł znieść nawet tego, że ona patrzyła na innych mężczyzn, a teraz miałby tolerować to, że go opuściła? Ian z pewnością nigdy jej nie kochał, ale traktował ją jako swoją wyłączną własność. A on nie lubił i nie pozwalał się okradać!

Kathleen zapominała o tych myślach, kiedy była razem z wielebny Burtonem. Widziała, że podziwiał jej urodę, choć nigdy nie próbował się do niej zbliżyć. Fascynowały ją jego dyskusje z Claire. Miała wrażenie, że to nie jest rozmowa między kobietą i mężczyzną, lecz po prostu między dwojgiem ludzi o podobnych zainteresowaniach. Burton nie wygłaszał pięknych słów jak Michael ani też nie flirtował z kobietami. Ale z pewnością dotrzymywał obietnic i ponosił konsekwencje wszystkiego, co mówił i robił. Na Kathleen ogromne wrażenie robiło to, że obstawał przy naukach Darwina i popierał je oraz krytykował swój własny Kościół. Biblia była grubą książką – a Peter potrafił wygłaszać kazania na każdy zawarty tam temat, a nie tylko o historii stworzenia świata! Ale jednak ten ostatni temat poruszał go tak bardzo, że nawet cierpliwie znosił swoje wygnanie do Dunedin, które było tego konsekwencją.

Choć co prawda ostatnio coraz częściej martwił się o swoją przyszłość.

– Mówią, że wkrótce będzie mianowany nowy biskup, który zostanie tu przysłany – wzdychał. – Czy ja wobec tego będę mógł zachować swoją posiadłość? Nie sądzę, dla mnie znajdą coś innego. Może będę wygłaszał kazania dla Maorysów?

Uśmiechnął się, a na jego twarzy pojawiły się liczne zmarszczki, co wyglądało na wpół wesoło, a na wpół smutno.

– Maorysi wierzą, że ziemia powstała wtedy, kiedy pewna zakochana para została rozdzielona siłą – powiedziała Kathleen w zamyśleniu.

Kathleen ostatnio często pracowała z maoryskimi kobietami. W pobliżu Waikouaiti znajdowało się ich osiedle i Watgin bardzo gorliwie próbował nawrócić Ngai Tahu. Maorysi rzeczywiście grzecznie chodzili do kościoła, ale w czasie wzajemnej wymiany wzorów tkackich i różnych tajemnic związanych z farbowaniem wełny opowiadali Kathleen i Claire historie związane z mitologią swojego ludu: Papa to była ziemia, a Rangi – niebo, oboje spleceni w ponadczasowym miłosnym uścisku, i dopiero kiedy własne dzieci ich rozerwały, mogły powstać rośliny, zwierzęta i ludzie.

– Czyli jeszcze gorzej! – śmiała się Claire. – Ewolucja i rozwód małżeństwa! Na Maorysów można się doprawdy zdać, wielebny. To jeszcze bardziej szokujące pomysły niż te, o których pan opowiadał!

Tak mijały lata i zimy. Claire i Kathleen wiodły swoje spokojne, ciche życie w małym miasteczku na Wyspie Południowej. Ale któregoś chłodnego jesiennego dnia w 1861 roku wydarzyło się coś, co wywarło zasadniczy wpływ nie tylko na Kościół anglikański, lecz także na życie każdego mieszkańca Otago. Pierwszą osobą, która się o tym dowiedziała, była Carol Jones, bo tylko ona pozwalała sobie na luksus abonowania codziennej gazety. Oczywiście dziennik „Otago Witness” zawitał do niej z kilkudniowym opóźnieniem, kiedy znalazł się ktoś, kto jechał do niej i mógł zabrać ze sobą gazetę, ale także dlatego Mrs Jones otrzymała jednocześnie trzy albo cztery jej numery. Ale jednak wszystkie nowiny dotarły do niej pierwszej i tego dnia podzieliła się nimi z Claire, która właśnie pomagała jej w ogrodzie.

– Koło Tuapeka znaleźli złoto! – oświadczyła pulchna, mała dama. – Ponoć zrobił to pewien Australijczyk i zupełnie nie panuje nad sobą ze szczęścia. „Błyszczące jak gwiazdy Oriona w ciemną, mroźną noc...” – tak powiedział. No, może jako geolog do czegoś się przyda, ale jako liryk umarłby z głodu.

Claire się roześmiała.

– I co teraz? Wszyscy pobiegną do Tuapeka?

Mała rzeka, koło której Gabriel Read odkrył złotonośne pole, płynęła w odległości około trzydziestu pięciu mil od Dunedin.

Mrs Jones potrząsnęła głową.



– A skąd! Przecież zna pani Szkotów. Pszenica jest dla nich cenniejsza niż złoto, a na miłość boską, nie ma przecież bogactwa bez pracy. Miasto na razie wysłało tam stu pięćdziesięciu ludzi, aby ci się rozejrzeli, czy to w ogóle jest prawda. Bo może temu Gabrielowi Readowi tylko coś się przyśniło.

Z początku nikt nie słyszał kolejnych wieści o złotonośnym polu Gabriela Reada, nawet wielebny Burton nie dowiedział się niczego nowego.

– Biskup z Canterbury ostrzega oczywiście przed gorączką złota, ale jak na razie... Ludzie co prawda przebąkują o kolejnych znaleziskach, ale w gazecie nic o tym nie było.

Kilka tygodni później Kathleen i Claire wraz z dziećmi spędzały kolejny sobotni wieczór u wielebnego. Burton zaprosił także młode małżeństwo anglikańskie, które dopiero co przyjechało tu z Australii. Wielebny wiedział, że Kathleen interesowała się sąsiednim krajem. Cieszył go uśmiech i wyraz wdzięczności na twarzy Kathleen, dostrzegł jednak, że jej twarz coraz bardziej pochmurniała, kiedy słuchała opowieści obojga.

– Ziemia w tym kraju jest bardzo urodzajna – mówił Mr Cooper, inżynier rolnictwa z wykształcenia. – Ale większość obszarów jest bardzo sucha. I niebezpieczna. Uroda niektórych okolic zapiera wprost dech w piersiach, ale w trawie czyhają jadowite żmije i przeróżne robactwo. Także krajowcy nie zawsze są nastawieni pokojowo, nie można ich zupełnie porównać z tutejszymi Maorysami. Aborygeni nie mają zamiaru niczego rozdawać i czują się zagrożeni przez białych osadników. No i wielu skazańców także przyczyniło się do tego, że nie jesteśmy zbyt lubiani. Większość z nich to nie są ludzie aż tak źli, jak się ich przedstawia, ale jest też sporo łotrów, którzy często nie lubią się też między sobą.

– Czy to prawda... czy to prawda, że wielu z nich umiera? – spytała Kathleen cicho. Cooper wzruszył ramionami.

– To znów zależy trochę od okolicy, w której się znaleźli. Na przykład Tasmania, zwana dawniej Ziemią van Diemena, ma bardzo złą opinię, choć przyroda nie jest tam tak groźna dla ludzi. Za to we wnętrzu kraju...

– A pożary lasów? – dopytywała się Claire.

Kathleen zwierzyła jej się, że po usłyszeniu informacji od Mrs Ashley cierpi na nocne koszmary. W snach widziała Michaela osaczonego przez płomienie. A czasami – także siebie. A do tego Kathleen nie za bardzo wiedziała, czy prześladowuje ją myśl o Australii, czy raczej świadomość któregoś z jej grzechów i nieuniknionego czyśćca.

Mr Cooper przytaknął.

– Tak, są – potwierdził. – Zdarzają się pożary lasów, a dokładniej mówiąc, pożary buszu. Kiedy wybucha pożar, to ogień rozprzestrzenia się z niesłychaną prędkością. Kto dostanie się w jego zasięg, nie ma szans. Nowa Zelandia jest pod każdym

względem krajem o wiele bardziej przyjemnym. Ale skazańcy w Australii nie umierają tysiącami, wręcz przeciwnie, większość jest ułaskawiana, wielu w końcu stara się o przyznanie ziemi i ci stają się normalnymi osadnikami. Ma pani tam krewnych? A może pani, Kathleen? Pani jest Irlandką, prawda?

Kathleen poczerwieniała, ale zanim zdążyła odpowiedzieć, do wnętrza namiotu wpadli czternastoletni Sean i Rufus, syn Cooperów. Obaj chłopcy zaraz się zaprzyjaźnili i po kolacji poszli razem obejrzyć Dunedin.

– Mommy! – wołał podekscytowany Sean. – Ludzie mówią, że do portu przyplłynęły statki. I to bardzo wiele!

– Ponad sześćdziesiąt! – dodał Rufus. – Są tam setki ludzi!

Wielebny zmarszczył czoło.

– Może to hiszpańska armada? – zażartował. – Albo jakaś inna flota, która przybyła tu w celu podbicia Imperium Brytyjskiego?

– Nie wiem! – zawołał Sean. – Ale ponoć wszyscy przyplnęli z Anglii. A może z Australii?

– Wszyscy ludzie o tym mówią! – dodał Rufus.

Claire skinęła głową z uśmiechem.

– Właśnie – stwierdziła. – A to nie zawsze musi być prawdą. Prawdopodobnie to jeden albo dwa statki, którymi przyplnęli Szkoci.

Ale rankiem, kiedy Kathleen i Claire obudziły się w domu Cooperów, obaj chłopcy przybiegli z kolejną sensacją.

– Chodźcie zobaczyć, tam, na wzgórzach!

Cooperowie mieszkali przy ulicy, która prowadziła stromo wprost w góry i z której rozciągał się dobry widok na wzgórza otaczające miasto. Aż do poprzedniego dnia widać było rosnące na wzgórzach drzewa i krzaki, ale teraz wydawało się, że zielona trawa pokryta jest niezliczoną ilością białych plamek.

– To są namioty! – zawołał Mr Cooper. Był jeszcze w szlafroku i patrzył równie zaskoczony jak chłopcy na licznych przybyszów. – O niebiosa, chłopcy mają rację! Tam musiało przyplnąć mnóstwo tych statków, skoro tu jest tylu ludzi! Czego oni tu chcą?

Żona Coopera, najwyraźniej już całkiem obudzona, uniosła brwi do góry.

– No a jak myślisz, Jason? Oni szukają złota! To, co widzimy, to dopiero pierwsze natarcie. Jutro wszyscy udadzą się w kierunku Tuapeka, ale pojutrze przyjadą następni!

– Chodźmy do kościoła – poradziła Kathleen.

Gdyby się okazało, że chłopcy mają rację i poszukiwacze złota przybyli z Anglii, to z pewnością i u wielebnego będzie tłum.

Jakoż rzeczywiście była to pierwsza anglikańska msza w Dunedin, w czasie której

kościelny namiot Burtona dosłownie pękał w szwach. Wielebny musiał podnieść wejście i wygłaszać kazanie odpowiednio głośno, aby mężczyźni stojący na zewnątrz coś usłyszeli. Członkowie gminy patrzyli na nowych przybyszów nieufnie, ale ci właściwie sprawiali całkiem dobre wrażenie. Oczywiście niektórzy byli nieco zaniedbani, także mocno wyczerpani po podróży, a sądząc po ich odzieży, nie byli to ludzie najbogatsi. Zachowywali się jednak uprzejmie i powściągliwie i chyba byli nieco przestraszeni nowym otoczeniem. Wielebny przychylił się do ich prośby, aby podziękować Bogu za szczęśliwie zakończoną podróż. Większość mężczyzn przybyła z Anglii i Walii – kilku Irlandczyków trzymało się wyraźnie na uboczu. Najwyraźniej bardzo pragnęli się pomodlić, ale nie ufali anglikańskim rytuałom. Burton z zadowoleniem zauważył, że Kathleen podeszła do nich po mszy. Przybysze patrzyli na nią jak na ucieleśnienie anioła. Opowiadali, że w czasie podróży widzieli tylko mężczyzn. Właściciel statku świadomie zwerbował poszukiwaczy złota zaraz potem, kiedy do Wielkiej Brytanii dotarła wiadomość o odkryciu złotonośnych pól. W przeciągu dwóch dni wszystkie miejsca na statku były zajęte i natychmiast postawiono żagle.

– Kto pierwszy, ten lepszy! – oświadczył sympatyczny młody Walijszyk, nazywający się Chris Timlock, który natychmiast zaczął flirtować z Claire. – Kiedy zaczęła się moda na Australię, byłem za młody. Ale teraz... Nie zastanawiałem się ani pół dnia! Moja żona wprawdzie nie była tak zachwycona, ale w końcu zobaczy, że to jest szansa, aby wyjść z wiecznej biedy!

Większość mężczyzn nie zapłaciła za podróż statkiem, kapitan przywiózł ich tutaj, ufając, że wkrótce zdobędą pieniądze na złotonośnych polach. Wszyscy młodzi uczestnicy mszy byli bez wątpienia gotowi zapłacić za podróż, ale jeśli chodzi o pozostałych poszukiwaczy złota...

– Część z nich to prawdziwe łotry – stwierdził Chris Timlock, potrząsając głową. – Niektórzy na statku... odrażające typy! A w obozie też rozrabiają.

Diggersi, jak nazywano poszukiwaczy złota, nie wszyscy przyjechali ze Starego Świata. Na pokładzie jednego z sześćdziesięciu pięciu statków, które zawinęły do Otago Harbour, byli też wysłużeni poszukiwacze złota z Australii.

– Tych się trzeba trzymać – stwierdził Chris, a w jego głosie słyhać było entuzjazm. – Bo oni wiedzą, jak to się robi!

Okoliczność, że mimo wszystko nie zdobyli bogactwa, nie wydawała się go niepokoić. Każdy z przybyłych mężczyzn wierzył mocno w swoje szczęście.

Z całą pewnością w tych dniach wzbogacili się wszyscy handlarze w samym Dunedin i wokół niego. Szufle i miski służące do płukania złota były w poniedziałkowy ranek wykupione, a diggersi bili się o ostatnie narzędzia. Także jeśli chodzi o zapasy żywności, miasto nie sprostało oczekiwaniom przybyszów. Farmerzy w Waikouaiti w przeciągu kilku dni sprzedali swoje ziarno, a pogłowie

zwierząt wokół Dunedin zmniejszyło się wręcz drastycznie – poszukiwacze złota strzelali do wszystkiego, co się ruszało i niosło ze sobą obietnicę posiłku. Ich ofiarą padały także wolno biegające owce, nawet koty i psy. Sytuacja sanitarna w zaimprovizowanych obozach była przerażająca. Im bliżej miasteczka namiotów, tym bardziej świeże górskie powietrze Otago zamieniało się w przenikliwy smród ekskrementów. Choć na szczęście, dokładnie tak, jak przewidziała Mrs Cooper, poszukiwacze złota w ciągu kilku dni ruszyli w kierunku Ścieku Gabriela, jak nazwano pierwsze złotonośne pole w Tuapeka. Szkoci odetchnęli, mając nadzieję, że nie wrócą. Ale wielebny Burton potrząsnął głową.

– Byłoby lepiej przygotować się na kolejny najazd – stwierdził, żegnając się z Kathleen i Claire.

Kathleen i Claire spędziły kilka dni u Cooperów i pomagały kobietom w gminie, przygotowując herbatę i posiłki w prowizorycznych kuchniach, aby nakarmić głodnych mężczyzn. W obozach już teraz obowiązywało prawo silniejszego. Biedni i optymistycznie nastawieni do świata wieśniacy czy też robotnicy z ubogich dzielnic fabrycznych nie potrafili poradzić sobie z poszukiwaczami przygód z Australii i z zachodniego wybrzeża. Nie tylko marzyciele rozbili swoje namioty na wzgórzach wokół Dunedin – były tam wyrzutki społeczeństwa wszelakiego rodzaju, ciemne typy z obozów wielorybników i myśliwych polujących na foki, poszukiwacze złota z Collingwood na zachodnim wybrzeżu, którym dotychczas się nie powiodło, a także wypuszczeni na wolność skazańcy z Australii – ci ostatni z pewnością nie zarobili pieniędzy na podróż uczciwą pracą.

I oczywiście ludzie ci ciągnęli do miasta – było prawie niemożliwe dotrzeć do Tuapeka River, nie przejeżdżając przez Dunedin. A tu poszukiwacze złota zaraz po przybyciu zaopatrywali się w namioty, narzędzia do kopania i żywność, jeśli zaś ktoś rzeczywiście znalazł złoto, to chciał je oczywiście zamienić na pieniądze. Mała szkocka gmina nie mogła sprostać oczekiwaniom mężczyzn, którzy raczej nie byli kalwinistami, a co za tym idzie, naruszali w jaskrawy sposób zasady ich współzycia. Właściciele sklepów podchodzili nieufnie do gorączki złota, ale robili, co mogli, aby spełniać życzenia klientów. Szybko zaczęto przywozić żywność z Canterbury Plains oraz importować statkami ładunki narzędzi z Anglii. W Dunedin nagle rozkwitło budownictwo – w końcu przyjeżdżali tu nie tylko poszukiwacze złota, ale także ludzie, którzy zamierzali się tu osiedlić. Błyskawicznie powstawały banki, zakłady rzemieślnicze i kolejne sklepy, także puby i burdele. Zaledwie sześć miesięcy po przybyciu pierwszych poszukiwaczy złota liczba mieszkańców miasta podwoiła się – z upływem czasu zaczęły tu przyjeżdżać także całe rodziny.

– Mam dla pań dobrą i złą wiadomość – oświadczył wielebny, kiedy Kathleen i Claire po raz kolejny zawitały do miasta z wozem wypełnionym wyrobami z wełny, wykonanymi w okolicznych farmach.

Ostatnimi czasy ludzie dosłownie wrywali sobie z rąk ręcznie tkane koce, owcze skóry i robione na drutach swetry. W obozach poszukiwaczy złota było zimno – i nawet jeśli zahartowani diggersi znosili to mężnie, ich kobiety i dzieci potrzebowały ciepłych rzeczy.

– Choć co prawda może nie odbierzecie tej drugiej wiadomości jako złej. Możliwe, że wcale nie będzie mnie wam brakowało!

Burton się uśmiechał, ale przede wszystkim patrzył badawczo na Kathleen. Wiedział, że nie powinien myśleć o niej z taką czułością, jak to robił. Jego żoną mogła zostać tylko anglikanka, odważna, śmiała i niemająca żadnych problemów. Kathleen natomiast była Irlandką, katoliczką i w dodatku ciążyła na niej jakaś mroczna tajemnica. Ale Burton nie potrafił inaczej – na widok tej pięknej kobiety o jasnych włosach i zielonych oczach jego serce tańczyło.

Kathleen uniosła brwi.

– Wyjeżdża pan, wielbny? – spytała cicho.

Peter skinął głową i nagle poczuł nadzieję. Czy mu się wydawało, czy rzeczywiście dostrzegł w jej spojrzeniu rozczarowanie i żal?

– Jedzie pan do kanibali? – dokuczała mu Claire. – To aż tak? Czyli jednak przesadził pan w swoich kazaniach?

– Nie całkiem do kanibali – odpowiedział Burton. – Tylko do Ścieku Gabriela. Od przyszłego roku naprawdę rusza budowa kościoła St. Paul's i chcą zapewne przysłać tu takiego duchownego, który jest mocniejszy w wierze albo zna się na sztuce budowlanej, albo jedno i drugie. Tak czy inaczej, ja mam się zaopiekować poszukiwaczami złota w ich obozach, w górach.

– A czy oni potrzebują duchowego wsparcia? – żartowała Claire. – O ile wiem, sprowadzają do siebie dziewczyny, a nie Biblie.

W górach rzeczywiście otwarto już pierwsze prowizoryczne burdele.

Peter się uśmiechnął.

– I właśnie dlatego biskup sądzi, że oni potrzebują duchowego przewodnictwa. A któż wchodziłby w grę jak nie ja?

Wielebny odpowiadał Claire, ale nie spuszczał oczu z Kathleen, która znów miała oczy wbite w podłogę. Peter miał nadzieję, że przecucie go nie myliło – wydawało mu się, że Kathleen jest zmartwiona.

– Oczywiście poprzez to nie znikam całkiem z tego świata – mówił dalej krzepiącym tonem. – Nie stracimy się przecież z oczu! Ja... Będzie mi wolno panią odwiedzić, Kathleen, prawda? – Peter patrzył teraz otwarcie tylko na nią.

– W... Waikouaiti? – spytała, nie podnosząc oczu.

Od złotonośnych pól był to ogromny kawał drogi.

Wielebny potrząsnął radośnie głową.

– Nie, w Dunedin! I to jest właśnie ta dobra wiadomość! Kathleen, Claire,

wynająłem dla was sklep! Nowy członek gminy, Jimmy Dunloe, zakupił jeden z domów w centrum miasta.

– Poszukiwacz złota? – spytała zaciekawiona Claire.

Peter zaprzeczył.

– Nie, oni przecież rzadko osiedlają się na stałe! Ale rodzina Dunloe chyba zawsze miała pieniądze. Jimmy w każdym razie prowadzi prywatny bank i skupuje złoto – to taki poszukiwacz przygód najlepszego gatunku. Chce otworzyć tutaj swój bank i jego filię w Tuapeka, to akurat jest bardzo dobrze zaplanowane. A dla banku Jimmy potrzebuje reprezentacyjnej budowli z pomieszczeniami na sklepy i mieszkania. Jeden lokal przeznaczony na sklep jest jeszcze pusty i należy do niego także mieszkanie. Kiedy Jimmy mi o tym opowiedział, natychmiast pomyślałem o waszym salonie mody damskiej.

Claire rozpromieniła się radośnie, ale Kathleen sprawiała wrażenie przerażonej.

– Ale... ale doszliśmy swego czasu do wniosku, że w Dunedin nie ma na to rynku – powiedziała wymijająco.

Claire roześmiała się i szturchnęła ją wesoło.

– Rynku nie było, Kathleen, nie było! – zawołała. – Rozejrzyj się dookoła! Czy widzisz dużo Szkotek w tych sukniach, w których przypominają wrony? Dunedin staje się nowoczesnym, cudownym miastem z pięknymi kobietami i bogatymi mężczyznami! – Mówiąc to, Claire chwyciła Kathleen, zawirowała z nią jak w tańcu i rzuciła się na Petera Burtona.

– Chciałabym pana objąć, wielebny! – cieszyła się i rzeczywiście objęła jego ramiona. – Wreszcie wyjedziemy od tych nudziarzy w Waikouaiti! Kathleen! Powiedz coś! Ciesz się!

Kathleen miała wypieki na twarzy. Wprawdzie nie płakałaby, opuszczając Waikouaiti, a już zwłaszcza Mrs Ashley. Ale sklep w środku miasta? Gdyby Ian jej szukał... A jeśli wielebny... Jeśli nie byłoby wtedy przy niej Petera, żeby ją chronił? Ale najpierw musiała, musiała się odzwyczaić od tego dziecinnego lęku! Od jej ucieczki upłynęło już kilka lat, Ian jej nie szukał! I nikt nie wyznaczył Petera, aby był jej obrońcą!

– Myślałem też o Seanie, Kathleen... Mrs Coltrane. On przecież zmarnieje w tej wiejskiej szkole u wielebnego Watgina. Tu, w Dunedin, znajdzie lepszych nauczycieli.

Kathleen skinęła głową i podniosła wzrok.

– Kathleen – wyszeptwała. – Proszę nazywać mnie Kathleen. Zawsze. Nie tylko wtedy, kiedy się to panu niechcący wymknie.

Peter Burton chętnie wziąłby ją w ramiona, aby dodać jej otuchy, czego najwyraźniej bardzo potrzebowała. Ale zadowolił się łagodnym uściśnięciem jej obu rąk.

– Musi mi pani kiedyś opowiedzieć, co właściwie ciąży pani na sercu, Kathleen – powiedział cicho. – Ale teraz pokażę wam wasz nowy sklep. Nad nim znajduje się mieszkanie, a z jego okien kiedyś roztaczać się będzie wspaniały widok na ozdobę miasta Dunedin: St. Paul’s Cathedral!

Wielebny nie obiecywał zbyt wiele. Bank Jimmy’ego Dunloego znajdował się w nowym trzypiętrowym domu z miejscowego białego wapienia oamaru. Budowla wzniesiona była w samym centrum, niedaleko od przyszłego kościoła.

– Czysz musi tu być horrendalnie wysoki – martwiła się Kathleen, ale Claire nie dała się zbić z tropu.

– Ceny za londyńską modę też są horrendalnie wysokie! – roześmiała się i zaraz zdążyła przekonać do tego także Mr Dunloego.

Wysoki blondyn sprawiał wrażenie oczarowanego obu kobietami. Powitał je bardzo uroczyście, całując każdą w rękę. Kathleen znów się zarumieniła – coś podobnego widziała tylko u landlordów w Irlandii. Za to Claire dosłownie rozkwitła, kiedy bankier od razu zaprosił je na herbatę. Ale sam napój nie odpowiadał standardowi wielkopańskiego domu – maoryska pokojówka zbyt długo parzyła herbatę i nie potrafiła też jej odpowiednio podać. Ciemnowłosa, nieco ociężała dziewczyna najwyraźniej źle się tu czuła. Co trochę zerknęła na okno i sprawiała wrażenie mocno wystraszonej, zapewne z powodu pracy na pierwszym piętrze.

– Nie można tu znaleźć odpowiedniego personelu – powiedział Mr Dunloe, a Claire w odpowiedzi sama wzięła do ręki dzbanek.

– Jeśli pan pozwoli – powiedziała przyjaźnie. – Chodź, dziewczyno, jak masz na imię? Pokażę ci teraz, jak to się robi. – Po czym zniknęła z Haki w kuchni. A Kathleen w milczeniu przysłuchiwała się rozmowie wielebnego z bankierem. Czuła się niezbyt pewnie w wykwintnym salonie urządzonego angielskimi meblami. Za to Mr Dunloe był zachwycony jej projektami.

– Bardzo gustowne, choć co prawda nie jest to najnowsza moda – zauważył. Zapewne wiedział, co mówi, bo przecież dopiero co przyjechał wprost z Londynu. – W celu lepszej inspiracji potrzebuje pani kilku ilustrowanych czasopism zajmujących się modą. I materiały... Musi pani też sprzedawać materiały, mogę pani przekazać kontakty w Londynie. Ale taki sklep i zarazem zakład ma z pewnością przyszłość! Zarobi tu pani więcej pieniędzy niż większość tych biedaków tam, na złotośnych polach. A do tych sukien, to podsunąłbym pani pomysł sprzedaży paru koniecznych akcesoriów. Proszę pamiętać: do mnie przyjdzie kilku szczęśliwców, którzy rzeczywiście znajdą złoto. I będą w nastroju do wydawania pieniędzy, choć oczywiście nie będą znali rozmiarów swoich ukochanych kobiet na tyle, żeby od razu zamówić suknię. Ale kapelusz, jedwabna chustka, torebka... Proszę mi uwierzyć, Mrs Coltrane, to tu, w centrum miasta, leżą prawdziwe złotośne pola!

W tym momencie weszła Claire i podała rzeczywiście dobrze zaparzoną herbatę.

– A więc tak właśnie nazwiemy nasz sklep i zakład. – Uśmiechnęła się. – „Lady’s Goldmine”! – Po czym zwróciła się do maoryskiej dziewczyny: – Popatrz, Haki, tak należy stanąć obok osoby, której nalewasz herbatę. Wtedy jej nie poparzysz, jeśli z dzbanka kapnie kropla. Dziecko, ale nie spoglądaj bez przerwy na okno, ten dom przecież się nie zawali!

Claire potrząsnęła głową.

– Mr Dunloe, nic nie będzie z tej małej. Ona ma lęk wysokości, choć jest chętna do pracy. A może odda nam pan Haki do pracy w sklepie i poszuka sobie pan pokojówki bez lęku wysokości? Ja wtedy i jedną, i drugą nauczę parzyć herbatę.

Zakład Lady’s Goldmine zaczynał się powoli rozwijać, ale podczas kiedy Claire tryskała radością, ciesząc się z udanych początków, to Kathleen czuła osobliwą pustkę już w chwili, kiedy Peter Burton żegnał się przed wyruszeniem nad Tuapeka River.

– Nie będzie pan w stanie tego zabrać – powiedziała nieszczęśliwym głosem, kiedy zobaczyła wszystkie rzeczy, które Peter przygotował dla swojej przyszłej misji w namiocie.

Wielebny skinął głową.

– Owszem, tylko będę musiał prowadzić konia. Dam radę, potrzebuję jedynie siodła z jukami.

Kathleen znów patrzyła w podłogę. Nienawidziła samej siebie za swoją nieśmiałość – dawniej przecież taka nie była. Ale lata spędzone z Ianem, któremu nigdy nie lubiła patrzeć w oczy i który karał ją za każde otwarte spojrzenie, zrobiły swoje.

– Gdyby... gdyby sprawił mi pan tę radość... i pozwolił podarować sobie mojego muła – powiedziała cicho. – Mnie on nie będzie potrzebny, skoro mieszkamy w mieście.

Na twarzy Petera pojawiła się radość, nie z powodu drugiego jucznego zwierzęcia, ale dlatego, że Kathleen o nim myślała. Tak często sprawiała wrażenie zupełnie niezaangażowanej, ale jednak chyba nie był jej całkiem obojętny.

– Przyjmę go bardzo chętnie, Kathleen, i będę się nim opiekować! – odpowiedział dość oficjalnie. – Kathleen, czy mógłbym... to znaczy, czy byłoby to dla pani nieprzyjemne, gdybym pocałował panią na pożegnanie?

Właściwie nie chciał tego powiedzieć, ale przerażała go droga, która go czekała, zawsze brudni poszukiwacze złota i służba dla nich, a to nie obiecywało zbyt wiele radości. Peter Burton był człowiekiem nastawionym życzliwie do całego świata. Lubił i cenił wszystkie jasne i ciemne strony swego urzędu, poczynając od wygłaszania mądrych kazań aż po tańce na weselu, ale znał także smutek towarzyszenia zmarłym w ich ostatniej drodze i radość chrztu nowego członka



gminy. I miał przed oczami to, co go czekało teraz: pijani, których trzeba będzie rozdzielać, aby się nie pobili, a obok ci zrozpaczeni, którzy opuścili swój dom, aby udać się na złotonośne pola w złudnej nadziei zdobycia bogactwa. Chorzy, samotni, opuszczeni, a obok nich nieroby i marzyciele, drobni łotrzykowie albo zbrodniarze. Peter Burton był zdania, że jego Bóg jest mu winien przynajmniej jakieś piękne marzenie, zanim ześle go do tego obcego i wrogiego świata.

Kathleen spojrzała na niego z przestraszonym wyrazem twarzy.

– Dlaczego? – spytała.

Burton podniósł rękę. Chciał dotknąć jej policzka, ale dostrzegł w jej oczach lęk, narastający, im bardziej zbliżał rękę do jej twarzy. Poglądził ją tylko po włosach, tak łagodnie i delikatnie, że prawie tego nie poczuła. Tylko on poczuł, jak miękkie są jej włosy. To musiało na razie wystarczyć. Bóg nie był aż tak wielkoduszny.

– Przesuńmy to – westchnął – do chwili, kiedy nie zapyta pani dlaczego.

Zakład Lady's Goldmine zaczął odnosić sukcesy od chwili, w której jego wystawy obok najnowszych materiałów z Londynu ozdobiły także magazyny z modą i kilka wybranych dodatków. Pierwszymi klientkami były żony bankierów i biznesmenów, potem także rzemieślników, a na końcu zjawily się nawet ladies z wielkich owczych farm położonych w głębi kraju. Większość „owczych baronów” poszerzyła profil swoich farm i zajęła się również hodowlą bydła. Apetyt poszukiwaczy złota na wołowe steki był trudny do zaspokojenia, a jeśli nawet tylko nieliczni mieliby się wzbogacić, to już teraz wystarczało im pieniędzy przynajmniej na dobre jedzenie i whiskey.

Podczas kiedy poszukiwacze złota bawili się w pubach, garkuchniach i burdelach, towarzystwo z bogatszych warstw społecznych spędzało czas na balach i koncertach w wykwiutnych hotelach. Kathleen znów nie mogła nadążyć z szyciem zamawianych sukien. I wkrótce, podobnie jak w Christchurch, zatrudniła kilka kobiet, a sama ograniczyła się do projektowania. W sklepie prawie się nie pokazywała – prowadziła go Claire, z wielkim wdziękiem i zarazem pewnością właściwą każdej damie. I sprawiało jej to ogromną przyjemność! Za pierwsze zarobione pieniądze kupiła pięknego konia pełnej krwi, odpowiedniego pod jej damskie siodło, i każdej niedzieli udawała się na konne przejażdżki z Mr Dunloem, który towarzyszył jej chętnie także w czasie wieczornych imprez i capstrzyków. Śliczna, pełna życia Claire miała na sobie zawsze najodważniejsze modele z kolekcji Kathleen, będąc tym samym najlepszą reklamą ich interesu. Otwarcie flirtowała z Dunloem, co trochę niepokoiło Kathleen. Ale Claire była dorosła i zapewne wiedziała, co robi.

Sean i dziewczęta rozkwitli w nowych szkołach. Dzięki zajęciom z Claire obie dziewczynki przeskoczyły dwie klasy i bardzo się do siebie zbliżyły, bo wśród swoich znacznie starszych koleżanek nie mogły znaleźć przyjaciółek. Sean cieszył się z *high*

*school*, która wkrótce miała być otwarta, i rozważał plany późniejszych studiów na uniwersytecie. W ogóle nie wspominał swego domniemanego ojca, a dziewczynki także chyba zapomniały już czas spędzony nad rzeką Avon. Seanowi brakowało jednak wielebnego.

– Możemy pojechać do niego konno w czasie ferii?

Kathleen i Cooperowie słyszeli to pytanie prawie codziennie, przy czym Rufusowi chodziło bardziej o złotonośne pola niż o spotkanie z Peterem Burtonem. Właśnie dlatego Cooperowie nie bardzo chcieli się na to zgodzić. Obawiali się, że żądny przygód syn straci głowę dla złota w obozie jego poszukiwaczy. Za to Kathleen ufała Seanowi. Uśmiechała się na myśl o tym, że Michaelowi nie pozwoliłaby jechać tam samemu. On bez wątpienia uległby fascynacji złotem!

## ROZDZIAŁ 3

– Jak pani sądzi, Miss Elizabeth? Czy mam już teraz poprosić Claudię o rękę, czy też dopiero wtedy, kiedy wrócę ze złotonośnych pól?

Ronnie Bayerley nie był całkiem trzeźwy, ale to pytanie zadał jak najbardziej poważnie.

Lizzie westchnęła. Już dawno przyzwyczaiła się do tego, że klienci jej gospody traktowali ją jak kogoś w rodzaju zastępczej matki i powierzali jej wszystkie życiowe problemy. Ale czy mogła pomóc temu mężczyźnie?

– Ronnie, ona nie będzie cię chciała tak długo, aż nie przyniesiesz dziesięciu uncji złota – stwierdziła po namyśle. – Ona ma za nic obietnice i będzie wołała zostać w Green Arrow. A pomijając to, ja już nie mogę słuchać nazwy: „złotonośne pola”. Czego wy się doprawdy spodziewacie po tym kopaniu ziemi w Otago? Nikt z was nie miał przedtem łopaty w ręku!

To akurat było przesadą. Wielu mężczyzn, którzy w ostatnich miesiącach wyruszyli do Otago, pochodziło z tego samego kraju co Michael i posługiwanie się wszelkimi narzędziami tego rodzaju zupełnie nie było im obce. Choć właściwie zdaniem Lizzie do poszukiwania złota konieczne było coś więcej niż para silnych rąk i łopata. Należało umieć się orientować w terenie, wiedzieć, która rzeka i dlaczego niesie ze sobą złoto i w których miejscach płukanie raczej nie ma sensu. Oczywiście Lizzie nie była tego wszystkiego pewna, ale nie zapomniała, czego się nauczyła na temat uprawy winorośli, najważniejsze zaś, czego się dowiedziała, to fakt, że winogrona nie rosną wszędzie. Na niektórych terenach występowało bardzo wiele związków odżywczych koniecznych dla roślin, a gdzie indziej było ich niewiele albo wcale. Jeśli chodzi o złoto, to zapewne było podobnie. Kopanie gdziekolwiek zdaniem Lizzie nie miało sensu, także kopanie tam, gdzie robili to wszyscy, niesło niewielką obietnicę sukcesu. Ale męska klientela Lizzie była raczej głucha na tego rodzaju argumenty.

– Miss Elizabeth, w Otago nie trzeba mieć łopaty! – mówił Ronnie tonem najgłębszego przekonania. – Tam złoto leży wszędzie. Naprawdę, gdyby Maorysi mieli o tym pojęcie, to wyłożyliby nim swoje ścieżki.

Lizzie przewróciła oczami. Było jej czasem przykro albo wręcz żal, kiedy słuchała podobnych opowieści, ale wszyscy mężczyźni w nie wierzyli. Choć nawet gdyby Ronnie nie doszedł szybko do wielkich pieniędzy i nie mógł sobie pozwolić na huczne wesele z Claudią, to ona chyba szybciej niż on pojechałaby do Otago. Pierwszy z trzech najstarszych pubów w Kaikourze zamknął właśnie swoje podwoje

– z braku klientów. Niemal wszyscy mężczyźni, którzy najpierw pracowali w stacji wielorybniczej, a potem na farmach, wyjechali do Dunedin. Lizzie niechętnie przyznawała się do tego nawet przed sobą, ale także w jej lokalu w ostatnich tygodniach bardzo spadły obroty. Liczba mieszkańców Kaikoury się kurczyła i Lizzie znów zaczynała narzekać na swój los. Jeśli tak dalej pójdzie, to wkrótce nie będzie już w stanie utrzymać Irish Coffee, zwłaszcza że Michael nie widział żadnego sensu w przeczekiwaniu kryzysu. Wręcz przeciwnie: także on chętnie wyruszyłby w drogę do Otago, i to najlepiej już dziś, a nie jutro.

Lizzie była w zasadzie zadowolona ze swego życia i pracy gospodyni lokalu; obojgu nie zdruzziło się też pędzenie whiskey. Wspólny interes zapewniał dość pieniędzy na dobre życie, a nawet na odrobinę luksusu od czasu do czasu. Lizzie miała w szafie piękne suknie, a Michael trzymał w stajni wspaniałego konia. Mieli też wóz konieczny do transportu towarów i zakupów, którym w niedzielę Lizzie mogła się wybrać na przejażdżkę. Lizzie zaprzyjaźniła się też z miejscowym szczepem Maorysów – Irish Coffee przyczyniła się do niewielkiej poprawy także ich życia. Dzięki wskazówkom Michaela Maorysi szybko nauczyli się uprawy zboża i przerabiania jęczmienia na słód, w efekcie zaś gorzelnia była niezależna od farmerów z Canterbury. Okazało się to błogosławieństwem właśnie teraz: ceny zbóż na Canterbury poszybowały momentalnie w górę. Tłumy ludzi ciągnące do Otago z coraz większą trudnością zdobywały niezbędne racje żywności.

Ale przede wszystkim Lizzie jako mieszkanka miasta Kaikoura czuła się lubiana i otoczona szacunkiem – zaczęła nawet chodzić do kościoła i brać udział w przygotowywaniu różnych imprez charytatywnych dla potrzebujących. Kobiety w mieście nie interesowały się jej przeszłością – wiele z nich także przyjechało do Kaikoury jako dziewczęta lekkich obyczajów i te dopiero po ślubie z miejscowymi kupcami czy też rzemieślnikami zaczęły wieść uczciwe życie. Oczywiście na Lizzie patrzono nieco sceptycznie, bo wybrała inną drogę, ale jej miły sposób bycia i ciepły uśmiech zjednały jej nawet przyjaźń wielebnego oraz najważniejszych ladies z towarzystwa. Od dawna wiadano, że Lizzie nie szuka męskiego towarzystwa, ale zdania i opinie na temat przyczyny takiego postępowania były podzielone. Większość mieszkańców była przekonana o jej potajemnym związku z Michaeliem, który zalecał się do niej, wcale tego nie ukrywając.

Gdyby nie Mary Kathleen, która ciągle gościła w snach Michaela, Lizzie dawno by mu uległa. Ale obawiała się nocy, w czasie której Michael znów wymieniłby imię tamtej. Nie zniósłaby tego znowu i chyba załamałaby się psychicznie.

Kilku marzycieli z kościelnej gminy przypisywało Lizzie jakąś nieszczęśliwą miłość – nawet do któregoś z tubylców. Wiedzano przecież, że miała przyjaciół we wsi Maorysów i mówiła ich językiem. Lizzie rzeczywiście myślała czasem o Kahu Heke, ale nie miała od niego żadnej wiadomości, choć na Wyspie Północnej panował

spokój. Przepowiadane przez młodego Maorysa wojny jakoś dotychczas nie wybuchły.

Lizzie usłyszała turkotanie wozu przed jej lokalem – nadjechał Michael z kolejnym transportem whiskey. Dobiegło ją głośnie rżenie zdenerwowanego konia. Lizzie miała zwyczaj dawać zwierzęciu chleb albo cukier, kiedy tylko wóz się zatrzymał, i także teraz wyszła przed gospodę. Michael zeskoczył z kozła i pocałował ją w policzek.

– Słodka Miss Lizzie! – powitał ją ze swym zwykłym, zawadiackim uśmiechem. – Czy to może być, że w czasie kilku ostatnich tygodni stałaś się jeszcze ładniejsza? A może troszkę bardziej uczciwa? Ale nie, to niemożliwe. Ta suknia ma większy dekolt niż pozostałe, moja mała Miss Owens, a może Miss Portland, czy jakkolwiek się nazywasz! Wielebny tego nie zaaprobuje!

Lizzie ze śmiechem odepchnęła Michaela. Miała na sobie śliczną jasnoniebieską suknię z lnu, której dekolt i dół ozdobione były koronką. Suknia była rzeczywiście nowa i pochlebiało jej, że Michael to zauważył.

– Głębokość dekoltu jest zgodna z modą londyńską! – oświadczyła. – A ta robi się coraz bardziej frywolna i wiem to właśnie od żony wielebnego, która dostaje czasem z Anglii magazyny z modą. A jej małżonek jakoś nie ma zastrzeżeń!

– No, on też pewnie lubi popatrzeć na piękny dekolt – stwierdził Michael i bezczelnie spojrzał na piersi Lizzie. Gorset nowej sukni unosił je nieco w górę, przez co sprawiały wrażenie większych. A to, mimo uczciwości, podobało się Lizzie, kiedy patrzyła na siebie w lustrze. – Ale teraz poważnie, Lizzie, musimy pogadać.

Michael zniósł z wozu skrzynkę butelek i beczkę, którą bez trudu załadował na ramiona. Ta siła i muskuły jego ciała fascynowały Lizzie jeszcze w Australii. Pędzenie whiskey nie było wprawdzie trudną pracą, ale w tym celu należało także zrąbać niejedno drzewo, a kilka tygodni w roku Michael spędzał też ze swoją dawną grupą postrzygaczy, jeżdżąc po okolicznych farmach. Choć bowiem powstały już bardziej profesjonalne, liczniejsze i szybciej pracujące grupy, to farmy wokół Kaikoury nie były tak wielkie, aby opłacało się sprowadzać postrzygaczy z Canterbury Plains.

Michael zaniósł butelki na podwórze i postawił małą beczkę na barze Irish Coffee.

– To ta dobra whiskey? – spytała zaskoczona Lizzie. – Myślałam, że powinna dojrzewać dziesięć lat.

Michael dotychczas nie ruszył swojej pierwszej whiskey, którą przechowywał w beczce Roberta Fyffe'a.

– Ona dojrzewa już trzy lata i wystarczy. A ja mam dość pędzenia whiskey, Lizzie. To jest ostatnia dostawa. Ruszam do Otago, to moja nieodwołalna decyzja, a kiedy wrócę, będziemy pić irlandzką whiskey przywiezioną prosto z mojej dawnej ojczyzny.

Lizzie spodziewała się tego, kiedy tylko zobaczyła konia Michaela. Siwek był

osiadłany, a juki przy siodle spakowane. Michael pomyślał nawet o składanej łopacie i nowiutkiej wanience do płukania złota. Wszystko, łącznie z kocem i śpiworem, było starannie przymocowane za siodłem. Ale Lizzie najbardziej zaskoczył zamiar powrotu Michaela do Kaikoury.

– Chcesz więc szukać złota, Michael? – spytała. – Nie wystarcza ci zysk z Irish Coffee? I nie masz dość pieniędzy, aby wrócić do Irlandii? Bo tego przecież chciałeś, prawda?

Michael zagryzł wargi.

– Tak... chciałem... ale... Nie wiem, co mam robić, Lizzie.

To powiedziawszy, osunął się ciężko na jedno z krzeseł – oprócz Ronniego, który pił swoją trzecią whiskey i marzył o Claudii, w lokalu nie było nikogo. Lizzie usiadła naprzeciw Michaela. Nie zaskoczyła ją jego postawa, podobnie jak słowa. Po takim wstępie wielu mężczyzn przystępowało do obszernego wygadania się przed nią.

Zgodnie z przewidywaniem Michael rozpoczął głosem, w którym dźwięczała skarga.

– Gdybym teraz pojechał do Irlandii...

– Poczekaj chwilę, Michael!

Lizzie wiedziała, że zaraz padnie imię Mary Kathleen, i uznała, że potrzebuje pokrzepienia. Niewiele się namyślając, odkorkowała beczułkę i naląła po szklance dla siebie i Michaela. Zawartość była pyszna – lekko dymna, o pełnym smaku i odrobinę słodka. Michaelowi też chyba smakowało. Od razu wypił drugi łyk.

– Popatrz, gdybym teraz wrócił do Irlandii... co miałbym tam robić? Mary Kathleen nie ma i nikt nawet nie wie, gdzie ona jest. No, może jej rodzice, ale czy oni powiedzieliby mi o tym? Kto wie, czy oni w ogóle żyją – kto wie, co się stało ze wsią i dzierżawcami, także z Trevallionem.

– Na twoim miejscu raczej nie pokazywałabym się na oczy Trevallionowi ani też landlordowi – zauważyła Lizzie.

Kara Michaela zapewne już dawno została uznana za odbytą, ale Lizzie nie wiedziała, czy ucieczka z więzienia też ulega przedawnieniu.

Michael skinął głową w zadumie.

– A jeśli moje poszukiwania okazałyby się bezskuteczne, potrzebowałbym pieniędzy na kolejną podróż statkiem. A Ameryka... jest taka wielka...

Lizzie wypła mały łyk whiskey.

– Gdybyś rzeczywiście chciał tam kogoś znaleźć, nie mając adresu, to musiałbyś zatrudnić detektywa czy coś...

– O właśnie! – powiedział Michael, choć nie sprawiał wrażenia kogoś, komu już dawno przyszedł do głowy ten pomysł. – A na to wszystko potrzebne są pieniądze! Dużo, dużo pieniędzy! Oczywiście oszczędziłem trochę. Ale świata za to nie kupię.

– Świata nie... – przyznała Lizzie z bijącym sercem. Michael dotknął tematu, który

dawno już chciała poruszyć, ale do tej pory nie mogła się na to odważyć. A teraz może była ostatnia możliwość po temu! Kiedy on wyjedzie do Otago, będzie za późno...

– Świata nie, ale jakiś jego kawałek tak! Michael, kiedy jeszcze parę lat to pociągniemy, to mielibyśmy pieniądze na farmę! Owczą farmę, jeśli o mnie chodzi... Przynajmniej na początek. Albo bydłą, w tej chwili największe pieniądze można zarobić na bydło.

Michael roześmiał się zaskoczony.

– Chcesz razem ze mną kupić farmę?

Lizzie zmusiła się do spokoju.

– Mogę bez ciebie – wyjaśniła. – Ale to ty znasz się na rolnictwie i byłbyś, że tak powiem, brygadzystą u siebie. Moglibyśmy to robić podobnie jak tutaj: ja pilnuję interesów, a ty się zajmiesz produkcją. To byłoby pewne i... spokojne życie.

Kiedy Lizzie marzyła o własnej farmie, miała przed oczami wielki dwór z kamienia, z wykuszami i wieżyczkami. Coś, co przypominało dom Smithersów w Campbell Town. Ale teraz to ona byłaby panią. Ona miałaby pokojówki i kucharkę, mogłaby zapraszać przyjaciółki na herbatę – i gdzieś w tym marzeniu było także miejsce dla męża i kilkorga dzieci, tu jednak Lizzie zabraniała sobie dokładniejszego malowania tej części swojej historii.

Ale Michael natychmiast podchwycił ten temat.

– Czy to oświadczyń, Miss Lizzie? Czy też mamy prowadzić farmę jak brat i siostra?

Lizzie popatrzyła na niego z nieukrywaną wściekłością, ale Michael roześmiał się pojednawczo.

– Lizzie, to był żart. A taka farma owiec to dobra rzecz. Tylko przyznaj, ty nie masz na myśli zwykłej farmy, tobie chodzi o wielką farmę, coś w rodzaju Kiward Station, Barrington Station albo Lionel Station.

– No i co? – spytała Lizzie sztywno. – Czy to coś złego?

– Nie. Ale na to nie mamy pieniędzy. Lizzie, ja znam farmy w naszej okolicy. Są one stosunkowo małe. A tamci farmerzy mają po kilka tysięcy hektarów, co brzmi wspaniale. I pracują od szarego świtu do równie szarego zmierzchu! Nie chcesz tego, opowiadałaś mi o swojej pracy u tych Niemców – nie nadajesz się na dziewczynę do pracy w stajni, Lizzie. Nie jesteś stworzona do pracy w polu ani też do pędzenia owiec. Po prostu się do tego nie nadajesz.

– A do czego się nadaję twoim zdaniem? – zapytała Lizzie, nie ukrywając wściekłości.

Michael pomyślał krótko.

– Do tego, co właśnie robisz – stwierdził. – Jesteś duszą tej gospody, Lizzie! Mogłabyś prowadzić hotel albo jakiś interes... Masz uśmiech, którym oczarowujesz

ludzi!

Lizzie nie wiedziała, dlaczego ta odpowiedź ją rozczarowała. Bo rzeczywiście tak było: praca w gospodzie odpowiadała jej, a ona sama dobrze się czuła w Kaikourze. I nie mogła oczekiwać, że Michael będzie dzielił jej marzenie. Że będzie widział w niej matkę i panią domu – nieważne, z pokojówkami czy bez.

– Pozwól mi jechać do Otago, Lizzie! – Michael najwyraźniej zmierzał do końca. – Kiedy wrócę... kiedy wrócę i będę naprawdę bogaty, to zawsze możemy się zastanowić, co robimy dalej. Gorzelnię przekazałem Tane. On wie, jak to działa, i będzie ci dostarczał whiskey. Pracuj dalej, Lizzie – a ja któregoś dnia stanę w drzwiach i zasypię cię złotem.

Roześmiał się, a potem pocałował ją w oba policzki i podszedł do swego konia.

– Czy odprowadzisz do stajni wóz i konia? Ja dziś jeszcze muszę ruszać, inaczej przestanie się to opłacać.

Michael nie oglądał się za siebie, kiedy opuszczał Kaikourę. Oczywiście było mu trochę żal, że nie będzie tak często widywał Lizzie, słuchał jej rad, a w gorszych dniach nie będzie mógł się cieszyć jej ciepłym uśmiechem. Ale przed nim była przygoda, a tu Lizzie nie była mu potrzebna.

I podczas kiedy już galopował na południe, myślał ciągle o Lizzie – młodej kobiecie. Była to kusząca myśl – obsypać ją złotem. Widzieć jej uśmiech, kiedy on, Michael, będzie ją prowadził do wielkiego, zbudowanego z piaskowca domu na farmie, w którego wejściu powita ich dygnięciem pokojówka i zwróci się do nich madame i sir. Michael jadąc, marzył o tym, aby spełnić życzenia Lizzie. Dostatecznie długo był jej współnikiem, dostatecznie długo to ona właśnie prowadziła interesy. Teraz to on udowodni jej, że jest mężczyzną, który sam potrafi zdobyć majątek. Niech wreszcie Lizzie popatrzy na niego z podziwem – może wówczas będzie w stanie go znów pokochać... I może będzie chciała żyć z nim jak mężczyzna i kobieta.

Lizzie patrzyła za odjeżdżającym Michaeliem – mężczyzną, którego kochała, i myślała o tym, co powiedział jej o owczych farmach w Kaikourze i na Canterbury Plains. Może rzeczywiście trzeba mieć jeszcze więcej pieniędzy, aby założyć wielką farmę. Ale czy Michael będzie potrafił zrobić coś takiego? Lizzie w to wątpiła. Postanowiła dać mu trochę czasu.

Lizzie wytrzymała bez Michaela całe sześć miesięcy, a z pewnością wytrzymałaby nawet dłużej, gdyby jej interesy nie zaczęły iść coraz gorzej. Ale upadek Kaikoury był nieuchronny. Prawie wszyscy wielorybnicy wyjechali, także pasterze próbowali szczęścia, szukając złota, wreszcie także drobni farmerzy zaczęli opuszczać wieś w pogoni za łatwym zarobkiem. Przyjaciółka Lizzie, żona rybaka z garkuchni



z krewetkami, straciła w ten sposób męża i syna. Obaj znikli któregoś dnia – okazało się, że popłynęli małą łodzią żaglową prosto do Otago Harbour.

– Z czego mam teraz żyć? – skarżyła się kobieta. – Jeśli będę kupować krewetki od rybaków, to moje ceny wzrosną, a i tak mam już coraz mniej klientów.

Lizzie zaczęła mieć też problemy w pubie – Tane nie dostarczał jej whiskey tak regularnie jak Michael. Maorysi – a zwłaszcza mężczyźni – nie za bardzo nadawali się do prowadzenia samodzielnej działalności. Tane pędził whiskey tylko wtedy, kiedy miał ochotę. A czasami jego wyrób nie lądował w pubach, lecz w obozie Maorysów. Jeśli tylko było tam jakieś święto, Tane natychmiast dostarczał whiskey i oczywiście szczerze nic za to nie płacił. Lizzie miała dość, kiedy i tak nieliczni goście raz i drugi musieli siedzieć o suchej gębie.

– A co byś powiedziała na to, gdybym ci zaproponowała przejęcie pubu? – zapytała spontanicznie zrozpaczoną sąsiadkę. – Nie jest to już żyła złota, ale jedną osobę wyżywi, a już razem z twoją smaźalnią ryb na pewno. I jesteś Maoryską, będziesz lepiej potrafiła wziąć do galopu twoich współplemieńców. Szczerze mówiąc, nie wiem już, jak mam pogonić Tane do roboty. Ale jestem pewna, że ty sobie poradzisz.

Żona rybaka, która po ostatnich przeżyciach myślała tylko o tym, jak porządnie kopnąć jakiegokolwiek mężczyznę w tyłek, była uradowana i niewiele myśląc, natychmiast wyruszyła w góry do Tane. A Lizzie zaczęła pakować swoje rzeczy. Nie była pewna, czy postępuje słusznie, i wątpiła, czy Michael ucieszy się z jej odwiedzin. Ale nie sądziła, że on bez jej pomocy kiedykolwiek będzie bogaty.

## ROZDZIAŁ 4

Aż do Christchurch droga nie była zbyt dobra, ale między Canterbury i Dunedin Lizzie mogła już jechać dość szybko. Panował tu ożywiony ruch, bo niemal całe zaopatrzenie w żywność dla poszukiwaczy złota pochodziło z terenów rolniczych Canterbury Plains.

Lizzie jechała w długiej karawanie wozów krytych plandeką. Część swojego zysku z ostatnich lat przeznaczyła na zakup odpowiedniego i porządnego wyposażenia: była tam ciepła odzież, dobre namioty, śpiwory i koce, wszystko przeznaczone także na ostrą zimę. Otago było górzyste i graniczyło z nowozelandzkimi Alpami. Między czerwcem a sierpniem z pewnością padał tam śnieg, a teraz był już kwiecień. Ponadto Lizzie zakupiła narzędzia najlepszej jakości i wiozła też sporo żywności. Nie tylko dla siebie i Michaela, miała także prezenty dla miejscowego szczepu Maorysów, a zamierzała hojnie obdarować swych nowych przyjaciół. Przywoziła też pozdrowienia od szczepu w Kaikourze, który spędzał czasem lata w Alpach, a należący do niego Maorysi łapali ryby i polowali ze swoimi braćmi z Otago.

– Zastanawiam się, dlaczego nie znaleźliście tam wtedy złota? – spytała Lizzie w czasie pożegnalnej wizyty u Ngai Tahu. – Ponoć ludzie potykają się tam o grudki złota leżące na drodze! – zakpiła.

Mere, jedna z najstarszych kobiet w szczepie, wzruszyła ramionami.

– Kto mówi, że nie znaleźliśmy? Ale dla nas ono nie ma żadnego znaczenia. Nie można go zjeść, nie można z niego zrobić broni. Może tylko ozdoby, ale nie da się w nim rzeźbić.

Maorysi nigdy nie opanowali sztuki topienia metali. Ich ozdobne przedmioty i broń wykonane były przeważnie z jadeitu pounami.

– Jadeit jest dla nas o wiele cenniejszy! – oświadczyła Mere.

– Ale teraz możecie sprzedawać złoto – zwróciła uwagę Lizzie – albo ziemię, na której ono się znajduje.

Mere uniosła w górę brwi. Lizzie przyzwyczała się już, że jej *moko*, czyli tatuaże, przy tym ruchu niemal tańczyły.

– Mężczyźni, którzy byli w Tuapeka, mówią, że ta ziemia płacze. *Pakeha* ją ranią, aby wyrwać z niej złoto. Bogowie tego nie pochwalają!

– Czyli dla was wydobywanie złota jest *tapu*? – spytała Lizzie ostrożnie.

– Tak – odparła Mere i dodała: – Ale nie wszędzie. Musisz spytać miejscowych *tohunga*. Ja nie mogę ci nic powiedzieć. Tu u nas nie ma złota.

Lizzie była zdecydowana dowiedzieć się wszystkiego dokładnie, zanim rozbije

gdzieś swój obóz na kawałku ziemi, który a nuż będzie *tapu*. W żadnym wypadku nie chciała się narazić szczepom w Otago. A z pewnością nikt nie znał terenu tak dobrze jak Maorysi. Choć co prawda Lizzie nie sądziła, że znajdzie szczęście, ryjąc w ziemi.

Im dalej jechała na południe, tym bardziej robiło się zimno, zwłaszcza nocami. Jeśli tylko było to możliwe, zajeżdżała do gospód, podczas kiedy na początku podróży sypiała jeszcze w wozie. Ale teraz nie wydawało jej się to rozsądne – na drogach było pełno ludzi i nie byli to wyłącznie kupcy czy dostawcy towarów. Roilo się tu od dziwnych postaci, niekiedy sprawiających wrażenie poszukiwaczy przygód. Niektórzy jechali konno, inni szli piechotą. Brodaci mężczyźni o twarzach pooranych wiatrem, wielorybnicy i myśliwi polujący na foki z zachodniego wybrzeża, marynarze, którzy usłyszeli w Westport albo w Nelson o złotonośnych polach i opuścili swoje statki – Lizzie coraz trudniej było uniknąć ich zaczepek także za dnia. Starala się każdego ranka znaleźć jakiegoś kupca albo farmera o uczciwym wyglądzie i jechać za jego wozem, a on z kolei miał ją na oku. Najbardziej odpowiadały jej całe rodziny, a tych coraz więcej podążało w kierunku Dunedin.

Po prawie sześciu tygodniach podróży Lizzie dotarła do Dunedin. I od razu zachwyciła się nowym, pięknym miastem, które wprost tętniło życiem. Było wspaniale spacerować po ulicach z licznymi sklepami, podziwiać suknie i kapelusze na wystawach – po raz pierwszy od piętnastu lat Lizzie poczuła się prawie jak w Londynie. Przez chwilę pomyślała o tym, że mogłaby poszukać jakiejś posady. Z pewnością ci wszyscy kupcy, bankierzy i dobrze zarabiający rzemieślnicy potrzebowali pokojówki! Praca bez odpowiedzialności za własny interes miała z pewnością swój urok, ale z drugiej strony zarobki były kiepskie, a ze strony pracodawców też nie można było liczyć na jakąś wdzięczność. I możliwe, że znów musiałyby się bać natrętnych zaczepek! Nie, Lizzie nie chciała wracać do takiego życia, bez względu na to, jak kusząca była perspektywa ciepłego pokoju i przytulnej kuchni.

Lizzie zadygotała – w Dunedin już teraz panowało przenikliwe zimno. A przecież miasto położone było korzystnie i klimat uchodził tu za umiarkowany. A w górach...

– Rzeczywiście się tam pani wybiera? – spytała gospodyni, kiedy młoda kobieta wreszcie znalazła pensjonat, w którym mogła wynająć pokój. – Z biegiem rzeki Tuapeka, zupełnie sama? Przecież nie jest pani... dziewczyną lekkich obyczajów?

Lizzie była dumna i szczęśliwa, że już nie było tego po niej widać.

– Szukam mojego męża! – odpowiedziała poważnie. – Nie jestem pewna, czy on sobie beze mnie poradzi.

Gospodyni roześmiała się serdecznie.

– Oni tam wszyscy jakoś sobie radzą! – oświadczyła. – I to nawet całkiem nieźle. Kiedy wielebny Burton przyjeżdża do miasta, to słyszymy same najgorsze rzeczy, ale

ciągle widzę, jak jadą tam kolejne wozy. I każdego dnia przynajmniej jeden wóz z whiskey, więc nie może im być aż tak źle.

Lizzie była zła na siebie, że nie zabrała wszystkich urządzeń koniecznych do pędzenia whiskey. Możliwe, że tu można byłoby na tym zarobić więcej niż na płukaniu złota, ale w tym celu musiałyby oczywiście pomówić z Michael'em. Nie mogła się doczekać wyjazdu nad rzekę Tuapeka. Była ciekawa, co ją tam czeka.

Wielebny Burton był przerażony, kiedy kilka miesięcy przed przyjazdem Lizzie dotarł do Ścieku Gabriela. Krajobraz wokół Tuapeka River był kiedyś bardzo piękny. Urokliwe doliny porastały gęste, zielone lasy, a brzegi rzek były pełne dziko rosnących kwiatów. To, co zrobili z tego poszukiwacze złota, przypominało teraz śmierdzącą pustynię. Każdy rozstawił swój namiot tam, gdzie mu najbardziej pasowało, a w początkowym okresie gorączki złota nikogo nie obchodziło wytyczanie działek. Mężczyźni kopali tam, gdzie stali, bo akurat wokół Ścieku Gabriela złoto często leżało płytko pod ziemią. Inni poszukiwacze – a zwłaszcza weterani z Australii – woleli się zająć płukaniem złota w potokach i ich ofiarą padały drzewa, z których robili rynnny. W okolicy, gdzie po raz pierwszy znaleziono złoto, nic już nie rośło. Ziemia leżała odłogiem, przeważnie wielokrotnie przekopana, a przy każdym silniejszym deszczu obóz zamieniał się w wielką, pełną błota dziurę. Woda wypłukała tony ziemi i przy okazji zabrała także kilka namiotów. Stały tu już także dwa zaimprovizowane puby i równie prymitywny sklep, w którym można było kupić whiskey i trochę żywności. W kilku namiotach sprzedawały się dziewczyny – ale tylko nieliczne robiły to na własny rachunek. Większość z nich przybyła tu z opiekunami – zwykle byli to poszukiwacze złota, którzy wynajmowali swoje przyjaciółki, jeśli nie mieli szczęścia w szukaniu złota.

Zaraz też po pierwszej mszy trzy z tych rozczarowanych i zrozpaczonych dziewcząt przybiegły do wielebnego – nie pragnęły niczego więcej, niż opuścić swoich mężczyzn i obóz. Burton pobił się od razu z dwoma mężczyznami – a że w college'u ćwiczył boks, natychmiast zyskał ogromny szacunek. Jedną z dziewczyn wysłał do Dunedin – najpierw do Claire i Kathleen, ale jej ostatecznym celem miało być Waikouaiti. Dwie pozostałe zatrudnił do pomocy przy organizowaniu swojej gminy. Peter wiedział już wcześniej, że mężczyźni w Otago potrzebują nie tyle modlitw, ile czynnej pomocy. Należało zorganizować obozowe życie, potrzebne były latryny i jakaś minimalna opieka zdrowotna – przy tego rodzaju warunkach higienicznych należało się w każdej chwili spodziewać wybuchu epidemii.

Wielebny Burton był więc przygotowany, kiedy jesienią wybuchła cholera. Razem ze swoimi pomocnikami oraz kilkoma ochotnikami z Dunedin pielęgnował tygodniami chorych i zyskał dzięki temu jeszcze większy szacunek w obozie. W tym czasie nierzadko widywano wielebnego także w pubach. Po długim dniu

wypełnionym głównie zabiegami higienicznymi przy chorych, odmawianiem modlitw przy umierających i szybkim błogosławieniu trumien opuszczanych do grobów wykopanych naprędce w błotnistej ziemi Burton potrzebował napić się whiskey. I w końcu mężczyźni mieszkający w obozie zaczęli słuchać wielebnego. Uporzędkowano obóz, wytyczono drogi i wykopano porządne latryny.

Choć właściwie Ściek Gabriela miał niedługo zakończyć swoje istnienie. Przekopano i wykorzystano każdy skrawek ziemi, aż wreszcie zaczęto szukać złota i znajdować je gdzie indziej. Mężczyźni – a wraz z nimi wielebny – ruszyli dalej w górę rzeki szukać nowych złotonośnych terenów i potoków i wkrótce także tam zagościło takie samo zniszczenie jak na innych polach.

Lizzie jechała w góry już po nowo zbudowanych, choć wyboistych drogach. Jej koń musiał zadać sobie dużo trudu, aby przeciągnąć wóz przez kolejne wzniesienia, z mułami byłoby to o wiele łatwiejsze. Ale i tak Lizzie miała sporo szczęścia, a drogi nie były już tak błotniste. Za to było lodowato zimno, a grunt zamarzał zupełnie.

Kiedy mijala Ściek Gabriela, który teraz przedstawiał martwy, zastygły w lodzie krajobraz, zrozumiała słowa Maorysów. Tubylcy musieli być zszokowani, widząc, co się stało z ich krajem. Lizzie się zastanawiała, do kogo właściwie należały brzegi Tuapeka River. O ile wiedziała, *pakeha* zakupili wprawdzie tereny pod swoje osiedla, ale Maorysi nic nie dostali za wykopy prowadzone gdzieś w lasach. Także majątki powstałe na tych terenach w efekcie gorączki złota nie przyczyniły się w żaden sposób do poprawy bytu krajowców – właścicieli tej ziemi.

Drugiego dnia jej podróży w górę rzeki zaczął sypać śnieg. Po chwili opady stały się tak intensywne, że Lizzie niemal nie widziała wyciągniętej przed siebie ręki. W końcu wyprzęgła konia, przykryła go i przywiązała do drzewa, po czym zagrzebała się pod kocami i płachtami namiotowymi. Opłacała się jej rozwaga przy zakupie wyposażenia: wszystkie wełniane rzeczy, koce i plandeki pozwoliły jej przetrwać i zachować sporo ciepła.

Kiedy Lizzie obudziła się następnego ranka, oniemiała wprost wobec otaczającego ją bajkowego krajobrazu. Góry, drzewa, lasy – wszystko skryło się pod grubą warstwą białego puchu. Lizzie nie mogła się napatrzeć, zwłaszcza że wzeszło słońce i śnieg migotał, jakby na jego powierzchni rozsypano diamenty. W Londynie śnieg zawsze przypominał szarą, brudną bryłę, a w Bay of Islands na Wyspie Północnej w ogóle nie padał. Za to tutaj... Lizzie czuła, że szybko zakocha się w górskim krajobrazie Otago.

Po trzech dniach jazdy dotarła w końcu do nowego obozu poszukiwaczy złota. Na brzegach rzeki, jak też wokół miejsc, gdzie znaleziono złoto, wznosiły się setki, jeśli nie tysiące namiotów. W wielu miejscach widać było konie, muły i woły, wokół ognisk tłoczyli się mężczyźni, chcący przynajmniej ogrzać ręce, zanim znów będą mogli zacząć kopać w twardej, zamrożonej ziemi. Lizzie uznała, że nie sprawiali oni korzystnego wrażenia, byli raczej obdarci i zaniedbani, a wielu wyglądało na

chorych. Zimowa pogoda dokuczała, a nic raczej nie wskazywało na to, że ci ludzie zarabiali dużo pieniędzy. W twardej, zamarznętej ziemi trudno było kopać. Było całkiem możliwe, że spora część tych ludzi po prostu głodowała.

Lizzie od razu zaczęła pytać o Michaela Drury'ego albo Parsleya, ale nie spotkało się to ze zbytnim zainteresowaniem. Wydawało się, że mało kto znał tu kogoś więcej oprócz najbliższych sąsiadów czy też współtowarzyszy pracy. Dopiero czwarty z zapytanych diggersów dał jej dobrą wskazówkę.

– Najlepiej zapytaj wielebnego, dziewczyno. Ten przynajmniej zapisuje sobie nazwiska tych, którzy tu zmarli.

Lizzie ta uwaga nie wydała się zbyt krzepiąca, ale mimo to udała się do centrum obozu. Minęła zaimprovizowane puby i domy uciech, także sklepy i z trudem mogła uwierzyć w ceny, jakich żądali za towary ich właściciele. W końcu dotarła do czegoś w rodzaju urzędu pocztowego, a jego pracownik wreszcie okazał się kimś, kto mógł jej pomóc.

– Tam jest jego namiot, ten z krzyżem, łatwo znaleźć. Ale wielebny jest teraz chyba w szpitalu. O co ma się modlić o tej porze?

Jedna z dziewczyn lekkich obyczajów, która sprawiała wrażenie jeszcze bardziej zamarznętej niż mężczyźni w obozie, pokazała w końcu Lizzie zaimprovizowaną izbę chorych i zawołała do mężczyzny, który właśnie stał na drabinie.

– He, wielebny! Tu jakaś kobieta czegoś od was chce! A może zrobiliście jej dziecko i dlatego zwialiście na złotońskie pola?

Mężczyźni zgromadzeni wokół szpitalnego namiotu wybuchnęli śmiechem. Tylko wielebnemu sprawa nie wydawała się śmieszna. Ten wysoki i szczupły mężczyzna, który niewiele się różnił od pozostałych, jeśli chodziło o zniszczone, brudne ubranie i ogorzałą od wiatru twarz, nie był teraz w zbyt szczęśliwym położeniu. Drabina, na której stał, chwiała się, a nikt z widzów nie zamierzał jej przytrzymać. W dodatku płachta, którą oderwał wiatr, wymykała mu się z rąk, a kolejna próba jej przybicia właśnie spelzła na niczym. Mężczyźnie brakowało trzeciej ręki, aby ją przytrzymać na właściwym miejscu i przybić gwoździami. Powstrzymał się od przekleństw, kiedy trafił młotkiem prosto w kciuk.

Lizzie przytrzymała drabinę i sięgnęła po drewnianą listwę, która leżała obok wejścia. Oparła się o ścianę namiotu, aby przybijana plandeka się nie ruszała. Wielebny szybko wbił kolejne gwoździe – przymocowana plandeka mogła zapewnić chorym względną osłonę przed śniegiem i wiatrem.

Peter Burton zszedł po drabinie na ziemię i uśmiechnął się do Lizzie.

– No, jeśli nawet, to nie zrobiłem tego dziecka najbrzydszej z dziewczyn! – krzyknął do dziwki, która przyprowadziła do niego Lizzie, co znów spowodowało salwę śmiechu. – W każdym razie tylko dureń zostawiłby taką dziewczynę!

Uklonił się uprzejmie przed Lizzie.

– Dziękuję pięknie, madame! Proszę wybaczyć tym ludziom, tu w obozie obyczaj nie są zbyt eleganckie. Jestem Peter Burton, duchowny Church of England, nawet jeśli tego po mnie nie widać.

Lizzie dostrzegła koloratkę pod szalikiem, który wielebny miał zawiązany na szyi.

– Czy mogę pani jakoś pomóc?

Lizzie skinęła głową i od razu zapytała o Michaela. Jej serce biło gwałtownie i szybko. Jeśli Michael został już pogrzebany przez tego człowieka... Przecież nie miała od niego żadnej wiadomości już od siedmiu miesięcy.

– Michael Drury. Irlandczyk. Oczywiście katolik.

Peter Burton machnął ręką.

– To nikogo tutaj nie interesuje, przynajmniej do czasu, kiedy Rzym nie przyśle nam kogoś. Byłbym wdzięczny za każdą pomoc. Michael Drury... hm... Taki wysoki, ciemnowłosy mężczyzna?

– Ma niebieskie oczy – dodała Lizzie, a jej oczy rozbliły już na samo wspomnienie zuchwałego spojrzenia Michaela.

Wielebny się roześmiał.

– Tak, myślę, że go znam. Jest razem z kimś z mojej gminy.

Lizzie poczuła, jak jej serce zamienia się w lód, a śmiech zamarł jej na ustach. To... nie mogło być. On nie mógł znaleźć sobie dziewczyny właśnie tutaj, on...

– Chris Timlock – mówił dalej wielebny. – Sympatyczny chłopak, przyjechał tu wraz z pierwszymi poszukiwaczami z Walii.

Lizzie odetchnęła.

– Ale nie ma ich tutaj. Oni chodzą własnymi drogami. Są gdzieś w górach, nad jakimś potokiem, i siedzą tam w przekonaniu, że znajdą złoto.

– No i? – spytała Lizzie. – Jakie mają perspektywy?

Wielebny podniósł w górę prawą brew.

– O to proszę mnie nie pytać. Jestem teologiem, nie mam pojęcia o płukaniu złota. Ale tu ponoć wszystkie potoki niosą złoto. Pytanie tylko ile. Mogę zaoferować pani herbatę? Sam już prawie zamarzłem!

Lizzie, która także trzęsa się z zimna, chętnie przyjęła propozycję. I chwilę później znalazła się we względnie ciepłym pomieszczeniu, które było chyba zaimprovizowaną szpitalną kuchnią. Stały tam drewniane, jako tako obrobione stoły i ławy. Na piecu w dużym kotle gotowała się gęsta zupa.

– Kiedy tylko to możliwe, wydajemy tu gorące posiłki – powiedział Burton. – Oczywiście tylko dla tych najbardziej potrzebujących, ale wszystkich i tak nie możemy nakarmić. Co z kolei przyczynia się do wzrostu zachorowalności. Jesienią mieliśmy tu cholera, teraz grypę i zapalenie płuc. I gruźlicę. Kilku chorym nie można już pomóc, ci pewnie umrą.

Wielebny westchnął i podał Lizzie kubek gorącej herbaty.

– To na złotonośnych polach tak mało można znaleźć? – spytała Lizzie. – W Kaikourze, tam, skąd przyjechałam, mówią, że tu złoto leży na drogach.

Burton się roześmiał.

– Przecież jechała pani tymi drogami – zażartował. – I co, nie potknęła się pani o złote grudki? Nie, Mrs Drury...

– Miss Portland – poprawiła go Lizzie, a wielebny popatrzył na nią badawczo i dokończył:

– Nie, Miss Portland, większość ludzi tutaj nie zarabia więcej niż robotnicy w mieście. A często mniej. Niestety życie tutaj jest o wiele droższe niż w Dunedin czy Kaikourze. Widziała pani sklep? Ceny są tam mocno wygórowane – oczywiście dlatego, że każdy kęs jedzenia musi tu zostać przywieziony. W pubach nie jest lepiej, podobnie ze sprzedajnymi dziewczynami. W dodatku o wszystko robi się tu zakłady. Nauczam w kazaniach, żeby tego nie robić, bo to zło, ale mogę ich zrozumieć. Ci chłopcy harują ciężko przez sześć albo siedem dni w tygodniu. To chcą w sobotni wieczór choć trochę się zabawić. W każdym razie handlarze, właściciele pubów i dziwki robią tu o wiele lepsze interesy niż poszukiwacze złota.

– I żaden nie staje się bogaty? – spytała Lizzie.

Peter Burton wzruszył ramionami.

– Nieliczni – odpowiedział. – Pierwsi, którzy znajdą nowe złotonośne pola. I dobrzy gracze w pokera. Ci ostatni mają tu szerokie pole do działania. Niektórzy bez skrupułów obdzierają ludzi do ostatniego grosza. Ale to mniejszość, Miss Portland. Większość wyjedzie stąd równie biedna, jak przyjechała.

Lizzie westchnęła.

– Pojadę więc w górę rzeki. A może pana zdaniem byłoby sensowne poczekać tu na Michaela?

Burton uniósł w górę brwi.

– To zależy od tego, czy planuje pani tylko odwiedzić męża, czy też z nim zostać. Nawiasem mówiąc, mogę wam dać ślub, jeśli chce pani dzielić z nim także nazwisko, a nie tylko jego z pewnością nieograny namiot.

Lizzie odważnie popatrzyła Burtonowi prosto w oczy, po czym oświadczyła:

– Ja mam swój własny namiot, wielebny. I nie dzielę go z nikim.

Peter Burton podniósł rękę uspokajającym gestem.

– Nie miałem zamiaru pani obrazić, Miss Portland. Ale czy nie nazwała pani przedtem Mr Drury'ego mężem?

Lizzie zagryzła wargi.

– Nie w tym sensie... – wymamrotała. – To tylko tak... żeby w ogóle jakoś to nazwać. On nie należy do mnie. Ja... tylko się o niego troszczę.



## ROZDZIAŁ 5

Michael Drury pociągnął nosem. Tej zimy nie mógł się pozbyć uporczywego przeziębienia, choć co prawda i tak czuł się lepiej niż Chris Timlock, który od wielu dni leżał w swoim namiocie, kaszląc i gorączkując. Tylko Michael mógł i musiał płukać złoto. Jeśli tego dnia w jego sicie nie znajdzie się choć kilka jego ziarenek, to nie będzie mógł kupić nic do jedzenia, a wszystkie zapasy zostały zużyte poprzedniego wieczoru. Michael musiał więc potem pojechać do obozu, ale tej odrobiny złota, które dotychczas znalazł, nie za bardzo opłacało się wymieniać.

Rozmyślał, czy nie pójść na polowanie, ale nie potrafił dobrze zastawiać pułapek, a drobnej zwierzyny, na którą polował w Irlandii, w Otago nie było. Nie było tu królików ani zajęcy, jedynie ptaki o osobliwych zwyczajach. Ciemnozielone papugi kea były tak bezczelne, że podchodziły aż do namiotów, aby kraść ich zapasy. Michaelowi udało się upolować jedną za pomocą procy, choć nie bardzo się to opłacało, bo ptak prawie nie miał mięsa. Znacznie większe kiwi były aktywne tylko nocą, a za dnia zagrzebywały się w ziemi. Kiedyś opowiadała o tym Lizzie, a Maorysi z pewnością wiedzieli, jak wytropić te ptaki za dnia. Ale Michael nigdy żadnego nie widział, a znajdowane na śniegu ślady też niewiele mu mówiły. Może tu, w górach, wcale nie było kiwi, Michael nie miał pojęcia o ich zwyczajach. Za to łapał ryby, w wędkowaniu odnosił o wiele więcej sukcesów niż w polowaniu – tylko że kiedy stał przez cały dzień nad rzeką i płukał złoto, to ryby uciekały.

Michael się zastanawiał, czy ma przerwać pracę i ugotować herbatę. Chrisowi by to z pewnością dobrze zrobiło, a on sam... Buty znów miał przemoczone, a w żadnym wypadku nie mógł się tak rozchorować jak jego partner.

Michael zbierał właśnie swoje rzeczy, kiedy usłyszał wołanie Chrisa. Przyjaciel stał w wejściu do namiotu oparty na kiju. Kaszłał, wołając, a Michael dostrzegł broń w jego ręce. Obaj mężczyźni kupili sobie broń za pieniądze zarobione po wymianie złota z pierwszego, bardzo zachęcającego znaleziska. Właściwie jednak żaden z nich nie wiedział za bardzo, jak się z nią obchodzić. Jeśli tylko mieli pieniądze na amunicję, to ćwiczyli, celując do drzew albo pustych butelek, ale na razie daleko im było do trafienia nawet nieruchomego celu. Za to strzały wystraszyły bezczelne ptaki kea, które schowały się wśród gałęzi drzew, zamiast bulgotać w garnku Chrisa i Michaela.

Jednak Chrisa musiało zaniepokoić coś innego niż kilka ptaków. Michael zostawił wszystkie rzeczy i pobiegł do namiotów, które były rozbite na niewielkim wzgórzu. Michael nie chciał, aby ktoś dostrzegł jego działkę. Jak dotychczas nikt nie wpadł na

pomysł, aby tu właśnie szukać złota, ale to mogło się szybko zmienić. Najpóźniej wtedy, kiedy by się wydało, że oni coś znaleźli.

– Ktoś jedzie drogą – wyszeptał Chris. Jego oczy płonęły gorączką, męczył go suchy, uporczywy kaszel. – Tak mi się zdaje...

Michael przede wszystkim pomógł przyjacielowi położyć się w legowisku. Było całkiem możliwe, że Chris sobie wmówił, że zbliża się jakiś intruz, albo nawet majaczył. Ale wtedy Michael rzeczywiście usłyszał jakiś hałas dobiegający zza wzgórz. Do obozu prowadziła ścieżka o licznych zakrętach i do uszu Michaela dotarł stukot końskich kopyt. Przykrył starannie Chrisa.

– Słyszysz? – wyszeptał chory.

Michael skinął głową, wziął do ręki broń i wyszedł na zewnątrz. Wskazane było napędzić gościowi trochę strachu, kimkolwiek by był. Z groźną miną wyszedł na drogę – i wtedy powitało go radosne rżenie. Koń Lizzie rozpoznał go natychmiast, w końcu swego czasu był zawsze rozpieszczany przez Michaela – ale może dostrzegł też siwka Michaela, który pasł się na łące przed namiotami, gdzie śnieg się stopił. Zwierzęta dostatecznie często dzieliły jeden boks w stajni. Michael natychmiast rozpoznał kasztana – był to roboczy koń Irish Coffee. Teraz koń dreptał powoli pod górę, obciążony do niemożliwości, a obok niego przedzierała się przez śnieg kobieta w długiej spódnicy i ciepłym płaszczu, zawinięta dodatkowo w wełniany szal.

– Lizzie! – Michael ruszył biegiem w dół i za chwilę chwycił ją w ramiona. Nigdy nie przyznałby się do tego, ale rzadko czuł taką ulgę, jak teraz na jej widok.

Lizzie wywinęła się z szala i niemal pozwoliła, aby ją pocałował. Dobrze było mieć go znowu – choć widok Michaela potwierdził jej najgorsze obawy. Mężczyzna był tak wychudzony i wycieńczony, jak kiedyś na więziennym statku. Miał zapadnięte policzki i błyszczące od gorączki oczy. Nie podniósł jej, tak jak przy ich poprzednim spotkaniu w Kaikourze – teraz zapewne brakowało mu na to sił.

Ale wydawało się, że naprawdę się ucieszył. Lizzie dosłownie spadł kamień z serca. Jadąc tu, poważnie się obawiała, że będzie niemile widziana.

Michael był szczęśliwy i podekscytowany jak dziecko.

– Co ty tu robisz, Lizzie? Chodź na górę, w namiocie jest cieplej... No, niewiele cieplej niż tu, ale trochę na pewno. Ugotuję ci herbaty.

Lizzie podarowała mu swój zwykły uśmiech pełen ciepła i radości i zaczęła szukać czegoś w jukach swojego siodła.

– Pomyślałam, że też poszukam złota – powiedziała mimochodem. – W Kaikourze nic już się nie działo, no to zaprzęgam konia i przyjechałam. I jak tam z twoim bogactwem, Michaelu Drury?

Twarz Michaela się wydłużyła.

– My... ciężko pracujemy – wymamrotał. – Ale teraz, zimą...

Lizzie skinęła głową.

– Tak, tu rzeczywiście jest dość zimno. Czy nie mówiłeś, że masz gdzieś namiot?

Namiotów Michaela i Chrisa Timlocka w ogóle nie można było porównać z namiotem wielebnego. W gruncie rzeczy składały się tylko z cienkiej lnianej płachty naprężonej na czterech niskich kijach. Dało się tam siedzieć, ale stać już nie. Nie było też żadnych mebli, obaj mężczyźni spali na ziemi, przykrytej prowizorycznie plandeką. Maty i koce jako tako chroniły ich przed zimnem, ale nie zapewniały ciepła potrzebnego ciężko choremu Chrisowi Timlockowi. Lizzie się przeraziła, kiedy go zobaczyła.

– Michael, ten człowiek musi się znaleźć w ciepłym pomieszczeniu! – wyszeptała do przyjaciela, kiedy już przywitała jego towarzysza. Chris leżał półprzytomny w swoim śpiworze i z trudem podał jej rękę. – A teraz najpierw rozstawisz ten namiot, który przywiozłam. Też mały, ale bez porównania z tym, jeśli chodzi o komfort! Na dole w obozie mam jeszcze jeden, o wiele większy, możemy w najbliższych dniach przywieźć go tutaj. Ach, prawda, postaraj się też o kilka dużych kamieni – jest ich tu dość. Będziemy mogli rozgrzać je w ogniu i wstawić do namiotu, aby go ogrzać. I przynieś moją torbę, mam tam syrop na kaszel z kwiatów rongoa.

– A nie masz przypadkiem... czegoś do jedzenia? – spytał Michael cicho.

Lizzie popatrzyła na niego z przerażeniem i niedowierzaniem.

– Ja... właśnie chciałem dziś pojechać na dół i uzupełnić zapasy – usprawiedliwiał się Michael, widząc jej spojrzenie. – W ostatnich dniach... jakoś nie miałem czasu, żeby to zrobić, i...

– I nie znalazłeś dość złota, żeby coś kupić w tym sklepie, gdzie są tak wysokie ceny, prawda? – dokończyła za niego Lizzie surowym tonem. – Michael, co ty sobie myślisz? Przecież ten chłopak może tutaj umrzeć, a ty chciałeś go zostawić samego, aby wyżebrać trochę jedzenia? Zaraz coś dla niego ugotujemy, rozgrzejemy go, a jutro zawieziemy go na dół do obozu!

– Ale działka! – wtrącił Michael. – Jeśli ją opuścimy, to ktoś inny sprzątnie ją nam sprzed nosa!

Z dumą właściciela wskazał na roztaczający się przed namiotem widok na idylliczną małą dolinę. Była rzeczywiście piękna. Ale czy pod śniegiem naprawdę kryło się złoto?

Lizzie przewróciła oczami.

– No to niech ten ktoś inny tutaj głoduje. Michael, miejsce takie jak to możemy tutaj znaleźć zawsze, a tego wcale nie trzeba pilnować!

– Właśnie że trzeba! – upierał się Michael. – Musimy tylko przeczekać zimę. Wiosną, kiedy ziemia odtaje...

Lizzie westchnęła. Czemu ciągle dawała się nabrać na te błyszczące niebieskie oczy i na ten głos? Ale chyba rzeczywiście nie było możliwe przewiezienie Chrisa

Timlocka do obozu. Ten człowiek był ciężko chory, jeśli miał przeżyć, potrzebował jedzenia i ciepła. Gdyby Lizzie zdołała przywieźć tu wszystkie swoje zapasy, to będzie mogła się nim zająć, tak jak zrobiłby to wielebny na dole.

– No dobrze – ustąpiła. – Ale jutro pójdziesz do obozu i spróbujesz przyprowadzić tu nasz wóz. Albo obrócisz dwa razy z dwoma końmi – wtedy przywieziesz wszystko.

– Przywiozłaś tyle rzeczy, aby dwa razy tu obracać z dwoma końmi? Co ty, na miłość boską, przywlokłaś? – przeraził się Michael.

Lizzie rozejrzała się demonstracyjnie po obozowisku.

– Przywiozłam wszystko, czego tu brak, Michael, aby móc żyć godnie jak człowiek. A teraz weź się do roboty, a ja zajmę się tym młodym człowiekiem.

– My... my znajdziemy złoto, prawda? – spytał Chris zachrypniętym głosem, kiedy Lizzie wlała mu do ust syrop na kaszel maoryskiej *tohunga*. – Wiosną...

Lizzie uspokajająco pogłaskała go po włosach.

– Na pewno znajdziemy. Nie martw się!

– O... obiecujesz?

Lizzie uśmiechnęła się do niego. Chris najwyraźniej nie wiedział już, gdzie był i z kim rozmawiał. Ale potrzebował pociechy – był jeszcze bardzo młody.

– Obiecuję ci! – powiedziała stanowczo.

Pomyślała, że będzie musiała następnego dnia ustalić, gdzie mieszkają Ngai Tahu.

Ale w ciągu pierwszych dni w Otago Lizzie nie udało się poszukać miejscowego szczepu Maorysów. Miała zbyt wiele pracy. Oboje z Michaeliem robili wszystko, aby uratować życie Chrisa Timlocka, wkrótce młody mężczyzna dzięki intensywnej opiece Lizzie poczuł się nieco lepiej. A potem doprowadzili obóz do takiego stanu, że nadawał się do zamieszkania i od biedy można było w nim przetrwać zimę. Ale wtedy Lizzie, ku niezadowoleniu Michaela, uparła się, aby zbudować dom z bali.

– Michael, jest dopiero czerwiec i śnieg pada codziennie! I tak będzie jeszcze przynajmniej przez trzy miesiące. Nie możesz przecież tak długo sypiać w namiocie.

– Ludzie w obozie mogą – mruczał uparcie Michael.

Lizzie potrząsnęła głową.

– I albo są stale chorzy, albo grzeją się u wielebnego. A poza tym obóz leży znacznie niżej niż ta okolica, dlatego jest tam trochę ciepłej. Wreszcie i tak nie masz nic do roboty!

– Mogę płukać złoto. Przynajmniej będzie z tego jakiś pożytek.

Lizzie chwyciła się za głowę.

– Michael, w ciągu czterech tygodni nie wypłukałeś choćby uncji złota z potoku! Żaden, nawet najtańszy pracownik dniówkowy nie pracowałby za takie pieniądze, i to nawet w Irlandii! A już tym bardziej, jeśli doliczysz do tego koszt zniszczonych w potoku butów i połamanych szpadli, którymi będziesz próbował kopać w twardej,

zamarzniętej ziemi.

– Ale sam nie mogę zbudować domu. A Chris...

Chris Timlock przeżył i wygrzebał się z zapalenia płuc, ale ciągle leżał chory w śpiworze. Lizzie się nie spodziewała, że wyzdrowieje całkowicie w przeciągu tej zimy. Może dopiero wiosną, kiedy zrobi się cieplej. Nie należał do najsilniejszych mężczyzn i możliwe, że już w Anglii nabawił się suchot.

– Mogę ci pomóc! – oświadczyła Lizzie. – Mam więcej sił, niż myślisz, i sprawi mi to przyjemność!

To ostatnie nawet okazało się prawdą, Lizzie czuła wielką radość, dopasowując kolejne belki i widząc powoli rosnący domek. Choć co prawda ścinanie drzew i wleczenie tutaj bali było straszną harówką. Robota szła jednak w miarę szybko i po miesiącu posiadali małą chatę, w której było miejsce na trzy legowiska, ognisko, stół i stołki. Lizzie zawiesiła plandekę przed kątem, w którym sypiała, aby mieć miejsce tylko dla siebie. W obozie poszukiwaczy złota plotkowano czasem, że żyła z dwoma mężczyznami, ale jakoś to nikomu nie przeszkadzało. Za to o wiele więcej mówiono na temat uporu, z jakim Michael obstawał przy pozostaniu na działce. Także wielebny nie komentował, kiedy Lizzie zjawiała się na niedzielnej mszy z dwójką swoich przyjaciół, choć co prawda działo się to nader rzadko. Chris był w stanie pokonać drogę do obozu i z powrotem tylko przy dobrej pogodzie, a i tak był potem śmiertelnie zmęczony.

– Proszę kiedyś przyjechać do nas! – zapraszała Lizzie Petera Burtona i cieszyła się, kiedy wreszcie przyjął zaprosiny.

Peter odprawił w chacie mszę dla Lizzie i Chrisa, a na zakończenie wypił whiskey z Michaeliem. Był zachwycony jej jakością. Lizzie nie sprzedała whiskey z beczułki z pierwszego pędzenia Michaela w Kaikourze, lecz przywiozła ją ze sobą do Otago. Teraz jej zawartość rozgrzewała ich w czasie najzimniejszych nocy. Lizzie chciała koniecznie, aby wielebny zobaczył jej sypialną niszę w chacie; Burton też miał nabrać do niej szacunku. Nikt już nie śmiał wątpić w jej uczciwość!

Do Otago wiosna zawitała o wiele później niż do Kaikoury, ale kiedy natura wreszcie pokonała zimę, urodzajna ziemia wprost eksplodowała. Wszystko zazieleniło się niemal z dnia na dzień. Na łąkach i nad strumieniami błyskawicznie zakwitły kwiaty. Brzeg rzeki obudził w Michaelu wspomnienia z Irlandii, choć tu zamiast dębów wzdłuż drogi rosły buki, a nad wodą zwieszały się olbrzymie paprocie, a nie gałęzie wierzby. Głosy ptaków brzmiały nieco osobliwie, ale wszystko inne było jak w domu.

Michael z przyjemnością obserwował, jak Lizzie zrzuciła swoje zimowe rzeczy, które pozwoliły jej zachować zimą ciepło, i spod wielu warstw wełny ukazało się wreszcie jej szczupłe ciało. I tak jak dziewczyny w Irlandii rozpuszczała włosy na wietrze, zdobiła ich domek wiosennymi kwiatami, a Michael po raz pierwszy od lat

nie śnił już o złotych lokach Mary Kathleen, tylko cieszył się, widząc lśniące w słońcu ciemnoblond włosy Lizzie. Nie myślał już o powabnych ruchach Lizzie, lecz zaczął cenić jej zdecydowanie i energiczny sposób bycia: nawet jej jeszcze niezbyt zgrabne, ale pełne uporu próby skłonienia konia do wyciągnięcia kolejnego drzewa – Michael i Chris planowali budowę rynny do płukania i potrzebowali pni nad potokiem. Ujmowała go troskliwość Lizzie, kiedy ona ostrożnie wyprowadzała Chrisa przed chatę, aby ten mógł się rozgrzać w promieniach wiosennego słońca. Partner Michaela coraz częściej mówił o tym, że wreszcie zaczną pracować razem z nim, ale w gruncie rzeczy nie było co o tym myśleć. Chris rzeźbił coś z kawałków drewna i pomagał Michaelowi projektować rynnę, lecz kiedy brał do ręki najlżejszą piłę, to po kilku minutach był mokry od potu i kaszłał.

Michael szemrał, że przynajmniej ona powinna mu pomóc przy budowie rynny, ale Lizzie się wzbraniała.

– Michael, taki trud w ogóle się nie opłaci, bo w tym potoku nie ma złota! A jeśli jest, to za mało, aby był z tego jakiś zysk. To już lepiej idź kopać, może są tu gdzieś żyły złota, jeśli jesteś taki przekonany, że to musi być akurat ta działka, a nie inna. Ale jeśli chodzi o rynnę, to trzymam się tego, co mówią Maorysi: zanim zrąbię drzewo, proszę Tane, boga lasu, o pozwolenie, a on daje mi je tylko wtedy, kiedy z drewna chcę zrobić coś sensownego. A tu Tane mówi „nie”. I raczej pójdę do diabła, niż mu się narażę.

Lizzie udało się już ustalić, gdzie mieszkał najbliższy szczep Maorysów, i wkrótce zamierzała ich odwiedzić. Oceniała, że będzie musiała jechać dwa dni wzdłuż rzeki, bo tubylcy przenieśli swoją wieś. Osiedlali się teraz coraz dalej od poszukiwaczy złota. Czegóż takiego nie zrobiliby Kahu Heke i jego ludzie z Wyspy Północnej, ale wiele szczepów z Wyspy Południowej nie miało tak pięknych, ozdobionych płaskorzeźbami *marae*, lecz proste chaty, które byli gotowi szybko porzucić, aby się udać na dalszą wędrówkę.

Lizzie zamierzała udać się do Maorysów na piechotę. Załadowała na konia swoje rzeczy i prezenty dla Ngai Tahu i nie chciała go obciążać dodatkowym ciężarem. Michael zaproponował, że będzie jej towarzyszył albo żeby przynajmniej wzięła jego siwka pod wierzch. Ale Lizzie odrzuciła jedną i drugą propozycję. Nie lubiła jeździć konno, a siwek miał wielki temperament i Lizzie się bała, że sobie z nim nie poradzi. A choć cieszyłoby ją towarzystwo Michaela, to wiedziała, że Ngai Tahu prędzej nabiorą do niej zaufania, jeśli przybędzie sama. Poza tym nie chciała zostawiać w obozie Chrisa samego, bez pomocy.

– Nic mi się nie stanie, Michael! – śmiała się, kiedy on przed wyjazdem biegał wokół niej jak zatroskana kwoka. – Maorysi są nastawieni przyjaźnie, a ja na dodatek przywożę im prezenty i pozdrowienia od ich przyjaciół z Kaikoury. Niebezpieczeństw to mogę się spodziewać raczej ze strony *pakeha*. A tam, dokąd chcę

dotrzeć, jeszcze prawdopodobnie ich nie było.

W głębi ducha cieszyła się jednak, że on tak się o nią martwił. Wszystko wskazywało na to, że wreszcie zaczął coś do niej odczuwać!

## ROZDZIAŁ 6

Z wiosną obóz poszukiwaczy złota znów się ożywił – ale przede wszystkim ożyło miasto Dunedin. Do Otago Harbour zaczęły zawijać kolejne statki i tysiące poszukiwaczy przygód znów pociągnęły nad Tuapeka River. Do kraju przybywali kolejni poszukiwacze złota i ci, którzy koniecznie chcieli nimi zostać.

Dwóch z nich wyruszyło z początkiem ferii wiosennych z Dunedin: byli to Rufus Cooper i Sean Coltrane. Po licznych, trwających całe miesiące prośbach i błaganiach wreszcie także Mr Cooper wyraził zgodę na odwiedziny chłopców u wielbnego Burtona. Choć nie obyło się bez niemal zaprzysiężenia duchownego, że ten odeśle jego syna wraz z końcem ferii do Dunedin. I to bez względu na to, czy on będzie tego chciał, czy nie.

– A ty masz na niego uważać! – upominał Cooper po raz któryś Seana, kiedy chłopcy wreszcie siedzieli na koniach.

Obaj spędzili całe godziny, obławując wierzchowce wszelkimi możliwymi przyborami do kopania złota oraz sprzętem biwakowym, co zupełnie nie było potrzebne. Kathleen chciała im towarzyszyć do obozu poszukiwaczy i jechała wozem załadowanym najróżniejszymi towarami. Były tam środki opatrunkowe, lekarstwa, plandeki, płachty namiotowe i żywność dla szpitala.

– Ale dwa śpiwory i dwie łopaty zmieściłyby się jeszcze z pewnością – twierdziła Kathleen, mrugając porozumiewawczo. Chłopcy jednak stanowczo odrzucili jej propozycję.

– Za prawdziwymi poszukiwaczami złota nie jedzie z tyłu mamusia! – oświadczył zarozumiale Sean, co znów pobudziło Kathleen do śmiechu. – Choć patrząc na niektórych, wcale nie byłoby to takie złe! – dodał chłopiec.

Tej wiosny Kathleen była stale w doskonałym nastroju. Cieszyła się na wycieczkę w góry – i na spotkanie z Peterem Burtonem, nawet jeśli do tego ostatniego nie chciała się przyznać przed samą sobą! Wbrew własnym przewidywaniom dobrze się odnalazła w Dunedin. Z początku bała się panicznie, że ktoś odkryje prawdę o niej – w końcu znalazła się wśród bardzo licznej towarzystwa. Mieszkańcy wybierali zarząd miasta i ustalali przepisy dotyczące rzemieślników. Kathleen i Claire miały zgłoszony zakład, który był szeroko znany. Gdyby Ian wszczął poszukiwania, znalazłby ją bez trudu. Ale od jej ucieczki upłynęły już cztery lata. Ian musiał się już z tym pogodzić, a w dodatku Dunedin nie było teraz małym miasteczkiem, gdzie wszyscy o wszystkim wiedzieli. Miasto stale rosło, zapewniając tym samym swoim mieszkańcom coraz większą anonimowość. Kathleen odważała się coraz częściej



pójść razem z Claire i Mr Dunloem do teatru czy na wystawę i bez żadnych wyrzeczeń mogła sobie pozwolić na karty wstępu. Lady's Goldmine przynosiła dobry zysk, Kathleen ciągle projektowała nowe modele sukien, a jej szwaczki ledwo mogły nadążyć z pracą. Claire zachwycała się coraz to nowymi dodatkami, które zamawiała w Londynie i w Paryżu. Dzięki swemu wyczuciu gustu i smakowi potrafiła znakomicie doradzać klientkom i uchodziła za jedną z najlepiej ubranych i najelegantszych dam w mieście. Kathleen się zastanawiała, kiedy wreszcie Mr Dunloe się jej oświadczy i jak ona na to zareaguje, ale Claire nigdy o tym nie mówiła. Kathleen także więc nie poruszała tego tematu.

Kathleen również miała swoich wielbicieli, a właściwie mogłaby ich mieć, gdyby nie była tak powściągliwa i zamknięta w sobie. Rzadko odważała się powiedzieć coś publicznie i zwykle odpowiadała monosylabami, jeśli mężczyźni ją zagadywali. Jednak jej niezwykłą, dojrzałą urodę trudno było ukryć. Wprawdzie Kathleen ubierała się bardzo skromnie w porównaniu z Claire, a jej suknie zupełnie nie rzucały się w oczy, ale dzięki swym bujnym złotoblond włosom, jasnej cerze o barwie miodu i szmaragdowozielonym oczom zawsze była w centrum uwagi. Po raz pierwszy w życiu miała też czas, aby o siebie zadbać. Jej twarz nie była teraz spalona słońcem, nie miała też spękanych warg i zniszczonych ciężką pracą rąk. Była szczupła, ale już nie wychudzona, i powoli zaczynała czuć, że może spokojnie patrzeć ludziom w twarz. Nocne koszmary stawały się coraz rzadsze i stopniowo zaczęła zapominać o obelgach i razach, jakie musiała w swoim czasie znosić od Iana. Ale ciągle jeszcze walczyła z poczuciem winy – zwłaszcza że nowy katolicki ksiądz w Dunedin jeszcze ją w nim utwierdził.

– Nie wolno ci było opuszczać męża! – zganiał ją w czasie pierwszej spowiedzi. – Bez względu na to, jakie było twoje małżeństwo! Co Bóg złączył, człowiek niech nie rozłącza. Powinnaś była z nim zostać i próbować być dobrą żoną!

Ojciec Parrish nie przyjął do wiadomości argumentu Kathleen, że dostatecznie długo próbowała to robić. Duchowny radził jej całkiem poważnie, aby wróciła do Christchurch, ale Kathleen aż tak dalece nie zamierzała się poddać woli bożej.

– Was nie połączył Bóg, tylko czysta bieda! – argumentowała w dodatku Claire. – Bóg złączył cię raczej z tym Michaeliem. Za niego powinnaś była wyjść za mąż. Nie mogłaś pojechać razem z nim do Australii?

O takiej możliwości Kathleen nie myślała nigdy, zresztą teraz i tak było już za późno. A w dodatku Kathleen czuła, że jest na prostej drodze do popełnienia jeszcze gorszego grzechu niż opuszczenie męża, który ją bił i znieważał. Za każdym razem, kiedy Peter Burton przyjeżdżał do miasta, jej sympatia do młodego duchownego rosła. To Burton doprowadzał ją do śmiechu, zabawiał ją historiami z obozu poszukiwaczy złota i troszczył się o Seana oraz Heather. Był zawsze cierpliwy, nigdy się nie narzucał, a kiedy podawał jej ramię w czasie spaceru, czuła się odprężona

i bezpieczna. Jeśli w czasie wsiadania do powozu chwycił ją za rękę lub nieumyślnie dotknął nogą jej nogi, czuła przyspieszone bicie serca. Nie było to gwałtowne pożądanie, jakie odczuwała w stosunku do Michaela, ale jednak – kiedy Burton przyjeżdżał do miasta, Kathleen czuła się młodsza, lżejsza i była gotowa tańczyć cały dzień.

A czasami, kiedy siedziała nad swoim blokiem rysunkowym i nie przychodził jej do głowy żaden pomysł, przyłapywała się na tym, że na papierze pojawiał się portret Petera Burtona: jego lekko zakrzywiony nos – chyba efekt któregoś treningu bokserkiego w college’u – pełne wargi i podłużna twarz pod brązową czupryną, której kosmyki stale spadały mu na czoło. Sympatyczne, spokojne oczy, które zaczynały błyszczeć, kiedy go coś poruszało. Kathleen wiedziała teraz, że były brązowe, pełne bursztynowych iskierek. Bo od jakiegoś czasu odważała się patrzeć w jego oczy na tyle długo, aby odczytać wyraz jego spojrzenia.

Kathleen próbowała nie myśleć o wszystkich możliwych konsekwencjach swych uczuć. Ale teraz pozwoliła sobie na czystą radość wobec perspektywy kolejnego spotkania z nim w obozie. Jechała tam po raz pierwszy, a Peter nie chciał zobaczyć się z nią przy Ścieku Gabriela, coś takiego było nie do pomyślenia w przypadku lady. Nowy obóz był ponoć już bardziej cywilizowany. Kilku poszukiwaczy sprowadziło tam już nawet swoje żony i dzieci, zbudowawszy uprzednio proste chaty z bali, i wielebny zajął się ostatnio także codzienną nauką pisania i czytania dla kilkorga dzieci.

– Zobaczysz, *mom*, po feriach będziemy bogaci! – oświadczył Sean, który kłusował teraz obok Rufusa.

Heather przytuliła się do Kathleen.

– Myślisz, że będę potrafiła płucać złoto? – spytała swoim jasnym i bardzo czystym głosem, który także odziedziczyła po matce. Heather nie miała prawie nic z Coltrane’a. Oprócz ciemnobrązowych oczu, które stanowiły uroczy kontrast z jej jasnymi włosami, była niemal lustrzanym odbiciem matki.

Kathleen skinęła głową.

– Z pewnością, wielebny Burton pokaże nam, jak to się robi, i wtedy obie znajdziemy więcej złota niż ci wszyscy chłopcy!

Kathleen nie za bardzo mogła podziwiać krajobraz otaczający obóz. Osiedle zamieniło się w małe miasto, a kościół Petera Burtona i centrum gminy tworzyły jeden z jego najważniejszych punktów. Kobiety z gminy powitały Kathleen i zaraz też zaprosiły ją do swego grona. Szpital, kuchnia dla potrzebujących, szkoła – wszędzie potrzebna była pomoc, najlepiej kobieca. W obozie nadal było bardzo mało kobiet, ale teraz przynajmniej nie były to tylko dziewczęta lekkich obyczajów. Pomocnice w gminie Petera rekrutowały się spośród żon i córek sklepikarzy, urzędnika poczty i właścicieli lombardów w obozie. Żony poszukiwaczy rzadko

świadczyły pomoc w gminie Petera. Przeważnie pracowały obok mężów na złotonośnych polach – równie ciężko jak oni sami. Wiele z nich nie mogło podolać temu wysiłkowi, często dochodziło do poronień i wypadków przy pracy – szpital Burtona był zawsze pełen. Kathleen pomagała przy dwóch porodach zaraz pierwszej nocy po przyjeździe, choć wolałaby spędzić wieczór z Peterem.

– Pani byłaby wspaniałą żoną dla wielbnego! – oświadczyła żona właściciela sklepu towarów mieszanych.

Kathleen zaczerwieniła się gwałtownie. Starła się nie pokazywać po sobie radości ze spotkania z Peterem, a on nawet nie pocałował jej w policzek na powitanie. Ale i tak już mówiono o jej relacji z Peterem, a matrony w obozie snuły plany wesela. Postanowiła być ostrożna. Nie do pomyślenia, co by się stało, gdyby te dzielne kobiety dowiedziały się o tym, że jest katoliczką!

Ale nawet będąc pod stałą obserwacją obozowych matron, Kathleen spędziła kilka szczęśliwych dni u boku Petera Burtona. Właściwie nie było chwili, w której byłaby z nim sam na sam, ale cieszyło ją, że mogła mu pomóc, chętnie też patrzyła, jak Peter obchodził się ze swymi owieczkami. W nowym osiedlu Tuapeka Kathleen czuła się szczęśliwa, za to Burton był trochę rozczarowany. Miał nadzieję, że znajdzie dla niej trochę czasu, ale akurat w trakcie jej odwiedzin obóz wprost zalała kolejna fala przybyszów. Wielbnego potrzebowano niemal w każdym miejscu i o każdej porze. Musiał łagodzić spory, udzielać rad i pilnować egzekwowania ustaleń w sprawie wytyczania działek i wyznaczania miejsc pod kolejne namioty.

– Ale teraz choć raz pojedź gdzieś ze mną! – oświadczył Kathleen pewnego słonecznego przedpołudnia, które było jakby stworzone na piknik. Sean i Rufus bardzo podekscytowani wyruszyli rankiem na poszukiwanie złota, napelniwszy juki przy siodłach prowiantem i ciągnąc za sobą konia z Heather. „Mała” miała już trzynaście lat i nie dała się tak łatwo po prostu odesłać. Ku irytacji obu chłopców okazała się w dodatku bardzo sprawną poszukiwaczką – w ciągu pierwszego tygodnia wypłukała w potokach sporo złota, które przyniosło jej zysk w wysokości trzydziestu funtów i znaczną przewagę nad bratem.

Matka Heather poświęcała mniej czasu na letnie rozrywki. Akurat była zajęta wraz z innymi kobietami czyszczeniem warzyw w kuchni dla ubogich, kiedy Peter przejeżdżał przed największym namiotem gminy swoim ciężkim, zaprzężonym w dwa muły krytym wozem.

– Muszę przywieźć drzewo z drugiego końca obozu – oświadczył Peter. – Mężczyźni ścięli tam drzewa, żeby zrobić miejsce pod kolejne namioty, i chcą nam podarować pnie. Jeśli znajdę jeszcze kilku ludzi do pomocy, to zbudujemy z bali dom dla szpitala – przynajmniej dla oddziału kobiecego.

Choć co prawda znalezienie takich pomocników mogło się okazać trudne, bo wszyscy mężczyźni, którzy tylko byli w stanie, od rana harowali na złotonośnych

polach. Nawet pierwsze pacjentki Kathleen wyruszyły tam razem z mężami. Zawinęły swoje maleństwa w koce i położyły je na brzegu potoków, z których usiłowały wypłukiwać złoto.

Kathleen usiadła na wozie koło Petera Burtona i po chwili wielebny pewnie prowadził swój zaprzęg między namiotami, zwierzętami pociągowymi oraz przechodzącymi obok mężczyznami. Peter nie przestawał rozmawiać z Kathleen, która tego dnia podobała mu się bardziej niż kiedykolwiek. Młoda kobieta wreszcie chyba czuła się bezpieczna, praca w obozie wydawała się sprawiać jej przyjemność, a w Dunedin także wszystko było w jak najlepszym porządku. Kathleen śmiała się otwarcie, kiedy Peter pozwolił sobie na jakiś żart, i była naprawdę piękna.

Był ciepły, choć wietrzny wiosenny dzień, z upiętych włosów Kathleen wysunęło się kilka kosmyków, a Peter odważył się delikatnie odsunąć je z jej czoła. Jeszcze kilka miesięcy temu kobieta cofnęłaby się z przestachem, widząc taki ruch, ale teraz na chwilę przytuliła twarz do jego dłoni, która dotknęła jej policzka. Peter ostrożnie opuścił rękę, obejmując jej ramiona, i przytulił ją lekko do siebie. Kathleen popatrzyła na niego, a on zapomniał o całym świecie, patrząc w jej pełne radości oczy. Muły same znajdowały przejazd przez obóz, droga była prosta i zwierzęta nie mogły z niej zjechać.

Kathleen uśmiechnęła do Petera – tkliwie, ale otwarcie, szczerze. I niemal w tym samym momencie nagle znieruchomiała. Jej łagodne rysy twarzy, dopiero co pełnej wewnętrznej radości, nagle zeszytwniały w grymasie potwornego przerażenia.

– Jedź! – wyszeptała do Petera. Jej ręce sięgnęły do cugli. – Jedź, szybko, szybciej! Ja muszę... – W jej słowach było tyle usilnej prośby, że Peter o nic nie pytał, tylko popędził muły, uprzednio rozejrzawszy się badawczo dookoła. Coś musiało śmiertelnie przerazić Kathleen. I to tak bardzo, że teraz skurczyła się obok niego i opuściła nisko głowę, chcąc ukryć twarz. Sprawiała wrażenie, że najchętniej schowałaby się pod kozłem wozu. Jednak Peter nie mógł dostrzec niczego, co usprawiedliwiałoby taką reakcję Kathleen. Obok ulicy miała miejsce zupełnie normalna i typowa dla Tuapeka scena: dwóch nowych przybyszów – ciemnowłosa mężczyzna i chłopiec, jasny blondynek – wyładowywali właśnie swój wóz, a mężczyzna kłócił się ze swoim sąsiadem o miejsce, na którym chciał postawić namiot. Żaden z nich nie zwrócił uwagi na zaprzęg Petera, a już tym bardziej na siedzącą na kozle kobietę.

– Co się dzieje, Kathleen? Powiedz mi! – Peter nieco zwolnił, kiedy dotarli do bardziej ruchliwej części obozu. Kathleen dygotała jak liść osiki.

– Zatrzymaj... Proszę, zatrzymaj się... – wymamrotała. – Tak, tak, chodzi o... Ja... przykro mi, Peter, wybaczone... ale ja... Sean, dzieci... Będę... muszę...

Kathleen zeskoczyła z wozu Petera, rozejrzała się dookoła jak zaszczute zwierzę i zaczęła biec. Pędziła, jak gdyby ścigały ją furie.

Peter Burton patrzył za nią zaskoczony. Czy to on zrobił coś, co aż tak przeraziło Kathleen? Wielebny w tym samym momencie odpędził tę myśl. Nie, to musiało być coś innego. Nie zastanawiając się długo, zawrócił. Drzewo można było odebrać później, postanowił najpierw odnaleźć Kathleen i ustalić, co wstrząsnęło nią aż tak bardzo. Wydawało mu się, że pobiegła w stronę kościoła – co także dowodziło tego, iż nie uciekała przed nim. Między namiotami prowadziły liczne skróty i Kathleen zapewne mogła dotrzeć na miejsce szybciej niż Peter swoim zaprzęgiem. Wielebny raz jeszcze rozejrzał się dookoła w miejscu, w którym Kathleen aż zeszywniała z przerażenia. Mężczyzna i chłopiec gdzieś znikli. Najwyraźniej ich rozzłoszczony sąsiad postawił na swoim i musieli szukać miejsca dla swojego namiotu gdzie indziej. Czy panika Kathleen mogła być związana właśnie z nimi? Czy Kathleen ich знаła? A może ów sąsiad ich znał? Ale co ona mogła mieć wspólnego z tym starym, opryskliwym Australijczykiem? Peter Burton postanowił ustalić to później. Zaniepokojony w najwyższym stopniu cmoknął na konie i zatrzymał się dopiero wtedy, kiedy dotarł do szpitalnego namiotu i kościoła.

– Gdzie jest Miss Kathleen?! – zawołał do kobiet, które ciągle siedziały przed namiotami i czyściły warzywa. Rozmawiały o czymś z wielkim ożywieniem i popatrzyły na niego zaskoczone.

– Czy pokłócił się pan z nią? – spytała wyraźnie zaciekawiona żona kramarza. Peter nie zaszczycił jej odpowiedzią.

– Gdzie ona jest? – spytał jeszcze raz.

– Dopiero co tu była, blada, jakby zobaczyła ducha, i pobiegła w stronę stajni. Czy coś się stało, wielebny? – zapytała z kolei żona poczciarza.

Peter zostawił swój zaprzęg, zeskoczył z kozła i ruszył do namiotu, w którym trzymano konie. Pewien zapobiegliwy Szkot wynajmował tu miejsca, gdzie można było zostawić konie i zaprzęgi, zarabiając na tym znacznie więcej niż większość poszukiwaczy złota. Kathleen w wielkim pośpiechu zaprzęgała właśnie konie do swojego powozu.

– Ja... muszę jechać... – wyjąkała nieskładnie na widok Petera. Ledwo nad sobą panowała.

– Ależ Kathleen... tak nagle... powiedz mi, proszę, co się stało? Czy to ja coś zrobiłem?

Peter chciał ją chwycić w ramiona, aby się choć trochę uspokoiła, ale ona w pośpiechu wyprowadziła wóz przed stajnię. Najwyraźniej nie miała nawet zamiaru zabrać swoich rzeczy z namiotu szpitalnego, w którym sypiała.

– Ty? Nie... nie, oczywiście, że nie. Peter... musisz znaleźć Seana... albo poczekaj, aż chłopcy i Heather wrócą, ale powiedz mu... że mają natychmiast wracać, dobrze? Żeby nie zwlekał i ruszał natychmiast, nawet nocą. Może znajdziesz kogoś, kto będzie towarzyszył dzieciom. Ja zapłacę... Ale my... my musimy...

Kathleen nie dokończyła ostatniego zdania. Wskoczyła na kozioł i skierowała zaprzęg w stronę drogi.

– Przykro mi, Peter. Naprawdę mi przykro... wybacz...

Kathleen popędziła konie, zaledwie wyjechała ze stajni, kierując się w stronę Dunedin. Peter, kompletnie zaskoczony, patrzył za nią, usiłując pozbiierać myśli.

Nie zwracając już uwagi na kobiety, które także z zaciekawieniem patrzyły za Kathleen i niezbyt pochlebnie zerknęły w jego stronę, wielebny wrócił do swojego wozu. Cokolwiek się stało, musiał przywieźć to drzewo, bo prędko mógł się znaleźć inny odbiorca. Postanowił potem poszukać tego mężczyzny i chłopca, których widok tak bardzo przeraził Kathleen.

Trwało to dłuższy czas, zanim załadowano na wóz pnie drzew i Peter mógł wreszcie wyruszyć w stronę kościoła. Było jeszcze jasno, kiedy mijał miejsce, w którym Kathleen wpadła w panikę. Dostrzegł mężczyznę, z którym klócił się ciemnowłosy przybysz. Był to Australijczyk i Peter znał go trochę. Zatrzymał konie.

– Dobry wieczór, Terrence. Co, dobry dziś dzień?

Poszukiwacz złota potrząsnął głową.

– A, dobry wieczór, wielebny. Ech, dzień raczej kiepski. Mały dochód, dużo kłopotów. – Australijczyk podrapał się w głowę, na której prawie nie było włosów.

– Widziałem, pokłóciliście się. Co, nowi sąsiedzi?

– No, na szczęście poszedł sobie. Co za ludzie, doprawdy! Przecież każdemu potrzeba odrobiny swobody do oddychania, a naokoło, Bogu dzięki, miejsca dość, żeby rozstawić kolejne namioty. Choć może już nie tak centralnie.

To była prawda. Nowo wyznaczone pola namiotowe były położone już znacznie dalej od sklepów i pubów.

– A ten typ jeszcze chce koniecznie zacząć tu handlować końmi! Tuż obok! Te dwa muły, które miał ze sobą, też chciał mi opchnąć.

Peter zmarszczył czoło.

– Jak on się nazywał? Przedstawił się?

Terrence potrząsnął głową.

– No, aż tak daleko nie zaszliśmy w uprzejmościach. A dlaczego? Chcecie kupić muła? Ten wasz rzeczywiście nie jest najmłodszy. Ale bydłeta od tego typu też nie, choć były wypolerowane do połysku. – Terrence najwyraźniej znał się na koniach.

– A nie wiecie, gdzie oni obaj mogą teraz być? – spytał Peter.

Terrence wzruszył ramionami.

– Poszli pewnie na te nowe pola namiotowe, jak mi się zdaje. Albo znów klóć się z kimś gdzie indziej. Z tym typkiem będą kłopoty, trzymajcie się od niego z daleka, wielebny.

Peter rozmyślał, co robić dalej, i postanowił najpierw odprowadzić zaprzęg.

W stajni szybko osiodłał mulicę, którą Kathleen podarowała mu wtedy na pożegnanie, i ruszył drogą prowadzącą przez obóz. Jadąc konno, mógł szybciej wszędzie dotrzeć i może uda mu się znaleźć tego człowieka. A poza tym mógł powiedzieć, że chce zamienić zwierzę – to najlepsza metoda, aby nawiązać rozmowę z handlarzem końmi.

„Z tym typkiem będą kłopoty”... Peter postanowił zaufać instynktowi Terrence’a i skierował się najpierw w stronę najbliższego pubu.

– Dobry wieczór, ludzie! – powitał wszystkich. – Słyszeliście już, jakiś handlarz końmi chce się tu gdzieś osiedlić. Wie ktoś, gdzie dokładnie?

– Taki tłusty, czarny jak Cygan? – spytał gospodarz. – Był tu dopiero co. Chciałby się rozbić obok. Ale ja byłem pierwszy! To mój teren! No to ulokował się koło burdelu Janey. Też niedobrze, ale Janey nie może powiedzieć „nie”.

– Obok burdelu? – zdziwił się wielebny. – Słyszałem, że ma ze sobą małego chłopca...

– No, ten chyba też nie ma zbyt wrażliwej natury! – Gospodarz uśmiechnął się szeroko, a wszyscy zarechotali. – Chcecie łyk wódeczki, wielebny?

Peter się pożegnał, nie wypiwszy oferowanej wódki. Był za bardzo zaciekawiony, a Janey’s Dollhouse, bo tak się nazywał burdel, był tuż za rogiem. I rzeczywiście stał przed nim niedawno rozbity namiot, a mężczyzna i chłopiec znosili rzeczy z wozu do jego wnętrza. Muły były przywiązane na długich sznurkach, o które pijani goście Janey na pewno będą się w nocy potykać.

Peter się zastanawiał, jak zacząć rozmowę, ale mężczyzna także go zauważył. Miał oczy nabiegłe krwią i uważnie, choć rutynowo zlustrował mulicę Petera – ale potem w jego oczach błysnęło zainteresowanie.

– Macie ładne zwierzę – stwierdził. – Skąd ją macie?

Peter Burton się zdziwił. Jeśli ten człowiek handlował końmi, to powinien wiedzieć, gdzie można kupić muły. Postanowił mieć się na baczności.

– Kupiłem gdzieś koło Christchurch – odpowiedział. – Ale zastanawiam się, czy jej nie oddać. Czasami kuleje.

Mężczyzna uśmiechnął się szeroko.

– Od razu zauważyłem. Tak, ktoś was okantował, Mr... Och... ojciec... – Zauważył koloratkę i ukłonił się.

– Wielebny – poprawił Peter. – Wielebny Peter Burton.

Mężczyzna zaśmiał się jowialnie.

– No, to przecież widać... Człowiek spodziewa się tu Sodomy i Gomory, a już pierwszego dnia można zrobić interes z Kościołem! Cieszę się, że was poznałem, wielebny. I będzie to dla mnie zaszczyt, jeśli będę mógł wam sprzedać najlepszego muła, jakiego można dostać od Invercargill aż po Auckland! – Wyciągnął rękę do Petera. – Jeśli mogę się przedstawić: Ian Coltrane.

Ucieczka Kathleen bardzo dotknęła Iana. Co prawda nie tęsknił za żoną – bardziej brakowało mu jej jako czegoś w rodzaju siły roboczej. Domokrążny handel bydlęmi wymagał punktu oparcia, jakim była farma. Ktoś musiał tam być i troszczyć się o te zwierzęta, których Ian akurat nie zabierał ze sobą w podróż. I takiej osoby zabrakło po odejściu Kathleen. Colin obiecywał i był gotów zrobić wszystko dla ubóstwianego ojca, ale był jednak dzieckiem. Nawet Ian rozumiał, że dziewięciolatkowi nie można powierzyć zarządzania farmą ani też oczekiwać od niego, że się tym zajmie. I nawet nie można było go tam zostawić samego na dłuższy czas. Ale w ten sposób spełniło się przynajmniej najgorętsze pragnienie Colina: Ian przestał go posyłać do szkoły, a zaczął zabierać ze sobą w swoje podróże.

Z początku Ian zamierzał wyjeżdżać na krótko – ale tu zemściły się jego ciągnące się latami oszukańcze praktyki: w samym Christchurch i w okolicy jego opinia była zrujnowana, każdy wolał pojechać dalej, aby nabyć zwierzę gdzie indziej. Ian próbował więc zdobyć wspólnika, który miał gospodarować na farmie, podczas kiedy on będzie jeździł i handlował. Ale na współpracę z nim decydowały się tylko jakieś podejrzane typy. Pierwszy ukradł mu stado owiec i sprzedał je na własną rękę, kiedy Ian był w jednej ze swoich podróży, drugiego zastawał po powrocie kompletnie pijanego w stajni, trzeci zaś pokłócił się z nim, kiedy Ian chciał go oszukać na udziale w jednej ze sprzedaży koni. Sporo kłopotów było też z czwartym wspólnikiem, który i tak uciekł z farmy, kiedy tylko w Otago zaczęła się gorączka złota. Ian musiał więc znów ograniczyć swoje wyjazdy – choć właściwie powinien był wyjeżdżać dalej i na dłużej, bo wkrótce także nawet najdrobniejsi farmerzy na Canterbury nie dawali się oszukiwać. Dzięki gorączce złota nie wzbogacili się co prawda, ale stać ich było na to, aby powiększać swoje stada dzięki współpracy z wielkimi hodowcami i poprzez to poprawiać własną hodowlę. Wielu „owczych baronów” hodowało też konie i muły dla własnej przyjemności albo do pracy. I ci także pomagali uboższym sąsiadom, wynajmując im zwierzęta do pracy.

– Dlaczego po prostu nie pracujesz u siebie na farmie? – spytał Ron Meyers, nowy właściciel farmy Edmundsów, kiedy Ian skarżył się w pubie kompanom od kieliszka.

– Moja hula jak posmarowana!

Meyersowie hodowali bydło.

– A dlaczego my też nie pojedziemy szukać złota? – spytał Colin ojca.

Ian rozważał obie możliwości – i zdecydował się na tę ostatnią.

Sprzedał najpierw konie, a potem farmę Ronowi Meyersowi, którego oferta była naprawdę korzystna. A potem zaprzął dwa muły i wyruszył z Colinem w drogę na złotonośne pola.

„Ian Coltrane”.

Peter Burton odetchnął głęboko. A więc to była ta tajemnica – nic dziwnego, że



Kathleen była taka przerażona! Czy rzeczywiście miała swego męża za nieżyjącego? Ale to było nieprawdopodobne, jej zachowanie przemawiało raczej za tym, że była to ucieczka. Peter przypuszczał, że jej mąż żył. A ten chłopiec... Wielebny przyjrzał mu się dyskretnie. Właściwie podobieństwo musiało mu się rzucić w oczy natychmiast: chłopiec z pewnością był synem Kathleen, przypominał ją bardziej niż Sean.

– A to mój chłopak Colin – przedstawił Coltrane. – Colin, pokaż szarą klacz. Wielebny zamierza wymienić na nią swojego starego muła.

Colin ze znanostwem obejrzał wierzchowca Petera. Było to osobliwe – ten niedorośli chłopak miał rysy Kathleen, ale wyraz oczu i twarzy, z jakim oglądał klacz, były takie jak u jego ojca. Wydawało się, że chłopak zna dobrze to zwierzę, podobnie jak ojciec; Kathleen musiała je mieć już wtedy, kiedy zerwała swoje małżeństwo. Peter sądził, że chłopiec mógł mieć trzynaście, najwyżej czternaście lat i dziwił się, że się tym nie pochwalił. Ale Colin milczał.

– Mam rozjeździć szarą? – spytał.

Peter postanowił zakończyć sprawę.

– Nie, dziękuję, nie dziś, Mr Coltrane. Robi się ciemno, prawie nic nie widać. To nie jest dobra chwila na handel końmi!

Ian Coltrane zmarszczył czoło.

– Wielebny, teraz mnie obrażacie! Zupełnie jakbym chciał was oszukać, was i Kościół, czy to nocą, czy za dnia! Tego konia, którego wam oferuję, wielebny, możecie kupić w ciemno. Szara klacz to prawdziwa piękność. I nie ma więcej niż osiem lat, ani dnia! A ta wasza... Oceniam ją na dwadzieścia.

Peter skinął głową.

– I przez tak długi czas bardzo wiernie mi służyła! – odpowiedział i zaczął mówić takim samym napsuszonym tonem, jakiego używał przedtem Ian. – I muszę przyznać... że to byłoby szczytem niewdzięczności z mojej strony, żeby ją tak po prostu zamienić. Nie! To zwierzę zestarzeje się w służbie Kościoła. Dziękuję wam, Mr Coltrane. Dziękuję, że pokazaliście mi tę klacz. Niech Bóg będzie z wami, Mr Coltrane, mam nadzieję, że będę mógł was niedługo powitać w moim kościele. Ach, prawda, a ciebie, Colin, w szkole! Zaczynamy o ósmej. Spodziewam się, że cię tam zobaczę.

Colin wykrzywił twarz w grymasie lekceważenia. Najwyraźniej nie zamierzał robić niczego w kierunku zdobycia wykształcenia. A Peter postanowił pokrzyżować mu plany. Uśmiechnął się krzepiąco do ojca i syna.

– Ale możesz przyprowadzić ze sobą szarą mulicę, Colin. Obejrzę ją sobie przy świetle dziennym jeszcze raz.

Był pewien, że przynajmniej następnego ranka ten tak troskliwy ojciec wyśle swego syna do szkoły.

## ROZDZIAŁ 7

Lizzie nie potrafiła wygłosić prawdziwej *pepeha*. Już choćby dlatego, że poprawna mowa powitalna u Maorysów powinna zawierać wyliczenie wszystkich przodków, a jeśli o to chodziło, to Lizzie po prostu brakowało wiedzy i dokładniejszych wiadomości. Ale mimo wszystko zadała sobie dużo trudu, wymieniła swoje imię, opowiedziała o pochodzeniu z Anglii, opisując możliwie plastycznie Londyn, i opowiedziała o swej drodze do Australii. Potem wymieniła nazwę statku, którym przybyła na Aotearoa i opisała też swoją podróż na Wyspę Północną. Wymieniła przy tym nazwisko Busby, ale ono nic nie mówiło Ngai Tahu. Lizzie wiedziała oczywiście, że nikt z wodzów szczepu Ngai Tahu nie podpisał traktatu w Waitangi, ale większość szczepów jednak o traktacie słyszała. Lecz nie jej nowi przyjaciele. Ten szczep był mały i bardzo odizolowany.

Lizzie wędrowała dwa dni w głąb gór. Nigdy nie byłaby w stanie sama wytropić Maorysów, ale drugiego dnia przyłączyło się do niej dwóch młodych myśliwych – akurat wtedy, kiedy stosując maoryskie zasady, łowiła wędzierzem ryby w potoku. Kobieta *pakeha*, która łapała ryby w tradycyjny sposób, zainteresowała ich, a kiedy w dodatku odpowiedziała im po maorysku, powitali ją jak swoją. Powitała ją też wieś, w długiej i skomplikowanej ceremonii powitalnej zwanej *powhiri*. Ogromne wrażenie zrobiła jej wygłoszona w odpowiedzi *pepeha*, a także prezenty, które przyjęto bardzo chętnie – choć Lizzie zauważyła, że przyniesione przedmioty nie okazały się aż tak potrzebne.

Było to zadziwiające, ale w położonej tak daleko od ludzkich siedzib wsi było wszystko, co każdy Maorys chciał koniecznie dostać od *pakeha*: kobiety miały żeliwne garnki i zawijały swoje dzieci w wełniane koce. Do szczepu należało stado owiec pierwszej klasy, pola były przygotowane pod zasiew, a do obróbki ziemi używano zaprzęgniętych do pługu wołów. Wielu Maorysów, nie tylko wódz i jego rodzina, miało na sobie europejską odzież. Najwyraźniej każdy, kto chciał, mógł sobie pozwolić na spodnie bądź suknię *pakeha*. Szczep był bogaty jak na maoryskie stosunki. To utwierdziło Lizzie w przekonaniu, że tubylcy dobrze wiedzieli, gdzie można znaleźć tak upragnione przez *pakeha* złoto. Co prawda, raczej oględnie obchodzili się z tą wiedzą, co Lizzie uznała za nader rozsądne. Bardzo ostrożnie formułowała więc wszelkie związane z tym pytania.

– Moi... przyjaciele i ja mieszkamy w pobliżu nowego obozu poszukiwaczy złota nad Tuapeka River. Ale zastanawiamy się, czy nie objąć naszymi poszukiwaniami waszych terenów. Przyjechałam, aby zapytać, czy będziemy mile widziani.

Siostra wodza, która usiadła koło Lizzie i kobiet zajętych szykowaniem jedzenia, głośno wciągnęła powietrze przez nos.

– A ilu masz przyjaciół? – spytała. – Dwa tysiące? Trzy? I czy oni zamierzają pozostawić naszą ziemię w takim stanie, w jakim zostawili koryto rzeki, które teraz nazywają „Ściek Gabriela”?

Lizzie potrząsnęła głową.

– Mam tylko dwóch przyjaciół – sprecyzowała. – I jeden z nich jest chory. Nie może pracować. Ale ma żonę i dwoje dzieci w Walii – to daleko, koło Anglii, tam, skąd przyjeżdżają *pakeha*. Jeśli nie znajdzie się dla niego złoto, to jego rodzina będzie głodować.

– Jego żona może tu przyjechać i zatroszczyć się o męża – stwierdziła jedna z młodszych kobiet. – Może uprawiać ziemię.

– Oni musieliby najpierw kupić ziemię – zauważyła Lizzie. – A to jest trudne. Wy sprzedajecie ziemię?

Kobiety się roześmiały.

– Gdybyśmy tylko spróbowali, skończyłoby się to wojną – stwierdziła rzeczowo siostra wodza. – *Pakeha* powiedzieliby, że ta ziemia do nas nie należy. My jesteśmy szczepem, który wędruje. Jesteśmy czasem tu, a czasem tam.

– Ale macie przecież jakiś obszar, przez który stale wędrujecie? – spytała Lizzie zdziwiona.

Kobieta prychnęła ze złością.

– Należał do niego także Ściek Gabriela. Także ta ziemia, na której teraz znajduje się obóz nad Tuapeka River. Gdybyśmy nie chcieli jej oddać, nasi wojownicy musieliby jej bronić. A mamy dwudziestu wojowników. Czy oni, ze swoimi dwudziestoma strzelbami, mają wystąpić przeciwko pięćdziesięciu tysiącom sztuk broni *pakeha* w waszym obozie?

Lizzie westchnęła.

– To nie jest sprawiedliwe – powiedziała.

Maoryska kobieta przytaknęła.

– Ale ty i twoi dwaj przyjaciele jesteście mile widziani – powiedziała wielkodusznie. – Nasi mężczyźni cię obserwowali. Wiesz, jak rozpalać ogień i jak łapać ryby. Zostawiasz ziemię taką, jaką ją zastałaś. Jeśli twoi przyjaciele też to obiecują, to będziemy żyć ze sobą w pokoju.

Lizzie ostrożnie zwilżyła wargi, zanim odważyła się na kolejne pytanie.

– To wszystko byłoby o wiele prostsze, gdybyśmy wiedzieli, gdzie mamy kopać.

Kobiety znów się roześmiały.

– Jesteś mądra, *pakeha wahine!* – włączyła się do rozmowy stara kobieta, która do tej pory milczała. To ona w czasie *powhiri* wydała okrzyk *karanga*, który miał oznaczać duchowy związek między szczepem a gościem. Z pewnością kobieta była *tohunga*

szczepu.

– Chcesz, żebyśmy zaprowadzili cię do żółtego piasku, który dla was jest tak cenny. Ale kto da nam gwarancję, że nie weźmiesz więcej, niż potrzebujesz?

Lizzie znów westchnęła.

– Zdaniem *pakeha* nie można mieć dość złota, czyli tyle, ile potrzeba – przyznała. – Ale przecież jeśli będzie nas tylko troje, właściwie tylko ja i Michael, Chris jest o wiele za słaby, aby kopać tu w górach... To nie mogliśmy aż tak dużo wziąć.

– To ty tak mówisz – odparła surowo siostra wodza. – Ale czy możesz mówić za tego mężczyznę? Czy on jest twoim mężem?

Lizzie wzruszyła ramionami. Znow to pytanie, na które nie było jednoznacznej odpowiedzi.

– Nie należy do mnie – odpowiedziała ostrożnie. – Nie jestem mu poślubiona. Chociaż z nim... w pewnym sensie... leżałam obok niego w domu zebrzań. To znaczy na statku. I wielu ludzi było wtedy świadkami, że byliśmy razem. Ale później... ach, to takie trudne.

Ze słów Lizzie przebijał wyraźny smutek. Nie potrafiła wyrazić ani po angielsku, ani po maorysku, co naprawdę czuła, ale stara *tohunga* popatrzyła na nią ze współczuciem. Lizzie miała wrażenie, że kobieta patrzy wprost w jej serce.

– Wasze duchy są ze sobą blisko – powiedziała krótko. – Ale to nie jest proste, masz rację. Ale... – *Tohunga* zwróciła się do szczepu: – On jej nie oszuka. On wie, że to obróciłoby się przeciwko niemu. On musi o tym wiedzieć. A ta kobieta też nas nie oszuka. Ona nam przysięgnie. Na bogów, których wsparcia bardzo potrzebuje.

– Przecież ona nie wierzy w naszych bogów – zauważyła siostra wodza.

Kapłanka wzruszyła ramionami.

– Ale bogowie wierzą w nią. Ona jest z nimi związana.

– Ja mogę przysiąc na swojego Boga – powiedziała Lizzie. – Albo na to. – Wygrzebała zza dekoltu sukni swój *hei-tiki*, mały wisiołek z jadeitu, który podarowała jej kiedyś jej przyjaciółka Ruiha. Lizzie nosiła wisiołek na szyi, zawiązany na cienkim skórzanym sznurku. – I to kiedy tylko zechcecie.

*Tohunga* skinęła głową, a siostra wodza odwróciła się do swego brata. Wszyscy naraz zaczęli głośno mówić i dyskutować – za szybko, aby Lizzie, mimo swej znajomości języka, mogła coś zrozumieć. Wydawało jej się jednak, że większość kobiet ją popierała. Kilku mężczyzn się sprzeciwiało. Stara *tohunga* słuchała obojętnie, nie zdradzając żadnych uczuć. Dla niej wyrok i tak wydawał się przesądzony.

– Moja wnuczka pokaże ci jutro potok – powiedziała, po czym wstała.

Wódz, choć niechętnie, przytaknął, po czym zwrócił się uroczyście do Lizzie:

– Przyniosłaś nam prezenty, a zwyczaj, *tikanga*, nakazuje, abyśmy i tobie coś dali.

Kapłanka, która już wychodziła, zatrzymała się i potrzęsnęła głową, mówiąc

powoli:

– *Tikanga* nakazuje, abyśmy dali jej coś cennego. Złoto nie jest cenne, córko, tylko ziemia, w której leży. Poczekaj... – weszła do jednej z chat, które były niewiele lepsze niż te w obozie poszukiwaczy złota. Za chwilę się pojawiła, niosąc małą maczugę wojenną z jadeitu pounami. Podeszła do Lizzie i włożyła jej maczugę do ręki.

– Tym moja praprababka broniła ziemi. Teraz przekazuję ją tobie.

Lizzie podziękowała zaskoczona. Maczuga była ozdobiona pięknymi rzeźbionymi ornamentami. Była cenna – nie tylko dla Maorysów.

Prezent *tohunga* rozładował krótkie napięcie, jakie powstało między szczepem a gościem. Tymczasem jedzenie było już gotowe i kobiety podały wszystkim pełne miski. Lizzie przywiozła ze sobą whiskey, co spotkało się z aprobatą Maorysów. Za chwilę butelka zaczęła krążyć wśród jedzących. Potem coś śpiewano, a wreszcie kobiety *tohunga* zaczęły opowiadać w języku *whaikorero* długie, osobliwe historie z przeszłości Aotearoa. Lizzie nigdy ich do końca nie rozumiała, nawet jeśli znaczenie poszczególnych słów było jej znane.

Lizzie nocowała wraz ze wszystkimi w domu zebranych, co uważała za wielki zaszczyt, a rano przygotowywała z kobietami placki. A potem wnuczka *tohunga*, mała, bardzo poważna dziewczynka imieniem Aputa, zaprowadziła Lizzie do pobliskiego wodospadu. Wpadał on do niewielkiego stawu, z którego woda wypływała, tworząc wartki strumień.

– Woda przynosi żółte kamienie z gór – wyjaśniła mała płynną angielszczyzną i wspięła się na skałę, aby dotrzeć do strumienia powyżej wodospadu. – Możesz je łapać miską, jak mężczyźni z obozu. Tutaj... – Dziewczynka wskazała płytkie miejsce z boku strumienia i sięgnęła po wielki kamień. Potem wymamrotała coś, zapewne jakieś przeprosiny skierowane do duchów opiekujących się strumieniem, których spokój był zakłócany, i odsunęła na bok piasek i żwir. Było to łatwe – Lizzie pomyślała, że grzebano tu już częściej. Przypuszczalnie bogactwo szczepu pochodziło z tego właśnie źródła.

– Masz miskę? – spytała dziewczynka.

Lizzie potrząsnęła głową. Aputa wygrzebała z fałd sukienki stary blaszany talerz. Miała na sobie prostą sukienkę *pakeha*, bez żadnych ozdób, ale cieplejszą niż strój maoryski. Bez żadnych ceregieli podciągnęła pod pasek spódnicę sukni, zanim weszła do strumienia. Trzymała teraz talerz w wodzie i nabrała trochę żwiru z dna. Potrząsnęła naczyniem, wyrzuciła z niego piasek i żwir. Niezbyt zręcznie, poszukiwacze w obozie robili to ze znacznie większą rutyną. Ale ze znacznie gorszym efektem! Lizzie nie chciała wierzyć oczom, kiedy popatrzyła na talerz.

– Wyjmij to! – zachęciła ją dziewczynka. – Chcesz też spróbować?

W przeciągu niecałej godziny, czyli akurat tak długo, aby zbyt długa nieobecność w obozie Maorysów nie wydała się im nieuprzejma, obie wypływały około dwóch

uncji złota. Dla poszukiwaczy złota nad Tuapeka River było to często więcej niż miesięczny zarobek.

– To się tak pięknie błyszczy! – powiedziała dziewczynka z zadowoleniem, kiedy Lizzie ostrożnie wsypała cały uzysk do woreczka. – Co się z tego robi?

Lizzie uśmiechnęła się do niej.

– Różne rzeczy – odpowiedziała. – Ale z tego złota tutaj zrobimy dla ciebie wisiołek. Przyniesie ci szczęście, tak jak mnie *hei-tiki!*

Pożegnanie Lizzie ze szczepem było równie uroczyste jak powitanie. Lizzie obiecała wkrótce wrócić i przyprowadzić ze sobą Michaela.

– Możesz z nim spać w domu zebrań – zachichotała mała Aputa. Wspólne płukanie złota nieco ją ośmieliło. – Wtedy on będzie naprawdę twój mąż.

Wzajemny stosunek między Lizzie a Michałem stał się chyba ulubionym tematem członków szczepu. Lizzie westchnęła. To akurat była wspólna cecha *pakeha* i Maorysów.

Aby nie złamać danej obietnicy – w żadnym wypadku nie chciała rozczarować Aputy, wymieniając złoto na pieniądze, zamiast zrobić z niego wisiołek u złotnika – Lizzie wróciła raz jeszcze na wskazane złotonośne pole, zanim skierowała kroki swego konia do domu. Postarała się dokładnie zapamiętać położenie i wygląd tego wyjątkowo pięknego miejsca: wodospad ze stawem, nad którego brzegiem wznosiło się pięć wysokich, spiczastych skał. Była to dość niezwykła formacja skalna. Zgodnie z tym, co mówiła Aputa, kiedyś półbogowie w ramach jakiejś rywalizacji między sobą rzucali tutaj włóczniami. Tylko jeden z nich trafił – śladem tego było właśnie owo zagłębienie poniżej wodospadu. Śladami nietrafionych rzutów były spiczaste, wznoszące się ku niebu skalne iglice.

Lizzie oceniła, że wyplukała z potoku około siedmiu uncji złota – tyle mniej więcej przyniósł ze sobą Gabriel Read za pierwszym razem, kiedy wrócił do Dunedin znad Tuapeka. Za te pieniądze żona Chrisa będzie mogła tu przyjechać, a do czasu przybycia Ann Timlock będą mieli dosyć pieniędzy na założenie wspólnego sklepu. Lizzie myślała o towarach żelaznych albo artykułach spożywczych, może także o materiałach budowlanych czy farbach, gdzieś w Dunedin albo w okolicy, gdzie panował lepszy klimat. Chris zapewne wolałby mieć farmę, a nie sklep, ale to zdaniem Lizzie było wykluczone. Nie sądziła, aby miał na to dość sił, Ann zaś z pewnością nie przyjedzie z dalekiej Walii po to, aby zaharowywać się w Nowej Zelandii na śmierć. Lizzie miała nadzieję, że okaże się w miarę dobrą kobietą interesu. Ale na razie oszałamiała ją myśl o radości i zaskoczeniu jej obu przyjaciół na widok złota, które wiozła ze sobą, oraz perspektywa poznania Ann. Może znajdzie w niej przyjaciółkę! Lizzie postarała się zostawić koryto potoku w takim stanie, w jakim je zastała, po czym odmówiła modlitwę skierowaną do opiekujących się nim

duchów. To być może nie spodobało się Bogu, ale Lizzie była zdania, że maoryscy bogowie w ciągu kilku dni zrobili dla niej więcej niż cała Trójca Święta w ciągu ostatnich trzydziestu lat.

## ROZDZIAŁ 8

Michael Drury spotkał w filii banku Dunloego Iana Coltrane'a.

Lizzie była jeszcze u swych maoryskich przyjaciół, a Chris właściwie nie powinien być sam, ale ostatnio czuł się coraz lepiej i dziś nawet zachęcił Michaela, aby ten pojechał do Tuapeka coś kupić i wymienić na pieniądze niewielką ilość złota, którą znaleźli w ciągu ostatniego tygodnia. Bank był ostatnią pozycją na liście Michaela – przed wejściem do niego natychmiast zauważył chłopca o jasnych włosach, który przytrzymał powóz zaprzężony w muły. Dziwnym sposobem chłopiec wydał mu się znajomy – przypomniały mu się twarze dzieci z Irlandii. Pięcioro rodzeństwa Kathleen? A może jego własne? Wpatrywał się w niego zbyt długo, bo chłopiec, patrząc mu w oczy, dość bezczelnie się uśmiechnął.

Michael odwrócił głowę, wszedł do banku i nagle stanął twarzą w twarz z Ianem. Handlarz był teraz dość otyłym mężczyzną o czerwonej twarzy, ale Michael rozpoznał go natychmiast. Było w jego postawie coś przykuwającego wzrok, jakaś czujność w rysach twarzy, może także wyraźne podobieństwo z ojcem. Iana Coltrane'a nie można było pomylić z nikim.

I on także się nie zawahał, zwłaszcza że Michael niewiele się zmienił. Coltrane spojrzał na niego zaskoczony, ale potem na jego twarzy pojawił się wyniosły uśmiech. Zupełnie podobny do uśmiechu chłopca przed sklepem! Michael poczuł nagły skurcz serca.

– Coltrane? – spytał bezdźwięcznie.

Ian wyszczerzył zęby. Najwyraźniej opanował się znacznie szybciej niż Michael.

– No popatrzcie, Michael Drury! Utracony syn! A czy nie zawieziono cię zakutego w łańcuchy na drugi koniec świata?

Michael próbował odzyskać równowagę.

– Tu właśnie jest drugi koniec świata – odpowiedział powoli. – A jeśli chodzi o łańcuchy, to można je zrzucić. Ale ty... Ojciec O'Brien mówił mi, że ty... ty i Kathleen... jesteście w Nowym Jorku.

Ian Coltrane roześmiał się hałaśliwie.

– Ach tak? Tak powiedział dobry ojciec? To będzie kiedyś musiał stanąć naprzeciw Boga z grzechem na sumieniu! Być może spotkamy go w piekle.

Michael zacisnął dłonie w pięści. Nie wiedział, czy był teraz wściekły na starego księdza, czy na Coltrane'a, który przecież nie miał nic wspólnego z kłamstwem O'Briena. Właściwie nie było powodu, aby się wściekać na Iana Coltrane'a.

Michael spróbował się uporać z zazdrością i pragnieniem wymierzenia ciosu



prosto w fałszywie uśmiechniętą twarz Iana. Musiał z nim pomówić. Musiał się dowiedzieć, czy Kathleen... O Boże, ona mogła być tu, w Tuapeka! Coraz więcej kobiet towarzyszyło swoim mężom na złotonośnych polach. Michael poczuł, że zrobiło mu się zimno, a zaraz potem gorąco, a jego serce szalało. Musiał się opanować.

Tak spokojnie, jak tylko mógł, wskazał ruchem głowy miejsce przed bankiem.

– Czy to jest... mój syn? – spytał.

Coltrane potrząsnął głową, ciągle uśmiechając się prowokacyjnie i z wyższością.

– O nie, Mr Drury, to jest mój syn! I jestem tego pewien, nie spuszczałem kochanej Mary Kathleen z oka, kiedy miała łono opróżnione i dojrzałe dla mnie!

Michael zagryzł wargi i znów musiał walczyć z narastającą wściekłością. Jak ten człowiek mówił o swojej żonie? Jak on mówił o Mary Kathleen? A jednak Michael poczuł jakiś cień ulgi. Ten chłopiec przed bankiem z jakiegoś powodu mu się nie podobał, nawet jeśli miał rysy twarzy Kathleen.

– A gdzie ona teraz jest? – wyrwało mu się. – I gdzie jest mój... gdzie jest...

Ian spoważniał, a po jego twarzy przemknął cień, który przeraził Michaela i kazał się domyślać najgorszego.

Ale w rzeczywistości Ian rozmyślał gorączkowo. Czy miał wyznać swoją hańbę? I to jemu? Przyznać, że Kathleen go porzuciła? Możliwe nawet, że w poszukiwaniu tego typu, którego zawsze kochała? I może była tu gdzieś blisko – ten klecha jeździł na jej koniu... Czy rzeczywiście kupił go w Christchurch? Ian ze świstem wciągnął powietrze do płuc.

– Kathleen nie żyje – powiedział niedbale, nieomal mimochodem. – Zmarła przy narodzinach Colina. – Wskazał na chłopca na dworze. – A przedtem twojego bękarta też prawie zabiła, ona nie nadawała się do rodzenia dzieci. Za słaba, za delikatna. I pierwsze dziecko przyszło na świat martwe. Niezbyt dobra krew, Drury. Ale mój to świetny gość! – Ian znów się roześmiał. – Bez urazy, Drury! – Odwrócił się, chcąc odejść.

Michael stał jak porażony. Kathleen nie żyła, Kathleen i jego syn. Wszystkie marzenia, przez te wszystkie lata... Ale to oczywiście tłumaczyło, dlaczego ojciec O'Brien nie miał o niej żadnych nowych wiadomości. Ksiądz z pewnością nie chciał go okłamać. Coś źle zrozumiał, a potem kontakt z Coltrane'em się urwał. Kathleen nie żyła, a Ian oczywiście nie pisał żadnych listów. Michael nagle poczuł mdłości. Nie wpłacając pieniędzy, wyszedł z banku – wolno, bardzo wolno, w żadnym wypadku nie chciał raz jeszcze spotkać Coltrane'a i jego syna. Syna Kathleen... Syna Iana, ale syn jego, Michaela, nie żył!

Myśli Michaela wirowały. Jechał przez małą, ciągle rosnącą miejscowość, patrząc nieruchomo przed siebie. W Tuapeka wszędzie coś budowano – nie były to wprawdzie solidne, trwałe budowle, raczej drewniane domki, ale powstała już

pierwsza ulica ze sklepami, bankami, pocztą i nieodłącznym hotelem na godziny tuż koło pubu.

Michael nie odpowiadał na słowa pozdrowień, które kierowali w jego stronę znajomi. Kathleen nie żyje... Kathleen nie żyje... Nie mógł ciągle w to uwierzyć, to było za dużo!

Odetchnął, kiedy zostawił za sobą Tuapeka i ruszył w górę rzeki. Ale teraz nie chciał widzieć nawet Chrisa. Ujechał kawalek, po czym zatrzymał konia i usiadł na kamieniu nad brzegiem rzeki. Mała plaża nad Vartry River... Wierzby, których zielone gałęzie zwieszały się nisko nad wodą... Michael żegnał się ze swoją ukochaną, ze swoim synem – i swoim marzeniem.

Dwa dni później wróciła Lizzie.

– Co macie takie smutne miny? – spytała rozbawiona, kiedy zobaczyła mężczyzn siedzących przy ogniu w chacie.

Chris rzeźbił drewnianą łyżkę. Właściwie pracował nad drewnianym konikiem – od czasu do czasu sprzedawał zabawki w Tuapeka, gdzie było coraz więcej dzieci, których rodzice mogli sobie czasem pozwolić na taki mały luksus dla nich. Ale w ostatnich dniach Michael opryskliwym tonem żądał, aby Chris chował drewnianego konika na biegunach, kiedy tylko on przychodził do domu. Nie mógł patrzeć na zabawki, nie chciał myśleć o dzieciach.

Chris doskonale to rozumiał. Jemu konik także przypominał podobną zabawkę, którą kiedyś wyrzeźbił w Walii dla swoich dzieci. Obaj mężczyźni ostatnio byli przeważnie pogrążeni w smutku i żalu za minionymi czasami, przy czym Michael ciągle próbował odwrócić swoją uwagę od tych uczuć. Pracował od rana do nocy i starał się wypłukać choć trochę złota ze strumienia za chatą. Także tego dnia był do południa na dworze, ale padający deszcz był tak silny i uporczywy, że w którymś momencie miał dosyć. Teraz próbował ogrzać się przy ogniu.

Lizzie była szczęśliwa i tak też wyglądała. Już sama jej obecność wniosła do chaty trochę radości i nadziei. Jej twarz promieniała, kiedy ostrożnie wyciągnęła z kieszeni przemoczonego płaszcza płócienny woreczek i jakiś przedmiot z jadeitu. Dopiero wtedy zrzuciła płaszcz i podeszła do ognia. Była przemarznięta po długiej drodze. Kiedy zobaczyła twarze mężczyzn, jej twarz nabrała czujnego wyrazu. Michael siedział zgarbiony przy ogniu i nieruchomym wzrokiem wpatrywał się w płomień.

– Macie może whiskey dla mnie? – przerwała ciężkie, ponure milczenie. Więcej niż mruknięcie na powitanie nie usłyszała. – Właściwie potrzebny byłby szampan! No, co jest z wami? Michael, Chris? Nie cieszyście się, że wróciłam? Coś się stało? Zresztą, wszystko jedno, za chwilę dopiero się zdziwicie.

Lizzie wzięła płócienny woreczek ze stołu i usiadła między obu mężczyznami.

– No, odetchnijcie głęboko! – powiedziała wesołym głosem. – Albo nie... Zamknijcie oczy!

Cieszyła się tak, jak gdyby zapalała bożonarodzeniowe świece.

– Lizzie... Daj spokój... – przemówił Michael udręczonym głosem.

Niepokój Lizzie narastał, ale to była jej chwila, jej pięć minut, musiała ich rozweselić!

– Dobrze, to narażasz się na niebezpieczeństwo oślepienia.

Łagodnie wzięła go za rękę, rozchyliła ją i nasypała na jego dłoń trochę złotego pyłu, po czym powtórzyła to samo z Chrisem.

Żrenice Chrisa się rozszerzyły. Nie wierzył w to, co widział.

– Ależ... ależ Lizzie, to jest złoto!

Lizzie się roześmiała.

– No pewnie, że złoto! Około dziewięciu uncji. Ale dwie uncje nie są nasze, wyjaśnię wam to później. Najważniejsze jest to, że wyplukałam to w ciągu jednego dnia! Bez trudu, wcale nie musiałam wstawać o świcie! I możemy sobie przynieść nawet sto uncji, tak myślę, ale niczego nie niszcząc. I to musi być zachowane w tajemnicy, tak obiecałam Ngai Tahu! – Lizzie opowiadała podekscytowana o Maorysach i o tym, gdzie znalazła swój skarb.

Michael wpatrywał się niewidzącymi oczyma w złoto na swojej dłoni. Był bogaty. Teraz wreszcie był bogaty. Ale był także sam. A może... wolny? Czując spoczywający na nim wzrok Lizzie, w końcu się przewyciężył i popatrzył jej w oczy. Lizzie... była piękna w swoim szczęściu, którym tak chętnie i bez namysłu dzieliła się z innymi.

– To złoto będzie w każdym razie dla ciebie, Chris! – zawołała radośnie. – Możesz je jutro sprzedać i wysłać telegraficznie pieniądze Ann. Powinno jej wystarczyć na podróż. A zanim ona tu przyjedzie, będziemy go mieli o wiele, wiele więcej! Michael, będziemy mieli naszą farmę! Z pokojówkami, dworem i wszystkim, czego sobie zażyczymy!

Michael czuł, że jej uśmiech rozgrzewał o wiele bardziej niż ogień na kominie. Nagle poczuł, że ciężki, przygniatający smutek powoli ustępuje. Kathleen i dziecko byli przeszłością. A Lizzie była tutaj. Wielkoduszna, pełna życia i pragnąca jego szczęścia. Dotychczas dawał jej o wiele za mało z siebie. Był jak szalony, uwięziony w swoim nierealnym marzeniu.

Michael ostrożnie wsypał złoto z powrotem do woreczka. A potem wstał i wziął Lizzie w ramiona. Ona zaś po raz pierwszy się nie bronila, jak gdyby czując, że coś się zmieniło.

– Chris... – powiedział Michael zachrypniętym głosem i popatrzył na przyjaciela badawczo. Tak, Chris dobrze wyglądał, na pewno sobie poradzi. – Może... może powinieneś pojechać do miasta i wymienić to złoto? Mógłbyś... Mógłbyś przywieźć szampana dla Lizzie i...

Chris popatrzył na Lizzie i Michaela i uśmiechnął się ze zrozumieniem. On też sądził, że może się odważyć na taką wycieczkę.

– Z pewnością nie jest dobrze mieć tyle złota w domu – zauważył. – Zwłaszcza że obaj nie za bardzo umiemy się obchodzić z naszymi pukawkami. A i deszcz przestał już padać.

Lizzie i Michael nie zwracali uwagi na Chrisa, kiedy wkładał swoje najcieplejsze rzeczy, a potem wziął woreczek ze stołu i ostrożnie schował w jednej z kieszeni.

– Ja... może wypiję potem parę łyków w mieście – powiedział z uśmiechem.

Lizzie i Michael jednocześnie skinęli głowami.

– I zanieś dwie uncje do złotnika! – dodała Lizzie. – Powiedz, żeby zrobił z tego śliczny wisiorek. Może w kształcie księżycy i gwiazd. Coś, co się spodoba maoryskiej dziewczynie.

Kiedy Chris opuścił chatę, Michael pozwolił sobie pocałować Lizzie – i zrobił to z tkliwością i oddaniem. A ona po raz pierwszy miała wrażenie, że skoncentrował się tylko na niej. I że nie chodziło tu o pożądanie ani też o namiastkę Mary Kathleen. Michael pieścił Lizzie Owens! I wszystko było zupełnie inaczej niż na statku, kiedy teraz objął ją ciasno ramionami. Lizzie pozwoliła sobie na kilka chwil szczęścia, ale potem znów poczuła zwątpienie. Co się stało? Czy to ona się zmieniła, czy też on? A może to dlatego, że wierzyli w nią bogowie? A może...

– Michael – powiedziała cicho i wyswobodziła się z jego ramion. – Co się dzieje? Jakoś... jest inaczej. To przez to... złoto?

Michael gwałtownie potrząsnął głową. Był poruszony jej wyczuciem każdego niuansu jego tkliwości.

– Nie, nie, to nie ma nic wspólnego ze złotem. Podjąłem tylko pewną decyzję. I obawiam się, że o wiele za późno. Powinienem być zapytać cię o to już dawno.

– O co zapytać? – Lizzie była nieufna.

Michael odetchnął głęboko. Ale nagle wydało mu się to proste, niesłychanie proste.

– Czy chcesz wyjść za mnie? – powiedział cicho. – Ja... ja cię kocham, Lizzie. Już od dawna.

Lizzie przyjrzała mu się z namysłem.

– Dotychczas okazywałaś mi to w osobliwy sposób – powiedziała surowo. – Najpierw byłam dla ciebie dziwką, potem namiastką twojej utraconej narzeczonej z Irlandii... I nagle się rozmyśliłeś, i twierdzisz, że jestem nie tylko człowiekiem, ale nawet kobietą, którą kochasz! I przypadkowo ma to miejsce akurat wtedy, kiedy wróciłam do domu z siedmioma uncjami złota. Musisz zrozumieć, że mogę nabrać podejrzeń.

Michael westchnął.

– To nie ma nic, absolutnie nic wspólnego ze złotem – zapewnił ją ponownie. –

Przysięgam ci.

– Nie potrzebujesz przysięgać, Michaelu Drury – stwierdziła Lizzie, starając się, aby jej głos brzmiał twardo. – Musisz mi tylko powiedzieć jedno: jeśli teraz za ciebie wyjdę – czy muszę liczyć się z tym, że także przed ołtarzem nazwiesz mnie Mary Kathleen?

Michael opuścił głowę na jej ramię. Bardzo wiele trudu go kosztowało, aby ją podnieść i popatrzeć Lizzie w oczy.

– Kathleen... – wyszeptał – Kathleen nie żyje.

Lizzie raz jeszcze odegrała rolę przyjaciółki i matki, kiedy Michael wypłakał się na jej ramieniu. A później w nocy została jeszcze jego kochanką. I w szczytowym momencie swej rozkoszy on nie wymienił już imienia Mary Kathleen ani też żadnej z dziewczyn lekkich obyczajów. Michael nazwał ją imieniem królowej: Elizabeth.

Chris Timlock od miesiący nie był tak szczęśliwy jak teraz, kiedy jechał na siwku Michaela do Tuapeka. Aż do tego wieczoru nie wierzył, że się wzbogaci jako poszukiwacz złota. Działka nie przynosiła zysku, a do tego jeszcze jego długa choroba... Chris był przygotowany na to, że umrze w małym miasteczku poszukiwaczy złota.

I nagle to nieoczekiwane błogosławieństwo – które Lizzie nie tylko była gotowa z nim dzielić, lecz od razu hojną ręką po prostu obsypała go złotem! Ann będzie mogła przyjechać, będą znowu razem, zobaczy wreszcie dzieci! Gdyby Chris mógł, to śpiewałby z radości, ale na razie potrzebował wszystkich sił, aby zapanować nad siwką Michaela. Koń przebierał nogami i podskakiwał, kiedy Chris jechał główną ulicą Tuapeka. Najpierw do złotnika! To była najważniejsza sprawa, którą chciała załatwić Lizzie, i Chris postanowił zająć się tym najpierw.

Złotnik Thomas Winslow, drobny, chudy mężczyzna, prowadził mały sklep jubilerski obok jednego z banków. Nie miał zbyt wielu klientów – większość poszukiwaczy zamieniała swoje bryłki na pieniądze, a po transakcji zostawało im tyle, że akurat mogli przeżyć. Ale czasami ktoś miał więcej szczęścia i przynosił uncję złota, aby zrobić z niego pierścionek dla dziewczyny z któregoś pubu albo z Janey's Dollhouse. Także urzędnicy z banków, właściciele firm czy też rzemieślnicy, którzy osiedlili się w Tuapeka, kupowali czasem coś z biżuterii dla swych żon. Thomas Winslow mógłby z tego całkiem nieźle żyć, gdyby nie to, że za bardzo lubił whiskey. Przepijał swoje zarobki prawie każdej nocy w jakimś pubie. Aby móc sobie dodatkowo pozwolić na dziewczynę, w weekendy sam płukał złoto i marzył o wielkim przełomie. I oczywiście od razu zrobił się czujny, kiedy Chris Timlock położył mu na stole dwie uncje złota. Pożądliwie patrzył na kruszec.

Chris uśmiechnął się do niego prostodusznie.

– Gdyby zrobił pan z tego wisiołek – w kształcie księżycy z gwiazdami naokoło –

albo może jakiś gwiazdozbiór. Tak, to byłby dobry pomysł, Plejady! I łańcuszek do tego, jeśli starczy.

Winslow zapewnił go gorliwie, że jak najbardziej starczy, nawet zostanie – i od razu spróbował wypytać o miejsce znalezienia złota.

Ale Chris był powściągliwy.

– Mój partner zawsze wierzył w naszą działkę... Kiedy będziemy mogli odebrać wisiołek? W następnym tygodniu?

Winslow przytaknął, ale rozmyślając intensywnie, potrząsnął głową, kiedy już zamknął sklep za wychodzącym Chrisem. Szczęście? Jednorazowe większe znalezisko i on od razu chce robić z tego wisiołek, zamiast zanieść pieniądze do banku? Z pewnością byli tu mężczyźni, którzy byli do tego zdolni, ale zdaniem Winslowa Drury i Timlock do takich nie należeli.

Urząd pocztowo-telegraficzny był już zamknięty, ale Chris i tak musiał najpierw wymienić złoto na pieniądze, żeby móc coś przekazać Ann. A bank na szczęście był jeszcze otwarty, wielu poszukiwaczy przynosiło codziennie swój urobek, bo w obozie dochodziło do częstych kradzieży. Dlatego bankier, Mr Ruland, miał otwarte do późnego wieczora i Chris musiał stanąć w kolejce, aby zapisać na swoim koncie swój niewielki majątek. I nie dało się uniknąć tego, że inni mężczyźni dostrzegli woreczek i jego lśniąca zawartość.

– Ile zamieniasz, Timlock? Siedem i pół uncji?

Mężczyzna stojący za Chrisem zerknął na wagę i pytając głośno, dał do zrozumienia wszystkim, co widział.

Było to nieprzyjemne dla Chrisa Timlocka.

– To... urobek z kilku tygodni – oświadczył, na co Mr Ruland spojrział na niego ze zdumieniem. Michael był tu dopiero przed dwoma dniami, aby wymienić złoto, ale z jakichś względów tego nie zrobił. Bankowiec się nie odezwał – umiał dochować tajemnicy. I bez wątpienia Chris dobrze zrobił, natychmiast przelewając pieniądze na swój rachunek, zamiast kazać je sobie wypłacić. W oczach mężczyzn stojących za nim widać było wyraźnie chciwość. A przede wszystkim Coltrane, handlarz końmi, patrzył na Timlocka z nieukrywanym zainteresowaniem. Mr Ruland otrząsnął się z niechęcią na jego widok. Nie cierpiał Coltrane'a, tydzień temu ten człowiek sprzedał mu siwka, który trzy dni później zaczął kuleć. Mimo to bankier zachował zawodową uprzejmość i przyjął złoto Coltrane'a, kiedy Chris już wychodził.

Chris Timlock oblewał swoje szczęście kilkoma szklankami piwa w jednym z nowych pubów, który mieścił się już w drewnianym domu, a nie, jak poprzednio, w namiocie. Obserwował z roztargnieniem kilka dziewcząt, które zabawiały bywalców pubu odważnymi tańcami, ale nie dał się wciągnąć w rozmowę z żadną z kobiet przy barze. Także na pytania innych poszukiwaczy odpowiadał

monosylabami, choć ci byli wobec niego uprzejmi. Wieść o niespodziewanym bogactwie Chrisa rozeszła się w Tuapeka lotem błyskawicy. Ale na razie nikt nie wykazywał szczególnego zainteresowania poszukiwaniami Chrisa i Michaela. Diggersi cieszyli się jedynie, że mogą znów powitać w pubie Chrisa po długiej chorobie.

Dwóch mężczyzn stanowiło wyjątek, ale ci nie stali z Chrisem koło baru, lecz raczyli się butelką whiskey przy jednym ze stołów przed sceną. Thomas Winslow i Ian Coltrane spotkali się tu przypadkiem. W żadnym wypadku nie byli przyjaciółmi, ale Coltrane od jakiegoś czasu próbował wmówić złotnikowi, że on koniecznie potrzebuje muła do przewozu narzędzi ze swego sklepu na złotonośne pola. I oczywiście oferował Winslowowi odpowiednie zwierzę – ale jak dotychczas Winslow nie połknął haczyka. Nie spał na pieniądzach, a swój szpadel z powodzeniem mógł nieść sam. Jednak tego wieczoru obaj mężczyźni dokonali ciekawych dla nich obu obserwacji i właśnie się nimi dzielili. Od czasu do czasu rzucali taksujące spojrzenia w stronę Chrisa Timlocka przy barze.

– Błyskotka z dwóch uncji złota! – wyszeptał Winslow do Coltrane'a. – To znaczy, że ma dość złota! Jak myślisz, ile wymienił?

– Siedem i pół uncji! Mały majątek. A może z tą chorobą to było kłamstwo? Może całymi tygodniami jeździł po górach, żeby znaleźć lepsze miejsca, gdzie występuje złoto?

Ian Coltrane znów napełnił swoją szklanekę, a Winslow wzniósł toast.

– Nieprawdopodobne. Popatrz na niego, jaki jest chudy – wygląda tak, jakby byle powiew wiatru mógł go przewrócić. A przedtem jeszcze tak paskudnie kaszłał. Nigdzie nie wyjeżdżał, od czasu do czasu pokazywał się u wielebnego na mszy.

Winslow także należał do gminy Petera Burtona i nawet regularnie chodził na msze. Zawsze wtedy, kiedy czuł wyrzuty sumienia z powodu swych zbyt długich posiadów w knajpach.

– I był na pewno chory, do góry z powrotem mógł iść dopiero wtedy, kiedy jego partner i Lizzie go prowadzili. A o niej co myślisz? Kręci z jednym albo z drugim? A może z oboma?

To akurat było Coltrane'owi w tym momencie dość obojętne. Wpatrywał się uporczywie w Chrisa swymi czarnymi oczami, jak gdyby ten mógł coś zdradzić poprzez śmiech albo jakiś ruch. Jedno było pewne: ten człowiek przy barze był zadowolony i spokojny. Nie krzyczał ze szczęścia jak wielu poszukiwaczy, którym się powiodło, ale wydawał się pełen wewnętrznego szczęścia.

– Powinniśmy poczekać, aż się upije, i wtedy pociągnąć go za język albo mu przyłożyć – zaproponował Winslow. – To złoto tego warte... Nie Lizzie, choć z niej też słodka mysz...

Coltrane potrząsnął głową. Ten pomysł już zarzucił. Chris Timlock sączył właśnie

swoje drugie piwo. To nie był mężczyzna, który się upija i potem po pijaku sypie tajemnice. Prawdopodobnie wypije jeszcze jedną lub dwie szklanki i opuści pub – i to na długo przed tym, zanim Winslow podniesie swój tyłek. Nie, aby wydobyć z Timlocka jego wiedzę, trzeba było sięgnąć po bardziej drastyczne środki.

– Przyłożyć brzmi dobrze – stwierdził Coltrane. – Ale nie przy świadkach. Poczekamy na niego za burdelem Janey i trochę go przesłuchamy.

– Prze... słuchamy? – spytał Winslow głupkowato.

Wypił już ponad trzy whiskey i myślenie zaczynało przychodzić mu z trudem. Na razie tylko myślenie. Ale jeśli czekanie na Timlocka miałoby trwać dłużej, to Winslow także fizycznie nie będzie w stanie zrealizować zamiaru Coltrane'a.

– O tak, przyjacielu. Wiesz, to taki rodzaj przepytывania, w czasie którego nie wolno mówić „nie”. – Coltrane wyszczerzył zęby w uśmiechu.

Złotnik zmarszczył czoło i wypił jeszcze jeden łyk whiskey.

– Ale... to nie jest w porządku! – powiedział.

Coltrane przewrócił oczami.

– To chcesz być teraz porządny czy bogaty? – zapytał. – A w ogóle, zacznij z nim rozmawiać przyjaźnie. Przecież jesteśmy kumplami, człowieku, przed którymi nie ma się tajemnic.

– Ale skoro to jest jego działka...

– Założymy się, że jego działka w ogóle jeszcze nie została wytyczona? W każdym razie jeszcze nie zgłoszono niczego nowego. A w ogóle – kto chce jego działkę? Możemy się zagnieździć tuż obok niego. Chodź, Winslow, w Ścieku Gabriela jeszcze nikt nie doszedł do bogactwa.

Coltrane był zdecydowany. Ten Chris Timlock będzie musiał dziś wieczorem zdradzić, gdzie znalazł złoto – dobrowolnie albo w efekcie kilku porządnych ciosów. Winslow musi tylko pomóc... A teraz Timlock wstał i rzucił na stół kilka monet za swoje piwo. Coltrane trącił swojego kompana.

– Wychodzi. Chodź, idziemy za nim!

– W ogóle nie wiesz, dokąd on idzie! – Winslow się wahał, w końcu w butelce było jeszcze sporo whiskey.

– Oczywiście, że wiem. Odstawił siwka Drury'ego w stajni MacLeoda. Z powodu deszczu. Ależ on ma dobre serce, żeby tylko ta chabeta nie zmokła! Teraz musi iść na piechotę, a najkrótsza droga prowadzi koło interesu Janey.

Coltrane wydobył banknot z kieszeni, rzucił go gospodarzowi, nie czekając na resztę, i wypchnął Winslowa z pubu.

– A może idzie do Janey? – dodał Winslow.

Coltrane wzruszył ramionami. O tym nie pomyślał, w końcu w pierwszym pubie Timlock nie zaszczycił żadnej z dziewcząt nawet spojrzeniem. Ale nie można było tego wykluczyć.



– To poczekamy, aż wyjdzie.

Coltrane wraz z nieco opierającym się Winslowem ruszył za Timlockiem. Jego przewidywania się sprawdziły: Timlock nie chciał iść do burdelu, lecz szedł prosto w stronę stajni. Coltrane i Winslow zatrzymali go tuż za namiotem dziewcząt.

– Cześć, Timlock! – powitał go Coltrane.

Chris odpowiedział skinieniem głowy. Nie znał tego człowieka, ale ten szedł z Tomem Winslowem, który zapewne powiedział mu jego nazwisko.

– Cześć, Tom... – Winslow uśmiechnął się do niego szeroko.

– No, poświęciłaś trochę?

Chris wzruszył ramionami.

– Wypiłem parę piw. Co miałem świętować?

– No, twoje znalezione złoto, na przykład – odparł Winslow. – Dwie uncje tylko na świecidełko dla ukochanej, to aż przesada, przyjacielu.

Chris machnął ręką.

– To nie dla mojej ukochanej, tylko dla jakiejś przyjaciółki Lizzie. A ona długo na to oszczędzała.

Winslow i Coltrane roześmiali się i podeszli do Chrisa bliżej. Młody mężczyzna zaczął się czuć niepewnie.

– Taaak, Miss Lizzie oszczędzała – zakpił Coltrane. – A te siedem i pół uncji, które potem wpłaciłeś? Skąd one są?

Chris rozejrzał się nerwowo.

– Powiedziałem przecież, człowieku. To uzysk z kilku tygodni.

Coltrane podszedł bliżej i nagłym, szybkim ruchem wykręcił mu rękę do tyłu.

– Nie kłam, twojego partnera widziałem dwa dni temu w banku. To gadaj: skąd jest to złoto?

Chris oddychał z trudem i próbował się wykręcić z jego chwytu.

– To było moje złoto, plukałem je przez kilka tygodni, mówiłem już.

– Przez kilka ostatnich tygodni leżałeś chory! – Pięść Iana trafiła Chrisa w nerki. Cios był na tyle mocny, że mężczyzna stęknął głośno i pochylił się, co z kolei spowodowało większy ból w wykręconym ramieniu.

– A jak nie będziesz gadał, to spędzisz w łóżku następnych kilka tygodni. Jazda, gadaj!

– Mówię... przecież... Mówię prawdę...

Coltrane westchnął, jak gdyby zrobiło mu się przykro z powodu tego, co musiał teraz uczynić.

– Trzymaj go, Winslow – rozkazał. – To nieuprzejme, jeśli mówiąc, nie patrzy się w oczy.

Chris próbował wykorzystać szansę i wyrwać się, kiedy Coltrane przekazał go wyraźnie pijanemu Winslowowi. Miał przez chwilę wolną rękę, ale nie był dość silny,

aby uderzyć. Coltrane podstawił mu nogę, kiedy próbował uciec. Chris upadł, a Coltrane kopnął go w nerki, zanim Winslow zdążył go podnieść.

– Wystarczy, prawda? No to chodź, bądź kumplem i zdradź nam, skąd pochodzi cały ten kram, a pozwolimy ci odejść.

– Człowieku, Timlock! – Winslow starał się mu pomóc. – Nic nie stracisz! Tam jest złota dla stu ludzi!

Timlock milczał, kiedy znów trafiła go pięść Coltrane'a. Tym razem prosto w twarz.

– Nie mam... nic do powiedzenia.

Chris starał się być odważny, ale wykrecona ręka bolała piekielnie. Winslow zapewne ją zwichnął, chcąc go postawić na nogi. Drugi z mężczyzn uderzył ponownie i Chris poczuł smak krwi w ustach. Miał rozbite wargi.

– Pewnie, że masz coś do powiedzenia. Tylko jedna mała wskazówka – gdzie? Timlock, skąd jest to złoto?

Następny cios trafił w żołądek. Jego prześladowca był wysoki i ciężki i właściwie wcale nie umiał się bić. Ale pięści miał jak z żelaza. Chris się skurczył. Próbował się opanować, ale dostał torsji. Winslow cały czas trzymał go za zwichnięte ramię. Chris stęknął, kiedy tamten znów podciągnął go do góry.

– No i cały się pobrudziłeś – stwierdził Coltrane z udawanym żalem. – Nawet mnie też przy tej okazji – z obrzydzeniem strząsnął wymiociny ze swych butów. – Jazda, masz to powycierać.

Winslow popchnął Chrisa na ziemię, a ten niezdarnym ruchem próbował wytrzeć buty Coltrane'a.

– A teraz gadaj! Skąd miałeś to złoto?

– Nie wiem – jęczał Chris.

– Nie chcesz powiedzieć czy nie wiesz? Może spadło z nieba? Jak w bajce o gwiazdce z nieba?

– Ten wisiołek to też ma być znak zodiaku – zauważył Winslow. Przytrzymał Chrisa, kiedy Coltrane znów uderzył. Ale Chris uparcie milczał. Wtedy Coltrane złamał mu nos.

– Nie wiem...

– A może on rzeczywiście nie wie?

Tomowi Winslowowi cała ta sprawa zaczynała się wydawać nieprzyjemna. Nie miał nic przeciwko paru ciosom, ale to zaszło za daleko. Coltrane już i tak ciężko zranił tego człowieka. Był czas, aby to zakończyć.

– Pewnie, że wie! Gadaj, chłopie, jazda! Inaczej będzie naprawdę niemiło!

Chris wisiał bezwładnie trzymany przez Winslowa. Nie miał szans, aby się wyrwać, kiedy następny cios trafił go prosto w oko – z trzaskiem pękła kość jarzmowa.

– Moje oko... – Chris poczuł, że dookoła niego robi się ciemno. Czuł potworny ból i zdał sobie sprawę, że już z tego nie wyjdzie.

– Gadaj w końcu, inaczej wybiję ci drugie oko!

Teraz z kolei Winslow zaczął głośno jęczeć. Upuścił rannego na ziemię.

– Gadaj! A ty go trzymaj!

– Lizzie... – wyszeptał Chris. Jego ostatnią szansą było powiedzieć to, co wiedział. Lizzie nigdy by mu nie przebaczyła... I Maorysi... Ale nie był już w stanie mówić. Próbował wypowiedzieć jakieś słowa, ale ból skutecznie to udaremniał. – Lizzie... – powtórzył. – Ona...

– Ta dziwka ma złoto? Ona to znalazła?

Chris przytaknął ostatkiem sił. A potem trafił go kolejny cios.

– Skąd ona to ma? Skąd to przyniosła?

Chris już nie słyszał. Nie czuł też dalszych ciosów i kopniaków. A Coltrane stracił nad sobą panowanie. To, czego się dowiedział, rozczarowało go. Był tylko jeden punkt zaczepienia. Lizzie. Ale właściwie ten typ nic nie powiedział. Więc za to zapłaci... Winslow próbował odciągnąć oszalałego Coltrane'a od nieprzytomnego człowieka, ale że był pijany, zajęło mu to sporo czasu.

W końcu Ian zostawił leżącego i stał nad nim, ciężko oddychając, podczas gdy Tom Winslow badał rannego.

– Żyje jeszcze... – powiedział zachrypniętym głosem. – Dzięki Bogu, jeszcze żyje! Ale za to... za to nas też zamkną, Coltrane! To już nie jest mała bójka!

Coltrane opanowywał się powoli. Odwrócił Chrisa i sprawdził jego puls.

– Długo nie pożyje – stwierdził. – Więc najlepiej to skończmy. – Podniósł kamień i zamachnął się, mierząc prosto w skroń Chrisa.

Winslow chwycił go za rękę.

– Oszalałeś? Chcesz go zamordować?

– A chcesz iść do więzienia? Przecież on nas widział. Jak przeżyje i zacznie gadać, to tam wylądujemy.

– Ale... Ale zamordować? Ja dam alibi tobie, a ty mnie. On może jeszcze sporo powiedzieć...

Coltrane uniósł brwi w górę. Alibi, które daje sobie nawzajem dwóch bijących, nie jest wiele warte. Ale jeśli zada temu człowiekowi ostatni cios, to może Winslow spanikuje i zacznie sypać. Tego ta sprawa nie była warta, a Coltrane był pewien, że Timlock umrze. Właściwie wybił mu oczy i kilka zębów, każda kość twarzy musiała być złamana, a ostatnie kopniaki zmiażdżyły żebra. Coltrane postanowił zaryzykować. Prawdopodobnie ten człowiek nie będzie żył, kiedy go znajdą. Należało teraz coś zrobić z Winslowem.

– Dobra, idź do domu, Tom. Umyj się i spakuj swoje rzeczy. Jutro rano pojedziemy do Drury'ego i zaczaiemy się na niego. Jak ta Lizzie wyjdzie, pójdziemy za

nią.

Winslow patrzył przerażony na ciężko pobitego człowieka.

– Może sprowadzimy pomoc? A w ogóle... Nie mogę tak wszystkiego zostawić w środku tygodnia i wyjechać. To się każdemu rzuci w oczy... Mam przecież sklep, człowieku!

Ian zastanawiał się przez chwilę. To była prawda. A po takim wydarzeniu każdy będzie zwracał uwagę na kogoś, kto będzie się nietypowo zachowywać.

– Dobrze, to zostań tutaj, a ja pójdę – rzekł. – Tak będzie chyba najlepiej.

Winslow będzie prawdopodobnie milczał na temat śmiertelnego pobicia, choćby ze strachu. Ale czy taki stary pijak potrafi dochować tajemnicy na temat złota?

– Ale idź stąd zaraz! Nie powinni nas tu znaleźć!

Coltrane odszedł spokojnie. Tom Winslow spróbował ułożyć Chrisa nieco wygodniej. Modlił się o jego życie, przekradając się w stronę sklepu, i wiedział, że nie wytrzyma, nie wypiwszy kilku porządnych łyków whiskey. Na szczęście najbliższy pub był otwarty. Winslow się upił – siedział tam tak długo, aż zaczęli zamykać knajpę. A potem wrócił do Janey. Chris się nie ruszał, ale stęknął, kiedy Winslow go trącił.

Sumienie Toma Winslowa odzywało się tym mocniej, im więcej wypił alkoholu. Zataczając się, dotarł do wejścia Janey's Dollhouse.

– U was... tam za rogiem... – bełkotał. – Tam leży zabity człowiek.

## ROZDZIAŁ 9

Lizzie była zmartwiona i zaniepokojona, kiedy następnego ranka nie zastała Chrisa Timlocka na jego legowisku.

Obudziła się szczęśliwa obok Michaela i chciała, aby on jeszcze spał, podczas kiedy ona będzie palić w kominku i gotować herbatę. Ale kiedy zobaczyła puste legowisko Chrisa, obudziła go.

Michael natychmiast spróbował przyciągnąć ją do siebie i pocałować.

– Właśnie mi się śniłaś! – wyszeptał do niej. – Ale w rzeczywistości jesteś jeszcze piękniejsza... Chodź...

Lizzie odsunęła go łagodnie.

– Michael, Chrisa jeszcze nie ma. Może coś się stało?

Michael się roześmiał.

– Co się mogło stać? Prawdopodobnie pozwolił sobie na dziewczynę u Janey, żeby uczcić swoje szczęście. Albo na jakąś inną, z tego nowego pubu, oni ponoć mają tam Chinki.

Lizzie potrząsnęła głową.

– Michael, Chris nie chce żadnej Chinki, on chce tylko mieć tu swoją Ann. Nie mogę sobie wyobrazić, że...

– A sprawdziłaś w stajni? Może ze względów oczywistych rozbił tam obóz, kiedy nas usłyszał.

To wydało się Lizzie bardziej prawdopodobne. Zajrzała do koni, ale w stajni nie było ani śladu siwka, ani Chrisa. Koń nie wrócił więc do domu. Chris zapewne postanowił gdzieś zanoć. Lizzie trochę się uspokoiła, ale mimo to nie opuściło jej jakieś dziwne uczucie, kiedy wróciła do chaty.

Michael za to był w doskonałym nastroju.

– Może spędzimy ten dzień po prostu w domu? Czy chcesz już dziś iść szukać złota? – spytał.

Nalał już herbaty, którą zaparzyła Lizzie, i wsypał dużo cukru do jej kubka. Lizzie lubiła słodką herbatę, a teraz nie potrzebowała już oszczędzać cukru.

Lizzie wyjrzała przez okno.

– Takiego pięknego dnia nie spędzisz na swoim legowisku, Michaelu Drury! – roześmiała się. – My... wypłuczemy kilka uncji złota, a potem możemy rozłożyć koc nad potokiem. – Mrugnęła do niego porozumiewawczo.

Michael odepchnął myśl o polach nad Vartry River.

– Ale powinniśmy poczekać na Chrisa – stwierdził.

Lizzie zaśmiała się jak łobuziak.

– Chcesz chyba powiedzieć: na siwka! – dokuczała mu.

Michael nie lubił chodzić na piechotę, a piękny koń był jego dumą.

Michael skinął głową.

– Znasz mnie już za dobrze, Elizabeth Owens! – zauważył. – Co nie jest zbyt stosowne dla kobiety. Powinienem być dla ciebie tajemnicą, a ty powinnaś życie swoje poświęcić na jej badanie.

Lizzie zachichotała.

– To byłbyś pierwszym mężczyzną, który nie nosi swojej tajemnicy między nogami, ale zdemaskuje cię każda kobieta, którą zbyt blisko do siebie dopuścisz. A jeśli chodzi o twojego konia – widać przecież, że jesteś w nim zadurzony. Chciałabym, aby twoje oczy też tak błyszczały, kiedy mnie widzisz.

Michael chwycił ją w ramiona.

– Jesteś bezczelna, Lizzie! Uczciwa kobieta tak nie mówi. Uczciwa kobieta się czerwieni, kiedy jest mowa o tajemnicach mężczyzny.

Lizzie roześmiała się jeszcze głośniej.

– Dłużej jestem uczciwa niż ty bogaty! – przypomniała mu. – A teraz zbieraj się, żeby coś wyszło z tego zarabiania pieniędzy. A tak poważnie, Michael, nie chciałabym zbyt długo czekać. Maorysi niezbyt chętnie dali mi pozwolenie na korzystanie z tego pola. Kto wie, czy się nie rozmyślą, jak coś się stanie.

– A co się ma stać? – spytał natychmiast Michael.

Lizzie wzruszyła ramionami.

– Spory między Maorysami a *pakeha*, na przykład. Tu o tym nic nie wiadomo, ale na Wyspie Północnej jest niespokojnie. Kto wie, co przyjdzie do głowy Ngai Tahu, kiedy wybuchnie wojna? A ja oprócz tego chciałabym szybko skończyć z tym złotem. Jeśli się nad tym zastanowić, to błędem było już wysyłanie Chrisa ze złotem do miasta. Powinniśmy byli zabrać wszystko, co potrzebne, i zniknąć po cichu. W Dunedin pewnie dostanie się lepszą cenę, a przede wszystkim nie zwróci się na siebie niczyjej uwagi.

Michael zmarszczył czoło.

– Myślisz, że Chris mógł wpaść w jakieś tarapaty? On nie należy do takich, którzy po pijanemu gadają o wszystkim, co wiedzą. Nie wyobrażam sobie, że mógłby cię zdradzić.

Michael potrząsnął głową.

– Nie, też nie sędzę. Ale mam jakieś niedobre przeczucie... On... nie należy też do tych mężczyzn, którzy spędzają noce w łóżkach dziewczyn lekkich obyczajów.

Michael zagryzł wargi.

– Może powinniśmy pojechać do Tuapeka i sprawdzić, co się stało? – spytał.

Lizzie wzruszyła ramionami.

– Wtedy stracimy cały dzień. Słuchaj, a dlaczego ty nie pojedziesz sam na dół, a ja ruszę na to pole? Łatwo znajdziesz ten potok, mówiłam już wczoraj, ale wyjaśnię ci jeszcze raz: wyobraź sobie trójkąt, który tworzą wieś Maorysów nad rzeką, nasz dom i to pole. Jeśli stąd pojedziesz prosto w kierunku zachodnim, trafisz na potok. Wówczas pojedziesz wzdłuż niego do góry, aż do małego wodospadu. Powyżej niego znaleźliśmy złoto. Być może na dole też występuje złoto, to nawet bardzo prawdopodobne. Ale ja będę płukać tam, gdzie pozwolili mi to robić Maorysi, i nigdzie więcej.

Nowe złotonośne pole nie było zbyt oddalone od domu Lizzie, Chrisa i Michaela. Nie trzeba było jechać aż do wsi Maorysów, można tam było dotrzeć, jadąc prosto.

Michael popatrzył na młodą kobietę z powątpiewaniem.

– Nie wiem, Lizzie...Sama? Ja nie chcę... do cholery, już wyplukałaś kilka pierwszych uncji sama. Nie możesz przecież wykonywać całej roboty sama.

Lizzie się roześmiała i zaczęła zaplatać włosy. Była wietrzna pogoda i nie chciała, aby w czasie płukania włosy spadały jej na twarz.

– Ach, dogonisz mnie bez trudu! – stwierdziła. – Siwek jest dwa razy szybszy od kasztana.

Tak rzeczywiście było, a w dodatku Lizzie niechętnie jeździła wierzchem. Michael dobrze wiedział, że znalazłaby zaraz mnóstwo powodów, aby uzasadnić to, że zawsze wolała iść pieszo obok wałacha, zamiast na niego wsiąść. I pewnie załaduje na niego żywność oraz wszystkie przedmioty potrzebne na jeden albo dwa tygodnie w górach. Wówczas rzeczywiście nie będzie już miejsca na siodle, a ona będzie mogła iść obok konia, co zajmie jej cały dzień. Natomiast Michael będzie potrzebował kilku godzin, aby tam dotrzeć, jeśli popędzi siwka.

– No dobrze – zgodził się. – Ale to ja objuczę kasztana. Jeszcze tego tylko brakuje, żebyś ty sama wszystko wynosiła i ładowała na niego, kiedy masz przed sobą cały dzień marszu.

Lizzie podarowała mu swój słodki uśmiech.

– Znasz mnie zbyt dobrze, Michaelu! – stwierdziła. – Ale nie myśl sobie zaraz Bóg wie co. Mam znacznie więcej tajemnic. I tylko trochę boję się konia.

Chris Timlock żył jeszcze, kiedy Michael kilka godzin później dotarł do Tuapeka. I nie rozpoznałby przyjaciela, gdyby mu nie powiedziano, że ta całkowicie zawinięta w bandażę postać na łóżku to właśnie on. Ciężko rannego Chrisa znalazły wcześniej rano dziewczyny Janey i natychmiast zaalarmowały wielebne. Od niedawna w osiedlu poszukiwaczy był też lekarz, który zjawił się natychmiast. Ale nie łudził zbyt wielką nadzieją wielebne i jego pomocnic w szpitalu.

– Robię, co mogę, ale obawiam się, że on tego nie przetrzyma. To są liczne złamania kości twarzy, urazy czaszki... z pewnością także obrażenia wewnętrzne.

Żeby to przeżyć, musiałby mieć przedtem końskie zdrowie, a ten chłopak jest raczej drobny i wątły. Macie jakieś przypuszczenia, kto mógł to zrobić?

Peter Burton potrząsnął głową.

– Pewien znany w mieście pijak, Tom Winslow, natknął się na niego rano. Odsypia teraz pijaństwo, ale dużo więcej nie powie. Poza tym nic nie wiadomo. Ach prawda, Tom był w pubie Will's Corner, ale Will mówi, że wcześniej wyszedł. Potem pił dalej w pubie u Gregory'ego. Wyszedł stamtąd i natknął się na tego chłopaka.

Wiadomość o znalezieniu Chrisa rozeszła się po mieście błyskawicznie i rzecz jasna stała się powodem licznych plotek i domniemań.

Lekarz westchnął. Był to młody jeszcze, choć z pewnością odważny mężczyzna, którego do Tuapeka przygnała trochę chęć przeżycia przygody. Ale brutalne i surowe zwyczaje panujące wśród poszukiwaczy z każdym dniem odbierały mu resztki iluzji.

– Pomóżcie mi więc zmienić mu opatrunki. Lewe oko już straci, jeśli przeżyje... Czy on ma jakichś krewnych?

Peter zaprzeczył.

– Ma partnera – przypomniał sobie. – Ktoś go musi zawiadomić. Mieszkają obaj w chacie z bali, tam dalej w górę rzeki. Ale Drury pewnie sam przyjedzie, kiedy go tak długo nie będzie. Wówczas też trzeba go będzie przepytac. Choć nie sądzę, żeby wchodził w rachubę jako sprawca.

Lekarz wzruszył ramionami.

– Czy zawiadomiono już Dunedin?

– Ma pan na myśli policję? – spytał Peter. – Pewnie, wysłaliśmy telegram i ktoś oprócz tego tam pojechał. Tu trzeba przeprowadzić dochodzenie, nie wolno dopuścić do tego, aby sprawca uciekł.

Kilka godzin później Michael stał przed łóżkiem przyjaciela kompletnie wytrącony z równowagi. Chris był nieprzytomny, ale oddychał, głośno charcząc, a od czasu do czasu słabo jęczał.

– Proszę do niego mówić – powiedział lekarz. – Może pana usłyszy. Nic więcej nie można zrobić. Dałem mu morfinę, aby nie cierpiał takiego bólu.

– A czy od tego człowiek nie głupieje? – spytał Michael nieufnie.

Na zmęczonej twarzy lekarza pojawił się uśmiech.

– Od tego można się jedynie uzależnić. Ale to nie dotyczy pańskiego przyjaciela. Przykro mi, ale jest mało prawdopodobne, że on przeżyje tę noc.

Michael siedział przy Chrisie całą noc i opowiadał mu o Lizzie i że chce się z nią ożenić. Trzymał go za lewą rękę – prawą lekarz nastawił i całe ramię przymocował sztywno bandażem do piersi. Michael obiecał Chrisowi, że zatelegrafuje do Ann i wyśle jej pieniądze.

– Wczoraj poczta była pewnie zamknięta – mówił łagodnie. – Ale jeśli zaraz to



zrobię... może ona już jutro wyruszy w drogę do ciebie. A za kilka tygodni, kiedy już poczujesz się lepiej, ona tu będzie z tobą.

Około południa Michaelowi się zdawało, że ranny lekko nacisnął jego rękę, ale nie był tego pewien. Sam był śmiertelnie wyczerpany i opuścił Chrisa na krótko, aby najpierw wysłać do Walii telegram, a potem wszystkie pieniądze.

Właściciel banku, Mr Ruland, powiedział kilka słów współczucia i opowiedział o swym niepokoju spowodowanym zawiścią innych poszukiwaczy, którzy wczoraj stali za Chrisem w kolejce.

– To się na pewno szybko rozeszło po mieście, kiedy on wymienił ponad siedem uncji złota. Ci, którzy go pobili, myśleli zapewne, że ma te pieniądze przy sobie.

Michael skinął głową. Poczucie winy, które go ogarnęło, było wprost nieznośne. Mógł o tym pomyśleć wcześniej! Gdyby nie był tak odurzony Lizzie, nigdy nie wysłałby Chrisa samego do miasta.

Tymczasem dotarł już do miasta oficer policji i zaczął przesłuchiwać świadków. Michael postanowił nie mówić całej prawdy i opowiedział o niezwykłym znalezisku na swojej działce, którego dokonał właśnie Chris. Oświadczył, że on sam nie wie dokładnie, gdzie Chris znalazł złoto, ale jego przyjaciel postanowił od razu wysłać pieniądze swojej żonie, dlatego też Michael pożyczył mu konia. A on sam został ze swoją narzeczoną w domu, co Lizzie może poświadczyć.

Michael był przygnębiony. W końcu jego doświadczenia z wszelkiego rodzaju władzami nie były najlepsze. Ale oficer mu uwierzył.

– Dlaczego ten człowiek miałby jechać do wsi specjalnie po to, aby rozbić czaszkę swojemu partnerowi? – powiedział policjant do Petera Burtona. – Mógłby to zrobić od razu na górze i miałby łatwiejsze zadanie. W dodatku nikt nie zadawałby mu pytań, gdyby ten Timlock po prostu zniknął. Kilka tygodni później Drury sam wymieniłby złoto i pies z kulawą nogą o niczym by się nie dowiedział.

Przesłuchanie Toma Winslowa także nic nie dało – złotnik znów był pijany. Mimo to pracował właśnie nad przepięknym złotym wisiorkiem przedstawiającym gwiazdozbiór Plejad. Oficer był pod wrażeniem, nie dał jednak po sobie niczego poznać.

– Czy ten chłopak wyjdzie z tego? – spytał Winslow, zanim śledczy wyszedł.

Oficer zauważył, że złotnik sprawiał wrażenie mocno przybitego, jak gdyby go coś dręczyło, ale w ten sposób zareagowałby chyba każdy, kto znalazłby tak strasznie skatowanego i zalanego krwią człowieka. A poza tym Winslow miał dość mocne alibi. Najpierw pił w pubie Will's Corner, a potem u Gregory'ego.

Michael nabrał nadziei, kiedy Chris wieczorem ciągle jeszcze żył. Miał wyrzuty sumienia z powodu Lizzie, ale ona na pewno pomyśli, że musiało go zatrzymać coś ważnego. Michael bardzo chciałby mieć ją teraz przy sobie, ale ona z pewnością nie będzie chciała wracać tylko dlatego, że on jej nie dogonił. Będzie płukać złoto i czekać

na niego – przynajmniej kilka dni.

Wieczorem do szpitala przyszedł w odwiedziny ktoś, kogo Michael nie spodziewał się zupełnie. Tom Winslow, kompletnie pijany i wyraźnie wzburzony, najpierw patrzył przerażony na nieruchomą postać Chrisa w łóżku, po czym zalał się łzami i wręczył Michaelowi małą paczuszkę.

– Tutaj... tu... – szlochał. – Jest gotowy... Może on się ucieszy, kiedy... kiedy się obudzi... Och, co za hańba, co za podłość, taki młody człowiek...

Michael zmarszczył czoło, odwrócił wzrok i zajął się otwieraniem paczuszki. Był zaskoczony i poruszony do głębi. Rozpacz Winslowa była dla niego zagadką. To prawda, że on znalazł Chrisa i pomógł go przynieść. Ale ten płacz i potoki łez... Niemniej jednak to Winslow był jedną z ostatnich osób, które widziały jego partnera tuż przed pobiciem. Chris też pił piwo u Willa.

Michael wyjął z pudełeczka maleńki, błyszczący przedmiot. Wisiorek dla Lizzie...

– Chris zlecił wam wczoraj wykonanie tego naszyjnika? – spytał z niedowierzaniem.

Tom Winslow skinął głową.

Michael podniósł w górę łańcuszek z zawieszonym na nim naprawdę pięknym wisiorkiem – ogarnął go podziw.

– Wyszedł... bardzo pięknie – powiedział nieporadnie. – Dziękuję za szybkie wykonanie.

Zaczął szukać pieniędzy, aby zapłacić.

– Ile jestem panu winien?

Winslow cofnął się gwałtownie, jak gdyby te pieniądze mogły go poparzyć.

– Nic...! Nie, oczywiście, że nic! Ja... zrobiłem to z przyjemnością... Niech pan... niech powie jego ukochanej... Przykro... tak mi przykro...

Winslow oddalił się pośpiesznie, nie przestając szlochać, a Michael patrzył za nim, nic nie rozumiejąc i potrząsając głową. Pomyślał, że może powinien porozmawiać o tym z wielebny. Winslow najwyraźniej upił się tak, że stracił rozum. Ale na to pewnie nawet duszpasterz nie znajdzie żadnej rady.

Michael podszedł znów do Chrisa. Zwilżył jego wargi wodą – Chris nie mógł czy też nie chciał nic połykać, ale miał spieczone usta i nawet jeśli nie reagował, to z pewnością czuł, że ktoś się nim opiekuje. Michael próbował przypomnieć sobie jedną ze swoich opowieści, którą mógłby teraz opowiedzieć swojemu partnerowi. Lekarz miał rację, Chris z pewnością go rozumiał i to głos Michaela trzymał go przy życiu. Upływała kolejna noc, a Michael mówił o żonie Chrisa Ann, o ich dzieciach – powtórzył wszystko, co jego partner opowiedział mu w tym czasie, kiedy razem płukali złoto. Rankiem Michaelowi zamykały się oczy, ale Chris ciągle żył.

– Powinien pan coś zjeść – stwierdził lekarz, kiedy około dziewiątej otwierał

szpitalny namiot. – I przespać się. Ja już tu będę, a wielebny też zaraz przyjdzie.

Michael popatrzył na niego nieprzytomnymi, zaczerwienionymi oczami.

– Czy nastąpiła jakaś poprawa? – spytał.

Lekarz potrząsnął głową.

– O ile mogę stwierdzić, nie. Sądzę, że pański przyjaciel jest w śpiączce, Mr Drury. I obawiam się, że się już nie obudzi. Ale oczywiście tego nikt na pewno nie może stwierdzić, proszę więc nie tracić nadziei. Tylko proszę się nie rozchorować, siedząc tutaj koło niego. Niech pan gdzieś pójdzie i prześpi się choć trochę.

Michael bardzo niechętnie odszedł od łóżka Chrisa, ale w końcu głód zagnał go do herbaciarni, którą niedawno otworzyła była dziwka, dziś żona jednego z poszukiwaczy. Młoda kobieta, Barbara, podała mu śniadanie i spytała o stan zdrowia Chrisa.

– Nie macie w ogóle żadnego pojęcia, podejrzenia, kto to mógłby być? – spytała, stawiając przed Michaeliem na wyszorowanym stole ogromny omlet. – Oficer wszczął co prawda dochodzenie, ale może sami powinniście trochę popytać ludzi?

Michael się zastanowił. W gruncie rzeczy ta kobieta miała rację. Jemu poszukiwacze złota z pewnością powiedzą więcej niż komuś obcemu z Dunedin. Większość z nich miała podobną przeszłość jak Michael i nie ufała policjantom.

– Myślę, że zacznę od banku – stwierdził. – Dobrze byłoby ustalić, kto pierwszy dowiedział się o rzekomym skarbie Chrisa. Zobaczymy, czy Mr Ruland coś zapamiętał.

Bankowiec rzeczywiście pamiętał kilka nazwisk, a przede wszystkim nazwisko Iana Coltrane'a. Ta wiadomość zaalarmowała Michaela, choć z drugiej strony pozostali klienci banku z tamtego dnia, których nazwiska wymienił Ruland, też nie byli niewiniątkami. Michael znał ich wszystkich i wiedział, gdzie płuczą złoto. I właściwie przydałoby mu się trochę świeżego powietrza. Zamiast iść spać, wyprowadził siwka ze stajni i ruszył na złotonośne pola. Ale Iana Coltrane'a nie mógł nigdzie znaleźć, co go zaniepokoiło. Zrodziły się w nim podejrzenia. Jego sąsiadów dziwiło to mniej.

– Pewnie jest gdzieś w drodze i kupuje albo sprzedaje konie – przypuszczał jeden z nich. – Coltrane jest tu najwyżej pół tygodnia, a na tych szkapach zarabia więcej, niż szukając złota. Nie ma do tego ręki i nie potrafi ciężko pracować przez dłuższy czas. Zajrzyjcie do jego namiotu, może tam jednak jest i zamienia starą szkapę na młodego ogiera! – Słowom tym towarzyszył ogólny śmiech. Także tutaj Coltrane był już znany ze swych oszukańczych praktyk.

– A chłopiec? – spytał Michael. – Jest może w szkole?

Mężczyźni wzruszyli ramionami.

– Przeważnie jeździ ze swoim *daddy*. Ale może teraz jest w szkole. Choć ten chłopak jest taki sam jak jego stary: jak tylko poczuje, że gdzieś można łatwo zarobić

pieniądze, jak przy sprzedawaniu koni, to zaraz tam jest. Ale z dwojga złego woli się uczyć czytać niż godzinami mozolnie płukać złoto.

Michael postanowił ustalić później, czy Colin był dziś w szkole wielebnego Burtona, i ruszył na poszukiwanie pozostałych klientów Mr Rulanda. Było to bardzo żmudne i w gruncie rzeczy nic nie dało. Wprawdzie wszyscy zauważyli sporą ilość złota, którą Chris przyniósł do banku, ale uwierzyli, że to urobek z kilku tygodni wspólnej pracy z Michaelem.

– A co mnie to obchodzi – oświadczył od razu Dick Torpin w odpowiedzi na pytanie Michaela. – Mam dość roboty z własnym gównem.

Michael pojechał więc z powrotem do szpitala, gdzie Chris cały czas leżał jak martwy. Zgodnie z tym, co powiedział wielebny, jego stan się nie poprawił ani też się nie pogorszył, Michael chciał więc zająć miejsce przy łóżku przyjaciela. Ale zmęczenie przemogło. Nie miał już siły nic mówić do chorego. Potrzebował choćby odrobiny snu.

Po krótkim namyśle poszedł do Janey.

– Możecie wyjątkowo wynająć mi łóżko na parę godzin? – zapytał.

Dziewczyny się roześmiały. Ciągłe czuwanie Michaela przy łóżku przyjaciela było już tematem rozmów w mieście, jak wszystko, co było związane z napadem i pobiciem Chrisa Timlocka. Ale personel Janey był tym poruszony. Dziewczyny najpierw na wyścigi znosiły mu jedzenie i tymczasem przygotowały mu „księżęcą komnatę”, jak to nazwała z uśmiechem Janey. Był to wysprzątnany namiot, a stojące w nim łóżko było świeżo pościelone. Michael spał już, zanim przyłożył głowę do poduszki.

Peter Burton w tym czasie obserwował Chrisa Timlocka i starał się nie tracić nadziei. Pomógł lekarzowi zmienić mu opatrunki, ale chory oprócz cichych stęknień nie wydał z siebie żadnego dźwięku. Lekarz miał już pewność, że Chris był w śpiączce.

– Mam nadzieję, że to nie potrwa zbyt długo – powiedział z nieszczęśliwą miną. – Proszę mnie dobrze zrozumieć, wielebny, cieszyłbym się, gdyby ten chłopak przeżył. Ale on leży nieprzytomny, bez ruchu, ślepy... Człowiek się zastanawia, co byłoby lepsze.

Peter wzruszył ramionami.

– Będziemy musieli pozostawić to w rękach Boga – stwierdził w końcu. – Miejmy nadzieję, że On wie, co robi.

Ale potem, tuż po południu, jedna z wolontariuszek przybiegła do zaimprovizowanego biura Petera, które znajdowało się tuż obok nowego kościoła.

– Wielebny – wysapała zdyszana żona kramarza. Zapewne pokonała drogę ze szpitala tutaj biegiem. – Wielebny, musi pan przyjść do szpitala. Wydaje nam się, że ten chłopak się budzi. Rusza się i jęczy... Doktor jest zdania, że powinien pan go

zobaczyć... i może dać mu ostatnie sakramenty.

Peter Burton natychmiast wybiegł z biura.

– Czy Michael jest przy nim? – dopytywał się, idąc koło zaspanej żony kramarza.

Kobieta potrząsnęła głową.

– Nie, nie mamy pojęcia, gdzie on jest. Pewnie gdzieś śpi, biedny chłopak. Jeździł po okolicy całe przedpołudnie i pytał ludzi.

– Mrs Jordan, proszę spróbować go odnaleźć. Jeśli Timlock rzeczywiście się obudzi, będzie chciał z nim mówić.

Lekarz stał przy łóżku Chrisa Timlocka i badał jego puls.

– Coś się na pewno dzieje. On próbuje właśnie odzyskać przytomność. Chce się obudzić.

Chris próbował się poruszyć i otworzył swoje jedyne oko. Patrzył jednak przed siebie, najwyraźniej nic nie widząc – zapewne nerw oczny uległ uszkodzeniu i chłopak był ślepy.

Peter ujął jego lewą rękę.

– Chris... Chris, słyszy mnie pan?

Timlock lekko ścisnął jego rękę i wyszeptał:

– Mike...?

Peter i lekarz wstrzymali oddech.

– Wielebny Burton, Chris, Peter Burton. Jak się czujecie, możecie mówić?

Chris znów lekko ścisnął rękę Petera, a potem ją wypuścił i jakby próbował coś narysować w powietrzu.

– Lizzie... złoto... ostrzega...

– Ostrzec, Chris? Co macie na myśli, mówiąc o Lizzie?

– Ostrz... złoto, Lizzie, Mike... trójkąt... wieś Maor... Dom... dom, zachód...

Chris ostatkiem sił wydobywał z siebie strzępy słów.

– Ostrzec, Mr Timlock? – spytał lekarz. – Ma pan na myśli, że trzeba ostrzec Lizzie?

Chris gwałtownie skinął głową.

– Na zachód... dom... potok... w gór...

Peter patrzył bezradnie na młodego mężczyznę.

– Nic nie rozumiem, Chris... Jeszcze raz, powoli. Lizzie szuka złota gdzieś w trójkącie i my musimy ją ostrzec? Dlaczego, Chris, przed czym? Chris, kto pana pobił? Przed kim musimy ostrzec Michaela i Lizzie?

Chris stęknął. Chwycił rękę Petera i ostatkiem sił próbował się podnieść. Jeszcze raz zebrał siły.

– Jechać na zachód, od domu do potoku, w górę... potoku... Szybko!

Chris osunął się na poduszkę. Jego oko zamknęło się powoli. Lekarz ponownie zbadał mu puls i potrząsnął głową.

– To koniec, wielebny. Więcej już nic nie powie. Ale udało mu się przynajmniej

tyle. I najwyraźniej było to dla niego ważne. Musimy ustalić, co miał na myśli!

Peter łagodnie odgarnął jasne włosy Chrisa, które spadły na jego obandażowaną twarz.

– Musimy poczekać, aż pojawi się Michael. Może on dopatry się w tym jakiegoś sensu... Chris pewnie myśli, że on jest razem z Lizzie i oboje są w niebezpieczeństwie. Ale tak... To nie może długo trwać, jego koń stoi przed drzwiami.

Peter wstał i zaczął się rozglądać za możliwymi pomocnikami. Była pora obiadowa, ci mężczyźni, którzy przyszli do stołówki dla najbiedniejszych, będą mogli potem przenieść zmarłego do kościoła i tam złożyć do trumny.

– Jutro rano odprawię nabożeństwo – powiedział. – Byłoby dobrze, gdyby przyszło dużo ludzi... Zawiadomi pan oficera policji, doktorze? Nie mamy już do czynienia z napadem, lecz z morderstwem.

Wiadomość o śmierci Chrisa rozeszła się po mieście lotem błyskawicy – tylko Michael przespał wszystko w Janey's Dollhouse. Dziewczyny postanowiły go nie budzić.

– On i tak już nie przywróci mu życia – stwierdziła Janey, drobna, energiczna kobieta, która pod pewnymi względami przypominała Lizzie. Obie miały podobną przeszłość – może z wyjątkiem tego, że Janey kiedyś całkowicie porzuciła myśl o uczciwym życiu.

Nie spał za to Tom Winslow. Wprawdzie po wizycie w szpitalu znów się upił do nieprzytomności, ale rankiem zjawił się w swoim sklepie. Oczywiście napad na Chrisa ciągle był głównym tematem rozmów w mieście. Winslow odetchnął, dowiedziawszy się, że chłopak żył – i natychmiast utopił swą ulgę w kilku drinkach. Około południa zdołał sobie wmówić, że Chris nie może umrzeć. Wszystko będzie dobrze, tak jak przedtem. Z pewnością chłopak nie będzie pamiętał, kto go pobił. Możliwe nawet, że Coltrane zdobędzie dużo pieniędzy, idąc za tą Lizzie. Winslow wypił jeszcze jedną whiskey i postanowił pójść coś zjeść do Barbary. Może będzie mógł potem jeszcze raz odwiedzić Chrisa. Zataczając się, ruszył w stronę herbaciarni.

Peter pomagał właśnie kościelnemu ustawić podest pod trumnę Chrisa Timlocka, kiedy do kościelnego namiotu wpadł chłopiec – był jak oszalały i z początku nie mógł wydobyć z siebie słowa. Peter rozpoznał w nim gońca z banku.

– Wielebny... wielebny... Miss Barbara mnie przysyła... z herbaciarni. Musicie... musicie zaraz przyjść, tam... tam jeden człowiek chce się zabić!

Peter zmarszczył czoło.

– Zaraz, zaraz, Robbie, jeszcze raz: jeden z klientów Barbary chce się zastrzelić?

– Nie zastrzelić, wielebny, tylko zakłuć, on ma nóż i... chce z panem mówić, wielebny, szybko!

Już po raz drugi tego dnia wielebny opuścił swój kościół biegiem. Nie miał daleko, herbaciarnia Barbary znajdowała się tuż koło szpitala. Biegając obok, zauważył, że koń Michaela ciągle stał przed namiotami. Po jego właścicielu nadal nie było śladu.

Barbara i kilkoro jej gości stali przed drzwiami drewnianej chaty – wszyscy przerażeni w najwyższym stopniu.

– Tam, w środku, wielebny, Tom Winslow! I krzyczy coś o winie, morderstwie i piekle!

Tom Winslow zabarykadował się w kącie lokalu. Miał na sobie rozerwaną koszulę i przyciskał ostrze swego myśliwskiego noża do piersi. Gdyby uderzył, nóż trafiłby prosto w serce. Doktor Wilmers, lekarz, stał w pewnej odległości i mówił uspokajającym tonem:

– Bez względu na to, co pan zrobił, Tom, musi pan to wyznać i poddać się karze. Wbijanie sobie noża w serce nie jest żadnym rozwiązaniem. Powinien pan...

W tym momencie do herbaciarni wszedł Peter Burton.

– Wielebny! – zaczął Tom Winslow na jego widok. – Wielebny Peter, musicie... musicie... moje grzechy... ja tego nie chciałem... Ja jestem mordercą, wielebny, Jezu kochany, odpuść mi moją winę... ja... nawet, jeśli tego nie chciałem, ja...

Peter spróbował podejść bliżej, ale mężczyzna natychmiast przycisnął mocniej nóż, a na skórze pojawiło się kilka kropel krwi. Doktor Wilmers spojrzał na Petera bezradnie.

– Tom, najpierw musicie spokojnie wszystko opowiedzieć – powiedział Peter, starając się, aby w jego głosie była siła i spokój. – Może nie będzie tak źle, Bóg przebacza wszystkim, a już zwłaszcza jeśli nie popełniście tego grzechu umyślnie.

– Tak, umyślnie! – oświadczył Tom, teraz już płacząc. Najwyraźniej był w dodatku pijany. – My... my chcieliśmy się dowiedzieć, skąd on miał to złoto.

Zaalarmowany Peter wyprostował się.

– Kto, jakie złoto, skąd? Mówicie o Chrisie Timlocku, Tom? Braliście udział w napadzie?

– Ja go trzymałem – szlochał Tom. – I najpierw myślałem... myślałem, że to będzie tylko kilka policzków, żadne zabijanie... A on mógł nam po prostu wszystko powiedzieć...

– Ale on tego nie zrobił? – spytał Peter. – Nie chciał powiedzieć?

– Chciał już – zaskomlał Tom. – Potem, jak on go tak stłukł... on powiedziałby wszystko. Ale chyba nie wiedział... Musicie mi uwierzyć, wielebny, jak zobaczyłem, że on nic nie wie, to powiedziałem Coltrane'owi, że ma przestać, ale...

– Coltrane? Ian Coltrane? Handlarz końmi?

Tom skinął głową.

– Ale on nie przestał, on mówił, że Timlock wie na pewno, ale Timlock... w końcu powiedział, że kobieta wie. Że kobieta znalazła to złoto.

– Lizzie! – Peter wymienił spojrzenie z lekarzem. Ostatnie słowa Chrisa zaczynały mieć sens.

– A powiedział, gdzie ona to znalazła? I gdzie ona jest?

Tom potrząsnął głową.

– Nie... On nic nie wiedział, tak myślę. Ale Coltrane... on zaraz chciał jechać do Drury'ego, jechać za nimi, kiedy będą znów szli w to miejsce. Żeby potem wytyczyć działkę czy coś...

Peter poczuł, że nagle robi mu się zimno. Ogarnęło go przerażenie. Może Coltrane knuł coś jeszcze innego. Może ograniczyłby się do wyśledzenia miejsca, skąd pochodziło złoto, gdyby z Lizzie był Michael. Ale teraz... Lizzie płucze złoto, tak powiedział Michael. I że poszła tam najpierw, a on miał ją dogonić. A Coltrane...

– Tom, musicie to najpierw opowiedzieć oficerowi policji. Na pewno znajdą się okoliczności łagodzące, na pewno!

Tom Winslow potrząsnął głową jak oszalały.

– Nie chcę okoliczności łagodzących – odpowiedział krótko. – Nie chcę do więzienia. Nie chcę znowu do więzienia. Przebaczone mi, proszę, wielebny. Zróbcie coś, żeby Bóg mi przebaczył!

Tom Winslow raz jeszcze odetchnął głęboko, po czym, trzymając nóż przy piersi, upadł na podłogę. Doktor Wilmers podbiegł natychmiast, ale było za późno. Peter zmówił krótką modlitwę, a lekarz zamknął oczy zmarłemu, po czym natychmiast zwrócił się do wielebnego.

– Jeszcze raz – powiedział. – Zastanówmy się jeszcze raz. Jak powiedział Chris Timlock, gdzie jest ta Lizzie? On to wiedział, ale nie zdradził tego tym typom.

– Trójkąt... – rzekł Peter – ...od jego domu do strumyka i maoryskiej wioski...

Lekarz potrząsnął głową.

– To nadal niewiele nam daje. Ale mówił, że na zachód, z jego domu na zachód.

Peter skinął głową.

– A potem wzdłuż strumienia. Dokładnie... Gdzie jest Michael? Gdzie, do cholery, jest Michael Drury!? Niech pan się tu zajmie wszystkim, doktorze! Muszę znaleźć Michaela i Lizzie...

Peter, rozmyślając gorączkowo, wybiegł na ulicę. Coltrane był niebezpiecznym człowiekiem i Peter wiedział o tym nie od chwili zamordowania Chrisa Timlocka. Już reakcja Kathleen na jego widok świadczyła o tym aż nadto dobitnie. Kathleen niemal umierała ze strachu na widok Iana Coltrane'a – i to po tylu latach! A teraz ten typ tropił Lizzie, która najwyraźniej chciała zachować w tajemnicy spektakularne znalezisko. Może była jedyną osobą, która знаła to miejsce! Jeśli Coltrane się jej pozbędzie... Nie było przeciwko niemu żadnych dowodów. Zeznanie Winslowa



mogło uchodzić za bełkotanie pijaka – a może Coltrane planował już nie wracać do Tuapeka. Choć Colin pojawił się tego ranka w szkole. On przynajmniej nie jechał w góry śladami Lizzie.

Peter obejrzał siwka stojącego przed namiotem szpitalnym. Wspaniały, z pewnością bardzo szybki koń, Peter podziwiał go już dawniej. Ale bez jeźdźca do niczego się nie przyda. Chyba że...

Peter wpadł do namiotu szpitalnego.

– Mrs Jordan! – zawołał do żony kramarza, która cały czas pełniła tam swoją służbę. – Czy Michael Drury się pojawił?

Nie dał kobiecie dojść do słowa, widząc, że potrząsnęła głową.

– Mrs Jordan, jeśli on tu przyjdzie, proszę mu powiedzieć, że wziąłem jego siwka. Muszę znaleźć Lizzie Portland, tu chodzi o życie i śmierć. Niech on osiodła mojego konia i jedzie za mną. Zrozumiała pani?

Drobna, okrągła kobieta zrobiła najpierw wielkie oczy ze zdumienia, a potem przytaknęła. Nie była głupia, na pewno to przekaze. A jeśli nie, na miejscu był doktor Wilmers. Peter postanowił nie zawracać sobie tym głowy. Odwiązał siwka i za chwilę kłusował w stronę gór.

## ROZDZIAŁ 10

Ian Coltrane nie mógł uwierzyć w swoje szczęście, kiedy zobaczył, że następnego dnia po napadzie Michael popędził w dół do wsi, Lizzie zaś wyruszyła sama w góry, w kierunku zachodnim. Pójście w jej ślady było zadaniem dziecinnie łatwym, wręcz nudnym. Lizzie się nie śpieszyła, szła denerwująco powoli. Młoda kobieta dreptała koło konia, trzymając go za uzdę i przemawiając do niego. Od czasu do czasu pozwalała mu się paść. Około południa zaczęła się oglądać za siebie i nasłuchiwać, co Iana z początku denerwowało. Ale potem zauważył, że nie chodziło o niego. Lizzie najwyraźniej czekała na to, aby Michael Drury ją dogonił. Po krótkim namyśle Coltrane doszedł do wniosku, że było to jak najbardziej możliwe. Wprawdzie śmierć Chrisa Timlocka mogła go z pewnością zatrzymać, ale potem na pewno zdecydował się dogonić swoją partnerkę w górach. Tym bardziej że mógł nie ufać Chrisowi i podejrzewać, że ten przed śmiercią coś powiedział. Ian miał nadzieję, że przynajmniej ten pijak Winslow będzie trzymał gębę na kłódkę, ale w gruncie rzeczy wierzył w jego instynkt samozachowawczy. I w jego nałóg – w więzieniu nie było whiskey. Winslow nie zaryzykowałby tego.

Ian, od kiedy zaczął podejrzewać, że Michael będzie jechał za Lizzie, był jeszcze ostrożniejszy. Ale wraz z upływem czasu się uspokoił. Gdyby Michael rzeczywiście jechał za nim konno, to już dogoniłby Lizzie, jego siwek był rzeczywiście szybki. Ale prawdopodobnie z jakichś powodów nie mógł jeszcze tego dnia wrócić w góry. I bez wątpienia w sprawie Chrisa Timlocka ściągnięto policję z Dunedin, a w przypadku morderstwa wśród poszukiwaczy złota partner ofiary był zawsze na pierwszym miejscu listy podejrzanych. Oficer zapewne przesłuchiwał Michaela, a przy odrobinie szczęścia mógł go nawet zamknąć w areszcie na jedną noc. Możliwe też, że był poszukiwany.

Coltrane nie martwił się już więc tak bardzo, kiedy Lizzie krótko przed zmrokiem dotarła do strumyka i tam rozbiła obóz. Myślał nawet, czy nie napaść jej już teraz i nie zmusić do wydania celu podróży, ale po co miałby sobie zakłócać spokój tej nocy? Oczywiście zamierzał potem zabawić się trochę z dziewczyną za darmo, ale na to był czas jutro. Musiał tylko bardzo uważać, aby zdobycz nie wymknęła mu się z rąk. Coltrane chciał teraz tylko spać.

Tę sprawę Ian przesunął więc na następny dzień. Lizzie ciągle była ładna, a po odpowiednim potraktowaniu będzie także chętna – a kiedy on zdobędzie złoto i z nią skończy, nie będzie musiał być dla niej miły. Będzie nawet lepiej, kiedy ona zniknie. Potem pozostanie już tylko sprawa z Michaeliem, a tamten musiałby mu

najpierw udowodnić, że okradł działkę Lizzie.

Ian przywiązał swojego muła kilkaset jardów poniżej obozu Lizzie i miał nadzieję, że nie będzie potrafiła rozróżniać nocnych dźwięków. Dodatkowo spętał mulicy przednie nogi, ale ona oczywiście i tak będzie przestępować z jednej nogi na drugą. Na szczęście koń Lizzie też to robił – i jak się okazało, bukowy las, w którym się znajdowali, był pełen ptactwa prowadzącego nocny tryb życia. Te bestie nie pozwalały dosłownie zmrużyć oka, ale jednocześnie stanowiły znakomity kamuflaż.

Lizzie niczego nie podejrzewała, kiedy następnego ranka wstała, umyła się w potoku i upiekła na ogniu placki na śniadanie. Poprzedniego wieczoru nałapała też ryb. Ian pomyślał, że była w tym rzeczywiście dobra, i zastanawiał się, skąd Michael wystraszał taką dziewczynę.

Lizzie zaś wyraźnie się ociągała. Słońce było naprawdę wysoko, kiedy wreszcie zwinęła obóz i ruszyła dalej. Sprawiała wrażenie trochę zaniepokojonej, bo Michael powinien był ją już dawno dogonić.

Ian jechał więc za młodą kobietą dalej w górę potoku, aż dotarli do osobliwej formacji skalnej, która wyglądała trochę jak kamienne igły wznoszące się ku niebu. Z tyłu potok wpadał do doliny, tworząc mały wodospad. Lizzie wydawała się rozpoznawać okolicę. Ian z rosnącym napięciem obserwował, że rozbiła namiot u stóp skał i puściła konia, aby się pasł. Porządnie oparła o skałę szufłę, łopatę oraz motykę, po czym wygrzebała więcierz, za pomocą którego poprzedniego dnia łapała ryby.

Ta kobieta miała nerwy! Ian z trudem się opanował, aby się na nią teraz nie rzucić i nie zmusić jej do wyśpiwania tajemnicy. Jednak zmusił się do spokoju. Lizzie nałapała tyle ryb, aby starczyło dla dwojga – a więc miała nadzieję, że Michael pojawi się przynajmniej na obiad. Coraz uważniej wsłuchiwała się w tętent końskich kopyt, ale była zbyt blisko wodospadu, aby usłyszeć coś poza głośnym szumem wody. Rozpaliła więc ogień i upiekła swoją zdobycz – Ian gryzł skórkę od chleba, podczas kiedy ślinka ciekła mu do ust. A potem wzięła miskę do płukania złota. Wreszcie zaczęło się coś dziać. Ian obserwował, jak wspinała się po skarpie. Czyli złotonośne pole musiało się znajdować powyżej wodospadu. Zrobił więc łuk, aby móc ją tam zobaczyć, i obserwował z bezpiecznej odległości, jak zdjęła pończochy, weszła do potoku i zaczęła grzebać rękami w jego łożysku. I zaraz potem zaczęła płukać złoto.

Ian nawet z tej odległości zobaczył, że po pierwszej próbie w misce zaczęło coś błyszczeć! Był więc najwyższy czas. Zakradł się bezszelestnie na brzeg potoku, choć Lizzie i tak nie usłyszałyby go. Przeraziła się dopiero wtedy, kiedy był tuż za nią, chwycił ją i położył jej rękę na ustach.

– Dziękuję bardzo, Miss Lizzie! To naprawdę bardzo miłe z pani strony, że zaprowadziła mnie pani w to miejsce.

Peter Burton pochodził z zamożnej rodziny w Lancashire w Anglii. Już jako dziecko miał małego kucyka, a jako młody mężczyzna zyskał sławę, biorąc udział w gonitwach myśliwskich i w biegach konnych z przeszkodami. Teraz zdobyte doświadczenie procentowało. Silny, długonogi siwek Michaela pędził jak wiatr – najpierw zgodnie z końskim zwyczajem w stronę domu, ale potem dalej na zachód. Szaleńczy galop wręcz cieszył zwierzę, Michael zapewne nigdy nie pozwalał mu pędzić bez cugli na przelaj. Peter także czerpałby z tego przyjemność, gdyby nie niepokój o Lizzie, co kazało mu jeszcze bardziej popędzać siwka. Im dłużej był w drodze, tym większe ogarniały go wątpliwości. Czy dobrze zrobił, zostawiając wszystko, zabierając bez pytania konia Michaela i zdając się na nader niejasny opis drogi, jaki usłyszał od umierającego? Być może należało zaczekać na Michaela – albo wręcz wysłać całą grupę poszukiwawczą. Wielebny nie miał nawet broni palnej, musiałby liczyć na efekt zaskoczenia i własne pięści, gdyby przyszło mu stanąć naprzeciw Coltrane’a. A ponieważ dane mu było widzieć, co potrafi zrobić Coltrane, używając swoich pięści, myśl o walce z nim nie była przyjemna! Coltrane był co najmniej tak wysoki jak Peter, ale na pewno cięższy. Mimo to instynkt podpowiadał Peterowi, że nie mógł postąpić inaczej. Jeśli nie znajdzie szybko Coltrane’a, Lizzie może nie przeżyć tego dnia!

Przez głowę Petera przemykało tysiące pytań. Oby tylko ta droga była właściwa... Oby nie zabłądził! Po dwóch godzinach jazdy na przemian kłusem i galopem siwek zwolnił i Peter ku swej uldze dotarł do jakiegoś miejsca obozowania. Najwyraźniej nikt tu nie palił ogniska, ale wokół drzewa ziemia była zdeptana końskimi kopytami – przywiązano tu konia na noc. Peter pojechał powoli dalej i wkrótce natknął się na kolejne obozowisko, o wiele mniej wyraźne; jedynie miejsce, gdzie pasł się głodny koń, świadczyło o pobycie jeźdźca. Te odkrycia dodały Peterowi odwagi. Wszystko wskazywało na to, że był na właściwym tropie – podobnie jak Coltrane!

Wielebny popędził konia i siwek dzielnie pokłusował dalej na zachód. Pora obiadu dawno minęła, ale Peter był zbyt podekscytowany, aby odczuwać głód. Jeśli dobrze potrafił ocenić prędkość swojego konia, musiał już pokonać około dwudziestu mil od chwili, kiedy minął dom Drury’ego. I oto dotarł do potoku! Serce Petera biło szybko, kiedy znów odkrył ślady obozowiska. Bardzo porządnie zatarte – mogliby to być Maorysi, którzy tu nocowali i palili ognisko. Drugiego obozu Peter tym razem nie znalazł, ale z pewnością był na właściwej drodze. A więc dalej w górę potoku. Teraz Peter nieco powstrzymał siwka. Koń kłusował rażno. Ian nie powinien był go zobaczyć.

Lizzie próbowała ugryźć rękę zatykającą jej usta, ale uchwyt napastnika był wprost żelazny – w dodatku mężczyzna trzymał ją za ramiona z tyłu. Miska do płukania złota wyleciała jej z rąk do wody, kiedy stali w korycie potoku. Coltrane popatrzył na

nią z żalem.

– Ach, szkoda tego złota, prawda, Lizzie? Ale potem będę mógł sobie trochę wypłukać. A najpierw sobie trochę porozmawiamy, co, mała? Na przykład o tym, jak to znalazłaś! Rzeczywiście dotarłaś tu sama, czy też twój Michael również ma w tym udział?

Ian cofnął rękę z ust Lizzie, szybkim ruchem chwycił ją za ramiona i pociągnął ją do tyłu. Lizzie zaczęła krzyczeć, ale umilkła, kiedy on uderzył jej głową o pień buka, który rósł nad brzegiem strumienia. Lekko, ale skóra na jej skroni pękła i z rany trysnęła krew. Coltrane szybko związał jej ręce na plecach, po czym rzucił ją w trawę.

– No, mała, teraz możemy pogadać, ale nie wrzeszcz, bo będę ci musiał założyć knebel.

– Michael mnie znajdzie! – wybuchnęła. – I Chris. W każdej chwili mogą tu być!

Przez chwilę walczyła z więzami, ale było to raczej beznadziejne. Ten mężczyzna był silny jak niedźwiedź. A okrutny błysk w jego czarnych oczach nie wróżył nic dobrego.

Coltrane się roześmiał.

– Twój Chris może jedynie przyglądać się nam z nieba – zakpił – a twój Michael ma co innego do roboty. No, Miss Lizzie, powiedz, sama znalazłaś tę działkę?

Lizzie wstała na ziemi. Starła się sprawić wrażenie, że próbuje się uwolnić, ale przede wszystkim rozmyślała gorączkowo. Czy miała mu powiedzieć o Maorysach? A może przez to narazi szczerp na niebezpieczeństwo? Przekląła własną niecierpliwość. Czy nie mogła poczekać na Michaela i przyjechać tu razem z nim, i najpierw przedstawić go maoryskim przyjacielom? Ngai Tahu byli towarzyscy, może kilkoro ich dziewcząt i chłopców przyszłoby z nimi nad potok płukać złoto. Ale nie, ona musiała iść sama. Pewnie, że gdyby miała szczęście, Ian mógł zwrócić na siebie uwagę kilku maoryskich myśliwych, kiedy tu się przekradał. Ale to uważała za nieprawdopodobne, myśliwi, gdyby ich zauważyli, już dawno zaczepiliby ich.

– Sama to znalazłam – odpowiedziała hardo.

Coltrane skinął głową zadowolony i odgarnął sobie czarne włosy ze spoconej twarzy.

– Bardzo pięknie. Ale bez wątpienia zechcesz się ze mną podzielić.

Lizzie nie odpowiedziała. To wszystko stało się za szybko, musiała najpierw odnaleźć się w sytuacji. Chris... nie żył? Dobry Boże, jeśli tego typu nie przerażała myśl o morderstwie po to tylko, żeby zdobyć jakąś informację – to co będzie gotów zrobić, aby mieć tę działkę tylko dla siebie?

Lizzie zmusiła się do uśmiechu.

– Jeśli powiesz mi swoje imię – zaszczebotała – to kto wie, może rzeczywiście chętnie się z tobą podzielię!

Coltrane zaśmiał się głośno.

– No, teraz podobasz mi się o wiele bardziej, słodziutka. Nawet jeśli nie wierzę w ani jedno twoje słowo. Ale dobrze: nazywam się Ian Coltrane. A od ciebie życzę sobie w podarunku – jak po nocy poślubnej – właśnie tej działki.

Po tych słowach podniósł ją jednym ruchem i przycisnął do pnia buka, chcąc ją pocałować. Lizzie rozpaczliwie odwróciła głowę w bok.

– To może poszlibyśmy do mojego obozu? – spytała najbardziej kusicielskim głosem, na jaki potrafiła się w tej sytuacji zdobyć. – Ja... upiekłam ryby...

Przede wszystkim w jej rzeczach znajdowała się broń Michaela. Choć co prawda nie wiedziała, jak się z niej strzela.

– Twoich ryb spróbuję potem – oświadczył Coltrane. – Najpierw kilka buziaków, Lizzie!

Szukał językiem drogi do jej ust. W tym momencie Lizzie przemknęła przez głowę myśl jak błyskawica – wiedziała już, gdzie słyszała nazwisko Coltrane. To był ten człowiek ze wsi Michaela! Który ożenił się z Kathleen. I możliwe, że ją także zamordował. Lizzie niemal rozbawiła teraz taka ironia losu. Czy Michael miał stracić drugą kobietę z rąk tego gnoja? Nie miała już żadnych złudzeń co do swojej przyszłości. Coltrane nie daruje jej życia, zamorduje ją i zażąda praw do działki. A potem tłumy poszukiwaczy zaleją kraj Ngai Tahu, a tego właśnie oni chcieli za wszelką cenę uniknąć. Lizzie umrze, w dodatku jako zdrajczyni. Maorysi nigdy się nie dowiedzą, że nie sprzedała praw ani też ich nikomu nie podarowała. I prędzej czy później dojdzie tu do wojny, o której mówił Kahu Heke. Na którą liczył. A wszystko tylko dlatego, że ona popełniła błąd.

Rozpacz Lizzie skłoniła ją do szaleńczej odwagi. A Coltrane gwałtownie podciągnął jej suknię, rozchylił uda i brutalnie w nią wszedł. Było to poniżające i bolesne, ale Lizzie przeżyła gorsze rzeczy. Musiała się bronić, a nie ze szlochem próbować się kulić. Udawała, że powtarza ruchy Coltrane'a, trąc przy okazji nadgarstkami o pień drzewa. Więzy nie były aż tak mocno związane, uwolnienie się musiało być możliwe. Nagle poczuła, że się rozluźniły, dokładnie w momencie, kiedy Ian, stękając i wiotczając, osunął się na nią.

Rozmyślała gorączkowo. Wiedziała, że nie pokona tego mężczyzny, nawet jeśli się uwolni. Popatrzyła za miską do płukania złota – leżała w potoku. Jej nóż był na dole w obozie.

Ian powoli przyszedł do siebie i się wyprostował.

– To było całkiem niezłe, mała, możemy jeszcze raz powtórzyć, zanim... Ale mamy czas, prawda, Miss Lizzie?

Lizzie próbowała dalej grać swą rolę.

– Ja... mam dużo czasu, sir. Ja... jeśli mnie tylko nie zamordujecie, to... mogę wam sporo pokazać, sir. Chodźmy do namiotu.

Ian uśmiechnął się szeroko. Nie zamierzał dać się nabrać na różne sztuczki. Lizzie

trzymała ręce z tyłu, ale instynktownie spróbowała wygładzić spódnicę, kiedy Ian pociągnął ją za sobą.

– Myślę, że pójdziemy kawałek do lasu, Lizzie. Co o tym myślisz?

Lizzie niemal nie ważyła się oddychać, kiedy macając kieszeń sukni, natrafiła na coś twardego. Kamień? Wszystko jedno co, ale na pewno będzie lepsze niż jej pięść. I nagle sobie przypomniała. Miniaturowa maczuga z jadeitu. Prezent *tohunga*, wyrzeźbiona specjalnie dla rąk wojowniczkii. Potykając się, szła wleczona przez Iana w kierunku wodospadu. Czy on chciał zejść po zboczu, czy też zamierzał ją zrzucić? Mało prawdopodobne, żeby skręciła sobie tu kark, staw poniżej wodospadu był na tyle głęboki, że można było w nim pływać. Lizzie poczuła w tej sekundzie przyływ nadziei, ale nagle zrozumiała, że Ianowi chciało się po prostu pić. Ukląkł i zaczerpnął ręką wody ze strumienia. Związana kobieta obok niego nie była godna jego uwagi. Bo co mogła zrobić? Drobną Lizzie nie byłaby w stanie zepchnąć go w dół, nawet gdyby rzuciła się na niego całym ciałem.

Ale Lizzie miała maczugę wojenną. I przez materiał sukni czuła jej siłę. Co powiedziała kapłanka? Maczuga była przeznaczona do tego, aby bronić szczepu. Szczepu Ngai Tahu i jego krainy. I dokładnie w tym celu użyje jej teraz Lizzie. Ostrożnie wyciągnęła prawą rękę z więzów, sięgnęła do kieszeni i poczuła gładką, chłodną powierzchnię twardego jak skała jadeitu. Wydawało jej się, że ta broń stanowiła przedłużenie jej ręki. I siłę jej pięści.

Ian podniósł głowę i patrzył ponad wodospadem w dolinę. Nagle znieruchomiał, jak gdyby coś dostrzegł.

Michael? Nieważne, Lizzie już powzięła postanowienie. Wyciągnęła maczugę, celując prosto w skroń Coltrane'a, i uderzyła.

Peter Burton dostrzegł skalne iglice już z daleka – a także konia Lizzie obok jej namiotu i miejsca na ognisko. Kasztan zarżał, kiedy zauważył siwka, ale Peter wychodził z założenia, że hałas wodospadu zagłuszał każdy dźwięk. A potem zobaczył dwie postacie powyżej wodospadu. Mężczyzna, który ciągnął za sobą dziewczynę. Ale dziewczyna nie sprawiała wrażenia pobitej, lecz raczej czujnej, pełnej napięcia. A potem ukląkł, aby napić się wody, a kobieta...

Peter zobaczył, że Lizzie powoli podniosła prawe ramię i zrobiła zamach. Peter znał ten ruch, widział go wielokrotnie u maoryskich dziewcząt, które tańczyły *haka*, taniec wojenny. Peter Burton wraz z innymi kapłanami bywał w gościnie w *marae* Ngai Tahu, zanim opuścił Christchurch, i dobrze pamiętał to rytualne pozdrowienie, które zawierało także groźbę. Maorysi witali gości z radością, ale jednocześnie demonstrowali im, jak dobrze potrafią się bronić, jeśli ci nie okażą się godni ich gościny. Mężczyźni mieli włócznie, a kobiety małe maczugi z jadeitu. I miotały nimi płynnie, niemal elegancko i pewnie – tak jak ta kobieta na skarpie.

Peter wstrzymał oddech. Nie słyszał uderzenia maczugi, ale widział spadającego mężczyznę – jak gdyby trafiła go siekiera. I widział, jak kobieta się podniosła, i wydawało mu się, że słyszy jej krzyk. Czy to się nazywało *karanga*? Okrzyk kapłanki, która zaklinała bogów? Peter nie mógł wprost uwierzyć, że usłyszał ten okrzyk tutaj, w tym miejscu, i że wydobył się on z ust wprawdzie odważnej, ale łagodnej i gorliwej chrześcijanki Lizzie Portland!

Wtedy właśnie Lizzie dostrzegła siwka i zaczęła zbiegać ze skarpy w dół.

– Michael! O mój Boże, Michael!

Peter ją chwycił.

– Wielebny? – w głosie Lizzie słychać było dziecinne zdziwienie, ale nagle w jej oczach pojawił się strach, a twarz się wykrzywiła.

– Czy Michael... czy coś się stało? Mój Boże, on powiedział, że Chris nie żyje. Ale Michael... Tego bogowie nie mogą chcieć!

Lizzie zachwiała się nagle, a Peter podtrzymał ją i łagodnie potrząsnął głową.

– Nie, Lizzie, choć kręte drogi Boga czasem trudno zrozumieć. Ale Michael Drury żyje. Jest zapewne w drodze tutaj. A teraz proszę, opowiedz mi, co się stało. Dlaczego zabiła pani Iana Coltrane’a?

Lizzie z trudem, bardzo powoli zaczęła rozumieć, co chciał powiedzieć wielebny. I co się w ogóle stało.

– Ja? – wyszeptała jak w transie. – Ja... jakoś... to nie byłam ja. To jakby była Ingoa i Aputa, i wszystkie kobiety z ich szczepu. Z mojego szczepu...

Odetchnęła głęboko. Powoli wracała do rzeczywistości – upewniła się, co widział wielebny. Nie był świadkiem napadu i gwałtu. Widział tylko, jak kobieta z tyłu uderzyła z całej siły w czaszkę.

– Posłuchajcie, wielebny, to była obrona konieczna. On... on mnie zmusił... – Wreszcie poczuła na policzkach łzy, na które dotychczas nie mogła sobie pozwolić. – Nie wolno wam nikomu mówić o tym miejscu i złocie.

Kiedy Michael dwie godziny później, niemal oszalały z lęku, przyjechał do obozu poniżej wodospadu, Lizzie wraz z wielebnym siedzieli przy ognisku. Zwłoki Coltrane’a były przykryte plandeką.

Lizzie rzuciła się w stronę ukochanego. Dopiero teraz uwierzyła, że on żył, a Michael odczuwał to podobnie. Oboje obejmowali się niemal z rozpaczą, a Lizzie, na przemian płacząc i śmiejąc się, opowiadała swoją historię.

Peter Burton przeprosił za „kradzież” siwka.

– Chciałem jechać na pomoc pańskiej żonie – stwierdził. – Ale ona obroniła się sama. – Popatrzył na Lizzie z uznaniem.

Michael skinął głową.

– Zawsze była bardzo wojowniczą lady – powiedział tkliwie. – Mimo to dziękuję panu, wielebny. Jeśli chodzi o siwka, to nie ma o czym mówić. Ale co zrobimy teraz



z tym? – Wskazał na zwłoki Coltrane'a.

Peter Burton w myślach szybko rozważył kilka możliwości.

– Proszę pomóc mi go wciągnąć na konia – powiedział zrezygnowany. – Dziś nocą zawieziemy go na klify nad Ściekiem Gabriela i zrzucimy w dół. Można to będzie uznać za wypadek – albo za zamiar osądzenia samego siebie. Winslow obciążył go publicznie winą za morderstwo Chrisa Timlocka. Trudno będzie dojść przyczyny śmierci. Pańska żona nie dozna uszczerbku – i nikt się nie dowie o tym miejscu i o złocie.

Milczeli wszyscy troje, zjeżdżając w dół. Michael prowadził konia ze zwłokami zabitego.

– Dlaczego nam pomagacie? – spytał wielebnego, kiedy Lizzie została z tyłu, a oni jechali obok siebie. – Lizzie mówi, że nie macie żadnego dowodu na to, że on jej groził.

Peter Burton wzruszył ramionami i pomyślał raz jeszcze o scenie powyżej wodospadu. O tanecznym ruchu Lizzie, o jej okrzyku...

– Widziałem coś osobliwego – powiedział cicho. – Coś, co właściwie nie mogło mieć miejsca. Powiedzmy, że... wypełniam wolę bogów.

**WOLA BOGÓW**

**TUAPEKA, DUNEDIN**

**1862–1863**

# ROZDZIAŁ 1

Po spotkaniu Iana Coltrane'a Kathleen pędziła drogą do Dunedin jak oszalała. Dopiero kiedy na jednym z zakrętów konie zaczęły się potykać, a powóz niebezpiecznie przechylił się na jedną stronę, trochę się opanowała i powściągnęła swoją panikę przynajmniej aż do tej chwili, kiedy dotarła do swego mieszkania. Kiedy Claire przyszła do domu ze sklepu, zastała ją przy pakowaniu rzeczy. Kathleen chaotycznie i beładnie wrzucała ubrania do kufrów i toreb. Na widok Claire zaczęła histerycznie szlochać.

– On tu jest... Ian przyjechał. Muszę wyjechać, muszę stąd szybko uciekać!

Claire potrzebowała wielu godzin, aby choć trochę uspokoić Kathleen, a przede wszystkim powstrzymać ją przed paniczną ucieczką.

– Kathleen, ja nie wątpię w to, że go widziałas. Ale on jest na górze, w Tuapeka. To dwadzieścia mil stąd! A gdyby nawet przyjechał do Dunedin, to gwarantuję ci, że nie trafi przypadkiem akurat do sklepu z damską modą. Nawet ja bym cię tu nie znalazła, bo przecież prawie wcale się nie pokazujesz! A jeśli się pojawi w moim pobliżu, to będzie miał do czynienia z Jimmym Dunloem! A co w ogóle mówi na ten temat wielebny?

Claire potrząsnęła głową, kiedy Kathleen opowiedziała jej chaotycznie o swojej ucieczce.

– Peter ma cię chyba za wariatkę – skonstatowała. – Powinnaś była przynajmniej z nim porozmawiać.

Kathleen tymczasem przestała pakować i siedziała skulona w rogu sofy.

– Nie chcę z nikim mówić! – rozplakała się. – Nie wiem, czy jest słuszne, abym tu została. Co będzie, kiedy on zobaczy Seana? A Heather? Ale jeśli... jeśli stąd nie wyjadę, to... to nie chcę nikogo widzieć ani z nikim mówić. Ja... chcę być niewidzialna, Claire. Ja...

– Ona wpadła w histerię i jest nieprzytomna ze strachu – mówiła Claire do Petera Burtona.

Dwa dni po zejściu z Coltrane'em Peter zdołał znaleźć tyle wolnego czasu, aby móc pojechać do Dunedin. Claire przyjęła go w sklepie i podała mu herbatę z ciastkami. Kathleen zabarykadowała się w mieszkaniu.

– A do tego wszystkiego ona boi się nie tylko o siebie, lecz także o pana, wielebny – mówiła dalej Claire. – W każdym razie do obozu poszukiwaczy złota nigdy nie wróci, w ogóle nie chce, aby ją pan odwiedzał ani by ją ktokolwiek z panem widział. Jest

przerazona, bo ludzie w obozie ją znają i wiedzą, jak się nazywa.

– Ale tylko nieliczni! – uspokajał wielebny. – Kilka kobiet, lekarz, paru najbliższych pracowników z gminy. I nawet oni nazywali ją „Miss Kathie”. Prawdopodobieństwo, że ktoś wspomni o niej w obecności Coltrane’a, jest minimalne.

– Dla Kathie mimo wszystko jest to nie do zniesienia – stwierdziła Claire. – Gdyby pan ją widział przedtem, jeszcze zanim Sean i Heather wreszcie dotarli do domu! Bała się wprost śmiertelnie, że dzieci mogłyby się natknąć na Coltrane’a.

Peter skinął głową.

– Ona już w obozie była wystraszona. A on, wbrew temu wszystkiemu, wydaje się całkiem w porządku przynajmniej jako ojciec. Jego młodszy syn wprost go uwielbia.

– On też jest... – Claire urwała. Musiałaby opowiedzieć wielebnemu znacznie więcej o stosunkach panujących w rodzinie Kathie. – On jest podobny do niego – zakończyła. – Proszę dać jej trochę czasu, Peter. Ona musi się najpierw uporać z tym szokiem.

Peter Burton potarł skronie zmęczonym gestem.

– A ja już myślałem, że wreszcie będziemy sobie bliżsi – poskarżył się. – Że ona będzie bardziej przystępna, wreszcie pełna życia... – Sięgnął po swoją filiżankę, zobaczył, że jest pusta, bezwiednie poruszył kilka razy łyżeczką.

Claire naląła mu herbaty i położyła na jego talerzyku kawałek ciasta.

– Proszę, niech pan coś zje, bo wkrótce będzie pan taki chudy jak Kathie. Pewnie straciła z pięć funtów od czasu spotkania z Coltrane’em. To ją po prostu wykańcza!

Peter posłusznie ugryzł kawałek ciasta. Także on sprawiał wrażenie mocno poruszonego. Miał mocno zaczerwienione oczy, powinien się ogolić, jego włosy także prosiły się o fryzjera. Claire postanowiła zaraz go tam wysłać, wątpiła jednak, czy to wpłynie w jakikolwiek sposób na postawę Kathleen w stosunku do niego.

– W każdym razie wie pan teraz, dlaczego przez te wszystkie lata była taka nieśmiała i pełna dystansu – mówiła dalej. – I nie ma to nic wspólnego z panem, Peter, nie wolno panu tak myśleć. Kathleen pana kocha, jestem tego pewna. Ale wobec tego miecza Damoklesa wiszącego nad jej głową, jak ona ma sobie poradzić?

Kathleen spędziła następne dni w całkowitym odosobnieniu, siedząc w swoim mieszkaniu. Trochę rysowała, ale nie odważyła się nawet odwiedzić szwaczek i skontrolować postępu ich prac. Jeśli któraś z nich miała jakieś pytanie do Kathleen, musiała do niej iść, aby stwierdzić, że szefowa ma drzwi mieszkania zamknięte na trzy zamki. Przez całe ferie prawie nie pozwalała wyjść na dwór Seanowi i Heather. Nie spuszczała z oczu zwłaszcza Seana. Heather, która z racji tego, że Coltrane był przeważnie w podróży, prawie nie pamiętała ojca, w ostatnich latach tak się zmieniła, że Ian zapewne nie rozpoznałby jej na pierwszy rzut oka. Przy dokładniejszym przyjrzeniu się każdy dostrzegł oczywście jej ogromne

podobieństwo do matki. Spanikowana Kathleen postanowiła mimo to, że jej córka ma nosić kapelusz z gęstą woalką, jeśli będzie chciała wyjść na ulicę, oraz upinała jej włosy, zamiast je zaplatać bądź zostawiać rozpuszczone. Heather patrzyła ze zdziwieniem na zmianę, jaka zaszła w matce, za to Sean był pełen zaskakującego zrozumienia. Był niezwykle dojrzały jak na swój wiek i należał do najlepszych uczniów nowo otwartej *high school* dla chłopców. Dobrze pamiętał ojca i brata, ale wiedział, że z ich osobami związane było niebezpieczeństwo. Mimo to dawał matce jasno i wyraźnie do zrozumienia, że nie zamierza się przez całe życie ukrywać.

– Nie ma w Nowej Zelandii rozwodów, *mom*? Musi być jakaś możliwość, żeby się go pozbyć, bez... bez rozwalania mu głowy.

Już nawet sama taka myśl była przyczyną kolejnej fali strachu Kathleen. Czy jej syn snuł plany morderstwa, aby ją wesprzeć?

Jej serce wprost rozszalało się ze strachu, kiedy dwa tygodnie po spotkaniu Iana ktoś zadzwonił do drzwi o niezwyklej porze. Było około dziewiątej rano, Sean i Heather byli już w szkole, ale sklepu jeszcze nie otwarto. Kathleen i Claire najpierw piły po śniadaniu herbatę, potem Claire zeszła do sklepu, aby zmienić w nim dekoracje. A szwaczki nigdy nie meldowały się przed dziesiątą.

Kathleen się zastanawiała, czy ma otworzyć, czy nie, i najpierw w pośpiechu poszukała pistoletu, o który na jej prośbę postarał się Jimmy Dunloe. Z Claire doszło na ten temat do wielu dyskusji – ona nie chciała mieć w domu broni. Ale w końcu zdanie Kathleen przeważało, także dlatego, że Mr Dunloe stanął po jej stronie.

– Claire, zrozum, Kathleen musi się poczuć choć trochę bezpieczniej. Nie wpłynie to dobrze na wasz interes, kiedy będzie siedziała w kącie pokoju z kocem naciągniętym na głowę.

Kathleen posiadała więc pistolet, a w weekend Dunloe poćwiczył z nią strzelanie. Teraz schowała broń do kieszeni sukni i uchyliła drzwi, zostawiając w nich jedynie wąską szparę. Za trzema łańcuchami zamków zobaczyła oficera policji w mundurze i zrobiło jej się głupio, ale natychmiast przeraziła się na myśl o tym, czego ten mężczyzna może od niej chcieć.

– Czy... mój syn...?

Młody sierżant popatrzył w jej przerażoną, kredowobladą twarz i ukłonił się uprzejmie.

– Dzień dobry, madame. Przykro mi, jeśli panią wystraszyłem. Z pewnością nie jest pani przyzwyczajona, żeby policja...

– Czy coś się stało z moim synem?! – krzyknęła Kathleen w panice.

Sierżant potrząsnął głową.

– O ile wiem, nie, madame. Mrs Kathleen Coltrane?

Kathleen złajała się w myślach za swą panikę i najpierw otworzyła drzwi.

– Proszę wybaczyć. Ja... ja...

– Jestem sierżant Jim Potter z policji w Dunedin i muszę panią prosić, aby towarzyszyła pani mnie lub któremuś z moich kolegów dziś lub najpóźniej jutro do Tuapeka.

Kathleen się zachwiała. Czy Ian mógł kazać policji sprowadzić ją do siebie?

– Chodzi o identyfikację zmarłego – dodał Potter.

Kathleen chwyciła się ramy drzwi, aby nie upaść.

– To... wielebny? Peter... Peter Burton?

Sierżant potrząsnął głową.

– Nie... nie, chodzi o jednego z poszukiwaczy złota. To... ale niechże pani usiądzie, Mrs Coltrane, wygląda pani na bardzo poruszoną. I wiadomość, którą mam dla pani, też z pewnością panią wstrząśnie. Może być... Jest bardzo prawdopodobne, że tym zmarłym jest pani małżonek.

Kathleen, poruszając się jak w transie, poprosiła oficera, aby poczekał, zanim zawiadomi Claire i przebierze się na podróż. Powiedziała, że zostanie w Tuapeka kilka dni, a Sean, jeśli chce, też może do niej przyjechać, ale byłoby lepiej, gdyby został w domu i zajął się siostrą. Kathleen rozważnie zapakowała do torby kilka ciemnych sukni, pomyślała też o pieniądzach i wszystkich dokumentach, które posiadała. Sprawiała wrażenie wręcz spokojnej, kiedy w końcu wyszła z sierżantem.

Claire najchętniej też towarzyszyłaby przyjaciółce. Jej nagły spokój wydał jej się tak samo niesamowity, jak poprzedzająca go histeria. Ale pomyślała, że na miejscu będzie Peter Burton. A wielebny był człowiekiem, na którego można było się zdać. I zanim pozwolił na to, aby ściągnięto Kathleen do Tuapeka w celu identyfikacji zwłok, na pewno dziesięć razy przekonał się o tym, że zmarły był rzeczywiście Ianem Coltrane'em.

Kilka godzin później Kathleen stała przed chłodnią rzeźni w Tuapeka, gdzie tymczasowo dla niej właśnie umieszczono zwłoki jej męża. Oczywiście jego tożsamość była już stwierdzona, ale Peter Burton upierał się przy tym, aby małżonka zmarłego także potwierdziła zgon. Kathleen musiała być uznana za wdowę bez żadnych wątpliwości – a przecucie mówiło Peterowi, że ona musi zobaczyć zwłoki, aby naprawdę uwierzyć w swoją wolność.

– Czy jest pani gotowa, Mrs Coltrane? – spytał sierżant Potter ze współczuciem.

Kathleen skinęła głową i weszła za oficerem do wnętrza wzniesionego z bali budynku. Trumna ze zmarłym wydawała się bardzo nie na miejscu w otoczeniu fragmentów wołowiny i tusz wieprzowych, które tu przechowywano. Kathleen dygotała, ale dokładnie przyjrzała się zwłokom. Powiedziano jej, że mężczyzna spadł z klifu. Zauważyła otarcia skóry, które raczej nie były przyczyną krwawienia. Jedyne poważnie wyglądające zranienie znajdowało się na skroni. Raczej nie wskazywało na to, że Ian uderzył się ze skutkiem śmiertelnym, spadając ze skały, a bardziej na to, że

uderzono go bardzo twardym przedmiotem w głowę. Kathleen znów pomyślała o Seanie. Ale to było niemożliwe, chłopak nigdy nie wychodził z domu na dłużej niż sześć godzin lekcyjnych.

– Musiał upaść na głowę – stwierdził naiwnie sierżant Potter. – Może na jakąś skałę. Przykro mi, Mrs Coltrane, nie jest to miły widok. Czy to jest...?

Przytaknęła.

– To jest Ian Patrick Coltrane – powiedziała spokojnie. – Mój mąż. Ja... chciałabym teraz porozmawiać z wielebny, zanim... zanim zajmę się synem.

Peter Burton zamknął starannie za Kathleen drzwi swego biura, kiedy Potter zaprowadził ją do niego. Była to jedna z niewątpliwych przyjemności związanych z nowo otwartym kościołem – zamykanie i otwieranie drzwi, a nie podnoszenie i opuszczenie namiotowej płachty. Wielebny chciał wziąć Kathleen w ramiona, ale ona gwałtownie go odepchnęła.

– Czy to... byłeś ty? – spytała cicho.

Peter Burton patrzył na nią, nic nie rozumiejąc. Wreszcie jednak pojął.

– Nie! Jak możesz tak myśleć, Kathleen? Jestem człowiekiem Boga, ja... O nieba, oczywiście, że o tym myślałem, kiedy zobaczyłem, jak się go boisz! Ale przecież są inne możliwości!

Położył rękę na jej dłoni, ale ona cofnęła się szybko.

– To kto to był? – spytała. – Nie opowiadaj mi o klifach, Peter, jestem ekspertem od pobić, a Ian latami ćwiczył na mnie swoją sztukę walki. Wiem, jak wygląda ślad po uderzeniu pięścią w skroń. I wiem, że zwykle nie uderza się skronią w ziemię, jeśli jest się na nią zrzuconym. Także jeśli ktoś się poślizgnie albo skoczy. A więc – kto to był, Peter?

Wielebny patrzył w ziemię.

– Młoda kobieta, która żyje razem z jednym z poszukiwaczy złota. Ponoć z pomocą ducha maoryskiej wojowniczkki. A w każdym razie na pewno było to uderzenie maoryskiej maczugi wojennej, a ta kobieta wiedziała dobrze, jak się tym posługiwać. Twój... mąż przedtem na nią napadł, a potem ją zgwałcił.

Kathleen zagryzła wargi. Nie była pewna, czy chce słuchać o dalszych szczegółach. Peter zrozumiał.

– W dodatku jeszcze krótko przedtem zginął pewien młody mężczyzna, który też był bliski Miss Portland. Paskudna historia i nikomu już nic nie pomoże, jeśli wszystko wyjdzie na jaw. Oczywiście mogę ci o tym opowiedzieć.

Kathleen zaprzeczyła.

– I on potem... a później ona zrzuciła go z klifu?

– Z moją pomocą – wyznał wielebny. – To była obrona konieczna, Kathleen. Przysięgam, nie ukrywam morderczyni. Ale będzie lepiej, jeśli miejsce tego wydarzenia nie będzie znane. A ta kobieta...

– ...już pewnie dość wycierpiała – powiedziała Kathleen zmęczonym głosem. – Rozumiem. Może... mógłbyś ją zapewnić o moim współczuciu?

Peter potarł czoło.

– Ona nie wie, że on miał rodzinę, oprócz Colina oczywiście. I myślę, że tak będzie najlepiej. W przeciwnym wypadku będzie miała jeszcze więcej wyrzutów sumienia. A poza tym nie ma jej tutaj. Płucze złoto daleko stąd, wysoko w górach. Oficjalnie nie ma z tym nic wspólnego.

Kathleen skinęła głową.

– A więc jestem teraz... wolna? – spytała bezdźwięcznie.

Peter skinął głową.

– Nie potrzebujesz się już niczego obawiać. A ja... Kathleen...

Peter umilkł i zastanawiał się, czy może się na to odważyć. Ale co da odsuwanie tej sprawy w nieskończoność? A może będzie mógł dodać jej otuchy i uspokoić...

– Nigdy cię o to nie pytałem... Kathleen, bo nie chciałem cię naciskać. Wiedziałem, że to była tajemnica. Ale teraz, kiedy nie ma już żadnych przeszkód... Kathleen, kocham cię. Czy wyjdiesz za mnie?

Peter Burton patrzył na nią wyczekująco.

Kathleen szumiało w głowie. To było za dużo jak na jeden dzień. I jak on mógł tak nagle, dziś... Cofnęła się spłoszona.

– Peter, nie teraz! – wyszeptała. – To jest... za wcześnie... Ja... bardzo cię lubię, Peter. Ale ty jesteś wielebny, a ja katoliczką! I mam troje dzieci... O Boże, mam znowu troje dzieci!

Kathleen zeszywniała z przerażenia.

– Peter, ja muszę się zatroszczyć o Colina. To wszystko jest i tak trudne. Daj mi trochę czasu, Peter. Potrzebny mi czas...

Peter Burton zląkał się w duchu za swój pośpiech. Powinien był to przewidzieć. Przecież to oczywiste, że ona teraz nie rzuci mu się od razu w ramiona. Będzie potrzebowała kogoś, kim tak długo i cierpliwie był: przyjaciela, zaufanego i ojca dla swoich dzieci. Wstał zrezygnowany.

– Chodź – powiedział. – Poszukamy Colina. Schował się w swoim namiocie i nie wychodzi stamtąd, od kiedy znaleziono jego ojca. O tobie na razie nic mu nie mówiłem. Na pewno się ucieszy.

Kathleen poszła za nim bez słowa, ale w to ostatnie mocno wątpiła. Colinowi będzie żal ojca, a jeszcze bardziej wolnego życia bez obowiązków. Prawdopodobnie wcale nie będzie chciał wrócić do rodziny.

W ciągu kilku następnych dni Kathleen przejęła całą schedę po Ianie Coltranie, składającą się z jednej uncji złota, dwóch koni, które według Colina warte były majątek, a które Peter zakwalifikował krótko do kategorii „rzeźnia albo łaskawy



chleb”, i oczywiście z syna. Tak jak przewidywała, Colin okazał się trudnym dzieckiem. W żadnym wypadku nie chciał jechać z matką do Dunedin, lecz zamierzał na własną rękę szukać dalej złota i prowadzić interes ojca. Miał jednak dopiero czternaście lat – zostawienie go tutaj samemu sobie było wykluczone.

Kathleen sprzedała więc złoto oraz wóz Iana i przekazała cały zysk Peterowi Burtonowi jako darowiznę na pogrzeb jej męża i na opiekę dla starych koni, które może da się jeszcze wykorzystać do pracy przy plebanii wielebnego. Swego opierającego się syna zabrała po pogrzebie do Dunedin. Peter Burton nie mógł sobie odmówić odwiezienia jej, ale była to smutna podróż. Colin zawzięcie milczał w odpowiedzi na każde pytanie, a Kathleen była pogrążona w myślach. Na domiar złego Colin patrzył niechętnie, kiedy Peter na pożegnanie pocałował Kathleen w policzek. Chłopak z pewnością doskonale wyczuwał wszelkie niuanse sytuacyjne i uczuciowe i dopatrywał się czegoś więcej niż to, co dawała mu do zrozumienia Kathleen. Peter Burton żywił poważne obawy, kiedy skierował swego konia z powrotem do Tuapeka. Kathleen uwolniła się od Iana Coltrane’a, ale Colin już czyhał na to, aby zająć jego miejsce. Nie w sercu, ale tam, gdzie był jej strach.

Rzeczywiście okazało się to bardzo trudne, także dlatego, że Sean w żadnym wypadku nie zamierzał znosić bezczelnych uwag i złośliwości odnalezionego brata. Grał już rolę mężczyzny w rodzinie, co zarówno Kathleen, jak i Claire nieco bawiło, ale co z drugiej strony nie ułatwiało współżycia z bratem. Colin w ostatnich latach przyzwyczaił się do tego, że mógł robić to, co mu mniej lub bardziej pasowało. Nie odpowiadało mu uregulowane życie rodzinne u Kathleen i Claire, właściwe formy zachowania, których musiały przestrzegać dzieci, a przede wszystkim chodzenie do szkoły. Kathleen bardzo szybko musiała zacząć wysłuchiwać skarg nauczycieli: Colin przeszkadza, nie zachowuje się właściwie albo wręcz wagaruje. Sean przynosił więc do domu nagany dla swojego brata i musiał wysłuchiwać skarg na niego. Nauczyciele oczywiście podkreślali, że jego te skargi nie dotyczą, ale i tak było to uciążliwe. Sean nie mógł już znieść uwagi o treści: „Może mógłbyś wpłynąć na swojego brata?”, zwłaszcza że takie próby kończyły się bójkami, które bez trudu wygrywał Colin, jako że miał w nich znacznie więcej wprawy niż Sean.

Także Peter Burton, który tak często, jak tylko mógł, odwiedzał obie kobiety i starał się nawiązać z Colinem równie przyjazne stosunki jak z Seanem i Heather, nic nie wskórał. Colin Coltrane nie chciał się niczemu ani nikomu podporządkować: ani nauczycielom, ani anglikańskiemu wielebnemu, ani nawet katolickiemu księdzu, a już zwłaszcza matce i bratu. Także ona w końcu zrozumiała, że nie będzie mogła utrzymać Colina w szkole.

– Spróbujmy więc gdzie indziej – westchnęła i zwróciła się poprzez księdza do Donny’ego Sullivana, irlandzkiego właściciela stajni, które ten wynajmował przyjeźdnym.

Kathleen miała nadzieję, że praca ze zwierzętami będzie Colinowi odpowiadała, jako że na koniach znał się doskonale. Mały, gruby Sullivan – który wcześniej pilnie uczęszczał na msze do Petera Burtona, a teraz oczywiście został członkiem powstałej ostatnio gminy katolickiej – chętnie przyjął chłopca do pracy. Colin mógł sypiać w stajni, pomagać mu przy koniach, a przede wszystkim codziennie na nich jeździć. Wielu klientów Sullivana miało swoje sklepy w mieście i mało kto miał czas, aby codziennie objeżdżać konie. Młody, sprawny jeździec był mile widziany.

Kathleen była z początku sceptyczna, bo Sullivan także trochę handlował końmi, ale zarówno Peter, jak i ojciec Parrish, ksiądz katolicki, uspokajali ją. Donny Sullivan był człowiekiem uczciwym, przynajmniej na tyle, na ile można takim być w jego rzemiośle. Oczywiście miejskiemu bogaczowi nieznającemu się na koniach podawał wysoką cenę za zwierzę, które w rzeczywistości było mniej warte, albo odejmował sprzedawanemu mułowi dwa lata. Ale nie stosował oszukańczych praktyk ani też nie wciskał komuś wbrew oczywistym faktom konia zbyt małego, zbyt dużego czy też zbyt leniwego albo obdarzonego zbyt wielkim temperamentem. Sullivan miał bardzo wielu stałych, zadowolonych klientów i był z tego dumny.

Ale trwało to do chwili, w której zatrudnił u siebie Colina. Po trzech miesiącach właściciel stajni zjawił się u Kathleen i dosłownie zalał ją potokiem słów i skarg, tłumacząc, dlaczego musi zwolnić chłopca.

– Nie chodzi o to, że on się nie zna na koniach, Mrs Coltrane – wzdychał. – Wręcz przeciwnie, on wie nawet więcej ode mnie! Ale niestety to nie są wiadomości, których należy się spodziewać u uczciwego człowieka. Musiałem go stale pilnować, żeby nie szlifował zębów koniom przeznaczonym na sprzedaż, aby wyglądały na młodsze, żeby nie majstrował przy ich kopytach po to z kolei, by ich chód był trochę bardziej elegancki. On zna wszystkie sztuczki końskich oszustów i nie rozumie, dlaczego ja ich nie stosuję. Do objeżdżania koni jest świetny – co prawda dość mocno je trzyma, ale tego bym go oduczył. Tylko jego nie można zostawić samego z klientami! Ledwo z nimi zaczyna rozmawiać, to zaraz są przekonani, że ich chabety są do niczego. A potrafi się wdzięczyć i gadać! Większość klientów chce natychmiast zamienić swoje konie, kiedy on kończy swoją przemowę. Przeważnie na półdzikie młode ogiery, które oczywiście pięknie wyglądają, kiedy Coltrane na nich paraduje. Ale tacy niedzielni jeźdźcy zaraz z nich spadną! I ja będę mieć kłopot, jeśli dzielny szewczyk, na przykład, skręci sobie kark. Przykro mi, Mrs Coltrane, ale ten chłopak kłamie, ledwo otworzy usta. Wczoraj sprzedał staremu Monty'emu Robsowi, wie pani, temu poszukiwaczowi złota, który teraz próbuje być farmerem w Waikouaiti, no sprzedał mu tego konika, którego właściwie przewidziałem dla córki Miss Claire.

Kathleen skinęła głową. Chloé miała dostać na urodziny kucyka i Claire szukała już od wielu tygodni odpowiedniego. I sądziła, że mały, rudy kucyk od Donny'ego będzie odpowiedni.

– A Colin naopowiadał Monty’emu bajek w rodzaju: „Tym zwierzątkiem zaora pan całą farmę, a w dodatku ono prawie nic nie zje” – mówił Sullivan.

Kathleen roześmiała się gorzko. Przypomniała jej się oślica Matta Edmunda. Donny Sullivan też się uśmiechnął. Nie mógł się oprzeć urokowi tej kobiety, a Kathleen była rzeczywiście porywająca, kiedy się śmiała. Ale tylko z powodu jej uroku nie będzie mógł zatrzymać u siebie jej nieudanego syna!

– To rzeczywiście zabawne i można by powiedzieć, że ten głupiec Monty nie zasłużył na nic innego. Ale ten człowiek zdał się na moją radę i został oszukany. No i nic się nie da zrobić. Jak zacznie o tym opowiadać, moja dobra opinia będzie szybko zrujnowana. Więc pojedę teraz do Waikouaiti, wyperswaduję mu tego konia i wymienię go na muła, którego też właściwie obiecałem komu innemu. W dodatku muł był wart sto funtów więcej niż rudy kucyk – ale oczywiście nie mogę wziąć żadnej dopłaty od Monty’ego, tego on by nie zrozumiał. Czyli chłopak kosztuje mnie sto funtów, dzień pracy i niemal moją dobrą opinię. To za dużo, madame, proszę go oddać gdzie indziej na naukę!

Colin oczywiście nie uznał argumentów Sullivana. Wręcz przeciwnie, wygłosił kilka niecenzuralnych słów pod jego adresem i śmiał się z jego głupoty. Jimmy Dunloe, któremu Kathleen zwierzyła się ze swych trosk, poradził, aby wysłała syna do takiej pracy, w której nie będzie miał do czynienia z końmi.

– Przecież to sprytny i sprawny chłopak, tylko źle wychowywany, jak widzę. Jeśli pani chce, Kathleen, wezmę go do siebie na gońca. Może zanosić teczki z aktami tu i tam, załatwiać jakieś sprawy dla banku – jak zobaczy, że mu się ufa, to będzie się lepiej zachowywać.

Kathleen była wprawdzie wdzięczna bankierowi, ale nie za bardzo wierzyła w sukces jego metod. W końcu do najważniejszych strategii Iana należało budowanie najpierw zaufania klienta, a potem wykorzystywanie tego.

– Tylko proszę nie dawać Colinowi żadnych pieniędzy do ręki – przestrzegła przyjaciela Claire. – Przykro mi, że muszę coś takiego mówić o własnym synu, ale ja mu nie ufam!

Niestety, miała rację. Miesiąc później Jimmy Dunloe zwolnił Colina, ponoć z powodu niezbyt uprzejmego odnoszenia się do klientów i opieszałości w wykonywaniu zadań. Jimmy zdradził Claire, że z kasy znikają też drobne sumy pieniędzy, od kiedy zatrudnił Colina.

– Ale tego nie musimy opowiadać Kathleen. I tak ma z nim dość zmartwień i kłopotów – powiedział.

Dunloe od tego dnia był bardziej ostrożny, ale ku uldze Kathleen była jeszcze gmina katolicka, a w niej działał surowy, choć bardzo energiczny ojciec Parrish. W ciągu następnego roku Kathleen stale zwracała się o pomoc do małego, bardzo

bigoteryjnego księdza, i dzięki niemu mogła oddać Colina na naukę najpierw w sklepie z towarami kolonialnymi, potem u szewca i w końcu w składzie materiałów budowlanych. Chcąc nie chcąc, musiała się bardzo zaangażować w działalność gminy katolickiej, co nie podobało się ani Claire, ani Peterowi Burtonowi.

– Dobry Boże, Kathleen, stajesz się niemożliwą dewotką! – złościła się Claire, kiedy Kathleen w któryś niedzielny wieczór po raz drugi udawała się na mszę. – I stale te msze żałobne za Iana, ile on już ich odprawił? Pięćdziesiąt? Kiedy ostatni raz rozmawiałś z Peterem? Potrzebna ci porządna porcja Darwina zamiast Biblii!

– Ojciec Parrish odrzuca nauki Darwina – odparła Kathleen, chyba w nadziei, że dzięki temu zmieni temat. Stała właśnie przed lustrem i starała się ukryć każdy kosmyk swych pięknych złotych włosów pod brzydkim, ciemnym kapturkiem. – A Ian... bez wątplenia był grzesznikiem, to prawda. Ojciec Parrish mówi, że jego nieśmiertelna dusza...

Claire przewróciła oczami. Wybierała się właśnie na koncert z Jimmym Dunloem i miała na sobie ciemnozieloną wieczorową suknię ozdobioną przy dekolcie błyszczącymi cyrkoniami.

– Myślisz, że jak ciągle będziesz dawać na msze za niego, to wyciągniesz jego duszę z piekła? No, to byłoby niesprawiedliwe, jeśli tak po prostu można się stamtąd wykupić za parę groszy. Kathleen, obudź się! To wszystko służy tylko kasie tego klechy, a w dodatku on się stara, jak może, żebyś stale miała wyrzuty sumienia! Zawsze próbował tak robić, przypomnij sobie, jak chciał ci wmówić, że powinnaś, żałując za grzechy, wrócić do Iana!

Kathleen wzruszyła ramionami i narzuciła na siebie czarną chustę. Był to niezamierzony efekt, ale w czerni wyglądała znakomicie. Ta barwa podkreślała kolor jej alabastrowej cery i szczupłą figurę.

– On jest jedynym człowiekiem, który jeszcze coś robi dla Colina. Bo niedługo nikt już nie będzie chciał go przyjąć. Gdyby nie ojciec Parrish... A jak to wygląda, kiedy spotykam się z anglikańskim wielebny? Jeśli ktoś mnie z nim zobaczy! Wystarczy, że Colin rujnuje moją opinię.

Claire potrząsnęła głową. Temu księdzu najwyraźniej udało się zająć miejsce Iana w głowie przyjaciółki. Robił wszystko, aby Kathleen żyła w ciągłym, narastającym lęku, a w dodatku obciążał ją winą za to, jaki był teraz Colin. Uważał, że gdyby matka go nie opuściła, to jego wychowanie przebiegałoby inaczej.

Peter Burton czuł się urażony zachowaniem Kathleen, co było zrozumiałe. Nie mogła się z nim nie spotykać, bo Claire stale zapraszała go do ich wspólnego mieszkania, ale odpowiadała monosylabami na jego pytania i była pełna dystansu. Jeśli przyniesione wino i ożywiona dyskusja między Jimmym, Claire i Peterem wydawała

się nieco kruszyć jej pancerz, to zaraz zjawiał się Colin, którego złośliwe spojrzenia kierowane w stronę Petera i Kathleen niemal parzyły.

Colin doskonale zdawał sobie sprawę z zakłopotania matki i nie wahał się użyć jako broni swej rzekomej wiedzy na temat jej relacji z anglikaninem. W końcu zaczął ją publicznie szkalować, kiedy któregoś razu znów został wyrzucony z terminu. Jego ostatni mistrz, sympatyczny, starszy właściciel sklepu z towarami żelaznymi, próbował wyjaśnić bardzo dyplomatycznie powody takiego posunięcia. Ale nie mógł ukrywać faktu, że złapał Colina na gorącym uczynku, kiedy ten sięgał do kasy po pieniądze.

Kathleen skinęła głową i machnęła ręką.

– Mój syn jest złodziejem, Mr Ritchie, niech pan to powie od razu – stwierdziła z rezygnacją. – Nie mogę już tego słuchać, ale oczywiście rozumiem pana doskonale.

– A moja *mom* puszcza się z protestantem! – zakrakał głośno Colin, patrząc na nią z nienawiścią. – W niedzielę chodzi się modlić, ale w poniedziałki wielebny tylko wchodzi i wychodzi! I się całują!

Kathleen zareagowała instynktownie – błyskawicznie wymierzyła chłopcu siarczysty policzek. Mr Ritchie i jego żona wymienili pełne zakłopotania spojrzenia. Z pewnością już nazajutrz wszyscy w mieście będą o tym mówić.

Colin wyniósł się do jakichś przyjaciół, a Kathleen wypłakiwała się przed Jimmym Dunloem i Claire.

– Co ja mam z nim robić? – szlochała. – Po tej sprawie już nikt nie zechce go przyjąć na naukę! A to z Peterem... Ja się nigdy z tego nie spowiadałam! Co pomyśli sobie o mnie ojciec Parrish? Muszę...

– Naprawdę chcesz pobiec teraz do tego klechy i zwierzyć mu się z tego, że pocałowałaś Petera dwa czy trzy razy w policzek!?! – zawołała Claire przerażona.

– To nie było tylko w policzek, ja... – Kathleen zamierzała dokonać dłuższego wyznania, ale Jimmy Dunloe powstrzymał potok jej słów.

– Kathleen, czy i z czego chce się pani spowiadać, to obchodzi tylko panią – powiedział spokojnie. – Ale jeśli chodzi o tego chłopca, chciałbym dać pani pewną radę. Widzi pani, w każdej rodzinie jest jakaś czarna owca. W naszej warstwie społecznej zostają one kryminalistami i pani Colin jest na najlepszej drodze do tego. Ale w lepszych warstwach są inne możliwości – i zgodnie z tym, co wiem o pani interesach, może sobie pani na to pozwolić. Proszę wysłać chłopca do Anglii do dobrego college'u, a najlepiej do akademii wojskowej. Ja się dowiem o jakiś odpowiedni internat.

– Ale on nie chce chodzić do szkoły! – zaprotestowała Kathleen.

Jimmy Dunloe spokojnie potrząsnął głową.

– Kathleen, on nie ma tu nic do chcenia! A kariera wojskowa byłaby dla niego chyba lepsza niż wykształcenie akademickie. W każdym razie to jego ostatnia

szansa. Tu stoczy się na dno, a pani nie będzie mogła temu zapobiec.

– Ale my jesteśmy Irlandczykami! – wyszeptała Kathleen. – Nie mogę przecież wysłać mojego syna do angielskiego wojska. To... to są nasi wrogowie! To byłaby zdrada, to byłoby...

– Może nawet coś gorszego niż pocałować anglikańskiego duchownego? – zakpiła Claire.

– Przecież oni nie przyjmują Irlandczyków! – powiedziała z nadzieją Kathleen.

Jimmy Dunloe wzruszył ramionami.

– Może znajdzie się jakaś irlandzka akademia wojskowa, choć nie sądzę. Ale może mógłbym pani pomóc inaczej. Oczywiście jeśli pani chce. A poza tym, jeśli chodzi o mnie, jestem odporny na wszystko. Zostaję w Nowej Zelandii i jak tylko to będzie możliwe – uśmiechnął się do Claire – ożenię się z rozwiedzioną kobietą. I pozamałżeński udany albo nieudany syn nie może zaszkodzić mojej opinii. Możemy tego gagatka wysłać tam jako Colina Dunloego. Będzie czystym Brytyjczykiem, choć bez prawa do dziedziczenia, to trzeba będzie zastrzec w formie umowy. Majątek musi sam zdobyć!

Kathleen zagryzła wargi, walcząc ze łzami. Tak wielkoduszna oferta – i drugi syn, który będzie dorastał pod fałszywym nazwiskiem!

– To jest... bardzo miłe – wymamrotała. – Tylko... Brytyjska armia! On przecież jest Irlandczykiem!

Claire przewróciła oczami.

– Kathleen, chyba tego nie odrzucisz! Właśnie brytyjska armia! Ona się uporała z wieloma irlandzkimi uparciuchami!

Kathleen popatrzyła na nią ze złością. Ale trudno było temu zaprzeczyć. Jeśli odrzuci teraz ofertę Dunloego, to Colin kiedyś wyląduje w więzieniu. Pytanie, czy to było bardziej, czy mniej honorowe od Royal Army... Michael z pewnością by to tak widział. A Ian? No, ten natychmiast wykorzystałby pozycję w wojsku, aby zaoferować królowej kulawego konia... Kathleen nie mogła powstrzymać się od uśmiechu wobec tej myśli.

– Proszę się z tym przespać i zastanowić! – poradził przyjaźnie Dunloe. – Ale chyba nic lepszego nie przyjdzie nam do głowy.

Kilka tygodni później Colin Dunloe Coltrane wyruszył z nowiutkimi dokumentami jako angielski obywatel do Woolwich w Londynie, aby wstąpić do Royal Military Academy. Wykształcenie mniej go nęciło, ale miasto Londyn owszem, a przyszła kariera w wojsku wydawała mu się opcją możliwą do przyjęcia. Irlandzki patriotyzm mu nie przeszkadzał. Jego ojciec wprawdzie zawsze pomstował na Anglików, ale z drugiej strony darzył ich pewnym szacunkiem. Anglicy byli zwycięzcami. Zajęli i okupowali Irlandię. Ich królowa panowała nad połową świata. Colinowi

imponowała jej potęga, bo on także chciał panować. A jeśli w tym celu trzeba było zostać Anglikiem i przywdziać czerwony mundur, to jak najbardziej mu to odpowiadało.

## ROZDZIAŁ 2

Lizzie spędziła na złotonośnych polach Maorysów najpiękniejsze lato swego życia. Ona i Michael rozbili swój namiot powyżej wodospadu i rankami upajali się wspaniałym widokiem gór i małych jezior, tak charakterystycznych dla pięknego krajobrazu Otago. Czasami, kiedy powietrze było szczególnie przejrzyste, można było zobaczyć nawet odległe Tuapeka. Życie w miasteczku poszukiwaczy złota, zamordowanie Chrisa Timlocka, zemsta Lizzie na Ianie Coltranie i wszystkie związane z tym wydarzenia wydawały im się tak odległe, że aż nierealne. Lizzie i Michael żyli z polowania i ryb – głównie z tych ostatnich, bo nie było tu królików ani zajęcy. Osobliwości zachowania świata ptaków Nowej Zelandii były dla Michaela tak wielką zagadką, że stanowiły skuteczną przeszkodę w polowaniu. Jeśli potrzebowali czegoś z warzyw i zboża, przynosili to od Maorysów, a złoto, które płukali, chowali w kryjówce koło wodospadu. Ponieważ nikt oprócz wielebnego i Maorysów nie znał ich kryjówki, nie było to wielkie ryzyko. Michael nie potrzebował jeździć do miasta i zawozić złota do banku – poza tym rzuciłoby się to za bardzo w oczy, bo ich zapasy rosły z prędkością zapierającą dech w piersiach, mimo że nie pracowali tak ciężko jak poszukiwacze w Tuapeka. Rano długo spali i po śniadaniu, nie śpiesząc się, przystępowali do pracy, a gorące chwile południa wykorzystywali na miłość i drzemkę w cieniu. Lizzie cieszyła tkliwość Michaela i jego wyraźna sympatia do niej. Należał teraz tylko do niej i wydawało się, że zupełnie zapomniał o Kathleen. Choć tym razem to Lizzie skutecznie mu to utrudniała. Kilka dni po śmierci Coltrane'a z pewnymi oporami spytała Michaela, czy on nie chce wziąć do siebie Colina.

– Mam wyrzuty sumienia, bo to ja odebrałam mu ojca – wyznała. – No i on jest synem twojej Kathleen.

Ale Michael energicznie potrząsnął głową.

– Ale nie moim! – stwierdził stanowczo. – Ian Coltrane dostał to, na co zasłużył, nie potrzebujesz robić sobie wyrzutów. A jeśli chodzi o Colina: przykro mi, że stracił ojca i matkę, ale my musimy zacząć wszystko od początku. A on nie jest takim synem, jakiego życzylibyśmy sobie ja i Kathleen.

Lizzie cieszyła się z tej decyzji, ale jednak przy jakiejś okazji zapytała Petera Burtona o chłopca. Wielebny uspokoił ją, przekazując dość mglistą informację, że chłopca przyjęła jakaś rodzina z Dunedin. Peter był zdania, że Lizzie i Michael nie powinni się zadręczać wspomnieniami o Ianie Coltranie, a Michael wydawał się podzielać ten pogląd. Żaden z mężczyzn nie wspominał o nim w rozmowach, kiedy



Peter odwiedzał parę na działce Lizzie, co robił raz na kilka tygodni. Wielebny traktował Lizzie jako swoją parafiankę i martwił się o zbawienie jej duszy.

Faktycznie Lizzie poświęcała znacznie więcej czasu maoryskim bogom niż chrześcijańskim modlitwom. Zgodnie z tradycją prosiła ziemię o wybaczenie przed każdym płukaniem złota, a w czasie miłosnej ekstazy dziękowała Papa i Rangi za szczęście w ramionach Michaela. Michael chętnie brał w tym udział. Od chwili modłów do świętego Wendelina i jego wsparciu przy strzyży, w co wierzył, nie dziwiły go już takie zwyczaje.

Ale powoli zaczynały się pojawiać inne kwestie, które trochę psuły jego szczęście z Lizzie, zwłaszcza że zapasy złota rosły i Lizzie zaczynała coraz częściej mówić o tym, że trzeba będzie opuścić pole. Ilość wyplukanego złota właściwie wystarczyłaby na kupienie wielkiej farmy na Canterbury Plains, a poza tym także na sklep dla Ann Timlock, która była z dziećmi w drodze do Nowej Zelandii. Żona Chrisa była zrozpaczona po śmierci męża i chciała przynajmniej zobaczyć jego grób. Liczyła też, że w nowym kraju dzieci będą miały więcej szans na godziwe życie, myślała więc o zamieszkaniu w Dunedin i prowadzeniu jakiegoś sklepu. Tam też zamierzała posłać dzieci do szkoły.

Michael najchętniej dalej eksploatowałby działkę, Lizzie jednak powściągała jego chciwość i przypominała o tym, by nie łamać paktu z Maorysami. Wobec tego Michael dawał się przekonać i był nawet skłonny opuścić działkę. Tym, co sprawiało mu najwięcej problemów, była jego pozycja w stosunku do Lizzie. Chciałby się z nią ożenić, nie wątpił w to, że ją kocha. Ale czy ten związek był rzeczywiście jego pomysłem? Michael dokładnie tak, jak chciała Lizzie, bardzo ostrożnie eksploatował jej działkę i każdego dnia był gotów w każdej chwili albo przestać pozyskiwania złota, albo je rozpocząć – znów tak, jak chciała Lizzie. Coraz częściej ogarniały go wątpliwości. Był mężczyzną, Kathleen go ubóstwiała. W Irlandii cieszył się szacunkiem i poważaniem, z pewnością do dziś mówiono tam o tym, jak ukradł ziarno Trevallionowi. W Ameryce, razem z Kathleen, mógł być szczęśliwy. Ale od kiedy poznał Lizzie, to coraz częściej mu się wydawało, że tańczy tak, jak ona zagra.

Tak, to prawda, bardzo mu pomogła. Najpierw na statku, potem przy ucieczce, za co będzie jej dogonnie wdzięczny. Choć środki i sposoby, które wówczas zastosowała, do dziś wydawały mu się nie do zaaprobowania. Ale to była przeszłość, Michael był wówczas zdecydowany przebaczyć Lizzie także to, że była dziwką. A potem spotkał ją znowu i ona znów wtrąciła się w jego życie. Rzeczywiście odnieśli sukcesy – dzięki niej. Gorzelnia whiskey przyniosła o wiele więcej pieniędzy niż strzyżenie owiec. A może była to krótkowzroczna polityka? Jego stary przyjaciel, Maorys Tane, miał teraz swoją grupę postrzygaczy na Canterbury Plains i zarabiał bardzo dobrze. Od kiedy pojawiły się tam owce, najmowano do strzyży tylko profesjonalnych postrzygaczy. Chyba żaden z „owczych baronów” nie zatrudniał do

tego własnych pasterzy, ci mieli dość roboty, aby spędzić owce dla błyskawicznie pracujących postrzygaczy. Tane i jego ludzie pracowali ciężko przez trzy miesiące w roku, a przez resztę czasu korzystali z uroków życia. Michael też mógłby w ten sposób zarabiać na swoje utrzymanie.

A teraz złotonośne pola. Przecież on pracował razem z Chrisem jak szalony. Fakt, bez większych sukcesów – do chwili, gdy dołączyła do nich Lizzie! Wydawało mu się, że każdy traktuje go jako dodatek do Lizzie. Jak jej wisiorek. Maorysi prawie go nie dostrzegali, nawet wielebny w czasie swoich odwiedzin nie za bardzo zwracał na niego uwagę. Peter Burton rozmawiał z Lizzie o Biblii, o duchach i demonach, a ona bez wątpienia miała na ten temat więcej do powiedzenia niż Michael, którego lekcje religii z ojcem O'Brienem miały miejsce ponad dwadzieścia lat temu. Może Burtonowi chodziło też o to, że była winna śmierci Coltrane'a – ale Michael był gotów ewentualnie znieść wielebnego i jego rady. Najbardziej bolała go sprawa z Maorysami.

Lizzie często odwiedzała ich *marae* i upierała się, aby Michael jej towarzyszył. Szczep musiał go poznać i zaakceptować, jak twierdziła, ale Michael miał wrażenie, że ci ludzie śmieją się z niego. Mężczyźni zwykle zapraszali go do ogniska i byli dla niego mili, ale prawie nie zadawali sobie trudu, aby wypróbować i poćwiczyć z nim swoją ubogą angielszczyznę. A w ich piosenkach, historiach i przedstawieniach scenicznych Michael często dopatrywał się parodii i drwin z poszukiwaczy złota, handlarzy i *pakeha* jako kochanków. I czuł się urażony. Maorysom wydawało się to nie przeszkadzać. Traktowali go uprzejmie, a on sądził, że trochę pobłaźliwie. Nie było tak, jak w szczepie Tane, gdzie ceniono umiejętności Michaela jako postrzygacza i tresera psów, i nawet przyznano mu status *tohunga*. Tu był tylko towarzyszem Lizzie – i jego *mana* porównać można było do *mana* jej psa albo konia.

Za to Lizzie tubylcy traktowali wręcz z nabożną czcią. Michael nie miał pojęcia, czy wiedzieli o jej związku ze śmiercią Iana Coltrane'a, ale przynajmniej ich kapłanka Hainga nie mogła się nachwalić zaangażowania Lizzie w sprawę kraju Ngai Tahu. Kiedy Michael, kalecząc język, kiedyś o to zapytał, powiedziano mu, że Hainga słyszała tamtego dnia *karanga* Lizzie, przez co, jak wyjaśnił Tonga, rozumiano okrzyk będący wołaniem do bogów. Michael nie mógł sobie tego wyobrazić. Obóz Maorysów leżał w odległości kilku mil od wodospadu. W każdym razie Lizzie zyskała ogromne *mana* i była odpowiednio do tego traktowana. Mężczyźni i kobiety starali się o jej względy, cieszone się, kiedy bawiła się z dziećmi szczepu, a jej prezenty, koce, garnki i przeróżne przedmioty potrzebne do gotowania, które wtedy przywiozła z Tuapeka, traktowano niemal z szacunkiem, jak gdyby były wysadzane diamentami i złotem. Nawet sam wódz szczepu zwracał się do Lizzie i pytał ją o radę, kiedy chodziło o jakieś pertraktacje z *pakeha*. *Mana* Lizzie wzrosło, kiedy ona przekazała pytania wodza wielebnemu, a ten omówił je z jednym z adwokatów w Tuapeka. Mogła więc

udzielić mądrej i wyczerpującej informacji i często w ten sposób dalej pomagała szczepowi. Ale najgorzej Michael czuł się wtedy, kiedy zaprzyjaźniona *hapu*, czyli grupa rodzin Ngai Tahu, odwiedzała szczep nad Tuapeka River. Wówczas zapraszano Lizzie, i oczywiście jej męża, na uroczystość. Michael nie mógł się wtedy pozbyć uczucia, że prezentowano im dwoje zaprzyjaźnionych *pakeha*, jak gdyby to były tresowane pudle. I teraz znowu był jeden z takich dni.

– Naprawdę muszę iść tam z tobą? – spytał Michael niechętnie, kiedy Lizzie powiedziała mu o zaproszeniu.

Lizzie z wyraźną przyjemnością wkładała maoryski świąteczny strój, który podarowały jej kobiety ze szczepu. Zimą odzież *pakeha* była bardziej stosowna w tutejszym klimacie, ale w czasie letnich tańców kobiety tubylców nosiły spódnice z twardych łądyg lnu, które przy każdym ruchu osobliwie szeleściły. Górną część stroju stanowiła obcisła bluzka na ramiączkach, bardzo skąpa i utkana w plemienne wzory.

– Oczywiście, że musisz! – oświadczyła Lizzie. – To bardzo oficjalne przyjęcie z długim *powhiri*, które będzie trwać całymi godzinami. Ale potem będzie jedzenie, tańce, prawdziwe święto. Weźmiemy ze sobą whiskey, dobrze? No nie rób takiej miny, kochanie, wielebny znów nam przyniesie butelkę, jak tu wpadnie przy jakiejś okazji. A ja poświęcę moją ostatnią butelkę wina. Hainga kocha wino!

Od kiedy Lizzie pływała w złocie, pozwalała sobie na tyle wina z Dunedin, ile tylko wielebny był gotów przywieźć tu ze sobą. Choć ku jej żalowi on wołał zabierać whiskey. Ale Lizzie tak często, jak tylko się dało, rozkoszowała się niesłychanie drogim winem, które przeważnie pochodziło z Francji, Niemiec albo Włoch. Uwielbiała powoli, z namaszczeniem otwierać butelki, dekantować wino, tak jak wtedy w domu Busbych, potem pić je z Michaelem. Ale jego aż tak to nie bawiło. A teraz ostatnie dwie butelki whiskey miały iść w ręce Ngai Tahu, którzy bardzo lubili się napić. Michael dostanie z tego zapewne kilka łyków. Idąc z Lizzie, szykował się więc na denerwujący dzień – i tym razem został mile zaskoczony. Bo goście także przynieśli kilka butelek whiskey, a w dodatku okazało się, że Michael znał większość mężczyzn wędrownego *hapu*. Szczep pochodził z Kaikoury – zanim zaczęła się oficjalna część święta, Tane z okrzykiem radości objął serdecznie starego przyjaciela z czasów połowu wielorybów.

– My później pomówić! – powiedział Maorys, kiedy wodzowie i starszyzna szczepu podeszli do siebie.

Tane mieszkał od lat wśród *pakeha* i chętnie ograniczyłby powitanie do krótkiego potarcia nosów i wspólnego wypicia szklaneczki whiskey. Ale przy *haka* miał do odegrania tradycyjną rolę. Po odmówieniu modlitwy skierowanej do bogów Tane chwycił swoją włócznię i odtńczył *wero* – poprzez celowe ruchy wyrażał w tańcu, że jego szczep przybywa z pokojowymi, a nie wojennymi zamiarami. Tane podkreślał

swoją pozycję jednego z najważniejszych wojowników szczepu, co ucieszyło Lizzie. Jeśli rzeczywiście był w dodatku najlepszym przyjacielem Michaela, to *mana* Michaela w szczepie dzięki temu urośnie, i to bardzo! I rzeczywiście wydawało się, że zaczęto traktować Michaela z większym szacunkiem, kiedy w końcu zasiadł do uczty koło Tane. Obaj dzielili się opowieściami z ostatnich kilku lat i pili razem whiskey. Pod koniec przyjęcia należeli do ostatnich, którzy jeszcze siedzieli przy ognisku; reszta znikła już w swoich namiotach.

Lizzie spała w chacie *tohunga* Haingi, stojącej nieco z boku, a co inni poczytywali za wielki zaszczyt. A może stara kobieta chciała powstrzymać ją przed tym, by dzieliła łożę z Michaeliem w czasie pobytu u Ngai Tahu? Lizzie miała uczucie, że kapłanka nie aprobowała tego związku.

– Chmury są nad tobą i nad tym mężczyzną – powiedziała tajemniczo, kiedy Lizzie w końcu ją o to zapytała. – Bogowie was nie odrzucają, ale nie widzę pełnego błogosławieństwa. Dwie moce walczą o ciebie.

– O mnie? – spytała zaskoczona Lizzie, ale Hainga nic więcej nie powiedziała.

Michael, którego uwaga i myśli były skierowane na sprawy bardziej doczesne, język zaś rozwiązany dzięki whiskey, nie znalazł w Tane dobrego powiernika.

– Jak to u was jest, w waszych szczepach? – zwrócił się o radę do maoryskiego wojownika, kiedy obaj siedzieli już sami przy żarzącym się ognisku. – To znaczy, z kobietami. Pozwalacie, aby one zostawały *tohunga*. Ta czy tamta wrzeszczy czasem przy waszym *powhiri*. Dajecie im broń, ale one i tak wiedzą, gdzie jest ich miejsce! Mężczyźni polują i łowią ryby, baby gotują i tkają, a wódz mówi, co będzie dalej! Dlaczego z Lizzie to się nie udaje? Ona robi to, co chce!

Tane zmarszczył czoło.

– Nie mówi wódz, co będzie dalej – poprawił. – Mówi *tikanga*, zwyczaj. Mówi często także *tohunga*, raz kobieta, raz mężczyzna, zależy od *mana*. A wódz ma wielkie *mana*.

– Czyli cała sztuka to... mieć... większe *mana* niż jego żona? – spytał Michael.

Tane przytaknął, choć co prawda z zaciśniętymi wargami.

– Tak. Ale także kobieta z *mana* przestrzega *tikanga*. A *tikanga* mówi: mężczyzna wojownik, kobieta dzieci. Jak zły czas, kobieta też wojownik, także rybak, także myśliwy. Ale jak dobry czas, to wszystko jak zawsze.

A więc to tak. Mimo lekkiego upojenia alkoholowego Michaelowi ta sprawa wydała się wreszcie jasna i zrozumiała, a Lizzie, jak sądził, też powinna to właściwie zrozumieć. Michael i Lizzie mieli już za sobą złe chwile, Lizzie potrafiła wykorzystać swoje *mana* – bez względu na to, co to właściwie było – aby się z tym uporać. Ale teraz zaczęły się dobre chwile, dobry czas, i to Michael miał decydować, jak będzie dalej! Tak jak kazał zwyczaj! I jeśli chodzi o gotowanie, tkanie, walczenie i polowanie, to tu

zwyczaje Maorysów i *pakeha* były bardziej niż podobne. Michael postanowił omówić tę sprawę w następnym tygodniu.

Okazja do tego pojawiła się wtedy, kiedy Lizzie ważyła i wyceniała swoje wyplukane złoto. Trochę niechętnie przyznała, że było go już wystarczająco dużo. I chociaż będzie jej żal tego cudownego lata w górach, to nadszedł czas, aby zwinąć obóz.

– Dobrze, to pojedę na Canterbury Plains i rozejrzę się za ziemią – oświadczył Michael z bijącym sercem. Miał nadzieję, że nie dojdzie teraz do kłótni.

– Ty sam? – spytała Lizzie zdziwiona. – A czy nie powinniśmy zrobić tego razem?

Michael potrząsnął głową.

– Kochanie, przy twoim stylu jazdy! – Miał nadzieję, że jego pobłażliwy uśmiech złagodził nieco ostrość tych słów. – Za trzy tygodnie nie zajdziemy na Canterbury Plains!

Lizzie zmarszczyła czoło.

– Ale przecież możemy wziąć nasz wóz. Pojedziemy konno do Tuapeka i zaprzęgniemy Brownie do wozu. Mam nadzieję, że nie zapomniał, jak się ciągnie.

Michaela rozbawił ten sposób myślenia.

– To oczywiste, że koń nie zapomina, jak się chodzi w zaprzęgu! Ale wóz też spowolni naszą podróż. Sam, na siwku, zajadę tam szybciej.

Lizzie pograżyła się w myślach.

– A czy musimy się śpieszyć? – spytała. – Przecież jest luty, jesień dopiero się zaczyna. Uplyną jeszcze całe tygodnie, zanim zrobi się zbyt mokro i za zimno na jazdę po kraju. A drogi wokół Christchurch są teraz na tyle dobre, że odrobina deszczu nie przeszkodzi w podróży. No a jeśli chodzi o farmę – to i tak trzeba będzie znaleźć kogoś do zarządzania.

Michael czuł rosnącą irytację. Dobrze, nie sądził oczywiście, że ona natychmiast bez sprzeciwów zaakceptuje jego argumenty. Ale że znów miała już gotowe plany, to już było za dużo! On, Michael, nie potrzebował pomocy przy kupowaniu ziemi! Może ona już nawet wiedziała, jaka farma wchodziła w grę!

– Myślałem, że będę pertraktował bezpośrednio z Ngai Tahu – zauważył Michael.

Lizzie cierpliwie skinęła głową.

– To też jest jakaś możliwość. Ale zwłaszcza wtedy będziesz mnie potrzebował. Twój maoryski...

– O Boże, Lizzie, nie rozumiesz, że ja choć raz chciałbym coś sam zrobić? – wyrwało się Michaelowi. W jego oczach błysnął gniew. – Jeśli ty pojawisz się u Maorysów, to znów rozścielą przed tobą czerwony dywan, będą śpiewać i tańczyć do upadłego, a potem pewnie złożą ci swoją ziemię u stóp!

Lizzie nie zrozumiała.

– No i? – spytała. – Co w tym złego? Jak dadzą nam dobrą cenę dlatego, że mam

przyjaciół w ich szczepach, to przecież tym lepiej. Będziemy mogli kupić więcej owiec, zbudować piękny dom i...

– A jeśli ja chciałbym mieć taki dom, który już stoi? – spytał Michael przekornie.

– No to nie powinieneś pertraktować z Maorysami, oni mieliby do zaoferowania najwyżej dom zebrań! – zaśmiała się Lizzie. – Co się dzieje, Michael? Coś cię zirytowało?

– Zirytowało? Mnie? Przecież nie pozwolisz, aby rzecz zaszła tak daleko, że mógłbym się zirytować! Zanim ja zdążę się o coś zatroszczyć, to okazuje się, że ty dawno już wszystko załatwiłaś! Nie możesz choć raz trzymać się z boku? Nie możesz pozwolić, abym choć raz ja coś sam zrobił?

Lizzie sprawiała wrażenie urażonej. Najwyraźniej nie rozumiała, o co mu chodzi.

– Ależ Michael, chcemy przecież oboje mieszkać w tym domu. A ziemia ma być dla naszych dzieci. Dlaczego więc chcesz sam...

– Bo takie są obyczaje, Lizzie! – wykrzyknął Michael. – *Tikanga*, jeśli wolisz! To mężczyzna prowadzi kobietę do swojego domu. Mężczyzna buduje gniazdo, a kobieta wysiaduje, rozumiesz?

Lizzie potrząsnęła głową. Na jej czole pojawiły się zmarszczki.

– Ja mam... wysiadywać? Ależ Michael, przecież dotychczas wszystko robiliśmy razem!

Michael poderwał się z miejsca – ta uwaga trafiła w jego czuły punkt.

– Nazywasz to „razem”? Kiedy ty postanawiasz, a Michael tańczy? Działanie razem w moim pojęciu wygląda inaczej!

I nagle zaczął pakować swoje rzeczy.

A cierpliwość Lizzie w tym momencie się skończyła. Jeśli on koniecznie chciał się kłócić...

– No, jak dotychczas moje pomysły nie były takie złe – stwierdziła ostro. – Gdybyś teraz dysponował jedynie sześcioma uncjami złota i chciał budować gniazdo...

– Wiedziałem, że mi to prędzej czy później wypomnisz! – Michael chaotycznie pakował odzież do juków. – Ale teraz moja kolej, Lizzie! To ja jestem farmerem! To ja znajdę nasz dom i naszą ziemię, ja kupię zwierzęta, ja...

– No, mam nadzieję, że znasz się na wełnie lepiej niż na złocie – odparowała Lizzie. – Bo ja nie mam ochoty ciągle sprzątać gnoju po owcach. Mnie wystarczy, że wciąż muszę sprzątać po tobie i pilnować ciebie! I walczyć z twoimi głupimi pomysłami! Poczynając od śmiesznych planów płynięcia z Australii łódką, a skończywszy na zamieszaniu wokół Mary Kathleen!

Michael popatrzył na nią z wściekłością.

– Tego ciągle nie możesz mi zapomnieć, prawda, Lizzie? Że byłem na tyle bezczelny, aby odważyć się spojrzeć na jakąś dziewczynę, zanim spotkałem ciebie! W dodatku na taką, która była o całe nieba lepsza od ciebie! Piękna, łagodna

i cnotliwa!

Lizzie się wyprostowała. Początkowo nie przypisywała tej kłótni zbyt wielkiego znaczenia. Ale teraz w jej niebieskich oczach także błysnęła wściekłość.

– To w takim razie nie kupuj sobie domu, Michael! Lepiej weź te pieniądze i ufunduj kościół! W intencji duszy twojej cudownej Mary Kathleen! Może uda ci się ogłosić ją świętą? Ale to na pewno kosztuje więcej niż sześć funtów złota. A więc będziesz musiał ostrzyc jeszcze kilka owiec albo złowić ze dwa wieloryby czy też spróbować zrobić cokolwiek, abyś mógł zostać bogatym człowiekiem bez mojej pomocy! Wynoś się do diabła, Michaelu Drury! I wracaj dopiero wtedy, kiedy wszystkie twoje duchy znajdą się tam, gdzie ich miejsce!

Michael zagryzł wargi. Oczywiście, że ona miała rację, posunął się za daleko. Nie wolno mu było nigdy porównywać jej z Kathleen. Już nigdy...

– Lizzie... Lizzie, przepraszam... Przecież cię kocham. – Chciał ją objąć, ale Lizzie go odepchnęła.

– Nie wierzę ci, Michael! – powiedziała spokojnie. – Tobie się tak wydaje, ale w gruncie rzeczy... Ja zawsze byłam kimś w rodzaju zapchajdziury. A z twoim duchem nie mogę konkurować. A więc wynoś się, Michael! Poszukaj sobie domu, zbuduj gniazdo albo kościół, a może stajnię dla owiec – możesz wziąć wszystkie pieniądze, oprócz oczywiście udziału Ann. Ja wypłuczę jeszcze trochę złota, a potem...

– Lizzie, nie odchodź! – powiedział błagalnie Michael. – Nie miałem nic złego na myśli, nie chciałem cię stracić, ja... ja tylko chciałem zrobić coś samemu, ja...

Lizzie czuła w sobie mądrość starej Haingi. Teraz mogła tylko powiedzieć Michaelowi na drogę kilka ostatnich słów od siebie.

– A więc idź, Michaelu, i zbuduj swoje *mana* – westchnęła. – Jeśli to akurat jest to, co musisz zrobić. Może zbudujesz je w imię duchów, kto wie? Ja zostanę ze szczepem. Hainga prosiła mnie o to, więc zrobię jej tę przyjemność. Może będę mogła się czegoś nauczyć. Ale nie zostanę dłużej niż kilka miesięcy, Michael! Może do następnej zimy. Jeśli do tego czasu nie wrócisz – wolny od ducha Mary Kathleen – to wówczas poszukam sobie innego celu w życiu.

Lizzie nie pozwoliła, aby ją pocałował na pożegnanie. Siedziała bez słowa, patrząc, jak on zbiera swoje rzeczy i siodła siwka. I dopiero kiedy usłyszała, jak odjeżdża, zaczęła szykować się do wycieczki w stronę wsi Maorysów. Rozmyślała o tym, jak prowadziły ją duchy. Mieszkać i żyć wśród Maorysów – to mogła zrobić już dziesięć lat temu. Myślała o Kahu Heke, dla którego była królową. On pewnie już od dawna był wodzem. I ciągle jeszcze nie było otwartej wojny między Maorysami a *pakeha*.

## ROZDZIAŁ 3

Kahu Heke nie został jeszcze wybrany na wodza. Jedną z przyczyn było to, że jego wuj Kuti Haoka był w dobrym zdrowiu i ciągle mógł stać na czele szczepu Ngati Pau. Przede wszystkim jednak Kahu Heke miał za sobą burzliwe lata, w czasie których jego drogi rzadko prowadziły do siedziby szczepu i nigdy nie pozwalały mu tam zostać na dłużej. Pożegnanie z Lizzie mocno nim wstrząsnęło. Jeszcze długo po jej ucieczce w kanu wodza miał przed oczami jej obraz – miękkie, długie włosy, ciepły uśmiech i niebieskie oczy, tak zupełnie inne niż ciemne przeważnie oczy dziewcząt z jego szczepu. Dla Kahu w oczach Lizzie odbijało się niebo wiosennego dnia – jeszcze nie tak błękitne jak latem, ale mimo to zamknięta w nich była jakaś obietnica. Kochał jej łagodność, jej odwagę i gotowość oddania. Kahu Heke wiedział, że był w jej życiu inny mężczyzna. Żadna dziewczyna nie mogłaby żyć w takim odosobnieniu jak Lizzie przez te lata u Busbych, gdyby nie marzenia. Piękne albo zniszczone marzenia... Kahu widział to w jej oczach. Ale ona nigdy nie mówiła o tym mężczyźnie i kiedyś pewnie musiała o nim zapomnieć.

W czasie pierwszych lat po tym, jak odwiózł Lizzie na Wyspę Południową, Kahu nie pragnął niczego innego, jak zająć w jej sercu miejsce tego obcego człowieka. Aby zbliżyć się do niej duchowo, udał się do *pakeha*. Starał się o pracę na ich farmach, a na koniec nawet w winnicy, co tyle znaczyło dla Lizzie. Bez żadnych trudności znalazł pracę u Busby'ego, ale kiedy po raz pierwszy skosztował jego wina, zrozumiał, że w tej winnicy niczego się nie nauczy. Ten kwaśny płyn nie smakowałby także Lizzie, to musiało być coś innego. Kahu pojechał więc dalej, do Auckland, gdzie *pakeha* zbudowali wspaniałą i kwitnącą społeczność. Z krwawiącym sercem zainwestował połowę swego miesięcznego zarobku w butelkę dobrego francuskiego bordo – i wówczas zdołał zrozumieć, co tak fascynowało Lizzie w uprawie winorośli. Ciemnoczerwone wino miało ziemisty smak, ale dawał się w nim wyczuć aromat jakichś dojrzałych owoców, jagód czy też jabłek. Wino było aksamitnie miękkie – jak pocałunek. Może to właśnie tak fascynowało *pakeha*.

Kahu w każdym razie dostrzegł wyraźne różnice między tym, co pił, a wyrobami Busby'ego, po czym postarał się, aby go wpuszczono do biblioteki nowo założonego uniwersytetu i szybko się dowiedział, że jakość wina tylko częściowo zależy od jego producenta. Busby mógł przy tłoczeniu swoich win robić wszystko jak najbardziej prawidłowo, ale dużą rolę odgrywały także winne krzewy oraz gleba, w jakiej rosły. Wszystko to musiało ze sobą harmonizować, aby w efekcie wino miało swój szczególny, niepowtarzalny aromat; swój udział miały w tym także słońce i deszcz.



Kahu doszedł do wniosku, że konieczne są wieloletnie próby uprawiania różnych gatunków winnych krzewów oraz wyboru właściwego momentu winobrania, aby połączyć glebę jego ojczyzny i odpowiedni gatunek winorośli, tak by efekt był podobny do pocałunku bogów. Busby'emu brakowało koniecznej do tego cierpliwości i fantazji. Lizzie miała zapał, ale brakowało jej umiejętności i wiedzy. A Kahu brakowało wszystkiego razem. Mimo radości, jaką sprawiał mu pocałunek bogów – jeśli chciał, aby zaszumiało mu w głowie, to wystarczyło wypić kilka szklanek piwa. A kiedy wypił ich jeszcze więcej i spotykał dziewczynę, która mu ulegała, to był w stanie sobie wyobrazić, że trzyma w ramionach Lizzie.

Praca ze zwierzętami odpowiadała Kahu o wiele bardziej niż winiarstwo i uprawa ziemi – to ostatnie w jego szczepie i tak należało głównie do obowiązków kobiet, podczas kiedy mężczyźni zajmowali się polowaniem. Jakiś czas Kahu pracował na owczej farmie koło Auckland i doskonale sobie tam radził, ale praca dla *pakeha* go nie zadowalała. Kahu Heke interesowały przede wszystkim prawa jego ludu. Żałował teraz, że w młodości nie znalazł w sobie tyle cierpliwości, aby nie odrzucać kształcenia się w szkołach białych ludzi i kontynuować je. Najlepsze byłyby z pewnością studia prawnicze, aby móc pokonać *pakeha* ich własną bronią, czyli prawem i słowem.

Kahu był mistrzem *whaikorero*, krasomówstwa. Potrafił się oburzać na niesprawiedliwości, jakich doznał jego lud ze strony przybyszów ze Starego Świata, ale nie znajdowało to oddźwięku w szczepach. Jeśli Maorysi i *pakeha* się zwalczyli, to zwykle z powodu jakichś drobnych, pojedynczych problemów, a taki spór kończyły natychmiast *iwi* i *hapu*, kiedy tylko dochodziło do pojednania. Tubylcom odpowiadało to, że biali rządzą w miastach zgodnie ze swymi zasadami. Wystarczyło, że oni sami mogli żyć w swoich wsiach podług własnych obyczajów. Kahu Heke był jednak bardziej dalekowzroczny, studiował historię Europy i przewidywał katastrofę. Biali ludzie traktowali życzliwość jako słabość – i także w Nowej Zelandii nie miało być inaczej niż w ich starej ojczyźnie. Pozwalali Maorysom żyć, dopóki nie potrzebowali ich terenów. Ale tych będą potrzebowali, i to coraz więcej – Kahu widział statki w portach i rozrastające się miasta – i przypuszczał, że kiedyś *pakeha* położą rękę na ziemi jego ludu. Kahu chętnie przygotowałby na to swój lud, ale nikt go nie słuchał.

Od czasu do czasu docierały do niego jakieś wieści o Lizzie. Zadanie, którego się dobrowolnie podjął, a mianowicie sprawowanie funkcji pośrednika między szczepami i demaskatora niezbyt czystych interesów *pakeha*, pozwalało mu też utrzymywać kontakty z Ngai Tahu – w ten sposób dowiedział się o pubie Lizzie i o gorzelni whiskey Michaela w Kaikourze. Kahu chwilami ogarniało rozbawienie – zachwycała go umiejętność Lizzie, by się dopasować i odnaleźć w każdej sytuacji. Jak nie było wina, to pędziła whiskey – albo przekonywała do tego mężczyznę, z którym

była. Maorysi twierdzili jednak, że nic nie było między Lizzie a irlandzkim postrzygaczem owiec, zarazem gorzelnikiem pędzącym whiskey. Kahu się zastanawiał, czy to była prawda.

W końcu się dowiedział, że oboje pojawili się nad Tuapeka River. Minęło już jednak tyle czasu, że obraz Lizzie, który stale miał przed oczami, nieco zbladł i nie był już tak wyraźny. Powoli zaczynał się godzić z tym, że znikła z jego życia – zwłaszcza że pojawiły się nowe cele. Kuti Haoka był już stary. Wkrótce będzie musiał przekazać swą godność wodza komu innemu i była to jedyna szansa Kahu Heke, aby zyskać więcej wpływów wśród swojego ludu. Kahu wrócił więc do swego szczepu, polował, łowił ryby, doradzał wojownikom i opowiadał różne historie. Jego *mana* rosło, a serce biło szybciej, kiedy któregoś dnia wódz wezwał go do siebie.

– Mój synu – powiedział Kuti Haoka. Zaprowadził siostrzeńca powyżej swego *marae* i zwrócił ku niemu dumną, wyprostowaną postać. Miał przy stopach insygnia wodza, symbolicznie łączące go z ziemią. Kahu stał w pewnym oddaleniu od niego – wódz Ngati Pau był *tapu*, nawet jego cień nie mógł paść na któregoś z członków szczepu.

– Znam cię od chwili twojego narodzenia, ale ciągle nie wiem, co mam o tobie myśleć. Wydaje mi się, że nie możesz się zdecydować, czy chcesz żyć wśród *pakeha*, czy też z nami, ale kapłani mówią, że taki jest twój los, że jesteś przeznaczony do tego, aby być wędrowcem między dwoma światami. Czas jednak, abyś gdzieś osiadł. Jestem stary, wkrótce wrócę do Hawaiki. Ktoś musi stanąć na czele szczepu i byłaby kolej na ciebie. Cóż więc z tobą jest? Co jest z kobietą, którą wybrałeś? Bogowie z radością przyjmą twój wybór, kapłani pytali ich o to wielokrotnie. Nad waszym losem jest jeszcze ciemność, ale ten związek jest pobłogosławiony. A więc gdzie ona jest? Kiedy ją tutaj przyprowadzisz? Kiedy przejmiesz moją rolę?

Kahu Heke liczył się z czymś podobnym, jedynie pytania o kobietę, którą wybrał, nieco go zirytowały.

Zagryzł wargi.

– *Ariki*, jaka kobieta? – spytał. Sam sobie wydał się w tym momencie głupi i arogancki.

Wódz uniósł w górę brwi.

– Kobieta *wahine*, któżby inny? Dałeś sobie wiele czasu i jej także. Wkrótce nie będzie mogła rodzić dzieci.

Kahu nie wiedział, co ma odpowiedzieć.

– *Ariki* – wymamrotał w końcu. – Nie widziałem jej od lat. Ona nie myśli o mnie i mnie nie chce. Jeśli będę wodzem, wezmę sobie dziewczynę ze szczepu.

Kuti Haoka potrząsnął głową z długimi, związanymi w węzeł wojownika włosami.

– To nie jest po myśli duchów. Gdyby bogowie obdarzyli mnie córką, mógłbyś ją wziąć za żonę. Kiedy adoptowałem dziewczynkę, bogowie zesłali na nią śmierć.

Także mojemu bratu Hone Heke nie dali córki, nie jest ci więc pisane, abyś pojął za żonę siostrę, jak bywało dawniej. Jest ci przeznaczona kobieta *wahine*. A więc znajdź ją, abyś mógł objąć mój urząd. Jeśli tego nie zrobisz... znajdzie się ktoś inny. *Kia tu tika ai te whare tapu o Ngati Pau*.

Wódz zakończył swoją mowę tradycyjnymi słowami: „niech święty dom Ngati Pau trwa zawsze”, po czym odwrócił się i odszedł powoli, ostrożnie i czujnie, jak zawsze. Jego cień nie mógł paść na żadne pole, żadna gałąź drzewa nie mogła dotknąć jego włosów. *Ariki* wiódł bardzo samotne życie.

Ale Kahu nie myślał o tym. Było jego obowiązkiem dążyć do objęcia urzędu wodza. I to nie tylko wobec swojego szczepu, lecz także wobec całego ludu. *Ariki* Ngati Pau słuchaliby wszyscy, w maoryskich wsiach i w miastach *pakeha*. Znow przemknęła mu przez głowę myśl, aby postarać się o to, by wybrano go *kingi* – a może powinien starać się o córkę obecnie urzędującego *kingi*? Ale to wszystko było pieśnią przyszłości. A jeśli chodziło o pierwszą kobietę Kahu, wódz wyraził się jasno. Duchy Ngati Pau upierały się przy jego związku z Elizabeth. Teraz musiało mu się udać przekonać do tego pomysłu Lizzie. Kahu przywołał w pamięci jej twarz i delikatną postać. Gwizdał jakąś melodię, wracając do wsi. Rzadko się zdarzało, aby wola bogów i człowieka zgadzały się ze sobą.

Kahu Heke tym razem nie wziął kanu wodza, aby opłynąć Wyspę Północną. Przewędrował całą wyspę, rozmawiał z przedstawicielami różnych szczepów i zapewnił ich o swych pokojowych zamiarach – jako gość i jako późniejszy *ariki* swego szczepu. Doszedł wreszcie na jej południowy kraniec, do szczepu Ngati Toa, i z jego pomocą najkrótszą drogą dotarł na Wyspę Południową. *Powhiri*, ceremonia, która na Wyspie Południowej była tradycyjną zabawą, tu mogła być bardzo poważna i pełna goryczy. Szczepy na Te Ika-a-Maui zawsze się zwalczały. Kahu był zdecydowany zjednoczyć je przeciwko *pakeha*. Maorysi musieli wzmocnić swoją pozycję na dobre i na złe, na czas wojny i pokoju! Kahu wiedział, że Kuti Haoka miał nadzieję, że nastanie pokój. Pokojowi i dążeniu do niego było poświęcone całe jego życie, choć często miał dość tej walki. I z pewnością próba połączenia krwi maoryskiej z krwią białych poprzez małżeństwo kogoś z Ngati Pau z białą kobietą mogła być rozwiązaniem pokojowym. Przy czym *ariki* i jego *tohunga* niekoniecznie dzielili marzenia Kahu, aby poprzez wspólne wystąpienie razem z Lizzie wyprostować kręte ścieżki wiodące do rokowań pokojowych. Starszyzna szczepu myślała raczej o kolejnych generacjach. Przemawiała za tym uwaga Kuti Haoka na temat wieku Lizzie, że ona teraz miała już około trzydziestu lat i wobec tego należało szybko splodzić z nią dzieci.

Po burzliwej, choć krótkiej podróży przez morze Kahu Heke nieśpiesznie wędrował przez Wyspę Południową, oglądał osiedla *pakeha* i stwierdził, że są one mniejsze i spokojniejsze niż miasta na Wyspie Północnej. Oczywiście Christchurch

i Dunedin stale rosły, ale w porównaniu do Wellington i Auckland były to niemal wsie. Prawie nie dochodziło też do żadnych sporów między Maorysami a *pakeha*. Ngai Tahu trzymali się przeważnie z daleka od miast i nie byli niezadowoleni z ceny, jaką otrzymywali za sprzedaż swoich terenów. Farmerzy na Canterbury Plains zatrudniali Maorysów jako pasterzy i przestrzegali ich *tapu*. Kraj był dostatecznie rozległy i duży, po co było wszczynać konflikty, aby osiedlić się akurat na tym wzgórzu czy karczować ten las, kiedy jedno i drugie dla Maorysów było święte?

A Ngai Tahu przyswoili sobie sposób życia białych. Nosili ich ubrania, wysyłali swoje dzieci do szkół misyjnych i nawracali się, czasami połowicznie, na chrześcijaństwo. Tylko nieliczni przedstawiciele młodszej generacji nosili *moko*, surowe zwyczaje dawnych czasów ulegały zapomnieniu. Nikogo nie obchodziło to, na kogo i gdzie pada cień ich wodza.

Kahu szybko zrozumiał, że Ngai Tahu z pewnością nie dadzą się przekonać do tego, aby wszcząć powstanie. W końcu Kahu dotarł też na złotonośne pola Otago i był oburzony z powodu zniszczenia krajobrazu. Nie zatrzymał się tutaj, lecz od razu udał się w góry. Wiedział, że gdzieś w tej okolicy żyje jeden ze szczepów, który przyjął do siebie Lizzie.

Wieś Ngai Tahu okazała się położona bardzo na uboczu. Nawet tak doświadczony maoryski wojownik jak Kahu błędził jakiś czas, zanim znalazł osiedle. W końcu spotkał maoryską dziewczynę, która zaprowadziła go do swoich krewnych. Haikina, córka *tohunga* Haingi, mieszkała kilka lat w Dunedin i uczęszczała do szkoły misyjnej. Teraz była w drodze powrotnej do wsi. Kahu szedł za wysoką, szczupłą dziewczyną krętymi ścieżkami wzdłuż potoków i rzeki. Haikina miała na sobie odzież białej kobiety, ale teraz zdjęła buty i bez żadnych zahamowań podwiązała spódnicę, aby móc się lepiej poruszać w lesie. Kahu stwierdził, że wprawdzie uczyła się u białych, ale nie dała się całkowicie zasymilować. Przyjemnie było z nią rozmawiać, oboje byli byłymi uczniami szkół misyjnych i śmiejąc się, wymieniali uwagi na temat *pakeha*, ich duchownych i nauczycieli. Haikina także się ochrzciła, ale była sceptyczna, jeśli chodziło o bogów białych ludzi. Kahu spytał w końcu o Lizzie, ale dziewczyna słyszała tylko w obozie poszukiwaczy złota, że jakaś biała kobieta płukała złoto w pobliżu wsi. Więcej nie wiedziała, nie było jej prawie rok we wsi szczepu.

Powitanie Haikiny przez matkę i przyjaciółki było też odpowiednio radosne. Nawet wódz powiedział do niej kilka słów. Dziewczyna miała dość wysoką pozycję jako córka *tohunga*, do niej miały kiedyś należeć ważne praktyczne i duchowe zadania wspólnoty. Hainga też nie dała jej odpocząć, lecz od razu przydzieliła jej decydującą rolę w ceremonii *powhiri*, która była powitaniem Kahu we wsi. Haikina nie była z tego zadowolona. Oświadczyła, że nie tańczyła *haka* już cztery lata, ale Hainga nie ścierpiała sprzeciwu. Gość był przyszłym wodzem – miał prawo widzieć wśród

witających księżniczkę.

Kahu niezbyt chętnie zniósł modlitwy, tańce i śpiewy. Wolałby, aby zaraz po przybyciu ktoś zaprowadził go do obozu Lizzie. Ale oczywiście byłoby to bardziej niż nieuprzejme, na Wyspie Północnej potraktowano by to nawet jako przejaw wrogości. Kahu wziął więc udział w ceremoniach i zaczął wygłaszać mowę powitalną. Spojrzał przy tym na grupę tańczących i grających na różnych instrumentach dziewcząt – i znieruchomiał. Między Maoryskami stała *pakeha*. Drobną kobietą, która nikogo nie przewyższała wzrostem. Kahu zobaczył jej delikatne, lekko kręcone ciemnoblonde włosy. Jasnoniebieskie oczy jak niebo wiosną lub jak morze w pochmurny dzień. Serce zabiło mu mocno. Lizzie, jego Elizabeth, stała obok dziewcząt i biła brawo tancerkom. Kahu z trudem dotrwał do końca ceremonii.

– Kto to jest? – spytał ze zdziwieniem Mahuikę, uczennicę Haingi. To ona miała zaszczyt wydać z siebie okrzyk *karanga* i podawała gościowi pierwsze kęsy jedzenia.

Młoda kapłanka się uśmiechnęła.

– To Erihapeti – powiedziała przyjaźnie. Ngai Tahu mieli dla każdego imienia *pakeha* swoje własne odpowiedniki. – A więc to z twojego powodu nad nią ciągle są chmury. Tak przynajmniej mówi Hainga...

– Ja znam tę kobietę – wyznał Kahu. – Ale co ona tu robi?

Kahu dotychczas nie za bardzo wierzył w to, że duchy mieszają się w życie ludzi, ale teraz wydało mu się to oczywiste.

– Ona czeka – oświadczyła Mahuika. – Ona czeka na pewnego mężczyznę.

Kahu dotknął ręką czoła. To nie mogło być...

– Chodź, skąd ona mogła wiedzieć, że przyjdę?

Mahuika się roześmiała.

– Ona czeka na pewnego *pakeha* – sprecyzowała. – Ona jest z nim... zaręczona.

Mahuika użyła tu angielskiego słowa, bo w języku maoryskim nie było jego odpowiednika.

Kahu zacisnął wargi.

– Ja przyszedłem, aby ją zabrać – powiedział. – *Tohunga* Ngati Pau chętnie widziałaby ją u mego boku.

Młoda uczennica *tohunga* uniosła brwi w zdumieniu.

– Tak? Ona chyba jest innego zdania. A gdzie widzi ją jej mężczyzna, tego nikt nie wie. Hainga tak powiedziała... Chmury. Jej los jest niejasny. A więc nie ma powodu, aby nie próbować szczęścia.

Kahu właściwie nie miał nadziei, że zaraz pierwszego wieczoru uda mu się podejść do Lizzie. Szanowany gość, w dodatku o tak wysokiej pozycji jak przyszły wódz Ngati Pau, prawie nie stykał się ze zwykłymi członkami szczepu. Ale ku jego zdziwieniu Lizzie wciągnięto do kręgu starszyczyny i *tohunga*. Zastanawiał się, czy spytać o to Haingę albo wodza, ale dostrzegł na twarzy Lizzie, że znalezienie się

w tym gronie było dla niej nieprzyjemne. Zawsze umiał dobrze interpretować jej myśli i uczucia – o wiele lepiej niż uczucia kobiet z własnego szczepu. Ale w jaki sposób ona zdobyła tak wysoką pozycję w szczepie? I dlaczego fakt, że siedziała wśród starszyny, był dla niej nieprzyjemny? Kahu usiadł koło niej i podał jej coś z potraw, które pieczono i rozdzielano przy ognisku. Aż do tej chwili niczego sama nie wzięła, była więc wyraźnie onieśmielona. Ale obojętnie z jakiego powodu, to dobrze, że szczep tak ją poważał i szanował. Plany Kahu stawały się w tym momencie proste.

– Elizabeth, jesteś tak samo piękna jak wtedy, kiedy przywiozłem cię na Te Waka-a-Maui – powiedział przyjaźnie w swoim języku. – Miałem nadzieję, że staniesz się tą, którą jesteś, i tak się stało. Nawet jeśli nie chciałaś.

Lizzie wzruszyła ramionami. Była zdenerwowana, wyraźnie nie chciała siedzieć obok niego. Pozostałe dziewczęta patrzyły na nią badawczo. Kahu powinien był zalecać się do Haikiny albo do jednej z córek wodza, a nie do niej.

– Hainga widzi w tym działanie duchów – powiedziała.

Kahu się roześmiał.

– A *pakeha* mówią: człowiek strzela, a Pan Bóg kule nosi.

Lizzie się uśmiechnęła. Zapomniała już, że potrafił być cięty jak osa – i że był urzekającym *pakeha*! W ostatnich tygodniach brakowało jej tego typu słownych utarczek. Maorysi wydawali jej się mało błyskotliwi, ich humor był bardziej dosadny i chwilami nawet ordynarny w porównaniu z dowcipem białych. Choć przyczyną mogła być także jej niedostateczna znajomość ich języka. Być może nie chwycyła jeszcze wszystkich niuansów.

– Od kiedy to Kahu Heke powtarza słowa *pakeha*? – droczyła się z przyszłym wodzem. – Czy nie zamierzałeś ich wszystkich wypędzić z Aotearoa?

Kahu wzruszył ramionami.

– Jest ich już zbyt wielu – stwierdził. – A mój lud nie dostrzega niebezpieczeństw, które oni ze sobą niosą. Ale teraz opowiedz mi o bogach. Powiedziano mi, że masz narzeczonego?

Lizzie skinęła głową, ale oczy miała smutne.

– Mam nadzieję – odpowiedziała. – Ale on wyjechał.

Czemu właściwie miałyby robić z tego tajemnicę? Kahu i tak dowiedziałby się o jej związku z Michaeliem tyle, ile wiedzieli o nim Ngai Tahu.

– Właściwie chciał kupić dla nas dom, ale teraz...

– Czy Kupe wróci? – spytał Kahu z kpiącym uśmiechem.

Był to maoryski odpowiednik powiedzenia: „możliwe, że widziałas go po raz ostatni”. Zwrot odnosił się do Kupe, pierwszego osadnika na Nowej Zelandii. Obiecał on swoim przyjaciółom na Hawaiki, że wróci, czego jednak nigdy nie zrobił.

Lizzie pograżyła się myślach. Akurat zaczęła czuć się dobrze w towarzystwie Kahu.

Pozostali członkowie szczepu znów śpiewali i tańczyli, nie zwracając uwagi na Lizzie i przyszłego wodza – przynajmniej pozornie.

– Co to ma znaczyć? – spytała nieufnie. – Stale przypominasz o tym Kupe i jego Kurze-marō-tini, jeśli mowa o mnie.

Najwyraźniej nie znała tego powiedzenia, choć jej maoryski był teraz o wiele lepszy.

Kahu się roześmiał.

– Bo za każdym razem, kiedy się widzimy, mam ochotę cię uprowadzić! – dokuczył jej.

Zgodnie z legendą Kura-marō-tini należała już do innego mężczyzny i Kupe zabił jej męża, a ją uprowadził. W czasie ucieczki odkryli Nową Zelandię – Aotearoa.

– No, tak często się nie widujemy – zauważyła Lizzie i wypła łyk z butelki, którą podał jej Kahu.

Przyniósł ze sobą dwie butelki, które ponoć zawierały whiskey, i krążyły one wśród Ngai Tahu. Lizzie przekazywała je dalej, nie pijąc – whiskey zawsze przypominała jej Michaela, jej pub w Kaikourze oraz ich wspólne lato na złotonośnych polach. Teraz jednak się skusiła. Ta whiskey smakowała inaczej niż wyroby Michaela. Tylko duchy wiedziały, z czego była pędzona.

– Opowiedz mi, co się u ciebie działo, Kahu Heke. Czy jesteś już wodzem? A masz żonę – albo może nawet kilka? I dzieci?

Kahu potrząsnął głową.

– Pracowałem u *pakeha*. Ostatnio nawet u twojego Mr Busby'ego.

Oczy Lizzie aż rozbłysły, kiedy Kahu opowiadał o winnicy. Przez długą, czarowną godzinę poświęcała mu całą swą uwagę – i stwierdziła, że jej wnioski na temat uprawy winorośli były podobne do tych, do których on doszedł, studiując książki na uniwersytecie w Auckland.

– Nawet próbowałem przekonać Mr Busby'ego, że może inne gatunki winogron udawałyby się lepiej na tej glebie. Ale on był uparty i oświadczył, że riesling rośnie w Europie w podobnych warunkach i dlatego on będzie go sadił w Nowej Zelandii. Miał na myśli tylko pogodę. Wszystko inne... Hainga powiedziała, że Mr Busby nie słuchał szeptu bogów.

Kahu się uśmiechnął, a Lizzie przyszło do głowy, że jego tatuaże już jej nie przeszkadzają. W ciągu ostatnich miesięcy tak się do tego przyzwyczaiła, że symbole szczepu na twarzach starszych Maorysów już jej nie raziły.

– Chyba stałem się jeszcze bardziej *pakeha* w tych latach – stwierdził Kahu Heke. – Za to ty stałaś się Maoryską. Szept bogów... Myślałem o pocałunku, kiedy kosztowałem naprawdę dobrego wina.

Lizzie uniosła brwi.

– Pocałunek... To musiało być ciężkie czerwone wino, prawda? To prawda, bordo

rozlewa się na języku jak... jak pieszczota.

Zaczerwieniła się.

– Mam jeszcze ostatnią butelkę w moim namiocie – powiedziała rzeczowo. – Ale to lekkie wino, z Włoch. Możemy je razem wypić. Zobaczymy, jak ci będzie smakować, ja wyczuwam w nim brzoskwinie... może nawet trochę miodu.

Na twarzy Lizzie znów pojawił się wyraz rozmarzenia, który Kahu widział u niej tylko wtedy, kiedy była mowa o winie. Właściwie taki wyraz twarzy powinna mieć na myśl o tamtym mężczyźnie. Choć rzekomy narzeczony w tej chwili był raczej sprawcą jej smutku. Kahu był zdecydowany wykorzystać tę szansę.

– Zobaczymy. Chętnie je z tobą wypiję... A potrafisz jeszcze, *wahine pakeha*, łowić ryby tak, jak ci to kiedyś pokazaliśmy? – Kahu lekko, jakby przypadkiem, pogłaskał jej dłoń.

Lizzie się roześmiała, ale cofnęła palce. Nie sprawiała wrażenia wystraszonej, lecz raczej niezdecydowanej. Nie było to zdecydowane „nie”. Kahu czekał na odpowiedź.

– Tego nie można się oduczyć – odparła. – Wręcz przeciwnie. Ja... ja mam teraz o wiele więcej wprawy.

Kahu zmarszczył czoło.

– Uwierzę ci dopiero wtedy, jak zobaczę! – drażnił się z nią. – Pokażesz mi jutro? W twoim strumieniu, tam, gdzie płukałaś złoto.

Po twarzy Lizzie przemknął cień. Ona nie tylko płukała tam złoto, lecz była szczęśliwa z Michaelem. A teraz Kahu chciał tam z nią iść. Kahu, który najwyraźniej coś do niej czuł, w końcu flirtował z nią od chwili, kiedy koło niej usiadł. Lizzie nie za bardzo wiedziała, czy będzie chciała pokazać innemu mężczyźnie swoje złotonośne pole. Ale właściwie nie mogła też powiedzieć „nie”. Kahu Heke był starym przyjacielem, a w dodatku bardzo szanowanym gościem szczepu.

– Możemy zabrać twoje wino – kusił Kahu.

Lizzie zeszywniała.

– Nie... tam – odpowiedziała wymijająco. – Droga... droga do góry jest trudna, nie powinniśmy się upijać.

Kahu nie sądził, że można się upić połową butelki wina, ale w każdym razie nie odmówił mu i zgodnie z jego życzeniem zamierzała spędzić z nim następny dzień. Właściwie było mu wszystko jedno, czy na złotonośnym polu, czy też gdzie indziej. Najważniejsze, że będzie ją miał tylko dla siebie.

– A więc żadnego wina. I żadnej whiskey. – Uśmiechnął się. – Ale jeśli bogowie zechcą nas oszołomić, Elizabeth, to jest to możliwe bez żadnego napoju!

Ale następnego dnia Kahu musiał się zdobyć na sporo cierpliwości. Poprzedniego dnia, w czasie święta, Lizzie pojawiła się jako maoryska dziewczyna. Ale teraz, kiedy miał być z nią sam, włożyła na siebie odzież *pakeha*, upięła włosy i ukryła je pod



słomianym kapeluszem. Zamiast tańczyć, kołysząc biodrami jak dziewczęta ze szczepu, szła zdecydowanym krokiem najpierw w górę rzeki, a potem jednego z potoków. Niewiele mówiła, a Kahu szedł za nią w milczeniu. Po dwóch godzinach marszu dotarli do skalnej formacji przypominającej gigantyczne igły i Kahu z przyjemnością osunął się w trawę. Lizzie się zatrzymała.

– Chcesz teraz łapać ryby? – spytała zachrypniętym głosem.

Kahu potrząsnął głową.

– Najpierw płukać złoto! – oświadczył. – Może znajdziemy olbrzymi samorodek i za jednym zamachem oboje zostaniemy bogaci!

Lizzie się uśmiechnęła.

– W ogóle nie wiedziałam, że ci polecono to robić. Czy wódz Ngati Pau jest bez środków do życia? Nawiasem mówiąc, muszę ci oddać te pieniądze, które mi wtedy pożyczyłeś. Ile żądasz odsetek?

Kahu machnął ręką lekceważąco.

– To był prezent, nie myśl o tym... A jeśli chodzi o mój lud: Ngati Pau sprzedali ziemię i mają dość środków do życia. Choć ja co prawda uważam to za błąd. Jak mnie dziś uczynisz bogatym, to ją odzyskamy...

Kahu przysunął się do niej bliżej. Nie mówił już o złocie, lecz o bogactwie innego rodzaju. Lizzie jednak tego nie dostrzegła. W tej chwili nie za bardzo zwracała uwagę na takie podteksty. Kahu się wydawało, że miska do płukania złota wibruje w jej rękach. Jeśli dotarła do skał i potoku, to chciała pracować.

– Robiłeś to już kiedyś? – spytała Kahu, a on w odpowiedzi wyznał jej, że jeszcze nigdy nie trzymał czegoś podobnego w rękach.

Lizzie westchnęła. Będzie więc musiała mu pokazać i trochę go pouczyć, w efekcie niewiele sama robi. A on tak niezgrabnie wymachiwał miską, że mało nie wpadł do potoku. Lizzie nie mogła się nie roześmiać. Wyjęła miskę z jego ręki i potrząsnęła nią wprawnym ruchem – ucieszyła się na widok niedowierzania, jakie pojawiło się na jego twarzy, kiedy na dnie pojawiły się ślady złota.

– Tak, też tak kiedyś patrzyłam! – zauważyła. – Złoto, zaraz przy pierwszej próbie! Nie wszędzie tak jest, Kahu. Wręcz przeciwnie. Często trzeba pracować cały dzień, aby wypłukać albo wykopać taką właśnie odrobinę.

– A wy robiliście to całe ubiegłe lato, tak? – spytał Kahu. – No to musisz być bogata.

Lizzie wzruszyła ramionami.

– Dałam wszystko to złoto Michaelowi – wyznała. – Na dom albo na kościół.

Westchnęła.

– Na kościół? – spytał Kahu, nie rozumiejąc. – Czy on jest duchownym?

Lizzie się roześmiała, ale w jej śmiechu był smutek.

– Ach, zapomnij, co mówiłam. W każdym razie on ma to złoto i mam nadzieję, że kiedyś z nim wróci, albo z jego równowartością.

Kahu się uśmiechnął, chcąc dodać jej otuchy.

– Jeśli nie, to możesz znów wypłukać trochę złota dla siebie – powiedział lekko. – Jak ci pomogę, to będzie szybciej!

Obejrzał dokładniej ślady złota w misce – drobniutkie, cienkie płytki.

– Piękne jest to wasze złoto. Błyszczą jak twoje włosy w słońcu.

Ostrożnie sięgnął ręką do miski, wydobyl kilka płytek, po czym zdjął kapelusz Lizzie, odrzucił go na brzeg potoku i wsypał płytki na jej włosy.

– Zwariowałaś? – roześmiała się Lizzie. – Wiesz, ile to jest warte?

– Na pewno nie tyle, ile jeden lok twoich włosów – powiedział łagodnie. – Włosy są święte, Elizabeth. We włosach wodza mieszka bóg Rauru.

– I co? – zakpiła. – W twoje już się wprowadził? Musisz uważać, żebyś go nie wycesał. A może wódz się nie czesze?

Kahu pozostawił tę kwestię otwartą.

– Gdybym go wycesał, to musiałbym go wciągnąć z powietrzem do płuc – wyjaśnił. – To się robi tak. – Przejechał ręką po jej włosach i głośno wciągnął powietrze, trzymając swoje palce przy nosie.

Lizzie zachichotała.

– Chcesz dalej płukać złoto czy łapać ryby? – spytała.

– A chcesz być bogata czy syta? – odparł.

Udała, że się zastanawia, i odpowiedziała po chwili:

– Bogata!

Kahu przewrócił oczami.

– *Pakeha...* Typowa *pakeha!* Co ja tu w ogóle mam robić?

– Łapać ryby! – roześmiała się Lizzie. – Jazda, ty zrobisz wszystko, abyśmy byli syci, a ja, abyśmy byli bogaci!

– Michaelowi to się nie podobało – powiedziała później w zamyśleniu, kiedy już jedli. Kahu nałapał ryb i upiekł je na ognisku razem z jadalnymi korzeniami i przyniesionymi warzywami. Wykorzystał do tego celu miskę do płukania złota, co znów rozbawiło Lizzie. Ale teraz siedzieli syci i zmęczeni przy ognisku i byli sobie tak bliscy jak wtedy, kiedy spędzali razem dzień i noc w kanu. Lizzie czuła instynktownie, że jego obietnica cały czas była aktualna. Nie dotknie jej, o ile ona tego nie zechce.

– Co mu się nie podobało? – dopytywał się Kahu, nie patrząc na nią.

– Że dzięki mnie staliśmy się bogaci. Najpierw dzięki pubowi w Kaikourze, a potem dzięki płukaniu złota. On wolałby to sam zrobić, a ja... ja miałam gotować i zajmować się domem. Tylko wtedy nie mielibyśmy domu. Michael... nie ma szczęścia.

Kahu zmarszczył czoło.

– Szczęścia? – spytał. – W tym momencie przychodzi mi do głowy inne przysłowie

*pakeha*, ale lepiej nie powiem, bo będziesz na mnie zła.

– To nie jest tak, że on jest leniwy! – broniła ukochanego Lizzie. – Tylko... on... on jest bardzo uczciwy, bardzo prostoliniowy. Tak, właśnie prostoliniowy. A ja... kiedyś mi powiedział, że mój sposób myślenia jest skomplikowany.

– W każdym razie ma problem z kobietą, która ma bardzo duże *mana*. To się często zdarza – stwierdził Kahu.

– Myślisz, że ja mam duże *mana*? – zdziwiła się Lizzie. Ta myśl nie przyszła jej jeszcze nigdy do głowy.

– Jak każda królowa, Elizabeth – roześmiał się Kahu. – Ale poważnie, Erihapeti, przecież nie mogłaś nie zauważyć, że witają cię jako wojowniczkę! Masz takie *mana* jak *tohunga*, czego nie może znieść twój ukochany. Jak wielu mężczyzn – Maorysów czy *pakeha*, tu prawie wcale nie ma różnic.

Kahu się przeciągnął. Oparł się plecami o skałę i patrzył na Lizzie z zamyślonym uśmiechem.

– Ale tobie by to nie przeszkadzało – stwierdziła Lizzie podejrzliwie. – To chciałeś przez to powiedzieć, tak?

Kahu spoważniał.

– Jeśli o mnie chodzi... – odpowiedział ostrożnie – to co innego.

Lizzie zastanowiła się przez chwilę.

– Oczywiście – stwierdziła. – Bo będziesz wodzem. I ożenisz się z kobietą, która ma duże *mana*.

Lizzie nic nie wiedziała na temat dynastycznych małżeństw w maoryskich szczepach, ale wychodziła z założenia, że wyglądało to podobnie jak w Anglii, gdzie zawierano związki małżeńskie tylko w obrębie swojej klasy społecznej. Dobrze pamiętała pewność siebie bogatych dziewcząt, które spacerowały po Piccadilly albo jeździły konno w Hyde Parku.

– To nie całkiem tak. – Kahu zagryzł wargi. Właściwie powinien był teraz opowiedzieć o współżyciu wodza z jego żonami, które w gruncie rzeczy prawie nie istniało. Wódz Ngati Pau był zawsze sam i tylko po specjalnych ceremoniach żona mogła przestąpić próg jego domu. Ale gdyby powiedział to Lizzie, ona dopytywałaby się dalej. I byłoby ją to przeraziło.

– Chodzi o to, że współżycie wodza z żoną... kształtuje się inaczej.

Lizzie zmarszczyła czoło, a potem się uśmiechnęła.

– Masz na myśli to, że jak ktoś ma większy dom i odpowiednio więcej służących, to jest ono bardziej skomplikowane – zinterpretowała. – To prawda. Busby'owie nigdy głośno się nie kłócili. On miał swoją pracę, a ona używała swojego *mana* wobec służących i dzieci. Patrząc na to w ten sposób, masz rację. Ale wobec tego Michael powinien lepiej sobie z tym radzić, gdybyśmy mieli wielką farmę. Mógłby komenderować pasterzami, a ja ograniczyłabym się do prowadzenia gospodarstwa.

Roześmiała się.

– Dzięki, Kahu, już mi lepiej. Nigdy nie sądziłam, że przyczyną jest moje *mana*, raczej myślałam, że Mary Kathleen.

To akurat nie był temat, którego życzyłby sobie Kahu Heke w tej rozmowie, ale przynajmniej dzięki temu Lizzie przestała zadawać niewygodne pytania.

Pozostała część dnia przebiegła w idealnej harmonii. Kahu pokazał Lizzie, jak zastawiać pułapki na ptaki, a ona wprowadzała go w tajniki sztuki płukania złota. Wieczorem Kahu upiekł na ogniu czerwono upierzonego ptaka, którego nazwał „weka”. Dopiero po zapadnięciu ciemności wrócili do wsi i oczywiście musieli wysłuchać docinków mężczyzn i kobiet, którzy w ich spotkaniu dopatrywali się znacznie więcej, niż o nim mówiono. Kahu był zadowolony z tego dnia, a przede wszystkim uszczęśliwiony, że Lizzie nie przerażała jego twarz. Jeśli nie obawiała się *moko*, to uda mu się ją zdobyć. Oby tylko ten Michael nie wrócił.

## ROZDZIAŁ 4

Michael Drury nie wracał do Otago. Nie wrócił jesienią ani też zimą, która po niej nadeszła. Lizzie odczuwała ból, ale obecność Kahu trochę ją pocieszała. Przyszły wódz Ngati Pau starał się o jej względy bardzo zdecydowanie i każdego dnia dawał jej do zrozumienia, jak bardzo cenił i szanował jej *mana*. Przynosił jej prezenty, a także upolowaną przez siebie zwierzynę, aby mogła ją przyrządzić dla szczepu.

A szczep ciągnął ją ku sobie coraz bardziej. Kobiety nie tylko pokazywały jej tradycyjne prace, ale próbowały także nauczyć ją tańczyć i śpiewać. To jednak nie za bardzo przypadło Lizzie do gustu. Śpiewanie i tańczenie nie sprawiało jej przyjemności już wtedy, kiedy była prostytutką. Może i miała wiele *mana*, ale obnoszenie się z tym nie sprawiało jej przyjemności. Wolała poznawać maoryskie tajemnice sztuki leczenia ziołami, w której arkaną wprowadzała ją Hainga, choć Lizzie była sceptyczna wobec towarzyszących jej licznych *tapu*, z którymi się przy tej okazji stykała. Oczywiście prosiła duchy o pozwolenie, zanim ścięła jakąś roślinę, jeśli upierała się przy tym Hainga. Nie rozumiała mimo to, dlaczego te, a nie inne kwiaty mogły być zbierane tylko przez *tohunga*, i to po spełnieniu pewnych specyficznych rytuałów.

Lizzie uważała to za stratę czasu. Od dawna chciała prowadzić bogobojne życie, ale nie była osobą o głębokiej duchowości. Pograżanie się w modlitwie i medytacja były jej obce. Lizzie niechętnie też dopatrywała się jakiegoś ukrytego znaczenia w historiach, które opowiadali przy ognisku jej maoryscy przyjaciele. Lubiła ciekawe, porywające przygody, których można było słuchać z wypiekami na policzkach, a które kończyły się zawsze dobrze, i oczywiście bohaterka padała w ramiona bohatera. Jako pokojówka kupowała tanie powieści i dosłownie połykała je wieczorami. Rozwlekłe i trochę nudnie opowiadane bajki Maorysów nie do końca miały dla Lizzie sens i kiedy porównywała je z Biblią, to pomieszczone w niej opowieści wydawały jej się jednak ciekawsze i krótsze.

Lizzie brakowało towarzystwa wielebnego. Peter odwiedził ją tylko raz w maoryskiej wiosce, ale wydawało się, że nie czuł się tam zbyt dobrze. Młoda kobieta podejrzewała, że od chwili śmierci Coltrane'a trochę obawiał się duchów, a poza tym chyba dręczyło go jakieś zmartwienie. W każdym razie chyba zrezygnował z walki o zbawienie duszy Lizzie.

Tym chętniej widziała koło siebie Kahu. Nie myślała poważnie o tym, aby ulec jego zalotom, ale Kahu od miesięcy był jedynym człowiekiem, z którym mogła porozmawiać po angielsku, a w dodatku z nim mogła rozmawiać na inne tematy niż

codzienne, zwykle sprawy albo to, co w głębi ducha nazywała spirytualną tandetą Haingi. Wciąż wracała do tematu uprawy winorośli, polityki Jamesa Busby'ego i współzycia Maorysów z *pakeha*. Kahu chętnie to podejmował – także on, jak się wydawało, wolał rozmawiać z nią niż dyskutować o sprawach szczepu z wodzem i jego *tohunga* albo rozmawiać z innymi wojownikami o polowaniu i łowieniu ryb.

Lizzie i Kahu spędzali codziennie wiele godzin razem i młoda *pakeha* zaczęła coraz bardziej postrzegać Maorysa jako atrakcyjnego. Kahu był wysoki i barczysty, miał gęste, ciemne włosy, podobnie jak Michael, choć nie kręcone, lecz proste i długie. Spadały mu na ramiona, kiedy je rozpuszczał, rozwiązując węzeł wojownika. Zwykle tak robił, kiedy był z Lizzie, a wówczas nie wyglądał już tak groźnie i surowo. Lizzie lubiła też, kiedy dla niej śpiewał – ale nie wojownicze *haka*, tylko smętne ballady, które jego lud przywiózł chyba aż z Hawaiki, gdzie szumiały palmy, a noce były ciepłe nawet zimą.

Tu, w Otago, robiło się już zimno. Lizzie dygotała nocami w swoim namiocie, bez względu na to, ile koców na siebie narzuciła.

– Powinam pojechać do Dunedin – westchnęła któregoś ranka, kiedy całkiem przemarznięta grzała się przy ognisku. – Jakiś pokój w pensjonacie z kominkiem i łazienką, to musi być jak w niebie!

– Możesz przecież spać w domu zebrań – zaproponowała Haikina, córka Haingi. Lizzie w ostatnich tygodniach bardzo się z nią zaprzyjaźniła. Haikina także mówiła po angielsku i wyznała Lizzie, że mimo ostrego nadzoru w szkole misyjnej miała już kilku kochanków *pakeha*. Jak większość szczerych do niemożliwości maoryskich dziewcząt była zawsze chętna do wymieniania się wiadomościami na temat sprawności różnych mężczyzn jako kochanków i do niekończących się dyskusji na temat osobliwego zachowania Michaela.

– Mogłabyś się ogrzać przy mnie! – powiedział Kahu Heke, którego słowa były coraz bardziej wyraźne i otwarte, a używał ich także w obecności innych członków szczepu.

Lizzie się zaczerwieniła i była zdumiona, że jest jeszcze w stanie to zrobić. Starania Kahu o nią powodowały, że jej *mana* rosło i oczywiście pochlebiało jej, że młody wódz najwyraźniej pożądał jej jako kobiety. Słyszała też o ambicjach Kahu, który chciał być wybrany na króla, i czasami marzyła o tym, by być jego królową. Oczywiście nie miała o tym dokładniejszych wyobrażeń, ale sądziła, że życie króla obfituje we wszelkie luksusy. Przynajmniej na Wyspie Północnej życie rodziny wodza przebiegało nieco na uboczu szczepu. Nigdy nie widziała domu Kuti Haoka, a był to zapewne wspaniały pałac. Kahu nie mówił nic bliższego na ten temat, kiedy próbowała go ostrożnie wypytywać. Nie chciała jednak okazywać zbyt wyraźnego zainteresowania i starała się nie poruszać tego tematu zbyt często.

Czerwiec, pierwszy zimowy miesiąc, zbliżał się ku końcowi, zbliżało się też święto

zakończenia roku. Maorysi świętowali początek nowego roku, Tou Hou, wraz z księżycem w nowiu po pojawieniu się po raz pierwszy na nocnym niebie gwiazdozbioru Matariki – Plejad. Tego roku ów gwiazdozbiór pojawił się wyjątkowo późno, Tou Hou miało się odbyć w ostatnich dniach czerwca. Ngai Tahu spodziewali się gości – ich bracia z Kaikoury wracali ze swej wędrówki po górach i zamierzali się zatrzymać w wiosce. Lizzie ze smutkiem myślała o śmierci Chrisa Timlocka, kiedy Kahu pokazał jej gwiazdozbiór. Podarowała małej Apucie złoty naszyjnik w jego kształcie – dziewczynka ucieszyła się ogromnie. Ale Plejady zawsze miały przypominać Lizzie o bezsensownej śmierci Chrisa, za którą czuła się współwinna. Powinna była przewidzieć, jak zawistnicy zareagują na taką ilość złota, którą Chris wymieniał w banku.

– Na to gwiazdy nic nie poradzą – powiedział Kahu, chcąc ją pocieszyć, kiedy opowiedziała mu tę historię. – Popatrz tylko, jakie są piękne. Miejmy nadzieję, że w noworoczną noc będą tak jasne jak dziś.

Lizzie przytaknęła. Od dawna wiedziała, że zgodnie z wierzeniami Maorysów jasna noc noworoczna wróży ciepły rok i dobre żniwa. Ale teraz było jej tylko zimno. Pozwoliła, aby Kahu okrył jej ramiona kocem i objął ją ramieniem. Zachęcony tym przyciągnął ją do siebie nieco bliżej.

– Świętujemy noworoczną noc, tańcząc i śpiewając, jak wy – wyszeptał. – Ale tym razem chciałbym, aby nasze tańce były podobne do waszych. Wówczas mógłbym przytulić cię do siebie i stanowilibyśmy jedność.

Lizzie nie odpowiedziała, ale też nie broniła się przed nim. Dobrze było czuć jego ciepło, czyjekolwiek ciepło. Pod rozgwieżdżonym niebem tęskniła za Michaeliem bardziej niż zwykle. Latem tak często kochali się nocą na trawie, a ona podziwiała jego ciało w świetle księżyca. A teraz... Ciągle pielęgnowała w sobie nieśmiałą nadzieję, że kiedyś jeszcze usłyszy coś o Michaelu. Tane, jego stary przyjaciel, zjawił się także, choć nie spędził w górach tyle czasu, co jego szczep. Jesienią na wielkich farmach spędzano do domu owce, które latem pasły się na wyżynie i w górach. Tane, który był już znany jako doskonały pasterz i postrzygacz i w dodatku doskonale znał góry, zarobił sporo pieniędzy na strzyżycy. Opuścił więc swój szczep przed spędem zwierząt, a ostatnie tygodnie spędził w Kaikourze. Teraz zaś przyjechał do Otago, aby świętować Nowy Rok z rodziną. Potem miał wrócić ze swoim *iwi* nad morze.

Lizzie nie mogła się doczekać ceremonii *powhiri*, którą witano szczep z Kaikoury – Tane znów wykonał taniec wojownika.

Kiedy tylko zapłonęły pierwsze ogniska, a *tohunga* czekała na to, aby na niebie pojawił się księżyc w świetle Plejad, przysiadła się do mężczyzn, z którymi przyjaciel Michaela dzielił się whiskey.

Tane był już lekko oszołomiony i w dobrym nastroju. Cieszył się, że będzie mógł się pochwalić wieściami.

– Michael? – powtórzył głośno, aby zaimponować Lizzie. – Był krótko w Kaikourze, on mówi z Fyffe'em. Całkiem wielki Michael, on teraz bogaty! On stawiać whiskey, my świętować całą noc. Claudia z Green Arrow chce poślubić, najchętniej zaraz!

Lizzie zagryzła wargi. Michael bawił się więc w pubach i utrzymywał obce dziewczyny. Akurat Claudia! Czy mogła zadowolić swojego stałego klienta? Lizzie chciałaby szaleć z wściekłości, ale w rzeczywistości odczuwała jedynie bezbrzeżny smutek. Cały ten czas, który poświęciła Michaelowi... I tak miało się to skończyć. Ale nagle się wyprostowała. Był Nowy Rok, nie chciała już dłużej trzymać nosa spuszczonego na kwintę. Skoro Michaelowi było dobrze, to ona też będzie się cieszyć. Tego dnia też chciała się bawić!

Na przekór wszystkiemu przyniosła z namiotu ostatnią butelkę wina.

– Wypijemy ją później! – oświadczyła Kahu, który popatrzył na nią zaskoczony.

Czy zauważył ślady łez na jej policzkach? Lizzie zdecydowanym ruchem wytarła twarz i uśmiechnęła się. Kahu podał jej butelkę whiskey, którą przyniósł Tane.

– Masz, wyglądasz, jakbyś potrzebowała paru solidnych łyków. Coś mocniejszego niż twoje wino. Wypijemy je, kiedy pojawią się gwiazdy.

Kiedy gwiazdy w końcu pojawiły się na niebie, odmawiano modlitwy i tańczono, ale Lizzie nie bardzo była w stanie śledzić ceremonie – wypiała już sporo whiskey. Choć co prawda odzyskała pewien spokój ducha.

– Popatrz, jacy jesteśmy mali w porównaniu z gwiazdami! – powiedział łagodnie Kahu. Lizzie znów siedziała obok niego, ale on dotychczas jej nie dotknął. Teraz znów objął ją ramieniem. – Czy możesz wobec nich odczuwać lęk albo żal? Pozwól, aby ich światło spłynęło na ciebie, Elizabeth. Dzisiejszej nocy wszystko będzie nowe.

Kiedy większość Maorysów tańczyła, Kahu otworzył butelkę wina, aby powitać księżyc.

– Nie chcesz też wszystkiego zacząć od nowa, Elizabeth? Na Wyspie Północnej? Jako moja żona?

Lizzie była oszołomiona whiskey i winem. Ale nawet to nie mogło naprawdę złagodzić jej żalu i smutku. Przenikliwa muzyka zagłuszała wszystkie jej myśli, ciała tancerzy poruszały się w rytmie szalonego *haka*, ale Lizzie wszystko to nagle wydało się bolesne. Nie chciała odpowiadać na pytanie Kahu. Ale nie chciała też być sama.

– Chodźmy stąd – powiedziała cicho.

Kahu pomógł jej wstać i zabrał ze sobą butelkę wina. Prowadził ją nad rzekę, która wiła się w świetle księżyca jak srebrna taśma. Noc była rzeczywiście niesłychanie jasna i przejrzysta, rankiem z pewnością będzie też przymrozek. A namiot Lizzie i jej śpiwór były zimne. Będzie jej zimno, jeśli nie...

Lizzie pozwoliła, aby Kahu ją pocałował. Musiał się tego nauczyć u *pakeha* i robił to dobrze... Kahu mówił o pocałunku jak o winie na jej wargach. Potrafił pięknie mówić... Prawie tak samo jak Michael... Lizzie zamknęła oczy i wtuliła się w ramiona



Kahu. Gdyby tylko jeszcze mogła wyłączyć swoje myśli... Michael i Claudia... jak ta blond dziwka chwaliła się wtedy swoim stałym klientem. No, patrząc na to z tej strony, Michael był wierny... Lizzie chciało się śmiać, ale nie była w stanie. Nie pragnęła też sprawiać bólu Michaelowi. Kiedy teraz leżała w ramionach Kahu, to nie dlatego, że chciała się zemścić czy też powetować sobie jego stratę. Nie chciała tylko być sama, tak ohydnie i dojmująco sama. I nie chciała też być dziwką! To szaleństwo, myślała o tym, aby oddać się komuś, kto może jej naprawdę nie kochał – a może jednak? Lizzie zaśmiała się gorzko.

– Co takiego, Elizabeth?

Elizabeth, królowa. Była nią, chciała nią być. Michael... Michael byłby się zdziwił, gdyby zobaczył, kim stała się mała Lizzie, a przecież nie była świętą, nie, nie była Mary Kathleen, ale nie była też Claudią! Nie, *mana*, ona miała *mana*...

Lizzie czuła, jak wszystko wokół niej zaczyna wirować, księżyc, gwiazdy, las i rzeka. Ale Kahu trzymał ją mocno. Pragnął jej, przyjechał tu specjalnie z Wyspy Północnej.

– Pójdiesz ze mną, Elizabeth? – zapytał.

Lizzie skinęła głową. Ale zaczęła się opierać, kiedy zaczął ją prowadzić w kierunku domu zebrań.

– Nie... nie przed wszystkimi... nie w czasie pierwszej nocy.

– Ależ Elizabeth! To ma być nasza noc poślubna!

Lizzie zaśmiała się gorzko.

– Od dawna już nie jestem dziewicą, Kahu, i mam nadzieję, że tego ode mnie nie oczekujesz. Miałam wielu mężczyzn, więcej, niż było mi to miłe – wiesz o tym przecież. Ale żadnego z nich nie miałam na oczach trzydziestu pozostałych. To jest za dużo, tego nie potrafię!

– Ale musisz, jeśli my...

– Dziewczęta powiedziały mi, że nie trzeba tego robić na oczach wszystkich! – odparła Lizzie. – Trzeba tylko dzielić łożę. To wystarczy.

Kahu przyciągnął ją do siebie.

– A więc zróbmy to, Elizabeth. Mogę poczekać, chcę...

Lizzie odepchnęła go od siebie. Nagle poczuła gniew.

– Tak naprawdę nie chcesz mnie? – spytała. Zabrzmiało to ostro, niemal histerycznie. – Tylko chcesz... Czego ty chcesz, Kahu Heke?

Kahu uspokajająco głaskał ją po włosach.

– Nic, nic... uspokój się, Elizabeth. Oczywiście, że chcę ciebie. Tylko ciebie. Tylko chciałem... Chciałem to zrobić tak, jak trzeba.

– A więc zrób to! – zawołała Lizzie i wyrwała się z jego ramion. – Tam jest mój namiot. Albo weź mnie pod gwiazdami jak... jak... Zrób coś, żebym zapomniała o Michaelu, Kahu Heke! Pozwól mi w końcu zapomnieć o wszystkim!

To nie był właściwy powód, aby się kochać z kim innym, i ona o tym wiedziała. To było nie w porządku wobec Kahu, i Lizzie dziwiła się, że nie zaprotestował. Była pijana, a on miał być namiastką kogoś innego... To go krzywdziło, powinien ją odepchnąć, pozwolić jej odejść, powinien...

Ale Kahu zaprowadził Lizzie do jej namiotu, jak gdyby te słowa nie padły. Gdyby pozwoliła, zaprowadziłby ją do *wharenu*.

W ostatnim przebłysku świadomości zwątpiła raz jeszcze we wszystko. I pytała samą siebie, jakie były jego prawdziwe zamiary, jeśli przyszedł maoryski wódz przynoszący ją przez próg jej namiotu jak narzeczoną *pakeha*. A potem oszołomiły ją jego pocałunki, dotyk i ciepło jego ciała.

– Nie zostawisz mnie samej, prawda, Kahu? – spytała słabo. – Obiecujesz mi to?

Kahu całował ją gwałtownie, także oszołomiony – whiskey, winem, podnieceniem i rozczarowaniem. Nie powinien był jej brać tej nocy. Ona potrzebowała czasu, aby wszystko przemyśleć. Ale jeśli będzie rozmyślać, zadawać zbyt wiele pytań... Był już czas, aby on wrócił do szczepu! Mężczyźni z Kaikoury dzień wcześniej donieśli mu o śmierci wodza Kuti Haoka. Ngati Pau nie będą czekać wiecznie – i wybiorą kogoś innego. Tej nocy pozwolił Elizabeth działać zgodnie z jej wolą, ale następnego dnia małżeństwo musiało być oficjalnie zawarte i potem mógł ruszyć w drogę powrotną. Z *pakeha wahine*, tak jak przewidzieli to kapłani.

– Nigdy nie zostawię cię samej – obiecał i w tym samym momencie wiedział już, że kłamał.

Ona przetrwa. Była tylko zabawką w rękach duchów.

Kahu Heke nie było już w namiocie, kiedy Lizzie obudziła się rano. Bolała ją głowa i niezbyt dokładnie pamiętała, co się wydarzyło poprzedniej nocy. Czuła wstyd, ale doszła do wniosku, że właściwie nie było ku temu powodu. Maoryska kobieta brała sobie mężczyznę wtedy, kiedy jej to pasowało, i już zwłaszcza Michael nie mógłby jej niczego zarzucić.

Lizzie ubrała się, uczesała i poszła do kobiet, które piekły placki i ziemniaki. Zgodnie z oczekiwaniami dokuczały jej w żartach i życzyły szczęścia. Jej noc spędzona z Kahu z pewnością była tematem wszystkich rozmów. Ale wbrew oczekiwaniom było to, że Hainga przyciągnęła ją do siebie i wymieniła z nią *hong*.

– Życzę ci, córko, abyś znosiła swój los z godnością – powiedziała stara *tohunga*. – Obyś dała *ariki* Ngati Pau dzieci, tak wiele, ile jest gwiazd na niebie, pod którymi zawarliście przymierze...

– Przymierze? – spytała Lizzie i potarła sobie czoło.

Hainga się uśmiechnęła.

– Oczywiście musicie jeszcze spędzić noc we *wharenu* – a kiedy będziecie w swoim szczepie, to oni najpierw odprawią liczne ceremonie. U nas jest to o wiele prostsze,

kobieta i mężczyzna kochają się przy świadkach, a potem są mężem i żoną. Ale tam u nich... zobaczysz.

Pozostałe kobiety się roześmiały i zaczęły rozmawiać o sukniach i tańcach weselnych, o prezentach i zwyczajach różnych szczepów.

Tylko Haikina trzymała się nieco z boku. Lizzie, dla której te plotki były nieprzyjemne, przysunęła się do niej, po czym wzięła sobie placek i wodę. Smakował jak tektura. Lizzie próbowała przypomnieć sobie dokładniej, co się stało poprzedniego wieczoru. Powoli wracała jej świadomość i wspomnienia.

Kahu obiecywał jej małżeństwo, ale chyba nie mówił serio. Przecież ona była całkiem pijana! Choć z drugiej strony ubiegał się o jej względy już od dawna. A w noworoczną noc wszystko miało się zacząć od nowa...

Lizzie chciała przemyśleć to dokładniej. Kahu był pełen tkliwości, był też cudownym kochankiem. Ale małżeństwo...?

Przestraszyła się, kiedy Haikina nagle lekko ją trąciła.

– Lizzie? – spytała córka Haingi cicho, ale zdecydowanie. Była jedyną, która nazywała ją imieniem *pakeha*. – Lizzie, nie wiem, to właściwie mnie nie obchodzi. Ale... chciałabym z tobą pomówić.

Młoda kobieta mówiła teraz po angielsku, co zdziwiło Lizzie. Ale potem dostrzegła jej twarz, czujną, pełną troski i niepokoju. Najwyraźniej Haikina nie chciała, aby Hainga i pozostałe kobiety wiedziały, o czym chciała porozmawiać z Lizzie. Także Kahu, który właśnie podszedł do kobiet, wydawał się onieśmielać dziewczynę. Opuściła głowę tak, że jej czarne włosy niemal całkowicie zakrywały jej twarz, kiedy on usiadł koło Lizzie. Lizzie się wydało, że przyjaciółce krew uderzyła do twarzy. Czy Haikina była zakochana w Kahu? Może poczuła się urażona, ponieważ przyszły wódz Ngati Pau chciał wziąć za żonę białą kobietę, a nie księżniczkę Ngai Tahu.

Kahu uśmiechnął się do Lizzie promiennie.

– Elizabeth – powiedział tak delikatnie jak nigdy. – Mam nadzieję, że dobrze spałaś. Nie marzłaś w moich ramionach.

Lizzie przytaknęła. Było jej z nim ciepło. Udało jej się uśmiechnąć do niego.

– I jak widzisz, wszyscy tutaj cieszą się razem z nami! Dziś wieczorem będzie wielkie święto na naszą cześć! Na twoją cześć, Elizabeth! Jestem niesłychanie szczęśliwy, Elizabeth!

Nie pocałował jej, lecz maoryskim zwyczajem przyłożył do jej czoła i nosa swoje czoło i nos. Oddała mu tę pieśczętę. Przypomniała sobie teraz jego obietnicę. „Nigdy nie zostawię cię samej”. Może rzeczywiście dalsza zwłoka była głupia.

A jednak Lizzie będzie musiała o nią poprosić, poprzedniego wieczoru wszystko działo się za szybko. I wówczas dostrzegła, że oczy całego szczepu skierowane były na nią i na Kahu. To nie były potajemne zaręczyny, nie chodziło o jakieś wyszeptane

obietnice. Wyglądało na to, że Kahu ogłosił całemu szczepowi o ich planowanym małżeństwie! Lizzie poczuła zawrót głowy. Wszystko wskazywało na to, że już nie miała odwrotu – przynajmniej bez wywołania skandalu! Uraziłaby głęboko nie tylko Kahu Heke jako mężczyznę, ale także obrabowałaby z godności wodza Ngati Pau! Lizzie zagryzła wargi. Nie ma już wyjścia, teraz musi wyjść za Kahu. Albo utopić się w rzece. Ta ostatnia myśl sprawiła, że nieoczekiwanie się uśmiechnęła.

– Ja... ja też jestem szczęśliwa – powiedziała cicho.

A może rzeczywiście będzie szczęśliwa? Przynajmniej nie będzie marznąć. I nie będzie już sama. Michaela i tak już nie obchodziła. Gdyby tylko wszystko nie stało się tak szybko.

Lizzie potarła sobie skronie, ciągle jeszcze bolała ją głowa. A potem znów usłyszała obok siebie głos Haikiny.

– Lizzie, proszę! – mówiła dziewczyna, ciągle ukryta za zasłoną długich czarnych włosów. – Pomów ze mną. Może nie opowiem ci niczego nowego, ale... Powiedz innym, że idziemy zbierać kwiaty. Albo robić coś, co *pakeha* robią przed weselem.

Lizzie pomyślała. Wydawało się, że Haikina rzeczywiście miała jej coś ważnego do powiedzenia, choć nie sprawiała wrażenia zirytowanej, lecz raczej zmartwionej.

Skinęła głową.

– Idziemy upleść wianek – zaimprovizowała. – Kwiatów w środku zimy raczej nie znajdziemy.

Rzeczywiście, trawa dookoła była posrebrzona mrozem. Paprocie, buki, z których w tej części Nowej Zelandii składał się las, były pokryte szronem. Niedługo zapewne spadnie śnieg i trudno będzie znaleźć rośliny, aby ozdobić głowę. Pretekst wianka może nie był zbyt przekonujący, ale ani Hainga, ani Kahu nie zadawali żadnych pytań, kiedy Haikina i Lizzie opuściły razem wieś. Kobiety były zajęte przygotowaniem uroczystości, a goście z Kaikoury mieli zamiar jeszcze trochę zostać. A ponieważ poprzedniego dnia zużyto wszystkie zapasy, mężczyźni znów musieli iść na polowanie i połów ryb. Kobiety zajęły się mieleniem ziarna. Nikt nie narzekał z powodu dodatkowej pracy. Nowy rok, który zaczynał się weselem, powinien być szczęśliwy, co do tego wszyscy byli zgodni. A szczep Ngai Tahu uznał za całkowicie normalne, że Lizzie przed nocą wszystkich nocy chciała zrobić coś według zwyczajów *pakeha*.

Haikina i Lizzie wędrowały w milczeniu, aż wreszcie zrobiło im się ciepło. Usiadły na skale, skąd można było zobaczyć wieś Maorysów. Lizzie nie była pewna, ale wydawało jej się, że Haikina bacznie obserwowała Haingę i Kahu.

– Co takiego? – powiedziała w końcu, przerywając pełne napięcia milczenie. – Ty... nie masz mi niczego za złe, prawda? Ja nie zachęcałam Kahu... Właściwie wcale nie chciałam... Byłoby... byłoby z pewnością lepiej, gdyby ożenił się z tobą.

Haikina, piękna, jak na Maoryskę bardzo szczupła i wysoka dziewczyna,

popatrzyła na Lizzie z niedowierzaniem.

– Ze mną? – spytała zdumiona. – Skąd ci to przyszło do głowy?

– No bo on... bo on w końcu będzie wodzem, a ty jesteś córką *tohunga*. To... jakoś pasuje...

Haikina się roześmiała, ale nie brzmiało to wesoło.

– Sądzisz, że to jest jak w jednej z bajek *pakeha*, tak? – spytała. Zabrzmiało to gorzko. – Książę odjeżdża, aby gdzieś daleko znaleźć księżniczkę...

Lizzie skinęła głową.

Haikina przewróciła oczami i owinęła się ciasniej chustą.

– Tak myślałam – powiedziała. – Ale niestety tak nie jest, Lizzie. U nas małżeństwa rzadko są zawierane poza obrębem szczepu, a już zwłaszcza dotyczy to dzieci wodza. Książę, Lizzie, żeni się w maoryskiej bajce z własną siostrą!

– Co robi? – spytała Lizzie przerażona. – Ależ to...

– To jest *tikanga*, Lizzie, już od czasów Hawaiki. W zależności od szczepu jest to rzadziej lub częściej praktykowane, u Ngai Tahu właściwie wcale. O to już zadbali wasi misjonarze. Ale na Wyspie Północnej jest to jeszcze całkiem normalne!

Haikina złamała gałąź paproci, która osłaniała je od wiatru, i bawiła się nią.

– Jeśli Kahu nie powiedział ci o tym, to zakładam, że nie wspomniał też o innych *tapu* – powiedziała.

Lizzie potarła sobie czoło. Ból głowy trochę ustąpił, ale to, co usłyszała, mogło stanowić przyczynę kolejnego.

– Kahu nie mówił mi niczego – powiedziała szorstko. – Oczywiście w każdym szczepie są jakieś *tapu*, ale...

– Ale są jeszcze specjalne *tapu*, które odnoszą się do życia wodza – wyjaśniła Haikina. – A mówiąc dokładniej, *tapu* jest cała osoba wodza.

Lizzie zmarszczyła czoło.

– *Tapu* znaczy właściwie niedotykalny, prawda? – spytała.

Haikina przytaknęła.

– I dlatego wódz nie może żyć i mieszkać z żoną, tak jak... książę *pakeha* ze swoją księżniczką, jeśli rozumiesz, co mam na myśli – mówiła dalej.

Lizzie potrząsnęła głową.

– Nie, nie rozumiem. Co to znaczy, Haikino? Chcesz mnie... przed czymś przestrzec? Powiedz mi wszystko, co wiesz, ja... nie czuję się najlepiej, a dziś wieczór...

Haikina odetchnęła głęboko.

– A więc dobrze – powiedziała. – Też się przy tym niemiło czuję, rozumiesz? Mam uczucie, jak gdybym zdradzała własnych współplemieńców, ale musisz wiedzieć, co cię czeka, kiedy poślubisz wodza Ngati Pau. To... zaczyna się od tego, że on nie może z tobą żyć.

Lizzie poczuła, że zaschło jej w ustach.

– Co to znaczy? – spytała. „Nigdy nie zostawię cię samej”. Wydawało jej się, że słyszy głos Kahu.

– Wódz żyje w odosobnieniu, z dala od wszystkich, Lizzie – powiedziała Haikina. – Nikomu nie wolno wejść do jego domu, nikomu nie wolno ruszać rzeczy, których on dotknął. Nawet muśnięcie jego ciała było dawniej zabronione pod karą śmierci. Nawet jeśli jego cień padnie na innego człowieka, to konieczne są specjalne ceremonie oczyszczania.

– Ale... ale... to jak on płodzi dzieci? – spytała Lizzie nerwowo.

– Żonie wolno go odwiedzać tylko w określonych chwilach, ale dopiero po specjalnej ceremonii, która nazywa się *karakia*. Wolno ci będzie dla niego gotować, ale nie wolno ci będzie tego nawet skosztować, bo jego jedzenie jest *tapu*. Nie wolno mu dotykać żadnych naczyń do jedzenia i picia, bo potem mógłby tego ktoś użyć, a to przynosi nieszczęście. Dlatego karmi się go za pomocą specjalnych sprzętów, takiej tykwy, przez którą wlewa się do jego ust wodę, nie dotykając go, a jedzenie podaje mu się przez róg do karmienia.

– Przez co? – Lizzie nie mogła w to wszystko uwierzyć.

Haikina opisała jej ten przyrząd.

– A to nie wszystko, Lizzie. Także jego dzieci są *tapu*. Nie wolno ci ich myć ani czesać, bo musiałabyś ich dotknąć, a one są przecież święte. Dzieci wodza są więc przeważnie zaniedbane i brudne tak długo, aż same nauczą się utrzymywać swe ciała w czystości. I będą od ciebie zabrane, jak tylko będzie to możliwe.

– Ale... jak to robią inne żony wodzów?

Lizzie czuła się kompletnie rozbita. Kahu powinien był jej to powiedzieć! A może planował to zmienić?

– Jak mówiłam, większość wodzów żeni się ze swymi siostrami. Dla nich to nic nadzwyczajnego – i oczywiście już z racji urodzenia mają tak wysoką pozycję, że wolno im dotknąć dziecko *tapu*. Ale nie czesać! Bo we włosach wodza mieszka bóg Rauru.

Przynajmniej to jedno Kahu jej powiedział, ale bardziej jako anegdotę i nie wydawał się brać tego poważnie.

Lizzie odetchnęła głęboko.

– Może to wszystko prawda, Haikino – powiedziała. – Ale czy nie sądzisz, że Kahu będzie chciał to zmienić? On był w szkołach *pakeha*. Jest chrześcijaninem, przynajmniej...

Haikina potrząsnęła głową.

– Lizzie, obudź się! Czy prosił cię, abyście zawarli chrześcijańskie małżeństwo, czy żebyś leżała koło niego w domu zebrać?

– Przecież... można zrobić jedno i drugie! – zawołała Lizzie zrozpaczona. Czuła się

wyczerpana i zgnębiona do reszty. Drugi mężczyzna, druga zdrada.

Haikina objęła ją ramieniem.

– Pewnie, że można! – powiedziała twardo. – Nie zdziwiłoby mnie, gdyby Kahu poślubił cię jeszcze w kościele. Aby i jedni, i drudzy, Maorysi i *pakeha*, uznali jego małżeństwo.

– Ale wtedy moglibyśmy żyć razem jak chrześcijańska para! – upierała się Lizzie.

Haikina westchnęła.

– Moglibyście. Później. Kiedy uda mu się postawić na swoim, przeforsować swoją wolę i kiedy zostanie *kingi*. Kiedy zaproszą was do Anglii, przedstawią królowej i co tam jeszcze, co jest konieczne dla pokoju. Ale chyba nie wierzysz naprawdę, że Kahu narazi się wszystkim szczepom Wyspy Północnej, zrywając ze starymi tradycjami i narażając na szwank godność wodza! Wyśle swoich synów do szkół *pakeha*. Ale w pierwszych latach ich życia nawet nie pozwoli ich matce wyczesać im wszy!

– To nie może być prawda – wyszeptała Lizzie. I jednocześnie wierzyła w każde słowo, które teraz usłyszała.

Było coś dziwnego między Kahu a nią, jakiś instynkt, którego głos jeszcze dzień wcześniej ją ostrzegał i uratował przed pójściem razem z nim do domu zebrzań.

Haikina wzruszyła ramionami.

– To zapytaj go o to – powiedziała. – Zapytaj go, dlaczego się tak śpieszy, aby oficjalnie zawrzeć małżeństwo. Zapytaj go, czy związanie się z tobą nie jest warunkiem, aby mógł zostać *ariki*. Bo już coś na ten temat słyszałam. Ale przede wszystkim nie sądz, że ja ci źle życzę! Nie przemawia przeze mnie zazdrość. Nie wyszłabym za wodza Ngati Pau, nawet gdyby był jedynym mężczyzną, z którym mogłabym dzielić łożę!

Lizzie przyłożyła czoło i nos do twarzy przyjaciółki. Ten gest odpowiadał objęciu się u *pakeha*.

– Nie mam ci niczego za złe, Haikino. Dziękuję ci – wyszeptała. – Ale nie spytam o nic Kahu. Bo nie chcę, aby dalej kłamał. Nie mogę już słuchać wymówek, mam ich dość. Wczoraj przysiągł mi, że nigdy nie będę sama.

Lizzie bez słowa poszła za Haikina do wsi i przyprowadziła swojego konia. Zabrała trochę odzieży i to złoto, które wyplukała w ostatnich dniach – bardziej dla zabicia czasu, ale było tego sporo. Jakiś czas będzie mogła z tego żyć. Próbowwała skupić się na tych czynnościach i nie myśleć. Dawniej czasami udawało jej się wyłączyć myśli. Ale tego dnia było to niemożliwe. Mimo wyczerpania i bólu głowy walczyła ze słowami Haikiny w swych myślach i uczuciach. Dopiero teraz uświadomiła sobie, jak często Kahu unikał jasnych odpowiedzi. Przechwalał się, że chce mieć żonę z *mana*, ale naprawdę zamierzał ukryć się przed jej siłą za tysiącami swych *tapu*.

Lizzie czuła, że wraz z każdym wspomnieniem kłamstwa albo wymówki coś w niej

umiera. Może Kahu sądził, że ją kocha, ale w rzeczywistości kochał tylko *pakeha wahine*, która była odpowiednią królową dla *kingi*. A Michael wykorzystał jej *mana* i potem ją porzucił. Tak naprawdę kochał tylko Kathleen. Chyba to sobie uświadomił w czasie podróży na Canterbury Plains... Nie miało już sensu na niego czekać.

Lizzie nie płakała, prowadząc konia w kierunku rzeki – we wsi nikt tego nie zauważył, wszyscy byli bardzo podekscytowani i przygotowywali jej wesele. Zostawiła swój rozstawiony namiot – nie był jej już potrzebny. Z pewnością nie będzie już spała pod gwiazdami! A przede wszystkim nie chciała nic mówić. Nikt nie powiedział jej prawdy, nawet duchy. To gadanie o *mana*, o zaręczynach i królowej! A na koniec została ona, Lizzie, dziwka. Wykorzystana przez wszystkich. Nawet Hainga, *tohunga*, nie powiedziała jej prawdy.

Lizzie miała nadzieję, że Kahu nie pójdzie za nią – nie miała już siły na kłótnie. Tej nocy będzie spała w swojej drewnianej chacie, a jutro pojedzie dalej do Tuapeka i do Dunedin. Może kiedyś znowu będzie potrafiła żyć i kochać. Ale teraz chciała tylko milczeć, zapomnieć i spać. Zniknąć z tego świata przynajmniej we śnie.



## ROZDZIAŁ 5

Michael Drury czuł się jak zbity pies, kiedy wrócił do Otago. W ogóle nie był w stanie cieszyć się tą podróżą, mimo swych nadziei. Właściwie było mu źle od samego początku, zaraz kiedy przeszła mu wściekłość na Lizzie. Bo tak naprawdę nie istniał żaden powód, który by tę wściekłość uzasadniał. Dobrze, Lizzie znów wyskoczyła z tymi ciągłymi wyrzutami związanymi z Mary Kathleen, a on był na tym punkcie nieco przeczulony. Ale bez wątpienia to on ją sprowokował. Więcej, zachował się wobec niej jak podły drań. A tego nie dało się zapisać w pubie ani zapomnieć, tak jak próbował. Przy czym także te próby wypadły dość nędznie. Spędził co prawda szaloną noc ze starymi kompanami w Kaikourze, ale bez Lizzie nawet to nie zadowoliło go tak, jak oczekiwał.

Michael nie miał już ochoty pić z Tane ani sypiać z Claudią. Jasnowłosa dziwka przez krótki czas stanowiła namiastkę Kathleen. Krył twarz w jej włosach i śnił o swojej pierwszej miłości. Ale z całą pewnością Claudia nie mogła być namiastką Lizzie i właściwie żadna dziewczyna, nawet z ciemniejszymi włosami i mniej okrągła, też nie sprawiłaby, że poczułby się szczęśliwy. Lizzie to po prostu było coś więcej niż ciemnoblonde włosy, zadarty, wścibski nos i delikatna figura – z Lizzie można było gadać, razem pracować i się kłócić. Brakowało mu tych ciągłych utarczek i sprzeczek, jej ambicji i jej czasem oryginalnego sposobu pojmowania moralności, prawa i porządku.

Michael wkrótce opuścił Kaikourę, zwłaszcza że w okolicy była tylko jedna farma na sprzedaż, która wydała mu się za mała, aby tam gospodarować z większym rozmachem. Na Canterbury Plains były dwie, o których wiedział makler w Christchurch, i Michael niezwłocznie ruszył w drogę – też nie ciesząc się jazdą po rozległej równinie. A przecież otaczający go krajobraz przedstawiał się wspaniale. Rozległe łąki były tak soczyście zielone jak w Irlandii, ale tu nie ograniczały ich żadne kamienne murki ani płoty. Owce wielkich hodowców pasły się wolno i pilnowali ich tylko maoryscy pasterze ze swymi psami.

Michael z rozbawieniem przypomniał sobie swój wyczyn z psami dla farmy Fyfe'a. Wtedy naprawdę udało mu się czegoś dokonać, a praca z owcami mu odpowiadała. Mógł to robić znowu, Lizzie nie wtrącałaby się, bo zwierzęta miała właściwie za nic. Ale miała prawo chcieć poszukać domu razem z nim, Michael posunął się za daleko. To było po prostu głupie – wynosić się po tej ostatniej kłótni. To, co ich dzieliło, po pewnym czasie po prostu rozpląnęłoby się w powietrzu, gdyby Lizzie miała swój wymarzony dwór, a on swoje owce.

Michael miał dużo czasu na przemyślenia. Większość nocy w czasie swojej podróży spędzał samotnie przy ognisku. Nie ciągnęło go do maoryskich szczeptów, a z kolei, mimo że myślał o nabyciu farmy, niepotrzebnie był zbyt ostrożny, zamiast po prostu dać się zaprosić do któregoś z domów ich właścicieli. Brakowało mu ciepła Lizzie w nocy, jej towarzystwa przy ogniu, jej zręczności w chwytaniu ryb. Metodami *pakeha* nie za bardzo to się udawało i Michael jadł często tylko chleb i suszone mięso, które nabywał w małych miasteczkach po drodze.

Nietrudno było je znajdować, drogi na Canterbury Plains były dobre. Łatwo można by było podróżować po nich jakimś małym powozem. Także do pierwszej farmy, którą Michael oglądał, można było dotrzeć bez trudu, mimo że leżała wysoko w górach. Ale mimo rzeczywiście wyjątkowo pięknego położenia miała niewiele dobrych łąk. Owce należałoby w takim wypadku wypędzać na wyżynę i w góry, a kto wie, kiedy jakiś obrażony szccept Maorysów zacznie rościć sobie pretensje do górskich łąk! W dodatku farma była za bardzo oddalona od każdego osiedla *pakeha*. Takie osamotnienie nie odpowiadałoby Lizzie.

Druga farma nie miała jeszcze porządnego dojazdu – leżała w samym środku Canterbury Plains, była ogromna i bardzo obiecująca, ale dom i zabudowania nie były niczym więcej niż prymitywnymi szopami z desek. Właściciel chyba kupił za dużo ziemi i potem nie miał już dość pieniędzy na zakup bydła i budowę domu. W przypadku Michaela i Lizzie taki plan by się powiódł, bo mieli dość pieniędzy na jedno i drugie. A Michaelowi zaczęło brakować pewności siebie i zdecydowania, kiedy zaczynał sobie wyobrażać, co powiedziałyby Lizzie przy oględzinach tej czy innej farmy. Lizzie zawsze marzyła o wielkim domu, ale czy chciała i była gotowa coś takiego budować? Czy miałaby ochotę mieszkać latami w prymitywnych warunkach i czekać, aż wszystko będzie gotowe? A on przecież obiecał jej gniazdo... Chciał ją wprowadzić do jej królestwa tak, jak księżę wprowadza księżniczkę. Nie przywiózłby jej na kawałek ziemi, gdzie w najlepszym wypadku mógłby pokazać jedynie zarysy późniejszego domu.

Michael porzucił więc myśl kupna tej farmy i wyruszył w drogę powrotną do Otago. Makler zawiadomił go o jeszcze jednej farmie – leżała ona koło Queenstown, nowego osiedla poszukiwaczy złota koło Lake Wakatipu. Podobno był tam piękny dom, choć z pewnością bardzo drogi. Możliwe nawet, stwierdził makler, mrugając porozumiewawczo, że było tam także złoto i wówczas można było kupić je razem z farmą! Tego ostatniego Michael nie mógł sobie wyobrazić, ale miał dość prób podejmowania samodzielnych decyzji. Chciał wrócić do Tuapeka, zabrać Lizzie od Maorysów i pojechać razem z nią do Queenstown. Oczywiście przedtem musiałby się zdobyć na przeprosiny. Im zaś bliżej było do Tuapeka, tym trudniejszy i coraz mniej obiecujący wydawał mu się ten pomysł. A jeśli nie będzie go już chciała znać? Jeśli, co całkiem możliwe, w ogóle nie ma jej już we wsi Maorysów? Kazał jej czekać

dłużej, niż początkowo zamierzał. W każdym razie pisał do niej. Ale czy wielebny zaniósł Lizzie jego listy w góry? Czy ona przyjechała na dół, aby sprawdzić pocztę? Cholera, myślał Michael. Powinien był to omówić, zanim wyjechał, nie wolno mu było dać się wciągnąć w tę kłótnię! W ogóle nie powinien był wyjeżdżać sam. Myśli Michaela kręciły się w kółko.

Kiedy już jechał w kierunku chaty z bali, którą zbudował z Chrisem i Lizzie, jego poczucie winy było jeszcze silniejsze. Najchętniej miałby już za sobą spotkanie z nią – w głębi ducha miał nadzieję, że ją tu spotka, ale drewniany domek pod lodowatym, choć bajecznie rozgwieżdżonym niebem był ciemny i pusty. Michael westchnął. Będzie musiał jeszcze sporo się napracować, aby dom nadawał się do zamieszkania. Miał nadzieję, że w szopie było jeszcze trochę drzewa.

Ale przynajmniej nikt się nie włamał do chaty ani też żadne zwierzęta nie skorzystały z możliwości zamieszkania w niej. Fauna Nowej Zelandii była dość umiarkowana, nie było tu wielkich gryzoni, lisów czy też zajęcy, które mogłyby się zagnieździć w pozostawionym domu. Jedyne, z czym należało się liczyć, to insekty, wśród nich ich olbrzymie egzemplarze zwane weta. Ale one były na szczęście zupełnie niegroźne. Kilka egzemplarzy Michael wymiół z chaty na dwór, uważając przy tym, aby żaden mu się nie wymknął w czasie wykonywania ogromnych skoków. Potem poszukał drzewa i rozpalił na kominku. Rozłożył też kolorowe dywany – wyroby sztuki maoryskiej, które Lizzie kładła na podłodze – i rozwiesił przed ogniem śpiwór do suszenia. W ponurym nastroju poszukał w jukach czegoś do jedzenia. W chacie było cicho, o wiele za cicho. Michael miał nadzieję, że następnego dnia będzie mógł ją dzielić z Lizzie. Był już zmęczony samotnością i wiedział, że ona także długo była sama.

Kiedy Lizzie zobaczyła światło w swoim starym domu, sądziła, że to urojenie. Długo wędrowała, bardzo zmarzła, a teraz było już ciemno i cieszyła ją myśl o domku. Zawsze był to jakiś dach nad głową i jeśli nawet czekało ją sporo pracy przy rozpalaniu kominka, to domek był na tyle mały, że wkrótce wypełni go przytulne ciepło. A teraz okazało się, że nie była pierwsza. Przynajmniej nie tego dnia, ale może domek zajął już wcześniej któryś z poszukiwaczy złota. Lizzie nie będzie mogła mieć tego za złe. Gorączka złota powodowała, że ludzie przychodzili i szli dalej – zupełnie jak kiedyś przy połowach wielorybów i fok. Prawdopodobnie Tuapeka i inne obozy poszukiwaczy też nie będą trwać wiecznie. Gdyby tylko tak nie zmarzła i gdyby nie przerażała jej perspektywa dalszego marszu w dół do Tuapeka! Wprawdzie to tylko dwie mile, ale byłoby lepiej, gdyby się tego dało uniknąć...

Lizzie postanowiła zaryzykować i przynajmniej zerknąć przez okno. Jeśli osiedliła się tu rodzina, to nic nie stało na przeszkodzie, aby zapukać i wprosić się na noc. Gdyby byli to tylko mężczyźni, wołała nie próbować.

Powoli i ostrożnie przyprowadziła konia bliżej chaty, a wówczas ze stojącej obok szopy dobiegło ją głośne rżenie. Lizzie znów pomyślała, że kpią z niej własne zmysły. Siwek? Tak często słyszała jego wołanie... Ale kim ona była, żeby umieć rozróżniać końskie rżenie? Na pewno sobie coś wmawiała!

– Ani kroku dalej!

Ale brzmienia tego głosu już sobie nie wmawiała. Ani też sylwetki mężczyzny, który właśnie wyszedł przed chatę i skierował w jej stronę broń.

– Podnieś ręce, podejdź do światła, abym się upewnił, że przychodzisz w pokojowych zamiarach!

Lizzie się przeraziła. A potem poczuła gwałtowną ulgę. Chociaż pomyślała nagle, że zaraz znowu popełni błąd. Byłoby lepiej nie odpowiadać, lecz odwrócić się i uciec do Tuapeka. Zamknęła przecież ostatecznie w swoim życiu rozdział pod tytułem Michael Drury! Była zdecydowana w ogóle już nie zaufać żadnemu mężczyźnie. Ale on wrócił! Mimo tylu sporów, kłótni, po tylu miesiącach... I znów robił głupstwa! Lizzie nie mogła się powstrzymać.

– Michael! – krzyknęła. Starła się, aby jej głos zabrzmiał twardo. – Gdybym nie przychodziła w pokojowych zamiarach, to już dawno bym cię zastrzeliła! Powinieneś się schować, jeśli chcesz sprawdzić, kto idzie!

Michael odrzucił broń, wydał okrzyk radości i ruszył w jej stronę, po czym za chwilę chwycił ją w ramiona, choć się broniła.

– Lizzie, wiem, że jestem głupcem, ale czy musisz mi to stale powtarzać?

Lizzie skinęła głową.

– Najwyraźniej tak – powiedziała. – Ale ustaliliśmy już, że nie musisz mi w kółko stwarzać po temu okazji. Jeśli o mnie chodzi, to możesz zaraz iść. Z pewnością Claudia czeka na ciebie w Kaikourze.

Ostatnie słowa zabrzmiały gorzko, ale kiedy dostrzegła naprawdę zdumione spojrzenie Michaela, poczuła coś w rodzaju nadziei.

– Kto czeka? – spytał. – Kochanie, chodź do domu, jesteś zmarznięta. Ależ ty doprawdy jesteś prawdziwą wiedźmą, Lizzie. Skąd wiedziałaś, że ja dziś wrócę? Duchy?

Lizzie głośno wciągnęła powietrze do płuc. Powinna znów zganić Michaela, a najlepiej go wyrzucić. A może najpierw go wysłuchać? Ale w każdym razie tej nocy powinien spać w Tuapeka i dać jej czas do namysłu! Jej zawziętość jednak znów stopniała. Nigdy nie potrafiła mu się oprzeć, a on był – to był ten dawny Michael. Niebieskie oczy, skruszony uśmiech... A dom był teraz taki ciepły i przytulny, w kominie płonął ogień...

– W pewnym sensie duchy – wymamrotała i poszła za nim do domu. Od razu ogarnęło ją rozmarzenie. Było czysto, na podłodze leżały dywany, nawet łóżko było już przygotowane.

Opór Lizzie kruszał coraz bardziej.

– Ach, Michael, tak dobrze wrócić do domu – rozejrzała się z przyjemnością po niewielkim pomieszczeniu, próbując za wszelką cenę zachować zimną krew. – Nie liczyłam się już z tym, że cię zobaczę, Michaelu Drury! Gdzie się ukrywałeś? Kupiłeś dom, a może kościół? Czy też tylko zabawiałeś się z dziewczynami w Kaikourze?

Lizzie usiadła przy kominie, zdjęła buty i grzała zmarznięte stopy przy ogniu. Michael dostrzegł swoją szansę. Kucnął przed nią, wziął w ręce jej stopy, które były o wiele większe i silniejsze, niż można by sądzić po jej drobnej postaci, i zaczął je rozcierać.

– Co ty ciągle mówisz o tej Kaikourze? – spytał i spojrzał poważnie w jej rozświetloną ciepłym blaskiem ognia twarz. – Obojętnie, jakie duchy ci coś podszeptywały, to były źle poinformowane.

– Ten duch nazywa się Tane i bawił się razem z tobą – odparła rozeźlona. – Był dobrze poinformowany i opowiedział mi o Claudii.

Michael westchnął, ale dalej gładził i rozcierał stopy Lizzie. Powoli docierał też wyżej, do kolan.

– Tak, widziałem Claudię. I zaprosiłem ją na kilka piw, podobnie jak inni. I co w tym złego? To dobra dziewczyna, była moją przyjaciółką i twoją też przez długi czas, o ile sobie przypominam. Czy kiedykolwiek się pokłóciliście?

Lizzie zacisnęła usta i odepchnęła ręce Michaela. Nie chciała zostać teraz uwiedziona.

– Jeśli nawet, to nie o ciebie, ty flirciarzu. Chcesz mi więc powiedzieć, że mnie nie oszukałeś? W ciągu tylu miesięcy? I wróciłeś teraz pełen skruchy? Z kluczem do pałacu?

Michael łagodnie postawił stopy Lizzie na podłodze i ukląkł przed nią, przyciskając ręce do serca.

– Lizzie, to prawda, jest powód, abym cię musiał prosić o przebaczenie. Powiedziałem przecież, że jestem głupcem, prawda?

Nie mogła się nie roześmiać. Michael podniósł w górę dwa palce.

– Ale przysięgam ci, że jak długo byliśmy razem, to cię nigdy nie oszukałem. Ani razu w czasie tej długiej podróży, a już na pewno nie z twoją przyjaciółką Claudią. Wierzysz mi?

Lizzie pokiwała głową. Nagle poczuła ogromne, przemożne zmęczenie. Wszystkie jej zmartwienia, troski, wściekłość i rozpacz były daremne. Mogła teraz mieć tylko nadzieję, że Michael nie spyta jej o to samo. Noc z Kahu Heke zaczęła jej ciążyć na sumieniu.

Michael opowiadał jej o farmach koło Kaikoury i na Canterbury Plains, podczas kiedy Lizzie wyczarowywała kolację z jego nikłych zapasów podróży.

– Przecież byłeś w Tuapeka – dziwiła się. – Nie mogłeś tam czegoś kupić?

Pochlebilo jej, kiedy wyznał, że tak bardzo ciągnęło go do niej, iż nie chciał dłużej zostawać w wiosce poszukiwaczy. On też nie pytał, dlatego Lizzie przyjechała do chaty zupełnie bez żadnych zapasów. I bez żadnego powątpiewania przyjął jej wyjaśnienie, że wreszcie chciała pomieszkać w porządnie ogrzonym domu. Lizzie zawsze marzyła, przecież dlatego właśnie uparła się przy budowie chaty. A tego wieczoru obojgu było i tak obojętne, co będą jeść. Byli szczęśliwi i pełni ulgi, że znów są razem – nawet jeśli Lizzie ciągle prześladowały wątpliwości. To było... zbyt nagle i zbyt proste. Może nie powinna była tak łatwo przebaczać Michaelowi. Ale z drugiej strony jego wyjaśnienia były przekonujące. Może rzeczywiście pisał listy, tak jak zapewniał. Musiałaby zapytać na poczcie.

– Ale jutro zaraz pojedziemy dalej, do Queenstown – zażądała Lizzie. – A może chcesz najpierw do Tuapeka, aby wziąć ślub?

Michael się roześmiał i pocałował ją.

– Lizzie, żeby się pobrać, to musimy jechać do Dunedin. W każdym razie, jeśli zależy ci na tym, aby ślub dał nam twój walebnny Burton. Bo on właśnie wreszcie dostał parafię pośród cywilizacji i szaleje z radości. Choć podobno opuściła go ukochana, jak mówią w Tuapeka.

– Na plotki miałeś więc czas – dokuczyła mu i zmarszczyła czoło. – Aż tak wielka twoja tęsknota nie była.

Michael pociągnął ją na łóżko.

– Zaraz ci pokażę, jak wielka była moja tęsknota! – pogroził jej. – Ach, Lizzie, naprawdę mi cię brakowało. Nawet twojego zrzędzenia mi brakowało. Ale teraz nie patrz na księżyc i nie licz dni, czy dziś jest bezpiecznie, czy nie. Pobierzemy się, Elizabeth, i będziemy mieć dzieci!

Cykl Lizzie był zawsze niezwykle regularny. Łatwo mogła zapobiec ciąży, zwracając uwagę na dni, w których mogło dojść do poczęcia. Nawet kiedy była dziwką, udało jej się tego uniknąć, choć w Green Arrow nie było łatwo przekonać gospodarza. Najgorsze chwile niepokoju przeżyła z Martinem Smithersem, ale nawet jego udało się przekonać, że ciężarna pokojówka byłaby czymś ostatnim, czego by sobie życzył. Michael zawsze był wyrozumiały – a teraz... Lizzie musiała przyznać, że w tej chwili zupełnie nie wiedziała, w którym dniu cyklu była. A Michaela nie było przecież tak długo. Ale miał rację, teraz to było obojętne. Lizzie wtuliła się szczęśliwa w jego ramiona. Michaelowi zawsze udawało się rozwiać wszystkie jej wątpliwości. Należeli do siebie, byli kobietą i mężczyzną.

Kiedy Michael następnego dnia wyszedł z chaty, aby nakarmić konie, na polanie przed domem siedziała stara Maoryska i grzała się przy ognisku. Michael rozpoznał Haingę – *tohunga*. Powitał ją z szacunkiem.

– Zapewne chcesz się widzieć z Lizzie? – powiedział.

Hainga przyjrzała mu się uważnie.

– Wróciłeś więc – rzekła. – Dziwne są drogi, którymi prowadzą nas duchy.

Tylko mniej więcej zrozumiał, co miała na myśli stara kobieta.

– Zawołam Lizzie. Może zjesz z nami śniadanie, choć co prawda nie mamy zbyt wiele jedzenia.

Kobieta potrząsnęła głową. Najwyraźniej nie była głodna, lecz miała jakąś misję do wypełnienia.

– Lizzie! Ktoś do ciebie!

Lizzie leżała jeszcze na pryczy i przestraszyła się, słysząc jego wołanie. Obawiała się, że Kahu zejdzie na dół do chaty i zażąda, aby wróciła. Nie wiedział, co prawda, gdzie dokładnie mieszkała, ale oczywiście ktoś mógłby mu wskazać drogę. Wstała, czując, że ma miękkie kolana. Miała nadzieję, że będzie już w drodze z Michaeliem, zanim odwiedzi ją Kahu. A teraz będzie musiała się tłumaczyć. Z westchnieniem ubrała się szybko – i poczuła ulgę, kiedy zobaczyła, że przed chatą czekała tylko *tohunga*.

Hainga wskazała Lizzie miejsce przy ognisku, jak gdyby to ona przyjmowała gości. Lizzie usiadła. Z ulgą zauważyła, że Michael poszedł do koni i nie interesowała go rozmowa kobiet.

– Przykro mi, że tak nagle wyjechałam – usprawiedliwiała się Lizzie. – Ja... ja powinnam się była pożegnać.

Hainga bagatelizująco machnęła ręką.

– Przychodzenie i odchodzenie, przeszłość i przyszłość to jedno – rzekła.

– To ty tak mówisz, ale jestem pewna, że Kahu jest na mnie zły. Haikina... Czy miała z tego powodu kłopoty?

Hainga potrząsnęła głową.

– Ona powiedziała ci tylko prawdę. Powiedziała to, co przemilczał Kahu. Duchy pozwalają nam przychodzić i odchodzić, mówić i milczeć... to jest jedność. Duchy, Erihapeti, nie dadzą się wprowadzić w błąd. Powiedziałam to Kahu i teraz przyszedłam tu, aby powiedzieć to także tobie.

Lizzie nie bardzo wiedziała, co ma na to odpowiedzieć.

– To... bardzo miłe z twojej strony – wymamrotała wreszcie. – A więc Kahu nie przyjdzie, żeby... jak to się mówi?... zażądać swoich praw? – spytała.

– Jakich praw? – powiedziała spokojnie Hainga. – Kahu Heke jest w drodze do swojej ojczyzny. Wczoraj przybył do nas posłaniec, tam jest niespokojnie. Wydaje się, że wybuchła wojna, o której mówił Kahu.

Lizzie poczuła ulgę – ale właśnie dlatego ogarnęło ją poczucie winy. Czy *ariki* Ngati Pau ożeniłby się z *pakeha*, czy też nie, to i tak nie da się szybko zażegnać sporów między poszczególnymi szczepami w drodze pertraktacji.

– Ja też stąd odchodzę – powiedziała. – Z Michaeliem.

Stara kobieta skinęła głową.

– Wiem, chmury się rozstały. Ale nie zawsze podoba nam się to, co pokazuje nam jasne niebo. *Haere ra*, Erihapeti. Zobacę cię znowu, kiedy nadejdzie czas.

Hainga przyłożyła nos i policzek do twarzy Lizzie, a ona odpowiedziała na pozdrowienie. Odetchnęła, kiedy stara kobieta odeszła. Także to okazało się prostsze, niż sądziła. Wydawało się, że Ngai Tahu nie mieli jej za złe, że odtrąciła Kahu. A bogowie tym razem byli chyba wreszcie po stronie Lizzie!



## ROZDZIAŁ 6

Wielebny Burton był niesłychanie wdzięczny Jimmy'emu Dunloemu za wszystko, co bankier zrobił dla Kathleen i Colina. Kathleen w ostatnich miesiącach traktowała Petera Burtona z coraz większym dystansem, toteż dopiero po odjeździe Colina Peter dowiedział się o interwencji bankiera i natychmiast też złożył mu wizytę.

– Też byłbym gotów dać chłopcu moje nazwisko – wyjaśniał niemal w poczuciu winy. – I to całkiem oficjalnie, adoptowałbym te dzieci natychmiast, gdyby Kathleen... gdyby Kathleen mnie chciała... Ale oczywiście nie dane mi było mieć takich stosunków jak pan.

Peter Burton pochodził z dobrej rodziny, ale nie z takich kręgów jak londyński bankier. Aby zaś umieścić pozamałżeńskiego syna kogoś zza morza, bez żadnych referencji ani też ukończonych angielskich szkół, w najbardziej renomowanej angielskiej akademii wojskowej, konieczne były powiązania z najlepszymi kręgami towarzyskimi, aż do domu królewskiego włącznie.

Dunloe machnął ręką.

– Ach, zostawmy to, wielebny – powiedział spokojnie. – Pan jako duchowny... jak by to wyglądało? Za to jeśli o mnie chodzi, nikt nie zwróci na to uwagi, w końcu w każdej rodzinie jest jakaś czarna owca. A młody Colin nie jest pierwszym gagatkiem, który zrobi karierę w Royal Army. Gdyby jej wysokość na przykład potrzebowała pirata...

Mężczyźni się roześmiali, ale Dunloe szybko spoważniał.

– Pragnąłbym tylko, abym mógł w ten sposób pomóc Kathleen. Ciągłe jest cieniem samej siebie, a Claire jest także nieszczęśliwa z tego powodu.

Ale życzenia Petera Burtona także były ciągle niespełnione. Kathleen po odjeździe Colina prawie się z nim nie kontaktowała, nie potrafiła też powrócić do poprzedniego życia towarzyskiego w Dunedin. To prawda, że zawsze była bardziej zamknięta w sobie i mniej towarzyska niż pełna życia Claire, ale po śmierci Coltrane'a wychodziła z domu tylko po to, aby iść do kościoła. Była ciągle pogrążona w głębokiej depresji, zlorzeczyła losowi i próbowała się uwolnić od rzekomej winy, chodząc na codzienne, niekończące się nabożeństwa żałobne za duszę Iana.

– Gdybym nie opuściła Iana, to Colin może nie byłby taki – powtarzała ciągle, kiedy Claire najpierw z żalem, ale potem także z irytacją próbowała z nią porozmawiać o jej ciągle rosnącym uzależnieniu od ojca Parrisha.

– Oczywiście, że byłby taki! – odparła teraz ze złością. – Już wtedy był lustrzanym odbiciem ojca i od dawna cię nie słuchał. I możliwe, że nawet Sean stałby się do

niego podobny! Już choćby po to, aby móc przetrwać. Ian prześladował go przecież na każdym kroku! A Heather? Czy ona dalej miała patrzeć, jak jej ojciec bije i gwałci matkę? Co stałoby się z trójką twoich dzieci, gdyby Ian w końcu zatłukł cię na śmierć?

Kathleen nie odpowiedziała, ale też chyba nie przyjęła tego do wiadomości – odpowiedzią był jak zwykle płacz. Taka postawa była też ogromnym obciążeniem dla dzieci. Sean, który się cieszył, kiedy Colin wreszcie wyjechał, po raz pierwszy w życiu nawet nie próbował zrozumieć matki. Buntował się i odmawiał uczestniczenia w kolejnych mszach żałobnych za Iana. Ojca Parrisha i tak nie znosił – wzrastał w atmosferze refleksyjnej religijności Petera Burtona, zawsze pełnej dystansu i wyrozumiałości, która nie wykluczała z grona parafian nawet łotrów i dziwek ze Ścieku Gabriela. Nie podobały mu się ponure wizje piekła roztaczane przez ojca Parrisha oraz drakońskie pokuty, które wyznaczał za najmniejszy grzech wyznany na spowiedzi. Sean uciekał więc z kościoła tak często, jak tylko było to możliwe, a ojciec Parrish ganił za to Kathleen. Czternastoletnią Heather, śliczną i pełną życia dziewczynę, przerażało to, co się stało z jej matką. Heather odwiedzała przyjaciółki, jeśli tylko mogła, i bardzo zbliżyła się w tym czasie z Chloé. Ale najchętniej uciekała do koni. Obie dziewczynki dzięki Claire były doskonałymi amazonkami, ale Heather pragnęła mieć własnego konia. I kiedy Kathleen odmówiła spełnienia tego życzenia, zaczęła, podobnie jak Sean, złorzeczyć irlandzkiemu Kościołowi katolickiemu. Bo zdaniem ojca Parrisha miejsce kobiety było przy kuchni, a nie w siodle.

– A nie byłoby lepiej, gdybyś zaczęła pielęgnować twoje zaniedbane kobiece cnoty?  
– spytała Claire sarkastycznie Kathleen, kiedy Heather kolejny raz poskarżyła się gorzko na przemożny wpływ, jaki ojciec Parrish wywierał na jej matkę. – Myślę tu o zajęciu się igłą i nitką. Czas na nową kolekcję wiosenną, Mary Kathleen! To naprawdę pilne! Katalogi z modą przysłane z Francji i Anglii leżą już od dwóch tygodni, ale ty nawet do nich nie zajrzałaś.

– Przesadne strojenie się to grzech – odpowiedziała apatycznie Kathleen.

Claire przewróciła oczami. Miała wielką ochotę potrząsnąć przyjaciółką. Co się stało z tą kobietą, która kiedyś tak rozważnie latami planowała ucieczkę? Która, mając tyle woli przetrwania i odwagi, tak dobrze sobie radziła przez wszystkie złe i dobre lata wspólnego życia i pracy? Wydawało się, że wraz z chwilą śmierci Coltrane'a i problemów z Colinem Kathleen straciła wszystkie siły. Była dosłownie jak воск w rękach fanatycznego ojca Parrisha.

– A gdybyś ty sam porozmawiał z tym księdzem? – spytała kiedyś zrozpaczona Claire Petera Burtona, widząc, że Kathleen ciągle nie zamierzała zabrać się do swojej pracy. Ostatnio wielebny stał się Claire bliższy, oboje skarżyli się sobie nawzajem aż za często z powodu Kathleen. – Tak jak duchowny z duchownym... W końcu to leży w interesie ojca Parrisha, aby Kathleen zaczęła zarabiać pieniądze. Wszystko idzie

przecież na ofiary dla niego! Ta sprawa zaczyna się powoli robić naprawdę poważna, Peter, potrzebne nam są nowe projekty, bo nie skończymy do wiosny naszej kolekcji!

Claire i Kathleen miały zwyczaj szyć jedną suknię przed ukazaniem się całej kolekcji i umieszczać ją na wystawie swojego sklepu. Klientki mogły wtedy obejrzeć model i po wyborze materiału zlecić uszycie sukni w odpowiednim rozmiarze.

Peter Burton roześmiał się gorzko.

– Jak sobie to wyobrażasz, Claire? Czy mam ojca Parrisha, że tak powiem, poprosić o jej rękę? On od razu zauważy, jak bardzo mi na niej zależy, kiedy tylko zacznę mówić. O ile ona w ogóle nie wypowiedziała mu się ze swych strasznych uchybień i grzechów, do jakich niewątpliwie należał kontakt ze mną. No, wtedy w jego oczach będę ucieleśnieniem Lucyfera!

– Ale coś musimy zrobić! – westchnęła Claire.

Wielebny uniósł brwi.

– Jeśli o tym mowa, to masz w ręku najlepsze karty. Okrzycz ją porządnie, uświadom jej, że wkrótce nie będzie mogła płacić chesnego za szkoły swoich dzieci. Musisz wywrzeć na nią nacisk, nawet wspominając o tej tajemnicy, której nikomu nie zdradziłyście.

Teraz z kolei Claire uniosła brwi.

– Jakiej tajemnicy? – spytała.

Peter wzruszył ramionami, a potem się uśmiechnął.

– Gdybym wiedział, sam bym to zrobił – oświadczył. – Ale nie traktuj mnie jak głupiego, Claire, jest jeszcze coś, co było między Coltrane’em a Kathleen. Dlaczego ten typ w ogóle ożenił się z Kathleen? Tylko nie opowiadaj mi, że on dopiero po ślubie został oszustem. Uczciwą pracą nigdy by nie zarobił na podróż do Nowej Zelandii.

– Tę podróż opłaciła Kathleen – wyrwało się Claire.

Peter spojrział na nią zaskoczony.

– Nie pytam więc, skąd miała na to pieniądze. Ale tu jeszcze coś jest. A jeśli masz choćby najmniejszą możliwość, aby wywrzeć na nią nacisk czy też wręcz za włosy wywlec ją z tego stanu, zrób to! A ja ze swej strony też spróbuję. Chcę zaprosić ciebie, Claire, Mr Dunloego i oczywiście Kathleen na moją pierwszą mszę w nowej parafii! Wreszcie wysłali mnie do Dunedin, choć co prawda, tylko na przedmieście. Najwyraźniej daleko rozniosła się wieść, że w ostatnich latach nie powiedziałem ani słowa na temat Darwina. No, przynajmniej nie z ambony.

– Czyżby cię opuściła odwaga, wielebny? – zażartowała Claire.

Peter się roześmiał.

– Nie, mam tylko inne zmartwienia. Tych chłopców na złotonośnych polach absolutnie nie interesuje, czy zostali stworzeni bezpośrednio przez Boga, czy pochodzą od małpy. I myślę, że Dunedin ma w tej chwili ważniejsze problemy, kiedy

tak szybko rośnie liczba jego mieszkańców w efekcie przybywania tu ludzi opanowanych gorączką złota. W każdym razie będę teraz bliżej was, Claire, i mam nadzieję, że jeśli chodzi o Kathleen, to nie tylko w wymiarze przestrzennym. Ale nie może nie przyjść na moje pierwsze nabożeństwo! Nie po tym wszystkim, co razem przeżyliśmy!

Kathleen rzeczywiście nie mogła odmówić, przyszła jednak niechętnie, ubrana w czarną suknię z ubiegłorocznej kolekcji. Ale mimo, a może właśnie z powodu tej smutnej barwy w tak radosne święto jej szczupła postać, jasna cera i lśniące włosy pod prostym czarnym kapeluszem przyciągały spojrzenia wszystkich. Zwłaszcza kobiety szeptały na temat partnerki Claire, która najwyraźniej była w żałobie. Mężczyźni za to patrzyli na nią wręcz pożądliwie. Peter Burton musiał uważać, aby też tego mimo woli nie robić. Z trudem koncentrował się na swoim kazaniu, mimo że Kathleen ani razu nie spojrzała w jego stronę. I w ogóle nie chciała potem wziąć udziału w pikniku w ogrodzie małego kościoła położonego na obrzeżach Dunedin. Doprowadziło to niemal do poważnej waśni między nią a Seanem. Chłopiec upierał się przy tym, aby pogratulować swojemu staremu przyjacielowi, który był dla niego jak ojciec, miał też kilka poważnych pytań dotyczących kazania, w którym Peter poruszył istotne problemy społeczne nowoczesnego Dunedin. Sean także w *high school* przeskoczył jedną klasę, zastanawiał się nad wyborem kierunku studiów i miał problem z podjęciem ostatecznej decyzji. Peter Burton miał nadzieję, że nie będzie chciał zostać teologiem. Nie wyobrażał sobie Seana jako katolickiego duchownego, a wszystko wskazywało na to, że chłopak złamałby serce swojej matce, gdyby opowiedział się po stronie jakiegokolwiek formy protestantyzmu. Heather także chciała wziąć udział w pikniku. Pochlebiali jej komplementy Petera na temat jej urody, dyskutowała też zawzięcie z przyjaciółkami i Chloé o tym, na którą z dziewcząt w czasie mszy najczęściej patrzył Rufus Cooper. W końcu Claire, Jimmy Dunloe i Sean niemal siłą zaciągnęli Kathleen do ogrodu, aby przynajmniej przywitała Petera.

– Piękne kazanie, wielebny – powiedziała z opuszczonymi oczami, kiedy Peter ujął jej rękę, małą i zimną. Peter zauważył, że Kathleen w ostatnim czasie bardzo zeszcupiała. Energicznie przytrzymał jej palce w dłoni.

– Kathleen, co się dzieje? Dlaczego nie chcesz ze mną rozmawiać? Dobry Boże, Kathleen, przecież byliśmy sobie bliscy! Miałem nadzieję... Kathleen, co z tobą?

Delikatnie objął ją ramieniem, choć ona skuliła się nagle, jak gdyby ten dotyk parzył. Peter się rozejrzał i spojrzał przeproszająco na Cooperów i Claire. Łagodnie zaprowadził opierającą się Kathleen do swojej małej, nowej plebanii. Był to śliczny wiejski domek, a Kathleen widziała podobne jeszcze w Irlandii. Jak przez mgłę przypomniała sobie niewielki, obrośnięty winem dom zarządcy lorda Wetherby. Trevallion – nienawidziła tego człowieka, ale kochała jego dom.

– Piękny dom – powiedziała cicho i podeszła do okna saloniku, w którym wreszcie znalazły swoje miejsce angielskie meble Petera. – Musisz jeszcze założyć tu ogród. Warzywa, kwiaty...

Peter nie podjął tego.

– Kathleen, nie zmieniaj tematu – powiedział zdecydowanie. – Musimy pomówić, a tu nikt nas nie usłyszy ani nie zobaczy. Nikt nie zdradzi surowemu ojcu Parrishowi, że trzymałaś za rękę antychrysta. I powiedz coś wreszcie. Dlaczego nie ważysz się nawet na mnie popatrzeć? Mój Boże, Kathleen, ja sądziłem, że mnie... że mnie choć trochę kochasz.

Kathleen potrząsnęła gwałtownie głową.

– Oczywiście, że cię nie Kocham. Ty... coś źle zrozumiałeś. To... nie może w ogóle... Ojciec Parrish...

– Ojciec Parrish nie będzie decydował o tym, kogo ty kochasz! – powiedział Peter stanowczo. – O tym, kogo pokochasz i z kim się połączysz, zdecyduje wyłącznie Bóg! A jeśli mnie nie kochasz, Kathleen, jeśli możesz mi uczciwie powiedzieć, że mnie nie kochasz, to przynajmniej popatrz mi przy tym w oczy!

– Może... – wyszeptała Kathleen. – Może decyduje o tym diabeł. – Ale potem podniosła głowę i popatrzyła na niego. Peter zobaczył przed sobą zrozpaczoną i nieszczęśliwą twarz. – Jestem przeklęta, Peter – powiedziała bezdźwięcznie. – Jestem grzeszna. I muszę za to odpokutować. Ian... Ian był... moją pokutą. I ja jej nie przyjąłem. A teraz... teraz znów kusi mnie diabeł... Proszę, zostaw mnie, Peter! Proszę, zostaw mnie w spokoju!

Kathleen wyrwała mu rękę.

– To ja jestem tą diabelską pokusą? – Peter nie wiedział, czy ma się śmiać, czy płakać.

Kathleen nie odpowiedziała. Wybiegła z domu, a potem najszybciej, jak się dało, opuściła ogród. Czy była szalona? Nie rozumiała już sama siebie. Od lat już nie myślała jak uczennica szkółki z tej małej irlandzkiej wsi bez nazwy nad Vartry River. Ale teraz miała wrażenie, że wróciła przeszłość. Jej grzech, utrata Michaela, nieszczęśliwe małżeństwo z Ianem, Colin... To było za wiele. Kathleen nie wiedziała, jak się z tym uporać.

Peter przyłączył się do gości, ale nie potrafił cieszyć się naprawdę tego tak ważnego dla niego dnia. Kathleen ciągle go kochała, widział to aż nadto wyraźnie w jej oczach. Ale jeśli nie stanie się jakiś cud, to nigdy nie zwróci się w jego stronę. Będzie się zadreć do końca swoich dni – a jednym z powodów była ta historia związana z jej małżeństwem z Ianem, którą ciągle przed nim ukrywała. Ian miał być jej karą? Za co?

Peter popatrzył na dzieci ze swojej gminy i zatrzymał wzrok na Seanie i Heather – brat i siostra omawiali coś z wielkim ożywieniem. Pewnie oburzało ich zachowanie

matki. I nagle Peter zrozumiał swoje nienazwane dotychczas przeczucie. Jasnowłosa Heather, ciemnowłosa Sean – także Colin miał jasne włosy. Ian miał oczywiście niemal czarne włosy. Ale jednak... Peter nie sądził, że będzie miał taką ochotę wrócić do obozu poszukiwaczy złota, lecz myślał teraz tylko o tym, aby znaleźć czas i raz jeszcze zajrzeć do ksiąg kościoła w Tuapeka. Przy okazji śmierci Iana Coltrane'a zapytał Kathleen o datę zawarcia przez nich związku małżeńskiego i zanotował ją. Wówczas nie przyszło mu do głowy, aby porównać ją z datą urodzin Seana...

Najpierw jednak Claire postanowiła zatroszczyć się o cud, czemu miało służyć przemówienie Kathleen do sumienia.

– Kathie, mnie nie obchodzi, że zamierzasz twojego Iana ogłosić po śmierci świętym! – zaatakowała przyjaciółkę, kiedy ta, ubrana na czarno, znów wróciła z jednej z niezliczonych mszy żałobnych w jego intencji. – Jeśli koniecznie chcesz zniszczyć samą siebie i zamienić się w jedną z tych czarnych wron, z których wcześniej kpiłaś, to proszę bardzo, zrób to. Ale ja nie dopuszczę, abyś przy okazji zrujnowała nasz interes! Na to za ciężko obie pracowałyśmy! Jeśli więc nie weźmiesz się do pracy i nie zaczniesz projektować nowej kolekcji, to ja zrobię to sama z Lauren Moriarty.

Lauren była jedną z kobiet, które szyły dla Kathleen i Claire.

– Lauren? – spytała Kathleen. Popatrzyła na Claire tak, jak gdyby ta była syreną i właśnie wynurzyła się z jeziora, w którym spała od wieków. – Przecież ona nie umie rysować.

– Ale umie szyc suknie według wzorów z magazynów, a także trochę je zmieniać. To jest proste, Kathleen, ja też to potrafię: po prostu należy kołnierz z jednej sukni dopasować do drugiej i dodać do niej pasek z trzeciej. Niezbyt oryginalne, ale tu jest Dunedin, a nie Paryż. Nikt nie zauważy, że to nie twoje projekty.

– Ale ja... ja to zauważę! – zawołała Kathleen, jakby nie wierząc w to, co usłyszała.

Powoli wyjęła z włosów szpilki przytrzymujące czarny kapelusz. W tym momencie Claire wyrwała go jej z ręki i cisnęła na podłogę.

– Ty, Kathleen – powiedziała bezlitośnie – będziesz mieć niedługo inne zmartwienia. Bo jeśli nie weźmiesz się porządnie do roboty, to nie dam ci pieniędzy! I będziesz musiała się zastanawiać, jak zapłacisz chesne za szkoły Seana i Heather. Może twój ksiądz zacznie na to zbierać ofiary!

– Ale... ale tego nie możesz zrobić! Sklep i zakład należy do nas obu. Połowa jest moja.

– To zaskarż to, Kathleen! – krzyknęła Claire. – Zobaczymy, jak daleko zajdziesz!

Kathleen patrzyła na nią ogromnymi, zdumionymi oczami.

– Ale przecież jesteśmy przyjaciółkami...

Claire odetchnęła głęboko.

– Kathleen Coltrane była moją przyjaciółką – oświadczyła. – Ale wydaje mi się, że ona umarła. Teraz mieszkam z pewną dewotką imieniem Mary Kathleen i doprawdy mało mam z nią wspólnego. Chętnie jednak przywróciłabym do życia Kathleen! A jeśli będę zmuszona tę świętoszkowatą beksę Mary Kathleen skopać, pobić, zabrać jej pieniądze i wyrzucić ją na ulicę, zrobię to! Bez względu na to, czy będzie potem moją przyjaciółką, czy nie!

Kathleen zagryzła wargi w milczeniu.

– Pójdę się przebrać – powiedziała cicho. – I przyniosę węgiel. A potem... potem zrobię kilka rysunków.

Claire była tak szczęśliwa, że chwyciła swoją opierającą się przyjaciółkę i zawirowała z nią po pokoju jak w tańcu.

– Wreszcie! Kathleen, tym razem przygotujemy naprawdę wielką kolekcję! Tak jak słynne domy mody w Paryżu i Londynie! Będą w niej suknie do noszenia w domu, suknie na popołudnie i także wieczorowe. A zwieńczeniem kolekcji będzie suknia ślubna! Nie martw się o koszty, ktoś na pewno ją kupi, a jeśli nawet nie, to taka reklama będzie tego warta!

Wśród kobiet, które mogły sobie pozwolić na modę z zakładu Claire i Kathleen, prawie nie było takich, które wychodziły za mąż. Większość małżeństw, które znalazły wśród najzamożniejszej części mieszkańców, przybyła do Nowej Zelandii razem, już po ślubie, czasem małżonka bogatego założyciela firmy przybywała w jakiś czas po nim. Ich dzieci wzrastały już w Nowej Zelandii i niewątpliwie miały wkrótce także zawierać związki małżeńskie. Choć to jeszcze z pewnością musiało jakiś czas potrwać.

– Ja chcę mieć suknię ślubną na wystawie! – obstawała przy swoim Claire, kiedy Kathleen próbowała zaprotestować. – Bo taka suknia po prostu powinna być w każdej kolekcji!

Suknia marzenie z kremowej koronki wisiała w oknie wystawowym zakładu Lady's Goldmine, kiedy Michael Drury i Lizzie Owens-Portland przybyli do Dunedin.

## ROZDZIAŁ 7

Farma w Queenstown wyglądała bardzo obiecująco. Lizzie natychmiast spodobało się jej położenie na niewielkim wzniesieniu z widokiem na Lake Wakatipu. Nie należał do niej dwór, lecz obszerny, przytulny dom, solidnie zbudowany i w dobrym stanie. Do kupienia było także stado bardzo zadbanych owiec hodowlanych. Właściciele farmy wydali właśnie za mąż jedyną córkę, która wyjechała z mężem do Blenheim, dlatego rodzice także planowali przenieść się na północ, nieco bliżej.

– Co tu mamy robić bez dziedzica? – spytał farmer, sympatyczny Szkot o czerwonej, ogorzalej twarzy. – Powinni tu być ludzie, którzy kochają owce, ale ja należę do tych, którzy się z nimi chętnie rozstaną.

Rodzina MacDuff miała maoryską pokojówkę, która bardzo chciała pozostać w domu, nawet jeśli zmieni on właścicieli, a także kilku pasterzy, których zatrudniano tylko od czasu do czasu. Lizzie szybko porozumiała się z dziewczyną, a Michael, zgodnie z tym, co mówił farmer, też powinien łatwo się dogadać z pasterzami, tym bardziej że wszyscy mówili po angielsku.

– Nie potrafiłem się nauczyć tego dziwnego żargonu – wyznał MacDuff rozbijając. – A dla nich też będzie dobrze, jak się dopasują do białych.

Lizzie uznała tę wypowiedź za nieco arogancką, ale nie chciała niczemu zaprzeczać.

Michael natychmiast zapalał entuzjazmem do tej farmy, a Lizzie też właściwie nie miała jej nic do zarzucenia. Rzeczywiście posiadłość była położona daleko od najbliższego miasta i Lizzie w głębi ducha żałowała, że przynajmniej na pierwszy rzut oka nie dało się tu dostrzec wzgórz łagodnie nachylonych w kierunku południowym, na których można byłoby uprawiać winorośl, ale nie chciała w żadnym wypadku, aby to był decydujący argument. Michael mógłby uznać, że zwariowała, albo zaczęłyby się obawiać, że ona znów chce grać pierwsze skrzypce. Pomysł eksperymentowania z winoroślą musiał pozostać w sferze marzeń.

Lizzie i Michael obiecali więc dokonać przedpłaty na poczet zakupu w banku w Dunedin na konto MacDuffa i przejąć dom, kiedy tylko Szkoci zakończą wszystkie swoje sprawy w Otago. MacDuff chciał przeprowadzić transakcję dopiero po strzyżycie owiec, co Michael uznał za zrozumiałe.

– Inaczej oznaczałoby to, że cały ubiegły rok pracował za darmo – oświadczył. Lizzie najchętniej wprowadziłaby się wcześniej.

– To co będziemy tak długo robić? – spytała niezadowolona. Ten fakt zepsuł jej skutecznie humor. – Nie mam ochoty na kolejną wiosnę w Tuapeka.



Michael roześmiał się, chwycił ją na ręce i zawirował z nią.

– My, kochanie, spędzimy następne tygodnie w Dunedin i nie będziemy pracować! Po prostu przepuścimy część naszych w pocie czoła zarobionych pieniędzy! Wynajmiemy pokój w hotelu i będziesz mogła pić tyle wina, ile tylko zechcesz. No i oczywiście pobierzemy się. Koniecznie w kościele wielebnego. Mam nadzieję, że to nie jest znów namiot!

Lizzie zakręciło się w głowie. Ostatnio coraz częściej miała zawroty głowy i zaczynała podejrzewać, co mogło być tego przyczyną.

– Ja mogłabym wychodzić za ciebie pod gołym niebem! – oświadczyła z uśmiechem. – Choć chciałabym mieć suknię ślubną. Myślisz, że mamy na to pieniądze?

Michael lekceważąco machnął ręką.

– Mamy pieniądze nawet na dwie suknie, a także na sukienkę do chrztu!

Lizzie pogroziła mu palcem.

– Nie chcesz chyba poślubić naraz dwóch kobiet, Michaelu Drury! Ale to z sukienką do chrztu to mógłby być dobry pomysł...

Lizzie odkryła marzenie z kremowej koronki już w czasie pierwszego spaceru po ulicach Dunedin. Uznała, że miasto jest fascynujące – od kiedy opuściła Londyn, nigdy jeszcze nie była tak blisko samego centrum pulsującego życiem miasta. Najważniejsze budowle środkowej części miasta były już ukończone, a w kościele St. Paul's rzeczywiście mogło zasiąść pięciuset wiernych. Oktagonalny środek metropolii zrobił na Lizzie ogromne wrażenie. A przede wszystkim było tu mnóstwo sklepów oferujących liczne towary w przeróżnych kategoriach cenowych. Dunedin naprawdę przypominało Londyn: bogaci mieszkańcy miasta spacerowali po parkowych alejach, demonstrując najnowszą modę, piękne ekwipaże i konie. Ale tuż obok nich wegetowali imigranci bez środków do życia, którzy na noc wracali do otaczających miasto namiotów i prowizorycznych chat.

Poza centralną częścią miasta ulice były często pełne błota, nikt nie wywoził stamtąd odpadków, brakowało też podstawowych urządzeń sanitarnych. Wielebny Peter Burton, który natychmiast zajął się swymi wiernymi, miał szerokie pole do działania. Znowuruchamiał kuchnie wydające posiłki dla najbiedniejszych, organizował także system podstawowej opieki zdrowotnej. Lizzie od razu wsparła go hojną darowizną – była szczęśliwa, mogąc choć raz zaliczać się do bogatych obywateli. Michael wynajął apartament w jednym z najlepszych hoteli i spełniał swe obietnice: oboje jadali w najlepszych restauracjach, chodzili do teatru i variétés – i planowali wesele. Michael w przyływie megalomanii chciał koniecznie brać ślub w katedrze St. Paul's, ale Lizzie o wiele bardziej podobał się mały kościół wielebnego Burтона na przedmieściu.

– Chciałabym, żeby wielebny Burton dał nam ślub! – oświadczyła. – A po co ci

kościół na pięćset miejsc? I tak tu nikogo nie znamy.

Lizzie w końcu udało się postawić na swoim, i termin ślubu został ustalony na drugiego listopada. Lizzie miała być wiosenną panną młodą.

– A ty będziesz jesiennym dzieckiem – wyszeptała Lizzie.

Była już pewna swej ciąży i cieszyła się. Jednak nic jeszcze nie powiedziała Michaelowi i miała nadzieję, że do wesela nic nie będzie widać. W swojej ślubnej sukni chciała wyglądać szczupło i pięknie, choć na razie miała jeszcze mgliste wyobrażenie, jak ona ma wyglądać. Aż do tego dnia, kiedy spacerowała po George Street, która należała do najbardziej światowych ulic młodego miasta.

Sklep był mały, ale bardzo ekskluzywny i znajdował się tuż koło banku, a na jego wystawie Lizzie zobaczyła najpiękniejszą suknię, jaką tylko była sobie w stanie wyobrazić. Lady's Goldmine – Moda Damska. Lizzie musiała powstrzymać chęć, by jak dziecko przycisnąć nos do jego witryny. I nie musiała już marzyć! Miała pieniądze, mogła sobie kupić tę suknię!

Nie namyślając się długo, weszła do wykwintnego sklepu. Nigdy jeszcze nie była w czymś podobnym, a młoda kobieta, która ją przywitała, też nie sprawiała odstręczającego wrażenia, lecz jedynie nieco onieśmiewała. Miała na sobie elegancki, ale bardzo powściągliwy kostium do pracy. Jasnobrązowa barwa spódnicy i zakietu znakomicie pasowała do jej orzechowych oczu, a delikatna seledynowa bluzka i luźno związany wokół szyi ciemnozielony szal dopełniały całości. Kobieta wyglądała bardzo światowo i uśmiechała się ujmująco.

– Dzień dobry, jestem Miss Claire. Co mogę dla pani zrobić?

Lizzie odetchnęła głęboko.

– Ta suknia ślubna... – wyszeptała.

Miss Claire się rozpromieniła.

– Wychodzi pani za męża? Widzi pani, wiedziałam, że ktoś czeka na to, aby iść do ślubu w tej właśnie sukni! Moja partnerka złościła się na mnie, kiedy postanowiłam koniecznie włączyć do kolekcji ślubną suknię. Ale chyba miałam jakieś przeczucie... Proszę, niechże pani wejdzie i przymierzy tę suknię! Bo chce ją pani kupić, prawda?

Lizzie nieśmiało przestępowała z nogi na nogę. Nie spodziewała się tak serdecznego przyjęcia. Ale Claire Edmunds fałszywie zinterpretowała jej powściągliwość.

– Proszę się nie martwić o cenę, na pewno będziemy mogły się porozumieć. Oczywiście, jeśli tylko ten model pani odpowiada. Bo szycie całej sukni jest rzecz jasna drogie. Ale ta suknia była pomyślana jako chwyt reklamowy i...

Lizzie zaczerwieniła się i potrząsnęła głową.

– Nie... nie... ja... my... my mamy pieniądze. Tylko że ja jeszcze nigdy nie miałam na sobie czegoś tak pięknego.

Claire zdjęła tymczasem suknię z wystawy i Lizzie z zachwytem dotknęła ręką

błyszczącego jedwabiu i delikatnych koronek.

Claire promieniała radością.

– Prawda, że piękna? Tu nie dostanie pani niczego podobnego. Dunedin jest wprawdzie na najlepszej drodze do tego, aby stać się światowym miastem, ale póki co do Londynu i Paryża jeszcze nam daleko. Czy też do Liverpoolu. Stamtąd właśnie jestem. A pani?

– Z Londynu – odparła Lizzie, robiąc wszystko, aby nie było słyhać jej akcentu zdradzającego dialekt Cheapside.

– Och, Londyn, to mieszkała pani u samego źródła mody. Proszę poczekać, pomogę pani, aby włożyć taką suknię, potrzebna jest pokojówka!

Claire paplała radośnie, pomagając Lizzie zdjąć jej prostą popołudniową suknię i włożyć marzenie z jedwabiu i koronki. Kathleen uszyła ją zgodnie z angielskim projektem przewidzianym dla arystokratki. Jej osobiście ten model się nie podobał, uważała, że jest przeładowany. I rzeczywiście, ani Kathleen, ani Claire nie wyglądały w nim zbyt dobrze. Obie przymierzyły tę suknię.

Jimmy Dunloe potrząsnął głową, kiedy Claire zademonstrowała mu suknię.

– Wśród tych wszystkich koronek i falban musiałbym cię szukać, Claire! – roześmiał się bankier. – Zdecydowanie za dużo dla ciebie, a ten kolor powoduje, że wydajesz się blada!

Także uroda Kathleen nie została podkreślona, lecz ukryta – suknia sprawiała wrażenie bardziej wieczorowej niż ślubnej. Liczne szarfy i falbany powodowały też, że Kathleen nie sprawiała już wrażenia szczupłej. Jej klasyczna uroda wymagała strojów prostych, o nieskomplikowanym kroju.

Ale kiedy Claire zobaczyła w tej sukni Lizzie, zaniemówiła z wrażenia. Jej niepozorna, chłopięca i szczupła figura nagle nabrała krągłości właściwych kobiecie. Gorset i obszyty koronką dekolt podkreślały jej biust, a kremowy kolor kontrastował znakomicie z ciemną cerą Lizzie – zbyt ciemną jak na obowiązujące kanony mody. Delikatne włosy Lizzie opadały na koronki i sprawiały wrażenie bardziej bujnych. A stanowiące komplet z suknią długie koronkowe rękawiczki ukrywały jej zniszczone pracą ręce.

Lizzie parzyła w lustro i nie mogła wydobyć z siebie głosu. To już nie była Lizzie Owens albo Portland, to była księżniczka!

– To jest... niewiarygodnie piękne! – wyszeptała, kiedy Claire ułożyła jej włosy wokół dekoltu.

– Proszę poczekać, przyniosę welon. Może być krótki albo długi, moja przyjaciółka zaprojektowała krótki, ale to jest najnowsza moda i niewiele kobiet się na to odważa. Proszę spojrzeć, ten wianek jest sztuczny, z drutu, zielonej krepy i koronki, ale można tu dodać pomarańczowe kwiaty i...

Claire i Lizzie milczały obie, zobaczywszy w lustrze Lizzie w pełnym rynsztunku

panny młodej.

– Doskonała całość – oświadczyła w końcu Claire. – Albo prawie. Tu musimy zrobić jeszcze małą zaszewkę, tu także, a dekolt podniosłabym nieco do góry.

Zgrabnie manewrowała szpilkami i fastrygą, ale dla Lizzie były to minimalne, prawie niewidoczne różnice. W jej ocenie suknia była perfekcyjna już teraz.

– Przygotujemy ją na pojutrze, wtedy będzie pani mogła odebrać – zaproponowała Claire. – To wystarczy, prawda? Nie wychodzi pani za mąż dzisiaj! A jeśli byłoby to możliwe: czy zgodziłaby się pani, abyśmy zrobili pani fotografię? Taka piękna panna młoda... Kathie musi panią koniecznie zobaczyć w tej sukni, zanim ją pani zabierze! Proszę dać nam czas i powiedzieć, kiedy będzie pani mogła przyjść do miary!

Lizzie roześmiała się wreszcie.

– Te dwa dni wystarczą – stwierdziła uszczęśliwiona. – Ale jeśli pani... jeśli pani i tak chce coś poprawić... wesele jest za cztery tygodnie i możliwe, że... – Zaczerwieniła się, ale jakoś nie miała żadnych zahamowań wobec tej kobiety. W dobrym domu mody, co właśnie odkryła, kobiece tajemnice na pewno będą pilnie strzeżone. – Że wtedy będę nieco... pełniejsza.

Claire znów się rozpromieniła.

– Jak pięknie! Serdeczne gratulacje! Ale to żaden problem, tu i tak jest taka szeroka szarfa. Pod nią bez trudu znajdziemy miejsce dla potomka. Och, cieszę się razem z panią! Gdzie będzie pani brała ślub? Może przyjdę do kościoła? Wie pani, to jest nasza pierwsza suknia ślubna...

– Ta kobieta jest niesłychanie sympatyczna! – opowiadała Lizzie podekscytowana, kiedy wieczorem spotkała się z Michaeliem w hotelu. Aby uczcić ten dzień, zamówiła szampana. – I wyobraź sobie, one projektują te suknie same! Miss Claire albo jej przyjaciółka, Miss Kate czy jakoś tak. Oczywiście suknia jest bardzo droga, ale dla mnie będzie cena specjalna! Bo Miss Claire jest zdania, że ta suknia i ja... że tak powiem, jesteśmy sobie przeznaczone.

Michael zmarszczył czoło, ale zgodnie wzniósł toast.

– Kochanie, to ty i ja jesteśmy sobie przeznaczeni! Jeśli o mnie chodzi, to mógłbym się z tobą żenić nawet wtedy, gdybyś była ubrana w lniany worek. Ale dobrze, obejrzę sobie tę cudowną suknię pojutrze. Zobaczymy, czy cię w niej rozpoznam. Bo zgodnie z tym, co opowiadasz, ona zamienia cię w anioła – albo może raczej w tort śmietankowy?

Lizzie gwałtownie potrząsnęła głową i niemal upuściła przy tym kieliszek.

– Oszalałeś, Michaelu? Nie wolno ci zobaczyć mnie w sukni ślubnej, to przynosi nieszczęście!

W jej głosie słyhać było autentyczną troskę i błaganie.

Michael się roześmiał.

– Moja kochana Lizzie, oto jesteś dorosłą, bogatą kobietą, ale zachowujesz się jak przesądne dziecko! – Ujął jej rękę i pocałował. – Jak gdyby to była jakaś różnica, czy zobaczę kawałek materiału i koronki, czy nie. Co powiedzieliby na to twoi maoryscy przyjaciele? Tam kobiety w ogóle nie wkładają sukni ślubnych! W czasie dzielenia łoża w domu zebranych one by tylko przeszkadzały!

Lizzie zmarszczyła czoło.

– Dorosłe bogate kobiety także czasem prześladowane – wyjaśniła. – A Maorysi z pewnością mają własne zwyczaje.

Pomyślała o ceremonii, którą musiała odbyć każdorazowo zoną wodza, zanim chciała tylko odwiedzić męża w jego namiocie.

– Nie waz się szpiegować, Michaelu! Moją suknię zobaczysz dopiero w kościele.

Michael przytaknął z udawaną naiwnością. I tak jutro przejedzie konno George Street i rzuci okiem na tę cudowną suknię. Co mogło przynieść nieszczęście jemu i Lizzie?

Lizzie ledwo mogła się doczekać kolejnej przymiarki. Pojawiła się na George Street piętnaście minut przed umówionym terminem. Tym razem czekała na nią nie tylko Miss Claire, ale także dwie inne kobiety. Krawcowa Mrs Moriarty oraz Miss Kathie, druga właścicielka Lady's Goldmine. Mrs Moriarty sprawiała bardzo sympatyczne wrażenie w swej prostej muślinowej sukni – i właściwie trochę przypominała matkę. Przyszła chyba wprost ze szwalni. Ale Miss Kathie... Lizzie była już i tak onieśmielona elegancją i urodą Claire, ale Miss Kathie! Wprawdzie miała na sobie tylko bardzo prostą czarną suknię bez żadnych ozdób, ale z pewnością była najpiękniejszą kobietą, jaką Lizzie widziała w życiu.

Miss Kathie miała włosy upięte podobnie jak Claire, ale kilka drobnych loków otaczało jej twarz jak aureola świętej. Taki kolor Lizzie widziała ostatni raz na złotośnych polach – i takie same złotoblond włosy miała Miss Kathie. Jej cera była jasna i gładka jak marmur, a na czole nie było widać ani jednej zmarszczki, która świadczyłaby o trosce lub zmartwieniu i zakłócała doskonałą urodę jej twarzy. A najbardziej oszałamiające były błyszczące zielone oczy o tak intensywnej barwie, jakiej Lizzie nie widziała jeszcze nigdy. Miss Kathie była wprawdzie uprzejma, ale pełna dystansu.

– Moja przyjaciółka opowiadała o pani z zachwytem – powitała Lizzie przyjaźnie. Jasny, dobitny głos, na pewno doskonały do śpiewu.

Lizzie niemal zlorzeczyła swoim duchom. Przy kołysce tej kobiety na pewno stały wszystkie wróżki, których zabrakło przy kołysce jej, Lizzie.

– Miałam koniecznie przyjść na pani przymiarkę.

– Miss Kathie żyje raczej w odosobnieniu – zauważyła Claire. – Ale już czas, aby odważyła się wyjść na świat. Mogłybyśmy obie pójść na wesele Miss Portland, Kathie,

i odegrać rolę druzek. Ma pani już druhny, Miss Portland? No, właściwie Kathie i ja jesteśmy już trochę za stare, ale nasze córki byłyby zachwycone.

Miss Claire była wyraźnie rozbawiona, a Mrs Moriarty i Miss Kathie pomagały Lizzie włożyć przerobioną suknię. I znów, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, Kopciuszek zamienił się w księżniczkę. Ta kobieta w lustrze dopiero co była nią, Lizzie, ale teraz stała przed nią księżniczka z bajki, której uroda niemal dorównywała urodzie Miss Kathie. Dzięki kilku nowym zaszewkom suknia leżała wprost perfekcyjnie. Lizzie nie mogła się napatrzeć na odbicie w lustrze.

– Rzeczywiście, wygląda to fantastycznie. – Także oczy Miss Kathie były teraz pełne zachwytu. – Moja przyjaciółka ma rację, trzeba panią sfotografować w tej sukni, a jeszcze lepiej namalować! Jest kilku dobrych malarzy w Dunedin. Mamy się za tym rozejrzeć?

Lizzie znów zakręciło się w głowie. Malować! Ktoś miał ją malować! Przypomniały jej się portrety rodzinne w domu Busbych. I zaraz pomyślała o ścianie w salonie jej nowego domu na farmie koło Queenstown.

– To byłoby cudownie... – powiedziała rozmarzona. – To byłoby jak marzenie! Nigdy bym nie pomyślała...

Lizzie kręciła się przed lustrem. Ale nagle zerknęła przez wystawowe okno na ulicę i jej twarz spochmurniała.

– Nie do wiary! – rozzłościła się. – Muszę szybko zdjąć suknię, Miss Claire, bo inaczej będzie jakieś nieszczęście! Tam na ulicy, po drugiej stronie, stoi mój mąż!

Miss Claire była natychmiast gotowa dzielić jej troskę.

– On się odważy tu wejść? – spytała ze śmiechem. – Chłopcy czasem rzeczywiście lubią kusić los! Szybko, Miss Portland, do przymierzalni, tam chyba nie odważy się wejść. Wyprowadzimy go w pole. Zanim tu wejdzie, dawno będzie pani miała na sobie swoje poprzednie ubranie.

Miss Kathie i Mrs Moriarty poszły razem z Lizzie do przymierzalni. I kiedy pomagały Lizzie ostrożnie zdjąć kremowobiałe marzenie, słyszały, jak Miss Claire wybiegła przed sklep, z udawaną powagą złościła się na Michaela, a on odpowiedział coś wesoło. Na dźwięk jego głosu, który było słyhać w przymierzalni, Miss Kathie znieruchomiała jakby przerażona. Lizzie, która właśnie wciągała swoją starą spódnicę, nic nie zauważyła, ale Mrs Moriarty patrzyła zaskoczona, jak z rąk szefowej wysuwa się jedwab.

– Coś się stało, Miss Kathie? – spytała.

Kathleen przyłożyła rękę do czoła.

– Nie, ja... ja jestem tylko...

Mrs Moriarty się roześmiała.

– U nas w domu powiedziano by: śmierć na mnie spojrzęła...

Lizzie wciągnęła już spódnicę i bluzkę, zapięła guziki i przyglądała ręką włosy.

A potem otworzyła drzwi. Jej twarz się rozpromieniła, jak zawsze, kiedy widziała Michaela. Oczywiście, to było bezczelne z jego strony, że odważył się tu przyjść, ale także... w jakiś sposób miłe... Uśmiechnęła się do niego, zobaczyła, że on uśmiecha się także – i nagle spostrzegła, że jego twarz nieruchomieje i blednie. Michael już się nie uśmiechał, a na jego twarzy widać było tylko ogromne zmieszanie i zaskoczenie graniczące wprost z przerażeniem. Jak zahipnotyzowany wpatrywał się nieruchomym wzrokiem w coś, co było za Lizzie. Lizzie się odwróciła – i dostrzegła dokładnie ten sam wyraz zaskoczenia i przerażenia w pięknych rysach Miss Kathie, która stała w drzwiach.

Kathleen pierwsza doszła do siebie.

– Michael... – powiedziała bezgłośnie.

Michael jak w transie postąpił krok do przodu. Nie widział już Lizzie, nie dostrzegł też Claire ani Mrs Moriarty.

Michael Drury był w zupełnie innym świecie. Sam, z nią...

– Myślałem, że nie żyjesz – usłyszał swój własny głos, jak gdyby dobiegający z jakiejś dali.

Kathleen, wpatrując się w niego znieruchomiałym wzrokiem, także podeszła bliżej.

– Dlaczego ja? – spytała bez związku. – Ty... ty byłeś w Australii...

– Ale niedługo. – Michaelowi wydało się nagle, że to nie on stoi tutaj i mówi do Kathleen. – Uciekłem stamtąd. Ale ty... Ian powiedział, że umarłaś w połogu.

Kathleen się nie uśmiechała, jej twarz przypominała teraz nieruchomą maskę, na której wymalowane było zaskoczenie i zmieszanie.

– Ja jestem tutaj... – powiedziała. – Dotknij mnie...

Powoli jak we śnie wyciągnęła w jego stronę rękę. Michael ujął ją, była ciepła i wilgotna od potu. Jego zapewne też. Objął jej palce obiema rękami. Ich ruchy były powolne, nieśpieszne, zupełnie jak we śnie.

– Widzisz, że żyję? – Kathleen podała mu drugą rękę. Stali naprzeciw siebie bez ruchu, wpatrując się w swe twarze. Wydawało się, że właśnie zamyka się jakieś wielkie koło.

– Co to jest? – spytała Lizzie. – Kto to jest?

Nie musiała pytać. Już właściwie wiedziała.

– Kathleen? Mary Kathleen?

Claire także nie całkiem rozumiała, co się dzieje, ale trudno było nie dostrzec, jak bolesna była ta scena dla Lizzie.

– Moja kochana... – Spróbowała objąć Lizzie ramieniem, ale ona odtrąciła jej rękę, nawet na nią nie patrząc.

– Mary Kathleen...? Co pani tu robi? Przecież pani... pani nie żyje! – Lizzie gwałtownym ruchem odepchnęła od siebie Kathleen i Michaela i wsunęła się między

nich oboje. Kathleen powoli zwróciła na nią wzrok, jej oczy były osobiwie nieruchome i nieobecne. – Przecież pani nie żyje! Pani jest martwa!

– Michael, co ona mówi? – spytała wreszcie Kathleen.

Wydawało się, że zupełnie zapomniała o poprzedniej sytuacji: że Lizzie mówiła o swoim narzeczonym, że Claire żartobliwie dokuczała Michaelowi z powodu ślubnej sukni, której nie miał zobaczyć.

Michael prawie nie dostrzegał Lizzie.

– Przykro mi, Lizzie – wyszeptał, nie patrząc na nią. – Ale widzisz przecież, ona nie jest martwa... Zostaw nas... Zostaw nas... Co teraz zrobimy, Kathleen? – znów zwrócił się do tego zjawiska z odległej przeszłości, w którą powoli zaczynał wierzyć. Kathleen, jak w osobliwym tańcu, powoli okrążyła Lizzie i nieoczekiwanie znalazła się znów naprzeciw Michaela. A Lizzie...

– Chodźmy, Miss Portland! – Claire energicznie przejęła inicjatywę. – Każde z tych dwojga nie jest w tej chwili sobą. Myślę, że znają się z bardzo dawnych czasów...

– To jest Michael, Claire... – W głosie Kathleen nie było słyhać żadnej modulacji, ale chyba chciała przedstawić sobie Michaela i Claire. Funkcjonowała, nie wiedząc, dlaczego i jak wszystko wokół niej się działo. – Claire Edmunds... Michael Drury.

– Ojciec Seana? – wyrwało się nagle Claire.

Lizzie nagle poczuła mdłości. A więc dziecko nie umarło. Kathleen i jej syn czekali tutaj na Michaela. Znów przysunęła się bliżej, szukając właściwych słów...

Claire Edmunds objęła ją łagodnym ruchem.

– Miss Portland, proszę sobie tego nie robić! – powiedziała. – Chodźmy, wypijemy razem herbatę, a potem wszystko będzie dobrze. Ci dwoje jakoś wrócą do siebie. Ale myślę, że mają sobie wiele do opowiedzenia. Mrs Moriarty, proszę tu posprzątać i zamknąć sklep, jeśli moja partnerka...

Jeśli moja partnerka miałyby o tym zapomnieć? A może: gdyby straciła głowę i wybiegła stąd? Claire nie za bardzo wiedziała, czego się obawiała, ale Mrs Moriarty przyjaźnie skinęła głową.

– Proszę iść, ja się wszystkim zajmę.

Lizzie bezwiednie weszła za Claire Edmunds na schody i za chwilę znalazły się obie w gustownie urządzonym salonie. Lizzie wiedziała już, że nic nie będzie teraz takie jak dawniej. Nie mówiąc o tym, że miałyby być dobrze, jak wspomniała Claire. Widziała wyraz twarzy Michaela. Dla niego od tej chwili istniała tylko Kathleen. Jak zawsze. Dzielili ich tylko śmierć. Ale Lizzie powinna była o tym wiedzieć. Jednak nie można się było zdać ani na Boga, ani na duchy – ani nawet na śmierć.



## ROZDZIAŁ 8

– On żyje? Mój syn żyje? – Michael potrzebował dużo czasu, aby się pozbierać. Kathleen szybciej uporała się z zaskoczeniem i szokiem. W końcu w jej świadomości Michael przebywał tylko na Tasmanii, dawnej Ziemi van Diemena, a nie w odległych zaświatach. Ale także co najmniej minutę stała nieruchomo, trzymając swoją rękę w jego dłoni, aż w końcu z przymierzalni wyszła Mrs Moriarty z dzbankiem herbaty i zaprosiła ich do środka.

– Czy się pan napije? – zapytała nieśmiało.

Michael ocknął się ze swego odrętwienia.

– Teraz to właściwie potrzebowałbym whiskey – wymamrotał.

Kathleen się uśmiechnęła.

– Ciągle jeszcze tym handlujesz?

– Co? Ach... Nie, nie, oczywiście, że nie. Jestem... jestem... hodowcą owiec, mam farmę na zachód od Queenstown. Na razie tylko przedpłaconą...

Kathleen skinęła głową.

– Ja też miałam farmę – powiedziała, ciągle jeszcze jak w transie. Oboje z trudnością i bardzo powoli wracali do rzeczywistości. – Mieszkałam z Ianem koło Christchurch. Ale twój syn urodził się w Lyttelton. Albo w Port Cooper, czy jak to się wcześniej nazywało. Prawie na statku...

Kathleen zaczęła opowiadać, ale Michael jej przerwał. Jego syn żył... Michael ciągle był w stanie oszołomienia, gdzieś pomiędzy niedowierzaniem a niewymowną radością, której jeszcze nie pojmował.

– Ależ tak, Michael. On żyje. To dobry chłopiec. I bardzo mądry. Chodzi do *high school* i będzie studiował w college'u. Ian... Ian nie żyje...

Michael skinął głową, nie wspominając o udziale Lizzie w tym ostatnim. I właśnie przy tej okazji przypomniał sobie o niej. To musiał być dla niej szok. Ale co za osobliwe zrzędzenie losu! Lizzie zabiła Iana. Lizzie otworzyła mu drogę do Kathleen. Lizzie zawsze prostowała jego drogi. Michael pomyślał z mieszaniną żalu i wdzięczności o kobiecie, którą zaledwie kilka chwil temu chciał poślubić. Ale Lizzie będzie musiała zrozumieć...

– A ty? Nie masz żony? Dzieci?

Kathleen wypiła łyk herbaty. Powoli na jej twarz, jej tak piękną twarz, wracały kolory i ustępowała z niej niesamowita bladeść. Na pierwszy rzut oka Michael pomyślał, że prawie wcale się nie zmieniła, ale teraz dostrzegł, że jej oczy otaczała siateczka drobniutkich zmarszczek. Stała się bardziej poważna, zapewne poznała

smak troski i bólu – ale Michaelowi dzięki temu wydała się jeszcze piękniejsza.

– Miałaś rozpuścić włosy – powiedział znów jak w transie i bez związku.

Kathleen powtórzyła pytanie.

– Ja? Nie... nie. Oczywiście, że nie. Kathleen, ja... ja myślałem tylko o tobie.

Kathleen zmarszczyła czoło. Także ona powoli zaczęła przypominać sobie narzeczoną Michaela.

– A ta kobieta? – spytała. – Miss Portland?

Michael lekceważąco machnął ręką.

– To stara przyjaciółka. My... my dużo razem przeżyliśmy... Chcieliśmy razem prowadzić farmę. No bo miałem cię za zmarłą...

– I nic więcej między wami nie było? – zdziwiła się Kathleen.

– Nic, co miałoby cię zmartwić. Kathleen, Mary Kathleen! To cud! Naprawdę, to cud. A nasz syn, jak on się nazywa, Sean? Po moim pradziadku? Jesteś cudowna, Kathleen, cudowna. Kiedy będę go mógł zobaczyć?

Kathleen nie wiedziała, że tak miał na imię pradziadek Michaela. Spojrzała na zegar stojący w rogu pokoju.

– Zaraz jest koniec lekcji – powiedziała. – Możemy po niego pojechać. Ja... ja i tak muszę zaczerpnąć trochę świeżego powietrza.

Michael skinął głową.

– Jeśli jesteś duchem, to słońce i tak cię nie spali – zażartował.

Kathleen odgarnęła włosy z twarzy, zanim wzięła do ręki kapelusz. Był to jej czarny, mały kapelusz, który ostatnio stale nosiła. Popatrzyła na niego przez chwilę, po czym porzuciła zamiar jego włożenia. Wśród dodatków, które sprzedawały z Claire w sklepie, znajdował się elegancki toczek w kolorze ciemnej czerwieni. Kathleen zdjęła go ze stojaka.

– Tylko wtedy, gdybym była wampirem – nawiązała do jego żartu. Po ponad dziesięciu latach z Claire była dobrze obeznana ze światem duchów z książek i sztuk teatralnych. – Ale mogę cię zapewnić, że nie jestem. A co z Miss Portland?

Michael wzruszył ramionami.

– Sama znajdzie drogę do domu – stwierdził. – Przykro mi oczywiście z jej powodu... Zobaczymy, co zrobimy z tą farmą... Ale teraz... To wyjaśnimy później, Kathleen. Teraz chcę zobaczyć Seana! Mojego syna!

Sean był bardziej niż zdziwiony, kiedy zobaczył matkę czekającą w bramie szkoły. A ten mężczyzna obok niej – najpierw pomyślał o Peterze Burtonie i już był gotów się ucieszyć, ale wówczas dostrzegł, że mężczyzna jest wyższy niż wielebny. I że na jego twarz nie spadały brązowe włosy, lecz jej ostre, wyraziste rysy otaczały bujne, czarne i mocno kręcone włosy. Seanowi on kogoś przypominał... Albo coś... Szybko pożegnał się z Rufusem Cooperem i podszedł do matki.

– Sean! – Kathleen patrzyła na syna, promieniejąc radością.

Sean spojrział na nią nieufnie. Dostrzegł, że zaszła w niej jakaś zmiana i nie polegała ona tylko na tym, że miała na głowie ciemnoczerwony toczek, na który wreszcie zamieniła ten okropny wroni czepek. To było także jakieś osobliwe światło w jej oczach, które widział wtedy, kiedy jeszcze była razem z Peterem Burtonem. Zanim umarł jego ojciec. Jego ojciec? Sean nie był głupi. Kiedy był dzieckiem, bardzo bolało go to, jak wyraźnie odrzucał go Ian, faworyzując Colina, ale teraz Sean nic już nie czuł do Coltrane’a. Jednak w końcu zaciekał go całkowity brak jakiegokolwiek sympatii i więzi ze strony Iana. I nie było trudno znaleźć akt ślubu Kathleen.

Sean podszedł powoli do matki i pocałował ją w policzek.

– Sean! – powtórzyła Kathleen z jakąś osobliwą euforią, której chłopiec nigdy nie słyszał w jej głosie. – To jest Michael Drury.

Sean grzecznie podał mu rękę.

– Czy nie widziałem pana w Tuapeka, Mr Drury? – zapytał uprzejmie.

Teraz przypomniał sobie dokładnie. Mr Drury był razem z Miss Portland i Mr Timlockiem. Czasami przyjeżdżali wszyscy troje w niedzielę na mszę Petera Burtona.

– Co słychać u Miss Portland?

Sean dostrzegł, że twarz matki natychmiast spochmurniała. Na twarzy Michaela Drury’ego pojawił się nawet lekki rumieniec.

– Wszystko dobrze... – wymamrotał. – Nawet bardzo dobrze, o ile wiem...

– Mr Drury i ja znamy się z Irlandii – powiedziała Kathleen. – My... pochodzimy z tej samej wsi. A teraz... tak, on teraz chciał poznać ciebie.

Michael stał przed swoim synem i patrzył na jego szczupłą twarz, w której rozpoznawał prosty nos Kathleen i jej wysokie kości policzkowe, ale także swoje rysy, albo raczej rysy swego brata Briana. Zielone oczy Seana wpatrywały się w niego badawczo. Jego syn! Serce Michaela zalewała fala wzruszenia i miłości, ale nie wiedział zupełnie, co ma do niego powiedzieć.

– Masz... masz teraz szesnaście lat, Sean? – wystękał w końcu. – I... i ty... ty chodzisz jeszcze do szkoły?

Sean nie zaszczycił go odpowiedzią, bo to przecież było oczywiste.

– Jesteś... dobrym uczniem?

– On jest bardzo dobrym uczniem! – odpowiedziała Kathleen z dumą. – Sean w następnym roku będzie studiował w college’u.

Michael spróbował się uśmiechnąć.

– Jeśli... jeśli pomyśleć, że wtedy mogliśmy mieć tylko kilka lekcji u ojca O’Briena... Kathleen, a mnie całe godziny zajęło napisanie tego listu do ciebie! Dostałaś go chociaż?

Kathleen skinęła głową i popatrzyła na niego.

– Mam go do dzisiaj – wyznała. – Ale nie mogłam nic zrobić...

Sean dostrzegł w oczach jej i Michaela osobliwy blask i poczuł się niemile wykluczony, podobnie jak przedtem Lizzie i Claire.

– Dobrze postąpiłaś, Kathleen. Zrobiłaś to dla niego. I opłaciło się. To... udany chłopak...

Sean poczuł irytację. Po co to wszystko? Jego matka nigdy dotychczas nie miała skłonności, aby pokazywać go jakimś znajomym jak tresowaną fokę. To wszystko mogło znaczyć tylko jedno. Ale w takim razie ci dwoje byli mu winni wyjaśnienie.

Sean czekał, aż dostrzegł skierowane na niego spojrzenie Michaela i popatrzył mu twarzą w oczy.

– Mr Drury, sir – powiedział dobitnie. – Czy... Czy pan przypadkiem nie jest moim ojcem?

– Tak mi strasznie przykro, Lizzie.

Michael próbował sprawiać wrażenie skruszony, ale nie wyglądał jak ktoś, kto czegokolwiek żałuje. Wręcz przeciwnie, Lizzie rzadko widziała go takim – jak gdyby promieniowało z niego jakieś wewnętrzne światło.

– Ale musisz zrozumieć...

– Co? – spytała Lizzie. – Co muszę zrozumieć? Że nasze zaręczyny są zerwane, że nasze plany są porzucone, że twoja miłość w jednej chwili wygasła, a wszystko tylko dlatego, że pojawiła się kobieta, której nie widziałeś od siedemnastu lat? Z którą nie masz nic wspólnego, oprócz pochodzenia i dość niechlubnej przeszłości?

Lizzie chciała odczuwać wściekłość albo przynajmniej ją okazać. Musiała walczyć, nie mogła po prostu schować głowy w piasek i zrezygnować ze wszystkiego, mimo że w tej chwili niczego innego nie pragnęła. Ale Claire miała rację: kiedyś wreszcie i Michael, i Kathleen musieli zejść z chmur na ziemię i zacząć myśleć. I wówczas ona musiała być na miejscu, i nie mogła być wtedy tylko zapłakana, zrozpaczona i strapiona. Aż do dzisiejszego ranka Michael ją kochał. Jego miłość nie mogła być całkowicie stracona!

– Lizzie, to jest Kathleen – powiedział Michael z rozjaśnioną twarzą. – Wiesz przecież...

– Tak, wiem, ona była twoją młodzieńczą miłością i byłeś gotów nawet dać się pożreć rekinom, żeby ją zobaczyć. Ale – to było pół życia temu, Michael!

Lizzie położyła rękę na jego dłoni. Siedzieli w hotelowym pokoju – ich dotychczas wspólnym hotelowym pokoju. Na następne noce Michael wynajął dla siebie drugi apartament. Żądał, aby również w tym wypadku wykazała zrozumienie.

Michael ostrożnie cofnął swoją dłoń.

– Dla mnie to tak, jakby to było wczoraj – wyznał. – A ona jest... matką mojego syna!

– Ja też jestem matką twojego syna! – nie wytrzymała Lizzie. – To znaczy, to może być oczywiście córka. – Położyła rękę – tę, którą on dopiero co wzgardził – na swoim brzuchu.

– Jesteś w ciąży? – w pytaniu Michaela słychać było niedowierzenie, a nie radość. Lizzie skinęła głową.

– A czy to coś zmieni? – spytała.

Michael zagryzł wargę; miał teraz wzruszająco nieporadną minę, jak mały chłopiec.

– Lizzie... to za dużo naraz. Muszę się z tym uporać. Z jednym i drugim... Ja...

– Czyli to nic nie zmieni – powiedziała Lizzie zmęczonym głosem. – Ale jak to sobie dalej wyobrażasz, Michael? Nie chcesz się żenić, a przynajmniej nie ze mną. Tyle zrozumiałam. Ale co z naszą farmą? Co z naszymi planami na przyszłość?

Michael wzruszył ramionami.

– Musimy o tym pomyśleć – odparł wymijająco.

– My? – spytała Lizzie ostro. – Czy „my” oznacza mnie i ciebie, czy też Kathleen i ciebie?

Michael rzeczywiście sprawiał teraz wrażenie nieszczerego.

– Jedno i drugie. Ja... my... Dlaczego się z tym najpierw nie prześpimy, Lizzie? Może...

– Może do jutra zniknę jak zły sen? – spytała. – Dziecko oczywiście też. Może będzie istniała tylko Mary Kathleen, kiedy się obudzisz.

– Lizzie... Lizzie, musisz przecież zrozumieć. Jestem ci bardzo wdzięczny. Za... za wszystko. I naprawdę cię lubię. Bardzo cię lubię, ja... w pewien sposób nawet cię kocham. Ale Kathleen...

– Jeszcze dzisiaj rano kochałeś mnie inaczej niż „w pewien sposób” – powiedziała Lizzie gorzko. – Ale dobrze, prześpij się z tym wszystkim i porozmawiaj jutro z Kathleen. Może przyjdzie wam do głowy coś rozsądnego. Z pewnością ona też będzie chciała mieć piękną małą farmę w Otago.

Twarz Michaela rozbłysła. Wydawało się, że w ogóle nie usłyszał sarkazmu w jej głosie.

– Naprawdę, Lizzie? Nie robiłoby ci to różnicy? Gdybym zatrzymał farmę, to mam na myśli... Chociaż połowa pieniędzy jest oczywiście twoja, to nie ulega wątpliwości. Będę musiał tylko się dowiedzieć, czy MacDuff... Czy zgodzą się na spłacanie w ratach.

Lizzie niemal nie mogła uwierzyć. Czy on naprawdę był taki naiwny? Czy on naprawdę tak ją rozumiał? A może rozumiał wszystko tak, jak mu akurat pasowało. Czy robił tak od dzisiejszego ranka, czy też zawsze był taki? Lizzie nagle miała ochotę się rozplakać, ale się opanowała. Płakać będzie mogła wtedy, kiedy Michael sobie pójdzie.

– No, twoja Mary Kathleen będzie musiała chyba trochę dołożyć – powiedziała lodowato. – W końcu ma sporo sukcesów finansowych w szykowaniu panny młodej do ślubu, o ile sama akurat nie pożąda narzeczonego.

Michael potrząsnął głową.

– Lizzie, nie przypisuj jej Bóg wie czego! Ona nikomu nie chce nic odebrać! To... po prostu przeznaczenie...

Lizzie przewróciła oczami.

– Ale masz rację, Lizzie, jeśli Kathleen sprzeda swoje udziały w tym zakładzie, to będziemy mogli pozwolić sobie na farmę.

Michael się roześmiał.

– Widzisz, o tym rzeczywiście nie pomyślałem! Przykro mi, Lizzie. My... my zawsze byliśmy zgranym zespołem. Ale Kathleen... musisz zrozumieć...

– A co z jego narzeczoną? – spytała Claire dokładnie w tym samym czasie. Jak prawie każdego wieczoru obie przyjaciółki siedziały z dziećmi w salonie przy kolacji, którą Kathleen przeważnie przygotowywała już po południu. Tego wieczoru tego nie zrobiła, był tylko chleb, zimne mięso i ser. Heather i Chloé nie wydawały się tym zachwycone, ale ani Claire, ani Kathleen nie były głodne. Także Sean prawie nic nie zjadł i wpatrywał się z uwagą w matkę.

– Z kim? – spytała Kathleen.

W jej oczach ciągle można było dostrzec ów przedziwny blask. To niepojęte, co ją spotkało! Że Michael ją spotkał... Że Sean rozpoznał swojego ojca... Ojciec i syn powinni byli właściwie paść sobie w ramiona, aby było dokładnie tak jak w bajce. Ale oni tylko patrzyli na siebie, a Michael się zaczerwienił. W końcu oboje, Kathleen i Michael, próbowali wyjaśnić wszystko Seanowi. Ich miłość, wysiłki Michaela, aby zdobyć pieniądze na wyjazd... Sean słuchał w milczeniu, ale teraz nawet Kathie ta historia wydawała się zawiła i dość mętna.

– W każdym razie pomówimy kiedyś o tym – powiedział w końcu Michael. Sean wymamrotał jakieś usprawiedliwienie i ulotnił się do swego przyjaciela Rufusa, a Kathleen i Michael spacerowali przez kilka cudownych godzin po ulicach Dunedin. Opowiadali trochę o swoim życiu, ale głównie cieszyli się wzajemnym ciepłem i cudem, jakim było to spotkanie. Michael musiał w końcu iść – winien był Lizzie wyjaśnienie, Kathleen to rozumiała. Oszołomiona szczęściem wróciła do domu.

Ale wszystko wskazywało na to, że teraz Claire z kolei będzie jej robiła wyrzuty.

– Miss Portland – sprecyzowała. – Dama, z którą twój Michael jest zaręczony.

Kathleen bagatelizująco machnęła ręką.

– Och, ona to zrozumie – stwierdziła. – Oni oboje byli bardziej... dobrymi przyjaciółmi.

– Tak? – zdziwiła się Claire. – Nic na to nie wskazywało. Uważam, że Miss Portland

sprawiła wrażenie bardzo zakochanej, a i Mr Drury nie mógł się doczekać, żeby zobaczyć suknię przed właściwym czasem. Co przynosi nieszczęście, jak mogłyśmy się przekonać.

– Nieszczęście? – spytała Kathleen zaskoczona. – Ależ Michael i ja jesteśmy szczęśliwi! Trudno mi ciągle w to uwierzyć, że wrócił!

Kathleen uśmiechnęła się do wszystkich – wyglądała naprawdę pięknie. Kiedy wróciła ze spaceru z Michałem, natychmiast się przebrała. Pierwszy raz od wielu miesięcy nie miała na sobie niczego w czarnym kolorze, lecz spódnicę barwy morskiej zieleni i jasną bluzkę. Ale teraz nikt nie odwzajemnił jej uśmiechu.

– Może ty jesteś szczęśliwa, ale nie jesteś jedyna w tym wielkim, szerokim świecie, *mom* – stwierdził ostro Sean. Zawsze wykazywał ogromne zrozumienie wobec matki, ale wydarzenia tego dnia przerosły zdolność jego pojmowania. – Ja przynajmniej wcale nie jestem taki szczęśliwy. A ta Miss Portland...

– Ale przecież znalazłeś swojego ojca! – zdziwiła się Kathleen. – To przecież coś pięknego! A może... może on ci się nie podoba? – Wyraz twarzy Kathleen wahał się między zachwytem a obawą.

Sean wzruszył ramionami.

– Ja go w ogóle nie znam – stwierdził nie bez racji. – Widziałem go przez trzy minuty i o ile tak można powiedzieć, to gapił się tylko na ciebie. Może jest bardzo sympatyczny...

– Och, na pewno, on...

– ...ale na pewno nie tak jak Peter Burton.

Kathleen zmarszczyła czoło.

– Jak możesz robić takie porównania? Peter...

Claire wstała i sprzątnęła talerze. Miała już dość. Gdyby została, to chyba zaczęłaby krzyczeć na Kathleen i ją szarpać. Postanowiła jednak spróbować po raz ostatni, bo czuła, że była to winna wielebnemu.

– Kathleen, mogę zrozumieć, że jesteś w tej chwili, nazwijmy to, w stanie wyjątkowym. Ale Peter Burton jest dobrym człowiekiem i starał się o ciebie od lat. Stałaś mu się bliska, rozmawialiście ze sobą, śmialiście się, nawet się całowaliście – i to on właśnie razem z tobą wychowywał twoje dzieci. Od kilku miesięcy cierpieliście oboje, bo ten okropny klecha ojciec Parrish wmawiał ci, że ponosisz winę za całe zło tego świata. Ale teraz nagle, z chwili na chwilę, on stał się... kim on jest teraz, Kathleen? Tylko „dobrym przyjacielem”? Tak jak Miss Portland dla Mr Drury’ego?

Kathleen popatrzyła na przyjaciółkę, nic nie rozumiejąc. Wydawało się, że chce coś odpowiedzieć, ale Claire nie dała jej dojść do słowa.

– To jak to właściwie jest z Mr Drurym, Kathleen? Czy może ojciec Parrish uzna, że przynajmniej on jest dla ciebie odpowiedni, i zezwoli ci się z nim widywać? A może

znów znajdzie owego diabła, który tkwi w szczegółach?

– Ojciec Parrish? – Kathleen najwyraźniej zupełnie o nim zapomniała.

Claire ostentacyjnie przyłożyła rękę do czoła.

– Gadasz jak zakochana nastolatka, Kathleen, ale ty masz trzydzieści trzy lata! – powiedziała surowo. – Może powinnaś się z tym przespać i wszystko przemyśleć. Chodź, Chloé, pójdziemy do Jimmy’ego. Ty, Heather, też możesz iść. Twoja matka potrzebuje spokoju.

– Ja pójdę jeszcze do Coopera – wymamrotał Sean i sięgnął po kurtkę.

Kathleen skinęła głową. Kiedy wszyscy wyszli, wyciągnęła stary list Michaela. Po raz pierwszy od bardzo długiego czasu czytając go, nie czuła bólu i żalu, tylko radość, przeogromną radość! Claire miała rację, czuła się jak zakochany podłotek. I jak zakochany podłotek przycisnęła teraz do siebie ten wyblakły już kawałek papieru, potem tańczyła po mieszkaniu i kiedy zasnęła, miała list Michaela na piersiach.

Lizzie nie mogła spać. To wszystko stało się zbyt nagle i było zbyt okrutne. Nie potrafiła się z tym uporać. W końcu wstała, ubrała się i poprosiła w recepcji hotelu, aby zawołano dla niej dorożkę. Może wielebny już spał, ale postanowiła go obudzić. Potrzebowała teraz duszpasterza. Bardziej niż kiedykolwiek.

Odetchnęła, kiedy zobaczyła, że we wnętrzu malutkiej plebanii paliło się światło. Peter Burton rozpałił ogień na kominku, choć właściwie tego ciepłego wiosennego dnia nie było to potrzebne. Ale po tych wszystkich latach w namiocie wielebny cieszył się luksusem ciepłego domu i gazowej lampy. Lizzie zerknęła przez okno, zanim zapukała. Wielebny siedział przy ogniu i czytał.

Peter Burton otworzył natychmiast. Na jego twarzy widać było wyraźną troskę i niepokój.

– Miss Portland! Czy coś się stało?

Lizzie skinęła głową i nagle nie była w stanie mówić. Weszła po prostu do środka i zaczęła płakać. Płakała i płakała, nie pamiętała już, czy kiedykolwiek w życiu wylała tyle łez.

– Czy coś z Michaelem, Lizzie?

Peter Burton przysunął jej fotel i patrzył bezradnie, jak ona usiadła, dalej płacząc.

– Lizzie, proszę mówić! Wypadek? Czy on... czy on nie żyje?

Peter nie był w stanie nawet sobie tego wyobrazić. Sądził, że wówczas Lizzie zareagowałaby z większym opanowaniem. To było coś innego. Coś, co nigdy nie mogło się wydarzyć. Świat Lizzie leżał w gruzach.

Lizzie potrząsnęła głową. Peter w końcu pozwolił jej dalej płakać i poszedł do kuchni, aby ugotować herbatę. Ale rozmyślił się i zamiast tego odkorkował butelkę bordo. Lizzie będzie potrzebowała wzmocnienia i może wino odwróci jej uwagę od przyczyny tego płaczu. Peter zawsze słuchał z rozbawieniem, jak ona próbowała



opisać wszystkie warianty i niuanse smaku wina.

– Proszę... niech pani spróbuje... – powiedział wielebny, nalewając wino do kieliszków.

Lizzie rzeczywiście wypła duży łyk. Peter próbował powoli.

– Żurawina, prawda? – spytał. – Bardzo owocowe, ale nie tak jak jeżyna.

– Pocałunek – wyszeptała Lizzie. – Aksamitny smak, który rozlewa się na języku jak pocałunek...

Wyprostowała się.

– To nie był mój pomysł, wielebny, tylko pewnego innego kłamcy... – Wypiła jeszcze parę łyków. – Albo jedwab... tak, raczej jedwab... lżejszy niż aksamit... Dziś miałam na sobie jedwabną suknię, wielebny, ale to przyniosło mi nieszczęście...

Lizzie znów płakała, a Peter pił swoje wino. Mógł poczekać. Wreszcie zaczęła opowiadać, a wielebny słuchał, zachowując pełną spokoju postawę spowiednika. Lizzie wiedziała, że można mu powiedzieć wszystko. Dziewczyny w obozie poszukiwaczy złota prześcigały się wręcz, aby je potępił, ale wielebny służył przyjaznemu Bogu. Lizzie się wydawało, że nadstawił uszu, kiedy wymieniła nazwę Lady's Goldmine.

– Tak, widziałem tę suknię – przytaknął. – Bardzo piękna, może trochę przeładowana dla... dla... Ale pani, Lizzie, pani musi wyglądać w niej przepięknie!

Lizzie potwierdziła. Nie chciała już o tym myśleć. Ze spuszczoną głową opowiedziała o Claire i Kathie – potem o nieoczekiwanym pojawieniu się Michaela po drugiej stronie ulicy i w końcu o swojej wesołej ucieczce do przymierzalni.

Lizzie nie potrafiła prawidłowo zinterpretować wyrazu twarzy Petera Burtona, kiedy opowiadała o spotkaniu Michaela i Kathleen, choć nietrudno było dostrzec jego wzburzenie. Wydawało się, że wielebny zmusza się do tego, aby siedzieć spokojnie. Kurczowo zacisnął palce na poręczy fotela.

– A co potem? – spytał bezgłośnie.

– No, zapomnieli o całym świecie wokół nich. Miss Claire stwierdziła, że im przejdzie. Dała mi herbaty... Ona jest taką dobrą duszą... Ale potem oni zniknęli. Zobaczyłam Michaela dopiero wieczorem i wtedy wszystko było już dla niego jasne. Nawet swojego syna zdążył już poznać, ponoć to takie wspaniałe i perfekcyjne dziecko jak jego matka.

– Sean Coltrane... – powiedział Peter w zamyśleniu – jest rzeczywiście bardzo dobrym chłopcem.

– A jak mogłoby być inaczej – zauważyła Lizzie sarkastycznie. – W końcu pochodzi od anioła bez skazy... W każdym razie od razu rozpoznał, że Michael jest jego ojcem, to pewnie coś w rodzaju cudu... I wszystko będzie dobrze. Mała, szczęśliwa rodzinka...

– Należy do niej jeszcze dziewczynka – wymamrotał Peter. – Heather...

– Tak? – spytała Lizzie bez zainteresowania. – Zdaje się, że o niej całkiem zapomnieli. Ale oni właściwie zapomnieli o wszystkim, oprócz tego cudownego lata na polach nad rzeką w Irlandii.

Peter pił powoli wino. Właściwie potrzebowalby teraz czegoś mocniejszego. Lizzie pozwoliła mu rozmyślać przez dobrych kilka minut.

– Co teraz, wielebny? – spytała w końcu. – Może... może coś pan powie. Proszę mi to wyjaśnić. Co... co myśli o tym wszystkim Bóg?

Peter potrząsnął głową.

– Nie wiem, Lizzie – powiedział zmęczonym głosem. – I nie jestem właściwym człowiekiem, który mógłby coś o tym powiedzieć. W tym wypadku... w tym wypadku nie nadaję się na duszpasterza.

– Tylko proszę mi nie mówić, że z całego serca życzy pan obojemu szczęścia – powiedziała drwiąco Lizzie. – Bo oni przecież bez wątpienia są dla siebie przeznaczeni i to doprawdy zrządzenie losu, że się spotkali po latach!

– Na pewno tego nie powiem – przerwał jej Peter niemal wściekły. Przeczesał ręką po i tak potarganych włosach. Jeśli kiedykolwiek złorzeczył Bogu, to właśnie tej nocy.

– To niech pan wreszcie coś powie! – zawołała Lizzie z rozpaczą. – A może udzieli mi pan jakiejś rady. Wiem, że to takie piękne, bo on nie zapomniał o niej przez tyle lat. Ale, do cholery! Jestem w ciąży i kocham Michaela Drury'ego!

Peter popatrzył na nią, a ona dostrzegła ból w jego oczach.

– A ja – powiedział – kocham Kathleen Coltrane.

**MANA**

**DUNEDIN, QUEENSTOWN, OTAGO**  
**1863–1864**

# ROZDZIAŁ 1

Kathleen i Michael wirowali jak w tańcu w szale nowych doświadczeń i dawnych wspomnień. Michael przyszedł zaraz następnego ranka – Kathleen zaprosiła go na śniadanie. Heather i Chloé zerknęły na niego nieufnie, ale ku jego własnemu zaskoczeniu z dziewczynkami udało mu się łatwiej nawiązać kontakt niż z Seanem. Jego syn go ignorował. Michael się obawiał, że Heather będzie podobna do Iana, ale ona okazała się niemal lustrzanym odbicie Kathleen, czuł więc radość i ulgę. Prawił dziewczynkom komplementy – i nawet Claire nieco odtajała, kiedy pochwalił jej piękną suknię i zaczął z nią rozmawiać o koniach. Kathleen dodała, że Claire i dziewczęta są zapalonymi amazonkami, a kiedy Michael opowiedział o swoim siwku, Chloé natychmiast musiała opowiedzieć o kucyku, a Heather o swoim wymarzonym koniu.

– Ale ja nic nie dostałam na urodziny – poskarżyła się i spojrzała z wyrzutem na Kathleen. – Bo to świadczyłoby o pysze i rozrzutności czy coś...

Michael się roześmiał.

– Ależ nie, piękna Heather, koń to przecież żaden luksus. Wyobraź sobie, że któryś z „owczych baronów” z Canterbury Plains zacznie się starać o twoją rękę. Musisz więc umieć jeździć, żeby dotrzeć na jego farmę! A kiedy zaczniesz mu pomagać liczyć owce i w ogóle...

Dziewczęta zachichotały.

– Ale ja nie będę liczyć owiec! – pisnęła Heather.

– Najwyżej wtedy, kiedy nie będzie mogła zasnąć – dodała Chloé, chichocząc.

Dziewczynki prawie nie pamiętały już swojego życia na farmach koło Christchurch. Wyrosły jako dzieci miasta i nie wyobrażały sobie, że gdzieś może być inne.

– No to poczekaj, aż zobaczysz moją farmę w Otago! – roześmiał się Michael. – Ona znajduje się na wzgórzu, Heather, z którego roztacza się wspaniały widok aż po jezioro Wakatipu. I będziemy mieli tysiące owiec!

– Może Heather w ogóle nie chce mieć owiec – zauważył Sean, nie podnosząc wzroku znad talerza. – Mnie w każdym razie owce wcale nie interesują.

Kathleen chciała zareagować ostro, ale Michael położył jej rękę na ramieniu.

– Nie mów nic – wyszeptał. – On się musi przyzwyczaić...

– No to poczekaj, aż je zobaczysz – zwrócił się wesoło do swojego nieprzystępnego syna. – Mogę ci pokazać, jak się je strzyże. Możesz sobie wyobrazić, że byłem kiedyś najszybszym postrzygaczem na północ od Otago?

Sean lekceważąco wzruszył ramionami. Nie mógłby dosadniej wyrazić słowami zdania: jest mi obojętne, czy i jak szybko ktoś strzyże owce.

– Muszę iść do szkoły – oświadczył krótko i sięgnął po swoją torbę.

Claire przepędziła też Chloé i Heather, które chętnie poflirtowałyby jeszcze z Michaeliem.

– Chce pan więc zabrać Kathleen na swoją farmę? – spytała Michaela. – W odwiedziny czy też na zawsze?

Michael znów zatonął w oczach Kathleen.

– A to już jak ona będzie chciała... – zauważył, ale widać było, że nie jest zainteresowany rozmową z przyjaciółką Kathleen, która chyba była w nie najlepszym nastroju.

– Ta farma jest przepiękna, Kathleen, a krajobraz naokoło! A miasto też jest niedaleko.

Kathleen się uśmiechała, ale najwyraźniej nie za bardzo wiedziała, o co chodziło. Prawie nie zwracała uwagi na treść słów Michaela, wystarczało jej, że słyszy jego głos i widzi jego twarz. Te ostre, niemal kanciaste rysy, tak przez nią kochane, zawadiacki uśmiech... Kiedy tylko widziała wpatrzona w siebie wesołe niebieskie oczy, natychmiast tonęła w marzeniach...

Claire w końcu ustąpiła. Kathleen pojedzie tam, dokąd wybierze się Michael. Przynajmniej na razie. Ale Claire nie mogła sobie odmówić małej złośliwości:

– Czy ta posiadłość nie należy w połowie do Miss Portland?

Michael uśmiechnął się zniewalająco i znów puścił to mimo uszu.

– Och, Lizzie jest wspaniała! – powiedział, zwracając się do Kathleen. – Zawsze taka była, byłoby dobrze, gdybyście mogły się zaprzyjaźnić. Ona jest doprawdy cudownym człowiekiem! Od razu zrezygnowała z tej farmy i oczywiście brakuje nam teraz połowy pieniędzy. Ale ty, Kathleen, też przecież nie jesteś bez żadnych środków, prawda? Jeśli razem coś zbudujemy...

Kathleen przytaknęła w roztargnieniu. Farma? Właściwie nie chciała mieć farmy. Ale oczywiście chciała być razem z Michaeliem.

– Pomyślałem, że pojedziemy tam w przyszłym tygodniu, Kathleen. Dzieci możemy też zabrać, jeśli tylko chcesz. Zrobimy wszystko, co chcesz, Kathleen...

Kathleen wzięła jego rękę i przytuliła ją do swego policzka.

– Chciałabym być z tobą sama – powiedziała. Brzmiało to tak, jak gdyby mówiła we śnie.

Claire przewróciła oczami.

– Mieszkanie należy do was – powiedziała lodowato. – Ja idę do sklepu. Ktoś tu musi zarabiać pieniądze. Zwłaszcza że ostatnia transakcja spaliła na panewce. Następne suknie ślubne będę sprzedawać bez ciebie, Kathleen.

Po tych słowach Claire wyszła.

– Co jej jest? – spytał Michael.

Kathleen wzruszyła ramionami.

– Chciałabym być z tobą sama, ale nie tutaj, Michael – powiedziała. – Nie tu, gdzie Claire może w każdej chwili wejść albo gdzie będą nam przeszkadzały szwaczki. Potrzebuję czasu dla ciebie, Michael, tylko dla ciebie, tylko dla nas. Może weźmiemy konie i pojedziemy gdzieś? Nad... nad rzekę?

Michael przyprowadził swojego konia, po czym razem poszli do stajni, gdzie on się uparł, aby osiodłać dla niej karego konia Seana.

– Ale to nie jest koń dla damy – stwierdził jednak, marszcząc czoło, a Kathleen roześmiała się w odpowiedzi.

– Nie jestem żadną damą, Michael. Wsiądę na tego konia, dawniej jeździłam na mułach.

Michael nie słuchał. Był bardzo zatroskany, najchętniej pomógłby Kathleen wsiąść do ekwipażu z zamuszowymi siedzeniami i potem kazałby się wieźć jakiemuś dyskretnemu dorożkarzowi, jak wtedy w Irlandii lord i lady Wetherby.

– Moglibyśmy zaprząć konie – powiedział. – Lizzie ma powóz. Gdybym był przygotowany...

Kathleen pocałowała go w policzek.

Donny Sullivan, w którego stajni Claire i Kathleen ciągle trzymały swoje zwierzęta, uśmiechnął się dobrotliwie na ich widok.

– No, Mrs Coltrane, nasz ojciec Parrish wie o wszystkim? – dokuczał jej. – A dostanę zaproszenie na wesele?

Kathleen się zaczerwieniła i Michael także. Ale Donny nie oczekiwał odpowiedzi. I tak nie zamierzał nic mówić surowemu księdzu. W rzeczywistości obawiał się ponurego ojca Parrisha podobnie jak cała gmina. Ale za to bardzo lubił Kathleen. Cieszył się, że się wreszcie śmieje!

Michael prowadził Kathleen do ujścia rzeki Tuapeka i był zaskoczony, widząc, jak doskonale panuje nad pełnym temperamentu karym w kłusie i w galopie. Wtedy, w Irlandii, Kathleen dosiadała jedynie osła, który jeździł najwyżej stępa, ale teraz jazda konna sprawiała jej wyraźną przyjemność. Miała błyszczące oczy, a Michael niemal widział młodą lady Wetherby w czasie polowania na lisa w County Wicklow. Szkoda, że tu nie organizowano podobnych imprez – w końcu zamierzał być *country* dzentelmenem, a Kathleen miała być jego lady.

Spędzili cały dzień nad rzeką i było zupełnie jak kiedyś, w czasie tych pełnych marzeń niedziel w Irlandii. Lizzie sprawdziłaby zaraz, czy w idyllicznym miejscu, w którym obozowali, nie ma złota, ale Kathleen siedziała tylko na brzegu rzeki, patrząc w zachwycie na płynącą wodę i tańczące w jej nurcie promienie słońca. Przygotowała zabrane na piknik jedzenie i zleciła Michaelowi łowienie ryb i pieczenie ich na ognisku. Zrobił to sposobem *pakeha*, więc połów nie był zbyt obfity,

ale Kathleen i tak była gotowa go podziwiać. I wreszcie kochali się w długich promieniach popołudniowego słońca, pod liśćmi olbrzymich paproci, których błękitne, łagodne cienie wkrótce ich osłoniły. Michaelowi się wydawało, że wystarczy tylko zamknąć oczy, a wszystko będzie jak w marzeniach, na brzegu Vartry River. I Kathleen była też pełna tkliwości, i tuliła się do niego – też jak wtedy. Objęła go ramionami, gładziła jego włosy i kołysała go w swej miłości. Michael zatracił się w jej uśmiechu, jej czułości i zachwycił się jej twarzą Madonny w chwili ekstazy. Oboje byli szczęśliwi, kiedy wrócili do Dunedin.

– Pojedziesz ze mną w następnym tygodniu do Queenstown? – spytał Michael, całując Kathleen na pożegnanie przed drzwiami jej domu. – Obejrzeć farmę?

Kathleen skinęła głową.

Kiedy Michael wrócił do hotelu, nie zastał tam już Lizzie.

– Proszę nie robić sobie tego i nie wracać! – poradził jej Peter Burton. Wielebny tej nocy także był blady i zrozpaczony, i czuł się zapewne tak samo jak Lizzie. – Może pani przenocować tu, na plebanii, a jutro zaprowadzę panią do mojej gospodyni, ona wynajmuje pokoje. Powinna pani oszczędzać pieniądze, Lizzie. Proszę pamiętać, że teraz ma pani do dyspozycji już tylko połowę, jeśli Michael się nie opamięta. Chyba nie zamierza pani kupować za to farmy?

Lizzie nie wiedziała. Tak daleko w przyszłość w tym momencie jeszcze nie wybiegała. Ale Peter miał rację, ona nie pochodziła ze wsi i nie znała się na rolnictwie. Jak Kathleen.

– Kathleen Coltrane wychowała się na wsi i mieszkała na farmie, prawda? – spytała wielebnego.

Peter zacisnął wargi.

– Tak – odparł, dodając: – Ale nigdy nie odnosiłem wrażenia, że za tym tęskniła.

Sean Coltrane z pewnością nie tęsknił za powrotem na wieś. I bardzo dobitnie wyjaśnił to Kathleen, kiedy poruszyła z dziećmi temat Queenstown. Heather co prawda chętnie wykorzystałaby wycieczkę jako okazję do wagarów, ale także była sceptyczna, kiedy wysłuchiwała argumentów, które Sean przedstawił matce.

– Farma pośród zupełnego pustkowia, *mom* – mieliśmy już przecież coś takiego! Gdzie Heather będzie tam chodzić do szkoły, gdzie ja będę studiować?

– Queenstown jest przecież niedaleko! – powtarzała Kathleen argumenty Michaela.

Sean lekceważąco pokazał na czoło.

– A co to jest Queenstown? – spytał. – Taki lepszy obóz poszukiwaczy złota!

– Ale przecież jest tam szkoła! – upierała się Kathleen.

Sean, wyraźnie zniecierpliwiony, przewrócił oczami.

– Jasne. Szkoła podstawowa, w której dzieci poszukiwaczy uczą się czytać i pisać. Wspaniale! Ale ja uczęszczam do *high school*. A właściwie już prawie jestem studentem college'u. A Heather chodzi do *high school* dla dziewcząt. *Mom*, Heather ma prawdopodobnie za sobą więcej lat nauki niż jakaś dziewczyna, która uczy dzieci w tym Queenstown!

To ostatnie było z pewnością przesadą, ale Kathleen wiedziała, że Sean ma sporo racji. Sean rzeczywiście nie mógłby się uczyć w Queenstown, a zmiana szkoły także na Heather nie wpłynęłaby korzystnie.

– Możesz więc tutaj chodzić do college'u – zgodziła się z synem. – Claire z pewnością pozwoli ci dalej tu mieszkać, a chesne za szkołę Michael zapłaci bez trudu.

Sean dumnie podniósł głowę.

– Dziękuję, nie trzeba. Staram się o stypendium i wiem, że dostanę je na pewno. I zamieszkać u wielbego Petera. Mój tak zwany ojciec nie zatroszczył się o mnie przez szesnaście lat i nie musi już tego robić.

Kathleen westchnęła. Stosunki między Seanem a Michaeliem nie układały się tak, jak by tego pragnęła. Przy tym Michael rzeczywiście próbował wyjaśnić synowi ówczesną sytuację w Irlandii i swoje poczynania. Ale Sean nigdy nie traktował żadnej sytuacji jako oczywistej. Może był to wpływ namiętnego sceptyka, jakim był Peter Burton, a może też szkoła nauczyła go zadawania pytań. Faktem było, że Sean albo nie chciał zrozumieć, albo rzeczywiście nie rozumiał tego, co mówił Michael. Oczywiście Michael nieco upiększał swoje opowieści, ale nie za bardzo mógł opowiedzieć Seanowi o nielegalnej gorzelni whiskey swojego ojca. Zamiast tego podkreślał walkę Irlandczyków o niepodległość i wykorzystując daną mu przez Boga elokwencję, przedstawiał wszystko w formie bohaterskiego eposu z miłością do ojczyzny w tle. Ale niestety Sean dawno wyrósł z wieku, w którym słuchał bajek z otwartymi ustami, a dzięki opowieściom Claire Edmunds doskonale potrafił odróżnić kłamstwo od prawdy. Teraz wręcz bawił się rolą inkwizytora w rozmowie z ojcem.

– Ukradłeś więc ziarno Trevalliona – zauważył, kiedy Michael opowiadał mu historię swojego uwięzienia. – Zrobiłeś to, aby móc razem z *mom* jechać do Ameryki. Ale to mimo wszystko było niewłaściwe, prawda?

Michael wzruszył ramionami.

– Trevallion był zdrajcą. Współpracował z Anglikami. A lud głodował.

– A więc byłeś głodny, tak? – drażył Sean.

– Ja może nie aż tak – wymamrotał Michael. – To było bardziej... No, chodziło o zasadnicze kwestie... Irlandia należy do nas, do Irlandczyków! Rzeki, pola i ziarno, które na nich rosło!

Sean zmarszczył czoło.



– Masz na myśli to, że chodziło tu o... kwestie polityczne?

Michael z wyraźną ulgą skinął głową.

– W pewien sposób tak, Sean – odpowiedział.

Sean potarł sobie skronie.

– A więc nie chodziło o *mom*...?

Michael wciągnął głośno powietrze. Musiał się opanować. Sean był... No, Seanowi po prostu brakowało ojca, który zaszczerpiłby mu miłość do Irlandii – mimo tej odległości.

– Oczywiście, że chodziło o twoją matkę! I o ciebie. Ale...

– No to co zrobiłeś z ziarnem Trevalliona? – dopytywał się Sean, ciągle bardzo spokojnym głosem. – Nie rozumiem cię do końca: jeśli powodował tobą patriotyzm, nie wolno ci było go sprzedawać. A wielebny Burton byłby... byłby je rozdał w kościele albo jakoś tak.

Michael zgrzytnął zębami.

– Ale jeśli je sprzedałeś, to... to wzbogaciłeś się... na klęsce głodu!

Kathleen postanowiła, że musi lawirować tak zręcznie i ostrożnie, aby Sean i Michael nie wchodzili w zbyt bliskie kontakty. I sądziła, że będzie lepiej, jeśli chłopiec zostanie w Dunedin, jeśli ona rzeczywiście miałyby zamieszkać z Michaeliem w Queenstown. Kathleen ciągle jeszcze ogarniały wątpliwości dotyczące przeprowadzki na farmę – o ile nie była z Michaeliem. Bo w gruncie rzeczy podobało jej się w Dunedin, zwłaszcza teraz, kiedy wreszcie wydobyła się z odrętwienia i depresji po śmierci Iana.

I jeśli o niego chodziło, to patrzyła teraz na tę historię pod zupełnie innym kątem. Ojciec Parrish wmówił jej, że Bóg chciał ją ukarać, ale teraz to Bóg zwrócił jej Michaela! Było więc niemożliwe, że był nad nią Jego gniew, że Bóg miał jej za złe to, że najpierw opuściła Iana i Colina, a potem wysłała Colina do Anglii! Wszystko jedno, co mówił ten ponury ksiądz: Kathleen dopatrywała się teraz w śmierci Iana zrzędzenia losu – bo była wolna i mogła być z Michaeliem. Małżeństwo z Ianem bez wątpienia miało na celu tylko to, aby znalazła się w tym samym kraju, do którego Bóg sprowadził Michaela. Najwyraźniej Bóg kochał kręte ścieżki – tak ciągle powtarzał wielebny Burton, tu należało wspomnieć choćby ewolucję! A Colin przysyłał z Anglii listy pełne zachwyty, choć roiło się w nich od błędów ortograficznych, ale jako strzelec wyborowy robił wielkie postępy i okazał się uzdolnionym nawigatorem.

Kathleen w każdym razie czuła się wolna i szczęśliwa jak nigdy i była gotowa świętować z całym miastem. Choć co prawda znalazła się kropla gorzkości, która zakłócała jej szczęście i radość. Michael nie miał zbyt wielkiej ochoty chodzić z nią na bale i wernisaże, towarzyszyć jej, Claire i Jimmy'emu Dunloemu na koncertach i przedstawieniach teatralnych. Kathleen udało się raz czy dwa razy zaprosić go na

jakąś uroczystość, ale on nie za bardzo umiał się odnaleźć w eleganckim towarzystwie Dunedin, a ludzie szeptali za jego plecami.

„Poszukiwacz złota...” – słyszała Kathleen. Albo: „poszukiwacz przygód”.

Claire zaś i jej Jimmy także chyba nie czuli się zbyt dobrze w obecności Michaela. Michael wciąż mówił z wyraźnym irlandzkim akcentem, czego Kathleen oduczyła się już dawno. Nie wiedział, który widelec w czasie przyjęcia przewidziany jest do tej, a nie innej potrawy, i nie wykazywał specjalnej ochoty, aby się tego nauczyć. I oczywiście nie umiał tańczyć walca ani nie potrafił zgrabnie konwersować na temat polityki współczesnego świata. I właściwie niewiele wiedział o słynnym Irlandzkim Bractwie Republikańskim ani w ogóle o palących problemach swojej ojczyzny, jeśli któryś sympatyczny bankier i biznesmen zapytał go o to. Michael w ostatnich latach zajęty był jedynie walką o przetrwanie. Nie miał czasu na to, aby czytać książki i śledzić w gazetach aktualne wydarzenia polityczne.

– Ale teraz już mógłby to robić! – zauważyła Claire, kiedy Kathleen broniła ukochanego. – Całymi dniami przecież nic nie robi oprócz emablowania ciebie. Ale on się tym nie interesuje. Nie interesuje się Irlandią, nie interesuje go miasto Dunedin i jego mieszkańcy. Mam nadzieję, że przynajmniej zna się na rolnictwie, bo szybko zacznie głodować. A jeśli chodzi o sprawę „owczych baronów”, Kathleen: samo słowo „owczy” nie wystarczy. Akcent pada na „baron”, a ktoś taki musi opanować kilka podstawowych form zachowania.

Claire wiedziała, o czym mówiła. Jimmy i ona byli mile widzianymi gośćmi na balach towarzystwa hodowców bydła. A bez względu na to, w jaki sposób bogaci hodowcy owiec doszli do swego obecnego majątku – z pewnością byli wśród nich dawni wielorybnicy, poszukiwacze złota, myśliwi polujący na foki i hazardziści – to dziś ich zachowanie i formy towarzyskie były nienaganne.

– Wszystko będzie dobrze – uspokajała ją Kathleen. – Michael musi... On do tego dorośnie. On jest mądry. Jeśli zada sobie troszkę trudu...

– Właśnie tego mu brakuje, jak mi się zdaje – mruknęła Claire. – Kiedy się przyglądam, jak on się przemyka przez życie, to zastanawiam się, jak w ogóle tak daleko zaszedł.

Kathleen i Michael w końcu wyruszyli sami do Queenstown – także Heather wolała zostać u Claire i chodzić do szkoły. Dziewczynka przemyślała gruntownie sprawę ewentualnej przeprowadzki i sprzeciwiała się jej teraz równie gwałtownie jak Sean. Choć oczywiście miała mniej rozsądne powody. Nie myślała jeszcze o uniwersytecie, mimo że Claire zachęcała do tego obie dziewczynki. Mówiono, że w mieście Dunedin kobiety będą dopuszczone do studiów uniwersyteckich, i to na wszystkich kierunkach! Heather chodziło przede wszystkim o Chloé, z którą w żadnym wypadku nie chciała się rozstać. Dziewczęta niemal od chwili narodzin były

nierozłączne, a od czasu ucieczki swych matek spały w jednym pokoju, tuliły się do siebie w jednym łóżku, kiedy prześladowały je nocne koszmary, i dzieliły ze sobą niemal każdą myśl i każde marzenie. Claire się śmiała, że będzie można wydać je za mąż tylko wtedy, kiedy znajdzie się dwóch odpowiednich chłopców bliźniaków. W każdym razie Heather sobie nie wyobrażała, że pojedzie bez Chloé do Queenstown. Nawet obietnica Michaela, że on natychmiast kupi jej konia, jak tylko przeprowadzą się na farmę, nie zrobiła na niej wrażenia.

Kathleen też, prawdę mówiąc, nie wiedziała, jak to będzie, ale na razie cieszyła się na podróż z Michaeliem. Pożyczyła w tym celu konia Seana, na co on zgodził się niechętnie. Michael zaproponował, aby pożyczyć na podróż wóz, ale powiedział to bez przekonania. Zwłaszcza że chyba nie dysponował powozem Lizzie. A w ogóle Michael nawet nie wspominał już o Lizzie. Kathleen to odpowiadało, tylko Claire ją irytowała, bo jej zdaniem nękała Michaela, dopytując się o miejsce pobytu Miss Portland. W oczach Kathleen Claire w ogóle zachowywała się dość osobliwie i Kathleen czuła, że na ich przyjaźni pojawiły się rysy. Także z tego powodu byłoby dobrze opuścić na jakiś czas wspólne mieszkanie – i wspólny interes. Ale od razu na zawsze? Kathleen na razie nie chciała o tym myśleć. Nowe życie z Michaeliem dosłownie ją uskrzydliło. W swej pracy była teraz kreatywna jak nigdy. Jej projekty nowej jesiennej kolekcji były odważne, pełne kolorów, bogate i bardzo podkreślające kobiece figury. Claire i szwaczki były zachwycone, a pierwsze klientki zaczęły składać zamówienia już wtedy, kiedy Claire zostawiła w sklepie niby przypadkowo ogólne szkice modeli. Kathleen właściwie nie mogła sobie wyobrazić, że będzie znów doić krowy, a nie rysować, ale to wszystko z pewnością miało się jakoś ułożyć. Może w Queenstown był jakiś sklep podobny do Lady's Goldmine albo może ona właśnie taki stworzy. Albo może będzie to coś w rodzaju filii! Mogłaby ją prowadzić Kathleen, a swoje projekty wysyłałaby Claire pocztą. I raz albo dwa razy do roku mogłyby się spotykać...

Ale na razie Kathleen szybko zdała sobie sprawę, że takie spotkania nie będą łatwe. Już drugiego dnia podróży droga do Queenstown robiła się coraz bardziej stroma, wąska i trudniejsza pod każdym względem. Była wprawdzie przejezdna, Michael opowiadał, że pokonał ją wraz z Lizzie jednokonną bryczką. Ale do tego potrzebny był bardzo sprawny woźnica. Kathleen w każdym razie nie odważyłaby się na to. Claire, która wprawdzie lubiła jazdę konną, też nie zdecydowałaby się na pokonywanie takich trudności. W dodatku jazda trwała całymi dniami, a Kathleen nie wyobrażała sobie Claire śpiącej w namiocie albo w wozie. Jej wygodna przyjaciółka upierałaby się przy noclegach w zajazdach, a w tym celu należałoby robić liczne objazdy i nakładać drogi.

Kathleen chętnie sypiała z Michaeliem pod gwiazdami. Wiosna przeszła w ciepłe i jak na Otago bardzo suche lato i Kathleen rozkoszowała się nocami spędzonymi

w ramionach Michaela. Śmiejąc się, wymieniła mu nazwy kilku gwiazd w języku Maorysów, ale miała wrażenie, że Michael słuchał tego niechętnie. W ogóle już drugiego dnia powoli zaczynało jej brakować tematu do rozmowy. Zнали już historie swojego życia – przynajmniej na tyle, na ile oboje byli gotowi nawzajem je sobie przedstawić. Kolejne zaś tematy jakoś się nie pojawiały – a przynajmniej nie takie, których poruszenie nie byłoby niebezpieczne. Dzieci nie były tematem, choć oczywiście Michael chętnie słuchał o studiach Seana i o tym, że jest naprawdę mądrym i zdolnym chłopcem. Ale najwyraźniej miał Kathleen za złe, że zataiła przed nim historię jego ludu. Sean nie dorastał, słuchając opowieści o angielskiej okupacji, o klęsce głodu w Irlandii i bohaterskiej walce jego przodków. Jego światopogląd kształtowały mity greckie i rzymskie. A jeszcze ta sprawa z Colinem! Michael miał do Kathleen ogromne pretensje o to, że wysłała swojego młodszego syna do angielskiej akademii wojskowej.

– A co miałam robić? – pytała Kathleen bezradnie.

Oczywiście Michaelowi nie przyszedł do głowy inny pomysł jak ten, by raz i drugi przełożyć chłopca przez kolano. Ale jak miała to zrobić Kathleen i czy wobec faktu, że Ian uczył chłopca oszustwa, złodziejstwa i krnąbrności, miałyby to choćby najmniejszy sens – na ten temat Michael się nie wypowiadał. Zawodziła też swobodna salonowa konwersacja, której Kathleen nauczyła się dawno w czasie teatralnych wieczorów, imprez charytatywnych i wernisaży. Michael milczał, kiedy Kathleen próbowała żartować, a jej żarty nawiązywały do sztuki i literatury. Ku zdziwieniu Kathleen nigdy też nie słyszał o Darwinie i jego rewolucyjnych tezach. Kathleen poświęciła dwie godziny podróży, aby wprowadzić go w najważniejsze tezy dzieła *O pochodzeniu gatunków*, lecz Michaela niezbyt to interesowało. Ożywił się jedynie, słysząc o przeniesieniu Petera Burtona do obozu poszukiwaczy złota jako karze za jego „kacerstwo”.

– A więc dlatego zesłali tam biedaka wielebnego – powiedział. – A ja się zastanawiałem, czemu on tłukł się latami z tymi hultajami w Tuapeka, zamiast robić coś lepszego.

– Z pewnością nie był tam szczęśliwy – powiedziała ostrożnie Kathleen. Nie chciała zbyt wiele mówić o swoich relacjach z Peterem. – Na pewno wolalby objąć jakąś parafię w mieście.

– To czemu nie trzymał buzi na kłódkę? – spytał Michael. – Mógł mówić na kazaniach o czymś innym. Biblia jest dostatecznie gruba i nic by nie szkodziło, gdyby opowiadał o Adamie, Ewie i o raj... Ale tu od razu nasuwa mi się pewna myśl: popatrz tam, na to miejsce pod bukiem! Czy nie będzie tam jak w raj...? Może zjemy tam parę jabłek?

Kathleen roześmiała się trochę zażenowana, ale mimo że przez następną godzinę była bardzo szczęśliwa z Michaelem, pozostało jakieś ukłucie w sercu. Peterowi

Burtonowi nie było obojętne, o czym mówił w swoich kazaniach. Wielebny czuł się zobowiązany mówić prawdę, chciał, aby jego owieczki nauczyły się myśleć. Patrząc w ten sposób na naukę Darwina, to nie ona była szokująca, lecz wynikające z niej konsekwencje i wyciągane z niej wnioski. Wnioski o życiu, śmierci, Bogu i o losie... O tym wszystkim, nad czym Michael w ogóle się nie zastanawiał – ani teraz, ani nigdy, co Kathleen musiała niechętnie przyznać. Już w Irlandii ojciec O'Brien złościł się i wyrzucał Michaelowi powierzchowność. Kathleen pamiętała dobrze, że chciał go wysłać do Dublina do szkoły klasztornej. Oczywiście następnym etapem takiej kariery byłoby seminarium duchowne, a na to Michael od początku nie chciał się zgodzić. Wolał zostać w Wicklow i uprawiać pola lorda Wetherby. Kathleen się zastanawiała, czy przy odrobinie myślenia, pilności i zaangażowania nie znalazłaby się jakaś alternatywa. Kościół w końcu nie zmuszał do przywdziania sutanny nikogo, kto nie czuł do tego powołania. Ale Michael się nad tym nie zastanawiał. Kochał proste, zwyczajne życie, planował je tylko z dnia na dzień. Kathleen się uśmiechnęła, przypomniawszy sobie melodie, które wygrywał na swoich skrzypkach. Pomyślała, że kupi mu skrzypce w prezencie, mógłby grać dla niej, a może w Queenstown jest jakiś pub, w którym mógłby grać wieczorami. Kathleen się rozmarzyła, myśląc o tym, ale szybko przywołała się do porządku. Zaczynała się oddawać takim dziecinnyim pomysłom i marzeniom jak Michael! Jak gdyby „owczy baron” po całodziennym czasie pracy miał czas i ochotę, aby rzępolić na skrzypkach, i jakby jego pracownicy chcieli tańczyć wieczorami przy muzyce swojego pracodawcy!

Po trzech dniach jazdy dotarli w końcu do farmy MacDuffa i choć Szkot się zdziwił, że Michael tym razem przyjechał z inną kobietą, to przynajmniej nie dał po sobie niczego poznać. MacDuffowie byli ortodoksyjnymi wyznawcami Church of Scotland i uważali irlandzkich katolików za przeklętych. Ale chyba było im zupełnie obojętne, ile grzechów weźmie Michael przed śmiercią na swoje sumienie. Najważniejsze, żeby zapłacił za farmę.

Ale oprowadzanie po stajniach i szopach do strzyży nie przebiegło już tak gładko, jak kilka tygodni temu z Lizzie. Kathleen okazała się bardzo uważną obserwatorką i nie miała żadnych oporów, aby krytykować to, co jej się nie podobało.

– W tych stajniach bardzo ciągnie, Mr MacDuff – zauważyła, kiedy dokonywali ich inspekcji. – Nic dziwnego, że nie miał pan sukcesów w hodowli bydła. Bo próbował pan tego, prawda? Proszę popatrzeć, Mr MacDuff, widzę tam krowi nawóz, czyli miał pan tutaj bydło.

MacDuff odpowiedział coś wymijająco, ale w końcu przyznał, że klimat jest tu zbyt surowy dla bydła.

– To oczywiście zależy od rasy – stwierdziła Kathleen. – Gdyby na przykład zdecydował się pan na bydło rasy angus... Ale, jak mówiłam, Michael, będziesz tu

musiał przeprowadzić remont, także dla owiec!

– Jeśli chodzi o owce, to nigdy nie mieliśmy dużych strat – wyjaśnił MacDuff urażony. – Tylko te merynosy: dają wprawdzie piękną wełnę, ale są takie wrażliwe!

Kathleen zmarszczyła czoło. Merynosy to było pierwsze, czego nauczyła się od Iana o owcach w Nowej Zelandii – ta rasa w ogóle nie nadaje się do hodowli w tym kraju! Czy mogło być tak, że ten Szkot eksperymentował z ich krzyżowaniem? Kathleen energicznie zażądała, aby MacDuff pokazał jej swoje zwierzęta hodowlane, ale okazało się, że większość owiec maciorek i jagniąt była w górach. W zagrodzie stało tylko kilka młodych baranów. Kathleen przyjrzała im się krytycznie.

– Czy przeznaczyl je pan na mięso, czy też są to typowe osobniki z pańskiej hodowli? – spytała.

MacDuff się skrzywił.

– One są przeznaczone na sprzedaż – powiedział i znów było to coś, co najwyraźniej przyznał niechętnie, bo przecież zapewniał Michaela, że przekaze mu farmę wraz z całym stanem bydła. – Ale nie można im nic zarzucić.

Kathleen nie odpowiedziała, ale za to się uparła, aby MacDuff zaprowadził ją i Michaela w góry, na łąki, aby mogli ocenić maciorki.

– Ale to przecież zbyt trudna podróż dla takiej dziewczyny jak pani! – wtrąciła się Mrs MacDuff, pakując do juków żywność dla swoich gości.

MacDuff niechętnie oświadczył, że da im do dyspozycji młodego Maorysa jako przewodnika. On sam nie miał ochoty jechać w góry.

– Jeśli on przez lata zostawiał stado w rękach pasterzy i nie interesował się nim, to mamy wyjaśnienie, skąd ubytek maciorek – zauważyła Kathleen następnego ranka, kiedy opuścili farmę. – Założę się, że wszystkie maoryskie wioski w okolicy mają piękne stada owiec hodowlanych.

– Jaki ubytek? – spytał Michael niechętnie.

– Straty – odrzekła Kathleen. – Wczoraj obejrzałam sobie księgi farmy, kiedy ty z Mr MacDuffem porównywałeś szkocką i irlandzką whiskey. Oni mają przerażająco wysokie straty i nie jest to tylko efekt nieplanowanych krzyżówek z merynosami...

– Merynosy dają piękną wełnę! – obwieścił Michael.

Kathleen przytaknęła.

– *Fine wool*. To gatunek, którego używamy do naszych zimowych materiałów, częściowo tkany w Hiszpanii i kosztuje majątek. Za to bardzo wydajny, daje sześćdziesiąt do siedemdziesięciu włókien z jednego funta. Ale nie można tych owiec po prostu wypędzić w góry, one czasami kocą się z trudem i nie rozmnażają się tak szybko... Są bardzo wrażliwe. Nie nadają się na tutejsze farmy. Mimo to ciągle wszyscy próbują je krzyżować, ale wynik...

– Mr MacDuff ma bardzo piękne owce! – pośpieszył z zapewnieniem Michael.

Kathleen wzruszyła ramionami.

– Może być. Tylko jeszcze tego nie widziałam. Te małe barany były przeciętne. Niezłe, coś takiego da się sprzedać, ale...

– Kathleen, w Irlandii też nie mieliśmy lepszych owiec! – stwierdził Michael.

– I co z tego? Tylko dlatego, że lord Wetherby nie znał się na owcach, mamy tu produkować wełnę niskiej jakości? Michael, na Canterbury Plains już dawno zrezygnowano z krzyżowania merynosów! Mieliśmy kiedyś piękne stado krzyżówek na farmie, ale Ian nie mógł ich sprzedać, bo wyniki hodowli były bardzo zmienne!

Michael się uśmiechnął i próbował zbagatelizować sprawę.

– To wpływy Mr Darwina? – spytał.

Kathleen uniosła brwi w górę. Wyglądała prześlicznie, kiedy z taką powagą marszczyła czoło, ale Michael po raz pierwszy zauważył upór, a nie urodę.

– Nie – odpowiedziała. – Ale Kiward Station, Barrington Station, Lionel Station... To z nimi chcesz konkurować, o ile dobrze zrozumiałam. A oni mają wspaniałe hodowle. Cheviot, welsh mountain, romneys, corriedales... To nowe gatunki hodowlane, sama ich jeszcze nie widziałam, ale wyroby tkackie są bardzo obiecujące i...

Michael wszedł jej w słowo.

– Słuchaj, byłem brygadzystą w Mount Fyffe Run, wiem...

Kathleen pomyślała krótko.

– To jest ta farma koło Kaikoury, prawda? Zdaje mi się, że to jej właścicielowi Ian sprzedał pierwsze stado!

Na przedgórzu zobaczyli właśnie pierwsze owce maciorki o puszystej wełnie.

– Możecie je spędzić? – zwróciła się Kathleen do maoryskiego pasterza, który jechał z przodu. Nie był najlepszym jeźdźcem.

Ludzie MacDuffa chyba w ogóle nie mieli wprawy w jeździe konnej, co z pewnością utrudniało spęd bydła wiosną i jesienią. I teraz wysiłki Maorysa nie były zadowalające. W końcu Kathleen sama błyskawicznie spędziła kilkanaście zwierząt. Michael ze zdumienia otworzył usta.

– Skąd ty to wszystko umiesz? – spytał zaskoczony, kiedy Kathleen zsiadła z konia i szła w stronę pierwszych zwierząt.

Kathleen spojrzała na niego z wyraźną irytacją.

– Przecież ci opowiadałam, Ian i ja mieliśmy farmę. A Ian bywał w domu co parę dni, przecież tylko jeździł po okolicy i sprzedawał zwierzęta, aż do Kaikoury, jak mówiłam. Byłam na farmie zajmowałam się ja. Najpierw sama, później z Seanem i Colinem. Seanowi nigdy nie sprawiało to wielkiej przyjemności... A teraz obejrzyj sobie wełnę. Widzisz różnice pomiędzy poszczególnymi zwierzętami? Nawet w kolorze...

Michael prawie nie słuchał. Trudno mu było pojąć, co w czasie ostatnich dwóch dni stało się z jego boginią Kathleen. Jeździła godzinami konno, spędzała bydło,

a teraz sprawnie przewróciła jedną owcę na grzbiet, aby zwrócić mu uwagę na jakieś szczegóły jej wełny. I porównywała ilość włókien, które można było uprząść z surowej wełny. Michael nigdy o tym nie słyszał. Ale pewnie jego przemądrzały syn też umiał tak mówić. I z pewnością nie przemawiała przez niego przekora, kiedy mówił, że ma dość owiec na całe życie.

– Jeśli więc mnie pytasz – odezwała się Kathleen, teraz stanowczym głosem kobiety interesu, już bez tego cudownego zaśpiewu niosącego obietnicę – ja nie kupiłabym od tego MacDuffa owiec. Już choćby dlatego, że kupujesz kota w worku, on chyba nawet nie policzył tych zwierząt. A przede wszystkim dlatego, że nie są jednolite pod względem jakości wełny. Ach, prawda, ta okolica ma za dużo łąk. Prawdopodobnie zwierzęta są zarobaczone. Czy ta farma jest taka mała, czy też nie wykorzystuje się jej terenów? A pracownicy też nie są chyba zbyt pracowici...

Michaelowi kręciło się w głowie, kiedy wreszcie skierowali się w stronę Queenstown. Kathleen chciała zobaczyć miasto z daleka i teraz krytycznie stwierdziła, że jest oddalone o całe dziesięć mil.

Maoryski pracownik też chyba nie był zadowolony ze swojej ewentualnej chlebodawczyni, ale patrzył na nią raczej z trwożną czcią niż z irytacją.

– Twoja lady ma wielkie *mana* – powiedział do Michaela, kiedy obaj przez chwilę jechali obok siebie.

Michael westchnął. To było ostatnie, co chciałby usłyszeć.



## ROZDZIAŁ 2

– Proszę wybaczyć, sir... wielbny...

Maoryska dziewczyna zobaczyła koloratkę Petera i poprawiła się natychmiast. Mówiła piękną angielszczyzną, prawie bez akcentu, i opanowała nawet sztukę grzecznego dygania.

– Ale powiedziano nam, że być może wie pan, gdzie znajdziemy Elizabeth Portland.

Dziewczyna miała może siedemnaście, osiemnaście lat, jak na Maoryskę była wysoka, szczupła i naprawdę piękna. Miała okrągłą twarz, zgrabną figurę i – co było typowe dla krajowców – czarne, gładkie, sięgające bioder włosy. Teraz jednak miała je związane w ciasny węzeł na karku, odpowiednio do skromnej, ciemnej sukni szkolnej, w którą była ubrana. Dziewczyna była uczennicą szkoły misyjnej w Waikouaiti i widać było, że czuła się doskonale w mieście białych ludzi. Nie dotyczyło to jej towarzyszy. Pierwszy z mężczyzn – jeszcze młody, ze szczepowymi tatuażami na twarzy, co w jego pokoleniu było już coraz rzadsze – sprawiał wrażenie zdenerwowanego, wręcz agresywnego. Rozglądał się w przytulnym pokoju Petera Burtona jak zwierzę w pułapce. Starsza kobieta była bardziej opanowana i pełna spokoju, ale też nie było to miejsce odpowiednie dla niej. Także ona miała na sobie europejskie ubranie, ale suknia była na nią za duża. Drugi mężczyzna, niski i silnie zbudowany, miał na sobie koszulę i spodnie, a jedno i drugie wydawało się na nim pękać w szwach. Miał ze sobą włócznię i jakieś przedmioty z jadeitu, których Peter nie potrafił zidentyfikować. Zakładał, że to jakaś rytualna broń, ale nie znał się zbyt dobrze na zwyczajach Maorysów. Bez wątplenia był to wojownik, nawet jeśli Peter uznał, że ten człowiek mimo wszystko nie sprawiał wrażenia kogoś, kto potrafi napędzić strachu. Dziewczyna przedstawiła go tak uprzejmie i elegancko, że raczej nie należało się liczyć z nagłym wybuchem agresji z jego strony.

– Ach, prawda, przepraszam. Jestem Haikina Hata ze szczepu Ngai Tahu, mój *iwi* mieszka powyżej Tuapeka. To moja matka Hainga, *kaumatua* i *tohunga* naszej wsi, a to jest Kuri Koua, syn naszego wodza. Kuri niezbyt dobrze mówi po angielsku, ale dobrze potrafi napisać swoje imię.

Peter się zastanawiał, dlaczego podkreśliła to ostatnie.

– Proszę wybaczyć, że przeszkadzamy, ale musimy pomówić z Lizzie.

Wielbny skinął głową.

– Jak wpadliście na to, aby jej tu szukać? – zapytał.

Haikina wzruszyła ramionami.

– Pytałam we wszystkich hotelach i w ten sposób dowiedziałam się o Michaelu... a moja matka wiedziała, że Lizzie przyjaźni się z panem.

Haikina nigdy nie widziała wielebnego Burtona, wysłano ją do Waikouaiti, zanim Peter przejął duszpasterstwo w obozie poszukiwaczy złota.

– Miss Portland mieszka u mojej gospodyni – wyjaśnił. – Ale o tej porze jest prawdopodobnie w kościele i pomaga przy wydawaniu posiłków dla najuboższych. Mamy ich tu bardzo wielu.

Jeśli o to chodziło, to Peter w swojej nowej parafii dosłownie wpadł z deszczu pod rynnę. Nowi przybysze zdążający na złotonośne pola zwykle zatrzymywali się na wzgórzach w pobliżu jego kościoła, zanim ruszyli w góry. Przeważnie byli to mężczyźni z Australii i rodziny z Anglii, jedni i drudzy często bez żadnych środków. Niektórzy rozstawiali namioty, inni, jak się wydawało, zupełnie nie doceniali klimatu Nowej Zelandii i próbowali nocować pod gołym niebem. Teraz, latem, było to jako tako możliwe, ale zimą Peter i jego wolontariusze z powstającej gminy będą musieli rozstawiać namioty, aby zapewnić dach nad głową choćby kobietom i dzieciom. Większość rodzin przybyła tu z przeświadczeniem, że złoto w Dunedin leży na ulicach. I do skraju rozpaczony doprowadzał niektórych fakt, że będą potrzebowali pieniędzy najpierw na to, aby zakupić potrzebne wyposażenie i sprzęt, a potem pokonać wiele mil do Otago. Peter wydawał więc żywność w ilościach koniecznych do przetrwania, zbierał odzież i zastanawiał się, kiedy będzie wieść takie życie, w którym namioty i prowizoryczny dach nad głową nie będą grały roli.

Druga kobieta coś powiedziała. Haikina się zaczerwieniła, ale przetłumaczyła posłusznie, widząc pytający wzrok Petera.

– Ona mówi, że ludzie nie powinni gonić za spełnieniem, ale szukać złota we własnym szczepie... albo ze swoim szczepem. Bo ludzie nie mogą oczekiwać, że wzrośnie coś, czego nie zasiali.

Peter pokiwał głową na znak zgody, ale bezradnie rozłożył ramiona.

– Tego nie mogę zmienić... – powiedział.

Haikina skinęła głową. Syn wodza także coś powiedział, ale dziewczyna tego nie przetłumaczyła.

– Proszę mi powiedzieć, gdzie znajdę Miss Portland, to jej poszukamy – powiedziała. – Nie chcemy przeszkadzać.

Peter pomyślał przez chwilę, po czym sięgnął po kurtkę. W Dunedin rzadko kiedy widywano krajowców, a nowi przybysze nie widzieli ich jeszcze nigdy. Gdyby wysłał tych troje do kuchni, to ich widok – a zwłaszcza groźnie wyglądającego syna wodza z włócznią – z pewnością spowodowałby zamieszanie.

– Jeśli nie macie nic przeciwko temu, to zaczekajcie tu na mnie, a ja pójdę po Miss Lizzie – zaproponował. – To wygodniej dla was, porozmawiacie w spokoju z matką – zwrócił się do Haikiny.

Dziewczyna przetłumaczyła, a pozostali wyrazili zgodę. Stara kobieta sprawiała wrażenie, że było to dla niej oczywiste, a młody mężczyzna poważnie skinął głową w poczuciu swojej ważności. Peter nastawił herbatę, zanim wyszedł, i pokazał Haikinie, która poszła za nim do kuchni, gdzie stoją filiżanki i dzbanek. Dziewczyna uśmiechnęła się i spytała cicho:

– Czy Lizzie jest smutna?

Peter skinął głową.

– Mam nadzieję, że nie macie dla niej złych wiadomości.

Haikina potrząsnęła głową.

– My chcemy ją o coś prosić – powiedziała tajemniczo.

Peter zrozumiał, że Maorysi teraz nic mu nie zdradzą, ale nie musiał długo czekać, aby zaspokoić swoją ciekawość. Lizzie rzeczywiście była w zakrystii i właśnie wydawała kolejne porcje zupy. Kiedy Peter skinął na nią, szybko poprosiła, aby ją ktoś zastąpił, i podeszła do niego. Idąc w jego stronę, zamasztył gestem zdjęła z siebie fartuch. Peter nie pierwszy raz musiał stwierdzić, że każda domowa robota szła jej jak z płatka. Pomoc w kuchni była dla niej przyjemnością, a meble Petera sprawiały wrażenie o wiele cenniejszych i bardziej wypielęgnowanych, od kiedy Lizzie się uparła, że będzie je co tydzień polerować i woskować. Jego gospodyni tylko je od czasu do czasu odkurzała. Peter czasem prawie zazdrościł Lizzie tej zdolności. On sam myślał bezustannie o Kathleen, bez względu na to, czym się zajmował. Modlił się i pracował do upadłego, ale nie potrafił poradzić sobie z uczuciem rozczarowania, żalu i przede wszystkim szalonej zazdrości. A przecież kapłan nie powinien knuć zbrodniczych planów! Peter Burton był kompletnie zagubiony i zdezorientowany. Wątpił w swoją wiarę i w sens swojego życia.

– Ma pani gości, Lizzie. Maorysi ze wsi w górach.

Lizzie objęła serdecznie Haikinę, powitała *tohunga* uroczystym, ale głębokim *hingi* i ukloniła się grzecznie przed synem wodza. Ngai Tahu dawno zaniechali przestrzegania niedotykalności dzieci swych wodzów, ale nadal traktowano je z wielkim szacunkiem.

Haikina podała Lizzie i wielebnemu herbatę, a Peter przyjął to jako znak, że jest mile widziany przez gości. Także Lizzie nie próbowała w żaden sposób dać mu do zrozumienia, aby zostawił ją samą z Maorysami, kiedy Hainga zaczęła coś do niej mówić. Szkoda tylko, że Peter nie rozumiał ani słowa po maorysku!

Ale Haikina przerwała potok słów *tohunga*, pytając o coś, a ona w odpowiedzi skinęła głową i powiedziała kilka słów do wielebnego.

– Ona nie ma nic przeciwko temu, abym dla pana tłumaczyła – powiedziała dziewczyna. – Zna pan ziemię koło wodospadu i koło pięciu włóczni.

– Haikina ma na myśli skały w kształcie igieł – wtrąciła Lizzie. – A właściwie nie całą ziemię, lecz złotonośne pole.

Peter skinął głową.

– Chodzi o to... – zaczęła objaśniać Haikina, podczas kiedy Hainga mówiła to samo do Lizzie w swoim języku – że szczep jest bardzo zaniepokojony. Złotonośne pola nad Tuapeka River chyba już są wyczerpane i coraz więcej mężczyzn idzie w góry, aby wytyczać nowe działki. Nasi wojownicy widzieli ich już trzy razy na naszej ziemi. To byli mężczyźni, którzy pobierają próbki, szukają złota w potokach. Na razie nie znaleźli jeszcze wodospadu. Ale kiedy znajdą...

– Kiedy natkną się na złoto, to tłumy zaleją waszą ziemię i odbiorą wam ją – stwierdził Peter.

Haikina skinęła głową.

– A my chcemy temu zapobiec – oświadczyła. – Proponując Lizzie Portland, że damy jej tę ziemię w prezencie.

– Ile ziemi? – spytała Lizzie zaskoczona. – Przecież nie całą ziemię waszego szczepu!

Syn wodza powiedział coś, gestykulując gwałtownie.

– Myśleliśmy o ziemi między wodospadem a dawną działką Drury-Timlock – sprecyzowała Haikina.

– Ależ to jest... to jest na pewno z pięćdziesiąt hektarów! – Lizzie niemal się zakrztusiła swoją herbatą. – I ja w ogóle nie wiedziałam... nie wiedziałam, że nasza działka należy do szczepu. Nigdy o tym nie mówiliście.

Haikina wzruszyła ramionami. Ngai Tahu byli tradycyjnie wielkoduszni. Jeśli na ziemi nie było żadnego *tapu* i jeśli nie zamieniano jej w pustynię jak tę wokół Ścieku Gabriela, to nikomu nie zabraniali stawiać tam namiotu.

– Ale dlaczego chcecie w ogóle darować komuś swoją ziemię? – spytał wielebny. – Jeśli ona bezspornie należy do szczepu...

Haikina machnęła ręką gestem pełnym rezygnacji.

– Tak długo, jak to jest tylko ziemia, to rzeczywiście należy bezspornie do nas. *Pakeha* nie chcą mieć kłopotów i pewnie rozumieją, że ktoś musi zapłacić za ziemię, na której się chce osiedlić. Ale złotonośne pola? One uchodzą za ziemię niczyją i nasze roszczenie będzie wówczas podważone.

– A roszczenie Lizzie nie? – spytał Peter.

Haikina popatrzyła na niego uważnie, a jej spojrzenie mówiło wyraźnie, że uważa go za naiwnego.

– Wielebny – powiedziała cierpliwie. – Jeśli Lizzie położy na działce kamienie graniczne i podsunie broń pod nos każdemu, kto choćby postawi stopę na jej ziemi, to wtedy broni swojej własności i wszyscy będą jej bić brawo. Jeśli my zrobimy to samo, to będzie to maoryskie powstanie i Anglicy przyślą wojsko.

Peter zagryzł wargi.

– Przykro mi – powiedział.

Haikina wzruszyła ramionami.

– To nie pańska wina. A jeśli chodzi o Lizzie: Hainga i tak niechętnie przystała na to, że ona odeszła. A więc rada starszych postanowiła dać jej tyle ziemi, ile jest potrzebne, aby założyć farmę. Bo to w końcu był jej plan. Michael chciał hodować owce. Jak to teraz wygląda...

Lizzie była bardzo poruszona tak wielkoduszną ofertą.

– Ja... ja oczywiście chętnie to przyjmę – wymamrotała. – Przynajmniej pro forma, żeby ta ziemia miała właściciela *pakeha*.

– Byłoby lepiej, gdybyś tam zamieszkała – stwierdziła Haikina.

Lizzie zagryzła wargę w zamyśleniu.

– Ja nie wiem... sama?

– Lizzie, jeśli zbuduje pani dom tam, gdzie stoi teraz chata z bali, to do Lawrence są tylko trzy mile – powiedział Peter. Lawrence było nową nazwą szybko rosnącego miasteczka poszukiwaczy wokół placówki pocztowej w Tuapeka. – Bardziej centralnie może pani mieszkać tylko w mieście.

I wtedy odezwała się Hainga.

– Ty nie sama – powiedziała swoją łamaną angielszczyzną. – Dziecko przy tobie, dziecko my witać w szczepie też.

Lizzie patrzyła na starą kobietę, nic nie rozumiejąc. Wielebny i Haikina byli nie mniej zdumieni.

– Skąd... skąd ona wie o dziecku? – spytała Lizzie Haikinę. Próbowwała ukrywać swoją ciążę, nosząc luźne ubrania, i dotychczas jej się to udawało, ale mądra *tohunga*... – Powiedziałam o tym tylko Michaelowi! – dodała.

Haikina wzruszyła ramionami.

– To pewnie duchy – stwierdziła. – Albo oko wprawnej akuszerki...

Hainga popatrzyła na Lizzie.

– Ono powstało pod światłem Matariki – powiedziała po maorysku. – Dziecko błogosławione przez Rangi.

Lizzie poczuła, że się czerwieni. Co ona mówiła? To dziecko poczęło się w noworoczną noc? Pomyślała o Kahu. Ale potem się uspokoiła. Hainga nie mówiła o święcie Tou Hou, tylko o gwiazdozbiorze Plejad. A one ciągle świeciły na niebie.

– To dziecko Michaela! – powiedziała przekornie do Haingi.

Hainga lekceważąco machnęła ręką.

– To twoje dziecko – odparła.

– Ono ma twoje *mana* – dodała Haikina. – Tak długo, aż zdobędzie własne. Zgadzasz się? Chciałabyś mieć farmę nad Tuapeka River?

Lizzie skinęła głową. Była szczęśliwa na tej ziemi nad potokiem. W chacie z bali i powyżej niej w namiocie, na złotonośnych polach. Dlatego było ze wszech miar słuszne, aby tam wzrastało jej dziecko. A jeśli chodzi o farmę – jeśli nie będzie

musiała płacić za ziemię i zamieszka w chacie z bali – to będzie miała dość pieniędzy na życie. Przez całe lata, bez kłopotania się o owce. A jeśli chodzi o swe zajęcie w przyszłości, to Lizzie miała już pewien pomysł!

Haikina grzecznie poprosiła wielebnego o adres odpowiedniego adwokata w celu sporządzenia pisemnego aktu sprzedaży pięćdziesięciu hektarów ziemi będącej w posiadaniu szczepu Ngai Tahu, na farmę dla pani Lizzie Portland. Peter dodatkowo potwierdził to u sędziego pokoju. Wszystko miało być przeprowadzone tak oficjalnie, jak to tylko możliwe. Dwa dni później Kuri Koua, syn wodza, oraz Hainga, najstarsza z rady starszych szczepu, złożyli swoje podpisy pod dokumentem napisanym w języku angielskim i maoryskim. Maorysi natychmiast wyruszyli w powrotną drogę, aby zanieść szczepowi nowinę o udanej transakcji. Lizzie obiecała, że odwiedzi ich jak najszybciej.

– Nie mogę iść od razu z wami, muszę załatwić jeszcze parę spraw – powiedziała do Haikiny.

– Pomówić z Michaelem? – spytała dziewczyna.

Lizzie westchnęła.

– Michael i jego Kathleen będą mieli własną farmę w Otago. Nie ma tu za bardzo o czym z nim mówić. Bardziej chodzi mi o bank, który ma zarządzać pieniędzmi, i o parę zamówień.

– Zamówień? – Haikina była zaintrygowana.

Lizzie się uśmiechnęła.

– Coś w rodzaju... nasion – powiedziała.

Peter Burton otworzył butelkę szampana, kiedy Lizzie, po niekończącym się studiowaniu katalogów i dyskusjach z firmą spedycyjną, wreszcie wróciła do niego na plebanię. Poprosił gospodynię, aby przygotowała kolację, bo przypuszczał, że Lizzie będzie wykończona, kiedy wróci. I rzeczywiście padła wyczerpana na fotel, zaledwie weszła do domu.

– Kto będzie polerował pańskie meble, kiedy mnie nie będzie?! – westchnęła.

Peter się roześmiał.

– Powiedziałbym, że teraz zamówi pani w Anglii meble dla siebie i będzie polerować dla odmiany własne! – stwierdził. – Ma pani dość pieniędzy i może pani zbudować sobie piękny dom!

Lizzie wzruszyła ramionami.

– A po co mi wielki dom? Dla mnie i dla dziecka wystarczy niewielki dom z bali. A ja będę mieć dużo roboty na dworze. Co to za dom bez służących i pokojówek? – Uśmiechała się wyraźnie zmęczona. – Kathleen ma więcej zdolności niż ja, żeby być „owczą baronową”. Już samo to, jak jest piękna...

Peter usiadł obok Lizzie.

– Nic mnie to nie obchodzi, Lizzie, i rozumiem, że nie chce pani już rozmawiać z Michaeliem. Ale czy myślała pani o tym, aby zwrócić się do Kathleen?

Lizzie aż podskoczyła.

– A po co? Pozwolić, aby mnie wyśmiała? Gdyby Kathleen chciała mnie wziąć w obronę, gdybym ją choć odrobinę interesowała, to nie zachęcałaby Michaela, aby do niej wrócił. Wiedziała o mnie. Wiedziała o naszym planowanym weselu. Dobry Boże, to ona szyła moją suknię ślubną!

Lizzie wypła tak duży łyk szampana, że aż się zakrztusiła.

– Ona była zaskoczona – stwierdził Peter. – Lizzie, nie chcę jej usprawiedliwiać. Ale z pewnością była poruszona do głębi; przecież sądziła, że nigdy w życiu już go nie zobaczy...

Lizzie aż prychnęła.

– Od tamtej chwili upłynęło już ładnych parę tygodni, wielebny! Powinna wreszcie zejść ze swoich obłoków na ziemię!

Peter wzruszył ramionami.

– Tak czy owak – powiedział – powinna jej pani powiedzieć o dziecku.

## ROZDZIAŁ 3

– A więc: jeśli rzeczywiście chcesz kupić tę farmę, Michael, to przynajmniej nie powinieneś kupować od MacDuffa owiec. Rozejrzyj się za dobrze utrzymanym stadem. Wielkie farmy sprzedają przecież zwierzęta hodowlane.

Mały kary koń Kathleen niecierpliwie przebierał nogami. Do Dunedin było już niedaleko – koń wiedział, że czeka tam na niego miejsce w stajni. A Kathleen raz jeszcze podsumowała dla Michaela wyniki podróży, chyba po raz dwudziesty, przynajmniej tak mu się wydawało! W czasie drogi do domu praktycznie nie mówili o niczym innym jak o jej propozycjach dotyczących nabycia i prowadzenia owczej farmy. Cierpliwość Michaela powoli się kończyła. Bez względu na to, jak piękna była Kathleen, jak spokojnie galopowała obok niego i jak płynne były skoki jej karego, to jeśli miał być szczery, wszystko to zaczynało mu działać na nerwy. Wolalby, aby Kathleen siedziała obok niego w powozie, tkliwie przytulona do niego, tak jak kiedyś. Z rozmarzeniem pomyślał o ich wspólnych przejażdżkach na ośle O'Rearke'a. Ona kładła wtedy głowę na jego ramieniu, lgnęła do niego całym ciałem i oddawała mu cugle. A teraz gadała tak, jak gdyby chciała samodzielnie prowadzić hodowlę owiec.

– Na to nie starczy pieniędzy – odparł zirytowany. Także to powiedział jej już kilka razy. Ale Kathleen po prostu pomijała to milczeniem.

– To zacznij od hodowli bydła, aż na to zarobisz – rzekła niewzruszenie. – Bydło to pewny interes, akurat od kiedy w Otago zaczęła się gorączka złota. Są tu tysiące poszukiwaczy złota, to ciężko pracujący ludzie, którzy po całodziennej harówce myślą tylko o tym, aby zjeść gruby stek. W tym celu będziesz musiał oczywiście wyremontować stajnie, ale to tak czy tak powinieneś zrobić. Później będziesz zatrudniał grupy postrzygaczy, a oni dziś chcą mieć porządne szopy do pracy!

Michael westchnął. Doszedł do wniosku, że najlepiej pozwolić, aby się wygadała. Może w końcu da temu spokój, zanim dotrą do Dunedin.

Ale Kathleen trudno było powstrzymać.

– To znaczy, o ile w ogóle zdecydujesz się na kupno tej farmy. Powinieneś to dobrze rozważyć. Dziesięć mil od najbliższej miejscowości, Michael! A to Queenstown jest dziś tylko nieco lepszym obozem poszukiwaczy złota. Może rozwinie się kiedyś i będzie miastem, a może nie. Nie obchodzi mnie to, ale...

Michael odwrócił głowę w jej stronę.

– Kathleen, oczywiście, że cię to obchodzi!

Skierował swojego siwka w stronę karego, a koń Kathleen natychmiast go ugryzł.



Lizzie w takim wypadku prawdopodobnie z przerażenia spadłaby z konia. A Kathleen po prostu ukarała konia krótkim uderzeniem palcata i na dobrą sprawę nie zwróciła na to uwagi.

– Przecież to ma być także twoja farma, w końcu chcemy tam mieszkać razem.

Po twarzy Kathleen przemknął cień. Wydawało się, że przez chwilę walczyła ze sobą, ale potem zatrzymała konia.

– Michael – powiedziała cicho, ale bardzo stanowczo i poważnie. – Kocham cię. Ale ja nie chcę mieć farmy. Nie chcę już spędzać owiec i pomagać im się kocić w czasie lodowatych nocy. A przede wszystkim nie chcę mieszkać o całe mile od najbliższego miasta. Nie zdajesz sobie sprawy, Michael, że to przede wszystkim oznacza ogromną samotność!

– Ale przecież bylibyśmy razem! – odparł Michael. – Jak mogłabyś być samotna ze mną? Przecież... przecież oboje zawsze marzyliśmy o farmie. Jeszcze w Irlandii!

Kathleen zsiadła z konia i ruszyła piechotą w stronę miasta. Pierwsze zabudowania Dunedin były już widoczne – za kilka minut mieli dotrzeć do stajni Sullivana. Kathleen najwyraźniej chciała to odwlec. Chciała powiedzieć to, co musiało być powiedziane.

Michael także zsiadł z siwka i przez chwilę szli obok siebie w milczeniu. A potem odezwała się Kathleen.

– Michael... Irlandia... Upłynęło już siedemnaście lat od tamtej chwili! Połowa naszego życia. Tyle się wydarzyło w tym czasie, tyle różnych przeżyć mamy za sobą – i ty, i ja. I nie wiem, czy będziemy mogli nadrobić ten czas, kiedy byliśmy daleko od siebie. Ale wiem na pewno, że nie chcę już mieszkać na farmie. Podobnie jak moje dzieci.

– Sean jest moim synem! – odparł Michael.

– Sean jest prawie dorosły, Michael. On wie, czego chce. I to o wiele lepiej niż my, kiedy byliśmy w jego wieku. Jest mądrym chłopcem i dziękuję ci za tak wspaniałego syna. Sean był tego wszystkiego wart, Michael, nawet jeśli czasami w to wątpiłam. Ale nie możesz nadrobić tych lat, których z nim nie spędziłeś. On...

– Jemu żal tego wielebego! – wyrwało się Michaelowi. – Nigdy cię o to nie pytałem, Kathleen, ale czy było coś między tobą a Peterem Burtonem?

Spojrzał na nią wrogo.

– A jeśli nawet coś było... – odpowiedziała Kathleen wymijająco. – Przecież między tobą a Elizabeth Portland też coś było!

– To jest coś innego! – stwierdził Michael. – My oboje jesteśmy dwiema częściami jednej całości. Między nami jest coś świętego! Lizzie jest... Lizzie była...

Kathleen jednym gestem zmusiła go do milczenia.

– Nie chcę wiedzieć, kim Lizzie była i jest. Twoja przeszłość mnie nie interesuje, a jej także. Mnie interesuje przyszłość. I jeśli o to chodzi: to ty, Michael, wyznaczałeś

bieg mojego życia, i to od siedemnastu lat! Z twojego powodu wyszłam za Iana, z twojego powodu opuściłam Irlandię. Wprawdzie tego nie planowałeś, ale to się stało z twojego powodu. Zrobiłam to, co chciałeś, i wychowałam twoje dziecko w godności. Ale jeśli rzeczywiście należymy do siebie nieodwołalnie, dlatego że Bóg tak chce, to musisz dostosować swoje życie do mojego! Zbuduj coś w Dunedin. Załóż sklep czy coś podobnego. Chciałabym z tobą być, Michael, ale chcę też mieć swoje dzieci, Claire, swoją firmę...

– I twojego wielbego, prawda? – zapytał złośliwie.

Kathleen podniosła rękę i uderzyła go w twarz. Zrobiła to niemal odruchowo, tak jak to często robiła w przypadku Colina, a bardzo rzadko wobec Seana i Heather. Patrzyła na niego w milczeniu. Z trudem mogła uwierzyć w coś, co w tym momencie przemknęło jej przez głowę: Michael, jej cudowny kochanek, który zawsze potrafił znaleźć wyjście z każdej sytuacji, który zawsze doprowadzał ją do śmiechu, który wydawał jej się silny i dobry – teraz zachowywał się jak niegrzeczny chłopiec!

Kathleen włożyła nogę w strzemień i wsiadła na karego. Sama, bez pomocy.

– Pomyśl o tym, Michaelu – powiedziała spokojnie i ruszyła galopem. Było jej obojętne, czy on jechał za nią.

Kathleen czuła się zmęczona i brudna po podróży, kiedy wreszcie zaprowadziła konia do stajni i dotarła do swojego domu na George Street. Pragnęła tylko zdjąć przepoconą suknię do jazdy konnej, wziąć ciepłą kąpiel i położyć się w wygodnym łóżku. Myślenie o Michaelu i jego farmie sprawiało jej ból. Teraz była jego kolej – jeśli chciał z nią być, musiał jej zaproponować coś innego.

Zamknęła za sobą drzwi i rozwiązała taśmę trzymającą jej kapelusz. Z salonu dobiegały czyjeś głosy i śmiechy. Claire miała najwyraźniej gości – ale czy to nie był głos walczącego z mutacją Seana?

W tym momencie Claire otworzyła drzwi do kuchni i wyszła stamtąd, niosąc tacę, na której ustawione były filiżanki i dzbanek z herbatą oraz ciasto.

– Kathleen! – Claire była wyraźnie zaskoczona i ku zdziwieniu Kathleen zaczerwieniła się. – W ogóle nie sądziłam, że się zjawisz! Ale dobrze, że już jesteś. Bo... masz gościa!

Claire wskazała na drzwi salonu, dodając:

– Jeśli jednak dobrze się zastanowić – urwała, słysząc głośne chichoty z salonu – to może nie powinnaś... Sean... ach, posłuchaj sama!

Mówiąc to, pociągnęła Kathleen do biura mieszczącego się obok salonu. Był to bardzo piękny, przytulny pokój, Kathleen zwykle przyjmowała tu szwaczki i omawiała z nimi kolejne zadania. Wszędzie leżały czasopisma z damską modą, próbki materiałów, szpulki nici, a w kącie stał manekin. Claire jak najciszej uchyliła drzwi prowadzące do salonu i położyła palec na ustach. Kathleen zajrzała –

i rzeczywiście z trudem powstrzymała okrzyk zaskoczenia. Na dywanie w salonie siedziała Lizzie Owens – a może Elizabeth Portland? – i z wielkim ożywieniem dyskutowała z Seanem. Lizzie opowiadała anegdoty z życia Michaela i po raz pierwszy Sean interesował się swoim ojcem.

– Co? On chciał przepłynąć łodzią wiosłową z Australii do Nowej Zelandii? – śmiał się chłopak. – Przez Morze Tasmana? Czy on naprawdę nie wiedział, jak to daleko?

– No nie, chciał płynąć jednomasztowym żaglowcem – poprawiła Lizzie. – On i jego trzech kompanów. I tylko jeden z nich był kiedyś na morzu.

– No ale przecież potopiliby się! I ojciec to wymyślił?! – zawołał Sean. – Jak można być tak głupim?!

Kathleen zmarszczyła czoło.

– Twój ojciec nie jest głupi! – odparła stanowczo Lizzie. – Tylko... czasami trochę nierozważny. I chciał koniecznie wracać do Irlandii. Do twojej matki, Sean. I do ciebie.

– Przecież w ogóle mnie nie znał! – zaprzeczył Sean.

– Ale stale o tobie mówił. Obiecał twojej matce, że do niej wróci. I chciał to robić za wszelką cenę. Nawet waląc głową w mur.

Sean się roześmiał.

– A jak mu się udało w końcu tutaj dostać? Przepłynął wpław?

– To nie opowiadał o tym? – zapytała Lizzie z nagłym zainteresowaniem. Bardzo chętnie dowiedziałyby się, co mówił na ten temat Michael.

– Niewiele mówił. Tylko tyle, że... No, że to był szczęśliwy przypadek i dzięki temu mógł tu przyplłynąć żaglowcem.

Lizzie prychnęła oburzona. A potem opowiedziała o Davidzie Parsleyu. Była to nieco złagodzona wersja historii, przystosowana dla chłopca, ale Kathleen i Claire bez trudu domyśliły się reszty.

– Twój ojciec był na mnie bardzo zły z tego powodu – wyznała na koniec Lizzie. – On nie chce nikogo oszukiwać. Ale Mr Parsleyowi nic się nie stało, oprócz tego, że wszyscy się z niego śmiali. Nawet nie musiał sam płacić za swoją podróż, to zrobiła jego firma czy też jego zleceniodawca. A ja przecież nie mogłam pozwolić, aby Michael się utopił.

– Uważam, że to bardzo szlachetnie z pani strony – oświadczył Sean. – Mam na myśli to, że go pani zabrała ze sobą. Bo podróżowanie jako żona Davida Parsleya to było duże ryzyko. Gdyby nie było miejsca na statku, musiałyby pani zostać i złapano by panią!

– Ale bilet był wystawiony na nazwisko Davida Parsleya – wyjaśniła Lizzie.

Sean skinął głową.

– Ale przecież mogła go pani przepisać na swoje nazwisko.

O tym Lizzie nie pomyślała. Ale to była prawda. W żadnym wypadku nie musiała

zdawać się na to, że Michael pójdzie jej na rękę. Wzajemna wdzięczność była całkowicie zbędna! Bohaterką tej historii była więc wyłącznie Lizzie! Lizzie poczuła, że jej *mana* wyraźnie rośnie.

– Po prostu nie chciałam jechać bez niego – przyznała.

Claire i Kathleen za drzwiami spojrzały na siebie. Claire nie powiedziała tego, ale Kathleen niemal słyszała uwagę: „Tylko stara przyjaciółka”.

Sean się uśmiechnął.

– Ależ była pani zakochana – powiedział bezczelnie.

Lizzie się zaczerwieniła.

– A jak było wtedy w Irlandii? – zapytał chłopak. – To znaczy ta sprawa, z powodu której zesłano mojego ojca na Ziemię van Diemena? Chodziło o ziarno Trevalliona?

Lizzie wzruszyła ramionami.

– O to musisz zapytać twoją matkę. Ja poznałam go dopiero na statku.

– Ale *mom* nic mi nie opowiada – poskarżył się Sean. – W każdym razie nie mówi niczego, co miałoby jakiś sens. Podobnie jak mój ojciec. Czy on to ziarno potem rozdał, sprzedał czy też...?

– O ile dobrze zrozumiałam, ziarno było potrzebne do pędzenia whiskey – odpowiedziała z całym spokojem Lizzie. – Oczywiście nielegalnie. Za kilka worków ziarna można było opłacić podróż do Ameryki.

Kathleen i Claire wstrzymały oddech. Dla Claire ta historia była zupełnie nowa, ale Kathleen czuła głębokie zawstydzenie. Nigdy tego nie mówiła Seanowi. Bo co pomyślałby sobie o swoim ojcu? Ale w tym momencie ku swemu zaskoczeniu usłyszała, że Sean zaczął się śmiać. Tak bardzo, że jego nowy dźwięczny głos chwilami zaczął przechodzić w cienki, piskliwy chichot.

– Mój ojciec, irlandzki bohater i bojownik o niepodległość, pędził whiskey w czasie klęski głodu? No, muszę to opowiedzieć wielebnemu Peterowi! To najlepsza historia, jaką w życiu usłyszałem!

Kathleen z zaskoczeniem, ale i wdzięcznością pomyślała o wszystkich godzinach, które jej syn spędził z Peterem Burtonem. Peter Burton wpoił Seanowi nie tylko głębokie poczucie sprawiedliwości, ale także poczucie humoru i uznanie dla szalonych, lecz także ryzykownych przedsięwzięć. Rzeczywiście, Peter będzie się z pewnością doskonale bawić, słysząc o „walce o wolność Irlandii” Michaela.

– Whiskey to on pędził dopiero później – poprawiła Lizzie. – W Irlandii robiła to jego rodzina. Ale w Kaikourze mieliśmy pub.

Kathleen uznała, że czas wkroczyć do pokoju. Z uśmiechem otworzyła drzwi do salonu.

– Proszę wybaczyć, że zjawiam się tak nieoczekiwanie, Miss Portland, ale dopiero co weszłam do domu. I chętnie posłuchałabym pani opowieści.

Michael nie myślał poważnie o jakimś interesie w Dunedin. Oczywiście przez chwilę rozważał taką możliwość, kiedy powoli jechał w stronę miasta i potem do hotelu. Ale tak naprawdę przerażała go perspektywa prowadzenia handlu czy też pubu, jeśli tylko pomyślał o związanej z tym papierkowej robocie. Oczywiście w Mount Fyffe Run miał do czynienia ze sprzedażą i kupnem owiec, ale księgi prowadził George. W pubie w Kaikourze robiła to Lizzie. Michael zajmował się sprawami praktycznymi i teraz wcale nie zamierzał tego zmieniać. Choć oczywiście rozumiał, że będzie musiał się nauczyć wszystkiego na temat różnej jakości owczego runa i tego, jaką rolę odgrywa to przy przędzeniu wełny. To był gotów zrobić. Mógł budować stajnie, owczarnie i uszczelniać je, był też gotów nauczyć się hodowli bydła. Ale interes, sklep? Może jedynie handel drewnem albo jakimiś materiałami budowlanymi. Choć właściwie na drewnie też nie za bardzo się znał – nie mówiąc już o różnych rodzajach kamieni. W dodatku kontraktowanie tego wszystkiego u dostawców, ciągły kontakt z klientami, interesantami, a możliwe, że nawet z bankierami, takimi jak ten arogancki Mr Dunloe. Nie, to nie był jego świat. Nie był gotów tego robić nawet ze względu na Kathleen! A w ogóle – Kathleen. Jakaż ona była niewdzięczna! Robił przecież wszystko, aby spełnić marzenie jej życia. Praktycznie składał u jej stóp swoją własną farmę. A ona? A ona po prostu szukała dziury w całym i dzieliła włos na czworo!

Michael zostawił konia w stajni hotelu i poszedł do pubu po przeciwnej stronie ulicy. Whiskey, i to irlandzka, była w tej sytuacji konieczna! Michael zawołał barmana i kazał sobie podać szklankę bushmills.

Kilka godzin później siedział już w trzecim pubie, tym razem bliżej centrum, w pobliżu ośmiobocznego rynku. Spoglądał na dopiero co zbudowany kościół St. Paul's i współczuł samemu sobie. Ale w tym momencie dostrzegł nagle na ulicy... coś w rodzaju zjawiska. Z George Street w kierunku kościoła szła spacerkiem Lizzie Owens-Portland! Spacerowała sobie! Przy czym słowo „spacerować” chyba jednak nie było słuszne. Lizzie dążyła przed siebie z pełną świadomością celu, tak jak robiła to zawsze. Dlaczego on dotychczas nigdy tego nie zauważył? Wydało mu się, że była pełna wewnętrznego spokoju i bardzo z siebie zadowolona. Zupełnie inaczej niż on...

Michael rzucił monetę na stół, zostawił swoje piwo i wybiegł na zewnątrz.

– Lizzie?

Odwróciła się w jego stronę; miał wrażenie, że się uśmiechała. Tak jak zwykle, kiedy go widziała. Ona jednak zmarszczyła czoło i zacisnęła wargi.

– Michael? – spytała z przyganą w głosie. – Przepijasz pieniądze na twoją farmę?

Michael podszedł do niej. Nagle zapragnął wylać przed nią wszystkie swoje żale.

– Nie ma żadnej farmy! – powiedział bez tchu. – Ona... ona... Lizzie, Lizzie, ja... chciałbym z tobą pogadać. Ja muszę coś z tobą omówić!

Lizzie się odwróciła.

– Nie sądzę, abyśmy mieli o czym gadać – stwierdziła. – Masz teraz inne życie, twoje „właściwe” życie. Czy nie wyraziłeś się w ten sposób? Życzę ci dużo szczęścia z Mary Kathleen. Jeśli masz coś do omawiania, omawiaj to z nią.

Po czym ruszyła dalej.

– Właśnie, że nie mam! – zawołał Michael i odciął jej drogę, stając przed nią. – Ja właśnie nie mam innego życia! Ona mnie nie chce! Kathleen – po tym wszystkim mnie nie chce!

Michael wyrzucił z siebie te słowa z prawdziwą rozpaczą.

Lizzie zdusiła w sobie chęć, by chwycić go w ramiona. Tym razem nie pójdzie mu już tak łatwo! Podeszła do niego, ale go nie dotknęła.

– Po tym wszystkim? – spytała surowo. – Po czym właściwie? Czy miałeś coś wspólnego z Kathleen przez te wszystkie lata?

– Wiesz doskonale, że o niej myślałem! – wybuchnął Michael. – I to każdego przekłętogo dnia, od kiedy opuściłem Irlandię!

Lizzie skinęła głową i rozejrzała się niezadowolona. Nie było dobrze klócić się na ulicy. W końcu pociągnęła Michaela do chłodnego przedsionka kościoła St. Paul's. Właściwie chciała go stąd zabrać do domu wielebnego Petera, ale jego rozmowa z nowo desygnowanym biskupem chyba jeszcze się nie skończyła.

– O tak, wiem – powiedziała gorzko. – Codziennie mnie z nią porównywałeś, a mówiąc dokładniej nie z nią, tylko ze wspomnieniem o niej, które pielęgnowałeś przez lata. Kathleen, ta piękna, czysta dziewczina – w końcu »Mary« Kathleen. A naprzeciw takiego wspaniałego obrazu ja, Lizzie, dziwka.

– Lizzie, nigdy nie chciałem... Nie to miałem na myśli...

Na twarzy Michaela pojawił się wyraz skruchy – Lizzie nigdy nie mogła mu się oprzeć. Teraz jednak nie patrzyła na niego, lecz wzburzona mówiła dalej, twardo i zdecydowanie.

– Oczywiście, że to miałeś na myśli! – powiedziała bezlitośnie. – Ale czas się obudzić, Michaelu! Twoja Kathleen porzuciła już dziewictwo, a wraz z tym także imię Mary! A w dodatku sprzedała się tak samo jak ja. Bo czasami w życiu nie ma innego wyjścia. I jest bez znaczenia, że jedna kobieta idzie do ołtarza z łotrem po to, aby móc wychować w godności swoje dziecko, a druga idzie do łóżka z każdym klientem, który jej za to zapłaci, aby nie umrzeć z głodu. Albo aby ktoś, kogo kocha, nie skończył marnie. Beze mnie, Michaelu, zachłostano by cię na śmierć jako uciekiniera albo utopiłbyś się w Morzu Tasmana, a może też zapiłbyś się na śmierć, bo twoje życie między połowem wielorybów a strzyżeniem owiec nie miało sensu! Do tego oczywiście potrzebowałam *mana*, Michaelu, nawet jeśli ci się to nie podoba. Zupełnie tak, jak teraz nie podoba ci się to u Kathleen. Kathleen jest dokładnie taka sama jak ja, Michaelu! Z jedną jedyną różnicą – ja cię Kocham. A ona nie!

Michael, który w czasie tej przemowy bezmyślnie wodził wzrokiem po obrazach

świętych i świecznikach w kaplicy kościoła, teraz aż podskoczył.

– Oczywiście, że ona mnie kocha! Jak możesz coś takiego mówić. Ona mnie zawsze kochała, ona...

– Ona kochała chłopca, który całował ją na polach nad Vartry River. Może trochę także wesołego awanturnika, który walczył z okupantem. Ale możesz wyobrazić sobie Kathleen na złotonośnych polach? I słyszałeś, co powiedziała: nie zamierza zostawiać swojego pięknego sklepu i hodować z tobą owiec w Otago!

Michael nie pytał, skąd Lizzie to wiedziała. Był na to zbyt wściekły i zbyt pijany.

– Tak jej się teraz wydaje! – odparł oburzony. – Ale ostatecznie zgodzi się na to. „Gdzie ty pójdziesz, tam i ja pójdę”. Znasz to, Lizzie?

Lizzie nie mogła się powstrzymać – z całej siły uderzyła go w twarz. Trochę niezdarnie, brakowało jej wprawy Kathleen.

– Ja to przecież robię, Michael. I to od wielu lat! Ale teraz mam dość. Postąpię dokładnie tak jak Kathleen! Czyli będę robić to, co chcę!

Odwróciła się i ruszyła w stronę wyjścia, ale nagle zatrzymała się jeszcze.

– A nawiasem mówiąc, masz uroczego syna, Michael. Miałam okazję go poznać i sprawiło mi to wielką radość. Mam nadzieję, że nasze dziecko będzie równie mądre i rozsądne. A ponieważ tym razem mam dobre warunki finansowe, nie potrzebujesz się o nie martwić: wychowam je w godności!

– Rozmawiałaś z Lizzie? – spytał Michael.

Czuł się skrępowany, bo jakoś dziwnie było siedzieć tutaj naprzeciwko Kathleen. Chciał się z nią zobaczyć, ale ona nie zaprosiła go do siebie, tylko spotkała się z nim w kawiarni jego hotelu. Kathleen z gracją balansowała maleńką filiżanką herbaty, którą trzymała dwoma palcami, i od czasu do czasu niosła do ust mały kawałek herbacianego ciasteczka. Był to dokładnie ten sam rodzaj ciastek, których kilka ukradła tak wiele lat temu w dworskiej kuchni i którymi wielkodusznie podzieliła się z nim. A czy on właściwie czymkolwiek się z nią dzielił? Oprócz miłości i trosk?

Michael nie mógł zapomnieć pól nad Vartry River. Byli wówczas bardzo głodni i dosłownie połknęli ciastka. A teraz były to dla niego tylko słodczyce i leżały na talerzyku ze zbyt delikatnej porcelany, a dla niej był to jeden z wielu smakołyków, które można było od czasu do czasu przegryźć.

Kathleen skinęła głową.

– Tak. A ty nie powiedziałeś mi prawdy. Ona nie jest twoją starą przyjaciółką. Ona jest... ona jest drugą częścią ciebie. Dokładnie tym, czym ja nigdy nie byłam.

– Bo nie mogłaś być! – zawołał Michael. – Okoliczności były przeciwko nam. Ale gdyby wszystko poszło dobrze, gdybyśmy wyjechali do Ameryki...

– ...to siedzielibyśmy teraz w jakiejś dziurze w Nowym Jorku. Ty i Sean harowaliście w fabryce, a ja w szwalni. Aby móc wychować nasze dzieci i utrzymać

się przy życiu. Michael, bez Lizzie nigdy byś nic nie osiągnął! Nie mielibyśmy fabryki w Bostonie ani też farmy w Wyoming! Bo ja też bym nic nie osiągnęła. Nasz sklep był pomysłem Claire, nie moim. My oboje wprawdzie przeżylibyśmy, ale nic więcej! Właśnie dlatego, że nie jesteśmy dwiema częściami jednej całości. Twoją drugą częścią jest Lizzie Portland. A moją...

– Chcesz wrócić do twojego wielebnego? – spytał Michael.

– O wracaniu nie może być mowy, bo nigdy nie było niczego, do czego mogłabym wrócić. Ale jest czas, abym szła do przodu. Moją drugą częścią była dotychczas Claire. Ale ona wyjdzie za Jimmy'ego Dunloego, jak tylko w końcu będzie tutaj prawo rozwodowe. A ja... Ja mogę mieć tylko nadzieję, że Peter mi przebaczy. Peter nie jest moją przeszłością, Michael. On jest moją przyszłością. – Kathleen popatrzyła na niego niemal zadziornie.

Michael opuścił głowę.

– Lizzie mówi, że to jest to samo... Przeszłość i przyszłość – powiedział w zamyśleniu. Po raz pierwszy nie odczuwał zazdrości, jeśli była mowa o Peterze Burtonie. – Takiego zdania są przynajmniej Maorysi: zawsze potrzebujemy góry, której szczyt zatrzymuje nas w naszym tu i teraz. *Maunga*, oni to nazywają *maunga*.

Kathleen się uśmiechnęła.

– No widzisz. Lizzie jest twoim *maunga*. O ile człowiek może nim być. Ale ja nie. Nie jestem dostatecznie silna, aby cię zatrzymać, sama potrzebuję kogoś, kto mnie zatrzyma. Zobaczmy, czy Peter będzie w stanie to zrobić.

Roześmiała się nieoczekiwanie.

– Piotr znaczy skała. Ta myśl właściwie nie powinna być dla niego niczym nowym.

– Ale... – Michael ciągle jeszcze nie chciał ustąpić. – Co z naszą miłością, Kathleen? Ona przecież była... I jest.

Kathleen go objęła.

– Ona pozostanie. Albo raczej jej cień. Ale ty nie potrzebujesz już mnie, aby być szczęśliwym. Do tego potrzebujesz Lizzie, o ile ona jeszcze cię zechce.

– A więc nie jesteś zła? – spytał Michael.

Kathleen przewróciła oczami.

– Nie jestem zła, ale to nie ma znaczenia! Zastanów się lepiej, czy Lizzie cię jeszcze zechce.

Michael zagryzł wargi.

– W czasie naszego ostatniego spotkania raczej nic na to nie wskazywało – przyznał. – A przy tym... przy tym już właściwie o tym wiedziałem. Czy wiesz... czy wiesz, że ona jest w ciąży?

Jego twarz rozjaśniła się przy tych słowach – coś takiego Kathleen pamiętała przez całe swoje życie. Taki sam wyraz twarzy Michael miał wtedy, kiedy Kathleen powiedziała mu o Seanie – kiedy wreszcie był gotów pogodzić się z myślą, że będzie



miął dziecko. Może Michael potrzebował na wszystko więcej czasu.

Kathleen skinęła głową.

– A więc zrób wszystko, abyś ją odnalazł! – poradziła mu.

Michael powoli odzyskiwał dawną pewność siebie.

– Zrobię to. Choćbym miał wywrócić wszystko do góry nogami na tej wyspie, to ja...

Kathleen uspokajająco położyła rękę na jego dłoni.

– Michael, po prostu najpierw pomyśl, zanim przekopiesz całą Nową Zelandię! Albo zanim jakimś jednomasztowcem będziesz chciał przepłynąć Morze Tasmana. Lizzie też będzie potrzebowała *maunga*.

## ROZDZIAŁ 4

Było tak jak zawsze. Lizzie nie mogła się napatrzeć na widok rozciągający się z jej ziemi powyżej wodospadu. Łagodne, zalesione wzgórza układające się niemal jak morskie fale – teraz, kiedy w Lawrence budowano coraz więcej, rosnące miasto widać stąd było bardzo dobrze. A już zwłaszcza w jeden z tak przejrzystych jesiennych dni jak dziś. Skalne iglice dumnie wznoszące się w górę, tętniący życiem potok, który cierpliwie dążył w stronę rzeki, aby stać się srebrzystą wstęgą Tuapeka. Lizzie ciągle była niezdecydowana, czy ma się osiedlić w tym miejscu, czy też w okolicy swego dawnego obozu. Maorysi z pewnością woleliby, aby zbudowała swój dom koło wodospadu. Prosilili ją, aby objęła w posiadanie właśnie tamten fragment ich ziemi.

– Zaoraj tam pole albo wypędź owce czy coś takiego – powiedziała Haikina.

Ale Lizzie miała inne plany wobec tych łagodnych wzgórz i łagodnie nachylonych w kierunku południowym łąk. Słońca było tu dość, wody także. Zimy były ostrzejsze niż na Wyspie Północnej – ale nie bardziej niż w Niemczech, a tam przecież rosło mnóstwo winnych krzewów. Kilka sadzonek winorośli, które Lizzie w ostatnich dniach ostrożnie przetransportowała na górę i wsadziła do wilgotnej, ogrzanej jesiennym słońcem ziemi, sprowadzono z Niemiec, pozostałe z Francji. Należało sprawdzić, czy przyjmą się na nowozelandzkiej Wyspie Południowej. Lizzie chciała koniecznie spróbować. Zachichotała teraz, rozbawiona pewną myślą. Może winogrona lubią złoto i ona, Lizzie, napisze zupełnie nowy rozdział w historii uprawy winorośli. Do czytania miała w każdym razie dość na najbliższych kilka lat. Od kiedy Kahu Heke opowiedział jej o swoich studiach w bibliotece w Auckland, wprost paliła się do tego, aby nauczyć się więcej na temat uprawy winorośli. Ale bez Jamesa Busby'ego! Dawno już umiała i wiedziała tyle co on. W każdym razie zamówiła niesłychaną ilość książek, a przy jej powolnym tempie czytania będzie tym zajęta niemal stale. I przy okazji dziecko też będzie uczyło się czytać – o ile akurat nie będzie siedzieć u jej maoryskich przyjaciół u stóp *tohunga* i słuchać historii o Papa i Rangi oraz ich boskich dzieciach. Lizzie pomyślała, że bliskość maoryskiej wioski na początek wydawała jej się ważniejsza niż bliskość Lawrence. Nuciała jakąś melodię, kiedy niemal z tkliwością obsypywała ziemią kolejną sadzonkę.

Ale nagle jej uwagę zwrócił jakiś ruch nad rzeką. Dwa muły, które pasły się nad rzeką, i dwóch mężczyzn, którzy właśnie wypakowywali swoje juki. Lizzie się rozejrzała, choć właściwie bez wielkich nadziei. Przedtem, za dnia pomagało jej kilka maoryskich kobiet, kilku mężczyzn płukało też złoto – szczerp potrzebował zapasów

ziarna na zimę oraz ubrań. Ale Maorysi ponad godzinę temu poszli do domu. Lizzie w tych dniach mieszkała znów w namiocie. Choć co prawda kupiła najnowocześniejszy i najbardziej komfortowy namiot, jaki można było dostać w Dunedin.

Lizzie sięgnęła po starą broń Michaela, którą położyła blisko siebie. Znalazła tę dubeltówkę w domu z bali i zabrała ze sobą głównie po to, aby pokazać ją wojownikom. Ngai Tahu, jak większość Maorysów, dawno już posiadali strzelby w celu obrony. Mężczyźni fachowo ocenili broń Michaela, wyczyścili ją i wypróbowali, po czym zwrócili Lizzie.

– Działa – stwierdziła Haikina. – Uważaj więc, abyś sama się z niej nie zastrzeliła.

Lizzie obiecała jej, że nim użyje broni, poprosi wojowników, aby pokazali jej, jak się to robi, ale stale to odwlekała. Szczerze mówiąc, broń zawsze wydawała jej się niesamowita. Teraz jednak żałowała swego niedbalstwa. Ale przecież i tak nie zamierzała do nikogo strzelać, tylko postraszyć ewentualnego intruza.

Jej dziecko ruszało się energicznie, jak gdyby protestując. Lizzie spróbowała to zignorować. Zgrabnie wsunęła dubeltówkę pod ramię, a potem zeszła nad rzekę i pozdrowiła przybyłych uprzejmie. Obaj mężczyźni wyładowali właśnie swoje namioty, a jeden z nich chwycił miskę do płukania złota. Lizzie podeszła do nich.

– Przykro mi, panowie, ale tu nie możecie szukać złota. Ta ziemia to własność prywatna, a potok należy do mnie.

Starła się, aby jej głos zabrzmiał twardo i stanowczo. Mężczyźni, obaj wysocy i brodaci, popatrzyli na nią zaskoczeni, jak gdyby uważali Lizzie za jakieś dziwne zjawisko.

– A od kiedy to jest własność prywatna? – warknął pierwszy z nich.

Drugi się roześmiał.

– Hej, przecież cię znam. Nie jesteś kobietą Michaela Drury’ego? On ponoć nieźle się wzbogacił, stary Mike! Gdzie on znalazł to złoto? Tutaj? – mężczyzna wskazał na potok.

Lizzie potrząsnęła głową.

– Michael szukał w różnych miejscach, miał działkę razem z Chrisem Timlockiem. Ale wyczerpał tam wszystkie zasoby. A teraz... – Nienawidziła siebie za to, co musiała teraz zrobić, ale gdyby się wydało, że jest zdana tylko na siebie... – Teraz będziemy tu prowadzić farmę. Ta ziemia od naszej starej chaty aż tam, do góry, należy do nas i nabyliśmy ją legalnie od Ngai Tahu.

W odpowiedzi mężczyźni roześmiali się drwiąco.

– O ile w ogóle do nich należała! – stwierdził starszy z mężczyzn.

Lizzie wzruszyła ramionami.

– Gubernator uznał tę transakcję. Tak samo sędzia pokoju i kilku adwokatów... Mogę wam pokazać papiery. W każdym razie tu niedługo będą się pasły owce. A jeśli

o was chodzi: najbliższy obóz poszukiwaczy złota znajdziecie koło Lawrence, a koło Queenstown, o ile wiem, też coś znaleziono. Musicie więc jechać dalej do Otago. Tu nie macie czego szukać. W prawdziwym sensie tego słowa. Zabierajcie się więc stąd!

Lizzie oparła się na broni w nadziei, że ten gest będzie wyglądał groźnie. W każdym razie jej przyjaciele wśród maoryskich wojowników zawsze osiągnęli odpowiedni efekt, kiedy opierali się na swych włóczykach. Ale ona oczywiście nie była taka wysoka i wytatuowana!

Mężczyźni rzeczywiście się nie cofnęli. Wręcz przeciwnie. Młodszy z nich, ten, który ją przed chwilą rozpoznał, zrobił kilka kroków w jej stronę.

– Ach, dlaczegoż to jesteśmy tak niemile widziani? – spytał, szczerząc zęby w fałszywym uśmiechu. Lizzie dopiero teraz zauważyła, że był wysoki, silny i sprawiał wrażenie bardzo zdecydowanego. – Cóż to się stało z tak często opiewaną uprzejmością wiejskich dżentelmenów i ich żon? Bo przecież teraz chcemy taką żoną być, jako świeżo upieczona „owcza baronowa”, prawda? Chodź, mała lady, zaprosz nas do siebie, abyśmy spędzili tu miłą noc, a jeśli jutro się przekonamy, że tu nie ma złota...

Fakt, że Lizzie była w wysokiej i bardzo widocznej ciąży, mężczyźni najwyraźniej zignorowali.

– Możecie najwyżej zajrzeć do akt i przekonać się, że to jest własność prywatna! – odparła Lizzie ostro i podniosła broń.

Skierowała ją w stronę mężczyzn – i z pewnością czułaby się lepiej, gdyby wiedziała, czy była odbezpieczona i jak się nią celowało. Choć w gruncie rzeczy było obojętne, czy trafi. Strzał usłyszą Maorysi we wsi i szybko zjawią się tu wojownicy.

– No, bądź dla nas miła, Lizzie!

– Dla was najwyżej Miss Portland! – odparła Lizzie.

– O, to jeszcze nie Mrs Drury?

Mężczyzna podszedł bliżej. Lizzie odetchnęła głęboko i pociągnęła za cyngiel. Ale nic się nie stało – czyli musiała jeszcze odbezpieczyć broń. Zaczęła szarpać za wszystkie możliwe kurki, po czym raz jeszcze pociągnęła za cyngiel, tym razem skutecznie. Ku jej bezgranicznemu przerażeniu broń w jej rękach wydawała się żyć własnym życiem – lufa po oddaniu strzału nagle poderwała się do góry. Lizzie z trudem zmusiła się do tego, aby utrzymać broń w rękach. Teraz popatrzyła na swojego przeciwnika w przekonaniu, że będzie leżał na ziemi martwy. Ale mężczyzna stał tam, gdzie przedtem, choć co prawda wyglądał na mocno zaskoczonego. Zdołała więc napędzić mu stracha.

– Ależ Miss Portland, niechże pani nie przegina! – odezwał się drugi z mężczyzn, a jego słowa zabrzmiały tak, jak gdyby był niemal obrażony. – My tu zajrzeliśmy w całkiem niewinnych zamiarach...

– To może odjedziecie w równie niewinnych zamiarach! – syknęła Lizzie.

Powoli cofnęła się o krok. Zauważyła, że mężczyźni też się poruszyli. Nieznacznie, ale wydawało się, że będą próbowali ją okrążyć. Musiałaby odwrócić się do jednego tyłem, gdyby chciała wymierzyć z broni do drugiego. Strzeliła jeszcze raz, co najwyraźniej nie było dobrym pomysłem. Mężczyźni zauważyli, że nie umiała się obchodzić z bronią. Zbliżyli się jeszcze bardziej.

– Przecież nie chcemy się kłócić, Miss Portland! – powiedział starszy. – Proszę oddać nam broń i pozwolić, abyśmy dokonali próbnego wiercenia na pani ziemi. Też się pani oplaci, jeśli znajdziemy tu złoto... A poza tym: co to jest? – Wskazał ręką na sadzonkę winogron i odwrócił w ten sposób uwagę Lizzie. Drugi z mężczyzn błyskawicznie skoczył w jej stronę. Lizzie uderzyła go strzelbą, ale nie był to mocny cios. Zachwiała się. Mężczyzna zaraz wyrwie jej broń, a potem...

– A co tu się dzieje? – Lizzie usłyszała nagle stanowczy, rozkazujący głos, który dobrze знаła. – Rusty Hamilton? I Johnboy Simmons? O, dawno was nie widziałem! – Michael Drury nadjechał galopem prosto w stronę intruzów, zatrzymując się tuż przed nimi. – Możecie mi powiedzieć, czego chcecie od mojej żony?

Młodszy z mężczyzn, Johnboy Simmons, zostawił Lizzie i wymamrotał jakieś przeprosiny.

– Nie bierz mi tego za złe, Michael! – powiedział starszy. – Ale ta lady groziła nam bronią i...

– Ta lady wytłumaczyła wam wyraźnie, że znajdujecie się na jej ziemi! – odparł Michael. – To jest Elizabeth Station, cała ziemia, od naszej starej działki aż do góry. A więc zabierajcie teraz wasze miski, pakujcie się i znikajcie stąd!

Michael zsiadł z siwka, podszedł do Lizzie i pocałował ją w przelocie. Mrugnął do niej nieznacznie. Lizzie, kompletnie zaskoczona, milczała.

Rusty Hamilton zbliżył się do Michaela z pojednawczo uniesionymi rękami.

– Ależ Michael, ten potok może nieść złoto... A jeśli siedzicie na złotonośnym polu! Michael w odpowiedzi zaśmiał się głośno.

– To dopiero byłoby coś, Rusty, gdybyśmy siedzieli na złocie, co? Ale uwierz mi, Maorysi aż tak głupi nie są, żeby sprzedawać złotonośne pola jako pastwiska! A mnie też masz za głupka? Naprawdę sądzisz, że nie szukałem tu w potoku?

– I co? – spytał mężczyzna zaciekawiony.

Michael potrząsnął głową.

– Pewnie, że potok niesie trochę złota – odpowiedział. – Jak wszystkie, także ten na dole, na naszej starej działce.

Rusty i Johnboy zaśmiali się pogardliwie.

– Ale ten teren to nie jest Ściek Gabriela. – Michael się uśmiechnął. – O tym mogę was zapewnić, chłopcy! Przysięgam na swój honor!

Lizzie patrzyła w ziemię.

– Taaak... – Rusty Hamilton sprawiał wrażenie rozczarowanego, ale wydawało się,

że zrezygnował ze swoich planów. – I oczywiście nie zdradzisz nam, gdzie znalazłeś złoto, za które kupiłeś ten raj dla twoich przezuwaczy? Elizabeth Station! Jak pięknie! Wszystkiego dobrego, mała lady!

Lizzie się uśmiechnęła. Dziwiła się, że był to mimo wszystko ujmujący uśmiech. Czasami taki uśmiech był konieczny, ale jej udawało się tylko wykrzywić twarz. Teraz patrzyła na obu rzezimieszków tak, jak gdyby byli odpowiedzią na jej modlitwy.

Michael uśmiechnął się także i dodał:

– I mówię wam wyraźnie: stąd na wschód, aż do mojej starej działki, potem stąd na południe, aż do jeziora, które ma kształt... martwego psa. Tak też nazywają je Maorysi, jak to będzie w ich języku, Lizzie?

Lizzie musiała się opanować, aby się nie roześmiać. Nigdy nie słyszała o takim jeziorze.

– Kuritemato – zaimprovizowała.

– Słyszeliście? – powiedział poważnie Michael. – Od lewej przedniej łapy psa pojedziecie na zachód, potem jeszcze kilka mil do potoku obrośniętego paprociami, tam może znajdziecie naszą starą rynną. I tylko muszę was, ludzie, ostrzec! Tamte złoża są zupełnie wyczerpane!

Rusty i Johnboy uśmiechali się jak obdarowane dzieci.

– Zobaczę! – stwierdził Rusty. – Jeśli chcesz znać moje zdanie, to byłeś zbyt syty, aby szukać dalej. Obejrzymy to sobie. A więc, lady... Jak to daleko, Michael?

Michael się zastanowił.

– Daleko – odpowiedział. – Jakieś osiem dni marszu. I można łatwo zabłądzić. Tam jest... dużo jezior.

– Damy radę! – stwierdził Johnboy i dotknął palcem runda kapelusza. – I jeszcze raz – bez urazy, lady!

Michael i Lizzie czekali w milczeniu, aż obaj mężczyźni załadowali swoje rzeczy na muły. I dopiero po długiej chwili Michael przerwał ciszę, pytając:

– Co to jest? – Wskazał na sadzonkę winorośli.

– Winny krzew – odpowiedziała Lizzie. – Tu będzie winnica!

Michael zmarszczył czoło.

– Będziemy musieli zbudować płot, aby owce jej nie zdeptały.

– My? – spytała Lizzie.

– Pomówimy o tym później. Nie powinniśmy się kłócić, dopóki te typy całkiem się stąd nie wyniosą. – Michael pomachał ręką odjeżdżającym poszukiwaczom złota.

– A kto się chce kłócić? – spytała znów Lizzie, po czym odwróciła się i poszła na wzgórze w kierunku swoich winorośli. Musiała posadzić jeszcze ostatnią sadzonkę. Ostrożnie umieściła ją w dołku i przysypała ziemią.

– Przyznaj, że jestem ci potrzebny – powiedział Michael, kiedy mężczyźni wreszcie

odjechali. Objął spojrzeniem przyszłą winnicę i zбочe ciągnące się w dół, w kierunku Lawrence. Widok zapierał dech w piersiach.

Lizzie uniosła brwi.

– Z powodu tych dwóch lumpów? Ngai Tahu już słyszeli wystrzał, za chwilę zaroi się tu od wojowników. A ja się wreszcie nauczę, jak się z tego strzela. – Pokazała na broń. – A ty, nawiasem mówiąc, też tego nie potrafisz. Po co ta cała komedia z „Jeziolem Martwego Psa”?

Michael się roześmiał.

– Pomnażam moje *mana!* – wyjaśnił. – *Whaikorero*, sztuka pięknego opowiadania.

– Raczej udoskonaliłabym technikę rzutu włócznią – stwierdziła Lizzie, nagarniając ziemię pod swoją ostatnią sadzonkę. – Te typy nie będą w zbyt dobrych nastrojach, kiedy tu wrócą.

Michael machnął lekceważąco ręką.

– Ach, oni już tu nie wrócą. Przy odrobinie szczęścia znajdą gdzieś po drodze złoto. A jeśli nie: wysłałem ich w kierunku Queenstown. Głupotą byłoby wracać, zamiast jechać na nowe pola.

– A co to była za przysięga „na mój honor”?

Nie było już niczego, co Lizzie mogłaby robić w swojej winnicy. Usiadła więc na trawie obok swych sadzonek.

– No, zbyt wiele nie mogę tu dać w zastaw – stwierdził Michael wyraźnie nieswój i usiadł obok niej. – O ile dobrze zrozumiałem ciebie i Kathleen. Bo z moim *mana* najwyraźniej nie jest najlepiej...

Lizzie się uśmiechnęła.

– Ale przynajmniej zawsze możesz wieść bogobojne życie – odpowiedziała. – I wychowywać w godności twoje dziecko.

– Zechcesz mnie jeszcze? – zapytał cicho po chwili.

Lizzie westchnęła.

– Skąd wiedziałeś, że tu jestem? – zmieniła temat.

Michael wskazał na ziemię naokoło nich.

– Twoja góra, Lizzie. Twoja *maunga*.

Uśmiechnęła się.

– I na niej chciałbyś wypasać owce?

Michael zagryzł wargi.

– Nie chodzi o owce, Lizzie. Jeśli o mnie chodzi, możemy też sadzić winorośl albo pędzić whiskey. Chciałbym tylko być z tobą, Lizzie. Bo ty i dziecko – jesteście moim *maunga*.

Lizzie wzięła do ręki garść ziemi i powoli przesypywała ją przez palce.

– A co z dzieckiem Kathleen? – spytała.

– Sean jest prawie dorosły. Już mnie nie potrzebuje. I ma wielebnego.

W ostatnich słowach słyhać było trochę goryczy. Michael zrozumiał, że Peter Burton godnie go zastąpił. Ale bolało go, że Sean prawie nie znał swoich irlandzkich korzeni. Kathleen zbyt łatwo zgodziła się na to, aby Claire i Peter zastąpili bajki i legendy Wicklow mitami greckimi i rzymskimi oraz naukami Mr Darwina.

– Czy to powiedziała Kathleen? – Lizzie się uśmiechnęła. – Pytanie tylko, kto im obojgu teraz da ślub: przyszły biskup anglikański czy też ten okropny ojciec Parrish!

– Nie zmieniaj tematu, Lizzie – poprosił Michael. – Tu nie chodzi o Kathleen.

Lizzie z wdzięcznością zwróciła twarz ku niebu, po czym teatralnym gestem wzniosła rękę w górę.

– Że też dane mi jest dożyć takiego dnia! – zawołała.

Michael zmusił się do cierpliwości.

– Tu chodzi o nas, Lizzie! I o niego! – nieśmiało położył rękę na jej brzuchu.

– To może być dziewczynka! – Lizzie odsunęła jego rękę. – Taka jak ja.

– To tym lepiej! – powiedział Michael. – Przy czym jest mi to właściwie obojętne. Przyjmę i dziewczynkę, i chłopca, albo oboje. Najważniejsze, że to będzie twoje dziecko.

Lizzie przez chwilę pomyślała o Kahu Heke, ale szybko odpędziła tę myśl.

– Chciałbym patrzeć, jak ono dorasta. Chciałbym być z wami. Zbudować dla was dom... – Lizzie usłyszała w głosie Michaela coś w rodzaju błagania. I tym razem znów nie potrafiła być obojętne.

– ...i opowiadać mu o Irlandii – zakpiła. – O jego dziadku, który pędził whiskey, i o babci, która się modliła, aby dziadka nie złapali... I o tym, jak jego *daddy* wysłali do Australii. Z powodu sprawy z ziarnem Trevalliona...

Michael przytaknął z całą powagą.

– Dokładnie tak – oświadczył. – Czy to nie jest coś, co Maorysi nazywają *pepeha*?

Lizzie się roześmiała.

– Raczej *whakapapa* – pochodzenie. Ale tak, jak to opowiadasz, to raczej są *moteatea* – bajki.

Michael wykrzywił twarz w uśmiechu, nie starając się nawet ukryć poczucia winy.

– A więc? Pozwolisz mi? – spytał z rosnącą nadzieją. – Czy pozwolisz, abym został z tobą? Czy pozwolisz, abym cię kochał? Czy pozwolisz, abym usypiał dziecko dobrą, starą, irlandzką *whaikorero*?

Lizzie odwróciła się do niego i skapitulowała jak zwykle wobec jego błyszczących niebieskich oczu.

– Jeśli to będzie dziewczynka, będziesz ją mógł nazwać nawet Mary – powiedziała wielkodusznie. – O ile nigdy nie będziesz jej wypominał, kim była i jest jej matka.

Michael wziął ją w ramiona.

– Jej czy też jego matka była i jest kobietą z wielkim *mana* – wyszeptał. – I ona czy też on natychmiast to zauważą.



Pocałował ją, a ona oddała mu pocałunek – bardzo powoli i tklwie.

– No to... zabiorę się do tego płotu – powiedział Michael zakłopotany, wypuszczając ją z ramion. – Z powodu... z powodu owiec...

Lizzie potarła sobie skronie i uśmiechnęła się wyrozumiale.

– Najpierw dom, Michael – powiedziała łagodnie.

## POSŁOWIE

Jak zawsze, także w tej powieści starałam się o możliwie największą zgodność z faktami historycznymi. Stosunki społeczne panujące w Irlandii w czasie klęski głodu, warunki, jakie musieli znosić więźniowie w Wicklow Gaol i na brytyjskich statkach więziennych, były rzeczywiście takie, jak przedstawiłam je moim czytelnikom. Także statek „Asia V”, na którego pokładzie znajdowało się sto sześćdziesiąt dziewięć skazanych kobiet, wypłynął w tym czasie z Woolwich ku Ziemi van Diemena, czyli dzisiejszej Tasmanii. Jednak wbrew faktom przeszmygłowałam na jego pokład dwunastu mężczyzn – skazańców. Także pod innymi względami mój opis nie jest całkiem poprawny historycznie: nie było przypadków śmierci na pokładzie – wskaźnik śmiertelności na statkach z deportowanymi był w rzeczywistości znacznie mniejszy, niż można o tym przeczytać w dostępnych źródłach. Ujmując rzecz statystycznie, podróż *convict ship* do Australii była nawet bardziej bezpieczna niż podróż regularnie kursującymi statkami wożącymi emigrantów do Nowej Zelandii, nie mówiąc już o tych do Ameryki. Oczywiście Korona Brytyjska deportowała tylko zdrowych, w większości młodych mężczyzn oraz kobiety, statki zaś pasażerskie transportowały także ludzi starych, chorych oraz dzieci. Wprawdzie przeprowadzano przed tym badania lekarskie, zwykle były one jednak bardzo powierzchowne, nikt też nie kontrolował higieny na pokładzie. Oczywiście więc było, że w takiej sytuacji ci najslabsi szybko padali ofiarą epidemii. Natomiast statki więzienne znajdowały się pod lepszym nadzorem, a występujące choroby były szybciej opanowywane.

Jak najbardziej poprawne historycznie są moje opisy warunków panujących w australijskich więzieniach, a zwłaszcza w żeńskich *female factories*. I rzeczywiście miały tam miejsce swoiste, nader dziwaczne „targi ślubne” dla więźniarek. Prawdą jest także, że jeden z więźniów próbował ucieczki z więzienia w Hobart w przebraniu kangura! Schwytano go, ale czy rzeczywiście nikt nie uciekł z ówczesnej Ziemi van Diemena – w to chyba należy wątpić. W każdym razie na zachodnim wybrzeżu Nowej Zelandii było wówczas tylu uciekinierów z sąsiedniego kraju, że między Australią a Nową Zelandią odbywały się nawet pertraktacje na temat ich ekstradycji.

W historii Nowej Zelandii, podobnie jak w tej książce, ważną rolę odegrało kilka znaczących osobistości. Należą do nich przede wszystkim James Busby, Robert Fyfe oraz jego kuzyn George z trzema „f” w nazwisku. Prawdziwa jest także historia stacji wielorybniczej Waiopuka koło Kaikoury, podobnie jak historia osiedli Port Cooper, zwanego później Lyttelton, oraz Tuapeka w pobliżu dzisiejszego miasta Lawrence.

Stary wielorybnik Johnny Jones rzeczywiście był fundatorem działki budowlanej pod przyszły kościół anglikański w Dunedin i sprowadzał z Australii do Nowej Zelandii rozczarowanych tamtym krajem osadników. Osiedlali się oni właśnie w Waikouaiti.

Natomiast mój wolebny Peter Burton ze swoją fatalną skłonnością do studiowania i głoszenia teorii Darwina jest postacią fikcyjną, podobnie jak pozostali główni bohaterowie. Fikcją są także nazwy oraz dokładne daty przybycia kolejnych statków z imigrantami oraz promów kursujących między Nową Zelandią a Australią.

Jeśli chodzi o autentyczność wszystkich danych i przekazów na temat zwyczajów Maorysów – sprawa jest trudniejsza i dość skomplikowana. Kultura maoryska w niczym nie przypomina naszej i jest od niej bardzo odległa – nie tylko w sensie fizycznym. Tym trudniej przychodziło mi o niej pisać, że w dzisiejszym rozumieniu tego słowa kultura ta właściwie już nie istnieje. Maorysi pielęgnują wprawdzie swoje tradycje i otrzymują w ostatnich dziesięcioleciach coraz więcej wsparcia zarówno ze strony rządu Nowej Zelandii, jak i z ministerstwa turystyki, jednak biali ludzie, ich kultura oraz także ich choroby okazały się silniejsze. Z pierwotnej ludności maoryskiej przeżyła znikoma część, przede wszystkim na Wyspie Północnej, a jej styl życia miał tak mało wspólnego z kulturą *pakeha*, że po jakimś czasie przestał istnieć. Ngai Tahu na Wyspie Południowej chętnie rozstali się ze swymi tradycjami oraz *tapu*, i tak niezbyt surowo przestrzegany. Styl życia białych przybyszów niósł ze sobą obietnicę na tyle wyższej jakości życia, że Maorysi bardzo szybko go sobie przyswoili.

Jednej wypowiedzi mojego Kahu Heke w tej książce nie da się jednak zaprzeczyć: klimat na Wyspie Południowej Nowej Zelandii ma więcej wspólnego z klimatem Szkocji i Walii niż z klimatem Hawaiki na Polinezji. Rośliny oraz zwierzęta przywożone przez brytyjskich przybyszów rosły i rozwijały się lepiej, ich zaś odzież, technika budowy domów i styl życia *pakeha* były dla tego klimatu bardziej odpowiednie niż kultura pierwszych przybyszów z Polinezji. Moim zdaniem świadczy to o rozsądku i elastyczności Ngai Tahu: asymilacja była krokiem o wiele lepszym niż próby zwalczania przybyszów. Inną kwestią jest, że przy tej okazji oszukiwano ich w sposób haniebny. Niektórymi roszczeniami szczepów w kwestii zadośćuczynienia za oszustwa przy sprzedaży ziemi do dziś jeszcze zajmują się miejscowe sądy.

Jeśli jednak ktoś podejmuje się rekonstrukcji życia maoryskich szczepów, ma przed sobą dwie możliwości.

Z jednej strony istnieją publikacje samych Maorysów i jeśli chodzi o mnie, to źródło odpowiada mi najbardziej. W książce powołuję się na wiele informacji z oficjalnych źródeł maoryskich. Ale Maorysi także są przecież ludźmi – i w związku z tym mają skłonność do przedstawiania siebie w możliwie najbardziej pozytywnym

światle. Toteż przedstawicielstwa Maorysów raczej niechętnie informują o niektórych dziwnych zwyczajach, jak *tapu* związane z osobą wodza i jego rodziny. Za to bez trudu można od nich wydobyć informacje o niewinnych zwyczajach związanych z rytuałami powitalnymi, tańcem oraz połowem ryb.

Drugą możliwością jest studiowanie publikacji ówczesnie żyjących białych etnografów. Te źródła oferują często więcej informacji, ale mają też swoje wady. Nowoczesna nauka zajmująca się socjologią i historią w XIX wieku była jeszcze w powijakach, a badaniem i gromadzeniem danych zajmowali się laicy i pasjonaci. Zapisywali oni szczegółowe dane, ale kwestie zasadnicze często umykały ich uwadze. A do nich należał fakt, że kultury maoryskiej jako takiej właściwie nie było. Dziś podkreśla się wprawdzie wspólne elementy łączące poszczególne szczepy, ale wówczas każdy *iwi* i *hapu* miał własne zwyczaje, nakazy i *tapu*. Współcześni badacze *pakeha* mają niestety niedobłą skłonność do uogólniania, ja zaś w kwestii poprawności historycznej dotyczącej moich poszukiwań mogę powiedzieć, co następuje: bez wątpienia istniały opisane w tej książce *tikanga* i *tapu* – nikt jednak nie wie dokładnie, w jakim szczepie, w jakiej okolicy i w jakiej formie. Z drugiej strony można jednak ustalić, jaki szczep żył w jakiej okolicy. Często w przekazach zachowały się także imiona wodzów.

Dla mnie, jako autorki, wynikł w związku z tym pewien dylemat: szczep Kahu Heke musiał być *iwi* Nga Puhi, których wielki wódz Hongi Hika był jednym z wodzów podpisujących traktat w Waitangi. Ale czy wolno mi było przypisać Nga Puhi jakieś obyczaje i *tapu* tylko dlatego, że tak dobrze wpisywały się w historię Lizzie i Kahu Heke? Po długich rozmyślaniach doszłam do wniosku, że nie, i dlatego zastąpiłam Nga Puhi fikcyjnym szczepem Ngati Pau. Mam nadzieję, że Nga Puhi nie wezmą mi tego za złe, jeśli wieść o tym do nich dotrze. Powodował mną szacunek dla historii, której nie chciałam wypaczać. *Kia tu tika ai te whare tapu o Nga Puhi* – Oby święty dom Nga Puhi istniał zawsze.

Na koniec jeszcze jedna uwaga adresowana do purystów, którzy sprawdzają każdy szczegół w powieściach historycznych – i poprzez to, moim zdaniem, zasługują na powszechny szacunek, ponieważ zmuszają autorów do przeprowadzenia starannych badań. Claire, nazywając swoją farmę na Canterbury Plains „Stratford Manor”, była przekonana, że Avon River została tak nazwana od nazwy rodzinnego miasta Szekspira. To jednak nie jest prawdą. Rzeka otrzymała swoją nazwę dzięki pewnemu Szkotowi nazwiskiem John Deans, który ochrzcił ją tak na pamiątkę Avon River w Falkirk, w Szkocji.